

# THOMAS PYNCHON

W SIECI



# O książce

Właścicielka agencji specjalizująca się w wykrywaniu oszustw, najlepiej czująca się ze swoją berettą. Miliarder, któremu pęknięcie bańki internetowej bynajmniej nie zaszkodziło. Genialny „nos” owładnięty obsesją wody kolońskiej używanej przez Hitlera. Uśpiony agent Mossadu kryjący myckę pod bejsbolówką. Agent operacyjny CIA, któremu raz w życiu zdarzyło się zrobić coś dobrego. Rosyjscy gangsterzy, korowód nerdów, geeków, hakerów... Jak to u Pynchona – cała ludzka menażeria. Nie wspominając już o awatarach. Bo akcja powieści rozgrywa się nie tylko w Nowym Jorku, ale również w sieci. W głęboko ukrytej, do której dostęp zapewnia genialna aplikacja DeepArcher.

Nie wchodząc zbyt głęboko w teorie spiskowe, które pojawiły się po 11 września, Pynchon przedstawia własną wizję tej epoki, ponurą, niepokojącą, ale i zabawną. Na tyle, na ile zabawna może być czarna komedia.

# THOMAS PYNCHON

## W SIECI

Z angielskiego przełożył  
TOMASZ WYŻYŃSKI



Wydanie elektroniczne

Thomas Pynchon

(ur. 1937 r.)

Jeden z najwybitniejszych współczesnych amerykańskich pisarzy, jest regularnie wymieniany wśród kandydatów do Nagrody Nobla. Do najbardziej znanych z jego ośmiu powieści należą **Tęcza grawitacji**, **Wada ukryta** i **W sieci**. Jako człowiek Pynchon, który obsesyjnie strzeże swojej prywatności, jest dla dziennikarzy i czytelników wielką zagadką.

*Tego autora*

WADA UKRYTA  
W SIECI

Tytuł oryginału:  
BLEEDING EDGE

Copyright © Thomas Pynchon 2013  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.  
2015

Polish translation copyright © Tomasz Wyżyński 2015

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: Oleksiy Mark/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7985-189-8

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [88em](#)

*Jako bohater powieści sensacyjnej Nowy Jork  
nie byłby detektywem ani mordercą, tylko  
tajemniczym podejrzanym, który zna  
prawdziwy przebieg wypadków, ale nie chce  
go opisać.*

DONALD E. WESTLAKE



# 1

Jest pierwszy dzień wiosny 2001 roku i Maxine Tarnow, ciągle pamiętana przez niektórych jako Maxine Loeffler, odprowadza synów do szkoły. Tak, może są już w wieku, gdy nie trzeba ich odprowadzać, może Maxine jeszcze nie chce z tego zrezygnować, to tylko dwie przecznice, po drodze do pracy, lubi z nimi chodzić, więc co w tym złego?

Tego ranka na wszystkich gruszach drobnoowocowych na ulicach Upper West Side widać białe kwiaty, które rozwinęły się z pąków w ciągu nocy. Maxine zauważa, że promienie słońca przedostające się między dachami a zbiornikami na wodę padają na jedno z drzew na końcu przecznicy, które natychmiast wypełnia się światłem.

– Mamo, spójrz! – mówi Ziggy, jak zwykle zdyszczanym tonem.

– Chłopcy, sprawdźcie, jakie to drzewo, dobrze?

Otis patrzy przez chwilę w milczeniu.

– Fantastyczne, mamo!

– Niezłe – zgadza się Ziggy.

Chłopcy idą dalej, a Maxine spogląda na drzewo przez pół minuty, po czym dołącza do synów. Na skrzyżowaniu odruchowo przechodzi na ich prawą stronę, aby osłonić ich

przed kierowcami, którzy mogliby dla zabawy nagle wyjechać z za rogu i wpaść na przechodniów.

Na elewacjach budynków po przeciwnej stronie ulicy niewyraźnie lśnią plamy słońca odbitego w oknach mieszkań wychodzących na wschód. Po ulicach przecinających Nowy Jork pełzają przegubowe autobusy, nowe na tej trasie, przypominające gigantyczne owady. Unoszą się stalowe żaluzje, przy krawężnikach parkują w dwóch rzędach ciężarówki, dozorczy polewają swoje części chodników wodą z węży. W bramach śpią bezdomni, nurkowie przeszukujący śmietniki idą do supermarketów z wielkimi plastikowymi torbami pełnymi pustych butelek po piwie i wodzie sodowej, by je sprzedać, przed budynkami stoją ekipy robotników, które oczekują na majstrów. Na przejściach dla pieszych podskakują w miejscu biegacze, czekając na zmianę świateł. Policjanci siedzą w kawiarniach, prowadząc śledztwa w sprawie trudności w zakupie bajgli. Dzieci, rodzice i niańki podążają pieszo i na kołach w różne strony, śpiesząc do szkół znajdujących się w okolicy. Połowa dzieci jedzie na nowych hulajnogach marki Razor – należy je dodać do listy kolejnych zagrożeń, przed którymi trzeba się mieć na baczności na ulicach.

Szkoła imienia Otto Kugelblitza zajmuje trzy sąsiadujące ze sobą eleganckie budynki z brązowego piaskowca między Amsterdam Avenue a Columbus Avenue, w bocznej uliczce, która nie pojawiła się jeszcze w serialu telewizyjnym *Prawo i porządek*. Patron szkoły to jeden z pionierów psychoanalizy, usunięty z kręgu bliskich współpracowników Freuda, ponieważ

opracował teorię psychologiczną, która streszcza istotę ludzkiego życia. Wydawało mu się oczywiste, że poszczególne fazy ludzkiej egzystencji odpowiadają różnym zaburzeniom psychicznym, jak je rozumiano w jego epoce – solipsyzm w niemowlęctwie, histeria na tle seksualnym w okresie dojrzewania i na początku dorosłości, paranoja wieku średniego, demencja w starości... Wszystko kończy się śmiercią, która w końcu okazuje się „zdrowiem psychicznym”.

„Doskonały moment, by to odkryć!”, Freud strzepnął na Kugelblitza popiół z cygara, kazał mu opuścić apartament przy Berggasse 19 i nigdy więcej nie wracać. Kugelblitz wzruszył ramionami, wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, zamieszkał na Upper West Side, otworzył prywatną praktykę i szybko zdobył krąg wpływowych i zamożnych klientów, którzy szukali jego pomocy w chwilach cierpienia lub kryzysu. Podczas eleganckich przyjęć coraz częściej przedstawiał ich sobie nawzajem jako swoich „przyjaciół”, po czym rozpoznawali w sobie bratnie dusze.

Trudno ocenić wpływ psychoanalizy Kugelblitza na mózgi pacjentów, ale w okresie wielkiego kryzysu część z nich radziła sobie na tyle dobrze, że po pewnym czasie zebrali fundusze na założenie prywatnej szkoły. Kugelblitz miał udział w zyskach, a program nauczania przewidywał, że uczniowie każdej klasy cierpią na inne zaburzenia psychiczne i są odpowiednio traktowani. Innymi słowy, dom wariatów z pracami domowymi.

Tego ranka, jak zawsze, Maxine zastaje na przestronnym ganku tłum uczniów, dyżurujących nauczycieli, rodziców

i opiekunek z młodszym rodzeństwem w wózkach. Wśród zgromadzonych krąży dyrektor, Bruce Winterslow, witający zrównanie dnia z nocą białym garniturem i panamą – zna imiona i krótkie biografie wszystkich obecnych, klepie znajomych po plecach, prowadzi dobrodusze pogawędki, podlizuje się lub grozi, zależnie od potrzeb.

– Cześć, Maxi! – Przez tłum na ganku przeciska się Vyrva McElmo, co trwa znacznie dłużej, niż powinno. Maxine uważa powolność za charakterystyczną cechę mieszkańców Zachodniego Wybrzeża. Vyrva jest sympatyczna, ale nie ma wystarczającej obsesji na punkcie czasu. Wiele matek z Upper West Side wpadało już w poważne kłopoty z powodu zachowań, które Vyrwie uchodzą na sucho. – Dziś po południu znowu mam koszmarne napięty plan dnia! – woła z odległości kilku kroków. – Nic strasznie ważnego, przynajmniej jeszcze nie, ale z drugiej strony...

– Nie ma problemu. – Maxine stara się przyśpieszyć rozmowę. – Zabiorę Fionę do nas, możesz ją odebrać, kiedy zechcesz.

– Dzięki, naprawdę. Postaram się nie przyjechać za późno.

– Może nawet u nas przenocować.

Zanim lepiej się poznały, Maxine parzyła dzbanek kawy dla siebie, po czym zawsze przygotowywała herbatkę ziołową, aż Vyrva zapytała: „Mam na tyłku kalifornijskie tablice rejestracyjne czy co?”. Tego ranka Maxine zauważyła kilka zmian w normalnym, powszednim stroju Vyrvy, złożonym z przypadkowo dobranych elementów. Przede wszystkim włożyła elegancki biznesowy kostium zamiast dżinsowego

kombinezonu, ma upięte włosy zamiast zwykłych jasnych loków, a plastikowe kolczyki w kształcie motyli znanych jako danaidy wędrowne zastąpiła sztyftami z brylantami, cyrkoniami? Jakies spotkanie w późniejszej części dnia, na pewno w interesach, rozmowa na temat pracy, może kolejna wyprawa w poszukiwaniu inwestorów?

Vyrva ukończyła Pomona College, ale nie ma stałej pracy. Ona i Justin przenieśli się z Doliny Krzemowej w Kalifornii do Alei Krzemowej w Nowym Jorku. Justin i jego przyjaciel ze Stanford University prowadzą niewielką firmę informatyczną, której w jakiś sposób udało się przetrwać pęknięcie bańki internetowej w zeszłym roku, choć bez irracjonalnej euforii, jak można by to nazwać. Jak dotąd są w stanie płacić czesne w szkole Kugelblitza, nie wspominając o czynszu za suterene i parter w eleganckim budynku z brązowego piaskowca koło Riverside. Kiedy Maxine po raz pierwszy zobaczyła mieszkanie Vyrvy, poczuła ukłucie zazdrości.

– Wspaniały apartament! – zawołała z udawanym podziwem. – Może wybrałam niewłaściwy zawód?

– Bierzemy przykład z Billa Gatesa – odpowiedziała nonszalancko Vyrva. – Na razie gnieźdź się w tej klitce, czekając, aż moje akcje nabiorą wartości. Jasne, kochanie?

Kalifornijskie słońce, nurkowanie z rurką, dni spędzane na lenistwie. Jednak od czasu do czasu... Maxine pracuje w swoim fachu dostatecznie długo i potrafi odgadnąć to, co nie zostało wypowiedziane. „Powodzenia, Vyrvo”, myśli. Niezależnie od tego, o co chodzi. Zauważa kalifornijską opóźnioną reakcję, gdy

Vyrva opuszcza ganek, po drodze całuje dzieci w czubki głów i wraca do porannej krzątania.

Maxine prowadzi niewielką agencję audytorską, zajmującą się dochodzeniami w sprawie oszustw, o nazwie Znajdź i Zdemaskuj – kiedyś krótko zastanawiała się nad nazwą Znajdź, Zdemaskuj i Zapuszkuj, ale dość szybko zrozumiała, że brzmiałoby to jak pobożne życzenie, jeśli nie miraż. Agencja mieści się na tej samej ulicy, w dawnej siedzibie banku, a sufit holu jest na takiej wysokości, że w czasach, gdy jeszcze nie zabroniono palenia, w ogóle nie było go widać. Budynek wzniesiono jako świątynię pieniądza tuż przed krachem giełdowym w 1929 roku, w okresie ślepego delirium przypominającego niedawne puchnięcie bańki internetowej, po czym wielokrotnie go przebudowywano, aż zmienił się w labirynt gipsowych ścianek działowych, gdzie znaleźli swoje miejsce studenci, którzy zeszli na złą drogę, marzyciele palący haszysz, agenci promujący talenty, kręgarze, nielegalne biura dostarczające robotników pracujących na akord, mikroskopijne magazyny szmuglowanych towarów, a w tej chwili, na piętrze Maxine, agencja matrymonialna o nazwie Yenta Espresso, biuro podróży Tu i Tam oraz pachnący gabinet doktora Yinga, specjalisty od akupunktury i ziołolecznictwa. Na końcu korytarza znajduje się puste biuro, dawniej siedziba Paczek bez Ograniczeń, firmy rzadko odwiedzanej nawet wtedy, gdy działała. Obecni użytkownicy budynku pamiętają czasy, gdy koło drzwi, teraz zamkniętych na łańcuch i kłódkę, stali umundurowani goryle uzbrojeni w uzi, którzy kwitowali odbiór tajemniczych przesyłek i paczek. Szansa, że w każdej chwili

może wybuchnąć strzelanina z broni maszynowej, dodatkowo motywowała pracowników, ale w tej chwili na drzwiach wisi tabliczka z napisem DO WYNAJĘCIA i lokal czeka na najemców. Po wyjściu z windy Maxine słyszy przez drzwi krzyki Daytony Lorrain, która kłóci się z kimś przez telefon. Wchodzi na palcach do biura, a Daytona wrzeszczy:

– Podpiszę te zasrane papiery, a potem się wyniosę! Chcesz być ojcem, to sam się zajmij tym gównem! – Rzuca słuchawkę.

– Dzień dobry! – mówi wesoło Maxine, może zbyt mocno akcentując drugi wyraz.

– Mam nadzieję, że to ostatni telefon tego dupka!

W niektóre dni wydaje się, że agencja audytorska Znajdź i Zdemaskuj budzi zainteresowanie wszystkich podejrzanych typów w mieście, którzy przechowują jej numer telefonu w swoich zatłuszczonych wizytownikach.

Na automatycznej sekretarce zebrało się trochę wiadomości: przyjaciele, telemarketerzy, nawet kilka telefonów mających związek z aktualnie prowadzonymi sprawami. Maxine odsłuchuje nagrania, po czym dzwoni do zaniepokojonego informatora, który pracuje w firmie w Jersey zajmującej się przygotowywaniem przekąsek. Negocjuje ona po cichu z dawnymi pracownikami Krispy Kreme – chodzi o nielegalny zakup ściśle tajnego systemu regulacji temperatury i wilgotności wypieku pączków, a także równie tajnych fotografii mechanizmu do ich formowania, które jednak okazują się zdjęciami części samochodowych zrobionymi przed laty w Queens, a następnie poddanymi obróbce Photoshopem, i to dość niefrasobliwej.

– Zaczynam dochodzić do wniosku, że w tej transakcji jest coś dziwnego – mówi nieco drżącym głosem informator Maxine. – Może w ogóle nie jest legalna?

– Może, Trevor, bo to przestępstwo kryminalne?

– To prowokacja FBI! – wrzeszczy Trevor.

– Dlaczego FBI...

– Eeee? Krispy Kreme?! FBI rutynowo współpracuje z policją!

– W porządku. Porozmawiam z ludźmi z prokuratury okręgu Bergen, może coś słyszeli...

– Zaczekaj, zaczekaj, ktoś idzie, zauważył mnie, och, może lepiej... – W słuchawce zapada cisza, tak jak zwykle.

Maxine niechętnie spogląda na teczkę najnowszej sprawy związanej z fałszowaniem stanu zapasów magazynowych – kolejnej z tak wielu, że już straciła rachubę. Tym razem głównym bohaterem jest dystrybutor gadżetów elektronicznych Dwayne Z. („Dizzy”) Cubitts, znany na całym obszarze aglomeracji nowojorskiej z reklam telewizyjnych, w których występuje jako Wujek Dizzy. Pojawia się w nich na czymś w rodzaju obrotowego stołu, który wiruje z wielką prędkością („Wujku Dizzy! Obróć ceny!”), i reklamuje automaty do porządkowania garderoby, przyrządy do obierania kiwi, laserowe otwieracze do butelek, kieszonkowe dalmierze pozwalające ocenić, która kolejka do kasy w supermarkecie jest najkrótsza, piloty telewizyjne z zamontowanymi alarmami, by nie można było ich zgubić, chyba że jednocześnie zgubi się urządzenie uruchamiające alarm. Żadnego z tych gadżetów nie



ma jeszcze w sklepach, ale późnym wieczorem można je obejrzeć w akcji w reklamach telewizyjnych.

Dizzy kilkakrotnie przekraczał już bramy więzienia Danbury, ale ma dziwną skłonność do łamania prawa, co zmusza Maxine do analizowania zagadnień moralnych, które są równie karkołomne jak ścieżki w Wielkim Kanionie w Kolorado. Problemem jest urok i naiwność Dizzy'ego, posługującego się obrotowym stołem jako rekwizytem reklamowym – Maxine nie wierzy, że jest to tylko udawanie. Rozpad rodziny, publiczna kompromitacja, spędzenie pewnego czasu w więzieniu zwykle skłaniają normalnego kanciarza do poszukiwania legalnej, a wręcz uczciwej pracy. Ale nawet wśród drugorzędnych oszustów, którymi musi się zajmować Maxine, Dizzy stanowi wyjątek – jego krzywa uczenia się jest całkowicie płaska.

Wczoraj menedżer lokalnego magazynu Dizzy'ego na Long Island, gdzieś przy linii kolejowej Ronkonkoma, zaczął przekazywać coraz dziwniejsze informacje. Kłopoty w magazynie, nieprawidłowości w stanie zapasów, trochę nieprzyjemna sytuacja, pieprzony Dizzy, cholera! Kiedy wreszcie Maxine będzie mogła zacząć normalnie pracować, stać się nową Angelą Lansbury, zająć się poważnymi sprawami, a nie męczyć się wśród kretynów, którzy nie mają o niczym pojęcia...

Podczas ostatniej wizyty w magazynie Wujka Dizzy'ego Maxine wyszła zza ogromnej piramidy kartonów i zderzyła się z nim samym, ubranym w jaskrawożółty T-shirt z logo sieci sklepów Crazy Eddie – podążał śladem ekipy kontrolerów,

złożonej z dwunastoletnich dzieci pracujących dla firmy znanej z tego, że zatrudnia wączaczy kleju, nastolatków uzależnionych od gier wideo, ludzi, u których zdiagnozowano niezdolność do krytycznego myślenia – po czym natychmiast zleciła im inwentaryzację zapasów magazynowych.

– Dizzy, cóż...

– *Oops! ...I Did It Again*, jak śpiewa Britney Spears.

– Spójrz tylko! – Chodzi tam i z powrotem, na chybił trafił wyjmując i unosząc zamknięte kartony. Część z nich, choć zapieczętowana, wydaje się pusta. Ktoś zapewne mógłby się tym zdziwić, ale nie Maxine. Do roboty. – Albo to jakiś cud, albo mamy tu do czynienia z niewielkim ubytkiem zapasów...? Nie powinieneś stawiać zbyt wielu pustych kartonów jeden na drugim, Dizzy. Wystarczy rzut oka na dolny rząd i widać, że się nie zapada pod ciężarem tego, co jest na górze, prawda? Zwykle to dość dobra wskazówka. Powinieneś kazać tym dzieciakom kontrolerom najpierw opróżnić budynek, a dopiero potem sprowadzać ciężarówkę do rampy wyładunkowej, by zawieźć ten sam zestaw kartonów do następnego sklepu osiedlowego. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Przecież sieci Crazy Eddie się udało! – Oczy ma wielkie jak lizaki w wesołym miasteczku.

– Poszli siedzieć, Diz. Niedługo dodasz do swojej kolekcji nowy akt oskarżenia.

– Hej, nie ma się czym przejmować, to Nowy Jork, ławy przysięgłych stawiają w stan oskarżenia nawet salami.

– A więc... co teraz zrobimy? Mam wezwać brygadę antyterrorystyczną?

– Hej, już wiem! Mogłabyś dać cynk kontrolerom! Na przykład anonimowo? Przez komórkę? Ukryć się i patrzeć, co się dzieje? – Stali w półmroku pachnącym kartonem i plastikiem, a Maxine, pogwizdując przez zęby piosenkę *Help Me Rhonda*, zwalczyła pokusę przejechania Dizzy’ego wózkiem widłowym.

Spogląda teraz na teczkę Dizzy’ego, nie otwierając jej, sprawdzając, jak długo wytrzyma. Ćwiczenie duchowe. Rozlega się brzęczyk interkomu.

– Przyszedł jakiś gość o imieniu Reg, nie jest umówiony.

Ocalona. Odkłada teczkę, która niczym dobry koan i tak przestaje mieć jakikolwiek sens.

– Witaj, Reg. Wejdz, dupku! Dawno się nie widzieliśmy.

## 2

W istocie dwa lata. W tym czasie Reg Despard bardzo się postarzał. Jest dokumentalistą, który zaczął karierę od piractwa filmowego w latach dziewięćdziesiątych. Chodził z pożyczoną kamerą na pokazy przedpremierowe, filmował obraz na ekranie i nagrywał kasety, które sprzedawał na ulicy za dolara, czasem dwa, jeśli ktoś chciał tyle zapłacić. Często nieźle zarabiał, nim obraz wszedł do kin. Jakość produkowanych przez niego kopii pozostawiała wiele do życzenia – w tle szeleściły papierowe torebki widzów, którzy jedli lunch podczas projekcji, czasem ludzie wstawali w środku seansu i zasłaniali ekran na kilka minut. Reg nie zawsze trzymał kamerę nieruchomo i obraz falował, niekiedy powoli i sennie, a momentami ze zdumiewającą szybkością. Kiedy Reg odkrył, że kamera jest wyposażona w zoom, zaczął się nim bawić – powiększał szczegóły anatomiczne, twarze statystów w tłumie, eleganckie samochody widoczne w tle i tak dalej. Pewnego pamiętnego dnia sprzedał na placu Waszyngtona jedną ze swoich kaset profesorowi New York University, specjalście od sztuki filmowej, który nazajutrz przybiegł w to samo miejsce i zdyszany spytał, czy Reg wie, jak bardzo wyprzedził

najnowsze trendy w sztuce postmodernistycznej. Nazwał to „neobrechtowską destrukcją diegezy”.

Ponieważ brzmiało to jak reklama terapii odchudzającej opartej na wartościach chrześcijańskich, Reg zaczął tracić zainteresowanie, ale podekscytowany uczony się nie zrażał. Wkrótce Reg pokazywał swoje filmy na seminariach doktoranckich, po czym, naturalną kolejną rzeczą, zaczął kręcić własne produkcje. Filmy dokumentalne, klipy muzyczne nieznanymi grupami, krótkie reklamówki pokazywane późno w nocy. Praca to praca.

– Chyba jesteś trochę zajęta?

– Jak zwykle o tej porze roku. Święto Paschy, Wielkanoc, rozgrywki National Collegiate Athletic Association, w sobotę jest Dzień Świętego Patryka, nudziarstwo, żaden problem, Reg. Chcesz mi zaproponować małżeństwo? – Można by to uznać za niegrzeczne i Maxine straciła przez to kilku klientów; z drugiej strony uwalnia się w ten sposób od nudziarzy.

Melancholijne pochylenie głowy.

– To nie wchodzi w grę od dziewięćdziesiątego ósmego... nie, czekaj, od dziewięćdziesiątego dziewiątego roku?

– Ach, tu obok jest Yenta Espresso, powinieneś tam zajrzeć, świetne miejsce na randki przy kawie, pierwsza latte grosso za darmo, jeśli poprosisz Edith o kartę stałego klienta. W porządku, Reg, skoro to nie sprawa osobista...

– Chodzi o firmę, dla której kręcę film dokumentalny. – Jedno z tych dziwnych spojrzeń, których Maxine nauczyła się nie ignorować.

– A konkretnie?

– Kwestie dostępu do informacji. Za dużo przede mną ukrywają.

– Mówimy o czymś nowoczesnym, czy będziemy się zajmować historią, archaicznym oprogramowaniem, którego nie da się odczytać, ograniczeniami sprzętowymi?

– Nie, to jeden z dotcomów, który nie upadł, gdy w zeszłym roku pękła bańka internetowa. – Pół decybelą za cicho. – Może nie ma też żadnych ograniczeń...

Ach...

– Jeśli chcesz zdobyć ogólne informacje, nie musisz korzystać z usług audytora sądowego, bo znajdziesz wszystko w internecie. LexisNexis, HotBot, AltaVista, sporo sekretów firmowych jest także na żółtych stronach...

– To, czego szukam, prawdopodobnie znajduje się w miejscu, gdzie nie dotrze robot żadnej wyszukiwarki.

– A czego szukasz?

– Zwyczajnej dokumentacji finansowej: rachunków, zestawień wpływów i wydatków, ksiąg kasowych, zeznań podatkowych. Spróbuj się temu przyjrzeć. Na pewno zauważysz coś dziwnego i wszystko okaże się ukryte daleko, daleko poza zasięgiem LexisNexis.

– Czyli gdzie?

– W ukrytej sieci. Żaden normalny użytkownik nigdy tam nie dotrze, wszystko jest zaszyfrowane, chronione przez dziwne przekierowania...

Och.

– Chyba powinien się tym zająć jakiś internetowy samuraj, bo ja tak naprawdę...

– Ktoś już nad tym pracuje. Eric Outfield, genialny absolwent Stuyvesanta, certyfikowany drań, skazany w młodości za włamanie komputerowe. Mam do niego całkowite zaufanie.

– Co to za ludzie?

– Firma zajmująca się bezpieczeństwem informatycznym. Mają siedzibę w centrum Nowego Jorku, nazywają się hashslingrz.com.

– Słyszałam o nich, bardzo dobrze im idzie, ich akcje mają fantastyczny wskaźnik P do E, dostają mnóstwo zleceń.

– Moje cele są podobne. Życ, prosperować. Tak właśnie to powinno wyglądać, prawda?

– Ale... zaczekaj... film o hashslingrz? Co można by pokazać? Nerdów gapiących się w monitory?

– W oryginalnym scenariuszu było wiele pościgów samochodowych, eksplozji, ale budżet... Dostaję od firmy małą zaliczkę, a poza tym mam pełny dostęp do wszystkiego. Myślałem tak do wczoraj i stwierdziłem, że powinienem się z tobą zobaczyć.

– Coś dziwnego w rachunkach?

– Chciałbym po prostu wiedzieć, dla kogo pracuję. Nigdy nie zaprzedałem swojej duszy, cóż, nawet za kilka taktów rhythm and bluesa, i doszedłem do wniosku, że poproszę Erica, by się rozejrzył. Wiesz coś o ich szefie, Gabrielu Isie?

– Niewiele. – Maxine czytała o nim w czasopiśmie. Jeden z młodych miliarderów, któremu udało się ocalić majątek, gdy pękła bańka internetowa. Pamięta fotografie: kremowy garnitur Armaniego, robiony na miarę elegancki kapelusz

Fedora. Mina człowieka, który za chwilę zacznie udzielać tłumom papieskiego błogosławieństwa... Zezwolenie od rodziców zamiast chusteczki w kieszonce marynarki. – W końcu mnie to wszystko znudziło, nie podobał mi się. Bill Gates wydaje się przy nim charyzmatyczny.

– To tylko maska. Ma ogromne zaplecze.

– Co sugerujesz? Mafię, tajne służby?

– Według Erica chodzi o jakiś ogromny plan zapisany w kodzie, którego żaden z nas nie potrafi odczytać. Może z wyjątkiem liczby sześćset sześćdziesiąt sześć, która często się powtarza. Ale, ale, czy ciągle masz pozwolenie na broń?

– Hm, owszem, czasami ją noszę... Czemu pytasz?

Reg unika wzroku Maxine.

– Ci ludzie... różnią się od normalnych pracowników firm informatycznych.

– W jaki sposób?

– Na przykład nie spotkałem ani jednego geeka.

– I tylko tyle? Reg, mam ogromne doświadczenie i przekonałam się, że do ludzi zajmujących się machinacjami finansowymi nie trzeba strzelać. Wystarczy publiczne upokorzenie.

– Tak... – Prawie przeprasza ją. – Ale przypuśćmy, że chodzi nie tylko o machinacje finansowe? Przypuśćmy, że to nie wszystko?

– Coś mrocznego, złowrogiego. I siedzą w tym po uszy?

– Wydaje ci się to zbyt paranoidalne?

– Nie mnie, paranoja to czosnek w kuchni życia, jasne, nigdy nie jest jej za dużo.



- W takim razie nie powinno być żadnych problemów...
- Bardzo nie lubię, gdy ludzie mówią, że nie powinno być problemów. Ale w porządku, rozejrzę się i dam ci znać.
- Świetnie! Czuję się jak Erin Brockovich!
- Hm. Cóż, dochodzimy do niezręcznej kwestii. Domyślam się, że nie chcesz mnie wynająć? Oczywiście nie mam nic przeciwko pracy za darmo w nadziei, że coś w końcu zarobię, ale pojawiają się tu pewne problemy etyczne. To trochę jak jazda za karetką pogotowia, prawda?
- Czy nie składałaś jakiejś przysięgi? Jeśli jesteś świadkiem oszustwa...
- To z serialu *Fraudbusters*, musieli go wycofać, bo dostarczał zbyt wielu pomysłów. Ale Rachel Weisz nie była zła.
- Wspominam o tym dlatego, że wyglądacie podobnie. – Uśmiecha się, wyciąga dłonie z uniesionymi kciukami, jakby szykował się do strzału.
- Cóż, Reg...

W ten sposób zawsze było można przemówić do Rega. Poznali się podczas rejsu statkiem wycieczkowym, choć można by to również interpretować inaczej. Po separacji z mężem, Horstem Loefflerem, w czasach, gdy jeszcze nie nadszedł Ten Dzień, Maxine spędzała zbyt wiele godzin w zamkniętych pomieszczeniach z opuszczonymi żaluzjami, słuchając w nieskończoność Stevie Nicks śpiewającej *Landslide* i ignorując resztę składanki nagranej na taśmie. Piła koszarne drinki Crown Royal Shirley Temple na przemian z sokiem z granatów, codziennie zużywała kilka kilogramów chusteczek higienicznych, aż wreszcie jej przyjaciółka Heidi zdołała ją

przekonać, że rejs statkiem wycieczkowym po Morzu Karaibskim powinien poprawić jej stan psychiczny. Pewnego dnia Maxine poczłapała do agencji turystycznej Tu i Tam, gdzie zobaczyła zakurzone biurka, wytarte fotele i podniszczony model transatlantyku wykazującego pewne podobieństwo do *Titanica*.

– Ma pani szczęście. Przed chwilą mieliśmy... – Długa pauza, brak kontaktu wzrokowego.

– Ktoś odwołał rezerwację – zasugerowała Maxine.

– Można tak powiedzieć. Cena okazała się niewiarygodnie niska. Nikt rozsądny nie odrzuciłby takiej oferty.

Rodzice byli uszczęśliwieni, że zaopiekują się chłopcami. Maxine, ciągle pociągająca nosem, znalazła się w taksówce z Heidi, która postanowiła ją odwiedzić do portu. Dotarły do terminalu w Newark czy może w Elizabeth, który obsługiwał przede wszystkim frachtowce – statek wycieczkowy Maxine okazał się starym węgierskim kontenerowcem *Aristide Olt*, pływającym pod banderą Wysp Marshalla. Dopiero pierwszego wieczoru, po wyjściu w morze, Maxine dowiedziała się, że uczestniczy w zlocie AMBOPEDIA Frolix '98, corocznym spotkaniu członków Amerykańskiego Stowarzyszenia Cierpiących na Zaburzenia Osobowości typu Borderline. Świetna zabawa, kto mógłby odwołać rezerwację? Chyba że... aaach! Maxine popatrzyła na Heidi stojącą na nabrzeżu – może odczuwającą coś w rodzaju *Schadenfreude* – która zmniejszała się na tle przemysłowego krajobrazu i w tej chwili była już zbyt daleko, by dopłynąć do niej wpływ.

Wieczorem, podczas pierwszej kolacji, Maxine spostrzegła, że pasażerowie mają ochotę się bawić – w jadalni widniał transparent z napisem: WITAJCIE, BORDERLINOWIE! Kapitan wydawał się zdenerwowany i znajdował preteksty, by spędzać czas pod obrusem swojego stolika. Co półtorej minuty didżej puszczał półoficjalny hymn AMBOPEDII, *Borderline* Madonny z 1984 roku, i wszyscy śpiewali chórem: *O-verthe bor-derlinnne!* – szczególnie akcentując końcową głoskę n. Maxine uznała, że to chyba rodzaj tradycji.

W późniejszej części wieczoru zauważyła mężczyznę, który spokojnie krążył po sali z okiem przyklejonym do obiektywu kamery Sony VX2000 i filmował godne uwagi osoby, po kolei podchodząc do gości i nawiązując z nimi rozmowę lub milcząc. Okazało się, że to Reg Despard.

Maxine doszła do wniosku, że może to być sposób, by naprawić koszmarny błąd, jaki popełniła, i próbowała iść za nim wśród uczestników zabawy.

– Hej, śledzi mnie pani! – odezwał się po chwili. – W końcu zaczyna się dziać coś ciekawego.

– Nie miałam zamiaru...

– Nie, tak naprawdę mogłaby pani mi pomóc. Powinni się trochę rozluźnić, nie być tacy napuszeni.

– Nie chciałam pana kompromitować, powinnam ufarbować włosy już kilka tygodni temu, wydałam na tę imprezę sto dolarów w Filene's Basement.

– Myślę, że nie będą zwracać uwagi.

Cóż. Kiedy ostatni raz ktoś sugerował, nawet tak aluzyjnie, że Maxine nadaje się, by się z nią pokazać...? Może nie jest

topmodelką, ale przynajmniej jako tako wygląda. Czy powinna się obrazić? Na ile?

Krążą między grupkami uczestników imprezy.

– Z tymi borderlinami nigdy nic nie wiadomo, czasami wszystko jest świetnie, czasami robią się niespokojni.

W tej chwili podchodzą do normalnie wyglądającego mężczyzny, który zbiera znaczki przedstawiające polowania na ptaki wędrowne i propagujące ich ochronę, zwane wśród kolekcjonerów „kaczuszkami”. Towarzyszy mu żona, Gladys, wyraźnie mniej zainteresowana tematem.

– ...i marzę, by zostać Billem Grossem kaczuszek.

– Chyba że Bill Gross jest już Billem Grossem kaczuszek – zauważa jego żona.

Nie tylko federalnych kaczuszek, pamiętajcie, lecz wszystkich emisji stanowych – z czasem ten bezwstydnny miłośnik kompletności zapuścił się w głąb kuszących moczarów fanatyzmu filatelistycznego i teraz musi mieć absolutnie wszystko: serie limitowane, emisje kolekcjonerskie, znaczki podpisane przez autorów, wczesne odbitki, emisje gubernatorskie...

– Nowy Meksyk! Nowy Meksyk emitował kaczuszki tylko od dziewięćdziesiątego pierwszego do dziewięćdziesiątego czwartego roku, kończąc perłą w koronie wszystkich kaczuszek, nieśmiertelnie pięknym wizerunkiem lecącej cyraneczki, autorstwa Roberta Steinera. Udało mi się zdobyć bloczek tych znaczków...

– Któregoś dnia – oznajmia radośnie Gladys – zamierzam je wyjąć z klasera, polizać swoim zaślinionym językiem i nakleić

na kopertę z rachunkiem za benzynę.

– W tej chwili poczta ich nie akceptuje, kochanie.

Czy można uratować to małżeństwo?

– Patrzysz na mój pierścionek? – W kadrze pojawia się kobieta w eleganckim beżowym kostiumie z lat osiemdziesiątych.

– Bardzo ładny... Ma w sobie coś znajomego.

– Nie wiem, czy jesteś fanką *Dynastii*, ale pamiętasz, jak Krystle musiała zastawić pierścionek? To kopia z cyrkonią o kwadratowym szlifie, pięćset sześćdziesiąt dolarów, oczywiście cena detaliczna, Irwin zawsze płaci ceny detaliczne, w naszym związku to on trzyma kasę, ja go tylko wspieram. Co roku zmusza mnie do kupowania takich rzeczy, po czym kupuję za duże sukienki, bo nie mam z kim porozmawiać.

– Nie słuchajcie jej, ma dwieście odcinków na kasetach Betamax. Nie macie pojęcia, kompletnie świruje na punkcie *Dynastii*, w połowie lat osiemdziesiątych nawet zmieniła sobie imię na Krystle. Mniej wyrozumiały mąż mógłby to uznać za dziwaczne.

Reg i Maxine docierają w końcu do mieszczącego się na statku kasyna, gdzie ludzie ubrani w źle dopasowane smokingi i suknie wieczorowe grają w ruletkę i bakarata, palą papierosa za papierosem, rozglądają się po sali i z ponurymi minami wymachują plikami fikcyjnych pieniędzy.

– Syndrom JB – wyjaśnia ktoś Maxine i Regowi. – Cierpią na wrodzony, trudny do zdiagnozowania zespół Jamesa Bonda. Są już specjalne grupy wsparcia. Nie ma tego jeszcze w oficjalnej klasyfikacji zaburzeń psychicznych, ale starają się, by ich

wpisano, może w piątym wydaniu... Są zawsze mile widziani podczas naszych spotkań, głównie ze względu na stabilność, rozumiecie, o co mi chodzi...

Maxine nie rozumie, ale kupuje szton o wartości pięciu dolarów. Później odchodzi od stołu gry z wygraną, która – gdyby były to prawdziwe pieniądze – wystarczyłaby na krótką wycieczkę do sklepu Saks Fifth Avenue. Naturalnie pod warunkiem, że udałoby jej się wrócić z tego rejsu.

W którymś momencie pojawia się w obiektywie zaróżowiona od trunku twarz należąca do niejakiego Joela Wienera, co wydaje się dziwnym zrzędzeniem losu.

– Tak, rozumiem, widzieliście mnie w telewizji, stałem się bardzo znany, prawda? Zostałem uniewinniony, już po raz trzeci, z następujących zarzutów...

Zaczyna snuć długą, epicką opowieść o niesprawiedliwości, w jakiś sposób związaną z nieruchomościami na Manhattanie, lecz Maxine nie jest w stanie zrozumieć wszystkich niuansów. Może szkoda, oszczędziłoby jej to późniejszych kłopotów.

Statek pełen ludzi z zaburzeniami borderline. W końcu Maxine i Reg spędzają kilka spokojnych minut na pokładzie, patrząc na Morze Karaibskie. Wszędzie dokoła wznoszą się kontenery, spiętrzone po cztery lub pięć, jeden na drugim. Jak w pewnych częściach Queens. Maxine jeszcze nie wcieliła się mentalnie w rolę turystki i odruchowo zastanawia się, ile z tych kontenerów to atrapy i jakie są szanse, że ktoś dokonuje w czasie tego rejsu oszustwa, fałszując stan zapasów.

Zauważa, że Reg w ogóle nie próbował jej sfilmować.

– Nie sądzę, że masz borderline. Myślałem, że należysz do personelu, że jesteś dyrektorem do spraw komunikacji społecznej lub kimś w tym rodzaju.

Maxine z zaskoczeniem spostrzega, że, ach, ostatni raz myślała o rozstaniu z Horstem przed godziną. Rozumie, że jeśli poruszy ten temat, Reg znowu uruchomi kamerę.

– Ci ludzie płacą ci za kręcenie tego filmu?

– Nie, hm, robię to wszystko na własny rachunek w nadziei, że coś zarobię.

Zgodnie z tradycją uczestnicy AMBOPEDII odwiedzają odległe rejony leżące na pograniczu, każdego roku inny. Wyprawy na zakupy do meksykańskich warsztatów *maquiladora*. Oddawanie się nałogowemu hazardowi w kasynie Stateline w Kalifornii. Orgie kulinarne w rejonie dawnej linii demarkacyjnej Masona-Dixona. Tym razem celem rejsu jest pogranicze między Haiti a Dominikaną, pełne melancholijnej karmy datującej się z czasów masakry Perejil, rzadko wspomianej w broszurach turystycznych. Kiedy *Aristide Olt* wpływa do malowniczej zatoki Manzanillo, szybko zaczyna się chaos. Po przycumowaniu frachtowca do nabrzeża w Pepillo Sacledo zainteresowani łowieniem wielkich ryb pasażerowie w podnieceniu wynajmują łodzie, by popłynąć na tarpony. Inni, jak Joel Wiener, mający obsesję na punkcie spekulacji nieruchomościami, odwiedzają miejscowe agencje i dają się wciągać w fantastyczne plany inwestycyjne, w których chciwość łączy się z pogardą dla jankesów.

Mieszkańcy wyspy mówią mieszanką dialektu kreolskiego i *cibaeño*. Na końcu nabrzeża szybko wyrosły stragany

z pamiątkami, handlarze sprzedają *yaniqueques* i *chimichurros*, adepci voodoo i Santerii proponują sprzedaż zaklęć, pojawiają się dostawcy mamajuany, dominikańskiej viagry, oferowanej w olbrzymich szklanych słojach, w których widać obiekty przypominające kawałki drzew zamarynowane w czerwonym winie i rumie. Wisienką na torcie jest to, że każdy słoik dominikańskiej mamajuany zawiera „haitańskie zaklęcie miłosne voodoo”. „Niewiarygodne!” – woła Reg. Dołączył wraz z Maxine do grupki ludzi, którzy zaczęli pić mamajuane prosto ze słoików. Po jakimś czasie znajdują się kilka mil od miasta, w El Sueño Tropical, luksusowym hotelu, który wybudowano do połowy i chwilowo opuszczono. Joel Wiener chodzi po nim, kręcąc filmy wideo, a tymczasem reszta uczestników wycieczki biega, krzycząc, po korytarzach, huśta się na dziedzińcu na lianach, które wyrosły na dachu, ściga jaszczurki, flamingi i siebie nawzajem oraz figluje na zbutwiałych łóżach małżeńskich.

Miłość, podniecająca i świeża, jak śpiewano w serialu *Statek miłości*. Heidi miała rację co do pieniędzy, jest to idealna wycieczka, choć później Maxine słabo pamięta szczegóły.

Chwyta pilota pamięci, wciska guzik PAUSE, potem STOP, a w końcu POWER OFF, uśmiechając się bez widocznego wysiłku.

- Szczególny rejs, Reg.
- Miałaś później kontakt z tymi ludźmi?
- Od czasu do czasu dostaję maile i w każde wakacje AMBOPEDIA prosi mnie o darowiznę. – Maxine spogląda na Rega znad krawędzi filiżanki. – Reg, czy my kiedykolwiek, hm...



– Nie sądzę. Spotykałem się głównie z Leptandrą z Indianapolis, a ty znikłaś z tym maniakiem nieruchomości.

– Joelem Wienerem. – Przerazona i zawstydzona Maxine spogląda w sufit.

– Nie zamierzałem poruszać tego tematu, przepraszam.

– Słyszałeś, że cofnęli mi licencję. Joel brał w tym udział, ale nie bezpośrednio. Tak naprawdę mimo woli zrobił dobry uczynek. W tej chwili mam tylu klientów, że mogę wybierać najciekawsze oferty. Z certyfikatem byłam świetna, a bez certyfikatu? Nikt nie potrafi mi się oprzeć. Możesz sobie wyobrazić, kto się do mnie zwraca, nie bierz tego do siebie.

Maxine domyśla się, że jedną z wielkich zalet rynkowych audytorki zajmującej się wyszukiwaniem oszustw i pozbawionej certyfikatu jest to, że może zdradzać sekrety zawodowe urzędników podatkowych i skarbowych, nie wspominając o ogólnej aurze upadku moralnego, gotowości do łamania prawa. Maxine spotykała członków sekt, którzy zostali usunięci ze wspólnoty, i przez pewien czas czuła lęk, że znajdzie się w podobnie kiepskiej sytuacji. Ale zaczęto o niej mówić i wkrótce agencja Znajdź i Zdemaskuj miała już mnóstwo klientów, więcej, niż mogła obsłużyć. Nowi klienci nie byli tak szacowni jak wtedy, gdy Maxine posiadała certyfikat. Podejrzane typy działające na pograniczu prawa, między nimi Joel Wiener, któremu Maxine, jak się okazało, pozwoliła na zbyt wielką swobodę.

Niestety, wymieniając liczne niesprawiedliwości, jakie go spotkały, Joel zapomniał wspomnieć o kilku ważnych szczegółach, jak zwyczaj zasiadania w zarządach towarzystw

budowlanych, defraudacje powierzonych kwot, gdy pełnił funkcję skarbnika, a ponadto przegrany proces cywilny w Brooklynie, gdy żona oskarżyła go o nadużycia związane z obrotem nieruchomościami.

– To się jeszcze nie skończyło, trudno to wyjaśnić. – Maxine porusza palcami nad głową. – Intuicja. Zdradziłam Joelowi kilka zawodowych sztuczek. Pracownik skarbowki dorabiający jako doradca podatkowy robi to samo.

Jednak Maxine naruszyła w ten sposób kodeks etyczny audytorów. Od wielu lat stąpała po kruchym lodzie, naginając zasady do ostateczności, aż wreszcie tafla lodu nagle się załamała, choć wcześniej nie pojawiły się na niej żadne widoczne rysy. Mimo to komisja odpowiedzialności zawodowej dostrzegła konflikt interesów, nie jednostkowy przypadek, lecz zjawisko systemowe, chociaż dla Maxine był to tylko prosty wybór między przyjaźnią a ścisłym przestrzeganiem zasad.

– Przyjaźnią? – Reg jest zdziwiony. – Nawet go nie lubiłaś.

– Termin techniczny.

Druk, na którym przysłano zawiadomienie o cofnięciu certyfikatu, był bardzo wyszukany, ciekawszy od samej wiadomości, która sprowadzała się do krótkiego: „Spierdalaj!”. Maxine pozbawiono członkostwa Eighth Circle, ekskluzywnego klubu audytorów na Park Avenue, oraz poinformowano, że ma zwrócić kartę wstępu i uregulować zaległy rachunek w barze – podano jego wysokość. U dołu strony było jednak coś w rodzaju postscriptum o możliwości wniesienia odwołania. W kopercie znajdowały się formularze. Maxine uznała to za interesujące. Sprawa nie powędruje do archiwum, jeszcze nie.

Zaniepokojona, po raz pierwszy zwróciła uwagę na pieczęć stowarzyszenia, na której widniała pochodnia płonąca tuż nad otwartą księgą. O co chodzi? Karty tej księgi, zapewne symbolizującej Prawo, mogą w każdej chwili się zapalić od płonącej pochodni, czyli Światła Prawdy? Czy ktoś usiłuje coś przekazać, czy płonące Prawo to straszliwa cena niezmiennej Prawdy...? Właśnie o to chodzi! Sekretny, zaszyfrowany komunikat anarchistów!

– Ciekawa myśl, Maxine. – Reg usiłuje jej przerwać. – I co, złożyłaś odwołanie?

Nie. Mijały dni i zawsze pojawiały się powody, by tego nie robić. Maxine nie stać było na opłacenie prawnika, procedura odwoławcza, podobnie jak w innych dziedzinach, mogła stanowić tylko działanie na pokaz, a poza tym koledzy, których szanowała, wykluczyli ją ze swojego grona – czy naprawdę chciała się znaleźć z powrotem wśród tych złośliwych drani? I tak dalej...

– Ci faceci są trochę nadwrażliwi – zauważa Reg.

– Nie winię ich. Chcą, żebyśmy byli nieprzekupni, działali jak atomowy zegar, któremu wszyscy ufamy, choć wokół panuje całkowity chaos.

– Powiedziałaś „my”.

– Certyfikat trafił do magazynu, ale ciągle wisi na ścianie gabinetu mojej duszy.

– Niezłe ziółko z ciebie.

– Pracuję nad serialem zatytułowanym *Zły księgowy*. Mam scenariusz pilota, chcesz przeczytać?

### 3

Przeszłość (no nie!) to jasne zaproszenie do nadużycia wina. Kiedy Maxine słyszy, że za Regiem zamykają się drzwi windy, idzie do lodówki. Gdzie w tym mrożonym chaosie jest pinot e-grigio?

– Wino się znowu skończyło, Daytono?

– To nie ja wypijam to gówno.

– Jasne, ty wolisz wysokoprocentowe wina.

– Ooch... Czy naprawdę potrzebuję dziś winoizmu?

– Hej, przestałaś pić, więc po prostu żartuję, co?

– Terapizm!

– Słucham?

– Myślisz, że Anonimowi Alkoholicy są od ciebie gorsi, zawsze tak uważałaś. Robisz sobie spa, leżysz z wodorostami na twarzy, różne takie gówna, i nawet nie wiesz, jak to jest... A ja ci mówię... – Dramatyczna pauza.

– Nie idziesz – wtrąca Maxine.

– Mówię, że to praca, dziewczyno.

– Och, Daytono, tak czy owak przepraszam.

I tak to biegnie do przodu, zwyczajny strumień emocji jak przepływ gotówki, pełen nieściągniętych wierzytelności i złych długów. Linia graniczna: „Nigdy, przenigdy nie zadawaj się

z nikim z Jamajki. Oni myślą, że zielarz to facet, co dostarcza gandzę”.

– Miałam szczęście z Horstem – zauważa Maxine. – Ziele w ogóle na niego nie działało.

– Właśnie! Wszystko przez to żarcie białych, którym się opychacie, biały chleb, różne takie... – Parafrazuje Jimiego Hendrixa. – Majonez! Cały wasz mózg jest śmiertelnie biały!

Telefon cierpliwie mruga. Daytona wraca do pracy, a Maxine zostaje sama i zaczyna się zastanawiać, dlaczego rastafariańskie preferencje związane z narkotykami miałyby mieć coś wspólnego z Horstem. Chyba że ma umysł zaprzątnięty Horstem, ale tak nie jest. Od jakiegoś czasu prawie o nim nie myśli.

Horst. Produkt amerykańskiego Środkowego Zachodu, czwarte pokolenie osadników, wrażliwy jak silos zbożowy, fatalnie kuszący jak silnik Harley Knucklehead, niezbędny (Boże, dopomóż!) jak restauracja Maid-Rite, gdy pojawia się głód. Horst Loeffler do dziś dnia potrafi prawie bezbłędnie przewidywać, jak będą się kształtować ceny różnych towarów w różnych częściach świata, choć one same jeszcze o tym nie wiedzą. Dzięki temu już przed poznaniem Maxine zarobił mnóstwo pieniędzy, a potem cierpliwie je pomnażał, jednocześnie usiłując dotrzymać przyrzeczenia złożonego w wieku trzydziestu lat – by jak najszybciej je wydawać i imprezować do upadłego.

– A więc... alimenty są duże? – spytała Daytona w drugim dniu pracy.

– Nie ma żadnych.

– Co takiego? – Obrzuciła Maxine przeciągłym spojrzeniem.  
– Mogę coś dla ciebie zrobić?  
– To najbardziej zwariowana historia białej dziewczyny, jaką kiedykolwiek słyszałam.  
– Postaraj się więcej słuchać.  
– Nie lubiłaś imprez?  
– Nie, skądże, całe życie to impreza, prawda, Daytono? To mi w Horście nie przeszkadzało, ale tak się złożyło, że małżeństwo również uważał za imprezę, i mieliśmy w tej kwestii inne poglądy.

– Nazywała się Jennifer, tak?  
– Nie, Muriel.

W tym momencie – certyfikowany audytor specjalizujący się w wykrywaniu oszustw odruchowo szuka ukrytych schematów – Maxine zaczęła się zastanawiać... Czy Horst może mieć skłonność do kobiet o imionach kojarzących się z tanimi cygarami? Philippa „Philly” Blunt z Londynu, której stopę głaskał nogą pod stołem, albo kusząca azjatycka mediatorka o imieniu Roi-Tan w chińskiej sukience cheongsam, króciutko ostrzyżona...

– Nie zajmujmy się tym, Horst to historia.  
– Aha.  
– Dostałam mieszkanie, a on oczywiście chevroleta impalę z pięćdziesiątego dziewiątego roku, w idealnym stanie, i jakoś sobie radzę.  
– Och, myślałam, że lodówkę.

Daytona to anioł potrafiący wszystko zrozumieć, podobnie jak Heidi, przyjaciółka Maxine. Kiedy po raz pierwszy zaczęły

o tym rozmawiać, Maxine tyle jej opowiedziała, że sama się zawstydziała.

– Zatelefonował do mnie – oznajmiła Heidi, udając, że przypadkiem się wygadała.

W porządku.

– Co takiego, Horst? Zatelefonował...

– Chciał się umówić na randkę. – Oczy zbyt szerokie jak na całkowitą niewinność.

– Co mu powiedziałaś?

Póltorej sekundy ciszy, a potem:

– O mój Boże, Maxi, tak mi przykro...

– Ty? I Horst? – Z pozoru dziwaczne, ale nie bardzo, co Maxine uznała za dobry znak.

Heidi wydawała się wytrącona z równowagi.

– Niechaj mi Bóg wybaczy! Bez przerwy o tobie mówił.

– Aha. Ale?

– Był jakiś odległy.

– Na pewno myślał o trzymiesięcznej stopie LIBOR.

Chociaż rozmowa ciągnęła się do późna jak na dzień powszedni, Maxine nie uważa randki z Horstem za największy grzech Heidi. Niektóre jej wybryki ze szkoły średniej wydają się znacznie gorsze i Maxine ciągle je wspomina – pożyczanie i niezwracanie ubrań, zaproszenia na nieistniejące imprezy, randki z facetami, o których Heidi wiedziała, że są klinicznymi psychopatami. Mniej więcej. Kiedy z powodu wyczerpania przeniosły się gdzie indziej, Heidi mogła być nieco rozczarowana, że jej szaleństwa znalazły swoje naturalne miejsce wśród innych odcinków trwającego serialu domowego

z udziałem Maxine, rozpoczętego dawno temu w Chicago, gdzie po raz pierwszy spotkała Horsta.

Maxine, siedząca przez całą noc nad jakimś audytem, znalazła się w gmachu Izby Handlowej, w barze Ceres Cafe, znanym z serwowania ogromnych drinków. O tej porze alkohol sprzedawano po obniżonych cenach. Wielkie nieba, wszystko miało w sobie coś irlandzkiego. Człowiek zamawiał „whisky z wodą sodową”, po czym otrzymywał gigantyczną szklanę whisky z kilkoma kostkami lodu, wielką butelkę wody sodowej oraz drugą szklanę, w której mógł sobie to wszystko mieszać. Maxine zaczęła się sprzeczać z jakimś miejscowym durniem na temat firmy Deloitte and Touche, a dureń, którym okazał się Horst, stale nazywał ją Louche & De Toilet. Po zakończeniu rozmowy Maxine nie była pewna, czy potrafi wstać i wrócić do hotelu, więc Horst uprzejmie odprowadził ją do taksówki i dał jej również swoją wizytówkę. Zanim zdążyła się wyleczyć z kaca, rozmawiał z nią przez telefon i grzecznie namawiał do zajęcia się pierwszą z wielu spraw, w których pojawiali się oszuści przyłapani na gorącym uczynku.

„Siostró, jestem w rozpacz, nie mam do kogo się zwrócić”. Powtarzał podobne rzeczy i Maxine chwyciła przynętę, tak jak wiele razy później. Wzięła sprawę, która wymagała dość prostej inwentaryzacji aktywów i rutynowego zebrania zeznań. Prawie o niej zapomniała, aż pewnego dnia w „The New York Post” ukazał się artykuł pod krzyczącym nagłówkiem: S-S-SKANDAL! SERYJNA OSZUSTKA ZNOWU ATAKUJE! MAŻ JEST ZDUMIONY.

– Piszą, że to szósta taka sprawa z jej udziałem – zauważa z namysłem Maxine.



– Wiemy tylko o sześciu. – Horst kiwa głową. – To nie twój problem, prawda?

– Wychodzi za nich za mąż, a potem...

– Małżeństwo służy niektórym ludziom. Musi być do czegoś potrzebne.

Oooh.

Po co tak naprawdę przytaczać listę? Maxine przyjmowała kolejne sprawy, ponieważ prosił ją Horst. Pieprzony Horst. Zajmowała się fałszerzami czeków, artystami zaokrągleń, dramatami wychodzenia na swoje, które sprawiały, że detektor zemsty Maxine wyskakiwał ze skali, prędzej czy później docierając do strefy wskazującej na działania o charakterze kryminalnym.

– Mam dla ciebie kolejną sprawę, jesteś Żydówką, prawda?

– A ty?

– Ja? Jestem luteraninem. Już nie wiem, jakiego rodzaju, bo to się ciągle zmienia.

– A moje korzenie religijne są ważne, ponieważ...

Sprawa Kashrutha w Brooklynie. Wygląda na to, że w dzielnicy działała grupa kanciarzy udających maszgiachów, czyli ludzi zajmujących się sprawdzaniem, czy potrawy są kosherne. Przeprowadzali niespodziewane „kontrole” różnych sklepów i restauracji, sprzedając ładnie wyglądające certyfikaty, które można było umieszczać w oknach lub na wystawach. Poza tym przetrząsali magazyny i przybijali na towarach fałszywe stemple, że towar jest koszerny, czyli *kosher*. Wściekłe psy.

– To wygląda trochę jak zwykle wymuszanie haraczu – mówi Maxine. – Ja się zajmuję analizą ksiąg rachunkowych.

– Myślałem, że będziesz się orientować, o co w tym chodzi.

– Zgłoś się do Meyera Lansky’ego, Nie, zaczekaj, on nie żyje.

A zatem... jakiś rodzaj luteranina, hm. Naturalnie jest stanowczo zbyt wcześnie, by pojawiły się problemy związane z umawianiem się na randki z szajgecem, ale fakt pozostaje faktem: Maxine spotyka się z człowiekiem, który wychował się w innej religii. Później, gdy ich znajomość nabrała romantycznego charakteru, Horst zaczął wspominać o przejściu na judaizm – zupełnie zwariowany pomysł, jak na niego. Cóż, słowo „Żyd” rymuje się ze słowem „wstyd”, jest w tym pewna doza ironii. W końcu Horst zdał sobie sprawę, że musiałby się nauczyć hebrajskiego i poddać obrzezaniu, co, jak należało się spodziewać, znacznie ostudziło jego zapał. Maxine była zadowolona. Jeśli to, że Żydzi nie propagują swojej religii, jest uniwersalnie przyjętą prawdą, Horst z pewnością był i pozostaje argumentem przemawiającym za takim stanem rzeczy.

W pewnym momencie zaproponował Maxine pracę w charakterze konsultantki.

– Naprawdę mógłbym wykorzystać twoje umiejętności.

– Hej, w każdej chwili! – Standardowa odpowiedź udzielona lekkim tonem, która jednak tym razem miała fatalne konsekwencje.

Później, po ślubie, Maxine zaczęła znacznie bardziej uważać na to, co mówi, aż wreszcie prawie przez cały czas milczała, a Horst siedział przy komputerze, ponuro prowadząc

obliczenia za pomocą arkusza kalkulacyjnego, który znalazł na jakiejś stronie z tanimi programami. Nosił on nazwę Luvbux 6.9, a Horst dodawał ogromne sumy tylko po to, by Maxine się nie odzywała. Aby jeszcze bardziej się dręczyć, zaczął szacować, ile go kosztuje jedna minuta milczenia. Aaach! Rozkosze lenistwa!

– Wreszcie zdałam sobie sprawę, że gdybym narzekała dostatecznie długo, dałby mi absolutnie wszystko, czego bym chciała, bylebym tylko przestała gadać – zwierzyła się Heidi. – Wtedy, cóż, sama nie wiem, wszystko zrobiło się jakby mniej romantyczne.

– Lubisz kwękać, wszystko stało się dla ciebie za łatwe, rozumiem – zagruchała Heidi. – Horstem bardzo łatwo manipulować. Czasem przypomina wielkie, aleksytymiczne dziecko. Nigdy tego nie zauważałaś. Albo raczej...

– ...zauważyłam za późno – włącza się Maxine. – Tak, Heidi, a jednak czasami prawie chciałabym, żeby w moim życiu znowu pojawił się ktoś tak gotowy spełniać wszystkie prośby.

– Ach, chcesz jego numer telefonu? Horsta?

– Masz go?

– Nie, eee... zamierzałam cię spytać.

Spoglądają na siebie, kręcąc głowami. Maxine nie potrzebuje lustra, by wiedzieć, że wyglądają jak dwie zdeprawowane staruszki. Nietypowa korekta, ich role są zwykle bardziej efektowne. W pewnym momencie ich znajomości, która wydaje się trwać wiecznie, Maxine zrozumiała, że to nie ona jest Księżniczką. Oczywiście Heidi również nią nie była, lecz Heidi nie miała o tym pojęcia, w gruncie rzeczy myślała, że

jest Księżniczką, a ponadto z upływem lat uwierzyła, że Maxine to mniej atrakcyjna, zwariowana przyjaciółka Księżniczki. Cokolwiek się dzieje w danej chwili, Księżniczka Heidrofobia zawsze pełni rolę przywódcy, a lady Maxipad jest wygadana subretką, dźwigającą ciężary, Praktycznym Duszkiem, który przychodzi, gdy Księżniczka śpi albo – co zdarza się częściej – jest czymś zajęta, i zabiera się do prawdziwej pracy, jaką należy wykonać w księstwie.

To, że obie mają wschodnioeuropejskie korzenie, mogło się okazać pomocne, ponieważ nawet w obecnych czasach istnieją na Upper West Side pewne tradycyjne linie podziału między różnymi grupami społeczności żydowskiej – może najmniej przyjemna z nich to podział na Żydów niemieckich i wschodnioeuropejskich. Znane są historie matek, które zabierały swoje niedawno poślubione córki do Meksyku, by uzyskać dla nich szybki rozwód z młodymi ludźmi mającymi przed sobą obiecujące kariery w brokerstwie lub medycynie bądź z olśniewająco przystojnymi idiotami tylko dlatego, że ich nazwiska pochodziły z niewłaściwych części diaspory. Coś w tym rodzaju przytrafiło się również Heidi, której nazwisko, Czornak, sprawia, że rozlegają się różne dzwonki alarmowe, choć nie w czasie wchodzenia do samolotu. W czasie tej afery Praktyczny Duszek działał jako mediator i agent finansowy, zmuszając Strubelów do zapłacenia znacznie większej kwoty, niż pierwotnie oferowali Heidi, by się uwolnić od małej polskiej kanciary. „Tak naprawdę galicyjskiej” – zauważyła Heidi. Maxine nie miała żadnych dylematów moralnych, ponieważ Evan Strubel okazał się kompletnym bucem, żyjącym

w panicznym strachu przed matką, Helvetią, której nagłe pojawienie się w kostiumie marki St. John i w gderliwym humorze sprawiło, że Evan nie posunął się dalej w dobieraniu się do Maxine – stawiało to pod znakiem zapytania szczerść jego uczuć względem Heidi. Maxine nie podzieliła się z Heidi szczegółami perfidii młodego Strubela, ograniczając się do uwagi: „Myślę, że traktuje cię przede wszystkim jako sposób ucieczki z domu”. Heidi, ku zdziwieniu Maxine, w ogóle nie czuła się przygnębiona. Siedziały przy ogromnym stole kuchennym, licząc pieniądze Strubelów, jedząc lody i paplając. Od czasu do czasu, pod wpływem substancji chemicznych znoszących kontrolę nad emocjami, Heidi zaczynała się mazać: „Był miłością mojego życia, a ta zła bigotka zniszczyła nasze szczęście!”, na co Zwariowana Przyjaciółka odpowiadała dowcipnymi uwagami w rodzaju: „Nie martw się, dziewczyno, ona ma większe cycki”.

Sprawa wywarła pewien wpływ na życie duchowe Heidi. Pani Strubel, może mimochodem, wspomniała o możliwości meksykańskiego rozwodu, toteż Heidi zaczęła się uczyć hiszpańskiego – przywodziło to na myśl wysiłki Boba Barkera podczas finału konkursu Miss Universe. Sprawy językowe doprowadziły do innych kwestii. Dla Heidi ideałem Latynoski była Natalie Wood w *West Side Story* (1961). Maxine wielokrotnie, z coraz mniejszą cierpliwością, zwracała uwagę, że Natalie Wood, urodzona jako Natalia Nikołajewna Zacharenko, jest pochodzenia rosyjskiego, toteż jej akcent w filmie przypomina raczej rosyjski niż język rodowitych *boricua*, lecz nie robiło to żadnego wrażenia na Heidi.

Buc rozpoczął pracę jako stażysta na Wall Street i prawdopodobnie miał już w tej chwili za sobą wiele małżeństw. Heidi, zadowolona ze swojego statusu singielki, rozpoczęła karierę uniwersytecką i niedawno otrzymała stały etat w City College na wydziale popkultury.

– Wyciągnęłaś mi wtedy pieczeń z mikrofalówki. – Heidi mówi nieszczerym tonem. – Nie sądz, że nie będę ci dozgonnie wdzięczna.

– Jaki miałam wybór? Zawsze myślałaś, że jesteś kimś w rodzaju Grace Kelly.

– Cóż, jestem.

– Nie zawodową Grace Kelly, tylko, ściśle biorąc, Grace Kelly z filmu *Okno na podwórze* – zauważa Maxine. – W czasach, gdy lubiliśmy obserwować okna po drugiej stronie ulicy.

– Jesteś tego pewna? Wiesz, kim się od tego stajesz.

– Thelmą Ritter, tak, ale może nie. Myślałam, że jestem jak Wendell Corey.

Złośliwe dowcipy nastolatek. Jeśli istnieją nawiedzone domy, mogą również istnieć apartamentowce mające złą karmę, a przy jednym z nich, o nazwie Deseret, Dakota Apartments wygląda jak Holiday Inn. Maxine zawsze, odkąd pamięta, miała obsesję na punkcie tego budynku. Wychowała się na ulicy, przy której ciągle wznosi się on ponad całą dzielnicą, usiłując udawać jeden z wielu nudnych apartamentowców na Upper West Side. Jest kwadratowy, ma dwanaście kondygnacji i mnóstwo złowrogich dodatków – spiralne schody przeciwpożarowe na każdym rogu, wieżyczki, balkony, gargulce, pokryte łuską węzowe stwory z żeliwa nad

wejściami i oknami. Na środkowym dziedzińcu znajduje się ozdobna fontanna, otoczona kolistym podjazdem, na którym mogłoby się zmieścić kilka wielkich limuzyn, a ponadto jeden lub dwa rolls-royce'y. Ekipy filmowe kręcą tu filmy fabularne, reklamy, seriale, oświetlają potężnymi reflektorami nienasyconą paszczę bramy wjazdowej, całymi nocami nie pozwalają spać ludziom na sąsiednich ulicach. Chociaż Ziggy utrzymuje, że mieszka tam jeden z jego szkolnych kolegów, Maxine obraca się w zupełnie innych sferach społecznych – za zwykłą kawalerkę w Deseret trzeba zapłacić ponad trzysta tysięcy dolarów.

W szkole średniej Maxine i Heidi kupiły kiedyś na Canal Street tanią lornetkę i czatowały w sypialni Maxine, czasami do samego rana, czekając, aż coś się stanie. Każde pojawianie się ludzkiej sylwetki było wielkim wydarzeniem. Na początku Maxine uważała to za romantyczne – niezwiązane ze sobą życie różnych ludzi, toczące się równoległe – ale później jej stosunek do Deseret stał się bardziej gotycki. Inne budynki mogły być nawiedzane przez duchy, ale ten wydawał się żywym trupem, kamiennym zombie, wstającym z grobu po zapadnięciu nocy, krążącym po mieście i zajmującym się swoimi tajemnymi sprawami.

Dziewczęta wymyślały plany, jak się tam wślizgnąć – zamierzały podejść do bramy z torbami Chanel, ubrane w eleganckie sukienki ze sklepów z używaną odzieżą na East Side, ale wszystko skończyło się na długim, lubieżnym spojrzeniu irlandzkiego portiera, który zerknął na grafik,

popatrzył z góry na Maxine i Heidi, po czym rzekł, wymownie wzruszając ramionami:

– Nie wpuszczamy nikogo bez zaproszenia. Powinnyście rozumieć, o co mi chodzi.

Później pożegnał je zirytowanym tonem i brama się zamknęła. Kiedy Irlandczycy się nie uśmiechają, trzeba wymyślić lepszą historyjkę lub postarać się o dobre buty do biegania.

Deseret był zamknięty dla ludzi z zewnątrz aż do lat osiemdziesiątych, gdy zapanowała moda na fitness i administratorzy gmachu uznali, że basen na najwyższym piętrze może zostać otwarty dla gości, co przyniesie dodatkowy zysk. Dzięki temu Maxine po raz pierwszy pojechała na górę, chociaż jako członkini klubu, osoba z zewnątrz, musiała korzystać z wejścia od tyłu i windy towarowej. Heidi nie chciała mieć nic wspólnego z Deseret.

– To przeklęte miejsce. Zauważyłaś, jak wcześnie zamykają basen? Nikt nie chce tam przebywać w nocy.

– Może dyrekcja nie chce płacić pracownikom za nadgodziny?

– Podobno Deseret należy do mafii.

– Właściwie której mafii, Heidi? Jakie to ma znaczenie?

Później się okazało, że ogromne.



## 4

Późnym popołudniem Maxine jest umówiona ze swoim emoterapeutą, który podobnie jak Horst uważa milczenie za jedno z najcenniejszych dóbr świata, choć może w inny sposób. Shawn pracuje w wynajętym apartamencie w pobliżu Holland Tunnel. Jego biografia w internecie wspomina niejasno o wędrówkach w Himalajach i wygnaniu z przyczyn politycznych. Chociaż Shawn twierdzi, że poznał starożytną mądrość przekraczającą granice ludzkiego pojmowania, pięciominutowe śledztwo ujawnia, że jego jedyna podróż na wschód miała miejsce kilka lat temu, gdy pojechał autobusem linii Greyhound z południowej Kalifornii, skąd pochodzi, do Nowego Jorku. Wcześniej zrezygnował z nauki w gimnazjum Leuzingera, po czym zaczął z zapałem uprawiać surfing i doznał wielu urazów głowy, bijąc na kilku plażach rekordy w liczbie upadków z deski. Jego najbliższe związki z Tybetem to obejrzenie w telewizji filmu *Kundun* Martina Scorsese (1997). To, że może płacić ogromny czynsz za wynajem swojego studia i trzyma w szafie dwanaście identycznych czarnych garniturów od Armaniego, świadczy nie o jego duchowej autentyczności, lecz o łatwowierności nowojorczyków, których stać na jego stawki.

Od dwóch tygodni Maxine przychodzi na sesje i widzi, że jej młody guru jest coraz bardziej przygnębiony wieściami z Afganistanu. Pomimo błagalnych apeli napływających z różnych krajów talibowie przez miesiąc wysadzali w powietrze i wielokrotnie ostrzeliwali z dział dwa najwyższe posągi Buddy na świecie, wykute w piątym wieku naszej ery w ścianie skalnej z piaskowca w pobliżu Bamianu, aż w końcu zmieniły się w kupy gruzu.

– Pieprzeni mułowie – mówi Shawn. – „Obraza islamu”, więc trzeba je wysadzić. To ich recepta na wszystkie problemy.

– Czy gdzieś nie jest napisane, że jeśli Budda stoi na czyjejs drodze do oświecenia, wolno go zabić? – pyta łagodnie Maxine.

– Jasne, jak ktoś jest buddystą. To wahhabici. Udają, że chodzi o kwestie duchowe, ale tak naprawdę to czysta polityka, nie mogą się pogodzić z istnieniem konkurencji.

– Przepraszam, Shawn, ale czy nie powinieneś się wznieść ponad takie sprawy?

– Cóż, może jestem za bardzo zaangażowany. Zastanów się: wystarczy tylko przypadkowe uderzenie w spację na klawiaturze i „islam” zmienia się w *I slam*, trzaskam.

– To prowokuje do myślenia, Shawn.

Emoterapeuta zerka na zegarek marki TAG Heuer na swoim nadgarstku.

– Nie miałybyś nic przeciwko temu, gdybyśmy skończyli dziś trochę wcześniej? Maraton *The Brady Bunch*, rozumiesz...

Shawn uwielbia powtórki znanego sitcomu z lat siedemdziesiątych, co wywołuje komentarze wszystkich jego klientów. Potrafi krytycznie analizować niektóre odcinki, jakby

były sutrami, i szczególnie lubi trzy części poświęcone rodzinnej podróży na Hawaje – tiki przynoszące pecha, fatalna przygoda Grega, kamea niezrównoważonego archeologa Vincenta Price’a...

– Zawsze bardziej lubiłam odcinek *The New Jan Brady* – nieostrożnie przyznała kiedyś Maxine.

– Ciekawe, Maxine. Chciałabyś o tym porozmawiać? – Shawn się rozpromienia i patrzy na nią z pustym, może typowo kalifornijskim uśmiechem, sugerującym, że kosmos to żart, którego nikt nie rozumie.

W takich chwilach Maxine kipi z wściekłości i ma ochotę zrobić coś zupełnie sprzecznego z buddyzmem. Nie chce powiedzieć „nadęty dureń”, ale sądzi, że gdyby ktoś umieścił w uchu Shawna miernik ciśnienia opon samochodowych, wynik byłby zbliżony do prawidłowego.

Później, w szkole Kugelblitza, Ziggy idzie na trening krav magi z Nigelem i jego kolegą z ławki, Maxine odbiera Otisa i Fionę, którzy wkrótce zasiadają przed telewizorem w salonie, by obejrzeć *The Aggro Hour*, gdzie występują dwaj ulubieni superbohaterowie Otisa – Disrespect, odznaczający się olbrzymią posturą i sposobem bycia, który można by nazwać nadmiernie aktywnym, oraz Contaminator, w normalnym życiu chłopiec mający skłonność do obsesyjnej czystości, pięknie ścielący łóżko i sprzątający swój pokój. Kiedy Contaminator pełni służbę jako dowódca, staje się samotnym wojownikiem, zasypującym śmieciami nieprzyjemne agencje rządowe, chciwe korporacje, nawet całe kraje, których nikt nie lubi: zmienia bieg kanałów ściekowych, zalewa swoich przeciwników górami

toksycznych odpadów. Wymierza w ten sposób poetycką sprawiedliwość. Albo, jak się wydaje Maxine, robi straszliwy bałagan.

Fiona znajduje się w wieku przejściowym, czasem jest nadmiernie aktywnym dzieckiem, a czasem nieprzewidywalnym nastolatkiem. Osiągnęła stan chwiejnej równowagi, który doprowadza Maxine do desperacji: nigdy nie można przewidzieć, kiedy dojdzie do następnego wybuchu.

– Jesteś pewna, że ten film nie jest dla ciebie zbyt brutalny?  
– pyta ojcowskim tonem Otis.

Fiona, której rodzice powinni się zastanowić nad wykupieniem ubezpieczenia od zawału, trzepoce rzęsami pokrytymi mascarą podkradzioną matce.

– Możesz mi mówić, kiedy mam nie patrzeć.

Maxine rozpoznaje dziewczęcą technikę polegającą na udawaniu, że każdy może mówić, co chce. Stawia przed Otisem i Fioną miskę dietetycznych cheetosów oraz dwie puszki soku bez dodatku cukru, po czym wychodzi z pokoju, życząc im dobrej zabawy.

„Te sukinsyny zaczynają mnie denerwować” – mruczy Disrespect, gdy zbliżają się wozy pancerne i helikoptery.

\* \* \*

Ziggy wraca z treningu krav magi, jak zwykle otoczony mgiełką seksualnego niepokoju. Zakochał się w instruktorce, Emmie Levin, o której krążą plotki, że jest dawną funkcjonariuszką Mossadu. Podczas pierwszych zajęć Nigel,

zbyt dobrze poinformowany i nieostrożny jak zawsze, spytał nagle:

– Czy była pani zawodowym zabójcą pracującym dla Mossadu, pani Levin?

– Mogłabym odpowiedzieć, że tak, ale potem musiałabym cię zabić. – Mówiła niskim, szyderczym, zmysłowym tonem. Kilku uczestnikom treningu opadły szczęki. – Nie, przykro mi, chłopcy, muszę was rozczarować, byłam po prostu analitykiem, pracowałam w biurze. Kiedy w dziewięćdziesiątym szóstym roku odszedł Szabtai Szawit, zrobiłam to samo.

– Przystojna, co? – pyta Maxine, nie mogąc się powstrzymać.

– Mamo, ona...

Mija trzydzieści długich sekund.

– Brak ci słów.

Jest również Naftali, były funkcjonariusz Mossadu, który zabiłby każdego, kto spojrzałby pożądlivie na Emmę, z wyjątkiem chłopca wchodzącego w okres dojrzewania i niepotrafiącego się opanować.

Dzwoni Vyrva, by powiedzieć, że wróci dopiero po kolacji. Na szczęście Fiony nie można nazwać wybrednym dzieckiem, w gruncie rzeczy je prawie wszystko.

Maxine kończy zmywać i zagląda do pokoju chłopców. Jest z nimi Fiona i wszyscy troje gapią się intensywnie w monitor – grają w strzelankę w miejskim pejzażu przypominającym Nowy Jork, mając do wyboru mnóstwo rodzajów broni.

– Co robicie? Co mówiłam na temat przemocy?

– Wyłączyliśmy plamy krwi, mamó. Wszystko jest okay. Popatrz.

Stukają w klawiaturę. Na ekranie pojawia się wnętrze sklepu podobnego do sieci Fairway, z wystawionymi świeżymi owocami.

– W porządku, obserwuj tę panią. – Chodnikiem zbliża się elegancka kobieta należąca do klasy średniej. – Stać ją na zrobienie zakupów, prawda?

– Pomyłka. Popatrz.

Kobieta zatrzymuje się przed lśniącymi w mdłym porannym świetle winogronami i bez żadnych oznak poczucia winy zaczyna je unosić za łydźki i jeść. Przechodzi do śliwek i nektarynek, bierze i kilka z nich zjada, wsadza następne do torebki. Kontynuuje wczesny posiłek przy kolejnym stoisku, otwiera opakowania truskawek, borówek i malin, objada się nimi bez cienia wstydu. Sięga po banana.

– Co ty na to, mamó? Jest warta sto punktów, prawda?

– Rzeczywiście, jest żarłoczna, ale nie sądzę...

Za późno – na skraju ekranu pojawia się lufa pistoletu maszynowego Heckler & Koch UMP45, która obraca się i celuje w kradnącą kobietę. Rozlega się seria strzałów i kobieta znika. Nie zostaje po niej żaden ślad, nawet plama krwi na chodniku.

– Widzisz? Nie ma krwi, to gra bez przemocy.

– Przecież kradzież owoców nie jest karana śmiercią. A jeśli jakiś bezdomny...

– Na liście celów nie ma bezdomnych – zapewnia Fiona. – A także dzieci, niemowląt, psów, starych ludzi. Nigdy ich nie zabijamy. Celem są głównie zamożni ludzie z klasy średniej.

– Burmistrz Giuliani nazywa to problemami jakości życia – dodaje Ziggy.

– Jak się nazywa ta gra?

– „Gdyby spojrzenia mogły zabijać”.

– Nie miałam pojęcia, że złośliwi starcy piszą gry komputerowe.

– Zaprojektował ją Lucas, wspólnik mojego taty – mówi Fiona. – Twierdzi, że to jego życzenia walentynkowe dla Nowego Jorku.

– Testujemy dla niego wersję beta – wyjaśnia Ziggy.

– Popatrzcie w lewo! – mówi Otis. – Widzicie?

Na środku chodnika stoi mężczyzna w garniturze, z teczką w rękę. Krzyczy na dziecko, które wygląda na cztery, pięć lat. Wrzaski stają się coraz głośniejsze. „A jeśli nie będziesz grzeczny, poniesiesz konsekwencje!”. Dorosły unosi groźnie rękę. „Och, proszę, nie!”. Znowu pojawia się lufa karabinu maszynowego i wrzeszczący mężczyzna znika, a oszołomione dziecko, ze łzami na policzkach, rozgląda się dokoła. Wynik w rogu ekranu wzrasta o pięćset punktów.

– Teraz chłopiec został sam na ulicy, wyświadczyliście mu piękną przysługę.

– Musimy tylko... – Fiona klika na dziecko i przenosi je do okienka z napisem: „Bezpieczne miejsce”. – Zabiorą go stąd godni zaufania członkowie rodziny – wyjaśnia. – Kupią mu pizzę i zawiozą do domu, po czym zaczną prowadzić beztrudne życie.

– Dobra – mówi Otis. – Wybierzmy się na wycieczkę.

Krążą po niewyczerpanych pokładach złości Nowego Jorku, rozstrzeliwują mężczyzn krzyczących do telefonów komórkowych, bezczelnych rowerzystów, matki wożące w wózkach bliźnięta, które są wystarczająco duże, by chodzić.

– Jeden za drugim, rozwalamy ich bez ostrzeżenia, ale nie tych, popatrz, idą obok siebie i nikt nie może się precyzyjnie. Zaraz się tym zajmiemy.

Trach! Trach! Uśmiechnięte bliźnięta odlatują nad Nowym Jorkiem do izby dziecka. Przechodnie w większości nie zwracają uwagi na nagłe zniknięcia, z wyjątkiem ulicznych kaznodziei chrześcijańskich, którzy uważają, że to Porwanie Kościoła.

– Chłopcy... – Maxine jest zdumiona. – Nie miałam pojęcia... Zaczekajcie, co to takiego? – Zauważyła na przystanku autobusowym matkę z dziećmi, która chce się przepchnąć bez kolejki. Nikt nie protestuje. Na ratunek przybywa kobieta z karabinem maszynowym Heckler & Koch! – W porządku, jak to się robi?

Otis chętnie instruuje Maxine i już po chwili bezczelna suka nie żyje, a jej dzieci zostają przeniesione w bezpieczne miejsce.

– Nieźle, mam, to tysiąc punktów.

– Zabawne. – Maxine spogląda na ekran, szukając następnej ofiary. – Przepraszam, zapomnijcie, że to powiedziałam.

Później Maxine stara się zinterpretować to pozytywnie i dochodzi do wniosku, że może jest to wirtualny sposób przyzwyczajania dzieci do zwalczania oszustw...

– Cześć, Vyrva, wejdź.



– Nie sądziłam, że tak się spóźnię. – Vyrva idzie dalej i zagląda do pokoju Ziggy’ego i Otisa. – Cześć, kochanie!

Fiona unosi wzrok, mruży „Cześć, mam!” po czym znów zabiera się do mordowania yuppie.

– Och, patrz, zabijają nowojorczyków, jak fajnie! Oczywiście nie bierz tego do siebie.

– Fiono, jesteś taka dobra w tym... wirtualnym zabijaniu...

– Nie ma żadnej krwi, Lucas nie stworzył takiej opcji. Podobno jest zablokowana, ale moim zdaniem po prostu jej nie ma.

– A więc jest to strzelanka aprobowana przez matki? – pyta Maxine, starając się, by w jej głosie ani na twarzy nie pojawiła się oznaka potępienia.

– Właśnie tym sloganem będziemy się posługiwać w reklamach.

– Reklamujecie się w internecie?

– W ukrytej sieci. Reklamy są tam ciągle w powijakach. A Bob Barker nazwałby ceny „właściwymi”. – Vyrva wykonuje gest naśladujący cudzysłów, a jej warkoczyki kołyszą się do przodu i do tyłu.

Maxine wyjmuje z zamrażarki torebkę kawy ze sklepu sieci Fairway i wsypuje ziarna do młynka elektrycznego.

– Przez chwilę będzie trochę hałasu. – Miele kawę, przesypuje ją do zaparzacza i włącza go. – To Justin i Lucas zajęli się teraz gramami?

– Miałam w college’u kurs ekonomii – mówi Vyrva. – Czy ludzie w tym wieku nie powinni się zajmować czymś poważnym? Oni ciągle świetnie się bawią.

– Och, męski niepokój, to coś lepszego, tak.

– Ta gra to tylko darmowy produkt reklamowy. – Vyrva przeprasza ją marszczy brwi i sprytnie się uśmiecha. – Nasz główny produkt to DeepArcher.

– To znaczy...

– Nazwa DeepArcher kojarzy się ze słowem *departure*, odjazd.

– Coś jakby zen – zgaduje Maxine.

– Raczej marihuana. Ostatnio wszyscy próbują zdobyć kod źródłowy: władze federalne, producenci gier, nawet pieprzony Microsoft złożył ofertę. To aplikacja z zakresu bezpieczeństwa informatycznego. Nikt nigdy nie widział czegoś podobnego i wszyscy dostali szału.

– A więc dzisiaj odbyłaś następną rundę poszukiwań inwestora? Kto jest szczęśliwym wybranym?

– Potrafisz dochować tajemnicy?

– Tak, to mój zawód.

– Przysięgniesz na mały palec? – pyta Vyrva.

Maxine cierpliwie wyciąga rękę, zaczepta mały palec o mały palec Vyrvy i patrzy jej w oczy.

– W takim razie...

– Hej, jeśli nie można ufać innej matce ze szkoły Kugelblitza...

Maxine uroczyście przysięga, lecz jak zwykle robi zastrzeżenie, trzymając drugą rękę w kieszeni i krzyżując palce.

– Chyba dostaliśmy dziś nową ofertę. Nawet w apogeum bańki internetowej byłyby to ogromne pieniądze. To nie firma typu venture capital, tylko inne przedsiębiorstwo

technologiczne. W tym roku świetnie im idzie w Alei Krzemowej. Hashslingrz.

Łup-łup-łup.

– Tak... chyba... słyszałam o nich. Byłaś tam dzisiaj?

– Przez cały dzień. Jestem ciągle podekscytowana. Ten facet ma mnóstwo energii.

– Gabriel Ice? Złożył ofertę zakupu kodu źródłowego? Za duże pieniądze?

Ucho przy barku, wzruszenie ramionami w stylu Zachodniego Wybrzeża.

– Wymienił imponującą sumę, owszem. Może ktoś jeszcze to finansuje? Na tyle wielką, by ponownie przemyśleć kwestię pierwszej oferty publicznej. Zarzuciliśmy przynętę, wspominając o możliwości bezterminowej cesji praw.

– Zaczekaj, czy ta gorączka zakupów, jaka panowała w Alei Krzemowej, nie wygasła po zeszłorocznym krachu?

– Nie wśród firm zajmujących się bezpieczeństwem informatycznym, w tej chwili świetnie im idzie. Kiedy wszyscy się denerwują, szefowie korporacji myślą tylko o zabezpieczeniu swoich aktywów.

– A więc rozmawialiście z Gabrielem Ice'em? Mogę cię prosić o autograf?

– Pojechaliśmy na popołudniowe przyjęcie w jego pałacu na East Side. On i jego żona, Tallis. Jest dyrektorem finansowym hashslingrz, chyba zasiada w zarządzie...

– I chcą po prostu kupić kod?

– Tym, co ich najbardziej interesuje, jest możliwość poruszania się bez pozostawiania śladów. Zawartość nie ma

większego znaczenia. Nie chodzi o podróż ani o jej cel, te pajace mają to w nosie.

Maxine doskonale zna, a nawet – broń Boże! – rozumie chęć zacierania śladów. Niewinna chciwość szybko przeradza się w oszustwo. Zastanawia się, czy ktoś kiedykolwiek porównał finanse hashslingrz z modelem Beneisha, by sprawdzić, jak dokonano uboju rytualnego danych liczbowych. Do zapamiętania: znajdź na to czas.

– Czym właściwie jest DeepArcher? Lokacją?

– Podróżą. Kiedy przyjedziesz następnym razem, damy ci demo.

– Dobrze, od dawna nie widziałam Lucasa.

– Rzadko się pokazuje. Pojawiły się pewne, hm, problemy... Lucas i Justin bez przerwy się kłócą, przede wszystkim o to, czy w ogóle sprzedawać kod źródłowy. Klasyczny dylemat dotcomów: czy zostać milionerami, czy zrobić skrót i zawiesić w sieci darmową wersję, co jest zgodne z etosem i może pozwolić zachować szacunek dla samych siebie, ale sprawia, że zyski są mniej więcej średnie.

– Sprzedać czy oddać za darmo. – Chwila namysłu. – Trudny wybór, Vyrvo. Co zamierzają zrobić?

– Jedno i drugie. – Vyrva wzdycha.

– To pasuje. A ty?

– Och, czy czuję się rozdarta wewnątrz? Uważasz, że mnie to bawi, ale wcale nie jestem zachwycona, że nagle mogłaby na nas spaść taka masa pieniędzy. To może być bardzo destrukcyjne, znamy kilku ludzi z Palo Alto, ich życie bardzo szybko stało się brzydkie i smutne. Wolałabym raczej, by dalej

pracowali w swoim zawodzie, może zaczęli coś nowego. – Krzywy uśmieszek. – Trudno to zrozumieć komuś, kto pochodzi z Nowego Jorku, przykro mi.

– Bez przerwy widzę takie sytuacje, Vyrvo. Kierunek przepływu nie ma znaczenia, ale po przekroczeniu masy krytycznej wszystko się psuje.

– Mąż nie jest całym moim życiem, jasne? Po prostu nie znoszę, kiedy chłopcy się sprzeczą. Kochają się, na litość boską! Bez przerwy oskarżają się nawzajem, ale tak naprawdę są jak para skateboardzistów, którzy jeżdżą na jednej desce. Czy powinnam być zazdrosna?

– Z jakiego powodu?

– Widziałam kiedyś stary film o dwóch chłopcach, najlepszych przyjaciółach, z których jeden został księdzem, a drugi mafiosem. Cóż, to właśnie Lucas i Justin. Tylko nie pytaj, który jest który.

– Ale założmy, że księdzem jest Justin...

– W takim razie na końcu nie zginie podczas strzelaniny.

– A zatem Lucas...

Vyrva patrzy w dal. Usiłuje wyglądać jak znudzona plażowiczka gapiąca się w morze, lecz zamiast tego ujawnia głębokie zaangażowanie emocjonalne, widoczne w jej oczach. Maxine zbyt często widywała taki wyraz na twarzach ludzi, najczęściej oszustów lub ofiar oszustw. Nie wypowiadaj tego na głos, mówi do siebie w duchu, jednak pojawia się nieodparte pytanie: czy Vyrva ciupcia się na boku, przepraszam, „spotyka”, ze współnikiem męża?

– Vyrvo, nie jesteś...

– Czym?

– Nieważne.

Obie kobiety uśmiechają się promiennie i wzruszają ramionami, jedna szybko, druga powoli.

Kolejna nierozwiązana zagadka, których i tak jest już wystarczająco dużo. Niedawno Maxine dowiedziała się na przykład, że Vyrva kolekcjonuje pluszaki z serii Beanie Baby, modnych hybryd plastikowej zabawki i szmacianej lalki, zajmując się czymś w rodzaju spekulacji. Wkrótce po pierwszej zabawie z córką Vyrvy Otis powiedział: „Fiona ma wszystkie Beanie Baby na świecie”. Pokiwał głową, by zaakcentować swoje słowa, po czym zastanawiał się przez chwilę. „To znaczy wszystkie rodzaje Beanie Baby. Gdyby chciała mieć wszystkie na świecie, musiałyby mieć ogromne magazyny”.

Maxine, jak czasem w trakcie rozmów z synami, znów przypomniał się Horst, tym razem jego kretyńska dosłowność, i musiała się powstrzymać, by nie chwycić Otisa, nie obsypać go pocałunkami i nie ścisnąć jak tubki pasty do zębów.

– Ma Beanie Baby w stroju księżnej Diany? – spytała.

– Oczywiście, mam! Ma wszystkie odmiany, nawet model z okazji rocznicy ślubu, gdy księżna Diana udzieliła wywiadu BBC. Trzyma je pod łóżkiem, w szafach, wypełniają cały jej pokój.

– Fiona jest fanką Beanie Baby?

– Nieszczerólnie – odpowiada Otis. – To jej mama ma kompletnego hopla na tym punkcie.

Maxine zauważyła, że przynajmniej raz w tygodniu, odprowadziwszy Fionę do szkoły, Vyrva wsiada na 86th Street

do autobusu jadącego na drugą stronę miasta, by kupić kolejną partię pluszaków z serii Beanie Baby. Ma listę sprzedawców na East Side, którzy otrzymują lalki bezpośrednio z Chin, za pośrednictwem podejrzanych magazynów położonych w okolicy lotniska Kennedy'ego. Kupuje je za grosze na East Side, po czym pędzi do sklepów z zabawkami na West Side, których harmonogram dostaw starannie przeanalizowała, i sprzedaje je po nieco niższej cenie niż ta dyktowana przez hurtowników, po czym wszyscy zatrzymują zysk dla siebie. Tymczasem Fiona gromadzi kolejne Beanie Baby, chociaż nie przepada za kolekcjonowaniem.

– To tylko szybki biznes – tłumaczy Vyrva i Maxine wyczuwa w jej głosie entuzjazm. – Za dziesięć, dwanaście lat, kiedy Fiona będzie szła do college'u, wiesz, ile to będzie warte na rynku kolekcjonerskim?

– Dużo? – zgaduje Maxine.

– Astronomiczne kwoty.

Ziggy nie jest taki pewny.

– Z wyjątkiem kilku specjalnych edycji – zauważa – Beanie Baby nie mają opakowań, co dla kolekcjonerów jest bardzo ważne. Oznacza to również, że ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent tych zabawek wala się gdzieś po domach: ludzie je depczą, plamią, niszczą, wpychają pod kaloryfery, gdzie zjadają je myszy, więc za dziesięć lat nie będzie ani jednej sztuki w stanie nadającym się do kolekcjonowania, chyba że pani McElmo magazynuje je w plastikowych pojemnikach gdzieś koło pokoju Fiony. Najlepiej w ciemności i w stałej

temperaturze. Ale nigdy na to nie wpadnie, bo to miałoby zbyt wiele sensu.

– Chcesz powiedzieć...

– To wariatka, mamó.



## 5

Jako stała członkini miejscowego Klubu Dociekliwych Jędz Maxine sumiennie bada rachunki hashslingrz i wkrótce zaczyna się zastanawiać, w co wplątał się Reg i co gorsza, w co ją właśnie wciąga. Pierwsza rzecz, jaka wyskakuje z krzaków i macha penisem (można to tak określić), to niezgodność części wydatków z prawem Benforda.

Prawo Benforda jest znane w różnych postaciach od przeszło stu lat, lecz dopiero zaczyna być wykorzystywane jako narzędzie analityków zajmujących się tropieniem oszustw. Idea polega na tym, że fałszując zestawienia liczbowe, oszuści często próbują stosować randomizację w sposób zbyt sprytny. Zakładają, że cyfry od jednego do dziewięciu będą występowały z równą częstością, więc każda z nich pojawi się w jedenastu procentach przypadków. Jedenastu i kilku dziesiątych. Tak naprawdę w większości zestawień rozkład cyfr nie jest linearny, tylko logarytmiczny. Liczba jeden pojawia się w trzydziestu procentach przypadków, liczba dwa w siedemnastu i pół procent i tak dalej; częstość występowania liczby dziewięć maleje do czterech i sześciu dziesiątych procent.

Kiedy Maxine analizuje kwoty wypłat dokonywanych przez hashslingrz, sprawdzając częstotliwość pojawiania się każdej

cyfry, łatwo zgadnąć, co się dzieje. Nic się nie zgadza z rozkładem Benforda. W żargonie zawodowym nazywa się to „falszywym mięsem”.

Wkrótce, drążąc dalej, wyłapuje następne oznaki. Kolejne numery faktur. Sumy, które się nie zgadzają. Negatywny wynik analizy algorytmu Luhna w odniesieniu do numerów kart kredytowych. Staje się przerażająco jasne, że ktoś przelewa ogromne sumy pieniędzy hashslingrz na konta różnych tajemniczych firm, w części niemal na pewno fikcyjnych. Łączna kwota sięga kilkuset tysięcy, a może nawet przekracza milion dolarów.

Ostatnim odbiorcą tych płatności jest niewielka firma mieszcząca się w centrum Nowego Jorku, o nazwie hwgaahwgh.com, co stanowi skrót zdania: *Hey, We've Got Awesome And Hip Web Graphix, Here*. Naprawdę mają tak znakomitą grafikę? Wydaje się to wątpliwe. Hashslingrz regularnie przelewa pieniądze na rachunek hwgaahwgh.com, zawsze po tygodniu od otrzymania kolejnej faktury, prawie na pewno lipnej, po czym nagle niewielka firma bankrutuje, lecz na jej konto w dalszym ciągu płyną ogromne kwoty. Naturalnie ktoś w hashslingrz podejmuje starania, by to ukryć.

Maxine nie znosi, gdy paranoja staje się rzeczywistością. Jednak chyba warto się temu przyjrzeć.

\* \* \*

Szuka właściwego adresu, idąc po przeciwnej stronie ulicy, i gdy wreszcie dostrzega budynek, ogarnia ją przygnębienie,

a serce jej się kurczy, zmieniając się w jednoosobową łódź podwodną, niezbędną do podróży po złowrogich labiryntach kanałów ściekowych chciwości, które stanowią podstawę całego handlu nieruchomościami w Nowym Jorku. Rzecz w tym, że to ładny budynek, z elewacją z terakoty, nie tak dekoracyjny jak inne siedziby przedsiębiorstw sprzed stu lat, gdy go zbudowano, lecz schludny i dziwnie miły, jakby architekci naprawdę dbali o ludzi przychodzących tam codziennie do pracy. Tyle że gmach jest zbyt atrakcyjny, stanowi łatwy cel, aż się prosi, by go wkrótce zburzyć i wybudować w tym miejscu kosztowny apartamentowiec dla yuppie.

Ze spisu lokatorów, wiszącego w holu, wynika, że [hwgaahwgh.com](http://hwgaahwgh.com) mieści się na czwartym piętrze. Maxine zna audytorów zajmujących się wykrywaniem oszustw, tradycjonalistów, którzy w tym momencie zdecydowaliby się odejść, po czym by tego żalowali. Inni radzą działać niezależnie od wszystkiego, wejść do nawiedzonego budynku i próbować nawiązać kontakt z handlarzem duchów, otoczonym aureolą wystudiowanego milczenia.

Jadąc na górę, Maxine obserwuje kolejne piętra przez okienko w drzwiach windy – grupę ludzi w strojach roboczych koło rzędu automatów z kanapkami, sztuczne bambusy otaczające drewniane biurko w recepcji, gdzie czuwa jasnowłosy urzędnik, chłopców w szkolnych mundurkach i krawatach, którzy siedzą z pustymi twarzami w poczekalni korepetytora przygotowującego do egzaminów SAT lub psychoterapeuty bądź połączenia jednego i drugiego.

Okazuje się, że drzwi do siedziby hwgaahwgh.com są szeroko otwarte, a pomieszczenia puste. Kolejny zbankrutowany dotcom, który pozostawił po sobie nieczynne biuro – brudne metaliczne powierzchnie, szare podniszczone ścianki dźwiękochłonne, przestarzałe monitory i stanowiska pracy, zaśmiecone, pokrywające się kurzem...

Cóż, prawie puste. Z jednego z odległych boksów dobiega cicha elektroniczna melodyjka, a Maxine rozpoznaje w niej *Korobuszkę*, hymn komputerowych stanowisk pracy z lat dziewięćdziesiątych. Muzyka jest coraz szybsza i towarzyszą jej głośne okrzyki. Handlarz duchami, rzeczywiście. Czy Maxine w tajemniczy sposób cofnęła się w czasie, gdzie widma dawnych pracowników biurowych w dalszym ciągu marnują bezcenne roboczogodziny, grając w Tetrisa? Tetris i pasjans z Windowsa – nic dziwnego, że sektor informatyczny padł.

Maxine powoli idzie w stronę źródła tęsknej melodii ludowej. Kiedy dociera na miejsce, słyszy dziewczęcy głos wypowiadający słowo: „Kurwa!”, po czym zapada cisza. Na zakurzonej, odrapanej podłodze siedzi w pozycji lotosu młoda kobieta w typowych okularach noszonych przez nerdów. Trzyma na kolanach konsolę do gier i gapi się na nią wściekłym wzrokiem. Dziwna, jadowicie zielona obudowa. Wygląda jak pojemnik na jedzenie. Obok stoi laptop z rozjarzonym ekranem, podłączony do kabla telefonicznego wystającego spod wykładziny dywanowej.

– Cześć! – mówi Maxine.

Dziewczyna podnosi wzrok.

– Cześć! Jesteś ciekawa, co tu robię? Po prostu ściągam jakieś gówna, pięćdziesiąt sześć kilobajtów to niezła prędkość, ale i tak zajmuje to trochę czasu, więc ćwiczę się w Tetrisie, patrząc, jak pracuje stary komp. Jeśli szukasz działającego terminalu, zdaje się, że tu i tam w boksach jest kilka. Może nie ukradziono jeszcze całego sprzętu, interfejsów RS-232, złączy, akumulatorów, kabli.

– Miałam nadzieję, że spotkam kogoś, kto tu pracuje. Albo raczej kiedyś pracował.

– W dawnych czasach wykonywałam dla nich zlecenia.

– Przykra niespodzianka, co? – Maxine wskazuje pustą salę.

– Nie, to było oczywiste od samego początku. Brali gigantyczne kredyty, by powiększać ruch, klasyczne złudzenie dotcomów. Zanim się obejrżeli, przyszła likwidacja i kolejna firma internetowa poszła na dno.

– Cóż to? Współczucie? Troska?

– Pieprzę ich, to wariaci!

– Zależy, na jakiej tropikalnej plaży się w tej chwili wylegują, gdy my harujemy jak osły.

– Aha! Kolejna ofiara!

– Mój szef uważa, że mogli nas podwójnie fakturować – improwizuje Maxine. – Wstrzymaliśmy płatność ostatniego rachunku, ale ktoś doszedł do wniosku, że warto zaangażować czynnik ludzki. Przypadkiem byłam pod ręką.

Dziewczyna w dalszym ciągu zerka na ekran laptopa.

– Kiepska sprawa, wszyscy się zwinęli, kręcą się tu tylko szabrownicy. Widziałaś kiedyś film *Grek Zorba* (1964)? Po

śmierci starej kobiety wieśniacy wpadają do jej domu i natychmiast go plądrują. Cóż, oto właśnie Grek Zorba.

– Sejfy w ścianach trudno otworzyć...

– Wszystkie opróżniono w chwili, gdy zaczęły się zwolnienia. A twoja firma? Czy przynajmniej dalej prowadzi strony?

– Bez urazy, ale...

– Och, wiem, zupa z tagów, przypadkowe, kretyńskie banery jak boksy w toalecie w szkole średniej? Wszystko pomieszane? Jak się chce coś znaleźć, po chwili zaczynają boleć oczy, prawda? Pop-upy! Trudno to wytrzymać, „window.open”, najbardziej szkodliwy JavaScript, jaki kiedykolwiek napisano. Pop-upy to Goomby, przekleństwo grafiki internetowej, powinny wrócić tam, skąd przyszły, nudny obowiązek, ale ktoś powinien się tym zająć.

– Normalnie nazywają to „efektowną, nowoczesną grafiką”.

– Trochę mnie to dziwiło. Robiłam swoje, ale miałam wrażenie, że nie wkładają w to serca.

– Może projektowanie stron internetowych nie było ich głównym zajęciem?

Dziewczyna kiwa głową, rozgląda się, jakby w obawie, że ktoś może podsłuchiwać.

– Posłuchaj, kiedy skończysz z tym laptopem... Nawiasem mówiąc, mam na imię Maxi...

– Driscoll, miło mi...

– Czy mogłabym cię zaprosić na kawę albo coś w tym rodzaju?

– Mam lepszy pomysł. Na tej ulicy jest bar, w którym ciągle mają zimę z beczki.

Maxine spogląda na Driscoll.

– Nostalgia, kobieto, zima to ulubiony drink lat dziewięćdziesiątych. Chodź, stawiam pierwszą kolejkę.

Bar Fabian's Bit Bucket powstał we wczesnym okresie boomu internetowego. Kiedy Driscoll i Maxine wchodzą do środka, kelnerka pozdrawia je skinieniem dłoni i sięga do kurka, by nalać zimy. Po chwili obie siedzą za przepierzeniem, z dużymi szklankami napoju, który był kiedyś krzykiem mody.

W tej chwili w lokalu nic się nie dzieje, chociaż zbliża się wieczór, a wraz z nim początek kolejnego zaimprovizowanego przyjęcia urządzanego przez zwolnionych pracowników jakiejś firmy. Fabian's Bit Bucket zasłynął z takich imprez.

Driscoll Padgett jest graficzką projektującą strony internetowe, pracuje jako wolny strzelec, „jakoś wiążąc koniec z końcem, tak samo jak wszyscy”. Poza tym programuje, za trzydzieści dolarów za godzinę – jest szybka i skrupulatna, znana w branży, więc chwilami ma sporo zleceń, chociaż od czasu do czasu zalega z czynszem, po czym musi korzystać z książki adresowej albo fiszek w pobliżu kubłów na śmieci. Czasem urządza imprezy z tanimi drinkami.

Driscoll przyszła dziś do [hwgaahwgh.com](http://hwgaahwgh.com), by szukać wtyczek do Photoshopa. Podobnie jak wielu członków swojego pokolenia posiada otwieracz plików JONES, co sprawia, że przeszukuje internet, polując na coraz bardziej egzotyczne odmiany.

– Powinnam projektować własne wtyczki, próbowałam się uczyć obsługi Filter Factory, to niezbyt trudne, podobne do C, ale kraść jest łatwiej, dziś ściągnęłam wtyczkę napisaną przez ludzi, którzy poprawili w Photoshopie doktora Zizmora.

– Naprawdę? Tego dermatologa o chłopięcej twarzy, którego fotografie wiszą w metrze?

– Niesamowite, prawda? Znakomita robota, czystość, uroda...

– A kwestie prawne?

– Trzeba tylko wejść i skopiować to, co trzeba. Nigdy ci się to nie zdarza?

– Bez przerwy.

– Gdzie pracujesz?

W porządku, zobaczymy, co się stanie, myśli Maxine.

– W hashslingrz.

– O rany! – Takie spojrzenie. – Parę razy też tam pracowałam, krótko. Chyba nie wytrzymałabym na pełnym etacie. Łatwiej zlizywać resztki kremu bananowego z twarzy Billa Gatesa, pieprzony Microsoft to przy nich Greenpeace. Mam wrażenie, że nigdy cię tam nie widziałam?

– Och, to tylko robota na boku. Przychodzę raz w tygodniu i zajmuję się przepływami finansowymi.

– Jeśli jesteś oddaną fanką Gabriela Ice’a, po prostu nie zwracaj na mnie uwagi. Nawet w branży, w której aroganckie fiuty to norma, każdy, kto znajduje się w promieniu mili od starego Gabe’a, powinien nosić kombinezon ochronny.

– Chyba go raz widziałam. Może. Z pewnej odległości. Miał ogromną świtę.



– Całkiem nieźle mu idzie jak na kogoś, kto ledwo zdążył się załapać.

– Jak to?

– Jest szanowany w środowisku. Ludzie, którzy zaczęli pracować w branży przed dziewięćdziesiątym siódmym rokiem, są okay. Jeśli przyszli między dziewięćdziesiątym siódmym a dwutysięcznym, bywa różnie, może nie zawsze są cool, ale zwykle całkowicie się różnią od stuprocentowych dupków, których się widzi w tej chwili.

– Ice jest cool?

– Nie, to dupek, wczesny model. Dupek pionier. Byłaś kiedyś na jednej z legendarnych imprez hashslingrz?

– Nie. A ty?

– Raz czy dwa. Na pierwszej winda towarowa przywiozła gołe panienki oblepione pączkami Krispy Kreme, a na drugiej pojawiła się Britney Spears przebrana za Jaya Z. Później się okazało, że to nie Britney Spears, tylko jej sobowtór.

– Ach, brakuje mi takich imprez. Wiedziałam, że nie powinnam mieć dzieci...

– Tak czy inaczej, to już historia. – Driscoll wzrusza ramionami. – Nawet jeśli hashslingrz zatrudnia pracowników, jakby był dziewięćdziesiąty dziewiąty rok.

– Hm... Zdaje się, że zauważyłam wiele nowych list płac. Co się dzieje?

– Ten sam stary szatański pakt, tylko na większą skalę. Zawsze lubili polować na hakerów amatorów, a teraz stworzyli całą wirtualną rzeczywistość, coś więcej niż lipny komputer chroniony zaporą. To wirtualne przedsiębiorstwo, kompletnie

fikcyjne, służące jako przynęta dla młodych hakerów. Kiedy są bliscy przełamania zabezpieczeń, ci z hashslingrz nakrywają ich na gorącym uczynku i grożą, że zawiadomią policję. Dają im wybór między więzieniem na wyspie Rikers a szansą zrobienia następnego kroku na drodze do zostania „prawdziwymi hakerami”. Właśnie w ten sposób działają.

– Znasz kogoś, komu się to przytrafiło?

– Kilka osób. Niektórzy przyjęli ofertę, inni uciekli z miasta. Wysyłają ich na kurs w Queens, uczą się tam arabskiego alfabetu czatowania.

– Wykorzystują normalną europejską klawiaturę do pisania znaków przypominających arabskie? – zgaduje Maxine. – Czy to znaczy, że hashslingrz zamierza wejść na rynek bliskowschodni?

– Tak głosi jedna z teorii. Tylko że przez cały czas toczy się bezlitosna wojna w cyberprzestrzeni, wszyscy przeciw wszystkim, hakerzy przeciwko hakerom, ataki DOS, trojany, wirusy, robaki... Normalni ludzie nie mają o tym pojęcia, nawet jeśli dzieje się to w komputerze tuż obok, w Starbucksie...

– Zdaje się, że czytałam w gazecie coś na temat Rosji...

– Traktują wojnę w cyberprzestrzeni poważnie, szkolą fachowców, wydają pieniądze, ale nawet Rosja nie jest tak niebezpieczna jak... – przez chwilę Driscoll udaje, że pyka fajkę wodną – ...jak nasi muzułmańscy bracia. Działają na całym świecie, mają mnóstwo pieniędzy i mnóstwo czasu. Czas jest po ich stronie, jak w piosence Rolling Stonesów, o tak. Zbliżają się kłopoty. Krążą plotki, że w grę wchodzi gigantyczne amerykańskie kontrakty rządowe, wszyscy chcą je dostać, ma to

związek z Bliskim Wschodem. Niektórzy ludzie w branży mówią, że zbliża się druga wojna w Zatoce Perskiej. Wygląda na to, że Bush chce wypaść lepiej niż jego tatuś.

Maxine natychmiast zaczyna się niepokoić. Myśli o swoich synach, którzy w tej chwili są za mali, by groziło im powołanie do wojska, lecz za dziesięć lat – a wojny prowadzone przez Stany Zjednoczone często się przeciągają – znajdą się w pułapce. Wszystko z powodu baryłki ropy o pojemności czterdziestu dwóch galonów, aktualnie sprzedawanej po dwadzieścia, dwadzieścia pięć dolarów...

– Co z tobą, Maxi?

– Zastanawiam się. Wygląda na to, że Ice chce stworzyć nowe Imperium Zła.

– Smutne jest to, że istnieje mnóstwo programistów, którzy są gotowi iść za nim na ślepo, a maszyny ich przemielą i wyplują.

– Naprawdę nie stać ich na więcej inteligencji? A zemsta nerdów?

Driscoll prycha.

– Nie ma żadnej zemsty nerdów, w zeszłym roku, gdy nadszedł krach, oznaczało to po prostu, że mózgowce nerdy znów przegrały, a mięśniaki zwyciężyły. Tak jak zawsze.

– A co z nerdami, którzy zostali miliardernami?

– To tylko pozory. Sektor internetowy się załamał, kilku firmom udało się przetrwać, cudem. Ale większość padła. Najwięcej wygrali ludzie obdarzeni klasyczną, błogosławioną głupotą w stylu Wall Street, która w końcu jest nie do pokonania.

– Daj spokój, wszyscy na Wall Street nie mogą być głupi.

– Niektórzy analitycy stosujący metody numeryczne są inteligentni, ale analitycy przychodzą i odchodzą, to po prostu nerdy do wynajęcia, ludzie o odmiennym wyczuciu sytuacji. Mięśniaki nie wiedzą, czym są procesy stochastyczne, ale mają motywację, by się bogacić, i instynktownie wyczuwają głębokie rytmy giełdy. Dzięki temu zawsze pokonują nerdów, niezależnie od ich inteligencji.

Kiedy zaczyna się happy hour i cena drinków spada do dwu i pół dolara, Driscoll przerzuca się na zimartini, złożone z zimy i wódki. Maxine pozostaje przy zimie, nucąc bluesa pracującej matki.

– Podoba mi się twoja fryzura, Driscoll.

– Najpierw farbowałam się, jak wszyscy, na intensywnie czarny kolor i nosiłam krótką grzywkę, ale przez cały czas w skrytości ducha chciałam wyglądać jak Rachel w *Przyjaciołach*, więc zaczęłam zbierać w internecie fotografie Jennifer Aniston z różnych tabloidów.

Zgromadziła mnóstwo zdjęć i zrzutów z ekranu, chodziła od jednego salonu fryzjerskiego do drugiego, w coraz większej desperacji próbując całkowicie upodobnić się do Jennifer Aniston, aż wreszcie zaczęła rozumieć, że jest to niesłychanie trudne, ponieważ nawet po wielogodzinnych sesjach u fryzjera, gdy farbowano jej włosy mieszankami kolorów i używano dziwnego specjalistycznego sprzętu rodem z charakteryzatorni filmowych, rezultaty zawsze okazywały się kiepskie. Była podobna, lecz nie taka sama.

– Może to się w ogóle nie da zrobić? – pyta łagodnie Maxine.  
– Nie jesteś jej sobo...

– Nie, nie! Jestem pewna, że to możliwe! Uwielbiam Jennifer Aniston! W Halloween zawsze przebieram się za Rachel!

– Tak, ale... Czy nie ma to coś wspólnego z Bradem Pittem albo...

– Och, o to chodzi! Ten związek się nie utrzyma, Jen jest dla niego za dobra.

– „Za dobra” dla Brada Pitta...

– Poczekaj, sama zobaczysz.

– W porządku, Driscoll, robię to wbrew własnemu przekonaniu, ale mogłabyś wypróbować zakład fryzjerski Murraya i Morrisa koło targu kwiatowego.

Maxine przeszukuje torebkę i znajduje jedną z ich wizytówek, a raczej kupon rabatowy oferujący dziesięcioprocentową zniżkę. Dwaj zidiociali, lecz dyplomowani fryzjerzy zauważyli narastającą modę na upodobnianie się do Jennifer Aniston i uznali to za okazję do świetnego interesu. Zainwestowali duże sumy w lokówki Johna Sahaga i wybrali się do kilku kurortów na Karaibach, gdzie przeszli intensywne szkolenie w farbowaniu włosów z łączeniem kolorów. Ich bezlitosna innowacyjność udzieliła się również innym salonom fryzjerskim.

– Może maseczkę z mięsa, pani Loeffler?

– Co to takiego?

– Nie dostała pani pocztą naszej oferty? W tym tygodniu jest specjalna promocja, to cudownie działa na cerę. Oczywiście

świeżo po uboju, nim enzymy zdążą się rozłożyć. Co pani na to?

– Cóż, sama nie...

– Cudownie! Morris, zabij... kurczaka!

Z pomieszczenia na tyłach dobiega straszliwe, przerażone gđakanie, po czym zapada cisza. Tymczasem Maxine musi się ułożyć na fotelu, z twarzą uniesioną do góry. Trzepoce powiekami i słyszy:

– A teraz po prostu nałóżymy... – plask! – ...maseczkę na pani śliczną, lecz zmęczoną twarz...

– Mmff...

– Słucham? (Ostrożnie, Morris!)

– Dlaczego... dlaczego to się rusza?! Zaczekajcie! Czy... czy naprawdę położyliście na mojej twarzy martwego kurczaka?!  
Aaach!

– Jeszcze nie jest zupełnie martwy – mówi dobrodusznie Morris.

Maxine rzuca się na fotelu, a wokół latają pióra i krople krwi.

Coś takiego dzieje się za każdym razem, gdy tu przychodzi. Zawsze opuszcza salon, przyrzekając sobie w duchu, że to ostatni raz. Jednak nie może nie zauważyć tłumów lepszych lub gorszych sobowtórów Jennifer Aniston, które ustawiają się w kolejce do suszarki. Przez chwilę ma wrażenie, że centrum Nowego Jorku to Las Vegas, a Jennifer Aniston stała się współczesnym Elvisem Presleyem.

– Czy ich zabiegi są drogie? – pyta Driscoll.

– W waszym języku zawodowym nazywa się to wersją beta, więc chyba powinni udzielać rabatu.

Lokal zapełnia się mieszaniną hakerów i hakerek oraz pracowników korporacji, zwykle noszących garnitury, lecz teraz ubranych w stroje uznane za odpowiednie do odwiedzania barów. Wszyscy szukają partnerów lub łatwej pracy, zależnie od tego, jak się potoczy wieczór.

– Jeden element zniknął – zauważa Driscoll. – Dawniej roiło się tu od młodych kobiet i mężczyzn chcących poznać kogoś naprawdę bogatego. Wierzyli, że za chwilę wyjdzie z toalety miliarder, który dorobił się na informatyce, po czym zmieni całe ich życie. Oczywiście i przed krachem było to złudzenie, ale teraz nawet zawodowe technoawanturnice przyznają, że podrywa się tylko nędzne płotki.

Maxine dostrzegła przy barze dwóch mężczyzn, którzy obserwują ją albo Driscoll, a może obie, z niezwykle intensywnością. Chociaż trudno powiedzieć, co w tym miejscu jest normalne, nie wyglądają normalnie. Na ocenę Maxine nie ma wpływu zima.

Driscoll podąża za jej wzrokiem.

– Znasz tych facetów?

– Nie. Myślałam, że ty ich znasz.

– Są tu po raz pierwszy – mówi z przekonaniem Driscoll. – Wyglądają jak gliniarze. Czy powinnam się niepokoić?

– Przypomniało mi się, że muszę już iść. – Maxine chichoce.

– Za chwilę wyjdę, a ty zostań. Zobaczymy, którą z nas śledzą.

– Powinniśmy ostentacyjnie zapisać swoje adresy mailowe i telefony, by nie wyglądało, że się dobrze znamy.

Okazuje się, że interesują się Maxine. Dobrze czy źle, Driscoll to miła dziewczyna i lepiej, że to jej nie dotyczy,

z drugiej strony Maxine musi się od nich uwolnić, choć jest oszołomiona cytrynowo-limonkowym drinkiem. Wsiada do taksówki i każe kierowcy jechać w stronę przedmieść, po czym udaje, że zmienia zdanie, co irytuje taksówkarza, i wysiada na Times Square, gdzie w ciągu ostatnich kilku lat starała się nie pojawiać, jeśli było to możliwe. Obleśna, stara West 42nd Street, zapamiętana z lat nieodpowiedzialnej młodości, już nie istnieje. Giuliani, zaprzyjaźnieni z nim deweloperzy i mieszkający na przedmieściach zwolennicy czystości moralnej uczynili to miejsce sterylnym i podobnym do parku rozrywki Disneya – wyburzono lub przebudowano melancholijne bary, restauracje ze zbyt tłustym jedzeniem i kina porno. W okolicy nie ma już ludzi brudnych, bezdomnych i niewartych wzmianki, alfonsów, naciągaczy oszukujących w trzy karty ani nawet dzieciaków grających w hokeja w salonach gier wideo – wszystko zniknęło. Maxine usiłuje to interpretować jako wyraz nietrwałości zabudowy Nowego Jorku, lecz mimo woli czuje mdłości na myśl, że istnieje jakaś kretyńska zmowa na temat tego, czym ma być życie. Ktoś bezlitośnie przejmuje władzę nad miastem, zaciska na jego szyi Pętlę Horroru, wszędzie powstają multipleksy, centra handlowe i wielkie sklepy, a robienie zakupów wydaje się sensowne tylko wtedy, gdy ktoś ma samochód, podjazd i garaż obok domu na przedmieściach. Aaach! Wylądowali, są wśród nas i bardzo im pomaga to, że burmistrz pochodzi spoza miasta i jest jednym z nich.

Dziś w nocy wszyscy tu są, zgromadzeni w odrodzonej imitacji ich własnego środka Ameryki, tutaj, w sercu Nowego Jorku, wielkiego, zepsutego jabłka, Big Apple. Maxine wtapia się



w tło, jak długo może, aż wreszcie znajduje schronienie w metrze, jedzie linią numer jeden do 59th Street, przesiada się do metra linii C, wysiada koło gmachu Dakota Apartments, wciska się do autobusu pełnego japońskich turystów, którzy fotografują miejsce, gdzie zamordowano Johna Lennona, a gdy znowu ogląda się za siebie, nie widzi nikogo, kto by ją śledził, chociaż mają ją na swoim radarze od chwili, gdy weszła do Fabian's Bit Bucket, i prawdopodobnie wiedzą, gdzie mieszka.

## 6

Pizza na kolację. Co jeszcze jest nowe?

– Mamo, dziś w szkole była ta zwariowana pani.

– I co? Ktoś wezwał policję?

– Nie, mieliśmy apel i wygłosiła przemówienie jako gość specjalny. Skończyła szkołę Kugelblitza bardzo dawno temu.

– Mamo, wiesz, że rodzina Bushów robi interesy z terrorystami z Arabii Saudyjskiej?

– Masz na myśli ropę?

– Chyba o to jej chodziło, ale...

– Co?

– Zdaje się, że to nie wszystko. Chciała coś powiedzieć, ale nie w obecności młodszych dzieci.

– Szkoda, że nie poszłam.

– Idź na rozpoczęcie roku dla starszych klas. Znowu będzie przemawiać.

Ziggy wręcza Maxine ulotkę strony internetowej o nazwie *Tabloid of the Damned*. Znajduje się na nim zamaszysty, kaligraficzny podpis „March Kelleher”.

– Hej, więc widziałeś March? Ach, ach...

Maxine przypomina sobie to nazwisko. March Kelleher to teściowa Gabriela Ice’a, jej córka Tallis i Ice chodzili ze sobą na

studiach. Chyba w Carnegie Mellon University. Później stosunki między March a Ice'em nieco się ochłodziły, niewątpliwie w miarę wzrostu dochodów młodego miliardera, właściciela dotcomu. Maxine nie powinno to obchodzić, ale wie, że March jest rozwiedziona i że oprócz Tallis ma jeszcze dwoje dzieci, synów: jeden pracuje w jakiejś firmie informatycznej w Kalifornii, a drugi wyjechał do Katmandu i prowadzi życie nomady, od czasu do czasu przesyłając rodzicom pocztówki.

March i Maxine poznały się dziesięć, może piętnaście lat wcześniej, w szalonym okresie walki z towarzystwami budowlanymi, które z chciwości stosowały gestapowskie metody, by zmusić lokatorów do wyprowadzki. Proponowały zenująco niskie kwoty, ale niektórzy najemcy je przyjmowali. Odmawiających traktowano wyjątkowo brutalnie. Usuwano drzwi mieszkań pod pretekstem „rutynowych napraw”, nie wywożono śmieci, sprowadzano groźne psy, wynajętych bandziorów, puszczano bardzo głośną muzykę pop z lat osiemdziesiątych. Maxine zauważyła March wśród uczestników pikiety przed budynkiem w Columbus Avenue. Uczestnicy pikiety, złożonej głównie z aktywistów z sąsiedztwa, starych lewaków i działaczy stowarzyszeń na rzecz praw lokatorów, czekali na przywiezienie gigantycznego nadmuchiwanego szczura, stosowanego w czasie pikiet przez związki zawodowe. Trzymali transparenty z hasłami w rodzaju: WITAJCIE, SZCZURY, RODZINY WŁAŚCICIELI! albo: PRECZ Z OKRUTNYMI, NIELUDZKIMI PRZEŚLADOWANIAMI NAJEMCÓW! Jacyś Kolumbijczycy wynosili na chodnik meble i sprzęty domowe, usiłując ignorować awanturę. March osaczyła szefa ekipy

mającej wywozić meble i dziko mu wymyślała. Była szczupłą, miała rude włosy do ramion, ściągnięte do tyłu i okryte siateczką. Później się okazało, że posiada mnóstwo takich siateczek, które stały się jej znakiem charakterystycznym. Tego dnia, pod koniec zimy, siateczka miała kolor czerwony, a kontury twarzy March wydawały się Maxine srebrzyste jak na starej fotografii.

Maxine szukała sposobu, by nawiązać z nią rozmowę, gdy pojawił się właściciel domu, doktor Samuel Kriechman, emerytowany chirurg plastyczny, wraz z niewielkim orszakiem potomków i pełnomocników.

– Ty nędzny, chciwy sukinsynu! – powitała go radośnie March. – Jak śmiesz się tu pokazywać?!

– Brzydka pizda – odpowiedział dobroduszny starzec. – Żaden chirurg plastyczny nawet nie tknąłby takiej gęby. Co to za suka? Zabierzcie ją stąd, kurwa!

Kilku prawników lekarza zrobiło krok do przodu, by spełnić polecenie, a Maxine wyjęła z torebki duży pojemnik wybielacza w areozolu i zaczęła nim potrząsać.

– Spytajcie tego wybitnego lekarza, co spray robi z waszymi twarzami, chłopcy.

– Wezwać policję! – zakomenderował doktor Kriechman.

Kilku członków pikiety podeszło do jego świty i rozpoczęła się dyskusja. Cóż, argumenty poparto wymownymi gestami, które doprowadziły do przypadkowego kontaktu, wyolbrzymionego w artykule prasowym w „The New York Post”, gdzie opisano całe zajście. Pojawiła się policja. Kiedy

zapadł zmrok i zaczęła się zbliżać pora opuszczenia mieszkania, tłum się przerzedził.

– Nie organizujemy pikiet w nocy – rzekła March do Maxine. – Nie mam ochoty stąd odchodzić, ale z drugiej strony chętnie bym się czegoś napiła.

Najbliższym barem był Old Sod, w zasadzie irlandzki, chociaż zaglądali tam dość często brytyjscy geje. March zamówiła daiquiri w wersji Papa Doble, a barman, Hector, przygotował go tak sprawnie, jakby przez cały tydzień nic innego nie robił, choć widywano go tylko nalewającego piwo i whisky. Maxine poprosiła o to samo.

Zorientowały się, że przez cały czas mieszkały zaledwie kilka przecznic od siebie, March od końca lat pięćdziesiątych, gdy w okolicy terroryzowały białych portorykańskie gangi, a po zmroku nikt się nie ośmielał zapuszczać na wschód od Broadwayu. Nawet w ciągu dnia niektórzy ludzie jeździli autobusem przez całe miasto, by dotrzeć z Central Park West na Broadway. Nienawidziła Lincoln Center, przez który zniszczono całą dzielnicę i przesiedlono siedem tysięcy rodzin *boricua*. A wszystko dlatego, że biali, których tak naprawdę w ogóle nie obchodziła kultura, bali się dzieci tych ludzi.

– Leonard Bernstein napisał na ten temat musical, nie *West Side Story*, tylko ten drugi, gdzie Robert Moses śpiewa:

*Throw those Puerto  
Ricans out in the  
street – It's just a  
slum. Tear it all  
d-o-own!*

(Wyrzucić tych Porto-  
rykańczyków na  
bruk! To tylko  
slums! Zburzyć  
go!)

March śpiewa piskliwym tenorem w stylu Broadwayu, na tyle przekonującym, że Maxine czuje początki torsji.

– Mieli nawet chęć filmować to cholerne *West Side Story* w dzielnicy, którą zamierzano wyburzyć. Przykro mi, Hermann Göring miał rację, gdy mówił, że kiedy słyszy słowo „kultura”, wyjmuje z kabury pistolet. Kultura wyzwala w bogaczach najgorsze instynkty, nie ma honoru, staje się domeną mieszkańców przedmieść, degeneruje się.

– Powinnaś poznać kiedyś moich rodziców. Nie przepadają za Lincoln Center, ale stale chodzą do Metropolitan Opera.

– Żartujesz. Elaine, Ernie i ja uczestniczyliśmy w tych samych demonstracjach.

– Moja matka demonstrowała? W jakiej sprawie? Żądała otwarcia sklepu dyskontowego?

– Nikaragua. – March nie jest rozbawiona. – Salwador, Ronald Reagan i jego kolesie.

W tamtym okresie Maxine mieszkała w domu, przygotowywała się do egzaminu dyplomowego, w weekendy wymykała się do klubu, gdzie odurzała się bezmyślną zabawą. Tylko od czasu do czasu zauważała, że Elaine i Ernie wydają się nieco wytrąceni z równowagi. Dopiero wiele lat później podzielili się z nią wspomnieniami o plastikowych kajdankach, gazie pieprzowym, nieoznakowanych furgonetkach i o tym, jak wykonuje swoje obowiązki policja.

– Znowu czułam się jak niewrażliwa córka. Musieli dostrzec jakąś skazę, wadę w moim charakterze.

– Może po prostu nie chcieli, żebyś miała kłopoty? – sugeruje March.

– Mogli powiedzieć, żebym z nimi poszła, osłaniałabym ich.

– Nigdy nie jest za późno, by zacząć. Bóg wie, że jest mnóstwo do zrobienia, myślisz, że coś się zmieniło? To tylko pozory. Pieprzonym faszystom, którzy wszystkim trzęsą, w dalszym ciągu zależy, żeby ludzie różnych ras się nienawidzili; właśnie w ten sposób utrzymują niskie płace i wysokie czynsze. Mają władzę nad całym East Side, wszystko jest brzydkie i martwe, takie jak lubią.

– Przypominam sobie – mówi teraz chłopcom Maxine. – March zawsze interesowała się polityką...

Przylepia do kalendarza żółtą karteczkę, by nie zapomnieć iść na zakończenie roku i zobaczyć, co knuje w tej chwili wściekła suka z siateczką na włosach.

\* \* \*

Zgłasza się Reg. Spotkał się ze swoim informatycznym guru, Erikiem Outfieldem, który odwiedził ukrytą sieć i badał sekrety hashslingrz.

– Powiedz mi: co to jest Altman Z?

– Algorytm pozwalający przewidzieć, czy firma zbankrutuje, na przykład w ciągu najbliższych dwóch lat. Wprowadza się dane numeryczne, a później oblicza liczbę Z. Powinna być mniejsza niż dwa i siedem dziesiątych.

– Eric znalazł cały folder wyników Altmana Z dotyczących różnych małych dotcomów. Obliczenia wykonał Gabriel Ice.

– Po co? Chciał je kupić?

Wykrętne gałki oczne.

– Hej, ja tylko przekazuję informacje.

– Pokazał ci te wyniki?

– Ma taką paranoję, że praktycznie nie kontaktujemy się przez internet. – Tak, a Reg nie jest paranoidalny. – Chce się spotykać tylko w metrze, twarzą w twarz.

Dziś zwariowany biały kaznodzieja chrześcijański na jednym końcu wagonu współzawodniczył z grupą czarnych, którzy śpiewali chórem na drugim końcu. Idealne warunki.

– Przyniosłem ci coś. – Reg wręcza Maxine płytę CD. – Powinienem ci powiedzieć, że osobiście pobłogosławił to Linus Torvalds szczyną pingwina.

– Ma to we mnie wzbudzić poczucie winy, tak?

– Jasne, to by pomogło.

– To moja sprawa, Reg. Nie czuję się zbyt komfortowo.

– Lepiej, że to ty, a nie ja. Szczerze mówiąc, nie miałbym odwagi.

Okazało się, że to nurkowanie na wielką głębokość, do dziwnego świata. Eric używa komputera w firmie, w której tymczasowo pracuje, dużej korporacji, praktycznie niezajmującej się informatyką, w środku kryzysu, którego nikt nie przewidział. To coś innego. Kiedy wraca z ukrytej sieci, za każdym razem jest coraz bardziej wytrącony z równowagi, tak się przynajmniej wydaje ludziom z sąsiednich boksów, chociaż wielu z nich spędza dużo czasu w serwerowni, wachając halon



z gaśnic przeciwpożarowych, toteż mogą mieć zaburzony ogląd sytuacji.

Sprawa nie jest taka prosta, jak Eric się spodziewał. Szyfry okazały się trudne, wręcz piekielnie trudne. Reg wyobrażał sobie, że można będzie tam robić krótkie wypadki, jednak Eric odkrył, że kasjerzy z tej sieci sklepów 7-Eleven strzelają seriami z broni maszynowej.

– Usiłuję się dostać do tego mrocznego archiwum, jest świetnie zabezpieczone, dowiem się, co jest w środku, dopiero wtedy, gdy tam wejdę.

– Ograniczony dostęp, tak?

– Idea polega na tym, że na wypadek jakiejś katastrofy, naturalnej lub wywołanej przez człowieka, umieszcza się kopie zapasowe na przypadkowych serwerach, w odległych miejscach, w nadziei, że przynajmniej jedna ocaleje. Oczywiście jeśli nie dojdzie do końca świata.

– Naszego świata.

– Widzę, że uważasz to za zabawne.

– Ice spodziewa się katastrofy?

– Bardziej prawdopodobne, że chce coś ukryć. Ludzie bywają wścibscy.

Pierwotna taktyka Erica polegała na tym, że udawał młodego hakera, który próbuje się bawić: sprawdzał, czy może się dostać do środka za pomocą programu Back Orifice, a następnie zainstalować serwer NetBus. Na ekranie natychmiast pojawiał się komunikat napisany czcionką arabską, który brzmiał: „Gratulacje, durniu! Myślisz, że ci się udało, ale tak naprawdę masz teraz cholernie wielkie kłopoty”.

Styl tego tekstu zwrócił uwagę Erica. Dlaczego specjaliści od bezpieczeństwa hashslingrz reagują w sposób tak emocjonalny? Dlaczego nie stosują krótkiego, biurokratycznego komunikatu „odmowa dostępu”? Coś w tym wszystkim, może połączenie brutalności i żartu, kojarzyło mu się z dawnymi hakerami z lat osiemdziesiątych.

Czy bawią się z nim w kotka i myszkę? Jakimi towarzyszami zabaw mogą się okazać? Eric doszedł do wniosku, że skoro udaje wężącego młodego hakera, nie powinien zdradzać, że wie, że ma do czynienia z firmą ciężkiego kalibru. Na początku próbował rozgryźć hasło, jakby było prymitywne jak za dawnych czasów, na przykład „Microsoft LM ukośnik”, co potrafią złamać nawet idioci. Wtedy facet od bezpieczeństwa napisał, znowu arabskimi znakami: „Czy naprawdę wiesz, co robisz, noobie?”.

Reg i Eric dotarli do centrum Brooklynu, od strony wyjścia słychać doo wop i recytację Biblii. Eric jest gotowy do ucieczki.

– Bez przerwy tam zaglądasz, Reg, czy kiedykolwiek spotkałeś jednego z ich specjalistów od bezpieczeństwa?

– Krążą plotki, że ten dział prowadzi osobiście Gabriel Ice. Podobno kiedyś wydarzyła się nieprzyjemna historia. Ktoś schował w szufladzie działający terminal i zapomniał o tym powiedzieć.

– Zapomniał... – Eric koniecznie chciałby już iść.

– Po czym nagle w sieci pojawiło się mnóstwo kodów źródłowych należących do firmy, które każdy mógł ściągnąć za darmo. Opanowanie sytuacji zajęło kilka miesięcy, stracili przez to duży kontrakt dla marynarki wojennej.

– A nieostrożny pracownik?

– Zniknął. To tylko legendy krążące wśród pracowników, rozumiesz.

– Pocieszające.

Reg uważa, że nie jest to bardziej niebezpieczne niż gra w szachy. Obrona, wycofanie się, oszustwo. Naturalnie, jeśli nie zmieni się to w podchody rozgrywane w parku, gdy przeciwnik staje się nagle wściekłym psychopata.

– To jakaś paranoja, ale Eric jest zaintrygowany – mówi Reg do Maxine. – Zastanawia się, czy to nie swego rodzaju egzamin wstępny. Jeżeli po drugiej stronie jest sam Ice, a Eric okaże się dostatecznie dobry, może pozwoli mu wejść. Czy powinienem kazać mu uciekać?

– Słyszałam, że to jedna z ich strategii rekrutacyjnych, możesz mu o tym wspomnieć. Mówisz o swoim projekcie z dużo mniejszym entuzjazmem, Reg.

– Tak naprawdę zaczęło chodzić o Zachodnie Wybrzeże. Sam już nie wiem, co robić.

Aha. Dzwonek alarmowy intuicji. Oczywiście nie jest to sprawa Maxine, ale...

– Twoja eks?

– Ten sam stary blues, nic ważnego. Ale teraz ona i jej mąż mówią o przeprowadzce do Seattle. Nie wiem, to jakiś korporacyjny ważniak. Wiceprezes do spraw Hemoroidów.

– Ach, Reg, przepraszam. W dawnych operach mydlanych „przeniesienie do Seattle” oznaczało, że aktor wypada ze scenariusza. Zawsze myślałam, że Amazon, Microsoft i inne firmy tego rodzaju zostały założone przez aktorów, którzy

stracili role w fikcyjnych operach mydlanych. Zdaje się, że teraz wszyscy są wysyłani do Vancouver.

– Czekam na jeszcze jedną niespodziankę, śliczną pocztówkę od Gracie z wiadomością: „Hura! Jesteśmy w ciąży!”. To powinno nastąpić lada chwila, prawda? Wreszcie wszystko się wyjaśni. Skończy się niepewność.

– Będziesz zadowolony?

– Lepsze to, niż gdyby jakiś dureń miał myśleć, że moje dzieci są jego. Mam od tego koszmary. Dosłownie. Jakby mógł się okazać jakimś pieprzonym pedofilem.

– Daj spokój, Reg.

– I co? Takie rzeczy się zdarzają.

– Przesadzasz z oglądaniem filmów rodzinnych, to źle działa na mózg, przestaw się na kreskówki po północy.

– Potrafiłbym to wytrzymać, naprawdę?

– Domyślam się, że nie mógłbyś się uwolnić.

– A gdybym miał zamiar działać aktywniej?

– O nie, Reg. Nie jesteś...

– Skończyć z tym? Odpalić petardę w dupie skurwysyna, piękna fantazja, prawda? Ale wtedy Gracie nigdy by się do mnie nie odezwała. Dziewczynki również.

– Hm, może nie.

– Myślałem także o szybkiej akcji, chwycić i uciec. Nie mogę sobie na to pozwolić. Prędzej czy później muszę iść do pracy. Wystarczy numer ubezpieczenia społecznego, by znów mnie dopadli, a wtedy prawnicy rozszarpią resztę mojego życia. Stary kołtun dostanie z powrotem dziewczynki, a mnie nie będzie

wolno nigdy więcej się z nimi spotkać. Ostatnio myślę, że może powinienem do nich pojechać i ładnie wypaść?

– Aha... Spodziewają się ciebie?

– Może najpierw znajdę pracę, a potem wszystkich zaskoczę? Nie chcę, żebyś myślała o mnie źle. Wiem, że wygląda to trochę tak, jakbym przed czymś uciekał, ale tak naprawdę uciekałem przed Nowym Jorkiem. A teraz między mną a moimi dziećmi będzie cały kontynent. To za daleko.

\* \* \*

Kiedy Maxine sprawdza niewielkie, świeżo założone firmy, takie jak hwgaahwgh.com, ma zwyczaj rozglądać się za inwestorami. Jeśli ktoś może stracić pieniądze, zawsze istnieje szansa, że zechce ją wynająć w nadziei, że uda się coś uratować. W przypadku hwgaahwgh.com nieustannie pojawia się firma venture capital z dzielnicy SoHo na Manhattanie, działająca pod nazwą Streetlight People. Maxine kojarzy się to z balladą *Don't Stop Believing*. Wśród jej klientów – zbieg okoliczności, niewątpliwie – jest również hashslingrz.

Streetlight People mieści się w starej, przebudowanej fabryce w pobliżu jednej z głównych alei handlowych SoHo. Odległe echa ery manufaktur, dawno temu wygładzone przez dźwiękochłonne przepierzenia, ekrany i wykładziny dywanowe, wszędzie panuje neutralna, spokojna cisza. Fotel Buddy Nightingale wśród masy niepewnych chabrow, żonkili i fuksji, niklowane stacje robocze, specjalnie zaprojektowane

przez Zoeya Chu, gdzieś czarne, skórzane fotele Otto Zapfa dla szefów.

Rockwell „Rocky” Słagiatt, gdyby go spytać, wyjaśniłby, że zniknięcie samogłoski na końcu jego nazwiska to cena gładkiego rytmu prowadzenia interesów, jak libretto opery. W istocie uważał, że „Słagiatt” będzie brzmiało bardziej po angielsku, chociaż gdy ma specjalnych gości, do których zdaje się dziś zaliczać Maxine, nagle odrzuca pozory i znów zaczyna się zachowywać jak cudzoziemiec. Stosowane przez niego podstępny są powszechnie znane.

– Hej, chce pani coś zjeść? Kanapkę z pieprzem i jajkiem?

– Dziękuję, ale niedawno...

– To kanapka z pieprzem i jajkiem mojej matki!

– Cóż, panie Słagiatt, to zależy. Czy ma pan na myśli to, że przygotowała ją pańska matka? A może to jej własna kanapka, którą z jakiegoś powodu trzyma w kredensie zamiast w lodówce?

W czasie sesji z Shawnem Maxine opanowała wyrafinowaną azjatycką technikę o nazwie „fałszywe jedzenie”, toteż w razie potrzeby będzie udawać, że je kanapkę z pieprzem i jajkiem, która mimo swojego autentycznego wyglądu może zawierać dowolną truciznę.

– W porządku! – Słagiatt chwyta kanapkę, która nienaturalnie grzechocze. – Jest z plastiku! – Wrzuca ją do szuflady.

– Trudno by ją pogryźć.

– Jesteś dowcipna, Maxi. Mogę cię nazywać Maxi?

– Jasne. A ja ciebie Rocky?

– Jeśli chcesz. Nie ma pośpiechu. – Nagle uśmiecha się jak Cary Grant.

Co jest?! Gdzieś na skraju pola widzenia Maxine poruszają się od dawna nieużywane wąsy czuciowe i zaczynają odbierać sygnały.

Slagiatt podnosi słuchawkę telefonu.

– Nikogo nie łączyć, okay? Co takiego? No, powiedz... Nie. Nie, drag along jest absolutnie sztywny. Podział akcji między wspólnikami a zarządem, może podwójna ilość, ale pogadaj o tym ze Spudem. – Odkłada słuchawkę, otwiera plik w komputerze. – W porządku, chodzi o hwgaahwgh.com, który niedawno splajtował?

– Który finansujesz albo raczej finansowałeś jako inwestor?

– Tak, załatwiliśmy emisję serii A. Od tamtej pory traktowaliśmy to jako *mezzanine*, wczesne etapy są za łatwe, prawdziwe wyzwanie... – zawzięcie stuka w klawiaturę – ... polega na opracowaniu właściwej struktury transz... wycenie firmy, a wtedy reguły zmieniają się w czasie gry, jak w sprawie Wayne’a Gretzky’ego. Wiemy, gdzie dziś siedzi diablik, ale nie mamy pojęcia, dokąd przeniesie się w przyszłości, rozumiesz, co mam na myśli.

– I gdzie był?

Slagiatt zerka na ekran.

– Jesteśmy cholernie skrupulatni, codziennie wszystko jest zapisywane w logach, potem je archiwizujemy, wrażenia, nadzieje, lęki... Wygląda na to, że... nawet na podstawie zestawienia okresowego... ci goście byli za bardzo wybredni, jeśli chodzi o wybór procedury likwidacyjnej. Trwało to o wiele

dni dłużej, niż powinno. Na końcu otrzymaliśmy wartość 1-X w jednej, nieistotnej pozycji, a więc... Nie chcę być wścibski, ale dlaczego przychodzisz do nas w tej sprawie?

– Niepokoi cię, że ktoś się wami interesuje?

– Nie jesteśmy lichwiarzami. Popatrz na półkę.

Maxine patrzy.

– Macie firmową drużynę kręglarską?

– Nagrody branżowe, Maxine. W dziewięćdziesiątym ósmym dostaliśmy ostrzeżenie od Komisji Papierów Wartościowych i Giełdy. – Mówi z pasją, jak ofiara napadu zaproszona do udziału w talk-show. – Pojechaliśmy razem nad jezioro George, wszystko uczciwie przedyskutowaliśmy, urządziliśmy głosowanie, zamknęliśmy ten rozdział, mamy to za sobą.

– Moje gratulacje. Zawsze miło odnaleźć wymiar moralny. Może pomoże ci to docenić znaczenie zabawnych liczb, jakie odkryłam.

Streszcza wyniki analiz rozkładu Benforda w rachunkach hashslingrz.

– Ważne źródło tych podejrzanych płatności to hwgaahwgh.com. Co najdziwniejsze, po postawieniu tej firmy w stan likwidacji kwoty dramatycznie wzrosły i zaczęły znikać, transferowane za granicę.

– Pieprzony Gabriel Ice!

– Słucham?

– Wiadomo, że gość inwestuje w akcje debiutujących firm, o których wie, że szybko padną, bo je sprawdził Altmanem Z. Najczęściej kupuje kilka procent udziałów, mniej niż pięć.



Wykorzystuje je do przekazywania funduszy, które chce ukryć. Hwgaahwgh wygląda na jedną z takich firm. Ciekawe, gdzie idą te pieniądze i po co, prawda?

– Pracuję nad tym.

– Nie gniewaj się, że pytam, ale kto cię namówił do zajęcia się tą sprawą?

– Ktoś, kto nie chciałby się w to angażować. Z twojej listy klientów wynika, że robisz interesy również z Gabrielem Ice'em.

– Nie bezpośrednio, od dłuższego czasu.

– Nie utrzymujesz z Ice'em kontaktów towarzyskich? Ty, a może nawet... – Maxine wskazuje oprawioną fotografię na biurku Rocky'ego.

– Cornelia – mówi Rocky, kiwając głową.

Maxine patrzy na zdjęcie.

– Jestem pewna, że wiesz, co robisz.

– Nie tylko śliczna dziewczyna, jak widzisz, ale elegancka dama, stara szkoła. Poradzi sobie z każdym wyzwaniem.

– Gabriel Ice to wyzwanie?

– W porządku, byliśmy na kolacji, raz. Może dwa. Lokale na East Side, gdzie kelnerzy ścierają na tarce trufle nad jedzeniem, aż każe się im przestać... Stare roczniki szampana i tak dalej... Dla Gabe'a zawsze najważniejsza jest cena... Nie widziałem ich od zeszłego lata w Hamptons...

– Hamptons, jasne.

Elegancka szcurza nora, letni kurort bogatych i sławnych Amerykanów, gdzie w wakacje przybywają tysiące yuppie, którzy chcą ich naśladować. Połowa spraw prowadzonych

przez Maxine prędej czy później prowadzi do czyichś chorych fantazji na temat Hamptons, które i tak jest już towarem przeterminowanym, jeśli jeszcze nikt tego nie zauważył.

– Trochę jak Montauk. Nawet nie nad brzegiem morza, tylko w lesie.

– A więc wasze drogi...

– Czasem się krzyżują, jasne, kilka razy markety IGA, *enchiladas* w Blue Parrot, ale Ice'owie obracają się teraz w zupełnie innych kręgach.

– Oceniałam, że są co najmniej na poziomie firmy doradczej Further Lane.

Wzruszenie ramionami.

– Moja żona twierdzi, że nawet w South Fork ciągle są opory przed milionerami w stylu Ice'a. Wybudowanie domu na ruchomych piaskach to jedno, ale zapłacenie za niego pieniędzmi, które nie wszyscy uważają za realne, to coś innego.

– Gadanina w stylu *I Ching*.

– Zauważyła. – Znów ten lekko psotny wyraz oczu.

Aha.

– A jacht? Co z jachtem? Mają jacht?

– Może go wynajmują.

– Oceaniczny?

– Czy jestem Moby Dickiem? Jeśli jesteś ciekawa, jedź i sama zobacz.

– Tak, jasne, a kto za to zapłaci? Gdzie diety? Rozumiesz, co mam na myśli?

– Ach, robisz to za darmo?

– Na razie wydałam półtora dolara na metro, by tu przyjechać, chyba wytrzymam ten wydatek. Poza tym...

– To żaden problem. – Podnosi słuchawkę telefonu. – Tak, Lupita, *mi amor*, czy mogłabyś wypisać czek na... hm. – Spogląda z uniesionymi brwiami na Maxine, która pokazuje pięć palców. – Pięć tysięcy dolarów, płatne na rzecz...

– Pięćset. – Maxine wzdycha. – Jezu, w porządku, jestem pod wrażeniem, ale na początek pięćset całkowicie wystarczy. Nie martw się, przy następnej fakturze możesz się bawić w Donalda Trumpa, okay?

– Po prostu staram się pomóc, to nie moja wina, że jestem z natury hojny, prawda? Mogę przynajmniej zaprosić cię na lunch?

Maxine ryzykuje spojrzenie na twarz Słagiatta, który, jak się okazuje, promienieje niczym Cary Grant i uśmiecha się z zainteresowaniem. Aach! Co zrobiłyby w tej sytuacji Ingrid Bergman, Grace Kelly?

– Sama nie wiem...

W rzeczywistości wie, ponieważ ma w mózgu automat pozwalający przewijać taśmę do przodu i potrafi zobaczyć samą siebie za kilka dni, gdy stanie przed lustrem, popatrzy na swoje odbicie i powie: „Co ty sobie właściwie myślałaś, do cholery?”. W tej chwili nie pojawia się żaden sygnał ostrzegawczy. Hm. Może rzeczywiście mogłaby zjeść lunch?

Idą za róg, do włoskiej restauracji Enrico, która, jak Maxine pamięta, miała doskonałe oceny w Zagat Survey, i znajdują stolik. Maxine wychodzi do toalety i wracając, jeszcze zanim przekracza próg sali, słyszy, jak Rocky sprzecza się z kelnerem.

– Nie! – W oczach Rocky’ego lśni złośliwa radość, jaką Maxine widywała u niektórych dzieci. – Nie *pas-ta e fa-gio-li*. Zdaje się, że powiedziałem: *pastafazoli*.

– Ależ proszę szanownego pana, nazwa jest podana w menu. – Kelner usłużnie wskazuje poszczególne słowa. – *Pasta e fagioli*.

Rocky spogląda na palec kelnera, zastanawiając się, jaką metodą oddzielić go od dłoni.

– Czyż nie jestem rozsądnym człowiekiem? Naturalnie! A zatem powinniśmy skorzystać z klasycznego źródła. Powiedz mi, synu, czy Dean Martin śpiewa: „Kiedy gwiazdy świecą w soli niczym *pasta e fagioli*”? Nie, tak naprawdę śpiewa...

Maxine siedzi i milczy, starając się nie mrugać, gdy tymczasem Rocky, bynajmniej nie *sotto voce*, lecz na cały głos, zaczyna śpiewać piosenkę Deana Martina. Właściciel, Marco, wystawia głowę z kuchni.

– Ach, to ty. *Che si dice?*

– Wytłumaczysz mu to?

– Denerwuje cię? Za pięć minut znajdzie się w kontenerze na śmieci razem z muszlami *scungilli*.

– Może przygotować dla niego menu z inną pisownią?

– Jesteś pewny? Musiałbym iść do komputera. Łatwiej po prostu dać mu w mordę.

Kelner, który oglądał dwa odcinki *Rodziny Soprano*, rozumie, o co chodzi, i stoi z boku, starając się za bardzo nie przewracać oczami.

Maxine decyduje się w końcu na *strozzapreti* domowej roboty z wątróbkami z kurcząt, a Rocky zamawia *ossobuco*.

– Hej, a co z winem?

– Może tignanello rocznik siedemdziesiąt jeden...? – Przemądrzały dialog koneserów win. – Albo po prostu nero d'avola? Niewielki kieliszek?

– Czytasz w moich myślach. – W jego oczach pojawia się błysk, który Maxine mogła chcieć sprowokować: nie jest to opóźniona reakcja na drogie toskańskie wino.

O co właściwie chodzi?

Rozlega się dzwonek komórki Rocky'ego. Maxine poznaje melodię *Una furtiva lagrima*.

– Posłuchaj, kochanie, sprawa wygląda tak... Zaczekaj... *Un gazz*, rozmawiam z robotem, tak? Znowu... A więc, aha! Jak się masz? Jak długo jesteś robotem...? Czy to praca dająca satysfakcję? Przypadkiem nie jesteś Żydem? Tak, w wieku trzynastu lat, czy twoi rodzice urządzili ci robot micwę?

Maxine lustruje sufit.

– Czy mogłabym o coś cię spytać? Interesuję się tym z powodów zawodowych... Orientujesz się przypadkiem, za czyje pieniądze założono hashslingrz, na samym początku?

– W tamtych czasach wszyscy spekulowali – wspomina Rocky. – Normalni podejrzani: Greylock, Flatiron, Union Square, ale tak naprawdę nikt tego nie wiedział. Mógł to być każdy, kto potrafił dochować tajemnicy. Nawet jeden z banków. Czemu pytasz?

– Próbuje zawęzić obszar poszukiwań. Anioł biznesu, jakiś ekscentryczny prawicowiec z południowej części Stanów, mieszkający w klimatyzowanym domu? A może bardziej zinstytucjonalizowane zło?

– Zaczekaj. Co właściwie sugerujesz, jak mogłaby powiedzieć moja żona?

– A co z twoimi starymi przyjaciółmi z Partii Republikańskiej? – pyta Maxine.

– Ach, to dawne dzieje, Lucky Luciano, OSS, proszę, zapomnij o tych sprawach. Starzy mafiosi, w większości już nie żyją. Oczywiście rodziny dalej istnieją, młodsze pokolenia mogą mieć trochę szacunku dla historii, ale dziś uwagę dzieciaków absorbuje wiele innych rzeczy, zapominają o lojalności, błyskawicznie tworzą rodziny w internecie. Może nie łączą ich więzy krwi, ale są znacznie większe.

– Oczywiście nie ma w tym żadnych negatywnych podtekstów etnicznych?

– Mam przyprowadzić Longy’ego Zwillmana? Witajcie w świecie cudownych dzieci! – Unosi kieliszek i delikatnie trąca jej kieliszek.

Maxine słyszy, jak z portmonetki śmieje się do niej niezapłacony jeszcze rachunek, jakby padła ofiarą złośliwego kawału.

Z drugiej strony nero d’avola nie jest wcale takie złe. Dobrodusznie kiwa głową.

– Zaczekajmy, aż dostanę fakturę.

# 7

Pewnego wieczoru Maxine jedzie wreszcie do Vyrvy, by obejrzeć aplikację DeepArcher, stanowiącą przedmiot powszechnego pożądania, choć w gruncie rzeczy nikt nie zna jej możliwości. Bierze ze sobą Otisa, który natychmiast znika z Fioną w jej pokoju, gdzie znajduje się mnóstwo pluszaków Beanie Baby oraz centrum handlowe Melanie, zabawka dziwnie intrygująca chłopca. Melanie przypomina miniaturową Barbie i ma złotą kartę kredytową, którą płaci za ubrania, kosmetyki, fryzjera i inne niezbędne rzeczy, lecz Otis i Fiona nadali jej nieco mroczniejszą tożsamość, wymagającą szybkich zmian strojów. W centrum handlowym znajduje się fontanna, pizzeria, bankomat i co najważniejsze, schody ruchome, które przydają się do organizowania strzelanin. Otis wprowadził do idylli zamożnej dziewczyny z przedmieść kilka groźnych postaci z kina akcji, wiele z kreskówki *Dragon Ball Z*, w tym księżniczkę Vegetę, Goku, Gohana, Zarbona i innych. Tematem scenariuszy są przede wszystkim napady z bronią w rękę, zuchwałe kradzieże w sklepach i ataki na yuppie, które zawsze kończą się rozległymi zniszczeniami centrum handlowego, często z rąk alter ego Fiony, eponimicznej Melanie, w pelerynie i z pasami amunicyjnymi. Wśród fikcyjnego dymu i ruin

wszędzie leżą plastikowe zwłoki z urwanymi kończynami, a Otis i Fiona kończą każdy scenariusz, przybijając sobie piątkę i śpiewając refren z reklamy telewizyjnej centrum handlowego Melanie: „Centrum jest cool!”.

Lucas, wspólnik Justina, mieszkający w Tribeca, pojawia się tego wieczoru trochę później, ponieważ ścigał swojego dilerę przez pół Brooklynu, szukając modnego zioła o nazwie „katastrofa kolejowa”. Nosi zielony, jarzący się w ciemności T-shirt z napisem UPAD, który Maxine na początku bierze za anagram wyrazu DUPA, po czym okazuje się, że jest to skrót z Unixa, oznaczający: „Uruchom program autoformatujący, durniu”.

– Nie wiemy, co Vyrva powiedziała ci o DeepArcherze – mówi Justin. – To ciągle wersja beta, więc się nie dziw, że od czasu do czasu pojawiają się różne zgrzyty.

– Muszę was ostrzec, że nie jestem w tym zbyt dobra, moi chłopcy za tym wariują, gramy w Super Mario, skaczą i depczą po mnie.

– To nie gra – prostuje Lucas.

– Chociaż pierwotnym źródłem są gry komputerowe – wtrąca Justin. – Jak klony gier MUD, które zaczęły się pojawiać w sieci w latach osiemdziesiątych i składały się głównie z tekstu. Lucas i ja dorastaliśmy w wieku VRML, zrozumieliśmy, że dysponujemy odpowiednią grafiką, więc ją dodaliśmy. Zajmował się tym Lucas.

– Tylko oprawą – mówi poważnie Lucas. – Oczywiście źródła: Neo-Tokyo z *Akiry*, *Ghost in the Shell*, *Metal Gear Solid*



w wersji Hideo Kojimy albo, jak jest nazywany w naszej branży, Boga.

– Im głębiej wchodzisz i mijasz kolejne węzły, obrazy, które się pojawiają, są tworzone przez użytkowników z całego świata. Zupełnie za darmo. Etyka hakerów. Każdy z nich wykonuje swoją część pracy, po czym znika bez śladu. Konstruuje kolejne warstwy iluzji. Wiesz, co to jest awatar, prawda?

– Jasne, raz wypisano mi na niego receptę, zawsze mi się od tego kręci w głowie, sama nie wiem, jak to nazwać...

– W wirtualnej rzeczywistości – zaczyna wyjaśniać Lucas – to trójwymiarowy obraz wykorzystywany jako własny wizerunek...

– Tak, rzeczywiście, awatary funkcjonują w grach, ale ktoś mi mówił, że w hinduizmie awatar to wcielenie. Dlatego bez przerwy się zastanawiam: kiedy przechodzisz na drugą stronę ekranu i wkraczasz do rzeczywistości wirtualnej, czy jest to coś w rodzaju śmierci i reinkarnacji? Rozumiesz, co mam na myśli?

– To po prostu kod. – Justin wydaje się trochę zdziwiony. – Pamiętaj, że jedząc zimną pizzę i popijając whisky, przez całą noc pisało go kilku geeków, niezupełnie w VRML, ale w jego mutacji, to wszystko.

– Oni nie zajmują się metafizyką. – Vyrva obdarza Maxine uśmiechem pełnym sympatii i rozbawienia; musiała widzieć wiele takich sytuacji.

Justin i Lucas poznali się na studiach w Stanford University. Często wpadali na siebie w okolicach Margaret Jacks Hall, zwanego pieszczotliwie Marginal Hacks, ówczesnej siedziby Wydziału Informatyki. Świetnie zdali kolejne egzaminy

końcowe i do chwili uzyskania dyplomów spędzili długie tygodnie na pielgrzymkach po Sand Hill Road, odwiedzając firmy venture capital mieszczące się przy tej ulicy, która niebawem miała przejść do legendy. Dyskutowali dla zabicia czasu, drżeli z niepokoju, czy sprostają oczekiwaniom, a niekiedy po prostu stali w korkach typowych dla tej epoki i pogrążeni w medytacji niczym buddyści zen, podziwiali roślinność. Pewnego dnia skręcili w niewłaściwym kierunku i trafili na doroczne wyścigi domowej roboty pojazdów bezsilnikowych, odbywające się na Sand Hill. Skraj drogi zabezpieczono belami słomy, a kilka tysięcy gapiów obserwowało uczestników zawodów, którzy zjeżdżali ze wzgórza na pojazdach własnej konstrukcji. Pędzili w dół, w stronę widocznej w oddali wieży w Stanford, rzekomo pod działaniem ziemskiej grawitacji.

– Widzisz tego dzieciaka, który przed chwilą przeleciał statkiem kosmicznym z lat pięćdziesiątych? – spytał Justin.

– To nie dzieciak – odparł Lucas.

– Tak, wiem, czy to nie Ian Longspoon? Specjalista od venture capital, z którym jedliśmy lunch w zeszłym tygodniu? Pił fernet branca na przemian z piwem imbirowym?

Kolejny nieudany lunch Justina i Lucasa. Prawdopodobnie w restauracji Il Fornaio w hotelu Garden Court w Palo Alto, chociaż żaden z nich już tego nie pamięta, wszyscy się trochę popili. Pod koniec Longspoon zaczął wypisywać czek, ale dodawał coraz więcej zer, a kiedy blankiet się skończył, pisał dalej na obrusie. Po chwili wylądowała na nim z trzaskiem jego głowa.

Lucas sięgnął ukradkiem po książeczkę czekową i zauważył, że Justin zmierza do wyjścia.

– Zaczekaj, może ktoś to zrealizuje, gdzie idziesz?

– Wiesz, co się stanie, jak się obudzi. Nie możemy płacić za kolejny lunch, na który nas nie stać.

To, co nastąpiło, nie przyniosło im zaszczytu. Kelnerzy zaczęli szybko coś mówić do mikroskopijnych mikrofonów wpiętych w klapy marynarek. Opaleni na egzotycznych plażach technokraci, którzy z początku przyglądali im się z zainteresowaniem, odwrócili głowy, krzywiąc się. Kiedy biegli do wyjścia, wojowniczy pomocnicy kelnerów ochlapali ich gorącą zupą. Parkingowy przez moment się zastanawiał, czy nie przebić opon samochodu Justina, po czym zadowolił się splunięciem.

– Chyba mogło być gorzej – zauważył Justin, gdy znaleźli się na autostradzie numer 280 i byli już względnie bezpieczni.

Cóż, Longspoon uczestniczył teraz w wyścigu pojazdów domowej roboty i mieli doskonałą okazję spytać, jak się wtedy czuł, lecz obserwowali go tylko, ukryci za deską rozdzielczą samochodu. Myśleli, że wiedzą, czym jest przymus, ale nie spotkali jeszcze żadnego nowojorskiego inwestora.

Maxine może to sobie wyobrazić. W latach dziewięćdziesiątych Aleja Krzemowa dostarczała mnóstwo pracy tropicielom oszustw. W grę wchodziły ogromne pieniądze, zwłaszcza po 1995 roku, i trudno było oczekiwać, że niektórzy kanciarze nie spróbują czegoś uszczknąć, szczególnie specjaliści od HR, którzy często mylili skomputeryzowaną listę płac z licencją na kradzież. Nawet jeśli temu pokoleniu

oszustów czasem brakowało umiejętności informatycznych, nadrabiali to w sferze inżynierii społecznej i wielu przedsiębiorców zaangażowanych w rozwój nowoczesnych technologii, z natury ufnych, dało się nabrać. Ale niekiedy trudno było odróżnić oszusta od oszukanego. Kursy akcji niektórych debiutujących firm wydawały się szaleństwem, więc na czym polegała różnica? Maxine nie mogła tego nie zauważyć. Czy biznesplan oparty na wierze w „efekty sieciowe”, które kiedyś mają się pojawić, różni się czymś od obietnicy manny z nieba, znanej jako schemat Ponziego? Kapitalistyczni spekulanci, słynni z chciwości i budzący powszechny strach, wychodzili ze spotkań informacyjnych z pustymi portfelami i ze łzami w oczach po obejrzeniu specjalnie przygotowanych przez nerdów filmów wideo z komunikatami podprogowymi i wysłuchaniu ścieżek dźwiękowych zawierających składanki starych przebojów, które grały na emocjach szybciej niż maniak gry na Nintendo 64. Kto tu był mniej niewinny?

Maxine przygląda się Justinowi i Lucasowi, szukając oznak złośliwego oprogramowania psychologicznego. Od początku boomu jej znajomość świata geeków znacznie wzrosła, choć w żadnym wypadku nie jest kompletna, i Maxine stwierdza, że nawet zgodnie ze swobodnymi definicjami stosowanymi w owej epoce, dwaj współnicy wydają się uczciwi, może nawet niewinni. Może przyczyną jest Kalifornia, skąd pochodzą prawdziwe nerdy, gdy tymczasem na Wschodnim Wybrzeżu istnieją tylko ludzie w garniturach, którzy obserwują, co działa, a co nie działa, i starają się naśladować wszystkie

najmodniejsze nowinki technologiczne. Ale należy ostrzec każdego, kto chciałby przenieść swoją firmę z Kalifornii do Nowego Jorku – Maxine zachowałaby się nieprofesjonalnie, gdyby nie podzieliła się z Justinem i Lucasem swoją wiedzą na temat złodziejstwa panującego w jej rodzinnym mieście, prawda? Toteż rozmawiając z nimi, chwilami zachowuje się jak Pomocna Nowojorcanka, a chwilami wciela się w bardziej złowieszczą rolę – gderliwej, gestykulującej baby udzielającej bezpłatnych rad, których sama się boi, znanej jako Żydowska Matka.

Cóż, okazuje się, że nie ma się czym przejmować: Lucas i Justin są w rzeczywistości sprytniejsi, niż Maxine sobie wyobrażała, i nie mają w sobie nic z harcerzy. Gdzieś w Dolinie Krzemowej, wśród gajów pomarańczowych rosnących między kompleksami przemysłowymi, nagle przeżyli wspólne objawienie na temat różnic między Kalifornią a Nowym Jorkiem – Vyrva uważa, że poczucie wspólnoty było najważniejsze. Chodziło o to, że w Kalifornii jest zbyt wiele słońca, samooszukiwania się, lenistwa. Słyszeli plotki, że na wschodzie treść ma decydujące znaczenie, że nie jest tylko czymś, co należy ukraść i zmienić w scenariusz filmowy. Doszli do wniosku, że potrzebują ponurego, bezlitosnego miejsca pracy w mieście, gdzie lato od czasu do czasu się kończy i gdzie dyscyplinę traktuje się jako rzecz naturalną. Kiedy wreszcie odkryli prawdę i przekonali się, że Aleja Krzemowa to taki sam dom wariatów jak Dolina Krzemowa, było już za późno, by wrócić.

Zdobyli kapitał początkowy, pozyskali inwestorów i wyemitowali akcje serii A za pomocą szacownej firmy Voorhees, Krueger z Sand Hill Road. Znalazłszy się na Wschodnim Wybrzeżu, Justin i Lucas, niczym amerykańscy nowicjusze podbijający sto lat wcześniej stary kontynent uginający się pod brzemieniem historii, szybko złożyli wizyty odpowiednim ludziom i w 1997 roku otworzyli biuro w kilku pokojach podnajętych od projektanta stron internetowych, któremu zależało na gotówce. Siedziba firmy mieściła się w ciągle zaczarowanej krainie między dzielnicą Flatiron a East Village. Nawet jeśli wciąż najważniejsza była treść, przeszli szybki kurs w zakresie patriarchalnych podtekstów, morderczej walki między książętami nerdów, mrocznych historii dynastycznych. Wkrótce zaczęto o nich pisać w czasopismach branżowych i w portalach plotkarskich, pojawiali się na przyjęciach organizowanych przez firmę Courtney Pulitzer Creations w centrum miasta, o czwartej nad ranem pili calimochó w barach stylizowanych na widmowe stacje zamkniętych linii metra, flirtowali z dziewczynami, których koncepcja mody obejmowała różnego rodzaju akcesoria wampirów, na przykład sztuczne kły wykonane na przedmieściach przez tanich litewskich ortodontów.

– A więc... – mówi przystojna młoda dama, rozkładając dłonie – miło tu i przyjemnie, prawda?

– Po tych wszystkich historiach, które słyszeliśmy... – Lucas kiwa głową, spoglądając z sympatią na jej cycki.

– Byłam kiedyś w Kalifornii. Muszę powiedzieć, że człowiek jedzie tam, spodziewając się czegoś fantastycznego, po czym

przeżywa szok... Jak to nazwać: pretensje? podejrzliwość? Tu, w Alei Krzemowej, nikt nikim nie gardzi tak bardzo, jak to robią ci goście z Marin. Och, przepraszam, nie należycie do społeczności Well, prawda?

– Do licha, nie! – gdacze Lucas. – Robi nam się niedobrze na widok tych facetów!

Zanim rynek technologiczny zaczął się załamywać, Justin i Vyrva odłożyli dość pieniędzy, by kupić dom i trochę ziemi w hrabstwie Santa Cruz, i jeszcze trochę im zostało. Lucas inwestował fundusze w sposób nieco mniej związany z życiem rodzinnym: handlował opcjami, kupował dziwaczne instrumenty finansowe, których mechanizmy działania rozumieją tylko socjopatyczni analitycy, i po pęknięciu bańki internetowej poniósł znacznie większe straty finansowe. Wkrótce zaczęli przychodzić ludzie, którzy pytali, czasami nieuprzejmie, gdzie można go znaleźć, a Vyrva i Justin starali się go chronić przed niemiłymi natrętami.

– Chodź. – Lucas prowadzi Maxine spiralnymi schodami do pracowni Justina na piętrze.

Panuje w niej obsesyjny nieład: monitory, klawiatury, dyski bez opakowań, drukarki, kable, napędy Zip, modemy, rutery. Jedyne książki, jakie widać, to podręcznik CRC, *Programming Perl* i trochę komiksów. Ścianę pokrywa zrobiona na zamówienie tapeta przedstawiająca zapis heksadecymalny, a Maxine z przyzwyczajenia szuka w nim powtarzających się komórek, lecz żadnych nie znajduje. Do tego kilka plakatów Carmen Electry, głównie z okresu *Słonecznego patrolu*, oraz

stojący w rogu gigantyczny parowy ekspres do kawy Isomac, który Vyrva nazywa Insomniakiem.

– Centrum kontroli DeepArchera. – Lucas wykonuje szeroki gest, jak gdyby dokonywał prezentacji.

Na początku Lucas i Justin, jakby posiadając dar jasnowidzenia, zamierzali stworzyć wirtualne sanktuarium pozwalające uciec przed różnymi przykrościami rzeczywistego świata. Olbrzymi motel dla cierpiących, miejsce, do którego można dotrzeć wirtualnym nocnym pociągiem z każdego miejsca wyposażonego w klawiaturę. Oczywiście pojawiły się Twórcze Różnice Zdań, ale co dziwne, nie miało to konsekwencji. Justin chciał się cofnąć w czasie, do Kalifornii, która nigdy nie istniała, zawsze słonecznej, w której tak naprawdę słońce nigdy nie zachodzi, chyba że ktoś chce zobaczyć romantyczny zachód słońca. Lucas szukał miejsca, można powiedzieć, trochę ciemniejszego, gdzie często pada deszcz i panują długie okresy ciszy, niosące destrukcyjną siłę. Syntezą stał się DeepArcher.

– Och, Cinerama!

– Fajne, co? – Vyrva włącza ogromny siedemnastocalowy monitor LCD. – Zupełnie nowy zestaw, normalnie kosztuje tysiąc dolarów, ale dostaliśmy zniżkę.

Maxine szybko skanuje Vyrwę swoimi sensorami wykrywacza oszustw, przypominając sobie, że w gruncie rzeczy nie wie, w jaki sposób wspólnicy zarabiają pieniądze.

Justin podchodzi do stołu, siada przy klawiaturze i zaczyna pisać, gdy tymczasem Lucas skręca dwa jointy. Nagle w oknach



opadają żaluzje sterowane za pomocą pilota, miasto zostaje na zewnątrz, przygasają światła i rozjarzają się ekrany.

– Jeśli chcesz, możesz usiąść przy tamtej klawiaturze – mówi Vyrva.

Na ekranie pojawia się obraz, przygaszona paleta dwustu pięćdziesięciu sześciu kolorów, żadnych napisów, żadnej muzyki. Wysoka postać, męczyzna lub kobieta, z długimi włosami spiętymi srebrną spinką, Archer, czyli Łucznik, dotarła do krawędzi ogromnej otchłani. W dali biegnie droga, widziana w perspektywicznym skrócie, przecinająca zalany słońcem krajobraz rzeczywistego świata: lasy, pola uprawne, przedmieścia, autostrady, wieżowce spowite lekką mgiełką. Resztę ekranu zajmuje otchłań – nie pustka, lecz ciemność pulsująca światłem, które istniało przed wynalezieniem światła. Łucznik stoi na skraju, z napiętym łukiem, celuje w dół, w niezmierną przestrzeń, czeka. Jego twarz jest częściowo odwrócona, lecz widać, że maluje się na niej wyraz czujności i spokoju. Trawa i krzewy lekko się chwieją, poruszane wiatrem.

– Wygląda to tak, jakbyśmy z lenistwa nie zrobili porządnej animacji – mówi Justin – ale przyjrzyj się uważnie: zauważysz, że włosy również lekko się poruszają. Zdaje się, że Łucznik w pewnej chwili mruga, lecz trzeba specjalnie zwracać na to uwagę. Chcieliśmy, żeby stał nieruchomo, ale nie wyglądał jak sparaliżowany.

Kiedy program jest już załadowany, nie pojawiają się napisy, nie słychać muzyki – rozlega się wszechobecny hałas, który powoli staje się coraz głośniejszy. Maxine rozpoznaje

odgłosy tysięcy dworców kolejowych i autobusowych oraz portów lotniczych. Po chwili ukazuje się wnętrze jednego z takich terminali, wyłania się stopniowo, zapierając dech w piersiach – obraz jest znacznie bardziej szczegółowy niż wszystko, co Maxine widziała w grach Ziggy’ego i jego kolegów. Oprócz typowego brązu gier wideo widać pełne spektrum kolorów bardzo wczesnego poranka tuż przed wschodem słońca, wielokąty znakomicie wygładzono, by tworzyły ciągle krzywe, renderowanie, modelowanie, cienie, łączenie barw, efekty rozmazania, wszystko wykonano elegancko, może nawet... genialnie? Final Fantasy X wygląda przy tym jak szkicowa wprawka. Zbliża się komputerowy przejrzysty sen i pochłania Maxine, która ku swojemu zdziwieniu poddaje się bez paniki.

Widać napisy: SALA ODJAZDÓW DEEPARCHERA. Czekający pasażerowie mają prawdziwe twarze, na pierwszy rzut oka Maxine ma wrażenie, że zna niektóre z nich lub powinna znać.

– Miło cię widzieć, Maxine. Spędzisz z nami trochę czasu?

– Nie wiem. Kto wam podał moje imię?

– Śmiało, rozejrzyj się, posługuj się myszą, klikaj, na co chcesz.

Jeśli Maxine ma odbyć podróż, ciągle nie dochodzi ona do skutku. Odjazd w nieskończoność się odwleka. Domyśla się, że należy wejść do wehikułu przypominającego pociąg. Na początku nawet nie wie, że jest gotowy do odjazdu, i pociąg znika. Później nie może odnaleźć drogi na właściwy peron. Ze znakomicie zaopatrzonego baru na piętrze widać uderzającą panoramę – ludzie, staroświeccy, a zarazem

postmodernistyczni, przychodzą i odchodzą, znikają za krzywizną wyznaczającą horyzont świata. Pojawiają się okna dialogowe: „To część doświadczenia, musisz się konstruktywnie zagubić”.

Wkrótce Maxine zaczyna wędrować po dworcu, klikając na wszystko – twarze, śmieci na posadzce, etykiety na butelkach w barze. Po chwili przestaje ją interesować to, dokąd może dotrzeć, najważniejszy staje się sam proces poszukiwania. Justin twierdzi, że autorem tej koncepcji jest Lucas. Justin przełożył to wszystko na język kodu, ale obrazy i dźwięki, tłumny, hałaśliwy terminal, echa, mnogość heksadecymalnych odcieni kolorów, choreografia tysięcy statystów, z których każdy wygląda inaczej, zajmuje się czymś konkretnym albo po prostu kręci się w pobliżu, autentyczne głosy opracowane z wielką dbałością o odtworzenie regionalnych akcentów – wszystko to jest dziełem Lucasa.

W końcu Maxine odnajduje główny rozkład jazdy, po czym klika na napis: „Rakieta Północy”. Bingo! Idzie naprzód, podąża w górę i w dół schodami, przemierza ciemne tunele komunikacyjne, po czym wkracza do wielkiej sali wypełnionej światłem przefiltrowanym przez pseudowiktoriańskie szkło i ozdoby z kutego żelaza. U wejścia znajdują się obrotowe bramki, których strażnicy, poważne roboty, na widok Maxine nagle zmieniają się w kształtne tancerki hula z girlandami orchidei na szyjach. Widać pociąg, którego sympatyczny maszynista wychyla się na peron i woła: „Niech się pani nie śpieszy, młoda panno, zaczekamy na panią z odjazdem...”.

Ale kiedy Maxine wsiada, pociąg natychmiast rusza, w ułamku sekundy nabiera prędkości, po czym rozpoczyna się podróż stanowiąca kwintesencję DeepArchera. Szczegóły trójwymiarowych krajobrazów sunących za oknami są znacznie dokładniejsze niż to konieczne, obraz jest idealnie czysty niezależnie od tego, jak uważnie Maxine się w niego wpatruje. Pojawiają się hostessy z fantazji Lucasa i Justina na temat lasek z tropikalnych plaż – toczą wózki z jedzeniem z fast foodów i drinkami kojarzącymi się z Pacyfikiem, na przykład koktajlami tequilla sunrise. Serwują również mai tai i narkotyki o różnym stopniu nielegalności...

Kogo stać na tak ogromną przepustowość łączy? Maxine prowadzi mysz na koniec wagonu, spodziewając się ujrzeć wspaniałe krajobrazy uciekające do tyłu, ale zamiast tego widzi tylko pustkę, brak kolorów, entropiczną szarość w stylu Netscape, zastępującą jasny świat. Jakby idea ucieczki wiązała się z niemożliwością powrotu.

Chociaż Maxine jest teraz w pociągu, nie widzi powodu, by przestać klikać – klika na pierścionki na palcach u nóg hostess, na barwne wykałaczkę wetknięte w kawałki tropikalnych owoców w drinkach, nigdy nie wiadomo, może po następnym kliknięciu...

W końcu tak się staje. Ekran zaczyna migotać i Maxine nagle, można powiedzieć brutalnie, zostaje przeniesiona do krainy wiecznego mroku. Znajduje się gdzieś pod miastem, już nie w pociągu, nie ma już wesołego maszynisty ani krągłych hostess, niezamieszkane, ciemne przestrzenie, jakby latarniom pozwalano po kolei gasnąć i stopniowo odtwarzano królestwo

nocy. Nad ponurymi ulicami wznoszą się niewiarygodnie kanciaste wieżowce – przypominają las rozpaczliwie poszukujący światła, które sączy się blado z góry...

Maxine nie wie, gdzie jest. Nie ma mapy. Nie czuje się jak turystka, która zabłądziła w romantycznej scenerii podczas wakacji w normalnej rzeczywistości. Tutaj szczęście to nie kwestia kart, Maxine ma wrażenie, że to sen, czuje, że wkrótce stanie się coś nieprzyjemnego.

W powietrzu unosi się woń marihuany. Obok siedzi Vyrva, trzymając kubek z kawą z napisem: CHYBA MASZ MÓJ ZSZYWACZ.

– O kurwa, która godzina?

– Nie tak późno – mówi Justin. – Ale myślę, że powinniśmy się dość szybko wylogować, nie wiadomo, kto to monitoruje.

Właśnie w chwili, gdy Maxine zaczynała się dobrze czuć.

– To nie jest zaszyfrowane? Nie ma zapory?

– Och, jest, bardzo dobra – odpowiada Lucas. – Ale jeśli ktoś chce wejść, zawsze może to zrobić. Nawet do ukrytej sieci.

– To właśnie ukryta sieć?

– Tak, bardzo głęboko. I o to chodzi, częściowo. Próbujemy nie dopuszczać botów, pajaków. Plik robots.txt dobrze funkcjonuje w normalnym internecie, grzeczne boty słuchają poleceń, ale bywają także cholernie złośliwe boty, nie tylko zwyczajnie źle wychowane: kiedy widzą w pliku robots.txt zakaz wstępu, natychmiast tam wchodzą.

– Lepiej siedzieć w głębi – mówi Vyrva. – Po jakimś czasie może się to zmienić w uzależnienie. Hakerzy mają powiedzenie: kto raz zszedł głęboko, nigdy więcej nie zaśnie.

Zbierają się z powrotem na parterze, przy stole w kuchni. Wspólnicy są coraz bardziej pijani i powietrze staje się szare od dymu, rozmawiają o DeepArcherze, choć Maxine z trudem rozumie hakerską terminologię.

– To technologia bleeding edge, poza granicą bezpieczeństwa – mówi Lucas. – Niesprawdzona, bardzo ryzykowna, dobrze się z tym czują tylko maniacy wersji beta.

– Pamiętam zwariowane kretynizmy finansowane przez firmy venture capital – wspomina Justin. – W dziewięćdziesiątym ósmym, dziewięćdziesiątym dziewiątym niektóre firmy inwestowały pieniądze w zdumiewające programy, prawda? DeepArcher to przy tym betka. Trzeba czegoś znacznie dziwniejszego, by zrobić wrażenie na tych gościach.

– Uważali nas za zbyt normalnych – przyznaje Lucas. – Przede wszystkim nasze projekty były zbyt solidne, nie?

Według Justina źródłem DeepArchera jest remailer stworzony anonimowo na bazie fińskiej technologii z epoki penet.fi, będący podstawą różnych procedur przekazywania poczty, jakie powstawały w tym czasie.

– Remailery przekazują pakiety danych z jednego węzła do drugiego, wraz z informacją, jaki jest następny punkt, to wszystko. DeepArcher idzie dalej i natychmiast zapomina, gdzie się znajdował poprzedni węzeł, na zawsze.

– Rodzaj ciągu Markowa, gdzie następuje ciągły reset poprzednich elementów.

– Losowo.

– Pseudolosowo.

Dodali do tego masę specjalnie zaprojektowanych błędnych linków, by zamaskować zdrowe ścieżki, których nikt nie chciał ujawnić.

– Szukasz jawnych linków o rozmiarach piksel na piksel, a kiedy na nie klikasz, po kolei znikają i przenoszą się w inne miejsca... Niewidzialna ścieżka, która sama się koduje, i nie ma szans na jej odnalezienie.

– Ale jeśli ścieżka, którą przeszedłeś, zostaje skasowana, jak możesz wrócić?

– Klikasz trzy razy, a potem... – mówi Lucas. – Nie, zaczekaj, jest coś jeszcze...

## 8

Skutek uboczny paranoi Rega to paskudny wybór restauracji. Maxine spotyka go w dziwnej, zatłoczonej dzielnicy w pobliżu mostu Queensboro – Reg siedzi w lokalu o nazwie Bagel Quest, przy stoliku koło okna, i obserwuje ludzi na chodniku, szukając oznak nadmiernego zainteresowania jego osobą. Widać za nim ciemną, może ogromną salę, z której nie dobiega żaden dźwięk; światła są wygaszone. Kelnerzy pojawiają się rzadko.

– A więc? – odzywa się Maxine.

– Śledzą mnie – odpowiada z dziwnym wyrazem twarzy.

– Jesteś pewien?

– Co gorsza, byli w moim mieszkaniu. Mogli też się włamać do komputera. – Przygląda się słodkiej bułce z serem, którą impulsywnie zamówił.

Ma taką minę, jakby szukał w niej czegoś podejrzanego.

– Mógłbyś się tym nie przejmować.

– Mógłbym. – Pauza. – Myślisz, że zwariowałem.

– Wiem, że zwariowałeś – mówi Maxine. – Ale to nie znaczy, że się mylisz. Mną również ktoś się zainteresował.

– Zastanówmy się. Biorę pod lupę firmę Ice’a, a zaraz potem ktoś zaczyna mnie śledzić, teraz śledzi też ciebie? Chcesz



powiedzieć, że nie ma żadnego związku? Że nie powinienem wariować ze strachu o własne życie? – Zawiesza głos, widać, że to nie wszystko.

– Jest coś jeszcze – mówi Maxine. – Coś związanego z moją pracą?

Reg ignoruje to retoryczne pytanie.

– Słyszałaś o hawali?

– Jasne... tak, hm, w filmie *Piknik* (1956) Kim Novak płynie rzeką, a miejscowi unoszą wysoko ręce i...

– Nie, nie, Maxi, proszę... to metoda międzynarodowego przekazywania gotówki bez systemu SWIFT, opłat bankowych i formalności wymaganych przez Chase Manhattan Bank. Stuprocentowo bezpieczna, zajmuje najwyżej osiem godzin. Żadnych śladów na papierze, przepisów, inwigilacji.

– Jak to możliwe?

– Sekrety Trzeciego Świata. Operacje gotówkowe między rodzinami, najczęściej. Wszystko oparte na zaufaniu i poczuciu honoru.

– Ach, teraz rozumiem, dlaczego nigdy się z tym nie spotkałam w Nowym Jorku...

– Ludzie, którzy korzystają z hawali w Stanach, najczęściej zajmują się importem i eksportem, pobierają opłaty w formie rabatów na towary. Są jak dobrzy bukmacherzy, mają wszystko w głowach, czego na Zachodzie nikt nie potrafi. Z tego powodu hashslingrz prowadzi ukryty rejestr transakcji, stosując wielokrotne hasła, foldery wiszące w próżni i tak dalej.

– Mówił ci o tym Eric?

– Ma podsłuch w biurze hashslingrz.

– Ktoś ich nagrywa?

– Tak, po prostu Furby.

– Przepraszam, Fur...

– Zdaje się, że w środku jest układ do rozpoznawania głosu zmodyfikowany przez Erica...

– Zaczekaj, Furby?! To śliczne kosmate zwierzątko, które kilka lat temu dostały na Gwiazdkę wszystkie dzieci w Nowym Jorku, również moje?! Chcesz powiedzieć, że ten twój geniusz hakuje te pluszaki?!

– Powszechna praktyka w jego subkulturze, wygląda na to, że nie tolerują ślicznych zwierzątek. Na początku Eric po prostu szukał sposobów, by grać yuppie na nerwach, uczył Furby'ego przeklinać, robić awantury i tak dalej. Później zauważył, że te zabawki często pojawiają się w boksach programistów w ich miejscu pracy. Wzięliśmy Furby'ego, nad którym pracowałem, podrasowaliśmy pamięć, dodaliśmy mikroskopijny nadajnik, a ja zaniósłem go do hashslingrz i postawiłem na półce. Teraz mogę spacerować obok z mikrodyskiem w magnetofonie Nagra cztery i przechwytywać tajne informacje.

– Na przykład o hawali, którą posługuje się hashslingrz, by wyprowadzać pieniądze z kraju.

– Okazuje się, że w rejon Zatoki Perskiej. Ta konkretna hawala ma główną siedzibę w Dubaju. Ericowi udało się dzięki temu dotrzeć do ukrytej księgowości hashslingrz, można się tam dostać, stosując skomplikowane procedury w dziwnym języku arabskim pisanym europejską czcionką. To zaczyna przypominać film o Arabach.

Zgadza się. Maxine dostrzegła, że cała sprawa ma związek z zagranicą, bardziej wielowymiarowy niż zwykle. Zajrzała do aktualnych rankingów łapownictwa i korupcji w różnych krajach i okazało się, że hashslingrz ma powiązania z wieloma liderami w tej dziedzinie, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie. Niedawno zauważyła ślady typowo islamskiej niechęci do oprocentowanych instrumentów finansowych. W krajach muzułmańskich obrót obligacjami praktycznie nie istnieje. Zamiast krótkiej sprzedaży stosuje się skomplikowane instrumenty zastępcze zgodne z prawem szariatu, na przykład płatności typu arboon. Dlaczego hashslingrz tak się przejmuje muzułmańskim lękiem przed odsetkami? Chyba że...

Chyba że Ice ma zamiar zbić fortunę na Bliskim Wschodzie, cóż innego?

Prądy konwekcyjne w kawie Maxine sprawiają, że coś wypływa na powierzchnię, po czym szybko tonie, nie zostawiając czasu na identyfikację. Maxine nie potrafi tego zdefiniować ani dokonać analizy.

– Hej, zaczekaj... – mruczy. – Reg, mówisz, że twój kolega potrafi łamać wszystkie szyfry. Co zamierzasz zrobić z tym, czego się dowiesz?

– Coś się szykuje. – Niecierpliwie, z lękiem. – Może nawet coś, co trzeba powstrzymać.

– Czyli uważasz, że nie chodzi tylko o zwykłe oszustwo. Co może być takie ważne?

– Jesteś ekspertem w tych sprawach, Maxine. Gdybyśmy się znajdowali w klasycznym rajach podatkowym, na przykład na Kajmanach, wszystko byłoby w porządku. Ale to Środkowy

Wschód i ktoś zadaje sobie zbyt wiele trudu, by utrzymać sprawę w tajemnicy. Wygląda na to, że Ice albo ktoś z nim związany nie próbuje po prostu transferować pieniędzy, by uniknąć płacenia podatków, ale coś finansuje, coś dużego i tajnego...

– Ale... ktoś może przekazywać wielkie kwoty do Zjednoczonych Emiratów Arabskich z zupełnie niewinnych powodów, ponieważ...

– Staram się wymyślić jakieś niewinne powody i nic mi nie przychodzi do głowy. A tobie?

– Nie zajmuję się międzynarodowymi intrygami, pamiętasz? No, może czasem nigeryjskimi mailami, ale zwykle mam do czynienia z nieuczciwymi baristami, drobnymi kanciarzami wykorzystującymi naiwność ofiar.

Siedzą przez chwilę w milczeniu, gdy tymczasem w ich jedzeniu baraszkuje nieznane formy życia.

– Mam nadzieję, że nosisz w torebce broń?

– Och, Reg, może to ty powinieneś z nią chodzić?

– Może powinienem finalizować plany podróży gdzieś bardzo, bardzo daleko? Im dłużej Eric się tym zajmuje, tym bardziej staje się nerwowy. Nalega, byśmy się spotykali w ukrytej sieci zamiast w metrze, a ja, szczerze mówiąc, trochę się waham.

– Dlaczego?

– Byłaś tam kiedyś?

– Niedawno. Miłe, bezpieczne miejsce, gdzie można spokojnie pogadać.

– Skoro tak dobrze się tam czujesz, może to ty powinnaś tam zejść i z nim porozmawiać. Pełniłabyś rolę pośrednika.

– Może, jeśli nie masz nic przeciwko temu. – Czy Maxine myśli o hawali, hashslingrz, a nawet osobistym bezpieczeństwie Rega? W rzeczywistości nie, mogłaby dotrzeć do DeepArchera wahadłowym pociągami z terminalu Lucasa i Justina, dzięki dekoderywatom. Czymkolwiek jest DeepArcher. Maxine jeszcze się do tego nie przyznaje, ale ma już pierwszy szkic fantazji, w której Eric, Szerpa Ukrytej Sieci, wierny i może nawet przystojny, pomaga jej odnaleźć drogę w labiryncie. Cholerna Nancy Drew... – Może powinnam najpierw spróbować w realnym świecie? Twarzą w twarz. Przekonać się, na ile sobie ufamy.

– Powodzenia. Myślisz, że jestem paranoikiem? Wystarczy się zbliżyć do tego faceta, a dostaje się świra.

– Mogę zaaranżować przypadkowe spotkanie. Dość standardowy manewr. Możesz mi dostarczyć listę miejsc, gdzie się pokazuje?

– Wyślę ci coś mailem.

Po chwili Reg szybko rozgląda się po ulicy i podąża chyłkiem do centrum miasta, leżącego kilka mil dalej i skąpanego w wiosennym blasku.

\* \* \*

Jednym z bardziej użytecznych czujników alarmowych Maxine jest jej pęcherz. Kiedy nie ma dostępu do potrzebnych informacji, przez cały dzień nie chce jej się sikać, ale gdy

w pobliżu pojawiają się numery telefonów, koany lub cynki o spółkach giełdowych, na których można zarobić, natychmiast włącza się alarm kierujący ją do toalety. Powtarzało się to wielokrotnie i Maxine nauczyła się nie lekceważyć tych sygnałów.

Tym razem alarm włącza się w dzielnicy Flatiron. Wbrew rozsądkowi Maxine wchodzi do ciemnego wnętrza restauracji Wall of Silence, wypełnionego dymem z papierosów. Dawniej, w okresie euforii na rynku technologicznym, był to elegancki lokal, lecz teraz jest zapuszczony i brudny. Nie wiadomo, gdzie znajduje się toaleta. Maxine krąży między gośćmi siedzącymi przy stolikach; są to melancholijne pary albo samotni mężczyźni, zapewne kandydaci na klientów telefonu zaufania. Jeden z nich nagle woła Maxine po imieniu; w jego głosie brzmi natarczywość. Cóż, są różne rodzaje natarczywości. Maxine wyteęza wzrok w półmroku.

– Lucas? – Tak, z oznakami zaniedbania w ubiorze, widocznymi nawet w tym świetle. – Nie wiesz przypadkiem, gdzie jest toaleta?

– Cześć, Maxi, posłuchaj, skoro już tu jesteś, mogłabyś mi wyświadczyć przysługę...

– Niedawno zerwałeś z jakąś dziewczyną i chcesz wiedzieć, co się z nią dzieje. – Maxine domyśla się, że Lucas nieprzypadkowo znalazł się w tym lokalu. – Jak ma na imię?

– Cassidy, ale skąd...

– Gdzie jest toaleta?

Maxine mija kuchnię, idzie w dół po schodach, skręca kilka razy. Wokół panuje taki sam półmrok jak na górze; ktoś mógłby

go nazwać miłosiernym. Czuć wyraźny zapach marihuany. Maxine przygląda się krótkiemu rzędowi kabin. Spod drzwi nie wypływa krew, nie słychać rozpaczliwego szlochania, dobrze, dobrze...

– Cassidy?

– Kto tam? – pyta kobiecy głos w jednej z kabin. – Na pewno jesteś tą suką, dla której mnie rzucił!

– Nie, dzięki za komplement, ale mam już dość kłopotów. Muszę skorzystać z toalety. – Maxine wchodzi do kabiny sąsiadującej z kabiną Cassidy.

– Kiedy zobaczyłam tę restaurację, powinnam była się od razu domyślić – mówi Cassidy. – Lepiej, gdybyśmy załatwili wszystko na ulicy.

– Lucas czuje się trochę winny, chce wiedzieć, czy z tobą wszystko w porządku.

– Nic się nie dzieje. Przyszłam się wysikać, a nie podcinać sobie żyły. Lucas?

– Ach...

– Nic dziwnego, zawsze kończę w paskudnych klubach. Przedstawił się jako Kyle.

Siedzą obok siebie, nie widząc się, oddzielające je przepierzenie jest pokryte rozmazanymi napisami wykonanymi flamastrem, ołówkiem do oczu, szminką. Maxine patrzy na zatarte komentarze, telefony ze starymi numerami kierunkowymi, zwierzenia o miłości straconej, odzyskanej, rasistowskie uwagi, nieczytelne napisy cyrylicą, po arabsku, po chińsku, sieć symboli, folder reklamowy nocnych podróży, o których Maxine jeszcze nigdy nie myślała. Tymczasem

Cassidy streszcza historię fatalnej randki na południe od 14th Street, w czasie której Lucas z nią zerwał. Po chwili zaczyna mówić o DeepArcherze, choć na razie wydaje się to nie mieć żadnego związku z tematem.

– Ach, te ruchome obrazy są fantastyczne! – mówi Maxine.

– Ja je zaprojektowałam. Jak ta dziewczyna, która wymyśliła talię kart do tarota. Niesamowite, a poza tym modne, pamiętaj. – Lekko ironicznie, ale tylko lekko.

– Zaczekaj... Niesamowite i modne. Gdzie ja to słyszałam?

Tak, okazuje się, że Cassidy poznała Lucasa, gdy pracowała dla hwgaahwgh.com.

– Teraz to część imperium hashslingrz. Z technicznego punktu widzenia powinnam dostawać tantiemy po każdym otwarciu programu, ale nowy właściciel prawdopodobnie pozwałby mnie do sądu.

– Masz jakąś umowę z Lucasem, Kyle'em albo kimkolwiek innym?

– Nie, ale nie robiłam tego za darmo. Trudno to wytłumaczyć. Wszystko skądś przychodziło, przez półtora dnia czułam, że mam kontakt z siłami, które normalnie znajdują się poza moim zasięgiem, wiesz? Nie bałam się, po prostu chciałam to mieć za sobą, napisałam plik, przygotowałam Javę, więcej do tego nie zaglądałam. Później pamiętam, jak jeden z nich powiedział: „O kurwa! To otwiera nowy świat!”, ale szczerze mówiąc, nie widzę sposobu, jak mogliby wygenerować jakikolwiek ruch. Gdybym była nowym użytkownikiem i nie miała o niczym pojęcia, szybko bym wszystko zamknęła



i starała się o tym zapomnieć. Lepiej, gdyby próbowali pozyskać jednego klienta, Gabriela Ice'a lub kogoś innego.

Nagle, dzięki jakiejś dziwnej toaletowej telepatii, z kabin wychodzą jednocześnie dwie kobiety i patrzą na siebie. Maxine bez zdziwienia zauważa tatuaże, kolczyki, włosy o barwie orchidei, niezgodne z mapą ludzkiego genomu, wiek znacznie niższy od granicy legalności. Tymczasem spojrzenie Cassidy sprawia, że Maxine czuje się jak Hillary Clinton lub ktoś w tym rodzaju.

– Możesz sprawdzić na górze, czy ciągle tam jest?

– Z przyjemnością. – Znów idzie po schodach, wraca do ponurej krainy lenistwa.

Tak, wciąż tam jest.

– Zaczynałem się martwić o was obie.

– Ona ma dwanaście lat, Lucas. I lepiej zacznij jej płacić tantiemy.

## 9

Od czasu do czasu urząd podatkowy, na przykład Departament Podatków Nowego Jorku, wynajmuje zewnętrznego kontrolera, zwłaszcza gdy burmistrzem jest republikanin, ponieważ Partia Republikańska żywi dziwne przekonanie, że prywatny sektor jest z zasady dobry, a publiczny z zasady zły. Maxine wraca do biura w samą porę, by odebrać telefon od Axela Quigleya z John Street. Relacjonuje on kolejny rozdzierająco smutny przypadek uchylania się od płacenia podatków, jak zawsze odnosząc się do sprawy bardzo emocjonalnie, chociaż wszystko toczy się już od jakiegoś czasu. Najczęściej informatorami Axela są niezadowoleni pracownicy. On i Maxine poznali się w czasie warsztatów dla niezadowolonych pracowników, które prowadził profesor Lavoof, powszechnie uznawany za ojca chrzestnego teorii niezadowolenia pracowniczego oraz twórcę wpływowego programu o nazwie Rozszerzona Ocena Zespołów Pracowniczych dla Audytu Celowości Zatrudnienia, czyli ROZPACZ.

Axel twierdzi, że w sieci restauracji o nazwie Muffins and Unicorns ktoś posługuje się nielegalnym oprogramowaniem, fałszując zapisy kas fiskalnych. W kasach fabrycznie

zainstalowano moduły zaniżające dane o sprzedaży albo specjalną aplikację, znaną jako zipper, uruchamianą z płyty CD. Materiał dowodowy wskazuje na menedżera wysokiego szczebla, może nawet właściciela. Axel uważa, że najbardziej prawdopodobnym podejrzanym jest Phipps Epperdew, bardziej znany pod pseudonimem Vip, ponieważ wygląda, jakby przed chwilą wyszedł z saloniku dla VIP-ów albo pokazał kartę rabatową z takim oznaczeniem.

Oszustwo z użyciem zippera ma dla Maxine pewną interesującą cechę. Wymaga komunikacji twarzą w twarz. Obsługi nie można się nauczyć z instrukcji, ponieważ nic takiego nie istnieje. Funkcje programu, których nie opisano w żadnej publikacji, trzeba poznać osobiście, ustnie, od sprzedawcy kas fiskalnych. W ten sam sposób rabini funkcjonujący poza nawiasem społeczności żydowskiej przekazują swoim uczniom tajemną wiedzę na temat kabały. Instrukcja to odpowiednik Biblii, a nauka posługiwania się phantomware'em przypomina lekcje pobierane u mistrza. Geeki zajmujący się tworzeniem programu są czymś w rodzaju rabinów. Wszystko ma charakter bardzo osobisty, w jakiś koślawy sposób nawet romantyczny.

Wiadomo, że Vip robi interesy z podejrzanymi typami z Quebecu, gdzie w tej chwili zipperzy są bardzo popularne. W zeszłym roku, w środku zimy, Maxine podpisała umowę z miastem, jak zawsze po cichu, i poleciała do Montrealu z zadaniem *chercher le geek*. Najpierw Dorval, potem Courtyard Marriott na Sherbrooke Street i wędrowka po mieście, idiotyzm za idiotyzmem, szare budynki, gdzie w piwnicach i korytarzach

słysząc odgłosy kafeterii, a za rogiem *le tout Montréal*. Można tam zjeść lunch w długim ciągu pomieszczeń w archipelagu podziemnego miasta, które w tym czasie rozrastało się tak szybko, że nikt nie dysponował wiarygodnym planem. Poza tym zakupy, które doprowadzały Maxine do mdłości, stacje metra, bary z jazzem granym na żywo, kafejki z *crêpe* i *poutine*, długie nowiutkie korytarze, gdzie wkrótce pojawią się nowe sklepy, by mieszkańcy Montrealu nie musieli wychodzić na mroźne ulice pokryte śniegiem. W końcu Maxine znalazła na ścianie jednej z toalet telefon niejakiego Felixa Boingueaux, mieszkającego w suterenie, w tak zwanej *garçonnière*, w okolicy Saint-Denis. Nazwisko Vipa nic mu nie mówiło, ale Maxine zagroziła, że wyłamie drzwi, ponieważ Felix zalegał z czynszem. Umówili się w samoobsługowej pralni o nazwie NetNet, reklamowanej w internecie, która wkrótce miała się stać legendą w dzielnicy Plateau-Mont-Royal. Felix wyglądał bardzo młodo.

Kiedy się przywitani, bez problemu przeszedł na angielski, podobnie jak wszyscy mieszkańcy Quebecu.

– Więc pani i pan Epperdew jesteście kolegami?

– Sąsiadami z Westchester. – Udawała bizneswoman zainteresowaną możliwościami niewidzialnego kasowania danych swojej sieci sprzedaży, oczywiście tylko z technicznej ciekawości.

– Wkrótce mogę się do pani zgłosić w poszukiwaniu kapitału inwestycyjnego.

– W Stanach mogą pojawić się jakieś problemy prawne?

– Nie, szukamy funduszy na rozpoczęcie projektu ZPW.

– Jakiś narkotyk klubowy?

– Zabezpieczenia przed phantomware'em.  
– Chwileczkę, przecież piszecie phantomware, więc po co wam zabezpieczenia?

– Tworzymy phantomware, a potem je neutralizujemy. Dziwi to panią? W tej branży nie istnieje dobro i zło, technologia jest neutralna, prawda?

Wracają do garsoniery Felixa na wieczorny film w Aboriginal Peoples' Television Network, która dysponuje prawem do emisji wszystkich filmów z udziałem Keanu Reevesa. Tego wieczoru nadano ulubiony film Felixa, *Johnny Mnemonic* (1995). Palili marihuanę, zamówili w Montrealu pizzę z rzadko spotykanymi odmianami kiełbasy, pochłonął ich film i Nic Się Nie Stało, jak określiłaby to Heidi, lecz dwa dni później Maxine wróciła samolotem do Nowego Jorku, wioząc znacznie grubsze dossier Vipa Epperdew. Urząd podatkowy uznał, że wydała pieniądze w sposób zasadny.

Później przez kilka miesięcy panowało milczenie, aż wreszcie znów pojawił się Axel.

– Po prostu chcę cię poinformować. Vipem zajmuje się urząd podatkowy. Niedługo zrobią dożynki.

– Dzięki za cynk, nie mogłam spać.

– W tej chwili prokuratura wszczyna sprawę. Brakuje nam tylko kilku szczegółów. Na przykład nie znamy jego miejsca pobytu. Nie wiesz przypadkiem, gdzie go szukać?

– Vip i ja nie jesteśmy kumplami, Axel. Daj spokój. Wystarczy, że dziewczyna się uśmiechnie do świadka, a ludziom zaczynają przychodzić do głowy dziwne pomysły.

\* \* \*

Dziś wieczorem zapadanie w sen jest spiralne i powolne. Ludzie cierpiący na bezsenność przypominają sobie wyjątkowo głupie melodie i piosenki z młodości, a Maxine kołuje z powrotem do Rega Desparda z *Aristide Olt*, chudego, przystojnego chłopca, który z rezolutnym uśmiechem stawia czoła beznadziejnej codzienności niezależnego filmowca bez koneksji. Trudno mieć nadzieję, że produkcja na temat hashslingrz nie stanie się dla niego koszmarem – byłoby to zaprzeczaniem oczywistości. Coś się szykuje, Reg doskonale wiedział, do kogo się zwrócić ze swoją sprawą, prawidłowo wyczuł Maxine, zauważył, że ona także czuje zaniepokojenie z powodu przekroczenia granic normalnej chciwości. Lokomotywy nocy i sztucznego zapomnienia ruszyły z hukiem po szynach, nabierając szybkości...

W tym momencie, nim Maxine zapada w sen w fazie REM, dzwoni telefon i odzywa się sam Reg.

– To już nie film, Maxi.

– Jak wcześnie rano zamierzasz mnie budzić, Reg? – Albo, ujmując to inaczej, jest środek nocy, do cholery.

– Nie będę dziś spał.

To znaczy, że Maxine prawdopodobnie również nie będzie spała. Spotykają się na bardzo wczesnym śniadaniu w całodobowym ukraińskim barze w East Village. Reg siedzi z tyłu w kącie, pochylony nad PowerBookiem. Lato nie jest jeszcze wilgotne i upalne, ale Reg oblewa się potem.

– Wyglądasz koszmarnie, Reg, co się stało?

– Z technicznego punktu widzenia powinienem się uwolnić od hashslingrz, prawda? – mówi, odsuwając dłonie od klawiatury. – Tylko że zawsze wiedziałem, że tego nie zrobię. I wczoraj wreszcie przeszedłem przez niewłaściwe drzwi.

– Jesteś pewien, że nie były zamknięte i że ich nie wyważyłeś?

– Cóż, powinny być zamknięte, napis na drzwiach brzmiał: TOALETA.

– A więc wszedłeś nielegalnie?

– Mniej więcej. Zobaczyłem pokój, żadnych kafelków, wyglądał jak laboratorium, stoły do doświadczeń, wyposażenie, kable, wtyczki, części służące do wykonania czegoś, o czym nie chcę nic wiedzieć, jak szybko zrozumiałem. A potem zauważyłem trajkocących Arabów. Kiedy tylko wszedłem, natychmiast się zamknęli.

– Skąd wiesz, że to byli Arabowie? Nosili jakieś dziwne stroje, widziałeś wielbłądy?

– Wydawało mi się, że mówią po arabsku, nie byli Angolami ani Chińczykami, a kiedy do nich pomachałem i powiedziałem: „Cześć, koledzy, co się...”

– Reg...

– Cóż, powiedziałem: *Ayn al-hammam*, gdzie jest toaleta, a jeden z nich podszedł do mnie i chłodno, uprzejmie spytał: „Szuka pan toalety, proszę pana?”. Coś mruzczyli, ale nikt do mnie nie strzelał.

– Widzieli kamerę?

– Trudno powiedzieć. Po pięciu minutach zaproszono mnie do gabinetu samego wielkiego Ice’a, który od razu spytał, czy

filmowałem to pomieszczenie albo przebywających tam ludzi. Odparłem, że nie. Oczywiście kłamałem. Na to on: „Bo gdybyś nakręcił film, musiałbyś mi go oddać”. Wymówił słowo „musiałbyś” jak gliniarz do podejrzanego. Właśnie wtedy zacząłem się bać. Przyznam, że cały ten pieprzony projekt przestał mi się nagle podobać.

– Co robili ci goście? Montowali bombę?

– Mam nadzieję, że nie. Wokół leżało mnóstwo płytek drukowanych. Bomba z taką ilością elektroniki? Mało prawdopodobne.

– Mogę obejrzeć film?

– Przegram ci go na dysk.

– Eric go widział?

– Jeszcze nie, ale wyszedł na patrol, jak mówimy na pograniczu Brooklynu i Queens. Udawał ćpuna szukającego katu, ale tak naprawdę szukał hawaldaru Ice’a.

– Skąd u niego nagle taka motywacja?

– Myślę, że chce się odegrać, ale nie pytam.

\* \* \*

Maxine bierze prysznic, by odzyskać jasność myślenia, gdy wtem ktoś wychyla głowę zza zasłony i zaczyna wydawać piskliwe dźwięki z filmu *Psychoza* (1960). Kiedyś zaczęłaby przeraźliwie krzyczeć, zrobiłaby awanturę, ale teraz uważa to za zabawne i mruczy:

– Dobry wieczór, kochany...



Jest oczywiste, że może to być tylko Horst Loeffler, który pojawia się niezapowiedziany niczym Basil St. John w życiu Brendy Starr. W ciągu ostatniego roku na jego twarzy pogłębiły się zmarszczki i jest gotowy do odejścia, zniknięcia w mrokach historii. Na powiekach Brendy Starr natychmiast pojawiają się maleńkie lśniące łzy, widoczne w zbliżeniu.

– Hej, wróciłem dzień wcześniej, jesteś zaskoczona?

– Nie, przestań się gapić, Horst. Za chwilę wyjdę.

Czy to erekcja? Maxine zbyt szybko cofnęła się pod prysznic, by się zorientować.

Wchodzi do kuchni, zaróżowiona od pary i wilgotna, z włosami okręconymi ręcznikiem, ubrana w szlafrok frotté ukradziony w kurorcie w Kolorado, w którym spędzili razem kilka tygodni, gdy świat był jeszcze romantyczny. Horst z jakiegoś powodu, o który Maxine nigdy nie spyta, nuci melodię *It's a beautiful day in the neighborhood* z serialu *Mister Rogers' Neighborhood* i grzebie w zamrażarce. Wygłasza komentarze na temat różnych kawałków historii pokrytych szronem. Bez wątplenia nie najadł się w samolocie.

– O, jest! – Z talentem różdzkarza potrafiącego nieomylnie odnajdywać różne gatunki lodów Ben & Jerry wyciąga do połowy zamrożony pojemnik Chunky Monkey, siada, bierze dwie duże łyżki, jedną do prawej ręki, drugą do lewej, i zaczyna jeść. – Gdzie są chłopcy? – pyta po chwili.

Maxine wie, że druga łyżka służy do mieszania lodów.

– Otis je kolację u Fiony, Ziggy jest w szkole, ma próbę teatralną. W sobotę wieczorem wystawiają musical *Guys and*

*Dolls*, więc wróciłeś w samą porę. Ziggy gra Nathana Detroita. Masz trochę lodów na nosie.

– Brakowało mi was.

Szczególny ton Horsta sugeruje, nie po raz pierwszy, że gdyby Maxine zechciała, mogłaby zauważyć, że jego system odpornościowy niezbyt dobrze sobie radzi z depresją następującą po rozstaniu. Nie może tego zmienić nawet obsesyjna pogoń za szczepionką z czarnej orchidei, poszukiwaną na całym świecie.

– Kiedy Ziggy wróci, prawdopodobnie coś zamówimy. Może jesteś zainteresowany?

Po chwili do kuchni wchodzi Ziggy.

– Co to za typek, mamó? Spróbuję zgadnąć: kolejna randka w ciemno?

– Znowu zaczynasz? – pyta Horst, szybko spoglądając na syna.

Obejmują się trochę dłużej, niż można by się spodziewać, co Maxine zauważa kątem oka.

– Jak tam żydowskie mordobicie?

– Och, normalnie. W zeszłym tygodniu zabiłem instruktora.

– Super.

Maxine udaje, że przegląda stos prospektów lokali z jedzeniem na telefon.

– Co chcielibyście zjeść? Oprócz tego, co ciągle żyje.

– Wszystko, byle nie to zwariowane hipisowskie żarcie makrobiotyczne!

– Och, daj spokój, tato! Kotlety z kielków? Frytki z buraków? Pycha!

– Ślinka cieknie na samą myśl!

Po chwili przychodzi Otis, naprawdę wybredny, ciągle głodny, ponieważ Vyrva lubi eksperymentować w kuchni. Pojawiają się prospekty nowych restauracji i istnieje groźba, że negocjacje przeciągną się do późnej nocy. Dodatkową komplikacją są zasady Horsta, żeby unikać lokali, których logo zawiera ludzką twarz albo postać w dziwacznym stroju. Jak zawsze w końcu zamawiają posiłek w Comprehensive Pizza, której spis dodatków, sosów i rodzajów ciast ma grubość wakacyjnego katalogu Hammachera Schlemmera. Mieszkanie znajduje się poza obszarem dostaw, co jak zwykle wymaga talmudycznej dyskusji przez telefon, by ustalić, czy w ogóle przywiozą jedzenie.

– O dziewiątej włączam telewizor. – Horst jest miłośnikiem telewizji kablowej BPX, która nadaje wyłącznie fabularyzowane filmy biograficzne. – Zbliża się US Open, przez cały tydzień puszczały filmy o graczach w golfa, Owen Wilson w roli Jacka Nicklause, Hugh Grant w *The Phil Mickelson Story...*

– Chciałam obejrzeć przegląd filmów z Tori Spelling w Lifetime, ale zawsze mogę włączyć drugi telewizor, proszę, czuj się jak u siebie w domu...

– To bardzo miło z twojej strony, moja słodka bułeczko.

Chłopcy przewracają oczami, mniej więcej jednocześnie. Pojawia się pizza, wszyscy zaczynają ją jeść i okazuje się, że tym razem Horst zamierza zostać jakiś czas w Nowym Jorku.

– Wynająłem niewielkie biuro w World Trade Center. Dość wysoko, na sto którymś piętrze.

– To już nie kraina soi – zauważa Maxine.

– Och, teraz to, gdzie jesteśmy, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Era bezpośredniej komunikacji się kończy, wszyscy przenoszą się do internetu, handlują za pomocą Globexu. Ja przystosowuję się po prostu trochę wolniej niż inni, a jeśli handel nie będzie szedł, zawsze mogę być statystą w filmach o dinozaurach.

Bardzo późno, oderwawszy się wreszcie od zawichości śledztwa w sprawie hashslingrz, Maxine wchodzi do zapasowej sypialni, gdzie rozlega się głos dobiegający z telewizora. Mówi z wyniosłym spokojem, w prawie znajomy sposób: „Szanuję twoje... doświadczenie i znajomość pola... Myślę, że ten dołek... ciężki kij byłby nieodpowiedni...”. Jasne, to Christopher Walken grający w *The Chi Chi Rodriguez Story*. Ziggy, Otis i ich ojciec leżą na łóżku przed telewizorem i śpią.

Cóż, uwielbiają go. Co Maxine miałyby zrobić? Chętnie położyłaby się koło nich i obejrzała resztę filmu, ale zajęli całe łóżko. Idzie do salonu, kładzie się na sofie i zasypia, choć wcześniej, w 1964 roku, Chi Chi wygrywa o włos Western Open, pokonując Gene'a Hackmana grającego Arnolda Palmera.

Tuż przed zaśnięciem Maxine mówi sobie, że gdyby była tak samo zgorzkniała jak wszyscy – cóż, Heidi uważa, że powinnaś... – postarałaby się o nakaz sądowy i wysłała ich na obóz w górach Catskill...

Następnego dnia Horst zabiera Otisa i Ziggy'ego do swojego nowego biura w World Trade Center, a potem jedzą lunch w Windows on the World, restauracji na najwyższej kondygnacji, gdzie obowiązują formalne stroje, więc chłopcy włożyli marynarki i krawaty.

– Jak na uniwersytecie – mruczy Ziggy.

Tego dnia wieje dość silny wiatr i wieża wyraźnie się chwieje, na pięć do dziesięciu stóp. Według współlokatora Horsta, Jake’a Pimenta, w czasie burzy człowiek czuje się tutaj jak w bocianim gnieździe bardzo wysokiego żaglowca, patrząc z góry na helikoptery, prywatne samoloty i sąsiednie wieżowce.

Do Ziggy’ego:

– Trochę to chybotliwe.

– Ale skąd! – mówi Jake. – World Trade Center jest zbudowany jak pancernik.

# 10

W sobotę wieczorem w szkole Kugelblitza przedstawienie *Guys and Dolls* zakończyło się wielkim sukcesem, chociaż ekipa oświetleniowa była pijana, dzieci myliły kwestie i zapominały ról, a chłopak i dziewczyna grający Skya i Sarah, para w prawdziwym życiu, pokłócili się na próbie kostiumowej i zerwali ze sobą. Występ będzie wyglądał jeszcze lepiej na filmie nakręconym przez pana Stonechata, reżysera, ponieważ w Audytorium Scotta i Nutelli Vontzów występują problemy z widocznością – jego projektant z powodu jakichś zaburzeń psychicznych umieścił krzesła dla publiczności pod dziwnym kątem względem sceny.

Dziadkowie wołają: „Brawo!” i pstrykają fotografie.

– Wróćmy do domu. – Elaine patrzy na Horsta złym okiem teściowej. – Napijemy się kawy.

– Odprowadzę was do rogu – mówi Horst. – Ale potem muszę się zająć pewnymi sprawami.

– Podobno zabierasz chłopców na zachód? – pyta Ernie.

– Na Środkowy Zachód, gdzie się wychowałem.

– I siedziałeś całymi dniami w salonach gier wideo? – Elaine jest zabójczo miła.

– Nostalgia – próbuje wyjaśnić Horst. – Kiedy byłem dzieckiem, salony gier wideo przeżywały złoty wiek i teraz nie mogę się pogodzić, że ta epoka się skończyła. Wszyscy grają w domach, Nintendo 64, PlayStation, ostatnio Xbox, może chciałbym po prostu pokazać chłopcom, jak w dawnych czasach wyglądało rozwalanie kosmitów.

– Ale... czy z prawnego punktu widzenia to nie porwanie? Przekroczycie granicę stanową, prawda?

– Mamo... – Maxine sama się sobie dziwi. – To ich tata...

– Mój pęcherzyk żółciowy, Elaine, proszę – odzywa się Ernie.

Na szczęście już jest róg. Horst macha ręką i mówi:

– Zobaczymy się później, chłopcy.

– Gdybyś miał się spóźnić, zadzwoń. – Maxine usiłuje sobie przypomnieć, jak mówi normalna mężatka.

Kontakt wzrokowy z Horstem byłby również miły, ale nie ma na to szans.

– W nocy, o tej porze? – dziwi się Elaine, gdy Horst nie może ich już słyszeć. – Jakie sprawy się teraz załatwia?

– Gdyby z nami poszedł, byłabyś niezadowolona. – Maxine zastanawia się, dlaczego nagle zaczęła bronić Horsta. – Może stara się po prostu być grzeczny, słyszałaś o czymś takim?

– Cóż, kupiliśmy dość ciastek, by nakarmić całą armię, może powinnam po prostu zadzwonić...

– Nie! – warczy Maxine. – Nikogo innego! Żadnych adwokatów specjalizujących się w odszkodowaniach, żadnych ginekologów w harwardzkich szortach, którzy wpadli na chwilę w czasie joggingu. Żadnych gości w tym rodzaju, proszę!

– Ona nigdy się nie zgodzi – mówi Elaine. – Kompletna paranoja, daję słowo.

– Po kim ona to odziedziczyła? – pyta Ernie, lecz brzmi to niemal jak zdanie twierdzące.

Maxine kilkakrotnie słyszała już w życiu taką wymianę zdań. Dziś wieczorem rozmowa zaczyna się od spokojnej dyskusji na temat musicali Franka Loessera, po czym wszyscy zaczynają mówić o operze. Dochodzi do ożywionego sporu, kto jest najlepszym wykonawcą *Nessun dorma*. Ernie uważa, że Jussi Björling, a Elaine, że Deanna Durbin w filmie *His Butler's Sister* (1943), który puszczano niedawno w telewizji.

– Angielski sentymentalizm! – Ernie się wykrzywia. – Koszmar gorszy od popularnych musicali. Deanna Durbin jest śliczna, ale nie ma *squillo!*

– To sopran, Ernie. Björlingowi powinni zakazać występowania na scenie, szwedzki akcent, z którym śpiewa *Tramontate, stelle*, jest nie do przyjęcia.

I tak dalej. Kiedy Maxine była dzieckiem, rodzice próbowali ją zabierać do Metropolitan Opera, ale nigdy się tym nie zainteresowała, nigdy nie została miłośniczką opery, przez lata myślała, że Jussi Björling to kampus w Kalifornii. Nie bawiły jej nawet idiotyczne poranki dla dzieci, podczas których telewizyjni celebryci występowali w hełmach z rogami. Na szczęście brak zainteresowania operą trwał tylko jedno pokolenie. Ziggy i Otis chętnie chodzą z dziadkami na przedstawienia operowe, Ziggy lubi Verdiego, a Otis Pucciniego. Żaden z chłopców nie przepada za Wagnerem.



– Z całym szacunkiem dla babci i dziadka, najlepsza była Aretha Franklin, gdy śpiewała z Pavarottim podczas wręczenia nagród Grammy w dziewięćdziesiątym ósmym roku – mówi Otis.

– W dziewięćdziesiątym ósmym... to dawno, dawno temu. Chodź do mnie, mały ekspercie! – Elaine wyciąga rękę, by uszczyplnąć wnuczka w policzek, ale udaje mu się odsunąć.

Ernie i Elaine mieszkają w klasycznym nowojorskim sześciopokojowym apartamencie sprzed drugiej wojny światowej, a sufit znajduje się tak wysoko, że kojarzy się z kopułą hali sportowej. Do Metropolitan Opera można spokojnie dojść na piechotę.

Elaine macha różdżką i pojawiają się ciastka i kawa.

– Za mało! – Każdy z chłopców trzyma talerz, na którym piętrzy się ogromny stos słodkich drożdżówek, serników, strucli.

– Ach wy, dostaniecie po buzi... – Chłopcy biegną do sąsiedniego pokoju, by oglądać *Space Ghost Coast to Coast*, bo wszystkie odcinki zapobiegliwie nagrał dla nich dziadek. – Żadnych okrucichów!

Maxine odruchowo zagląda do pokoju, w którym kiedyś mieszkała ze swoją siostrą, Brooke. Wszystko wydaje się nowe: meble, zasłony, tapety.

– Odnowiliście pokój?

– Dla Brooke i Aviego, gdy wrócą do Nowego Jorku.

– Kiedy przyjeżdżają?

– Nie widziałaś konferencji prasowej? – pyta Ernie ze złośliwym uśmiechem. – Podobno gdzieś przed Świętem Pracy,

choć Avi pewnie nazywa je Dniem Likudu.

– Daj spokój, Ernie.

– Coś powiedziałem? Skoro chciała poślubić fanatyka, to jej sprawa. Życie jest pełne miłych niespodzianek.

– Avram to przyzwoity mąż. – Elaine kręci głową. – Muszę przyznać, że nie bardzo się angażuje w politykę.

– Przepraszam, oprogramowanie mające zniszczyć Arabów to nie polityka?

– Przyszłam się napić spokojnie kawy – wtrąca melodyjnie Maxine.

– W porządku. – Ernie unosi dłonie w stronę nieba. – Wszyscy bez przerwy mówią o rozdartych matczynych sercach. Nikt nigdy nie pyta o ojca, nie, ojcowie nie mają serc.

– Och, Ernie... To nerd od komputerów, jak wszyscy w jego pokoleniu, jest nieszkodliwy, więc powinienes mu okazać trochę tolerancji.

– Skoro jest taki nieszkodliwy, dlaczego zawsze pyta o niego FBI?

– Co takiego?!

Maxine ma wrażenie, że w głębi jej mózgu rozlega się nagły, donośny dźwięk gongu z chińskiego filmu o doktorze Fu Manchu, który dotychczas nie trafił na ekrany. Jej uwaga skupia się nagle na czymś innym. Od dawna cierpi na nałogowe uzależnienie od czekolady i siedzi z uniesionym widelczykiem, spoglądając na trzy ciastka czekoladowe z piekarni Soutine.

– A może to CIA? – Ernie wzrusza ramionami. – NSA, Ku-Klux-Klan, kto wie? „Tylko kilka dodatkowych szczegółów do

naszych akt”, jak mówią. A potem kilka godzin naprawdę zawstydzających pytań. Zawstydzających dla nich.

– Kiedy to się zaczęło?

– Zaraz po podróży Aviego i Brooke do Izraela. – Elaine jest pewna.

– O co pytają?

– O wspólników, o dawną i obecną pracę, o rodzinę. Wiem, że zamierzasz zapytać: twoje imię także się pojawiało. Poza tym, ach... – Ernie obrzuca Maxine znajomym przebiegłym spojrzeniem. – Jeśli nie masz ochoty o tym słuchać...

– Tak samo jak ty nie miałeś ochoty tłumaczyć w szpitalu Lenox Hill, skąd się wzięły rany od widelca.

– Popatrz, jeden z nich zostawił wizytówkę. – Ernie wręcza ją Maxine. – Chce, żebyś do niego zadzwoniła. Nie ma pośpiechu, po prostu w wolnej chwili.

Maxine spogląda na wizytówkę. Nicholas Windust, oficer do zadań specjalnych, numer telefonu z kierunkowym 202, co oznacza Waszyngton. Poza tym na wizytówce nie ma nic więcej, żadnej nazwy agencji ani biura, nawet logo.

– Był bardzo ładnie ubrany – przypomina sobie Elaine. – Nie tak jak zwykle się ubierają. Bardzo eleganckie buty. Nie miał obrączki.

– Nie wierzę własnym uszom. Ona próbuje mnie stręczyć agentowi federalnemu? Co ja gadam, oczywiście wierzę.

– Wypytywał o ciebie – ciągnie Elaine.

– Rrrrr...

– Z drugiej strony... – spokojnie – ...może masz rację, nikt nie powinien się umawiać na randki z agentem federalnym,

przynajmniej przed obejrzeniem *Toski*. Mieliśmy na nią bilety, ale tamtego wieczoru byłaś zajęta.

– Mój Boże, to było w osiemdziesiątym piątym roku.

– Plácido Domingo i Hildegard Behrens. – Ernie promienieje. – Legendarne przedstawienie. Nie masz kłopotów, prawda?

– Och, tato, prowadzę stale po kilkanaście spraw i każda z nich ma jakiś związek z rządem federalnym: umowy z instytucjami państwowymi, prawo bankowe, organizacje przestępcze. To po prostu dodatkowa papierkowa robota, aż uporam się z tym i zaczynam następną sprawę. – Maxine stara się mówić w taki sposób, by nie wyglądało, że próbuje uśmierzyć niepokój ojca.

– Wyglądał... – Ernie zerka na Maxine – nie jak urzędnik pracujący za biurkiem, lecz raczej jak agent operacyjny. Ale może opuściła mnie intuicja. Pokazał mi moją własną teczkę, wspomniałem o tym?

– Co takiego? Próbował zdobyć twoje zaufanie, na pewno.

– Czy to ja? – odezwał się Ernie, gdy zobaczył fotografię. – Wyglądam jak Sam Jaffe.

– To pana przyjaciel, panie Tarnow?

– Aktor filmowy.

Ernie wytłumaczył Efremowi Zimbalistowi Juniorowi, jak w filmie *Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia* (1951) Sam Jaffe, grający profesora Barnhardta, najinteligentniejszego człowieka na świecie, nowego Einsteina, po napisaniu na tablicy ciągu skomplikowanych równań wychodzi na chwilę ze swojego gabinetu. W tym momencie pojawia się przybysz

z kosmosu, Klaatu, szukając profesora, i widzi tablicę zapisaną symbolami, które przypominają koszmarne trudne zajęcia z algebry. Po chwili zauważa błąd w jednym z równań, ściera je, pisze coś innego i znika. Gdy profesor wraca do gabinetu, natychmiast spostrzega zmianę w równaniach i stoi rozpromieniony przed tablicą. Kiedy opadła tajna żaluzja federalna, na twarzy Erniego pojawił się podobny wyraz.

– Słyszałem o tym filmie – oznajmił specjalista od ludzkiej psychiki. – Pacyfistyczna propaganda w środku zimnej wojny. Chyba podejrzewano, że powstał z inspiracji komunistów.

– Tak, wpisaliście na czarną listę również Sama Jaffego. Nie był komunistą, ale odmówił zeznań. Przez wiele lat nie chciała go zatrudnić żadna wytwórnia. Został nauczycielem matematyki w szkole średniej. Ironia losu.

– Pracował w szkole średniej? Kto był na tyle nielojalny, by go zaangażować?

– W tej chwili jest rok dwa tysiące pierwszy, Maxeleh. – Ernie kręci powoli głową. – Zimna wojna już się skończyła. Jak to możliwe, że ci ludzie w ogóle się nie zmienili, skąd się bierze ta straszliwa inercja?

– Zawsze powtarzałeś, że ich czas nie minął, ale dopiero przyjdzie.

Ernie opowiadał swoim córkom na dobranoc przerażające historie o czarnych listach komunistów w przemyśle filmowym. Niektóre dzieci słuchały bajek o siedmiu krasnoludkach, a Maxine i Brooke o dziesięciu aktorach w Hollywood. Trollami, złymi czarownikami i tak dalej byli zwykle republikanie z lat pięćdziesiątych, skażeni nienawiścią, od około 1925 roku

czujący wręcz fizyczną odrazę do wszystkiego znajdującego się na lewo od „kapitalizmu”, przez co zazwyczaj rozumieli ochronę swojego coraz większego majątku przed zakusami urzędów skarbowych. Jeśli ktoś dorastał na Upper West Side, nie mógł nic o tym nie wiedzieć. Maxine często się zastanawia, czy to dlatego zajęła się zawodowo prowadzeniem śledztw w sprawie oszustw, a Brooke związała się z Avim i jego technologiczną wersją polityki.

– Zadzwonisz do niego?

– Mówisz jak ta... jak jej tam... Nie, tato, nie mam zamiaru.

\* \* \*

Nie wydaje się jednak, że zależy to od Maxine. Następnego dnia, podczas wieczornej godziny szczytu, zaczyna padać... Czasem Maxine nie może wytrzymać, musi wyjść na ulicę. Zapomina o tym, co w cyklu kapitalistycznej gospodarki może być rzeczą bardzo prostą, o ponownym zgromadzeniu okruchów rozsypanego dnia, jak to nazwała Safona, zapamiętana z kursu uniwersyteckiego, po czym staje się milionem dramatów mijających ją ludzi, każdym pełnym tajemnic, bardziej intensywnym, niż może na to pozwolić jasny, słoneczny dzień. Wszystko się zmienia. Czysty zapach deszczu. Hałas uliczny się rozplywa. Odbicia ulic w oknach miejskich autobusów wypełniają wnętrza pojazdów nieczytelnymi trójwymiarowymi obrazami, gdy powierzchnie w niewyjaśniony sposób przemieniają się w przestrzeń. Przeciętni, pełni tupetu durnie z Manhattanu, tłoczący się na

chodnikach, również nabierają pewnej głębi, celu – uśmiechają się, zwalniają, nawet gdy trzymają przy uchu komórki, wydają się śpiewać, a nie mleć ozorami. Niektórzy wynoszą na ulice rośliny doniczkowe, by umył je deszcz. Nawet najłżejsze zetknięcie się dwóch parasoli ma charakter erotyczny.

– Jeśli jest to właściwy parasol, chcesz powiedzieć? – spytała kiedyś Heidi.

– Jesteś zbyt wybredna, Heidi. Każdy parasol. Jakie to ma znaczenie?

– Bujasz w obłokach, Maxi. Mogłabyś spotkać Teda Bundy’ego.

Tego wieczoru naprawdę zdarza się coś w tym rodzaju. Maxine stoi pod jakimiś rusztowaniami, by przeczekać intensywną ulewę, gdy wtem zdaje sobie sprawę, że obok jest jakiś mężczyzna. Parasole się stykają. Nieznajomi w nocy, wymieniający... Nie, chwileczkę, to coś innego.

– Dobry wieczór, pani Tarnow. – Wyjmuje wizytówkę i okazuje się, że zeszłej nocy Ernie dał jej taką samą. Maxine jej nie bierze. – Wszystko jest okay, nie ma tam lokalizatora GPS ani czegoś podobnego.

O rany... Pieprzony głos, dźwięczny, wystudiowany, fałszywy jak odpowiedź automatycznej sekretarki. Maxine spogląda z ukosa na nieznajomego. Około pięćdziesięciu lat, ciemnobrązowe buty. Poliestrowy trencz, który podobałby się Elaine: od czasu szkoły średniej ostrzegano Maxine i wszystkie dziewczęta, by trzymały się z dala od takich ludzi. No więc oczywiście zaczyna szybko mówić:

– Mam już jedną taką wizytówkę. Nazywa się pan Nicholas Windust. Nie ma pan legitymacji, nakazu lub czegoś w tym rodzaju? Jestem po prostu uczciwą obywatelką, zachowuję ostrożność, staram się uczestniczyć w zwalczaniu przestępczości.

Kiedy Maxine nauczy się udawać? Nic dziwnego, że przyczepiają się do niej ludzie z zespołem borderline, ich okresowe wybryki to w gruncie rzeczy aktualizacje kalibracji paranoi, Maxine ignoruje je na własne ryzyko. Czy coś jest ze mną nie tak? Czy naprawdę mam obsesję na punkcie tego, by robić dobre wrażenie? Czy Heidi ma rację, gdy mówi, że jestem w desperacji? Zastanawia się nad tym wszystkim.

Tymczasem Windust otwiera niewielką legitymację oprawioną w skórę, po czym natychmiast ją zamyka. Mogłaby to być karta sieci sklepów Costco, cokolwiek.

– Proszę posłuchać: może nam pani naprawdę pomóc. Jeśli nie miałaby pani nic przeciwko temu, by udać się ze mną do budynku należącego do władz federalnych, nie potrwałoby to...

– O kurwa, zwariował pan?!

– W porządku, wobec tego może La Cibaena na Amsterdam Avenue? Tam również może pani zostać odurzona i porwana, ale kawa będzie lepsza niż w centrum.

– Pięć minut – mruczy Maxine. – Proszę to traktować jako błyskawiczne przesłuchanie.

Dlaczego mu na to pozwala? Potrzeba aprobaty ze strony rodziców, spóźniona o trzydzieści, czterdzieści lat? Cudownie. Naturalnie Ernie ciągle wierzy, że Rosenbergowie byli niewinni, nienawidzi FBI i wszystkich jego klonów, gdy tymczasem Elaine



cierpi na niezdiagnozowany zespół OJ, czyli obsesyjnej jędry. W Winduście jest coś, co sprawia, że w głowie Maxine rozlega się głośny dzwonek alarmowy, nieubłagany niczym alarm w samochodzie, i sygnalizuje, że ten człowiek jest nie do przyjęcia. W przypadku Jamesa Bonda sprawa była prostsza. Brytyjczycy mają akcenty, smokingi, skomplikowany kod sygnałów świadczący o przynależności klasowej. W Nowym Jorku najważniejsze są buty.

Kiedy Maxine analizuje te kwestie, deszcz słabnie i docierają do chińsko-dominikańskiej kawiarni La Cibaena. Maxine z opóźnieniem przypomina sobie, że to jej dzielnica. A jeśli ktoś mnie zobaczy z tym typem?

– Polecam *catibias* generała Tso, cieszą się doskonałą opinią.

– Wieprzowina, jestem Żydówką, coś w Księżce Kapłańskiej, proszę nie pytać.

Maxine jest głodna, ale zamawia tylko kawę. Windust prosi o *morir soñando* i przez chwilę płynnie rozmawia o tym z kelnerką w dominikańskim dialekcie.

– Mają tu doskonale *morir soñando* – zwraca się do Maxine.  
– Stary przepis z Cibao, przekazywany z pokolenia na pokolenie.

Maxine przypadkiem wie, że właściciel idzie na zaplecze i wrzuca do miksera lody Creamsicle. Zastanawia się, czy powiedzieć o tym Windustowi, i natychmiast stwierdza, że zabrzmiałoby to irytująco przemądrzale. A zatem...

– Czy chodzi o mojego szwagra? Wróci za dwa tygodnie, sam pan może z nim porozmawiać.

Windust głośno wydmuchuje powietrze przez nos, bardziej z żalem niż z irytacją.

– Chciałaby pani wiedzieć, co ostatnio niepokoi agencje rządowe zajmujące się problemami bezpieczeństwa, pani Tarnow? To program o nazwie Promis, pierwotnie napisany dla federalnych urzędów prokuratorskich i przeznaczony do przesyłania danych między sądami okręgowymi. Działa niezależnie od tego, w jakim języku sporządzono akta, obsługuje różne systemy operacyjne. Mafia rosyjska sprzedaje go Arabom, a ponadto, co ważniejsze, funkcjonariusze Mossadu podróżują po całym świecie i pomagają miejscowym służbom go instalować. Od czasu do czasu dorzucają jako bonus kurs krav magi.

– A kiedy indziej *rugelach* z piekarni. Czyżbym dostrzegą w pańskiej wypowiedzi nutę antysemityzmu?

Maxine zauważa, że twarz Windusta jest leciutko asymetryczna, jakby zdarzyło mu się w życiu kilka bójek. Drobne zmarszczki, ślad napięcia, porowatość skóry, jaka czasami pojawia się w starszym wieku u mężczyzn. Zaskakująco cienkie wargi, zaciśnięte, gdy milczy. Nie jest człowiekiem gadatliwym. Włosy ma wciąż mokre od deszczu, krótko obcięte, zaczesane na prawo, szpakowate... Oczy, które widziały za dużo i powinny być przykryte okularami...

– Słucham?

W tej chwili nie należy się rozpraszać, Maxine, to nie jest dobry pomysł. Okay.

– Jestem Żydówką, więc doszedł pan do wniosku, że mam ochotę słuchać opowieści o żydowskich programach

komputerowych? Co pewien czas wysyłają pana na warsztaty doskonalące umiejętności społeczne?

– Nie czuję się urażony. – Krzywy uśmiezek Windusta wskazuje na coś innego. – Aplikacja Promis ma pewną niepokojącą cechę: zawsze znajdują się w niej tylne drzwi, więc kiedy zostaje zainstalowana na jakimś rządowym komputerze, w policji, w wywiadzie, w dowództwie operacji specjalnych, każdy, kto zna te tylne drzwi, może po prostu wejść i robić, co mu się podoba. W ten sposób dochodzi do wycieku mnóstwa tajemnic. Nie wspominając o tym, że Izrael wyprodukował kilka bardzo zaawansowanych technologicznie chipów, które są instalowane przez Mossad w komputerach klientów bez ich wiedzy. Te chipy zbierają informacje nawet wtedy, gdy komputer jest wyłączony, a później magazynują je do chwili przylotu szpiegowskiego satelity Ofeq i transmitują w postaci jednorazowej emisji trwającej ułamek sekundy.

– Ach, Żydzi są naprawdę podstępni...

– Czy Izrael nas nie szpieguje? Pamięta pani sprawę Pollarda z osiemdziesiątego piątego roku? Pisały o niej nawet lewicowe gazety takie jak „The New York Times”.

Jak prawicowy musi być ktoś, kto uważa „The New York Times” za gazetę lewicową, zastanawia się Maxine.

– Więc Avram zajmował się chipami i oprogramowaniem?

– Uważamy, że działa dla Mossadu. Może nie ukończył uniwersytetu w Herclijji, ale jest co najmniej jednym z cywilnych uśpionych agentów, których nazywają *sajanim*. Pracuje w swoim fachu na obszarze diaspory i czeka na wezwanie.

Maxine spogląda na zegarek, bierze torebkę i wstaje.

– Nie mam zamiaru donosić na męża siostry. Proszę to traktować jako moje prywatne dziwactwo. Poza tym pańskie pięć minut skończyło się dawno temu. – Wyczuwa, bardziej niż słyszy, milczenie Windusta. – Co za mina...

– Jeszcze jedno, dobrze? Moi ludzie odkryli, że zajmuje się pani finansami hashslingrz.com. Zakładamy, że to zainteresowania zawodowe.

– Wykorzystuję publicznie dostępne strony internetowe, nie ma w tym nic nielegalnego. Skąd właściwie wiecie, co robię?

– Dziecinna igraszka – mówi Windust. – Mamy takie powiedzonko: „Każde uderzenie w klawiaturę zostawia ślad”.

– Domyślam się, że chcecie, bym przestała się zajmować hashslingrz?

– Nie, wręcz przeciwnie. Jeśli w grę wchodzi oszustwo, chcielibyśmy się o tym dowiedzieć. Któregoś dnia.

– Zamierzacie mnie wynająć? Za pieniądze? A może chciał pan użyć uroku osobistego?

Windust wyjmuje z kieszeni marynarki okulary w szylkretowych oprawkach, wyglądające jak klony modeli Wayfarer, i zasłania oczy. W końcu. Uśmiecha się wąskimi wargami.

– Czyżbym wyglądał na taki czarny charakter?

– Och, teraz mam mówić panu komplementy? Dzień dobry, jestem pańskim psychologiem. Mieszka pan w Waszyngtonie, proponuję, żeby zajrzał pan do działu poradników w księgarni Politics and Prose. Dziś wszystkim brakuje empatii, ciężarówka się nie pokazała.

Windust kiwa głową, wstaje i rusza w stronę drzwi.

– Mam nadzieję, że kiedyś znów panią zobaczę.

Ponieważ założył ciemne okulary, nie sposób się przekonać, czy mówi poważnie. Poza tym, skąpiradło, zostawił Maxine z niezapłaconym rachunkiem.

Cóż, tak powinna się skończyć sprawa agenta Windusta. Tej samej nocy, a właściwie nazajutrz rano, tuż przed świtem, Maxine ma bardzo jasny, wyrazisty sen z jego udziałem – nie pieprzą się jeszcze, ale niewiele brakuje. Szczegóły zamazują się, gdy w pokoju narastają hałasy śmieciarek i młotów pneumatycznych, aż wreszcie Maxine widzi tylko jeden obraz, który nie chce zniknąć: federalny penis, intensywnie czerwony, drapieżny, zamierzający ją zgwałcić. Próbuje uciec, ale nie dość przekonująco dla penisa, który nosi dziwne nakrycie głowy, może hełm futbolowy drużyny Harvardu. Penis potrafi czytać jej myśli. „Spójrz na mnie, Maxine. Nie odwracaj oczu. Spójrz na mnie”. Mówiący penis. Ten sam kretyński głos spikera radiowego.

Maxine patrzy na zegar. Zbyt późno, by znowu zasnąć, ale czy ktoś chciałby spać?

Powinna iść do biura i popracować przez jakiś czas nad czymś miłym i normalnym. Kiedy zamierza wyjść z chłopcami do szkoły, rozlega się dzwonek do drzwi – przed stu laty ktoś wpadł na pomysł, że do wspaniałości gmachu najbardziej będą pasować tony Big Bena. Maxine spogląda przez wizjer i widzi Marvinę, pracownika firmy kurierskiej kozmo.com, która niedawno upadła. Dredy ma schowane pod kaskiem rowerowym, jest w pomarańczowej kurtce i niebieskich

bojówkach, a na jego ramieniu wisi pomarańczowa torba kurierska z logo firmy.

– Wcześniej wstałeś, Marvin. Dlaczego nosisz ten strój? Przecież twoja firma zbankrutowała przed wieloma tygodniami.

– To nie znaczy, że mam przestać jeździć. Nogi są ciągle mocne, rower sprawny, mogę jeździć wiecznie, jestem jak Latający Holender.

– To dziwne, nie spodziewam się żadnej przesyłki, musiałeś mnie znów pomylić z jakimś dupkiem. – Z drugiej strony Marvin ma pewną zadziwiającą cechę: wiele razy pojawiał się z rzeczami, których Maxine nigdy nie zamawiała, lecz które okazywały się niezwykle przydatne.

Po raz pierwszy widzi go w ciągu dnia. Zawsze zaczynał pracę o zmroku i do świtu jeździł po mieście pomarańczowym rowerem górskim, dostarczając paczki, lody i kasety wideo narkomanom, hakerom i maniakom nowoczesnych technologii, którzy wierzyli, że bańka internetowa będzie rosła w nieskończoność. Mieli gwarancję, że kurier zawsze przyjedzie przed upływem godziny.

– Najpierw były eleganckie dzielnice. – Tak brzmi teoria Marvina. – Kiedy zaczęliśmy dostarczać przesyłki na północ od 14th Street, od razu wiedziałem, że to początek końca.

Legenda głosi, że burmistrz Giuliani, nienawidzący kurierów rowerowych, osobiście przysiągł Marvinowi zemstę. Chłopak stał się dzięki temu ikoną w swoim środowisku, do czego przyczyniło się również jego pochodzenie z Trynidadu oraz jednocyfrowy numer identyfikacyjny w kozmo.com.

– Tęskniłam za tobą, Marvin.

– Miałem mnóstwo roboty. Jestem wszędzie, jak apteki sieci Duane Reade. Nie dawaj mi banknotu, którym machasz, to za dużo, za bardzo sentymentalne. Ach, oto przesyłka.

Wyjmuje dziwne urządzenie w szarym plastikowym opakowaniu o długości około czterech cali i szerokości cala, z jednej strony wystaje wtyczka USB.

– Co to takiego, Marvin?

– Doprawdy, żarty się ciebie trzymają, moja droga. Ja jestem tylko kurierem.

Pora spytać eksperta.

– Co to jest, Ziggy?

– Wygląda jak flashdrive o pojemności ośmiu megabajtów. Coś w rodzaju karty pamięci, tylko inaczej instalowana. IBM produkuje podobne urządzenia, ale to jakaś azjatycka podróbka.

– Są na tym jakieś pliki?

– Dowolne, prawdopodobnie tekstowe.

– Co mam zrobić? Po prostu podłączyć to do komputera?

– Tak! Nie! Mamusiu, przecież nie wiesz, co jest na tym dysku! Znam kilku chłopaków w Bronx Science: niech najpierw to sprawdzą w swojej pracowni.

– Dzięki, Zig.

Następnego dnia:

– Twój flashdrive jest okay, możesz go bezpiecznie kopiować, po prostu mnóstwo tekstu, wygląda na coś oficjalnego.

– A twoi koledzy widzieli wszystko przede mną.

– Oni... oni nie przepadają za czytaniem, mamusiu. Nic osobistego, to kwestia pokoleniowa.

Okazuje się, że jest tam część dossier Windusta, ściągniętego ze strony internetowej dla szpiegów, znajdującej się w ukrytej sieci i noszącej nazwę Facemask. Tekst odznacza się bezlitosnym humorem, który można spotkać również w podręcznikach dla szkół średnich.

A więc Windust nie jest jednak z FBI. Coś gorszego, jeśli to możliwe. Jeśli istnieje bractwo neoliberalnych terrorystów (miejmy nadzieję, że nie ma tam kobiet), Windust należy do niego od samego początku jako pracownik operacyjny. Jego pierwsze zadanie, gdy był jeszcze nowicjuszem, polegało na naprowadzaniu samolotów, które jedenastego września 1973 roku zbombardowały pałac prezydencki w Santiago w Chile i zabiły Salvadora Allende.

Najpierw, jako drugorzędny agent, zajmował się finansowaniem tajnych operacji, po czym awansował – jego specjalnością była inwigilacja i szpiegostwo gospodarcze. W którymś momencie jego dokonania nabrały złowrogiego charakteru, może w chwili, gdy przekroczył Andy i przeniósł się do Argentyny. Jego obowiązki obejmowały „ulepszone metody przesłuchań” oraz „transport figurantów odmawiających współpracy”. Maxine słabo zna historię Argentyny w tym okresie, lecz wyobraża sobie, o co chodziło. Około 1990 roku, jako jeden z grupy amerykańskich weteranów brudnej wojny służących w Argentynie i doradzających kreaturom z Międzynarodowego Funduszu Walutowego, które doszły do władzy, Windust został współzałożycielem waszyngtońskiego



think tanku o nazwie Trust Amerykańskiej Nauki dla Globalnej Odnowy (TANGO). Od trzydziestu lat prowadzi gościnne wykłady, w tym w osławionej School of the Americas, jest otoczony zwykłą świtą młodszych protegowanych, chociaż z zasady sprzeciwia się kultowi jednostki.

„Może za bardzo mu się to kojarzy z maoizmem” – brzmi jeden z mniej złośliwych komentarzy. I rzeczywiście, koledzy Windusta przez wiele lat traktowali go podejrzliwie. W okresie kryzysu gospodarczego w krajach Trzeciego Świata można zarobić fantastyczne pieniądze, a dziwna niechęć Windusta do przejęcia części zysków wkrótce zaczęła budzić irytację współpracowników. Gdyby kradł, mógłby bezpiecznie funkcjonować, stałby się współnikiem ich przestępstw. Jeśli jednak kierowała nim tylko ideologia – czy może istnieje jakaś ideologia oprócz chciwości? – stawał się kimś dziwnym, wręcz niebezpiecznym.

Po jakimś czasie Windust został zmuszony do szczególnego kompromisu. Kiedy na żądanie MFW jeden z rządów przeprowadzał prywatyzację któregoś z ważnych przedsiębiorstw państwowych, Windust zostawał mniejszościowym udziałowcem, a później, gdy jego wpływy wzrosły, przejmował je w całości – lecz pozostał wariatem z epoki hipisowskiej i nigdy nie spieniężał swoich aktywów. Kiedy sprzedawano za bezcen elektrownię, Windust zostawał cichym współnikiem. Studnie artezyjskie zaopatrujące regionalne wodociągi, grunty niezbędne do budowy linii energetycznych przez terytoria plemienne, kliniki wyspecjalizowane w leczeniu chorób tropikalnych, o których

nie słyszano w cywilizowanym świecie – wszędzie miał skromne udziały. Pewnego dnia, jak rzadko nie mając nic do roboty, przejrzał spis swoich aktywów, by sprawdzić, co właściwie posiada, po czym stwierdził ze zdumieniem, że ma większościowe udziały w polach naftowych, rafinerii ropy, systemie edukacyjnym, linii lotniczej, sieci energetycznej – wszystko w różnych częściach świata, gdzie niedawno przeprowadzano prywatyzację. „Żadna z tych inwestycji nie miała szczególnie spektakularnego charakteru, ale wszystkie razem, biorąc pod uwagę aksjomat wyboru Zermelo, sprawiły, że w pewnych momentach figurant kontrolował gospodarki niektórych państw” – stwierdzał jeden z tajnych raportów.

Maxine dochodzi do wniosku, że ten sam styl myślenia doprowadził Windusta do zebrania pakietu akcji bólu i uszkodzeń zadawanych różnym częściom ludzkiego ciała. W ten sposób stał się sprawcą setek – kto wie, może tysięcy? – zgonów, które obciążają konto jego karmy. Czy Maxine powinna komuś o tym powiedzieć? Erniemu? Elaine, która próbowała nią manipulować? Byliby tacy zaskoczeni.

To przerażające, kurwa. Jak to się dzieje, jak początkujący funkcjonariusz może się zmienić w zahartowanego w bojach weterana, który zaczepił Maxine poprzedniej nocy? Na dysku znajdują się pliki tekstowe, nie ma zdjęć, ale Maxine wyobraża sobie Windusta w tamtych czasach jako czystego młodego człowieka – krótkie włosy, bawełniane spodnie, musi się golić tylko raz w tygodniu, podróżuje po świecie wraz z bandą młodych spryciarzy, którzy odwiedzają wielkie miasta w Trzecim Świecie, wstawiają kopiarki i automaty sprzedające

kawę do starych kolonialnych willi, organizują imprezy do białego rana, przygotowują ładnie opracowane memoranda zawierające plany całkowitej likwidacji krajów, do jakich ich skierowano, i zastąpienia ich wolnorynkowymi fantazjami. „Przed ósmą rano każdy ma to mieć na swoim biurku, *!ándale, !ándale!*”. Tego rodzaju komiczne dialogi w stylu Speedy’ego Gonzalesa musiały być standardem wśród tych smarkaczy ze Wschodniego Wybrzeża.

Dawniej, w bardziej niewinnej epoce, szkody wyrządzone przez Windusta, jeśli takie były, pozostawały tylko na papierze. Aż nagle, w którymś momencie, w miejscu, które Maxine wyobraża sobie jako środek gigantycznej bezlitosnej równiny, Windust zrobił krok do przodu. Trudno ocenić jego ważność, lecz przypominał on odnalezienie niewidzialnego linku na ekranie komputera, po czym przeniósł go do innej rzeczywistości.

Maxine zwykle nie znosi historii, w których występują wyłącznie mężczyźni, chyba że dotyczą NBA. Od czasu do czasu Ziggy i Otis zmuszają ją do obejrzenia filmu akcji, ale jeśli wśród aktorów jest niewiele kobiet, szybko traci zainteresowanie. Czuje mniej więcej to samo, studiując listę przestępstw Windusta, aż wreszcie dochodzi do lat 1982–1983, gdy przerzucono go do Gwatemali, rzekomo jako pracownika misji zajmującej się rolnictwem w kraju, gdzie uprawia się kawę. Farmer Windust udzielający pomocy rolnikom. Okazało się, że w Gwatemali poznał i po krótkich zalotach poślubił – jego anonimowi biografowie nazywają to „wykorzystaniem figurantki w roli żony” – bardzo młodą miejscową dziewczynę

o imieniu Xiomara. Przez chwilę Maxine wyobraża sobie ceremonię ślubną w dżungli, piramidy, pierwotne rytuały Majów, środki halucynogenne. Ale nie – wszystko odbyło się w zakrystii miejscowego kościoła katolickiego, goście zupełnie się nie znali albo wkrótce mieli przestać się znać...

Gdyby agencje rządowe były teściami, Xiomary jako synowej nie zaakceptowałyby z wielu powodów. Pod względem politycznym jej rodzina była istną mieszanką wybuchową – składała się z „duchowych socjalistów” starej szkoły w stylu *arevalista*, lewicowych aktywistów śmiertelnie nienawidzących United Fruit Company, niezłomnych anarchomarksistowskich ciotek i kuzynów, prowadzących konspiracyjne lokale i porozumiewających się z wieśniakami w języku q’anjob’al. Poza tym należeli do niej również przemytnicy broni i handlarze narkotykami, których nic nie obchodziło, lecz których zawsze podejrzewano o sympatię do partyzantów, co odnosiło się do wszystkich mieszkańców regionu.

A więc... co my tu mamy, kochana, imperialistyczny gwałt, legendę szpiegowską na użytek miejscowej ludności? Rezultaty nie wydają się obiecujące. W Gwatemali nie słyszano więcej o Xiomarze ani Winduście. Kilka miesięcy później pojawił się w Kostaryce, ale bez dziewczyny.

Maxine przesuwa do przodu obraz na ekranie, ale w tej chwili koncentruje się bardziej na tym, dlaczego Marvin w ogóle jej to dał. Co powinna zrobić? W porządku, w porządku, może Marvin to posłaniec z innego świata, nawet anioł, ale niezależnie od tego, jakie niewidzialne siły go w tej chwili wykorzystują, Maxine musi zadawać konkretne pytania, na

przykład w jaki sposób w normalnym świecie to urządzenie do przechowywania danych trafiło w ręce Marvina? Ktoś chce, by je dostała. Gabriel Ice? Jakaś frakcja w CIA? Sam Windust?

# 11

Po upływie tygodnia Maxine znów znalazła się w Audytorium Vontzów, gdzie zorganizowano zakończenie roku dla ósmych klas. Na początku odbyła się zwykła parada duchownych różnych wyznań ubranych w odpowiednie stroje, co zawsze wydawało się Maxine wstępem do spektaklu komediowego, a później zespół muzyczny szkoły Kugelblitza odegrał kilka fragmentów *Billie's Bounce*. Bruce Winterslow wypowiedział zdanie zawierające tak dużo wielosylabowych wyrazów, że jego występ nadawałby się do *Księgi Guinnessa*. Wreszcie na podium pojawiła się March Kelleher, mająca wygłosić przemówienie jako gość specjalny. Maxine jest trochę wstrząśnięta, bo March bardzo się zmieniła w ciągu zaledwie kilku lat – zaczekaj, zastanawia się w nagłym przypływie paniki, ile to właściwie lat? March nie ma już początków siwizny, lecz jest wyraźnie siwa, i przesadziła z cieniami do powiek, co sugeruje chwilową utratę wiary w makijaż. Nosi pustynny kombinezon maskujący i siateczkę na włosach, będącą jej znakiem rozpoznawczym, dziś w kolorze neonowej zieleni. Początek jej przemówienia okazuje się przypowieścią, której nikt nie jest w stanie zrozumieć.

– Dawno, dawno temu istniało miasto, a jego potężny władca lubił chodzić po ulicach w przebraniu, zajmując się sekretnymi sprawami. Od czasu do czasu ktoś go rozpoznawał, ale tacy ludzie zawsze przyjmowali garstkę srebra lub złota w zamian za milczenie. Władca zwykle wypowiadał następującą formułę: „Przez chwilę byłeś narażony na działanie bardzo toksycznego rodzaju energii. Oto suma, która powinna ci wynagrodzić szkody, jakich doznałeś. Wkrótce zaczniesz zapominać, a potem poczujesz się lepiej”.

W tym samym czasie nocami krążyła po mieście starsza kobieta, prawdopodobnie podobna do waszych babek, dźwigając ogromny worek pełen brudnych szmat, kawałków papieru i plastiku, zepsutych narzędzi, resztek jedzenia i innych śmieci, które zbierała na ulicach. Znała każdy kąt, żyła w mieście dłużej od reszty jego mieszkańców, przebywała na dworze niezależnie od pogody i wiedziała wszystko. Była opiekunką odpadków wyrzucanych przez mieszkańców miasta. Kiedy władca wreszcie ją spotkał, bardzo się zdziwił, bo gdy ofiarował jej garść monet, gniewnie cisnęła mu je pod nogi, aż rozsypały się z brzękiem na kamiennych płytach chodnika. „Zapomnieć?! – zaskrzeczała. – Nie mogę zapomnieć, nie mam prawa! Pamiętanie to kwintesencja tego, czym jestem. Cena mojego zapomnienia jest wielka, panie, większa, niż jesteście w stanie sobie wyobrazić, nie wspominając o jej zapłaceniu!”. Zaskoczony władca pomyślał, że za mało pieniędzy zaproponował, i znów sięgnął do sakiewki, ale kiedy uniósł wzrok, stara kobieta zniknęła. Tego dnia wrócił z sekretnej wyprawy wcześniej niż zwykle, podenerwowany. Doszedł do

wniosku, że musi odnaleźć i unieszkodliwić starą kobietę. Cóż za niemądry pomysł... Władca nie był okrutnikiem, ale nauczył się dawno temu, że utrzymanie się na szczycie wymaga odpowiednich działań. Przez wiele lat wymyślał nowe, twórcze metody kontrolowania ludzi; nie wiązały się one ze stosowaniem przemocy i zwykle sprowadzały się do przekupstwa. Wścibscy fotografowie tropiący członków rodziny cesarskiej trafili do straży przybocznej, zbyt dociekliwi dziennikarze obejmowali posady analityków w państwowych instytucjach wywiadowczych. Zgodnie z tą logiką stara kobieta z workiem śmieci powinna zostać ministrem ochrony środowiska; pewnego dnia jej imieniem zaczęto by nazywać parki i centra recyklingu. Ale nikt nie mógł jej zaproponować pracy, bo nie można było jej odnaleźć. Jednak jej krytyczne uwagi na temat reżimu stały się częścią zbiorowej świadomości miasta i nie dawało się ich wymazać... Cóż, dzieci, to tylko opowieść. Takie historie można było usłyszeć w Rosji w dawnych czasach, gdy krajem rządził Stalin. Ludzie opowiadali sobie bajki w stylu Ezopa i wszyscy wiedzieli, o co chodzi. Ale czy my, żyjący w Ameryce w dwudziestym pierwszym wieku, możemy powiedzieć to samo? Kim jest ta stara kobieta? Co znajdowała przez te wszystkie lata? Kim jest „władca”, który nie zdołał jej przekupić? I czym się zajmował w sekrecie? Przypuśćmy, że „władca” to w ogóle nie osoba, ale bezduszna siła, tak potężna, że chociaż nie może uszlachetniać, potrafi panować, co w mieście-państwie, o jakim mówimy, zawsze aż nadto wystarcza? Odpowiedź pozostawiam wam, absolwentom szkoły Kugelblitza w dwa tysiące pierwszym



roku. Niechaj to będzie ćwiczenie. Powodzenia. Traktujcie to jako rodzaj konkursu. Publikujcie odpowiedzi na moim blogu, [tabloidofthedamned.com](http://tabloidofthedamned.com), pierwsza nagroda to pizza z dowolnie wybranymi składnikami.

Kiedy podaje adres bloga, rozlegają się ciche brawa. Na snobistycznych uniwersytetach na wschodzie i zachodzie Stanów Zjednoczonych aplauz byłby mniejszy, lecz można by się spodziewać, że absolwentka szkoły Kugelblitza dostanie w tym miejscu większą owację.

– To moja osobowość – mówi do Maxine podczas przyjęcia po zakończeniu roku. – Kobietom nie podoba się moja otwartość, a mężczyznom poglądy. Właśnie dlatego ograniczam występy publiczne i skupiam się na prowadzeniu bloga. – Wręcza Maxine ulotkę, którą Otis przyniósł do domu.

– Poczytam twój blog – obiecuje Maxine.

March kiwa głową w stronę patio i pyta:

– Kim jest ten mężczyzna, z którym przyszłaś, sobowtór Sterlinga Haydena?

– Kto? Och, to mój eks. Hm, coś w tym rodzaju.

– Czy to ten sam „eks” co dwa lata temu? Wtedy jeszcze z nim nie zerwałaś, teraz też jeszcze nie, na co właściwie czekasz? Jakieś nazistowskie imię, jeśli dobrze pamiętam.

– Horst. Czy pojawi się to teraz w internecie?

– Nie, jeśli mi wyświadcysz przysługę, na której mi zależy.

– Aha...

– Tak na poważnie, jesteś audytorką do spraw oszustw, prawda?

– Odebrali mi certyfikat, teraz pracuję jako wolny strzelec.

– Nieważne. Muszę cię spytać o radę.

– Pójdziemy na lunch?

– Nie jadam lunchu. Zdegenerowany wynalazek schyłkowego kapitalizmu. Może śniadanie?

Jednak się uśmiecha. Maxine dochodzi do wniosku, że March nie jest jędzą, wbrew temu, co powiedziała, tylko jest głupią gęsią. Zachowuje się jak człowiek, o którym wiadomo, że po pięciu minutach od zawarcia znajomości każe ci coś zjeść. Coś konkretnego, co nabiera łyżką i podnosi do twoich ust.

\* \* \*

Restauracja Piraeus na Columbus Avenue jest zaśmiecona, brudna, pełna dymu papierosowego i zapachów gotowania dochodzących z kuchni. Stołują się tam ludzie mieszkający w sąsiedztwie. Mike, kelner, rzuca na stół dwa bardzo ciężkie jadłospisy oprawione w popękany brązowy plastik i odchodzi.

– Nie mogę uwierzyć, że ta restauracja ciągle istnieje – mówi March. – I co tu gadać o życiu na kredyt?

– Daj spokój, ten lokal jest wieczny.

– Na jakim ty świecie żyjesz?! Nic w tym mieście nie istnieje dłużej niż pięć lat, wszystko rozszarpują różni zasrani pośrednicy, deweloperzy. Pokaż mi jeden budynek, który ci się podoba; już wkrótce stanie tam eleganckie centrum handlowe albo apartamentowce dla yuppie, którzy mają więcej pieniędzy niż rozumu. Myślisz, że w Nowym Jorku może dłużej istnieć jakiś niezabudowany teren? Przykro mi, lepiej się z nim pożegnaj.

– Park Riverside?

– Ha! Zapomnij o nim! Nawet Central Park nie jest bezpieczny, naszym wizjonerom marzy się rząd pięknych rezydencji ciągnący się od Central Park West aż do Fifth Avenue. A tymczasem „The New York Times” płąsa w plisowanej spódniczce z pomponami i podskakuje z radości z idiotycznym uśmiechem, gdy obok przejeżdżają betoniarki. W Nowym Jorku da się żyć tylko wtedy, gdy człowiek do niczego się nie przywiązuje.

Podobnych rad udziela Maxine Shawn, choć nie mówi o nieruchomościach.

– Wczoraj wieczorem zajrzałam do twojego bloga, March. Zajęłaś się również tropieniem dotcomów?

– Nieruchomości to prosta sprawa, firmy internetowe są trochę inne. Wiesz, co zawsze powtarza Susan Sontag.

– „Podoba mi się, więc kupuję”?

– Jeśli naprawdę chcesz rozmawiać rozsądnie, a nie tylko okazywać rozsądek, potrzebujesz głębokiej empatii z domieszką pogardy.

– Mam w sobie dość pogardy, a co z empatią?

– Ich idealizm... – March mówi z lekkim wahaniem. – Młodość... Nie widziałam niczego podobnego od lat sześćdziesiątych. Te dzieciaki postanowiły zmienić świat. „Informacja musi być wolna”, oni naprawdę w to wierzą. A jednocześnie ci pieprzeni szefowie dotcomów są piekielnie chciwi. Deweloperzy to przy nich Bambi i Tuptuś.

Pralka intuicji uruchamiana przez wrzucenie monety rozpoczyna nowy cykl.

- Niech zgadnę... Twój znieawidzony zięć, Gabriel Ice.
- Jesteś czarodziejką. Wydajesz przyjęcia urodzinowe?
- Tak się składa, że w tej chwili hashlingrz sprawia pewne kłopoty jednemu z moich klientów. Bardzo specyficznemu klientowi.
- Tak, tak? – Z zainteresowaniem. – Oszustwo?
- Nic nielegalnego, co mogłoby się utrzymać w sądzie, przynajmniej na razie.
- Maxi, tam się dzieje coś bardzo, bardzo dziwnego. Pojawia się Mike, trzymając w zębach zapalone cygaro.
- Szanowne panie?
- Ostatnio nie jesteśmy szanowne. – March promienieje. – Prosimy placki, boczek, parówki, smażone ziemniaki, kawę.
- Płatki owsiane Special K – mówi Maxine. – Z chudym mlekiem. Są jakieś owoce?
- Dziś, dla pani, banan.
- Ja też proszę kawę.
- March kręci powoli głową.
- Nazistowskie jedzenie, wczesna faza. Powiedz mi: co cię właściwie łączy z Gabrielem Ice'em?
- Jesteśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi, nie sugeruj się.
- Maxine szybko streszcza sytuację: anomalie w rozkładzie Benforda, widmowi sprzedawcy, przepływ kapitału w rejon Zatoki Perskiej. – Na razie mam tylko ogólny obraz. Wygląda na to, że zawarli wiele kontraktów rządowych.
- March z kwaśną miną kiwa głową.
- Hashlingrz ma ściśle powiązania z amerykańskim aparatem bezpieczeństwa. Kryptologia, zabezpieczenia, Bóg

wie, co jeszcze. Wiesz, że Ice ma posiadłość w Montauk, niezbyt daleko od starej bazy sił powietrznych? – Robi zabawną minę: dziwne połączenie wesołości i przeczucia nadciągającego przeznaczenia.

– Co to ma...

– Projekt Montauk.

– Projekt... Och, zaczekaj, wspominała o tym Heidi... Uczy o tym, to jakaś... miejska legenda?

– Można tak powiedzieć. – Pauza. – Można także powiedzieć, że to ostateczna prawda o amerykańskim rządzie, gorsza niż wszystko, co potrafisz sobie wyobrazić.

Nadchodzi Mike z jedzeniem. Maxine obiera banana i kroji go na plasterki nad talerzem płatków owsianych, starając się, by jej oczy pozostały bez wyrazu, a tymczasem March zaczyna jeść potrawy o wysokiej zawartości cholesterolu i po chwili mówi z pełnymi ustami:

– Znam wiele teorii spiskowych, niektóre to kompletny nonsens, w inne chcę wierzyć tak bardzo, że muszę być ostrożna, a innych nie da się zanegować, nawet gdybym chciała to zrobić. Projekt Montauk to kwintesencja wszystkich straszliwych podejrzeń pojawiających się od zakończenia drugiej wojny światowej: paranoja, tajemniczość, ogromny kompleks podziemny, wyrefinowana broń, kosmici, podróże w czasie, inne wymiary, czy mam wymieniać dalej? I kto jest żywo, wręcz psychopatycznie zainteresowany tymi sprawami? Naturalnie mój oślizgły zięć, Gabriel Ice.

– Chcesz powiedzieć, że to kolejny młody miliarder opanowany przez zwariowane obsesje?

- Raczej: „mała gnida marząca o władzy”.
- Jeśli Projekt Montauk rzeczywiście istnieje.
- Pamiętasz samolot, który eksplodował nad Long Island Sound w dziewięćdziesiątym szóstym roku, lot TWA 800? Śledztwo prowadzono w tak dziwny sposób, że w końcu wszyscy zaczęli myśleć, że stoją za tym władze. W Montauk mówią, że zastosowano miotacz cząstek elementarnych skonstruowany w tajnym laboratorium pod Montauk Point. Niektóre spiski są miłe, wręcz uspokajające, znamy nazwiska czarnych charakterów i chcemy, by zostali ukarani. O innych nie chcemy absolutnie nic wiedzieć, bo są złe, mroczne i wszechogarniające.
- Co masz na myśli? Podróże w czasie? Kosmitów?
- Gdybyś robiła coś w sekrecie i chciała, by nikt się tym nie interesował, czy istnieje lepszy sposób od zaangażowania kilku kalifornijskich maniaków, by sprawa została wyśmiana i uznana za nonsens?
- Ice nie wydaje mi się fanatycznym przeciwnikiem rządu ani poszukiwaczem prawdy. Może uważa to wszystko za realne i chce się włączyć?
- Jeśli już się nie włączył. W ogóle o tym nie mówi. Wszyscy wiedzą, że Larry Ellison uczestniczy w wyścigach żeglarskich, Bill Gross zbiera znaczki. Ale ta „namiętność” Ice’a, jak prawdopodobnie nazwałby to „Forbes”, nie jest zbyt szeroko znana. Na razie.
- Brzmi to tak, jakbyś zamierzała napisać o tym na blogu.
- Dopiero gdy się dowiem czegoś więcej. Każdego dnia pojawiają się nowe dowody, zbyt wiele pieniędzy Ice’a jest

przeznaczanych na ukryte cele i podąża w zbyt wielu kierunkach. Może wszystko jest ze sobą związane, może tylko część? Na przykład te widmowe przelewy, które próbujesz śledzić.

– Próbuję. Krążą w tajemnicy po całym świecie, przechodzą przez rachunki w Nigerii, Jugosławii, Azerbejdżanie, aż wreszcie trafiają do banku holdingowego w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, specjalistycznej instytucji finansowej zarejestrowanej w wolnej strefie ekonomicznej Jebel Ali. Coś w rodzaju wioski smerfów, tylko sprytniejsze.

March patrzy, mrugając, na jedzenie na swoim widelcu i prawie widać stare lewackie trybiki, które zaskakują i zaczynają się obracać.

– O tym mogłabym chcieć napisać.

– Lepiej nie. W tej chwili nie chciałabym nikogo spłoszyć.

– A jeśli to islamscy terroryści lub coś w tym rodzaju? Czas może mieć kluczowe znaczenie.

– Proszę, ja po prostu ścigam oszustów, czy wyglądam jak James Bond?

– Nie wiem, uśmiechnij się jak mężczyzna, zobaczymy.

W twarzy March coś się w dziwny sposób zapada i Maxine zaczyna się zastanawiać, kto jeszcze może pomóc.

– W porządku, posłuchaj, mój informator ma źródło, jakiegoś młodego übergeeka, który grzebie w tej sprawie, usiłując złamać zaszyfrowane pliki hashslingrz. Jeśli coś znajdzie, cokolwiek, mogę ci to przekazać, okay?

Wygląda prawie na zawstydzoną, a macierzyńska telepatia Maxine, która nagle zaczyna działać, podpowiada jej, że jest to

związane z Tallis. March kiedyś dosłownie się modliła, żeby mieć dziecko, i w tej chwili nie wstydzi się do tego przyznać. Bardzo tęskni za córką, która mieszka na Upper East Side, po drugiej stronie parku, choć równie dobrze mogłoby to być Katmandu, i obraca się w eleganckim towarzystwie. March rzadko ją widuje, jeśli w ogóle – zagubiona Tallis, kupiona i sprzedana światu, którego March nigdy nie przestanie nienawidzić.

– Pozwól mi zgadnąć.

– Nie mogę tam pojechać. To wykluczone, ale może ty mogłabyś to zrobić pod jakimś pretekstem, żeby sprawdzić, jak sobie radzi? Tak naprawdę potrzebuję tylko relacji z drugiej ręki. Dowiedziałam się z internetu, że jest dyrektorem finansowym w hashslingrz, więc może mogłabyś, nie wiem...

– Mam po prostu zadzwonić i powiedzieć: „Cześć, Tallis, myślę, że w twojej firmie ktoś podkrada pieniądze, może potrzebujesz audytora bez certyfikatu?”. Daj spokój, March, to działanie na ślepo, trochę jak jazda za karetką pogotowia.

– A więc... Może przywrócą ci certyfikat, co?

– Kiedy ją ostatnio widziałaś? – Ostrożnie.

– W Carnegie Mellon University, gdy zrobiła MBA. Wiele lat temu. Nie byłam nawet zaproszona, lecz i tak przyszłam. Siedziałam daleko z tyłu, ale widziałam, że promienieje. Kręciłam się przez pewien czas wokół sławnego uniwersyteckiego ogrodzenia w nadziei, że się pojawi. Kiedy teraz o tym myślę, wydaje mi się to cholernie żałosne. Film z Barbarą Stanwyck bez kiepskich rad na temat mody.



Prowokuje to instynktowną ocenę wyborów stojących dziś przed March. Maxine zauważa, że kolor siateczki na włosach pasuje do torebki. Fiolet kojarzący się z rzepą.

– W porządku, zgoda, mogę prawdopodobnie skorzystać z okazji i zastosować kilka sztuczek psychologicznych. Nawet jeśli nie zgodzi się na spotkanie, to także coś mi powie, prawda?

# 12

Tallis wraca na krótko z Montauk i może się spotkać z Maxine przed pracą. Bardzo wczesnie rano, w przymglonym świetle słońca, Maxine jedzie do centrum miasta na cotygodniowe spotkanie z Shawnem, który wygląda, jakby spędził całą noc w komorze deprivacji sensorycznej.

– Horst wrócił.

– „Wrócił?” – Cudzysłów nakreślony w powietrzu. – Czy po prostu wrócił?

– Skąd mam wiedzieć?

– Vegas? Kościół Elvisa? Horst i Maxine we dwoje? – Shawn stuka się palcem w skroń, jakby słyszał głosy dochodzące z oddali.

– Proszę, właśnie to mogłaby powiedzieć moja matka, gdyby tak bardzo nie znosiła Horsta.

– To dla mnie za bardzo edypowe, ale mogę cię skierować do naprawdę świetnego psychoanalityka, elastyczne stawki, wszystko.

– Lepiej nie. Co twoim zdaniem zrobiłby Dōgen?

– Siedź.

Mija większa część godziny.

– Hm... siedzę, tak, i...

– Po prostu siedź.

\* \* \*

W czasie jazdy z centrum taksówkarz włączył chrześcijańską stację religijną i słucha z zainteresowaniem. Nie wróży to nic dobrego. Kierowca postanawia dotrzeć do Park Avenue i jechać prosto. W radiu analizowany jest cytat ewangeliczny z Drugiego Listu do Koryntian: „Chętnie przecież znosicie głupców, sami będąc mądrymi”, co Maxine uznaje za wskazówkę, by nie sugerować innej trasy.

Park Avenue, mimo prób upiększenia według czyjegoś pomysłu, pozostaje dla wszystkich, poza kompletnymi idiotami, najnudniejszą ulicą w Nowym Jorku. Pierwotnie zbudowano ją, by elegancko zasłonić tory kolejowe biegnące do dworca Grand Central, więc czym się miała stać – Champs-Élysées? Szybki nocny przejazd limuzyną, powiedzmy, do Harlemu, można jeszcze uznać za możliwy do wytrzymania, ale w biały dzień, gdy samochody posuwają się z przeciętną szybkością jednej przecznicy na godzinę, gdy wszędzie roi się od setek hałaśliwych, śmierdzących, zdezelowanych aut, których kierowcy są tak agresywni jak taksówkarz Maxine, trudno to znieść. Do tego dochodzą blokady policyjne, znaki nakazujące jazdę jednym pasem ruchu, ekipy robotników z młotami pneumatycznymi, spychacze, koparki, betoniarki, pojazdy kładące asfalt oraz odrapane wywrotki, na których nie ma nazwy firmy budowlanej ani nawet numeru telefonu. Wszystko to staje się okazją do ćwiczeń duchowych, lecz raczej

o charakterze wschodnim, mało związanym ze stacją radiową słuchaną przez taksówkarza, która nadaje w tej chwili coś w rodzaju chrześcijańskiego hip-hopu. Chrześcijańskiego czego? Nie, Maxine nie chce wiedzieć.

Nagle zajeżdża im drogę volvo z tablicami rejestracyjnymi z nazwą dilera samochodowego. Jest wyposażone w potężne wielokątne zderzaki i nic sobie nie robi z ryzyka wypadku.

– Pieprzeni Żydzi! – klnie taksówkarz. – Jeżdżą jak cholerne zwierzęta!

– Przecież... zwierzęta nie prowadzą samochodów – mówi uspokajająco Maxine. – Czy Jezus mówiłby w ten sposób?

– Jezus chciałby, by wszyscy Żydzi zdechli – wyjaśnia kierowca.

– Och... Ale czy on sam nie był Żydem? – Maxine nie może się powstrzymać przed zadaniem tego pytania.

– Niech pani nie gada bzdur! – Wskazuje kolorowy wizerunek Zbawiciela przypięty do osłony przeciwsłonecznej. – Widziała pani kiedyś Żyda, który by tak wyglądał? Niech pani spojrzy na stopy: sandały, prawda? Wszyscy wiedzą, że Żydzi nie chodzą w sandałach, tylko noszą buty sportowe. Na pewno jest pani spoza Nowego Jorku, kochana.

Wie pan, chyba tak – o mało nie odpowiada Maxine.

– Dziś to mój ostatni kurs.

Mówi tak dziwnym tonem, że w mózgu Maxine zapalają się światełka alarmowe. Zerka na wyświetlacz pokazujący czas. Nie wygląda na to, by zbliżała się pora zakończenia pracy.

– Tak pana zmęczyłam? – Maxine udaje bez troskę.

– Muszę rozpocząć proces. Stale to odkładam, mam mało czasu, ale nadszedł wreszcie ten dzień. Nie damy się wyłapać jak raki do saka, wiemy, że to się zbliża, musimy się przygotować.

Maxine natychmiast rezygnuje z pomysłu, by na zakończenie kursu powiedzieć kierowcy coś obraźliwego albo udzielić mu lekcji historii. Jeśli dojedzie na miejsce cała i zdrowa, ile to jest warte? Co najmniej podwójną stawkę.

– Muszę przejść na piechotę kilka przecznic, czy mógłby mnie pan tu wysadzić?

Kierowca wydaje się bardzo zadowolony i jeszcze nim zdążą się zatrzasnąć drzwi, rusza, skręca za róg i podąża na wschód, ku przeznaczeniu, o którym Maxine nie chce myśleć.

Bywała już na Upper East Side, choć ciągle czuje się tu nieswojo. Jako dziewczynka chodziła do gimnazjum Julii Richman – cóż, kilka razy mogła wagarować – na East 67th Street, przez pięć dni w tygodniu jeździła autobusami przez całe miasto, nigdy się do tego nie przyzwyczaiła. Matecznik dobrze ubranych kobiet. Odwiedzając tę dzielnicę, Maxine zawsze miała wrażenie, że znajduje się w miasteczku zamieszkanym przez krasnoludki – wszystko było zmniejszone, domy niższe, aleje węższe, w każdej chwili można się spodziewać pojawienia się mikroskopijnego urzędnika, który powie: „Jako burmistrz Miasta Karzełków...”.

Z drugiej strony, Ice mieszkał w wielkiej rezydencji, na której widok pośrednicy handlu nieruchomościami odruchowo zaczęliby cmokać z zachwytu. Innymi słowy, była gigantyczna. Dwie, może trzy kondygnacje, lecz Maxine rozumie, że

gospodarz na pewno jej nie oprowadzi. Wchodzi do części przeznaczonej dla gości, wykorzystywanej do organizacji przyjęć, wieczorów muzycznych, spotkań mających na celu zbieranie funduszy i tym podobne. Wysoko w górze działa klimatyzacja – robi się coraz upalniej, więc nic nie szkodzi. Gdzieś dalej, w budzącej szacunek odległości, zauważa windę prowadzącą do obszarów, które z pewnością mają bardziej prywatny charakter.

Pomieszczenia, przez które pozwolono jej przejść, są pozbawione charakteru. Seledynowe ściany udekorowane różnymi kosztownymi dziełami sztuki – zauważa wczesnego Matisse'a, nie jest w stanie rozpoznać kilku abstrakcyjnych obrazów w stylu ekspresjonistycznym, może kilka z nich namalował Cy Twombly? Zbiór nie jest na tyle jednolity, by sugerować pasję kolekcjonerską, wygląda to raczej na chęć popisania się bogactwem. Nie jest to Musée Picasso ani Peggy Guggenheim Collection w Wenecji. W rogu stoi fortepian Bösendorfer Imperial, na którym pokolenia wynajętych pianistów grały godzinami utwory Kandera i Ebba, Rodgersa i Hammersteina oraz składanki Andrew Lloyd Webbera, gdy tymczasem Gabe i Tallis wraz z dobranymi współpracownikami zbierali pieniądze wśród śmietanki towarzyskiej East Side na różne szlachetne cele, często trywialne według standardów West Side.

– Mój gabinet – oznajmia Tallis. Zabytkowe biurko George'a Nelsona, a także jeden z jego zegarów ściennych typu Omar the Owl. Ach, ładnie... Dzwonki alarmowe.

Tallis doprowadziła do perfekcji sztukę rodem z oper mydlanych: przez cały dzień wygląda, jakby za chwilę miała wyjść na eleganckie przyjęcie. Wysublimowany makijaż, włosy ostrzyżone na pazia przez drogiego fryzjera. Kiedy Tallis porusza głową, ich pasemka układają się w artystycznym nieładzie. Czarne jedwabne spodnie i czarny żakiet rozpięty u góry – Maxine ma wrażenie, że to część wiosennej kolekcji Narcisa Rodrígueza. Włoskie buty, które tylko raz w roku trafiają na wyprzedaż, gdzie stać na ich zakup normalnych ludzi – niektórych ludzi – kolczyki ze szmaragdami o masie pół karata każdy, zegarek firmy Hermés, pierścionek w stylu art déco z wielkimi diamentami z Golkondy. Kiedy oświetla je wpadające przez okno słońce, błyskają oślepiająco niczym magiczna różdżka czarodziejki służąca do walki z czarnymi charakterami. Podczas rozmowy Maxine kilkakrotnie przychodzi do głowy, że może to właśnie ona jest jednym z czarnych charakterów.

Pojawia się pokojówka, która przynosi dzbanek mrożonej herbaty i miskę z warzywnymi chipsami różnych kolorów, w tym indygo.

– Kocham Gabe’a, ale to dziwny człowiek. Poznałam go bardzo dawno temu i szybko zaczęliśmy ze sobą chodzić. – Tallis mówi cichym, nieco wiewiórczym głosem, który jest zabójczo uroczy dla części mężczyzn. – Miał niezwykle oczekiwania, choć wcale nie wariackie. Byliśmy jeszcze dziećmi, widziałam jego potencjał, powiedziałam sobie: kochanie, pracuj nad programem, może to być wspaniała

szansa... Najgorsze jest to, że pojawił się aspekt edukacyjny, prawda?

A ja chciałabym dostać hula-hoop.

Tallis i Gabriel poznali się w Carnegie Mellon University w złotym okresie tamtejszego wydziału informatyki. Dieter, współlokator Gabe'a z pokoju, robił dyplom z gry na dudach, co było możliwe w Carnegie Mellon, i pozwolono mu ćwiczyć w akademiku. Gra na dudach doprowadzała Gabe'a do szału, toteż chodził do klubu studentów informatyki, położonego w pobliżu. Oglądał telewizję i odwiedzał inne akademiki w osiedlu studenckim, również ten, w którym mieszkała Tallis, po czym zaczął prowadzić życie człowieka nieustannie przesiadującego w salach telewizyjnych. Chwilami sam nie wiedział, czy nie śni na jawie, co może tłumaczyć treść jego pierwszych rozmów z Tallis, zapamiętanych przez nią jako „niezwykłe”. Była dziewczyną jego marzeń, w sensie dosłownym. Jej obraz zlał się z wizerunkami Heather Locklear, Lindy Evans, Morgan Fairchild oraz niektórych aktorek występujących w *Statku miłości*. Tallis odczuwała niepokój, co się stanie, jeśli Gabriel wreszcie się dobrze wyśpi i zobaczy ją, prawdziwą Tallis, bez sennej aury wykreowanej przez telewizję.

– No i? – Maxine spogląda na Tallis.

– No i o co właściwie chodziło? Wiem, moja matka też zawsze pytała, dlaczego nasze rozmowy były dziwne.

Maxine postanawia zmienić temat.

– Okazuje się, że pani matka i ja byłyśmy sąsiadkami.

– Kibicuje jej pani?



– Nie za bardzo, chociaż w szkole średniej mówili, że mam w sobie potencjał przywódczy.

– Chodzi mi o to, czy śledzi pani blog mojej matki? *Tabloid of the Damned*? Nie ma dnia, żeby nas nie atakowała, Gabe’a, mnie, naszą firmę, hashslingrz, zajmuje się nami od lat. Typowa obsesja teściowej. Ostatnio wysuwa fantastyczne oskarżenia, twierdzi, że hashslingrz transferują za granicę ogromne sumy pieniędzy. Część tajnej operacji rządu amerykańskiego, większej niż afera Iran-Contras w latach osiemdziesiątych. Tak wygląda jej teoria.

– Rozumiem, że nie przepada za pani mężem.

– Podobnie jak ja za nią. Nie znosimy się, to żaden sekret.

Tallis pokłóciła się z March i swoim ojcem, Sidem, na drugim roku studiów.

– W czasie ferii wiosennych chcieli nas zabrać na jakieś koszarne wakacje, żebyśmy patrzyli, jak się kłóca, czego i tak mieliśmy dość w domu, więc Gabe i ja pojechaliśmy zamiast tego do Miami. Zdaje się, że do MTV trafił w jakiś sposób film przedstawiający mnie topless, wszystko ładnie zamazano, ale od tego czasu było coraz gorzej. Tak się awanturowali, że kiedy wszystko się ułożyło, Gabe i ja już się pobraliśmy i było za późno.

Maxine przez cały czas chciała wspomnieć, że nie zamierza wpływać na dynamikę stosunków rodzinnych, nawet jeśli March ją tu przysłała. Ale dzielą je całe mile parkietu i Tallis mówi dalej, pchana do przodu bezwładnością niechęci.

– Jeśli znajdzie coś złego na temat hashslingrz, natychmiast to opublikuje.

Chwileczkę. Czyżby Maxine właśnie wyczuła, że zaraz padnie słowo „ale”? Czekaj.

– Ale – dodaje Tallis (nie, nie, czy zamierza... Aaach! Tak, popatrz, przykłada paznokiec do warg, ooch! ooch!) – to nie znaczy, że się myli. W sprawie pieniędzy.

– Kto się zajmuje audytem, pani Ice?

– Tallis, proszę. To część... problemu? Zaangażowaliśmy D.S. Millsa z Pearl Street. Czy oni są podejrzani? Ufam im, prawda? Mmmm...

– Z tego, co wiem, Tallis, są koszerni. Jakkolwiek to nazywają rodowici Anglosasi. Wszyscy uważają, że Komisja Papierów Wartościowych i Giełdy po prostu ich kocha, może nie na tyle, by zostać matką ich dzieci, ale wystarczająco. Nie sprawią wam żadnych kłopotów.

– Może nie są w stanie czegoś wyłapać?

Maxine powstrzymuje chęć krzyknięcia: „Alwinnn?!” i pyta łagodnym tonem:

– Czyli... o co właściwie chodzi?

– Och, sama nie wiem... coś dziwnego w wypłatach po ostatnim cyklu? Biorąc pod uwagę fakt, że główna zasada tej branży to zawsze być miłym w stosunku do przedstawicieli firm venture capital?

– A ktoś w twojej firmie jest wobec nich niemiły?

– Pieniądze są rzekomo przeznaczone na infrastrukturę, co po tym wszystkim... Po drugim kwartale zeszłego roku wyposażenie można kupić za bezcen... Serwery, mile nieczynnych światłowodów, przepustowość, wystarczy złożyć ofertę. – Wydaje się, że Tallis wspomina o kwestiach

technicznych z pewną nonszalancją. A może to coś innego? Może coś pomija, jak wtedy, gdy na dysku jest mikroskopijne uszkodzenie, człowiek normalnie niczego nie zauważa. – Jestem dyrektorem finansowym, ale kiedy mówię o tym z Gabe'em, zaczyna się wykręcać. Czuję się jak pijane dziecko we mgle.

– Ale... jak mogłabym to ująć taktownie...? Ty i twój mąż na pewno poważnie o tym rozmawialiście, może nawet kilka razy?

Psotne spojrzenie, odrzucenie włosów. Shirley Temple mogłaby się wiele nauczyć.

– Może. A jeśli nie, czy byłby to problem? – Czy powiedziała „płobłem”? – Chodzi o to... – Interesująca pauza. – Po co mam zawracać mu głowę, jeśli nie jestem niczego pewna?

– Chyba że sam siedzi w tym po uszy, oczywiście.

Szybki oddech, jakby coś jej się przypomniało.

– Cóż, może ty albo jeden z twoich kolegów moglibyście się temu przyjrzeć? Poleciałabyś kogoś...

Aha.

– Nie znoszę problemów małżeńskich, Tallis. Prędzej czy później broń wypala. A ta sprawa, czuję to, bardzo szybko stanie się problemem małżeńskim. „Ależ Ricky, to tylko kapelusz”.

– Byłabym bardzo wdzięczna.

– Aha, i tak musiałabym sprowadzić audytorów.

– Mogłabyś...? – Znowu paznokieć.

– To sprawa zawodowa.

Nagle, w tym absurdalnie bogatym wnętrzu, Maxine czuje się jak kompletna oszustka. Czy aż tak zgłupiała? W porządku, może naciągnąć tę wirtualną idiotkę na dowolnie wielką kwotę,

na ekskluzywne wakacje bardzo, bardzo daleko, ale później, w środku zimy, gdy Maxine będzie się wylegiwać na tropikalnej plaży, koktajl rumowy w wysokiej oszronionej szklance nagle zakołysze się i chluśnie jej w twarz niczym oszaląca fala zrozumienia.

Nic w tym fatalnym momencie nie jest tym, czym się wydaje. Ta kobieta, pomimo MBA, co zwykle jest oczywistą oznaką zidiocenia, manipuluje tobą, spryciara, i powinnaś jak najszybciej stąd zwiewać. Teatralnie zaniepokojone zerknięcie na zegarek Casio G-Shock Mini.

– Hej, mam lunch z klientem, Smith and Wollensky, robota na cały miesiąc, wkrótce do ciebie zadzwonię. Jeśli spotkam twoją mamę, mam ją pozdrowić?

Niezbyt elegancka ucieczka. Biorąc pod uwagę niepowodzenie Maxine i prawdopodobieństwo, że Tallis pozostanie chłodna, trzeba będzie powiedzieć March całą prawdę. Pod warunkiem że Maxine zdoła się odezwać, ponieważ March doszła do wniosku, że Maxine jest rodzajem guru w kwestiach rodzinnych, i zaczęła wygłaszać kolejną mowę, tym razem na temat Tallis.

Kilka lat wcześniej, pewnego ponurego zimowego popołudnia, kiedy March wracała z Pioneer Market na Columbus Avenue, przepchnął się obok niej jakiś anonimowy yuppie, mówiąc: „Przepraszam!”, co w Nowym Jorku oznacza: „Zejdź mi z drogi, kurwo!”, i March w końcu straciła cierpliwość. Upuściła niesione torby na brudną breję pokrywającą ulicę, wymierzyła im kopniaka i wrzasnęła na całe gardło: „Nienawidzę tego beznadziejnego, gównianego miasta!”.

Wydawało się, że nikt nie zwrócił na nią uwagi, chociaż torby i ich rozsypana zawartość zniknęły po kilku sekundach. Zareagował tylko jeden z przechodniów, który przystanął i zauważył: „Skoro nie lubi pani Nowego Jorku, dlaczego się pani nie wyprowadzi?”.

– Ciekawe pytanie – mówi teraz March do Maxine. – Ale czy mogłabym poważnie się nad tym zastanawiać? Tallis mieszka w Nowym Jorku, właśnie dlatego stąd nie wyjeżdżam, tu wszystko się zaczyna i kończy. Co jeszcze jest nowe.

– Ja mam dwóch synów, to wygląda inaczej. – Maxine kiwa głową. – Ale czasami myślę, co by było, gdybym miała córkę.

– Więc uródtź córkę, jesteś jeszcze dzieckiem.

– Tak, podobnie jak Horst i wszyscy faceci, z którymi się spotykałam od czasu, gdy się rozstaliśmy. Na tym polega problem.

– Och, powinnaś poznać Sidneya, mojego byłego męża. Z całego kraju przybywały pielgrzymki zaburzonych nastolatek, by wdychać resztki dymu z jego papierosów i trzymać właściwy kurs.

– Ciągle...

– Ciągle szaleje. Jeśli kiedykolwiek spasuje, będzie to dla niego nieprzyjemna niespodzianka.

– Macie ze sobą kontakt?

– Częściej, niż mogłabym sobie tego życzyć. Mieszka koło linii metra Canarsie z pewną dwunastolatką o imieniu Sequin.

– Widuje się z Tallis?

– Zdaje się, że sąd zakazał mu zbliżania się do niej kilka lat temu, gdy zaczął przychodzić pod jej okno z saksofonem

tenorowym i grać starego rock and rolla, którego kiedyś lubiła. Ice szybko się tym zajął.

– Nie należy nikomu źle życzyć, ale ten Ice, doprawdy...

– Tallis jakoś funkcjonuje. Rodzice nie chcą, by dzieci powtarzały ich błędy. Co się stało? Tallis postąpiła podobnie jak ja i wyszła za mąż za niewłaściwego obiecującego przedsiębiorcę. Sid nie był w stanie znieść stresu związanego z ciągłym przebywaniem w moim towarzystwie, to najgorsze, co można o nim powiedzieć. Ice, z drugiej strony, lubi stres, im więcej, tym lepiej, więc Tallis, moja perwersyjna córka, specjalnie się stara, by nie odczuwał stresu. Ice udaje, że to uwielbia. To zły człowiek.

– A zatem... – Ostrożnie. – Niezależnie od pracy w hashslingrz i tak dalej, jak dużo, twoim zdaniem, Tallis może wiedzieć?

– O czym? O tajemnicach firmy? Nie jest typem człowieka, który mógłby podnieść alarm, jeśli na to liczysz.

– Nie jest dostatecznie rozgoryczona?

– Mogłaby nawet szaleć przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale co by to zmieniło? W umowie przedmałżeńskiej jest cała masa kruczków. Ten pieprzony Ice trzyma ją w garści.

– Spędziłam tam zaledwie godzinę, ale miałam dziwne wrażenie, że jest coś, co ukrywa przed swoim genialnym mężem.

– Na przykład? – Pełen nadziei błysk w oku. – Romans?

– Rozmawialiśmy tylko o oszustwach... ale... uważasz, że w grę może także wchodzić jakiś facet?

– Mogłyby o tym świadczyć dawne historie. Szczerze mówiąc, nie złamałoby to matczynego serca.

– Chciałabym mieć dla ciebie lepsze nowiny.

– Na razie robię to, co mogę, zajmuję się swoim wnukiem, Kennedym. Mam umowę z jego opiekunką, Ofelią, czasami pozwala nam spędzić kilka minut sam na sam. Mogę tylko mieć na niego oko, pilnować, by zupełnie go nie zbakierowali. – Zerka na zegarek. – Masz chwilę?

Idą do skrzyżowania 78th Street i Broadwayu.

– Proszę, nie mów nikomu.

– Czekamy na twojego dilera czy co?

– Na Kennedy’ego. Tallis i ten gestapowiec, za którego wyszła za mąż, wysłali go do Collegiate School. Gdzież by indziej? Chcą go idealnie zaprogramować: Harvard, studia prawnicze, Wall Street, normalny marsz śmierci w stylu Manhattanu. Cóż, babcia stara się coś z tym zrobić.

– Założę się, że cię uwielbia. Związek emocjonalny między babką a wnukiem jest wyjątkowo silny.

– Jasne, nienawidzi się tych samych ludzi.

– Ach...

– Okay, może przesadzam. Oczywiście nienawidzę Tallis, ale od czasu do czasu również ją kocham.

Nieco dalej, przed budynkiem szkoły, do której chodzą dzieci elity, pojawia się grupka małych chłopców. Maxine natychmiast poznaje Kennedy’ego, nie trzeba być jasnowidzem. Blondynek z kręconymi włosami, przyszły lowelas. Syn Tallis odchodzi tanecznym krokiem od grupki kolegów, macha ręką, odwraca się, biegnie ulicą i pada w objęcia March.

– Cześć, synku! Ciężki dzień?  
– Szaleństwo, babciu.  
– Naturalnie, zbliża się przerwa semestralna, więc próbują jeszcze kilku z was ustrzelić.

– Ktoś tam stoi na ulicy i macha do nas ręką – zauważa Maxine.

– Cholera, to Ofelia?! Tak wcześnie? Samochód musiał przyjechać przed czasem. W porządku, synku, nasze spotkanie będzie krótkie, ale znaczące. Ach, jeszcze coś, o mało nie zapomniałam. – Wręcza mu kilka kart z Pokemonami.

– Gengar! Psyduck, do tego japońska!

– Podobno można je wygrać na automatach tylko w wybranych salonach w Tokio. Chyba znalazłam dojście, spokojnie czekaj.

– Super, babciu, dziękuję. – Kolejny uścisk i Kennedy odchodzi.

March patrzy, jak biegnie do rogu, na którym czeka Ofelia, i w jej oczach pojawia się zamyślenie.

– Ice i Tallis mogli się domyślić, że tu przychodzę, i po prostu udają głupich. Tak czy inaczej, ktoś kazał Guntherowi przyjechać wcześniej.

Czy będę musiała się przestać tym zajmować, zastanawia się automatycznie Maxine, po czym natychmiast dochodzi do wniosku, że tego nie zrobi, jeśli będzie to od niej zależało.

– Miły chłopak jak na fana Pokemonów.

– Modłę się tylko, by Tallis nie odziedziczyła po matce Sida manii porządkowania. Sid ciągle wspomina karty bejsbolowe, które mu wyrzuciła czterdzieści lat temu.



- Matka Horsta zrobiła to samo. Jakaś cecha pokoleniowa?
- Teraz to niemożliwe, yuppie za bardzo pasjonują się kolekcjonerstwem. Mimo to kupuję po dwie karty każdego rodzaju, na wszelki wypadek.
- Jeśli nie będziesz uważać, zostaniesz babcią roku. – Maxine postanawia udawać twardziela. – Pokemon? Któż to właściwie? Proktolog z Jamajki, prawda?

\* \* \*

Horst nie może znaleźć lodów o pożądanym smaku i jest coraz bardziej zniecierpliwiony. To niepokojące, bo zwykle jest flegmatykiem.

– Czekoladowe lody z masłem orzechowym? Od lat nie ma już czegoś takiego, Horst. – Maxine zdaje sobie sprawę, że mówi kwaśnym tonem złościcy, którego przez te wszystkie lata starała się unikać.

– Nie umiem tego wyjaśnić. To jak chińska medycyna. Niedobór yang? A może yin? Jednego z nich.

– To znaczy...

– Nie chciałbym zacząć wariować przy chłopcach.

– Och, przy mnie możesz, nie ma problemu.

– Jak mam rozmawiać z kimś, kto tak mało wie o jedzeniu? Aach! Czekoladowe lody z masłem orzechowym. Rozumiesz, o czym mówię?

Maxine bierze bezprzewodowy telefon i zaczyna stukać w klawisze.

– Po prostu zamierzam zatelefonować na dziewięćset jedenaście, jasne, kochany? Chociaż oczywiście, biorąc pod uwagę wszystkie twoje poprzednie...

Nikt się nigdy nie dowie, jak poważny incydent rodzinny mógłby z tego wyniknąć, ponieważ w tej samej chwili w holu słyhać brzęczenie dzwonka uruchomionego przez portiera, Rigoberta.

– Przyjechał Marvin.

Kurier pojawia się przy drzwiach, zanim Maxine odkłada słuchawkę domofonu. Teleportacja pod wpływem marihuany, niewątpliwie.

– Marvin, to znowu ty...

– Dzień i noc ludzie dostają to, czego potrzebują.

Z firmowej torby kozmo.com, która wkrótce stanie się zabytkowa, wyjmuje dwa pojemniki czekoladowych lodów z masłem orzechowym Ben and Jerry.

– Przestali to produkować w dziewięćdziesiątym siódmym roku. – Irytacja Maxine jest większa niż jej zdziwienie.

– To tylko biznes, Maaaxine. I pożądanie.

Horst, pożerający lody łyżkami trzymanymi w obu rękach, entuzjastycznie kiwa głową.

– Och, a to dla ciebie. – Marvin wręcza Maxine wideokasetę w pudełku.

– *Scream, Blacula, Scream?* Mamy już w domu świetne kopie, w tym wersję reżyserską.

– Kochana, ja jestem tylko kurierem.

– Masz numer, pod który mogę zatelefonować na wypadek, gdybym chciała to komuś zwrócić?

– To się tak nie odbywa. Przyjdę do ciebie.  
Płynnym krokiem odchodzi w mrok letniego wieczoru.

# 13

Wczesnie rano, zbyt wczesnie, chłopcy i Horst wsiadają do przestronnego czarnego lincolna i jadą na lotnisko JFK. Plan na lato jest następujący: polecieć do Chicago, zobaczyć miasto, wynająć samochód, pojechać do Iowa, odwiedzić dziadków, a później wyruszyć na wielką wyprawę na tereny, które Maxine nazywa Midolowym Zachodem, ponieważ zawsze czuje się tam, jakby miała okres i brała midol. Jedzie z nimi na lotnisko, nie, nie chce się narzucać, po prostu ma ochotę poczuć na twarzy miły wiatr wpadający przez okno samochodu, jasne?

Stewardesy spacerują parami, trzymając dłonie złożone jak do modlitwy, zakonnice nieba. Przed bramkami dla pasażerów stoją długie kolejki ludzi w szortach, z gigantycznymi plecakami, posuwając się powoli do przodu. Dzieci bawią się sprężynowymi bramkami regulującymi ruch kolejek. Maxine łapie się na tym, że analizuje przepływ ludzi, by ustalić, która kolejka posuwa się najszybciej. To tylko nawyk, ale Horst czuje się niepewnie, bo Maxine nigdy się nie myli.

Zostaje na lotnisku aż do wywołania lotu, obejmuje wszystkich na pożegnanie, nawet Horsta, patrzy, jak idą rękawem do samolotu, i tylko Otis się ogląda.

Idąc w stronę wyjścia i mijając jedną z bramek, Maxine słyszy, że ktoś woła ją po imieniu. A raczej piszczy. To Vyrva, ubrana w sandały, duży słomkowy kapelusz z przekrzywionym rondem i króciutką letnią sukienkę w żywych kolorach zakazanych przez prawo w Nowym Jorku.

– Lecicie do Kalifornii?

– Spędzimy tam dwa tygodnie z kumplami, potem pojedziemy do Vegas i wrócimy.

– Defcon, zlot hakerów. – Justin, ubrany w szerokie szorty plażowe o hawajskim deseniu w papugi i tak dalej, wyjaśnia, że chodzi o doroczną konferencję hakerów, na której spotykają się, spiskują i bawią ludzie o skrajnie odmiennych poglądach i stosunku do prawa, w tym policjanci wierzący, że pracują pod przykryciem.

Fiona jest na jakimś obozie anime w New Jersey – projekcja filmu *Quake*, warsztaty machinima i japońscy prowadzący, którzy twierdzą, że znają po angielsku tylko dwa słowa: „super” i „gówno”, co zresztą doskonale wystarcza do opisu większości ludzkich ambicji.

– A co słyhać na dole, w DeepArcherze? – Maxine chce być tylko towarzyska, jasne...

Justin robi zaniepokojoną minę.

– Tak czy inaczej, nadchodzą wielkie zmiany. Jeśli ktoś tam wchodzi, powinien korzystać z okazji, dopóki to możliwe. Dopóki prawie nie można się tam włamać.

– A będzie można?

– Już niedługo. Zbyt wielu ludzi się za to zabrało. Nikt nie chce kłopotów, ale wszystko się zmieni w pieprzone zoo. Coś

w rodzaju Vegas, wariactwo.

– Nie patrz na mnie – mówi Vyrva. – Ja tylko skręcam jointy i przynoszę żarcie z fast foodu.

Z głośników dobiega zapowiedź po angielsku, chociaż Maxine nagle nie jest w stanie zrozumieć ani słowa. Donośny głos, który z namaszczaniem opowiada o przyszłych wydarzeniach – Maxine nigdy nie chciałaby być wezwana przez ten głos.

– Nasz lot. – Justin podnosi torbę podróżną.

– Pozdrówcie ode mnie Siegfrieda i Roya.

Idąc do bramki, Vyrva przez cały czas przesyła pocałunki nad swoim ramieniem.

\* \* \*

Kiedy Maxine wraca po południu do biura, Daytona siedzi przed maleńkim telewizorem, który trzyma w szufladzie biurka, i ogląda film na Afroamerykańskim Kanale Romantycznym. Nosi on tytuł *Love's Nickel Defense*, a jego bohaterem jest Hakeem, zawodowy gracz w futbol występujący jako obrońca. Hakeem kręci spot reklamujący piwo, spotyka na planie Serendypiti, modelkę grającą w tej samej reklamie, i zakochuje się w niej, a ona natychmiast tak na niego wpływa, że Hakeem zaczyna fantastycznie grać: zawodnicy przeciwnej drużyny nie mają z nim szans. Jego przykład oddziałuje na napastników, którzy zaczynają zdobywać punkty. Do tego czasu drużyna stale przegrywała, a teraz nagle sytuacja się odwraca.

Zwycięstwo za zwycięstwem! Dzika karta! Play-offy! Super Bowl!

W połowie Super Bowl drużyna przegrywa dziesięcioma punktami. Mnóstwo czasu, by nadrobić straty. Serendypiti przedziera się przez wielostopniową ochronę i wchodzi do szatni. „Kochanie, musimy porozmawiać”. Przerwa na reklamy.

– Hej, wróciłaś? – Daytona kiwa głową. – Posłuchaj, dziesięć minut temu dzwonił jakiś sukinsyn, zachowywał się jak biały. – Szuka na blacie biurka i znajduje kartkę z prośbą o zatelefonowanie do Gabriela Ice’a i numerem telefonu komórkowego.

– Zadzwoń z drugiego pokoju. Reklamy już się skończyły.

– Uważaj z tym typkiem, kochanie.

Maxine pamięta dawne rozróżnienie audytorów na współudział i zwykle oddzwanianie na prośbę rozmówcy. Łączy się z Ice’em.

Żadnego „halo”, „co u pani słyhać”. Potentat informatyczny pyta:

– Czy ta linia jest bezpieczna?

– Używam jej, robiąc zakupy. Podaję numer swojej karty kredytowej i inne dane. Jak dotąd nic złego się nie stało.

– Domyślam się, że moglibyśmy zacząć się zastanawiać nad różnymi definicjami „złego”, ale...

– Moglibyśmy zboczyć z tematu, to miewa fatalne konsekwencje dla poważnych ludzi, którzy są bardzo zajęci... A zatem...

– Chyba zna pani moją teściową, March Kelleher. Widziała pani jej stronę internetową?

– Wchodzę na nią od czasu do czasu.

– Na pewno zauważyła pani krytyczne wpisy na temat mojej firmy. Pojawiają się codziennie. Wie pani, dlaczego ona to robi?

– Czytałam tylko kilka komentarzy. Wydaje się, że panu nie ufa, panie Ice. Głęboko nie ufa. Chyba wierzy, że za olśniewającą sagą o szaleństwach młodego miliardera, którą wszyscy uważamy za bardzo zabawną, kryje się coś mrocznego.

– Zajmujemy się bezpieczeństwem informatycznym. Chciałaby pani, żebyśmy byli transparentni?

Nie, wolę nieprzejrzystość, szyfry, dziwne machinacje.

– To za bardzo polityczne pytanie.

– A kwestie finansowe? Jak pani sądzi, ile musiałbym zapłacić, żeby teściowa się ode mnie odczepiła? Proszę podać orientacyjną kwotę.

– Niestety, czarno to widzę. March nie ma ceny.

– Tak, ale mogłaby pani zapytać? Byłbym bardzo, ale to bardzo wdzięczny.

– Przysporzyła panu takich zmartwień? Niech pan da spokój, to tylko blog. Ilu ludzi może go czytać?

– Nawet jeden człowiek to za dużo, jeśli będzie tym niewłaściwym.

Rozmowa zamiera, narodowość zależy od wyboru. Maxine powinna kontynuować: „Ma pan tak znakomite stosunki wśród wysoko postawionych osób, że nikt nie może pana o nic oskarżyć, prawda?”. Ale w ten sposób przyznałaby, że wie więcej, niżby należało.



– Cóż, coś panu powiem. Kiedy następnym razem spotkam March, spytam ją, dlaczego nie wyraża się bardziej pozytywnie o pańskiej firmie, a potem, gdy splunie mi w twarz, nazwie mnie pańską dziwką i oskarży, że sprzedałam się pańskiej korporacji, będę w stanie to zignorować, wiedząc w głębi serca, że wyświadczam wielką przysługę fantastycznemu facetowi.

– Gardzi mną pani, prawda?

Maxine udaje, że się zastanawia.

– Ludzie lubią mieć licencję na pogardę. Mnie odebrano certyfikat, więc wystarczy, że jestem wkurzona, ale to nie trwa długo.

– Dobrze wiedzieć. Nawiasem mówiąc, w przyszłości mogłoby to pani pomóc trzymać się z dala od mojej żony.

– Chwileczkę, kolego. – Co za odrażający typ. – Źle mnie pan zrozumiał, jest śliczniutka jak ucho pluskwy, ale...

– Proszę po prostu się do niej nie zbliżać. Proszę się zachowywać profesjonalnie. Niech pani dobrze pamięta, dla kogo pani pracuje, okay?

– Proszę mówić wolniej, próbuję to zanotować.

Ice, tak jak chciała Maxine, natychmiast odkłada słuchawkę.

\* \* \*

Przyjeżdża Rocky Slaggiatt. Jak zwykle bez bagażu.

– Hej, Maxine, muszę pojechać do twojej dzielnicy i postraszyć kilku klientów, nie, wróc, chciałem powiedzieć:

„odbyć rozmowy ostrzegawcze”. Muszę z tobą pogadać w cztery oczy.

– Coś ważnego, tak?

– Może. Znasz restaurację Omega na 72nd Street?

– W pobliżu Columbus Avenue, jasne. Za dziesięć minut?

Rocky siedzi za przepierzeniem w tylnej części lokalu, w odległym, mrocznym zakamarku Omegi. Towarzyszy mu elegancki mężczyzna w szytym na miarę garniturze i okularach w jasnej oprawce, średniego wzrostu, z wyglądu yuppie.

– Przepraszam, że odciągam cię od pracy. Poznaj Igora Daszkowa, miłego gościa, którego warto mieć w swoim wizytowniku.

Igor całuje Maxine w rękę i kiwa głową do Rocky’ego.

– Nie ma magnetofonu, mam nadzieję.

– Nie znoszę magnetofonów. – Maxine udaje, że wyjaśnia. – Mam doskonałą pamięć, a później, gdy mnie przesłuchują, potrafię powtórzyć wszystko słowo w słowo agentom federalnym. Albo ludziom, których tak się pan boi.

Igor się uśmiecha i przekrzywia głowę, z pewnością oczarowany.

– Nie ma gliniarza, który potrafiłby coś więcej, niż lekko zirytować tych ludzi – mruczy Rocky.

Przy sąsiednim stoliku, za przepierzeniem, Maxine zauważa dwóch barczystych młodych ludzi, którzy grają na przenośnych konsolach.

– Doom. – Igor wskazuje ich kciukiem. – Niedawno ukazała się wersja na Game Boya. Późny postkapitalizm oszalał. United Aerospace Corporation, księżyc Marsa, bramy piekieł, zombie,

demony, w tym dwa, które tu siedzą. Misza i Grisza. Przywitajcie się, *padonki*.

Cisza i naciskanie guzików.

– Miło was poznać, Misza i Grisza. – Niezależnie od tego, jak się naprawdę nazywacie, cześć, jestem Maria, królowa Rumunii.

– Wolimy, by nas nazywano Deimosem i Fobosem – odzywa się jeden z młodych ludzi, obnażając więzienne zęby z nierdzewnej stali.

– Za dużo grają w gry komputerowe. Niedawno wyszli z łagru, dalecy krewni, teraz już nie tacy dalecy. Brighton Beach to dla nich raj. Przywożę ich na Manhattan, by mogli popatrzeć na piekło. I spotkać się z moim kumplem Rocco. Jak idą interesy z venture capital, *amigo*?

– Nie najlepiej. – Rocky wzrusza ramionami. – *Mi gratto la pancia*, wiesz, po prostu wiążemy koniec z końcem.

– W Rosji mówimy: *chujem gruszi okołacziwat*?. – Igor uśmiecha się promiennie do Maxine. – Strząsać gruszki fiutem.

– Dość skomplikowane – odpowiada z uśmiechem Maxine.

– Ale zabawne.

Ten facet może wyglądać na członka ekskluzywnego klubu, ale gdzieś pod maską gładkiego biznesmena z bogatych amerykańskich przedmieść, głęboko niczym we wnętrzu matrioszki, kryje się potężnie zbudowany, zahartowany w bojach żołnierz Specnazu, twardziel, chętnie opowiadający historie wojenne sprzed dwudziestu lat. Ni stąd, ni zowąd Igor zaczyna wspominać skok spadochronowy z dużej wysokości, na

północnym Kaukazie. Spadochron miał się otworzyć tuż nad ziemią.

– Leciałem w mroku, zmarznięty na kość, i zacząłem się zastanawiać: co naprawdę chciałbym osiągnąć w życiu? Zabić jeszcze więcej Czeczenów? Odnaleźć prawdziwą miłość i wychowywać dzieci w jakimś ciepłym miejscu, takim jak Goa? Prawie zapomniałem otworzyć spadochron. Kiedy znalazłem się z powrotem na ziemi, wszystko stało się jasne. Całkowicie. Chciałbym zarobić mnóstwo pieniędzy.

Rocky się śmieje.

– Hej, ja też na to wpadłem, nie musiałem skakać ze spadochronem.

– Może gdybyś skoczył, postanowiłbyś rozdać wszystkie swoje pieniądze?

– Znasz kogoś, kto to zrobił? – pyta Maxine.

– W Specnazie ludzie miewają dziwne przygody – odpowiada Igor. – Nie wspominając o skokach z dużej wysokości.

– Spytaj ją. – Rocky pochyla się nad uchem Igora. – Śmiało, jest w porządku.

– O co ma mnie spytać?

– Wiesz coś o tych ludziach? – Igor kładzie przed Maxine teczkę.

– Madoff Securities. Hm, słyszałam trochę plotek o tej firmie. Bernie Madoff to legenda. Podobno dobrze mu idzie.

– Jeden do dwóch procent miesięcznie.

– Niezła średnia stopa zwrotu. Na czym polega problem?

– Nie średnia. Rezultat jest taki sam w każdym miesiącu.

– Ach... – Maxine przegląda teczkę, zerka na wykres. – O kurwa... To idealna linia prosta. Będzie tak się wznosić w nieskończoność?

– Wydaje ci się to trochę nienormalne?

– W tej sytuacji ekonomicznej?! Popatrz! Nawet w zeszłym roku, gdy pękła bańka internetowa?! Nie, to musi być piramida finansowa, schemat Ponziego, a skala tych inwestycji sugeruje, że może to być tylko przykrywka. Trzymasz u niego jakieś pieniądze?

– Nie, moi przyjaciele. Zaczęli się niepokoić.

– Czy... to dorośli ludzie, którzy potrafią sobie radzić z nieprzyjemnymi wiadomościami?

– W pewien szczególny sposób. Ale doceniają wartość mądrych rad.

– Cóż, jeśli o mnie chodzi, radzę działać szybko, bez emocji, jeśli to możliwe, i zastanowić się, jak z tego wyjść. Najważniejszy jest czas. Należało to zrobić miesiąc temu.

– Rocky mówi, że masz talent.

– Zauważyłby to każdy idiota, proszę, nie bierzcie tego do siebie. Dlaczego nie zajmuje się tym Komisja Papierów Wartościowych i Giełdy albo prokuratura?

Wzruszenie ramionami, wymownie uniesione brwi, palce ocierające się o palce.

– Cóż, dobre pytanie.

Od pewnego czasu Maxine zauważa, że Misza i Grisza wydają z siebie dziwne dźwięki, machają rękami, coś deklamują i zachowują się jak didżeje. Okazuje się, że są wielkimi fanami rosyjskiego hip-hopu, funkcjonującego

w półlegalnym podziemiu muzycznym, a zwłaszcza niziutkiego rosyjskiego gwiazdora o imieniu Detsl, rastafarianina. Znają na pamięć jego dwa pierwsze albumy: Misza imituje muzykę i dźwięki perkusji, a Grisza śpiewa tekst, chyba że zmienia kolejność słów...

Igor ostentacyjnie spogląda na rolexa cellini z białego złota.

– Myślisz, że hip-hop jest dla nich dobry? Masz dzieci?

A one, czy...

– Sama tego słuchałam w tym wieku, nie jestem w stanie... ale utwór, który teraz wykonują, rzeczywiście wpada w ucho.

– *Wieczerinka u Detsla* – mówi Grisza.

– Impreza u Detsla – wyjaśnia Misza.

– Zaczekaj, zaczekaj, zagrajmy dla niej *Ulicznyj bojec*.

– Następnym razem. – Igor wstaje i zbiera się do wyjścia. – Obiecuję. – Ścisną dłoń Maxine, całuje ją w oba policzki, lewy-prawy-lewy. – Przekażę twoje rady swoim przyjaciołom. Damy ci znać, co się dzieje. – Odwraca się i wychodzi za drzwi.

– Te dwa goryle zjadły po dwa ciastka z kremem czekoladowym – oznajmia Rocky. – A ja mam zapłacić rachunek.

– Więc to Igor chciał się ze mną zobaczyć, nie ty?

– Rozczarowana?

– Nie, mój dobry człowieku. Igor to mafia, tak?

– Ciągle próbuję to ustalić. Część ludzi, z którymi się spotyka w Brighton Beach, należała do grupy Japonczika, nim wylądował w więzieniu. Klasyczni gangsterzy, stara gwardia. Z drugiej strony nie ma żadnych tatuaży, rozmiar kołnierzyka

piętnaście i pół, ech... – Kiwa lekceważąco dłonią. – Wątpliwe. Wygląda raczej na lobbystę.

\* \* \*

Pewnego dnia, gdy Maxine idzie na basen w Deseret, okazuje się, że winda nie działa, może permanentnie – niewątpliwie zablokowali ją jacyś yuppie. Szuka innej windy i w końcu schodzi do labiryntu podziemi, po czym zamierza wejść, wbrew rozsądkowi, do osławionej Czarnej Windy, dziedzictwa dawnych dni, o której krążą plotki, że ma własny umysł. W istocie Maxine zaczęła wierzyć, że winda jest nawiedzona, że przed wielu laty coś się w niej stało, lecz zagadka nigdy nie została rozwiązana, toteż teraz, gdy pojawia się okazja, winda próbuje kierować ludzi do miejsc, które pozwolą jej odnaleźć ulgę. Tym razem nie jedzie na samą górę, do basenu, ale wiezie Maxine na nieznane piętro. Po chwili okazuje się, że to...

– Maxi, hej!

Maxine spogląda w mrok, który wydaje się dziwnie gęsty.

– Reg?

– Czuję się jak w azjatyckim horrorze – szepce Reg. – Prawdopodobnie stworzył go Oxide Pang. Czy mogłabyś prześlizgnąć się tutaj wzdłuż ściany, żebyśmy stali poza zasięgiem kamery przemysłowej?

– Dlaczego mamy stać poza zasięgiem kamery?

– Nie chcę, żebym przebywał w tym budynku. W tej chwili na pewno mają rozkaz, by mnie wyrzucić.

– Zajmujesz się teraz budynkami?

– Ta fałszywa toaleta w hashslingrz? Niedawno przypadkiem zauważyłem na ulicy jednego z facetów, których tam widziałem. Miałem przy sobie dużo czystej taśmy, więc ruszyłem za nim i filmowałem. Krążył po całej dzielnicy, po chwili spotkał się z dwoma, trzema gośćmi, których rozpoznałem, a następnie wszyscy weszli do Deseret, gdzie strażnicy przy bramie traktowali ich jak gwiazdorów. Doszedłem do wniosku, że skoro Gabriel Ice jest jednym z właścicieli tego budynku...

– Zaczekaj, Ice?! Od kiedy?

– Myślałem, że wiesz. Tak czy inaczej, w tej chwili to kwestia akademicka, wydarzenia nabrały tempa. Wczoraj Ice zerwał ze mną umowę na film. Znow włamano się do mojego mieszkania, przewrócono wszystko do góry nogami, skradziono wszystkie taśmy oprócz tych, które ukryłem.

Niezbyt obiecujące wydarzenie.

– Lepiej chodź ze mną. Winda towarowa może być już wolna.

Jadą na dół i uciekają tylnym wejściem w stronę Riverside, gdzie wsiadają do autobusu do centrum miasta.

– Nie wspomniałeś o tym glinom, prawda?

– Chyba po to, by mogli się serdecznie uśmieć, co trochę ożywiłoby ich ponury dzień pracy. Jasne. Co z moim wyjazdem z miasta?

– Seattle.

– Już czas, Maxi. Ice wyświadczył mi przysługę. Nie chcę mieć na koncie filmu o hashslingrz, to psułoby mój wizerunek,



a poza tym hashslingrz to już przeszłość. Cokolwiek się stanie, jest skończony.

– Nie wydaje się bliski bankructwa.

– Jeśli dotcomy mają nieśmiertelną duszę, ci z hashslingrz są skazani na potępienie.

Wysiadają na 8th Street, znajdują pizzerię, siedzą przez chwilę przy stoliku na ulicy. Reg zaczyna filozofować.

– Nigdy nie byłem Alfredem Hitchcockiem lub kimś w tym rodzaju. Możesz oglądać moje filmy do znudzenia, a i tak nie znajdziesz głębszego sensu. Widzę coś ciekawego i kręcę, i tyle. Jeśli chcesz wiedzieć, przyszłość filmu to większy przepływ danych, więcej plików wideo w internecie, wszyscy zaczną filmować, co się da, nikt nie będzie w stanie tego oglądać, wszystko straci jakiegokolwiek znaczenie. Możesz mnie uważać za proroka.

– Domagasz się komplementów, Reg. A co z nieplanowanym przemeblowaniem twojego mieszkania? Ktoś musiał mieć bardzo wysokie mniemanie o jednym z twoich filmów.

– Ice. – Reg wzrusza ramionami. – Próbował odzyskać to, co uważa za swoją własność.

Nie, myśli Maxine, czując w palcach nagły ból, jakby dopadała ją grypa. Ice nie byłby najgorszym rozwiązaniem. Jeśli to ktoś inny, może się okazać, że Seattle leży za blisko.

– Posłuchaj, jeśli chcesz, żebym coś dla ciebie przechowała...

– Nie martw się, pamiętam o tobie.

– Dasz mi znać po wyjeździe z miasta?

– Spróbuję.

– Proszę. Och, Reg, a poza tym...

– Tak, wiem, kiedyś oglądałem starą *Bionic Woman*. Prędzej czy później Oscar Goldman mówi: „Bądź ostrożna, Jaime”.

– Był dla mnie silnym wzorcem osobowym, kimś w rodzaju żydowskiej matki. Pamiętaj, że nawet Jaime Sommers musi być od czasu do czasu ostrożna.

– Nie martw się. Kiedyś myślałem, że dopóki mam to wszystko w kadrze kamery, nic mi nie grozi. Trochę to zajęło, ale teraz wiem, że jest inaczej. Jesteś zadowolona? – Wygląda jak dziecko, które straciło złudzenia.

– Chyba powinnam to uznać za dobrą wiadomość.

# 14

Jedną z tajemniczych firm odkrytych przez przedsiębiorczego Erica Outfielda w zaszyfrowanych plikach hashslinrgrz to Darklinear Solutions, przedsiębiorstwo specjalizujące się w światłowodach.

Kto zdrowy na umyśle zajmowałby się w tej chwili światłowodami, skoro od roku drastycznie spadła liczba nowych instalacji? Cóż, bańka internetowa sprawiła, że kładziono mnóstwo przewodów – w tej chwili całe mile kabli leżą niewykorzystane i w efekcie firmy takie jak Darklinear pasożytują na rozkładającym się trupie. Wyszukują nieczynne światłowody w normalnych budynkach, sporządzają ich plany i pomagają klientom tworzyć prywatne sieci, dostosowane do indywidualnych wymagań.

Maxine nie rozumie, dlaczego przelewy hashslinrgrz na konto Darklinear utajniono, choć wcale nie było to konieczne. Światłowody to normalna inwestycja, potrzeby przepustowości hashslinrgrz całkowicie ją usprawiedliwiają, nawet urząd kontroli skarbowej wydawał się zadowolony. A jednak, podobnie jak w przypadku hwgaahwgh.com, przepływy gotówkowe wyglądają na zbyt wielkie i ktoś zastosował przesadne zabezpieczenia hasłami.

Czasami lepiej nie tłamsić w sobie pewnych rzeczy; danie upustu irytacji może być perwersyjną przyjemnością. Maxine dzwoni do Tallis Ice i ma szczęście. Innymi słowy, nie odzywa się automatyczna sekretarka.

– Telefonował do mnie twój czarujący mąż. Ciekawe, że wiedział o naszym spotkaniu.

– To nie ja, przysięgam, to budynek. Mają dzienniki wejść i wyjść, wszystko jest pod nadzorem kamer, cóż, mogłam mu wspomnieć, że wpadłaś...

– Jestem pewna, że to mimo wszystko wspaniały facet – mówi Maxine. – Skoro już cię złapałam, czy mogłabym o coś spytać?

– Jasne...

Dobra, zaczynajmy.

– Rozmawialiśmy na temat infrastruktury. Prowadzę sprawę klienta z New Jersey, który ma problemy ze środkami trwałymi i interesuje go firma z Manhattanu zajmująca się światłowodami, nazywa się Darklinear Solutions. To zupełnie nie moja branża, czy robiłaś kiedyś z nimi interesy albo znasz kogoś, kto z nimi współpracował?

– Nie. – W głosie Tallis słychać leciutkie wahanie, a Maxine zdążyła się nauczyć, że w takich przypadkach warto przyjrzeć się sprawie bliżej. – O co chodzi?

– Drobnostka, staram się po prostu czegoś dowiedzieć za darmo, dzięki, Tallis.

\* \* \*

Darklinear Solutions mieści się w nowoczesnym, chromowo-neonowym gmachu w dzielnicy Flatiron. W grze komputerowej dozwolonej bez ograniczeń wiekowych sprzedawałaby pastylki z jeżówki albo panini z wodorostów, a nie informatyczny narkotyk podsycający zdeprawowane fantazje o ogromnych sieciach światłowodowych, ciągle żywe pozostałości epoki, która niedawno się skończyła.

Maxine zamierza właśnie wysiąść z taksówki, gdy zauważa kobietę, która opuszcza budynek. Ma obcisły kostium w lamparcie cętki i ciemne okulary Chanel Havana zasłaniające oczy, a nie używane jako przepaska do włosów. Sprawia wrażenie, jakby chciała ukryć swoją tożsamość, ale jest to oczywiście, no, no, no, Tallis Kelleher Ice.

Maxine zastanawia się, czy nie pomachać ręką i nie wrzasnąć: „Cześć!”, ale Tallis wydaje się zbyt zdenerwowana: normalny miejski paranoik wygląda przy niej jak James Bond przy stole do bakarata. Co jest grane? Światłowody stały się nagle takie tajemnicze? Nie, chodzi o strój, który ktoś inny mógłby uznać za prowokacyjny, a Maxine w naturalny sposób zaczyna się zastanawiać kto.

– Wysiada pani?

– Może powinien pan znowu włączyć licznik, posiedzę w aucie.

Tallis idzie ulicą, rozglądając się nerwowo. Zatrzymuje się na rogu i udaje, że ogląda wystawę sklepu z kosmetykami, jej stopy zastygają w baletowej pozie, zachowuje się jak tancerka z Barnard College w galerii sztuki. Po minucie otwierają się drzwi Darklinear Solutions i z budynku wychodzi barczysty

mężczyzna w eleganckim swetrze i luźnych spodniach, z torbą na ramieniu, i również rozgląda się z lękiem. Skręca w przeciwnym kierunku niż Tallis, idzie do lincolna navigatora zaparkowanego w odległości kilku kroków, wsiada i rusza powoli w stronę Tallis. Kiedy dociera do rogu, otwierają się drzwi i Tallis wślizguje się do środka.

– Szybko! – mówi Maxine. – Nim się zapali czerwone!

– To pani mąż?

– Czyjś mąż, prawdopodobnie. Zobaczmy, dokąd pojedą.

– Jest pani policjantką?

– Jestem Lennie z serialu *Prawo i porządek*, nie poznał mnie pan?

Podążają za wielkim pozeraczem benzyny aż do Franklin D. Roosevelt East River Drive, po czym kierują się do centrum, skręcają w 96th Street, jadą na północ, wzdłuż First Avenue, do rejonu na pograniczu Upper East Side i East Harlem. Niegdyś można się było tam umówić na spotkanie z dilerem narkotyków albo prostytutką, lecz teraz widać oznaki sztyku.

Ciężki SUV o masie pick-upa zatrzymuje się obok niedawno przebudowanego budynku. Gustowny szyld umieszczony na wyższych piętrach oznajmia, że mieszczą się tam apartamenty o wartości około miliona dolarów. Lincoln długo manewruje, aż wreszcie udaje mu się zaparkować.

– W dawnych czasach nikt nie zostawiłby takiego wozu na ulicy, byłoby to szaleństwo – mruczy taksówkarz. – Teraz wszyscy boją się go ruszyć, bo może należeć do jakiegoś gangstera, który myśli glockiem.

– Idą. Może pan na mnie poczekać? Chcę coś sprawdzić.

Maxine odczekuje dwie minuty, by Tallis i człowiek aligator zdążyli wsiąść do windy, po czym podchodzi do portiera.

– Ta para, która przed chwilą weszła do środka, to właściciele tego wielkiego SUV-a? Czy ci idioci nie potrafią parkować?! Urwali mi zderzak samochodu!

Portier to miły młody człowiek, nie płaszczy się przed Maxine, ale mówi przepaszająco:

– Naprawdę nie mogę pani wpuścić.

– W porządku, nie powinien pan także wzywać ich na dół, bo wybuchłaby straszliwa awantura, a ja jestem taka wściekła, że mogłoby dojść nawet do rozlewu krwi. Komu to potrzebne, prawda? Proszę. – Maxine wręcza portierowi wizytówkę prawnika do spraw podatkowych, sławnego w okresie gorączki lat dziewięćdziesiątych i w dalszym ciągu mającego kancelarię w Danbury. – To mój adwokat, może by pan przekazał jego wizytówkę właścicielom tego wielkiego SUV-a, gdy ich pan zobaczy? Ach, lepiej ja także zanotuję ich numer telefonu, mail, cokolwiek, żeby nasi prawnicy mogli nawiązać kontakt.

W tym momencie niektórzy portierzy z miejsca odmówiliby, powołując się na przepisy, ale ten jest nowy, podobnie jak budynek, i ma wielką ochotę jak najszybciej się pozbyć zwariowanej suki z pretensjami o kolizję w czasie parkowania. Maxine szybko przegląda kartotekę w recepcji i wraca do taksówki ze wszystkimi niezbędnymi danymi oprócz numerów kart kredytowych.

– To zabawne – mówi taksówkarz. – Dokąd teraz?

Maxine zerka na zegarek. Wygląda na to, że powinna wrócić do biura.

- Górny Broadway, gdzieś koło sklepu Zabar, dobrze?
- Zabar? – Taksówkarz zaczyna mówić jak niski rangą podwładny.
- Tak, mam dziwną informację o transporcie ciekłego tlenu, muszę to sprawdzić. – Maxine udaje, że sprawdza bezpiecznik beretty.
- Może powinienem dać pani rabat dla prywatnych detektywów?
- Ale jestem tylko... nieważne, zgoda.

\* \* \*

- Co robisz dziś wieczorem, Maxine?
- Będę się masturbować przy filmie na kanale Lifetime, chyba nadają *Her Psychopathic Fiancé*, o co ci, do cholery, chodzi?! Zamiast tego Maxine mówi:
- Chcesz mnie gdzieś zaprosić, Rocky?
- Hej, nazwała mnie Rocky... Posłuchaj, to bardzo przyzwoita impreza, będzie Cornelia, mój wspólnik Spud Loiterman, może kilka innych osób.
- Żartujesz. Wieczorne przyjęcie. Dokąd mielibyśmy pojechać?
- To koreańskie karaoke, jest taki... Nazywają to *noraebang*, w dzielnicy koreańskiej, bar Lucky 18.
- Streetlight People, *Don't Stop Believing*, karaoke, powinnam się domyślić.
- Kiedyś regularnie bywaliśmy u Iggy'ego przy Second Avenue, ale w zeszłym roku przenieśliśmy się, właściwie nie



z mojej inicjatywy, zaaranżował to Spud, więc przenieśliśmy się...

– Na 86th Street.

– Spud... – Rocky jest trochę zawstydzony. – Spud to geniusz, mój wspólnik, gdybyś miała kiedyś problemy z zasadami Komisji Papierów Wartościowych i Giełdy dotyczącymi emisji papierów wartościowych... Wystarczy, że podejdzie do mikrofonu... Cóż, Spud stale zmienia strojenie. Technologia nie jest w stanie za nim nadążyć, chociaż wprowadzili kompensację płynności dźwięku.

– Powinnam przynieść stopery do uszu?

– Nie, po prostu przypomnij sobie kilka hitowych ballad z lat osiemdziesiątych i wpadnij około dziewiątej. – Rocky wyczuwa wahanie Maxine i jako człowiek obdarzony intuicją dodaje: – Ach, i włóż coś brzydkiego. Nie chcę, żebyś przyćmiła Cornelie.

Maxine idzie prosto do garderoby i znajduje stonowaną, lecz godną tabloidów sukienkę Dolce & Gabbany, którą kupiła na wyprzedaży w Filene's Basement. Rabat wynosił siedemdziesiąt procent, musiała dosłownie wyrwać sukienkę z rąk eleganckiej matki z East Side, która wybrała się na zakupy po odwiezieniu dzieci do szkoły. Sukienka zresztą w ogóle na nią nie pasowała, bo kobieta była o dwa numery za gruba. Maxine od długiego czasu czeka na okazję, by ją włożyć. Gala w Lincoln Center? Zbiórka funduszy na działalność polityczną? Zapomnijmy o tym, bar karaoke pełen drapieżnych kapitalistów, idealna okazja.

W barze Lucky 18, w jednej z większych sal, Maxine spotyka Spuda Loitermana, głuchego na tony współnika Rocky'ego, a ponadto Letitię, dziewczynę Spuda, grupę gości, którzy przyjechali do miasta na weekend, oraz kilkunastu prawdziwych Koreańczyków, ubranych, może ironicznie, w lśniące żółtawe kostiumy z winylonu, pochodzące z Korei Północnej. Jeśli Maxine się nie przesłyszała, jest to materiał wyrabiany z węgla. Koreańczycy odłączyli się od wycieczki i coraz bardziej się niepokoją, czy zdołają odnaleźć drogę do autokaru. Pojawia się również Cornelia, w eleganckim, wieczorowym stroju i perłach. Jest wyższa od Rocky'ego, nawet bez szpilek, które dziś włożyła, i emanuje niewymuszoną dobroduszością, rzadko widywaną na twarzach białych Amerykanów, chociaż twierdzą, że to oni ją wynaleźli.

Maxine i Cornelia zaczynają gawędzić, gdy wpycha się między nie Rocky, jak zawsze ubrany po włosku, w garniturze Rubinacciego i kapeluszu Borsalino.

– Hej, Maxi, chodź na chwilę, poznasz kogoś! – mówi, wywijając cygarem.

Cornelia w milczeniu zerka na Rocky'ego, jakby chciała powiedzieć: „Nie widzisz, że jesteśmy zajęte?”. Jej wzrok ma w sobie coś z shurikenów w kształcie stalowych gwiazd, rzucanych w filmach o wschodnich sztukach walki... A jednak, a jednak, czy między Cornelią i Rockym nie wyczuwa się czegoś erotycznego?

– Może po reklamie w telewizji. – Cornelia wzrusza ramionami i przewraca oczami, patrząc w sufit, po czym odwraca się i odchodzi.

Maxine dostrzega zapięcie Mikimoto na atrakcyjnej szyi, tradycyjne żółte złoto, nie wszyscy lubią oprawiać w nie perły, choć należałoby to wytłumaczyć gościom w Mikimouse-o, którzy uważają, że wszyscy Amerykanie są blondynami. Cornelia rzeczywiście jest blondynką i pojawia się pytanie, czy jest blondynką również w głowie.

Należy to ustalić. Tymczasem:

– Maxi, poznaj Lestera, dawniej pracował w hwwaahwgh.com. – Likwidacja lub cokolwiek innego, wygląda na to, że Rocky, zawodowy specjalista od venture capital, zawsze szuka okazji, by znaleźć doskonały pomysł na inwestycję.

Lester Traipse nosi okulary w prostokątnych oprawkach, jest krępy, używa taniego żelu do włosów i mówi jak Kermit z *Muppetów*. Największą niespodzianką okazuje się jego towarzysz. Felix Boïngueaux, ostatnio widziany, jak wychodził z baru sieci Tim Horton's na René Lévesque Boulevard na tak zwany „słaby śnieg”, jak to jest nazywane w Montrealu. Prezentuje się dziś wieczorem dziwacznie – jego szokująca fryzura mogła kosztować kilkaset dolarów i zostać starannie zaprojektowana, by ludzie odczuwali fałszywe samozadowolenie z własnego wyglądu aż do chwili, gdy jest już za późno, a może Felix sam się ostrzygł i wszystko zepsuł.

Tymczasem Rocky i Lester w milczeniu przenieśli się do baru.

– Miło cię znowu widzieć. Wszystko gra? Posłuchaj... – Ukradkowe spojrzenie na Rocky'ego. – Nie wspomniałaś o...

– Kasie fiskalnej...

– Tssss!

– Och, jasne, że nie, dlaczego miałabym o tym mówić?

– Próbujemy wszystko zalegalizować.

– Jak Michael Corleone, rozumiem, nie ma problemu.

– Mówię poważnie. Zaczynamy wszystko od początku. Ja i Lester. Oprogramowanie przeciwko zapperom, wystarczy zainstalować taką aplikację w kasie fiskalnej i dezaktywuje ona phantomware w promieniu mili, jeśli ktoś próbuje używać zappera, jego dysk się topi. No, może nie dosłownie, ale coś w tym stylu. Jesteś zaprzyjaźniona z panem Słagiattem? Hej, wstaw się za nami.

– Jasne.

Gra na dwie strony, co? Amoralna młodość, czy to nie koszmarne...

Gdy maszyna do karaoke zostaje włączona, Koreańczycy natychmiast ustawiają się w kolejce, by się wpisać na listę oczekujących na występ. Fatyczne pogawędki i poważne rozmowy o interesach współzawodniczą przez pewien czas z *More Than a Feeling*, *Bohemian Rhapsody* i *Dancing Queen*. Na ekranie, poza tekstami piosenek po koreańsku i angielsku, pojawiają się tajemnicze filmy – tłumy Azjatów biegają w kółko wśród odległych ulic i placów, masy kibiców wypełniają gigantyczne stadiony sportowe, widać rozmazane fragmenty koreańskich oper mydlanych, filmów dokumentalnych o przyrodzie i innych dziwnych, lokalnych produkcji. Często mają one niewiele wspólnego z piosenką, którą odtwarza maszyna, i z jej tekstem, niekiedy pojawiają się szczególne rozbieżności.

Kiedy przychodzi kolej na Cornelię, jej wybór to *Massapequa*, przebój z *Amy & Joey*, musicalu poświęconego Amy Fisher, granego od 1994 roku na scenach Off-Broadway przy kompletach publiczności. Cornelia nadaje mu posmak nowoczesnej muzyki country: stoi z mikrofonem w ręku przed ekranem, na którym pojawiają się misie koala, wombaty i diabły tasmańskie, po czym zaczyna śpiewać sopranem:

*Mass-a-pe-qua!*

*in my*

*Dreams, I seek ya,*

*It's a long way back,*

*To that old Sunrise High-*

*Way-*

*(Yeah).*

*Thought... I'd leave you, but I*

*Still... receive you, like a*

*Station late at night,*

*From long ago...*

[Przejście]

*Where's-a-pizza-when-you*

*Need... one...?*

*Where's-a-bar-a-girl-can... dance?*

*Where's 'ose kids we used to be?*

*Where's 'at extra second chance?*

*(Must've left em back in)*

*Mass-*

*sape-qua, never*

*Dreamed I'd keep ya,*

*Thought that growing up meant*

*Throwing you away...*

*But though I*

*Tried to toss ya, guess I*

*Never lost ya,*

*'Cause you're still right here, tucked  
Safely, in my heart,  
(Massapequa-ah!),  
Still right here, tucked  
Safely in my heart...*

*(Massapequa!*

*W swoich*

*Snach szukam cię,  
Długi powrót do starej  
Sunrise High-  
Way...*

*(Tak)*

*Myślałam... że cię opuszczę, ale  
Ciągle cię czuję... jak  
Dworzec późno w nocy,  
Za dawnych lat,  
[Przejście]  
Gdzie-jest-pizza-gdy  
Masz... ochotę coś zjeść?  
Gdzie-bar-w-którym-dziewczyna-może... potańczyć?  
Gdzie dzieciaki, którymi byliśmy?  
Gdzie nowa wspaniała okazja?  
(Musiałam je tam zostawić)  
Mass-  
sapequa, nigdy  
Nie marzyłam, że cię zatrzymam,  
Myślałam, że dorastanie oznacza,  
Że cię odrzucę,  
Ale chociaż  
Próbowałam się siebie  
Pozbyć,  
Nigdy cię nie straciłam,  
Bo ciągle jesteś bezpiecznie  
Ukryta w moim sercu,  
(Massapequa-ach!),*

*Ciągle tutaj, bezpiecznie  
Ukryta w moim sercu...)*

Ach, cóż, wspaniale... Najtrudniejsza część *Massapequa* to partie, gdy biali próbują śpiewać bluesa, co w najlepszym razie wypada nieprzekonująco. Cornelii w jakiś sposób udaje się pokonać tę trudność.

– Dziękuję.

Maxine wychodzi do toalety, by się przypudrować, i zaczyna chwalić Cornelie:

– Świetnie wypadłaś, ogromnie mi się podobało, wyglądałaś jak prawdziwa subretka, jak Gloria Grahame w *Oklahomie!*

– To miło z twojej strony – odpowiada poważnie Cornelia. – Ludzie zwykle mówią, że śpiewam jak wczesna Irene Dunne. Oczywiście bez wibrato. Rocky wyraża się o tobie w samych superlatywach, co zawsze uważam za dobry znak. – Maxine unosi ze zdziwieniem brwi. – Równie dobry jak wtedy, gdy w ogóle nic nie mówi. – Maxine nie przepada za rozmowami na temat stosunków okołomażeńskich, więc uśmiecha się uprzejmie, a Cornelia rozumie aluzję. – Może byśmy się kiedyś spotkały, zjadły lunch, poszły na jakieś zakupy?

– Dobrze. Ale muszę cię ostrzec, że nie lubię chodzić po sklepach dla rozrywki.

Cornelia jest zdziwiona.

– Przecież jesteś Żydówką?

– Och, oczywiście.

– Praktykującą?

– W tej chwili już wiem, jak to robić.

– Ale to chyba oznacza... talent do korzystnych zakupów?

– Powinnam mieć to w genach, wiem. Ale mimo wszystko wciąż zapominam dotknąć materiału albo spojrzeć na metkę i czasem... – Maxine zniża głos i rozgląda się, jakby w obawie, że ktoś może ją usłyszeć – ...płaciłam nawet normalną cenę!

Cornelia udaje, że gwałtownie wciąga powietrze ze zgrozy, po czym patrzy na Maxine z fałszywym niepokojem.

– Proszę, nie mów nikomu, od czasu do czasu zdarzało mi się... targować w sklepach. Niewiarygodne, niekiedy obniżali cenę. Dziesięć procent. Raz prawie trzydzieści, ale tylko raz, w sklepie Bloomingdale’s w latach osiemdziesiątych. Ciągle stoi mi to wyraźnie przed oczami.

– A więc... dopóki nie doniesiemy na siebie nawzajem policji etnicznej...

Wychodzą z damskiej toalety i widzą, że goście stali się znacznie bardziej hałaśliwi. Wszędzie widać szklanki i dzbanki Soju Wallbangera, Koreańczycy leżą na sofach, a gdy przyjmują pozycję pionową, śpiewają i płaczą im się nogi. Obsesyjne nastolatki z laptopami grają w kącie w Darkeden, w powietrzu unoszą się smugi dymu z cygar marki Cohiba, kelnerki śmieją się głośniejsze i tolerują coraz lubieźniejsze zachowania. W którymś momencie Rocky zainwestował sporą kwotę w *Volare* – odnalazł starą taśmę filmową z Domenikiem Modugno z *Ed Sullivan Show* z 1958 roku, gdy piosenka przez długie tygodnie była w Stanach na pierwszym miejscu listy przebojów, po czym studiował niewyraźne wideo, ucząc się gestów i ruchów Domenica.

Kto, doprawdy, mógłby się okazać tak pretensjonalny, by nie docenić *Volare*, może jednego z największych przebojów



muzyki pop, jakie kiedykolwiek napisano? Młodemu człowiekowi śni się, że leci po niebie nad światem, rzucając wyzwanie grawitacji i czasowi, jakby przedwcześnie osiągnął wiek średni. W drugiej zwrotce budzi się z powrotem na ziemi i pierwszą rzeczą, jaką widzi, są wielkie błękitne oczy ukochanej. I stają się dla niego niebem. Wszyscy mężczyźni powinni dorastać tak wdzięcznie.

Wreszcie, wcześniej, niż można by się spodziewać, nadchodzi ta część wieczoru, gdy wśród kolejki śpiewających pojawia się zespół Toto.

– Spud, chyba nie zostawiłam mózgu w Afryce...

– Hm? Tak właśnie brzmią słowa na ekranie.

Jeśli ktoś spodziewał się zobaczyć stada zwierząt w Serengeti, czeka go rozczarowanie: widać wyciszone klipy z drugiej serii koreańskiego hitu telewizyjnego *Gag Concert*. Bójki, śmiech widowni w studiu. Sala jest teraz tak zadymiona, że obrazy na ekranie są przyjemnie rozmazane.

Maxine toczy długą, nierozstrzygniętą dyskusję z jednym z pasażerów z zabłąkanego koreańskiego autobusu. Dotyczy ona liczby osiemnaście w nazwie lokalu.

– Zła liczba. – Koreańczyk się krzywi. – *Sip pal*. Oznacza „sprzedawać cipkę”.

– Tak, ale Żydzi uważają, że osiemnastka przynosi szczęście – odpowiada spokojnie Maxine. – Na przykład pieniądze dawane z okazji bar micwy zawsze muszą stanowić wielokrotność osiemnastu.

– Sprzedawać cipkę? Za bar micwę?

– Nie, nie, w gematrii, to rodzaj... żydowskiego szyfru... osiemnaście odpowiada *chai* albo życiu.

– Tak samo jak cipka!

Dialog międzykulturowy zostaje przerwany przez hałasy dobiegające z męskiej toalety.

– Przepraszam na chwilę.

Maxine zagląda do środka i widzi Lestera Traipse'a prowadzącego ożywioną dyskusję na temat projektowania stron internetowych. W istocie jest to straszliwa awantura z potężnie zbudowanym typem udającym informatyka: Maxine obawia się, że w gruncie rzeczy pracuje on w zupełnie innej branży. Wrzaski kłócących się mężczyzn zagłuszają nawet głośną muzykę karaoke, najwyraźniej chodzi o to, czy stosować tabele, czy CSS. W owym czasie sprawa ta wywoływała kontrowersje i budziła tak wielkie namiętności, że Maxine miała wrażenie, iż jest w tym jakiś aspekt religijny. Maxine wyobraża sobie, że niezależnie od tego, która strona sporu zwycięży, za dziesięć lat trudno będzie zrozumieć sens tej dyskusji. Ale w tej chwili, tego wieczoru, nie to jest najważniejsze. W tej toalecie nie chodzi o kwestie merytoryczne. Osobnik udający informatyka wygląda raczej jak kryminalista.

Naturalnie Maxine wzięła ze sobą tylko torebkę wieczorową, w której nie mieści się beretta tomcat – miała nadzieję, że spędzi przyjemny wieczór, o którym nazajutrz rano w „The Daily News” nie ukaze się artykuł pod tytułem *Krwawe noraebang*. Chociaż nie ma pistoletu, wie, co powinna zrobić. Stawia czoła burzy testosteronu i prowadzi Lestera

w bezpieczne miejsce, ciągnąc go za dziwaczny krawat z obrazkami przedstawiającymi Sknerusa McKwacza w kolorze ciemnej pomarańczy i elektrycznej orchidei.

– Jeden z bydlaków wchodzących w skład świty Gabriela Ice’a. – Lester ciężko dyszy. – Stale się kłócimy. Przepraszam. Felix powinien pilnować, żebym nie wpadł w tarapaty.

– Co się z nim dzieje?

– To on śpiewa *September*.

Maxine uprzejmie słucha ośmiu taktów piosenki, w której mowa o Ziemi, Wietrze, Ogniu i Felixie, którego można by nazwać Tumanem Mgły, po czym pyta niedbale:

– Od dawna znasz Felixa?

– Niezbyt długo. Przychodziliśmy do tych samych biur, by rozmawiać z tymi samymi firmami venture capital, okazało się, że obaj interesujemy się phantomware’em. Ja nie miałem co ze sobą zrobić i zaciekawiał mnie ten temat, a Felix szukał kogoś specjalizującego się w promocji wyszukiwarek, więc postanowiliśmy połączyć siły. To lepsze od mojej dawnej pracy.

– Przykro mi z powodu hwgaahwgh.com.

– Mnie także, ale właściciele stawali się fanatykami CSS, tak jak ten typ w toalecie, a ja, jak widzisz, jestem weteranem tabel, posiwiął w bojach, wyrzuconym na bruk. Nie mam sobie nic do zarzucenia: dinozaury są potrzebne, bo inaczej co oglądałyby w muzeach dzieciaki, prawda?

– A więc jesteś zadowolony, że przestałeś projektować strony internetowe?

– Po co robić stale to samo? Trzeba iść naprzód i pamiętać, by trzymać się z dala od Gabriela Ice’a. Chyba że to twój

najdroższy przyjaciel, w takim razie przepraszam.

– Nigdy go nie spotkałam, ale bardzo niewielu ludzi dobrze o nim mówi. O co chodzi? Kantował w sprawozdaniach finansowych?

– Nie, co najdziwniejsze, wszystko było legalne.

– Pieniądze były dobre?

– Może nawet za dobre. – Lester znacząco porusza stopami w butach firmy Florsheim, sugerując, że wie więcej, znacznie więcej. – Nigdy nie mogłem tego zrozumieć. Mieliśmy za małą przepustowość, byliśmy za wolni w porównaniu z hashslingrz, wręcz jak nędzna firma z Trzeciego Świata. Szefowie interesowali się CSS, ale nie przepustowością. Tymczasem Ice to maniak przepustowości. Wykupuje za tanie pieniądze całą infrastrukturę, jaką może znaleźć. Dotkomy bez opamiętania rozbudowywały swoje sieci światłowodowe, a potem plajtowały. One straciły, zyskał Ice.

W tej chwili ktoś – już nie Felix – śpiewa *What a Fool Believes* Michaela McDonalda, a kilka osób z sali się przyłącza. W tym radosnym otoczeniu gorycz przebijająca z opowieści Lestera jest tak wyraźna, że Maxine słyszy pisk telepatycznego alarmu, który rozwinął się w jej mózgu po utracie certyfikatu. Co to może znaczyć?

– Czyli twoja praca dla Ice'a...

– Strony HTML, stara szkoła, w tym przypadku „hipochondryk tankuje mnóstwo litu”, wszystko zaszyfrowane, nikt z nas nie wiedział, o co chodzi. Ice kazał wszędzie umieszczać metatagi zabraniające wstępu robotom: NOINDEX, NOFOLLOW. Rzekomo po to, by pająki sieciowe nie wchodziły

na strony, ukryte tak głęboko, by były bezpieczne. Ale mógł to zrobić każdy z pracowników firmy, roilo się tam od nerdów mających coś na sumieniu. Było ich więcej niż graczy na serwerze Quake'a.

– Tak, podobno Ice prowadził także coś w rodzaju kliniki rehabilitacyjnej dla młodych hakerów. Odwiedziłeś kiedyś siedzibę hashslingrz?

– Krótco po zakupie hwgaahwgh Ice wezwał mnie na audiencję. Myślałem, że przynajmniej poczęstuje mnie lunchem, ale zamiast tego dostałem kawę instant i miskę kukurydzianych chrupek. Zdrowa żywność. Żadnej salsy. Nawet żadnej soli. Po prostu siedział i gapił się na mnie. Musieliśmy rozmawiać, ale nie pamiętam, o czym. Ciągle mam koszmarne sny. Chodzi nie tyle o Ice'a, ile o jego świtę. Założę się, że część z nich spędziła trochę czasu na wyspie Rikers.

– I domyślam się, że kazał ci podpisać zobowiązanie do zachowania tajemnicy.

– W tej firmie nic nigdy nie zostanie ujawnione, nikt niczego nie powie, nawet teraz, po likwidacji hwgaahwgh.com, zobowiązanie do zachowania tajemnicy pozostaje w mocy aż do końca wszechświata albo pojawienia się Daikatany, cokolwiek nastąpi pierwsze. To zupełnie w ich stylu: kiepski dzień, drobne problemy żołądkowe, mogą mnie dopaść, kiedy tylko zechcą.

– A zatem... ta dżentelmeńska rozmowa... tak naprawdę nie dotyczyła projektowania stron internetowych?

Lester zerka na Maxine w szczególny sposób; unosi oczy, tak że odbija się w nich dość światła, by ostrzegawczo błysnęły.

Jakby chciał zasugerować, że nie może się tym zajmować i Maxine również nie powinna.

– Chodzi mi o to, że ten człowiek nie pasuje do typowych profili psychologicznych – ciągnie Maxine.

– Można by się spodziewać, że Ice okaże więcej pewności siebie, prawda? – Lester ma zamyślony i niespokojny wyraz twarzy, jakby widział, że coś za bardzo się zbliża. – Ma mnóstwo znajomości wśród ważniaków. Ale jest niepewny, pełen lęku i złości, jak lichwiarz albo alfons, co to właśnie się dowiedział, że nie może oczekiwać pomocy od gliniarzy, którym się opłaca, ani nawet od swoich zwierzchników. Jego smutnych skarg nie wysłucha żadna Komisja Papierów Wartościowych i Giełdy, żadna Unia Oszustów, jest sam.

– A więc dyskutowaliście o tym, czy ktoś nie zdradza tajemnic firmy?

– Miałbym sporo szczęścia. Kiedy istnieje wolność informacji, paplanie jest co najwyżej drobnym wykroczeniem.

W następnym zdaniu może się ujawnić coś nowego, Lester już ma je wypowiedzieć, gdy nagle pojawia się Felix, spoglądają na siebie podejrzliwie, jakby on i Lester podpisali własne zobowiązania do zachowania tajemnicy.

Lester próbuje nadać swojej twarzy wyraz niewinnej pustki, ale musiał się jakoś zdradzić, bo Felix rzuca Maxine spojrzenie oznaczające: „Lepiej się nie wtrącaj do tych spraw, kurwa!”, po czym chwyta Lestera za rękę i wyprowadza z pomieszczenia.

Maxine znowu czuje silną aluzję sekretnej intencji, jak w przypadku fałszywego nerda w męskiej toalecie. Jakby

przystosowywanie kas sklepowych do indywidualnych potrzeb było jedynie przykrywką dla tego, czym się zajmuje Felix.

Dla niektórych osób noc staje się zamazana, lecz dla Maxine zmienia się w staccato, rozpada się na odrębne mikroepizody oddzielone pulsem zapomnienia. Pamięta, że patrzy na ekran z napisami; rozumie, że nie wiadomo, dlaczego poprosiła o *Are You with Me Dr. Wu*, powolną, pełną nostalgii i żalu balladę grupy Steely Dan. Następną rzeczą, którą pamięta, jest to, że trzyma mikrofon, a tymczasem niespodziewanie wkracza Lester i zaczyna śpiewać. W trakcie solo na saksofonie, gdy Koreańczycy wrzeszczą: „Oddaj mikrofon!”, oboje tańczą w stylu disco.

– Klub Paradise Garage – mówi Maxine. – A ty?

– Głównie Danceteria.

Maxine ryzykuje szybkie spojrzenie na jego twarz. Oczy Lestera mają skrycie marzycielski wyraz, który Maxine widywała już wiele razy, świadomość życia na kredyt i tego, że zostało bardzo mało czasu.

Później wychodzi na ulicę i wszyscy się rozpraszają, pojawia się autokar wycieczkowy Koreańczyków, hostessy wesoło pokrzykują na podpitych pasażerów, Rocky i Cornelia machają rękami i idą do wynajętego samochodu, Felix rozmawia z ozywieniem przez komórkę, a przebrany bandzior, urzędujący w męskiej toalecie, zdejmuje okulary w grubej plastikowej oprawce, wkłada bejsbolówkę, poprawia niewidzialny płaszcz i znika w połowie przecznicy.

W Lucky 18 zostaje tylko pusta orkiestra grająca dla pustej sali.

# 15

Około jedenastej trzydzieści przed południem Maxine widzi duży czarny samochód, który przypomina stary model packarda, tylko jest dłuższy. Parkuje w nieopodal jej biura, nie zważając na tablicę, która informuje, że po tej stronie ulicy nie wolno się zatrzymywać przez półtorej godziny z powodu czyszczenia jezdni. Zwykle wszyscy parkują po przeciwnej stronie i czekają, aż zamiatarka odjedzie, po czym podążają jej śladem i znów parkują legalnie. Maxine zauważa, że nikt nie czeka w pobliżu tajemniczego samochodu i – co jeszcze dziwniejsze – policjanci drogowi, zwykle krążący w tej okolicy niczym gepardy wokół stada antylop, są z tajemniczych powodów nieobecni. Nagle zza rogu wyjeżdża głośno sapiąca zamiatarka. Kierowca dostrzega czarny samochód i zatrzymuje się, zastanawiając się, co robić. Zgodnie z procedurą zamiatarka powinna stanąć za nieprawidłowo zaparkowanym pojazdem i poczekać, aż odjedzie. Jednak tym razem kierowca nerwowo okrąży czarne auto i śpieszy do rogu.

Maxine zauważa nalepkę z napisem cyrylicą; wkrótce się dowie, że znaczy ona: МÓЈ ДРУГИ САМОЧÓД ТО МАУБАХ. Czarny pojazd okazuje się zilem 41047, przywiezionym w częściach z Rosji, zmontowanym w Brooklynie i należącym



do Igora Daszkowa. Maxine zagląda przez przyciemnioną szybę i ze zdziwieniem widzi March Kelleher, pogrążoną w rozmowie z Igorem. Igor opuszcza szybę i wystawia głowę oraz rękę trzymającą reklamówkę marketu Fairway wypchaną pieniędzmi.

– Maxi, *kak diela!* Twoja rada na temat Madoff Securities była doskonała! W samą porę! Moi wspólnicy są szczęśliwi! Wniebowzięci! Podjęli odpowiednie kroki, aktywa są bezpieczne, a to dla ciebie.

Maxine cofa się gwałtownie, tylko częściowo z klasycznej awersji księgowych do prawdziwych, szeleszczących pieniędzy.

– Zwariowałaś, kurwa?!

– Dzięki tobie udało się uratować znaczną kwotę.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Powiedzmy, że to honorarium.

– A kto je płaci?

Wzruszenie ramionami, uśmiech, nic bardziej konkretnego.

– March, skąd znasz tego faceta? Co tu robisz?

– Wskakuj. – Wsiadłszy do samochodu, Maxine zauważa, że March liczy stos dolarów leżący na jej kolanach. – Nie, ja też nie jestem jego narzeczoną.

– Zastanówmy się... Co w takim razie zostaje? Handlujesz narkotykami?

– Tss! – March chwyta Maxine za ramię. Okazuje się, że Sid, były mąż March, rzeczywiście dostarcza niedozwolone substancje do niewielkiego portu jachtowego na rzece w Tubby Hook, w rejonie Dyckman Street, a Igor wydaje się jednym z jego klientów. – Podkreślam, że Sid tylko je przewozi –

wyjaśnia March. – To po prostu kurier, nigdy nie zagląda do paczek.

– Ale do tej paczki na pewno zajrzy...

Cóż, Igor wie, że chodzi o metylokatynon, znany także pod nazwą kąpielowej amfy.

– Domyślam się, że kąpiel odbywa się gdzieś w Jersey. – March nazywa w ten sposób wszystkie miejsca na zachód od rzeki.

– Sid ma zawsze dobry towar. – Igor kiwa głową. – Nie to co tania łotewska *szniaga*, warzona w kuchni, czerwona od nadmanganianu, którego nie potrafią usunąć. Człowiekowi zaraz robi się od tego woda z mózgu, nie może chodzić prosto, cały się trzęsie... Łotewski *dżef*, zrób to dla mnie, Maxine! Nigdy go nie próbuj, to nie *dżef*, to *gawno*!

– Postaram się pamiętać.

– Jadłaś śniadanie? Mamy lody, jakie smaki lubisz?

Maxine dostrzega pod barkiem dużą lodówkę.

– Dziękuję, jeszcze trochę za wcześnie.

– Nie, nie, to prawdziwe lody – mówi Igor. – Rosyjskie lody. Nie gówna zatwierdzone przez europejską policję żywnościową.

– Wysoka zawartość tłuszczu – tłumaczy na normalny język March. – Tęsknota za Związkiem Sowieckim.

– Pieprzone Nestlé... – Igor grzebie w lodówce. – Pieprzone nienasycone kwasy tłuszczowe. Hipisowskie gówno! Zdeprawowali całe pokolenie... Mam umowę z Ramzai, raz na miesiąc wysyłają samolot chłodnię na lotnisko Kennedy'ego. Okay, jest Ice-Fili, poza tym Inmarko z Nowosybirsk, doskonałe

*morożennoje*, Metelica, Talosto... dziś, specjalnie dla ciebie, z orzechami i wiórkami czekoladowymi plus *wisznia*, czyli wiśnie...

– Mogę po prostu wziąć coś do domu?

Maxine dostaje kilkanaście półkilowych opakowań rodzinnych o różnych smakach.

– Dzięki, Igor, chyba wszystko w porządku. – March chowa banknoty do torebki. Dziś wieczorem zamierza pojechać do centrum, spotkać się z Sidem i odebrać paczkę dla Igora. – Chodź ze mną, Maxi. Normalny odbiór towaru, przekazanie kontrahentowi, zabawimy się.

– Słabo pamiętam przepisy karne dotyczące handlu narkotykami, ale kiedy ostatnio sprawdzałam, oznaczało to nielegalną sprzedaż zakazanych substancji.

– Owszem, ale chodzi także o Sida. Sytuacja jest skomplikowana.

– Tak czy inaczej, to przestępstwo. Ty i twój eks ciągle jesteście blisko, jak się domyślam?

– Nie zazdrość, Maxi, robią się od tego zmarszczki. – March wysiada z ziła i czeka na Maxine. – Nie zapomnij przeliczyć zawartości reklamówki Fairway.

– Przecież nawet nie wiem, ile tego powinno być. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Na rogu stoi wózek z kawą i bajglami. Jest ciepło, znajdują jakiś ganek, gdzie można usiąść i wypić kawę.

– Igor twierdzi, że ocaliłaś im kupę szmalu.

– Im? Myślisz, że „oni” to również sam Igor?

– Będzie się wstydził przyznać. O co chodziło?

- Piramida finansowa.
- Och, chyba coś trochę innego.
- Dla Igora, chcesz powiedzieć? Czy już się angażował...
- Nie, chodzi mi o to, że późny kapitalizm to piramida finansowa w skali globalnej, na jej szczycie składa się ofiary z ludzi, a frajerzy mają wierzyć, że wszystko będzie trwało wiecznie.
- To dla mnie za ciężki kaliber, wytrąca mnie z równowagi nawet skala operacji Igora. Lepiej się czuję w towarzystwie ludzi, którzy wypłacają gotówkę z bankomatów, to mój poziom.
- W takim razie zrób sobie przerwę. Zapomnij o brudnych ulicznych dramatach, jedź do centrum i przeżyj jakąś niezwykłą przygodę, ci Dominikańczycy, wiesz?
- Hm. Przydałoby mi się jakieś ciacho w starym stylu.

\* \* \*

March ma się spotkać z Sidem w Chuy's Hideaway, dyskoteci w pobliżu Vermilyea Avenue. Kiedy wysiadają z metra, które w tym miejscu jeździ wysoko nad ziemią, wita je muzyka. Schodzą powoli na ulicę, gdzie słychać salsę dobiegającą z głośników chevroletów caprice i cadillaców escalade zaparkowanych w dwóch rzędach, z barów, z przenośnych odtwarzaczy. Wszędzie tłumy potrącających się dobrodusznie nastolatków. Chodniki są pełne ludzi, widać stragany z owocami oferujące mango i karambole, na rogach ulic lodziarze z wózkami prowadzą swój wieczorny biznes.

Wejście do Chuy's Hideaway wygląda skromnie. Wkraczają do wielkiego, jasno oświetlonego pomieszczenia, pełnego agresywnej muzyki, która zdaje się docierać do najbliższej przecznicy. Wokół krążą dziewczyny w bardzo wysokich szpilkach i szorcikach krótszych niż pamięć narkomana oraz swobodnie ubrani młodzi ludzie noszący złote łańcuchy i czapki bejsbolowe. W powietrzu unosi się dym ziela. Goście piją rum i coca-colę, piwo Presidente, Brugal Papa Doble. Muzyka to utwory puszczane przez didżeja oraz występy miejscowych zespołów grających żywą, rytmiczną muzykę bachata, przy której aż chce się tańczyć.

March jest w luźnej czerwonej sukience, ma wyjątkowo długie rzęsy i rozpuszczone włosy, niczym irlandzka Celia Cruz. Zauważają ją, ledwie staje w drzwiach. Maxine oddycha głęboko, rozluźnia się i włącza tryb działania w roli podwładnej.

Parkiet jest zatłoczony i Maxine bez wahania znika w tłumie. Nagle pojawia się obok niej jakiś dziwaczny wyrostek, który przedstawia się jako Pingo, grzecznie chwyta ją za rękę i zaczyna z nią tańczyć. Na początku Maxine próbuje udawać ruchy pamiętane ze starego Paradise Garage, ale wkrótce zaczyna się wczuwać w rytm muzyki, nogi poruszają się same, wślizgują się między nogi Pingo, to oczywiście właściwy krok...

Miła rotacja partnerów. Od czasu do czasu Maxine wychodzi do toalety i widzi, że March z przerażeniem przygląda się sobie w lustrze.

- Kto mówi, że angielskie laski nie potrafią tańczyć?
- Podchwytliwe pytanie, prawda?

Sid przychodzi późno, dobrotliwie się uśmiecha, ma krótko, po wojskowemu, ostrzyżone włosy, trzyma butelkę piwa Presidente i zupełnie nie pasuje do błędnych wyobrażeń Maxine o przemytnikach narkotyków.

– Nie kazałeś mi czekać ani nic w tym stylu. – March jest rozpromieniona i zirytowana.

– Myślałem, że potrzebujesz trochę czasu, by kogoś poderwać, aniele.

– Nigdzie nie widzę Sequin. Jest w bibliotece, pracuje nad recenzją jakiejś książki?

– Właśnie tak się poznaliście, gołąbeczki? – szczebioce Maxine.

– Kiwnął na mnie cygarem.

Zespół na estradzie gra *Cuando Volverás*. Sid pociąga Maxine na parkiet i zaczyna z nią tańczyć bachatę, dostosowaną do ciasnej przestrzeni, cicho podśpiewując.

– Kiedy unoszę twoją drugą rękę, oznacza to, że powinniśmy zrobić piruet. Pamiętaj, by się obrócić o trzysta sześćdziesiąt stopni i znów stanąć twarzą w moją stronę.

– Na tym parkiecie? Trzeba mieć specjalne zezwolenie na piruety. Och, Sid, przypadkiem nie próbujesz mnie poderwać? – pyta grzecznie Maxine dwa lub trzy takty później.

– Kto by nie próbował? – odpowiada kurtuazyjnie Sid. – Chociaż nie powinnaś wykluczać możliwości, że próbuję wkurwić twojego eksa.

Sid to weteran Studia 54, pracował jako babcia klozetowa, w przerwach wychodził na parkiet, po zakończeniu zmiany zbierał studolarówki pozostawione przez klientów, którzy

wąchali przez nie w nocy kokainę. Starał się chwycić jak najwięcej przed resztą personelu. Sam wolał używać papierosa marki Parliament z wykruszonym tytoniem, posługując się nim jak jednorazową łyżeczką.

Dyskoteka ciągle działa, ale jest już bardzo późno, gdy wychodzą na Dyckman Street i idą na niewielką przystań w Tubby Hook. Sid prowadzi March i Maxine do niskiej motorówki o długości dwudziestu ośmiu stóp, z trzyczęściowym kokpitem. Jest smukła, w stylu art déco, zbudowana z drewna w różnych odcieniach.

– Mam ochotę gwizdnąć z podziwu – mówi Maxine. – Trochę tak jak na dziewczynę, chociaż to seksizm.

Sid dokonuje prezentacji.

– Gar Wood z tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku, dwieście koni, próbne rejsy na jeziorze George, honorowa historia ucieczek przed różnymi przedstawicielami prawa i porządku...

March wręcza mu pieniądze Igora. Sid wyciąga z zęzy sfatygowany młodzieżowy plecak.

– Mam gdzie panie podrzucić?

– Do przystani na 79th Street – odpowiada March. – Pośpiesz się.

Odbijają w ciszy. Kiedy łódź znajduje się trzydzieści stóp od brzegu, Sid nadstawia ucha i patrzy w stronę górnego biegu rzeki.

– Kurwa...

– Znowu, Sid? Tylko nie to.

– Dwa V-8. Prawdopodobnie katamarany. O tej porze to na pewno patrol Agencji do spraw Narkotyków. Jezu, kim ja jestem, Pappym Masonem?!

Włącza silnik i płyną z rykiem w noc, pędząc w dół rzeki Hudson. Drobne fale uderzają w równym rytmie w kadłub motorówki. Po lewej stronie pojawia się przystań na 79th Street, lecz łódź szybko ją mija.

– Hej, to mój przystanek! – woła Maxine. – Dokąd płyniemy?

– Pewnie na morze – mruczy March. – Nie zdziwiłabym się, gdyby ten dowcipniś nas tam zabrał.

Sid przyznaje później, że przyszło mu to do głowy, ale w pościg zaangażowałyby się wtedy straż przybrzeżna, toteż licząc na ostrożność Agencji do spraw Narkotyków oraz jej ograniczenia sprzętowe, wciąż płynie prawą stroną kanału. Po lewej stronie wznoszą się gigantyczne, jasno oświetlone wieże World Trade Center, a gdzieś dalej, w ciemności, rozciąga się ogromny, bezlitosny ocean. Sid mija Ellis Island, Statuę Wolności i port wojenny w Bayonne, aż wreszcie widzi z przodu latarnię morską Robbins Reef i udaje, że chce również ją minąć, po czym w ostatniej chwili skręca ostro w prawo – zręcznie, lecz niezgodnie z przepisami przemyka pośród zakotwiczonych statków, które ni stąd, ni zowąd wyrastają w mroku, oraz płynących tankowców, i wślizguje się do Constable Hook Reach i Kill Van Kull. Mijając Port Richmond, mówi:

– Hej, w tym miejscu gdzieś po prawej stronie jest Denino's, czy ktoś ma ochotę na pizzę? – Wygląda to na pytanie retoryczne.



Wysokie łukowate kratownice mostu Bayonne. Zbiorniki do przechowywania ropy naftowej. Nieustający ruch tankowców. Uzależnienie od ropy stopniowo łączy się z inną narodową przywarą: nieumiejętnością radzenia sobie z odpadkami. Maxine od pewnego czasu czuje smród śmieci, który nagle staje się silniejszy, gdy zbliżają się do wysokiej hałdy. Zaniedbane wąskie doliny, dziwnie jasne klify gór śmieci, woń metanu, śmierci i rozkładu, substancje chemiczne o nazwach niemożliwych do wymówienia, niczym imiona Boga, gigantyczne stosy odpadków, większe, niż Maxine sobie wyobrażała. Sid twierdzi, że mają blisko dwieście stóp i są wyższe niż typowe apartamentowce dla yuppie na West Side.

Sid gasi światła pozycyjne łodzi i wyłącza silnik. Zatrzymują się za Island of Meadows, na skrzyżowaniu Fresh Kills i Arthur Kills, w mrocznym centrum składowania toksycznych odpadów Nowego Jorku, wszystkiego, co miasto odrzuciło, by dalej udawać, że jest sobą. Niespodziewanie okazuje się, że na środku wyspy, w rejonie stałej trasy wędrówek ptaków, znajduje się sto akrów dziewiczych bagien, na których prawnie zabroniono wznoszenia budynków i składowania śmieci, ponieważ gnieźdzą się tam ptaki błotne. Biorąc pod uwagę ogromne wpływy nowojorskiego lobby budowlanego, które praktycznie rządzi miastem, wydaje się to piekielnie przygnębiające, bo jak długo może trwać? Jak długo te niewinne zwierzęta mogą się tu czuć bezpieczne? Właśnie tego rodzaju tereny sprawiają, że w sercu każdego dewelopera rozlega się pieśń: „Oto moja ziemia, to także moja ziemia”.

Znajduje się tam każda torba pełna obierek z ziemniaków, fusów z kawy, resztek chińskiego jedzenia, brudnych chusteczek higienicznych, tamponów, papierowych serwetek, jednorazowych pieluch, zepsutych owoców, przeterminowanego jogurtu, jaką Maxine kiedykolwiek wyrzuciła, wszystko pomnożone przez wszystkich ludzi, których zna i których nie zna, od 1948 roku, zanim się urodziła. To, co miało zniknąć z jej życia, stało się częścią zbiorowej historii, jak świadomość, że jest się Żydem i że śmierć nie jest końcem wszystkiego – nagły brak wygodnej wiary w zero absolutne.

Niewielka wysepka o czymś jej przypomina i Maxine orientuje się, o co chodzi, dopiero po minucie. To tak jakby można było osiągnąć ogromnego, profetycznego stosu odpadków, idealnego negatywu miasta w całej jego zgniłej niekoherencji, a potem odnaleźć niewidzialne linki, na które należy kliknąć, i w końcu zostać przeniesionym to niespodziewanego azylu, skrawka dawnego ujścia rzeki, nietkniętego przez to, co się wydarzyło, co się dalej dzieje, czystego. Deweloperzy chcą zniszczyć DeepArchera, podobnie jak Island of Meadows. Nawet jeśli tam, w dole, ciągle są jacyś wędrowcy, którzy wierzą w nienaruszalność tej krainy, pewnego ranka zostaną brutalnie zaskoczeni przez szum nadchodzących robotów sieciowych z wielkich korporacji, mających zamiar zindeksować i skazić kolejny skrawek dziewiczego terytorium w imię własnych, egoistycznych celów.

Długie, nieprzyjemne oczekiwanie, by się przekonać, że zgubili agentów federalnych albo kimkolwiek byli ci ludzie.

Gdzieś blisko poruszają się ciężkie maszyny, niewidzialne w ciemności, zbyt aktywne jak na tę porę nocy.

– Myślałam, że już nie wyrzucają tu śmieci – mówi Maxine.

– Oficjalnie ostatnia barka przyплыnęła i odpłynęła na końcu pierwszego kwartału – wyjaśnia Sid. – Ale ciągle pracują. Formują, ubijają, przysypują ziemią, po czym zmieniają to wszystko w park, kolejną przyjemną atrakcję dla yuppie. Giuliani uwielbia się fotografować z drzewami.

March i Sid zaczynają prowadzić cichą, pełną niedomówień dyskusję, z rodzaju tych, które rodzice toczą na temat swoich dzieci, w tym przypadku głównie Tallis. Jest już dorosła, podobnie jak jej bracia, ale w dalszym ciągu wymaga stałych nakładów czasu i troski, jakby ciągle była zaburzoną nastolatką wachającą rozpuszczalniki do piór firmy Sharpie w Szkole Ducha Świętego.

– Dziwne, że młody Ice stał się tym, kim jest dzisiaj – zauważa refleksyjnie Sid. – W college’u był po prostu sympatycznym geekiem. Tallis przyprowadziła go do domu, doszliśmy do wniosku, że to fajny chłopak, trochę za dużo siedzi przy komputerze, niespecjalnie towarzyski, ale March sądziła, że w przyszłości potrafi zarobić na rodzinę.

– Sid znowu żartuje, hej, zawsze byłeś seksistowską świnią. Zależało mi na tym, żeby Tallis potrafiła sama dać sobie radę.

– Potem coraz rzadziej ich widywaliśmy, mieli ogromne pieniądze, zamieszkali w apartamencie w SoHo.

– Wynajęli go?

– Kupili. – March mówi nieco zbyt gwałtownie. – Za gotówkę.

– Jego profile ukazały się w „Wired”, w „Red Herring”, a potem hashslinrz trafił na listę dwunastu najbardziej obiecujących firm wybranych przez „Silicon Alley Reporter”.

– Śledziliście jego karierę.

– Wiem, to żałosne, tak, ale co mieliśmy robić? – Sid kręci głową. – Ograniczyli z nami kontakty. Starali się prowadzić życie takie jak teraz, przenieśli się do odległej, wirtualnej krainy, a my pozostaliśmy w rzeczywistym świecie, wpatrując się w obrazy na monitorze.

– W najlepszym wypadku Ice to niewinny geek zdeprawowany przez boom na rynku dotcomów – mówi March. – Kraina snów. Od samego początku był skazany na sukces, miał zobowiązania wobec sił, które wolą pozostawać w cieniu. Co w nim widziały? To proste. Głupotę. Bardzo obiecującą głupotę.

– Może ograniczenie z wami kontaktu było właśnie strategią tych sił, a nie pomysłem Tallis? – wtrąca Maxine, próbując nie sugerować, że March ma paranoję.

Sid i March wzruszają ramionami, March z pewną dozą goryczy.

– Sympatyczna myśl, Maxi. Ale Tallis współpracowała. Kupiła to, cokolwiek to było. Nie musiała.

Przemysłowe hałasy dobiegające zza podmokłej wyspy koło gigantycznych gór śmieci stają się ciągłe. Od czasu do czasu robotnicy, zgodnie z długoletnią tradycją pracowników wydziału oczyszczania miasta, wrzeszczą coś do siebie radośnie.

– Dziwnie pracują – zauważa Maxine.

– Tak. Mają nadgodziny i są zadowoleni. Wyglądają, jakby zamierzali coś zrobić i nie chcieli, by ktoś się o tym dowiedział.

– Czy ktokolwiek chce coś wiedzieć? – March przez chwilę wciela się w postać bezdomnej kobiety z przemówienia na rozpoczęciu roku w szkole Kugelblitza, jedynej osoby, która pragnie uratować wszystko, czego miasto chce się wyprzeć. – Albo się bawią, albo szukają coś specjalnego.

Wizyta prezydenta? Ktoś kręci film? Kto wie.

Skądś nadlatują poranne mewy, dokonują inspekcji jadłospisu. Niebo zaczyna przypominać wypolerowane aluminium. Nocna czapla, ze śniadaniem w dziobie, sunie do góry, kończąc długie czuwanie na skraju Island of Meadows.

Wreszcie Sid zapuszcza motor, rusza w stronę Arthur Kill, wpływa do zatoki Newark, po czym w Kearny Point skręca w prawo, w opuszczoną i brudną rzekę Passaic.

– Wysadzę was, gdzie będę mógł, a potem wrócę do swojej ściśle tajnej bazy.

Wokół Point No Point, pod czarnymi łukowatymi kratownicami Pulaski Skyway. Niebo jaśnieje, bezlitosne jak żelazo... Świt nad Nutley. Cóż, ściśle biorąc, świt nad Secaucus. Sid przybija do nabrzeża należącego do klubu wioślarskiego Nutley High, wykonuje gest, jakby uchylał czapki, i wyciąga rękę, wskazując pasażerom brzeg.

– Witamy w głębokim Jersey.

– Mówi kapitan Stubing. – Maxine ziewa.

– Och, nie zapomnij plecaka Igora, moja pomidorowa niespodzianko!

Maxine ma rozczochrane włosy, spędziła całą noc poza domem po raz pierwszy od lat osiemdziesiątych, jej eks i dzieci są gdzieś w Stanach i na pewno dobrze się bez niej bawią. Przez jakieś półtorej minuty czuje się wolna – przynajmniej na granicy możliwości, jak mogli się czuć pierwsi Europejczycy, którzy płynęli rzeką Passaic, zanim powstała długa przypowieść o grzechach korporacji i o korupcji, nim pojawiły się dioksyny, ziemia i gruz z placów budowy autostrad i akty zniszczenia, które nie wzbudziły niczyjego żalu.

Z Nutley można pojechać autobusem tranzytowym do Port of Authority, trasa biegnie przez Newark. W czasie jazdy udaje im się przespać, a Maxine ma jeden ze snów, jakie śnią się w autobusach. Kobiety w chustach, złowieszcze światło. Wszyscy mówią po hiszpańsku. Desperacka ucieczka wiekowym autobusem przez dżunglę, by uniknąć zagrożenia, może wybuchu wulkanu. W tym samym czasie pojawia się również autobus wycieczkowy pełny Amerykanów z Upper West Side, przewodnikiem wycieczki jest Windust, który przemądrzałym tonem spikera radiowego wygłasza wykład na temat natury wulkanów. Wulkan znajdujący się z tyłu, który nie zniknął, staje się coraz groźniejszy. Maxine budzi się z tego koszmaru, gdy zbliża się tunel Lincolna. Na dworcu March sugeruje:

– Wyjdźmy z drugiej strony, z dala od Disney Hotel, i zjedzmy śniadanie.

Znajdują latynoski bar śniadaniowy na Ninth Avenue i wchodzą do środka.

– Coś cię gnębi, Maxine.

– Od jakiegoś czasu mam zamiar zapytać cię o to, co się działo w Gwatemali w osiemdziesiątym drugim roku?

– To samo co w Nikaragui, Salwadorze. Ronald Reagan i jego ludzie, pachołki Schachtmana, tacy jak Elliott Abrams, zmienili Amerykę Środkową w rzeźnię, by realizować swoje antykomunistyczne fantazje. W tym czasie Gwatemala znalazła się pod rządami niejakiego Ríosa Montta, masowego mordercy i kumpla Reagana, który jak zwykle wytarł swoje zakrwawione łapska Dzieciątkiem Jezus, jak to robi wielu z tych magików. Rządowe szwadrony śmierci finansowane przez Stany Zjednoczone, armia przeczesująca góry na zachodzie kraju, oficjalnie walcząca z EGP, czyli Partyzancką Armią Ubogich, lecz w praktyce prowadząca eksterminację miejscowej ludności. Na wybrzeżu Pacyfiku istniał przynajmniej jeden obóz zagłady o charakterze politycznym, a w górach było to zwykle ludobójstwo, trupów nawet nie grzebano, tylko pozostawiano w dżungli, by zgniły, co z pewnością oszczędziło rządowi dużych kosztów transportowych.

Maxine nie jest taka głodna, jak się spodziewała.

– A Amerykanie, którzy tam byli...

– Albo humanitarne dzieciaki, naiwne, na pograniczu debilizmu, albo „doradcy”, dzielący się swoim ogromnym doświadczeniem w wyrzynaniu kolorowych. W tamtym czasie większość ludzi mających odpowiednie umiejętności techniczne oddelegowano do krajów, które są klientami Stanów Zjednoczonych. Dlaczego pytasz?

– Po prostu się zastanawiam.

– Taaak. Jak coś wymyślisz, to mi powiedz. Jestem jak doktor Ruth Westheimer i nie można mnie niczym zaszokować.



# 16

Na progu biura czeka skrzynka wina, a gdy Maxine widzi nalepkę, mruczy: „O kurwa!”. Sassicaia rocznik 1985? Skrzynka? To na pewno pomyłka. Ale jest jeszcze notatka: „Wygląda na to, że oszczędziłaś nam trochę pieniędzy”. Niepodpisana, ale czy może to być ktoś inny niż Rocky, stary etnoenolog? Tak czy inaczej, dobrze, że Maxine ma w sobie dość poczucia winy, by wrócić do coraz bardziej skomplikowanych operacji księgowych hwgaahwgh/hashslingrz.

Dziś coś wydaje jej się dziwne. Jeden z tych dręczących schematów, które nie zawsze miło jest widzieć, ponieważ oznaczają dodatkową pracę, za którą nikt nie zapłaci, ale to nic nowego.

Maxine parzy sobie kawę, po czym znów zaczyna studiować przepływy finansowe między rachunkami hwgaahwgh i hashslingrz w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Po chwili widzi, o co chodzi. Uporczywe ubytki, i to duże. Jakby ktoś podkradał ropę przesyłaną rurociągiem. Najdziwniejsza jest kwota. Wydaje się, że pasuje do innej – zagadkowych nadwyżek finansowych związanych z zakupem hwgaahwgh.com przez Ice’a. Gotówka wpływa na rachunek firmowy w banku na Long Island.

Kiedy Maxine zaczęła się posługiwać niekonwencjonalnymi metodami pracy, zdobyła kilka programów komputerowych dostarczonych przez pewnych mniej szacownych klientów, które dały jej potężne możliwości, trudne do pogodzenia z Ogólnie Przyjętymi Zasadami Księgowości, jak na przykład: nie włamuj się do cudzego konta bankowego, zostaw takie rzeczy FBI. Przeszukuje kilka szuflad w biurku, znajduje nieoznakowany dysk o chorobliwie zielonym metalicznym odcieniu i przed lunchem zaczyna studiować życie osobiste Lestera Traipse'a. Jasne, wysokość manka pokrywa się z kwotami regularnie przelewanyymi na jeden z prywatnych rachunków Lestera.

Maxine z ekspresją wydmuchuje powietrze. „Lester, Lester, Lester”. Cóż, cała ta gadanina o zobowiązaniu do zachowania tajemnicy to po prostu sposób, by ukryć to, czym się naprawdę zajmował, coś znacznie bardziej niebezpiecznego. Lester odkrył niewidzialną, podziemną rzekę gotówki płynącą przez firmę, która znajdowała się na granicy bankructwa, i kierował sporą część widmowych przelewów Ice'a na własny tajny rachunek, ratując je przed wymianą na riale. Myślał, że trafił na żyłę złota.

Podczas nocnej imprezy w klubie karaoke, gdy porównał Gabriela Ice'a do lichwiarza albo alfonsa, nie była to tylko przypadkowa metafora. Lester, zagrożony niczym dziewczyna ścigana przez potencjalnego gwałciciela pod wiaduktem kolejowym, desperacko licząc na jakąkolwiek pomoc, przesłał Maxine zaszyfrowany sygnał SOS, którego w ogóle nie próbowała odczytać. Wstyd...

Najbardziej nieprzyjemne jest to, że Maxine świetnie wszystko rozumie, wie, że pod efektownymi krajobrazami stworzonymi przez reguły funkcjonowania korporacji i opisywanymi z zachwytem przez media kryją się głębiny, gdzie drobne oszustwa stają się poważnym, niekiedy śmiertelnym grzechem. Niektóre typy osobowości popadają w szaleństwo, kara jest brutalna i – niespokojne spojrzenie na zegar na ścianie – natychmiastowa. Lester może nie wiedzieć, w jakie tarapaty się wpakował.

Maxine jest zdziwiona, gdy Lester odbiera komórkę po pierwszym dzwonku.

– Miałaś szczęście, to ostatni telefon, jaki zamierzałem odebrać przez ten aparat.

– Zmieniasz sieć?

– Wyrzucam komórkę. Podejrzewam, że jest w niej chip, który mnie namierza.

– Lester, znalazłam coś ważnego, powinniśmy się spotkać. Zostaw komórkę w domu.

Oddech Lestera sugeruje, że wie, o co chodzi.

\* \* \*

Eternal September to pusty bar, założony w okresie euforii lat dziewięćdziesiątych, gdzie zbierają się pracownicy firm technologicznych. Znajduje się między salonem fryzjerskim a butikiem z krawatami, pół przecznicy od mało uczęszczanego dworca jednej z linii metra IND.

– Masz sentyment do tego miejsca? – Maxine rozgląda się po lokalu, starając się nie krzywić.

– Nie, stwierdziłem, że jeśli ktoś tu przychodzi w środku dnia, na pewno nie ma o niczym pojęcia, więc możemy bezpiecznie pogadać.

– Wiesz, że wpadłeś w tarapaty, prawda? Chyba nie muszę zaczynać zrzędzić na ten temat.

– Chciałem ci powiedzieć tamtego wieczoru, podczas karaoke, ale...

– Felix bez przerwy nam przeszkadzał. Obserwował cię? Chronił?

– Usłyszał o mojej kłótni w toalecie i doszedł do wniosku, że powinien mnie mieć na oku. Przyjmuję, że Felix jest tym, za kogo się podaje.

Znajomy ton. Nie ma sensu się sprzeczać. Wierzy Felixowi, tak postanowił.

– Masz dzieci, Lester?

– Troje. Jedno idzie jesienią do szkoły średniej. Czas leci bardzo szybko. A ty?

– Dwóch chłopców.

– Wmawiasz sobie, że robisz to dla nich. – Lester marszczy brwi. – Wykorzystywanie ich jako pretekstu nie jest dobre.

– W porządku. Ale ty nie robisz tego dla nich.

– Posłuchaj, spłacę dług, prędzej czy później. Czy jest jakiś bezpieczny sposób, by przekazać Ice'owi, co naprawdę chcę zrobić?

– Nawet jeśli ci uwierzy, co wydaje się wątpliwe, chodzi o wielkie pieniądze... Lester. Zażąda więcej, niż ukradłeś, a poza

tym będzie chciał dostać jakieś odszkodowanie, rekompensatę za kłopoty, która może się okazać bardzo wysoka.

– Cena za to, że spieprzyłem sprawę. – Cicho, nie patrząc na Maxine.

– Czy mam to uznać za twoją zgodę na zapłatę gigantycznych odsetek?

– Myślisz, że możesz to załatwić?

– Ice za mną nie przepada. Gdybyśmy byli w szkole średniej, mogłabym się tym martwić, ale z drugiej strony, Gabriel Ice w szkole średniej... – Kręci głową, po co miałby tam chodzić? – Mój szwagier pracuje w hashslingrz. W porządku, zobaczę, czy może przekazać wiadomość.

– Jak się domyślasz, jestem jednym z tych chciwych nieudaczników, o których stale zeznajesz w sądach.

– Już nie, straciłam certyfikat, Lester. Nie jestem biegłą sądową i nie zeznaję.

– I mój los jest w twoich rękach? Cudownie!

– Uspokój się, patrz na nas. Świat uczciwych ludzi nigdy ci nie pomoże. Możesz liczyć tylko na jakiegoś banitę, a ja świetnie się do tego nadaję.

– A więc jestem ci winien honorarium.

– Chcesz, żebym wystawiła fakturę? Zapomnij o tym, może kiedyś będziesz w stanie zapłacić.

– Nie lubię dostawać niczego za darmo.

– Jasne, wolisz kraść.

– Ice ukradł te pieniądze. Ja po prostu przetransferowałem je w inne miejsce.

– Właśnie ten subtelny sposób rozumowania sprawił, że wyleciałam z gry, a teraz ty jesteś w niebezpieczeństwie. Podziwiam twój prawniczy umysł.

– Proszę, postaraj się, by zrozumieli, że jest mi naprawdę bardzo przykro. – Ku zaskoczeniu Maxine nie zabrzmiało to tak gładko, jak się spodziewała.

– Najdelikatniej rzecz ujmując, Lester, oni mają to w dupie. To, że komuś jest przykro, nadaje się na temat do lokalnych wiadomości telewizyjnych. Problem polega na tym, że wszedłeś w drogę Gabrielowi Ice’owi. Jest z tego bardzo niezadowolony.

Powiedziała już zbyt wiele i zaczyna się modlić, by Lester nie spytał, jakiego odszkodowania może zażądać Ice. Ponieważ wtedy, zgodnie z własnym kodeksem etycznym, równie surowym jak oficjalny, będzie musiała odpowiedzieć: „Mam nadzieję, że zażąda dolarów amerykańskich”. Ale Lester ma inne sprawy na głowie i tylko kiwa głową.

– Czyli to sprawa osobista. W porządku. To pasuje.

– Robiliście jakieś interesy, zanim kupił twoją firmę?

– Spotkaliśmy się tylko raz, ale wyczuwało się, że mną gardzi. „Mam stopień naukowy i kilka milionów, a ty nie”. Natychmiast się zorientował, że jestem nawet nie geekiem samoukiem, tylko po prostu chłopakiem z sortowni poczty, któremu się poszczęściło. Raz. Jak mógłby pozwolić komuś takiemu zwędzić sobie choćby dolara i dziewięćdziesiąt osiem centów?

Nie. Nie, Lester, nie całkiem tak, prawda? Maxine słyszy, że Lester czegoś unika, ale nie płacenia podatków, tylko czegoś bardziej związanego z życiem i śmiercią.

– Chciałbyś mi coś powiedzieć – mówi łagodnie – ale jeśli to zrobisz, może cię to kosztować życie. Zgadza się?

Wygląda jak mały chłopiec, który zaraz się rozplacze.

– O co jeszcze chodzi? Pieniądze nie są wystarczające złe?

– Chyba nie w twoim przypadku.

– Przepraszam. Nie możemy o tym rozmawiać. Nie traktuj tego osobiście.

– Zobaczę, co się da zrobić w sprawie pieniędzy.

Ruszają w stronę wyjścia. Lester kroczy przed Maxine niczym ptasie pióro niesione przez prąd powietrza, które wypadło z poduszki, gdy śniło się o bezpiecznym domu.

\* \* \*

Tak, cóż, jest jeszcze kasetka wideo przyniesiona przez Marvinę. Leży na stole w kuchni, jakby plastik nagle się nauczył robić wymówki. Maxine zdaje sobie sprawę, że odkłada jej obejrzenie z taką samą przesadną awersją, jaką niegdyś czuli do telegramów jej rodzice. Jest szansa, że kasetka może mieć związek z interesami; nie da się również wykluczyć głupiego żartu, o czym Maxine wie z gorzkiego doświadczenia. Gdyby obejrzenie filmu miało się okazać nieprzyjemnym przeżyciem, może niezbędne z tego powodu dodatkowe sesje terapeutyczne dadzą się zaksięgować jako koszty prowadzenia firmy?

Nie, niezupełnie *Scream Blacula Scream* – coś bardziej amatorskiego. Na początku rozedrgane ujęcie z okna jadącego samochodu. Zima, późne popołudnie. Lokalizacja miejsca: krótki obraz autostrady Long Island Expressway w kierunku na

wschód. Maxine zaczyna odczuwać lęk. Na ekranie pojawia się znak zjazdu – ach, zjazd numer siedemdziesiąt, samochód podąża właśnie tam, gdzie miała nadzieję, że nie pojedzie. Tak, teraz kolejne cięcie i widać autostradę New York State Route 27, jedziemy do Hamptons, można powiedzieć, że jesteśmy skazani na Hamptons. Kto tak bardzo nie znosi Maxine, by przesłać jej coś takiego, chyba że Marvin pomylił adres, co oczywiście nigdy się nie zdarza.

Maxine z pewną ulgą spostrzega, że nie będzie to legendarne Hamptons. Spędziła tam więcej czasu, niż było warto. Chodzi raczej o obrzeża Hamptons, gdzie ludzie pracy są niekiedy tak wściekli, że byliby w stanie popełnić morderstwo, ponieważ zarabiają na życie, obsługując bogatych i sławnych, którym zawsze należy się podlizywać. Odrapane domy, karłowate sosny, warsztaty przy drogach. Żadnych świateł ani ozdób, zima w tym miejscu oznacza głęboką pustkę po sezonie wakacyjnym.

Na ekranie pojawia się droga gruntowa, przy której stoją baraki i przyczepy kempingowe. Widać coś w rodzaju baru – okna są jasno oświetlone, ludzie wchodzą i wychodzą, słysząc radosny gwar i muzykę. Zespół Elvis Hitler z Detroit śpiewa piosenkę z filmu *Green Acres* z melodią *Purple Haze*. Przez chwilę Maxine odczuwa głęboką nostalgię, tak nieprawdopodobną, że zaczyna się zastanawiać, czy nie zaaranżowano tego wszystkiego specjalnie dla niej.

Kamera filmuje schody prowadzące do budynku, mijając uczestników imprezy. Pojawia się kilka pomieszczeń zaśmieconych butelkami po piwie i wódce, foliowymi



torebkami, butami nie od pary, pudełkami po pizzach i pojemnikami po smażonych kurczakach. Później na ekranie widać kuchnię, drzwi i schody prowadzące do piwnicy, która stanowi szczególnie rodzaj podmiejskiej sali rekreacyjnej...

Materace na podłodze, ogromna narzuta na łóżko, ze sztucznej angory o fioletowej barwie typowej dla taśm VHS, wszędzie lustro, w odległym kącie ohydna przeciekająca lodówka, która głośno brzęczy w nierównym rytmie, jakby akompaniowała toczącym się zabawom.

Młody mężczyzna, włosy średniej długości, nagi z wyjątkiem brudnej mycki na głowie, z erekcją skierowaną w stronę kamery. Kobięcy głos zza obiektywu:

- Powiedz im, jak się nazywasz, kochany.
- Bruno. – Niepewny ton głosu.

Pojawia się dziewczyna w kowbojskich butach, ze złośliwym uśmiechem, z wytatuowanym tuż nad tyłkiem skorpionem, dawno niemyte włosy, światło telewizora odbija się od jej bladego pulchnego ciała, i przedstawia się jako Shae.

Na skraju kadru widać tęgiego mężczyznę w średnim wieku, który kiwa głową w stronę kamery. Maxine przypomina sobie fotografię przesłane faksem z John Street i poznaje Vipa Epperdew. Szybki najazd na twarz Vipa, na której maluje się wyraz niemożliwej do ukrycia tęsknoty, błyskawicznie zastąpiony przez normalny uśmiech uczestnika zabawy.

Wybuchy śmiechu poza kadrem. Na ekranie pojawia się ręka Bruna z zapalniczką gazową i fajką cracku, po czym cała trójka zaczyna uprawiać seks.

Nie jest to *Jules i Jim* (1962). Można to nazwać podwójną księgowością! Jakość filmu porno pozostawia wiele do życzenia, jasne. Obsada aktorska mogłaby być lepsza. Shae jest dość ładną dziewczyną, jej oczy mogą się wydawać trochę puste. Bruno zachowuje się jak lubieżny mały prosiak, głośno kwiczy, a mały rozmiar jego fiuta nie pasuje do scenariusza, co wywołuje irytację Shae i Vipa, kiedy się do nich zbliża w jakimkolwiek celu. Maxine jest zdziwiona, że Vip budzi w niej nieprofesjonalny niesmak – wydaje się wygłodniałym, przymilnym psiakiem. Jeśli warto było do nich jechać z Westchester, spędzając długie godziny na Long Island Expressway, i uzależnić te dzieciaki od czegoś znacznie twardszego niż crack, nie ze względu na młodość, tylko na to, do czego młodość się przydaje – dlaczego nie wybrano kogoś, kto przynajmniej potrafi udawać, że wie, co robi?

Ale chwileczkę. Maxine zdaje sobie sprawę, że to odruchy jędry, coś w rodzaju: proszę, Vip, mógłbyś się lepiej postarać i tak dalej. Nawet go nie zna, a już krytykuje jego wybór partnerów seksualnych?

Z powrotem skupia uwagę na ekranie, gdzie widać, jak się ubierają, rozmawiając z ożywieniem. Co takiego?! Maxine jest pewna, że ani na chwilę nie zasnęła, ale nie zauważyła pieniędzy. Zamiast tego, w którymś momencie, wszystko zaczyna się różnić od kanonicznego filmu porno i – ach! świetnie! tak! – teraz rozliczają się za pomocą kart kredytowych. Obserwowanie takich przedstawień doprowadziłoby opiekuna szkolnego kółka teatralnego do narkomanii. Zbliżenie kart kredytowych Vipa, rozłożonych na

stole, jakby zamierzał z nich wróżyć. Maxine zatrzymuje film, cofa, puszcza znowu, zapisuje wszystkie widoczne numery, choć słaba rozdzielczość sprawia, że część cyfr jest zamazana. Rozpoczyna się coś w rodzaju wodewilowej zabawy kartami Vipa, cała trójka przekazuje je sobie, wymienia na ich temat dowcipne uwagi. Tylko jedna karta nie budzi wesołości – jest czarna, a Vip kilkakrotnie podsuwa ją Shae i Brunowi pod nos, po czym młodzi ludzie cofają się z teatralnym przerażeniem, niczym nastoletnie wampiry na widok główki czosnku. Maxine rozpoznaje legendarną kartę Centurion, wydaną przez AmEx – trzeba nią zapłacić co najmniej dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie, bo inaczej zostaje odebrana.

– Macie alergię na tytan? – żartuje Vip. – A może się boicie, że w środku jest wykrywacz złodziei, który uruchomi na wasz widok cichy alarm?

– Nie boję się ochroniarzy z supermarketów – odpowiada piskliwie Bruno. – Kiwam tych sukinsynów przez całe życie!

– Ja po prostu pokazuję im trochę ciała – dodaje Shae. – Lubią to.

Shae i Bruno kierują się do drzwi, a Vip siada ciężko na sztucznej angorze. Jest zmęczony, ma ponurą minę.

– Zapraszamy do Tanger Outlets, chuj ci w dupę! – woła Bruno.

– Możemy coś dla ciebie zrobić, Vippy? – pyta przez ramię Shae i uśmiecha się, jakby chciała powiedzieć: „Znowu się gapisz na mój tyłek?”.

– Zjeżdżajcie – mruczy Vip. – Kiedyś możemy się znowu spotkać.

Kamera skupia się na Vipie, aż wreszcie obraca się on w jej stronę, ponury, niechętny.

– Nie jesteś dziś wieczorem zbyt szczęśliwy, co, Willy? – pyta głos spoza kadru.

– Zauważyłeś.

– Wyglądasz jak człowiek, który wie, że za chwilę coś się stanie.

Vip odwraca oczy i z przygnębieniem kiwa głową. Maxine zastanawia się, dlaczego swego czasu rzuciła palenie. W głosie jest coś znajomego. Chyba słyszała go w telewizji lub coś w tym rodzaju. Nie tę konkretną osobę, ale typ głosu, może akcent regionalny...

Skąd się wziął ten film? Przysłał go ktoś, kto chce, by Maxine poznała życie prywatne Vipa, a może tajemnicza pruderyjna ciotka, która nie aprobeuje uprawiania seksu w trójkącie? A może ktoś znajdujący się bliżej, odgrywający rolę szefa, może nawet wspólnik Vipa w podkradaniu pieniędzy? Jeden z niezadowolonych pracowników? Co powiedziałyby profesor Lavoof oprócz swojego klasycznego: „Musi istnieć świat poza książkami”?

Przynajmniej Vip się nie guzdrze. Realizuje nędzne scenariusze, jakby były ucieleśnieniem miłości, której, jak sądzi, szukał przez całe życie. Ale pojawia się stary, smutny szablon – życie Vipa jest skażone, może puszcza w obieg fałszywe czeki, a żona i dzieci jak zwykle nic o tym nie wiedzą. Czy to się kiedykolwiek dobrze kończy? Nie, złodzieje klejnotów albo inni czarujący łajdacy, ci oszuści, zdradzą każdego, zmniejsza się margines bezpieczeństwa, pewnego dnia przytłaczają ich

wyrzuty sumienia i albo uciekają od życia, albo robią coś idiotycznego, co je kończy.

„Zespół utraty certyfikatu, dziewczyno. Początek przewlekłej choroby. Nie wierzysz, że istnieją jeszcze uczciwi ludzie?”.

„Na pewno, gdzieś. Ale ja ich nie spotykam, co bardzo mnie cieszy”.

„Dość cyniczne”.

„A może profesjonalne? No już, jeśli chcesz, nurzaj się w hipisowskich myślach, a tymczasem prąd znosi Vipa na otwarte morze i nikt nie zawiadomił jednostek ratowniczych”.

Maxine przewija taśmę, wysuwa kasetę i wraca do oglądania rzeczywistej telewizji. Zaczyna leniwie zmieniać kanały. Forma medytacji. Nagle natrafia na coś w rodzaju sesji grupy terapeutycznej na jednym z bezpłatnych kanałów.

– A więc, Tiffany, opowiedz nam o swoich fantazjach.

– Moja fantazja to... Spotykam faceta, spacerujemy po plaży, a potem uprawiamy seks?

Po chwili.

– A potem?

– Może spotykam go jeszcze raz?

– To wszystko?

– Tak. To moja fantazja.

– Tak, Jennifer, podniosłaś rękę. Jakie masz fantazje?

– Że jestem na górze, kiedy się Kochamy? Zwykle to on jest na górze. Moja fantazja to być na górze, przynajmniej raz.

Kobiety wchodzące w skład grupy opisują po kolei swoje „fantazje”. Wibratory, olejki do masażu, stroje z PCW. Nie trwa

to długo. Maxine jest przerażona. I to mają być fantazje?! Świat Freuda?! Czy jej siostry cierpiące na zespół niedoboru romansu tylko w ten sposób potrafią artykułować swoje potrzeby? Dokonuje przeglądu własnego życia seksualnego i uważnie patrzy na siebie w lustrze w łazience.

– Aaaach!

Dziś wieczorem chodzi nie o włosy czy podrażnienie skóry, tylko o spłowiałą bluzę sportową, którą ma na sobie. Z tyłu znajduje się napis SPREWELL 8. Nie jest to nawet prezent od Horsta ani od chłopców, nie, Maxine sama poszła do sklepu, stanęła w kolejce i kupiła sobie tę bluzę. Zapłaciła dużo, ale miała ważne powody, ponieważ zwykle kładzie się do łóżka nago, a potem zasypia, czytając „Vogue’a” albo „Harper’s Bazaar”, i budzi się z czasopismem pod głową. W głębi duszy fascynuje ją Latrelle Sprewell i jego historia ataków na trenera, na zasadzie, że jeśli Homer dusi Barta, to normalne, ale kiedy Bart dusi Homera...

„Oczywiście jesteś znacznie, znacznie lepsza od tych kretyńskich ekshibicjonistek. A zatem... Maxine? Jakie są twoje fantazje?”.

Hm, kąpiel z bąbelkami? Świece, szampan?

„Aha! Zapomniałaś o spacerze nad rzeką? W porządku, możesz iść do toalety i trochę porzygać, dobrze?”.

\* \* \*

Nazajutrz rano Shawn stara się być bardzo pomocny.

– To... klient. Nie, właściwie nie klient. Ktoś, o kogo się martwię. Ma straszne kłopoty, naprawdę jest w wielkim niebezpieczeństwie i nie chce się odzepić. – Opisuje w skrócie historię Vipa. – Bez przerwy spotyka mnie to samo, kiedy ci durnie mają okazję, zawsze stawiają na ciało, a nie na duszę. Nic dziwnego, to normalne... – Milknie, Maxine czeka, ale najwyraźniej to wszystko.

– Dzięki, Shawn. Nie wiem, do czego jestem zobowiązana. Kiedyś nic mnie nie obchodziło, uważałam, że ludzie zasługują na to, co ich spotyka. Ale ostatnio...

– Powiedz.

– Nie podoba mi się to, co się stanie, ale źle się czuję na myśl, że mogłabym zakapować tego gościa, donieść na niego glinom. Dlatego zaczęłam się zastanawiać, czy mogę cię trochę pomóc. To wszystko.

– Wiem, na czym polega twoja praca, Maxine. Wiem, że wszędzie czają się pułapki etyczne i nie chcę się wtrącać, prawda? W porządku, posłuchaj. – Shawn opowiada buddyjską przypowieść o płonących węglach. – Pewien człowiek trzyma w ręku płonące węgle i widać, że bardzo cierpi. Ktoś przechodzi obok niego i mówi: „Ach, przepraszam, czy trzymasz w ręku płonące węgle?”. „O tak, tak, i to naprawdę boli, strasznie boli!”. „Widzę. Ale skoro cię boli, dlaczego je trzymasz?”. „Ojej, aua, przecież muszę, prawda? Oooooo...!”. „Lubisz ból? Zwariowałaś? O co właściwie chodzi? Dlaczego ich po prostu nie wyrzucisz?” „Tak, ale popatrz... Widzisz, jakie są piękne? Żarzą się czerwono, są takie kolorowe, migocą, aua, o kurwa!”. „Jasne, gdyby się paliły w jakimś kominku, na pewno ładnie by

wyglądały w ciemnym pokoju, ale jeśli je będziesz nosił w ręku, strasznie się poparzysz, człowieku. Czy nie mógłbyś ich po prostu gdzieś położyć, a potem na nie patrzeć?”. „Ktoś mógłby je ukraść”. I tak dalej.

– I co się stało? – pyta Maxine. – Odłożył te węgle?

Shawn spogląda na nią przeciągle, wzrusza ramionami i mówi z buddyjską precyzją:

– Odłożył, a zarazem nie odłożył.

– Aha, musiałam powiedzieć coś niewłaściwego.

– Hej, a może to ja powiedziałem coś niewłaściwego? Twoja praca domowa na następną sesję to odkryć, które z nas powiedziało coś niewłaściwego i co to było.

Jeszcze jedna tajemnicza wizyta. Maxine powinna pojechać do Axela, opowiedzieć o częstych wizytach Vipa w South Fork i przekazać te cyfry z numeru karty, które zdołała zobaczyć na filmie. Ale nie tak szybko, ostrzega samą siebie, jeszcze popatrzmy...

Znów puszcza film, zwłaszcza dialog między Vipem a człowiekiem stojącym po drugiej stronie kamery, którego głos z czymś jej się kojarzy... Wie, co to takiego, ale nie może sobie przypomnieć i doprowadza ją to niemal do szaleństwa...

Ha! Kanadyjski akcent, oczywiście. Słyszała go w filmach w Lifetime Movie Channel. Poza tym to akcent z Quebecu. Czy to znaczy...

Wystukuje numer komórki Felixa Boïngueaux. Ciągle jest w Nowym Jorku, goniąc za pieniędzmi przedsiębiorstw venture capital.

– Kontaktował się z tobą Vip Epperdew?



- Nie spodziewam się tego.
- Masz numer jego telefonu?
- Kilka. Dom, pager, można dzwonić w nieskończoność i nikt nie odbiera.
- Mógłbyś mi je podać?
- Jasne. Jeśli będziesz miała szczęście, spytaj, kiedy zapłaci naszą fakturę, dobrze?

Maxine jest blisko. Dość blisko. Skoro za kamerą stał Felix i to on przesłał film, w takim razie jest to albo, jak mówią psycholodzy, krzyk Vipa o pomoc, albo, co bardziej prawdopodobne, jakaś skomplikowana pułapka. Świetnie to pasuje do bajeczki, że Felix przyjechał do Nowego Jorku szukać inwestorów – sprytnie, wszystko się zgadza, podstępna mała świnią.

Jeden z telefonów ma numer kierunkowy Westchester, nikt nie odbiera, nie odzywa się nawet automatyczna sekretarka, ale Maxine uważa za bardziej interesujący numer z Long Island. Sprawdza go w indeksie w swoim biurze, zaczynając coś podejrzewać i czując nagły przyływ mdłości. Jasne, to numer w rejonie Hamptons, prawie na pewno w krainie amatorskiego porno, gdzie mieszkają Shae i Bruno, gdzie pod byle pretekstem wymykał się Vip, by spłacać długi innej wersji swojego życia. Gdy Maxine wystukuje numer, rozlega się elektroniczny pisk – automat przeprosza i informuje, że numer jest wyłączony. Ale w tonie jego głosu jest coś dziwnego, jakby nie był zupełnie automatyczny; coś, co sugeruje ukrytą wiedzę, nie wspominając o lekkiej pogardzie dla słuchacza. Wokół głowy Maxine tworzy się paranoidalna aureola, a może symbol pewności. Normalnie

za żadne pieniądze nie zbliżyłaby się do wschodniego skraju Long Island, ale w tej chwili wrzuca do torby beretę, bierze dodatkowy magazynek, wkłada robocze dżinsy i plażowy T-shirt, po czym jedzie na 77th Street i wypożycza beżową toyotę camry. Dojeżdża do Henry Hudson Parkway, mijają Cross Bronx Expressway i podąża dalej, aż do Throgs Neck Bridge. Wieżowce po prawej stronie rysują się wyraźnie na tle nieba, niczym rząd strażników. Dociera do Long Island Expressway. Otwiera okna, odchyła fotel jak do długiej jazdy i pędzi na wschód.

# 17

Od połowy lat dziewięćdziesiątych, gdy stacja radiowa WYNY w ciągu jednego dnia zmieniła repertuar z muzyki country na klasyczne disco, w tym rejonie trudno o dobrą muzykę dla kierowców, ale tuż za Dix Hills Maxine łapie inną lokalną stację, może z Connecticut, i rozlega się głos Slade May Goodnight, która śpiewa swój wczesny przebój, *Middletown New York*:

*I would send you, a sing-in cowgirl,  
With her hat, and gui-tar band,  
Just to let you know, I'm out here,  
Anytime you need a hand...*

*But you'd start  
Thinkin, about that ol' cowgirl,  
And where she'll be after the show,  
Same hopeless*

*Story again,  
Same old sorrowful end, for-  
-get-it, darlin, I already know...*

*And don't, tell, me,  
How,  
To eat, my heart out,  
thanks, I, don't,  
need no – knife, and fork,  
list-nin to*

*trains... whistle through  
The nights without you  
Down in Middletown, New York.*

[Po wstawce muzycznej na gitarze hawajskiej, która zawsze poruszała serce Maxine]:

*Sittin here, with a longneck bottle,  
                                  watching car-  
toons, in the after-school sun,  
while the shadows stretch out like a story  
about things that we never got done...*

*Never got a-  
round, to groundin that Airstream,  
                                  and, so, we  
kept, gettin shocks off the walls,  
                                  un-til we  
neither could say, which particular day,  
We weren't feelin nothin, at all.*

*So don't tell me  
How, to eat, my heart out...*

*(Wysłałabym cię, śpiewającą kowbojkę  
W kapeluszu, z gitarzystami,  
Żebyś wiedziała, że tu jestem,  
Gdybyś potrzebowała pomocy...*

*Ale ty zaczęłabyś  
Myśleć o starej kowbojce,  
Gdzie po występie się znajdzie,  
                                  Znowu ta sama*

*Beznadziejna historia,  
Ten sam smutny koniec, zapo-  
mnij o tym, kochanie, ja już wiem...*

*I nie mów mi,*

*Jak  
Serce pęka,*

*Dzięki,  
Nie potrzebuję — noża ani widelca,*

*Słuchając  
Pociągów... pędzących z gwizdem  
Przez noce bez ciebie  
W Middletown w Nowym Jorku.*

[Po wstawce muzycznej na gitarze hawajskiej, która zawsze poruszała serce Maxine]:

*Siedząc z butelką piwa,  
Oglądając kreskówki  
W słońcu po szkole,  
Gdy cienie wydłużają się jak opowieść  
O rzeczach, których nigdy nie zrobiliśmy...*

*Nigdy  
Nie wstawiliśmy do garażu airstreama,  
Po prostu  
Gapiliśmy się w ściany,  
Aż wreszcie  
W ogóle przestaliśmy coś czuć,  
Nikt nie wie, kiedy.*

*Więc nie mów mi,  
Jak serce pęka...*

I tak dalej. W tym momencie Maxine śpiewa w skupieniu wraz ze Slade May Goodnight, a wiatr wciska jej łyzy do uszu. Zerkają na nią kierowcy jadący sąsiednimi pasami.

Koło południa skręca w zjazd numer siedemdziesiąt, a ponieważ kasetka wideo Marvinina nie zawierała informacji o skrótach (jak mogłaby to określić Jodi Della Femina), Maxine musi się kierować intuicją. Po chwili opuszcza Route 27 i jedzie mniej więcej tak długo, jak to trwało na filmie, po czym zauważa restaurację o nazwie Junior's Ooh-La-Lounge, przed którą stoją pick-upy i motocykle, bo jest akurat pora lunchu.

Wchodzi, siada przy barze, zamawia podejrzaną sałatkę i butelkę piwa Past Blue Ribbon i prosi o szklanekę. Z szafy

grającej dobiega utwór skrzypcowy, którego Maxine prawdopodobnie nie usłyszałyby w żadnej restauracji na Manhattanie. Po chwili facet siedzący trzy stołki dalej przedstawia się i zauważa:

– Cóż, pani torebka wydaje się ciężka, jakby znajdował się w niej pistolet, ale nie wygląda pani na gliniarza ani dilera. Ciekawe, co w takim razie zostaje?

Można go opisać jako pulchnego człowieczka, ale intuicja podpowiada jej, że on również posiada broń, może nie przy sobie, ale z pewnością gdzieś pod ręką. Ma zaniedbaną brodę, na głowie czerwona czapeczka bejsbolowa z plamami po jedzeniu, z tyłu dynda siwiejący kucyk.

– Hej, a jeśli jestem policjantką pracującą pod przykryciem?

– Nie, gliniarze mają w sobie coś szczególnego, co można nauczyć się rozpoznawać, przynajmniej jeśli człowiek miał z nimi dużo do czynienia.

– Załatwiałam trochę spraw na policji, ale niewiele. Czy powinnam przeprosić?

– Tylko jeśli przyszła tu pani, żeby narobić komuś kłopotów. Kogo pani szuka?

Okay. W takim razie...

– Shae i Bruna?

– Ach, ci, może ich pani wpakować w dowolne tarapaty. Ludzie, którzy się tu pokazują, mają trochę karmy, ale ta dwójka... Czego pani od nich chce, u licha?

– Chodzi o ich przyjaciela.

– Mam nadzieję, że nie ma pani na myśli Willy'ego Westchestera? Niski facet, lubi belgijskie piwo?

– Może. Wie pan przypadkiem, gdzie mieszkają Shae i Bruno?

– Ach, już rozumiem. Likwiduje pani szkody ubezpieczeniowe, tak?

– Skąd ten pomysł?

– Z powodu pożaru.

– Jestem tylko księgową z biura tego gościa. Nie pokazuje się od pewnego czasu. Jakiego pożaru?

– Dwa tygodnie temu spalił się ich dom. Trąbili o tym w telewizji, przyjechało mnóstwo służb ratowniczych, płomienie oświetlały niebo, wszystko było widać z Long Island Expressway.

– Czy...

– Zwęglone zwłoki? Nie, nic w tym rodzaju.

– Ślady podpalenia?

– Na pewno nie jest pani technikiem kryminalistycznym? Jedną z tych ładnych dziewczyn, które pokazują w telewizji?

– Teraz słodkie słówka?

– Miałem zamiar zostawić to na później. Ale jeśli pani...

– Gdybym nie działała w trybie oficjalnym, Randy...

Chwila milczenia. Koledzy, którzy wpadli do restauracji w czasie przerwy w pracy, usiłują się nie śmiać zbyt głośno. Wszyscy obecni znają Randy'ego, wkrótce zaczyna się festiwal schadenfreude, goście zastanawiają się, kto ma największego pecha. Od zeszłego roku, gdy pękła bańka internetowa, większość właścicieli domów przestała spłacać kredyty. Tylko od czasu do czasu można ciągle spotkać echa złotego wieku rynku nieruchomości z lat dziewięćdziesiątych. Maxine nie

dziwi się zbytnio, że w tym kontekście często pojawia się nazwisko Gabriela Ice'a.

– Jego czeki ciągle mają pokrycie – zauważa.

– Kiedy je wypisuje. – Randy śmieje się wesoło, w sposób typowy dla ludzi z nadwagą. Odnawiał łazienki w apartamencie Gabriela Ice'a i wystawiał fakturę za fakturą. – Jestem już praktycznie właścicielem jego domu. Pysznice po kilka tysięcy dolarów sztuka, wielkie jak pizze, wanny z marmuru specjalnie sprowadzonego z Carrary we Włoszech, złożone lustra robione na zamówienie.

Każdy z obecnych tutaj potrafi opowiedzieć podobną historię. Wygląda na to, że Ice zawarł kiedyś fatalną znajomość z księgowymi jakiegoś bohatera tabloidów w rodzaju Donalda Trumpa, po czym zaczął stosować uniwersalną zasadę bogaczy: płacić duże rachunki, lekceważyć małe.

Ice nie ma tu wielu fanów. Maxine uważa to za naturalne, ale przeżywa szok, gdy wszyscy wyrażają przekonanie, że maczał palce w pożarze domu Bruna i Shae.

– A co on miałby do tego? – pyta Maxine, spoglądając z ukosa. – Zawsze go uważałam za typowego mieszkańca Hamptons.

– Nowojorskie oszustwo, jak śpiewa grupa Eagles, ale Hamptons mu nie wystarcza, blichtr i limuzyny to nie wszystko, on musi chodzić do jakiejś zrujnowanej rudery, gdzie mieszkają Bruno i Shae, gdzie można naprawdę poszaleć.

– Takie typki za tym przepadają – mówi młoda kobieta w kombinezonie malarskim, bez stanika, z nagimi ramionami,



całymi w chińskich tatuażach. – Fantazje nerdów. Wracają do takich miejsc, kochają je.

– Och, Bethesda, ale z ciebie cipa, źle go oceniasz, stary Gabe jest taki jak wszyscy. Chce po prostu tanio zerznąć jakąś dupę, i tyle.

– Ale po co miałyby palić dom? – pyta Maxine, idealnie naśladowując ton rzeczoznawcy ubezpieczeniowego.

– Podobno Bruno i Shae dostarczali klientom dziwnych rozrywek. Mogli szantażować Ice’a.

Maxine szybko omiata wzrokiem otaczające ją twarze, ale nie widzi nikogo, kto wiedziałby na pewno.

– Karma rynku nieruchomości – mówi ktoś. – Taki zwariowany typ jak Ice musiałby zniszczyć wiele mniejszych domów, by utrzymać równowagę.

– Aż tyle podpaleń, Eddie? – wtrąca Randy.

– Więc Ice ma duży dom? – pyta Maxi z naiwną miną.

– Nazywamy go Pałacem Fuckingham. Chcesz go obejrzeć? Właśnie się tam wybieram.

Maxine stara się mówić z entuzjazmem.

– Lubię oglądać eleganckie domy. Ale czy pozwolą mi wejść za bramę?

Randy wyjmuje identyfikator na łańcuszku.

– Brama jest automatyczna. Jest tam mały transponder, zawsze noszę zapasowy.

Bethesda wyjaśnia:

– To miejscowa tradycja, te wielkie domy świetnie się nadają na randkę z dziewczyną, jeśli ktoś lubi, żeby mu brutalnie przerwać w połowie.

– „Penthouse Forum” poświęciło temu cały numer – dodaje Randy.

– Chodź, doprowadzę cię do porządku. – Idą do damskiej toalety, gdzie Bethesda wyjmuje szczotkę do włosów i wielki pojemnik sprayu Final Net, po czym spogląda na fryzurę Maxine. – Muszę ci rozczesać te zmierzwiłone włosy. W tej chwili wyglądasz jak Bobby Van.

Kiedy Maxine wychodzi z toalety, Randy mdleje.

– Litości, myślałem, że to Shania Twain!

Hej, Maxine jakoś to znosi.

Kilka minut później Randy wyjeżdża z parkingu fordem F-350 z zamontowanym stelażem do transportu towarów, a Maxine podąża tuż za nim, zastanawiając się, czy ta wyprawa to dobry pomysł, i nabierając coraz większych wątpliwości. Junior's Ooh-La-Lounge pozostaje z tyłu i wokół widać teraz koszmarne brzydkie ulice z małymi, starymi domami do wynajęcia, parkingi sklepów z ogrodzeniami z drucianej siatki, zapuszczone tereny przemysłowe...

Zatrzymują się na chwilę, by obejrzeć resztki starego domu Shae, Bruna i Vipa. Kompletna ruina. Na pogorzeliśku bujnie krzewi się roślinność.

– Myślisz, że to wypadek? A może celowe podpalenie?

– Nie mogę się wypowiadać na temat twojego kumpla Willy'ego, ale Shae i Bruno nie są geniuszami, tak naprawdę to kompletni krety, więc może któreś z nich podpaliło dom z głupoty. Nie da się tego wykluczyć.

Maxine sięga do torebki po aparat cyfrowy, by zrobić kilka zdjęć. Randy zagląda jej przez ramię i zauważa beretkę.

- O rany, to model 3032? Na jaką amunicję?
- Sześćdziesiątki z pustym czubkiem. A ty czego używasz?
- Lubię Hydra Shoki. Bersa, dziewięć milimetrów.
- Super.
- Tak naprawdę nie jesteś księgową pracującą w biurze.
- Coś w tym rodzaju. Peleryna jest w tej chwili w pralni i zapomniałam włożyć kombinezon z lycry, więc nie wiesz, jak efektownie w nim wyglądam. Jednak możesz zabrać rękę z mojego tyłka.

– Wielkie nieba, czyżbym naprawdę...

Wszystko odbywa się elegancko w porównaniu ze zwykłym życiem towarzyskim Maxine.

Jadą do latarni morskiej w Montauk Point. Wszyscy uwielbiają Montauk, bo nie ma negatywnych cech Hamptons. Maxine przyjeżdżała tu kilka razy jako dziewczynka, wdrapywała się na szczyt latarni, zatrzymywała się w Gurney's Inn, jadła mnóstwo ryb, zasypiała przy szumie oceanu, czy coś mogło jej się nie podobać? Teraz, gdy zwalniają na ostatnim odcinku Route 27, czuje tylko, że zmniejsza się pole wyboru – wszystko skupia się w tym miejscu, całe Long Island, fabryki zbrojeniowe, morderczy ruch uliczny, dzieje republikańskich grzechów, które nigdy nie zostały odpokutowane, bezlitosny rozrost przedmieść, mile skoszonych ogrodów, sztuczne nawierzchnie, płyty paździerzowe, asfalt i żwir, ogromne bezdrzewne tereny, wszystko się skupia, wszystko się wali, zmienia się w ostatni przyczółek przed wielkim pustkowiem Atlantyku.

Zatrzymują się przy latarni morskiej na parkingu dla gości. Wszędzie widać turystów z dziećmi, niewinna przeszłość Maxine.

– Odczekajmy tu minutę, teren jest monitorowany. Zostaw swój samochód na parkingu, będziemy udawać, że to romantyczna randka, odjedziemy moim wozem. Dzięki temu ochroniarze Ice'a będą mniej podejrzliwi.

Maxine uważa to za sensowny pomysł, choć w dalszym ciągu może to być jakiś skomplikowany, głupi kawał z podtekstem seksualnym, wymyślony przez Randy'ego. Opuszczają parking, wracają pętlą do autostrady Old Montauk, po czym ruszają Coast Artillery Road w głąb lądu.

Letni dom Gabriela Ice'a, zdobyty dzięki sprytnym machinacjom, okazuje się skromną rezydencją o dziesięciu sypialniach. Pośrednicy handlu nieruchomościami lubią nazywać takie wille postmodernistycznymi. Przez koliste okna wpada dziwne oceaniczne światło, które przyciągało tu malarzy, gdy South Fork było ciągle rzeczywiste. Obligatoryjny kort tenisowy Har-Tru oraz cementowy basen, który oficjalnie ma rozmiar „olimpijski”, lecz wydaje się bardziej przystosowany do zawodów wioślarskich niż do pływania. Obok znajduje się przebieralnia, która w wielu miastach mogłaby służyć jako dom dla całej rodziny – na przykład w Syosset. Nad wierzchołkami drzew wznosi się gigantyczna dawna antena radarowa z czasów antysowieckiego terroru, która wkrótce ma się stać atrakcją turystyczną parku stanowego.

W posiadłości Ice'a roi się od pracowników firm budowlanych, wokół rozchodzi się zapach chemikaliów i trocin. Randy podnosi papierowy kubeczek po kawie, bierze torbę fugi do płytek, robi zaaferowaną minę i udaje, że przyszedł tutaj w sprawie łazienek. Maxine idzie za nim, udając, że mu towarzyszy.

Jak możliwe są tu jakiegokolwiek sekrety? Kuchnia, do której można wjechać samochodem, ultranowoczesna sala projekcyjna, wszystko na widoku, żadnych tajemnych korytarzy, żadnych ukrytych drzwi, cały wystrój jak spod igły. Co może się kryć w miejscu, gdzie nie sposób niczego ukryć?

Wreszcie schodzą do piwnicy na wino. Wygląda na to, że Randy przez cały czas zamierzał tam dotrzeć.

– Randy, nie chcę...

– To, czego nie wypiję, sprzedam na eBayu i zarobię parę dolarów. Wreszcie odzyskam trochę kasy.

Randy bierze butelkę białego bordeaux, patrzy na etykietę, kręci głową i odkłada butelkę na miejsce.

– Ten kretyński sukinsyn dał sobie wcisnąć cały stelaż rocznika dziewięćdziesiąt jeden. Chyba jednak na świecie istnieje sprawiedliwość, nawet moja żona nie chciałaby pić tego gówna. Zaczekaj, co to takiego? Okay, może przyda się do gotowania. – Przechodzi do stelaży z czerwonym winem, mruczy coś pod nosem, zdmuchuje kurz z butelek i kradnie je, aż wreszcie kieszenie jego plecaka i torba Maxine są pełne. – Pójdę to schować do samochodu. Coś przeoczyliśmy?

– Jeszcze się rozejrzę, spotkamy się za chwilę przed domem.

– Tylko uważaj na ochroniarzy, nie zawsze są umundurowani.

Uwagę Maxine przyciągnął nie rocznik ani nazwa wina, tylko prawie niewidzialne drzwi w kącie piwnicy, z niewielką klawiaturą obok framugi.

Kiedy Randy znika za drzwiami, Maxine wyjmuje swój organizer, który obecnie się rozrósł i stał się kosztownym folderem pełnym luźnych kartek papieru, po czym w przyćmionym świetle zaczyna szukać listy haseł hashslingrz znalezionej przez Erica w ukrytej sieci i przekazanej przez Rega. Pamięta, że kilka z nich zostało oznaczonych jako kody numeryczne.

Jasne, wystarczają zaledwie dwie, trzy próby. Rozlega się terkot silnika elektrycznego i drzwi się rozsuwają.

Maxine nie uważa się za szczególnie łękliwą, chodziła nieodpowiednio ubrana na różne dobroczynne imprezy, za granicą jeździła w wynajętych samochodach z dziwnymi skrzyniami biegów, pokonywała specjalistów od windykacji weksli, handlarzy bronią i oszalałych republikanów, którzy nie cofnęliby się przed żadną formą przemocy fizycznej czy psychicznej. Ale teraz, gdy przechodzi przez te drzwi, pojawia się interesujące pytanie: Maxine, pojechało cię? Przez całe wieki dziewczętom opowiadano przerażające historie o Zamku Sinobrodego i oto Maxine ignoruje wszystkie dobre rady. Wkracza do krainy tajemnic, nieopisanej w żadnej z ksiąg, niedającej się zanalizować – zapuszczenie się na takie terytoria sprawiło, że odebrano jej certyfikat, i może kiedyś stać się przyczyną jej śmierci. Przed domem, na otwartej przestrzeni,

jest jasny, słoneczny, letni dzień, na okapach dachu siedzą ptaki, w ogrodzie latają osy, czuć zapach sosen. Tu, na dole, jest zimno, całe jej ciało przenika zawodowy chłód. Nie tylko Ice nie chce, by tu była. Maxine wie, nie znając przyczyn, że mogą to być ostatnie drzwi, przez które przeszła.

Idzie korytarzem z drzwiami po obu stronach. Jest czysty, surowy, na suficie palą się żarówki rozmieszczone w dużych odstępach, rzucające cienie w miejscach, gdzie nie powinno ich być. Korytarz biegnie ku opuszczonej bazie sił powietrznych z dużą anteną radarową – chyba że Maxine myli kierunki. Cokolwiek znajduje się na końcu, za ogrodzeniem, musi być dla Gabriela Ice'a na tyle ważne, by chronić dostęp szyfrem. Prawdopodobnie nie jest to tylko niewinne hobby bogatego człowieka.

Maxine ostrożnie posuwa się naprzód, w jej głowie cicho mruga światełko odmierzające czas spędzony na naruszaniu czyjejs prywatności. Niektóre drzwi są zamknięte, inne otwarte, widać chłodne, nienaturalnie schludne pomieszczenia, jakby ktoś chciał ustabilizować złą historię i zachować ją na dziesięciolecia. Chyba że jest to po prostu chroniony obszar biurowy, jakaś realna wersja mrocznego archiwum, do którego dotarł Eric. Czuć zapach środków odkażających, jakby wszystko niedawno zdezynfekowano. Betonowe posadzki, kanały odprowadzające ścieki do studzienek. W górze stalowe belki wyposażone w zaczepy, których przeznaczenia Maxine nie jest w stanie lub nie chce się domyślić. Żadnych mebli, z wyjątkiem szarych stołów biurowych z laminatu i składanych krzeseł.

W ścianach kontakty elektryczne o napięciu dwustu dwudziestu woltów, lecz ani śladu żadnych urządzeń.

Czy to spray do włosów sprawił, że włosy Maxine zmieniły się w czułki? Słyszy szepty, które wkrótce zaczynają brzmieć jak komunikacja radiowa – rozgląda się, szukając oczami głośników, niczego takiego nie widzi, a jednak wokół rozlega się coraz więcej dźwięków – liczby, oznaczenia kodowe NATO, takie jak Whiskey, Tango i Foxtrot, beznamiętne głosy, zniekształcone przez interferencję fal radiowych, nakładanie się transmisji, aktywność Słońca... Czasami słyhać zwrot po angielsku, wypowiedziany tak szybko, że Maxine nic nie może zrozumieć.

Dociera do klatki schodowej, która prowadzi jeszcze głębiej pod ziemię. Nie widzi końca pionowego szybu. Natychmiast traci orientację w przestrzeni i nie wie już, czy spogląda w dół, na niezliczone podziemne kondygnacje, czy prosto przed siebie, w głąb kolejnego długiego korytarza. Trwa to tylko mgnienie oka, ale czy to nie wystarcza? Domyśla się, że ten schron to czyjeś wyobrażenie o zbawieniu w czasach zimnej wojny, starannie ukryte na amerykańskiej prowincji, wiara w prymitywną głębokość, modlitewne przekonanie, że nielicznym błogosławionym uda się przetrwać, przeżyć koniec świata i nadejście Pustki...

O kurwa, co to takiego... w dole, na podeście schodów, coś stoi, dygoce, spogląda na Maxine... W tym świetle trudno się zorientować, Maxine ma nadzieję, że to tylko halucynacja, widzi coś żywego, lecz zbyt małego jak na ochroniarza... nie człowiek, nie zwierzę... nie... dziecko? Coś wielkości dziecka, ubrane w mundur polowy, zbliża się do niej ostrożnie, ze



śmiercionośnym wdziękiem, unosząc się jak na skrzydłach, z oczami zbyt widocznymi w półmroku, zbyt bladymi, prawie białymi...

W głowie Maxine rozlega się ostry dźwięk dzwonka alarmowego. Sięgnięcie w tej chwili po berettę nie wydaje się dobrym pomysłem.

– No dobra, moje jordany, możecie się teraz wykazać! – Odwraca się i pędzi korytarzem, wybiega przez drzwi, których nie powinna była otwierać, z powrotem do piwnicy, i widzi, że szuka jej tam Randy.

– Wszystko w porządku?

Zależy, jak się definiuje słowo „porządek”.

– To wino Vosne-Romanée, zastanawiałem się...

– Rocznik nie ma większego znaczenia, bierz je i chodźmy.

Randy nie zachowuje się zbyt elegancko jak na złodzieja wina. Wsiadają do samochodu i odjeżdżają tam, skąd przyjechali. W drodze do latarni morskiej Randy milczy, jakby on także coś zobaczył w rezydencji Ice’a.

– Posłuchaj, byłaś kiedyś w Yonkers? Mieszka tam rodzina mojej żony i czasami chodzę na strzelnicę dla kobiet o nazwie Sensibility...

– „Mężczyźni zawsze mile widziani”, jasne, wiem, sama należę do tego klubu.

– Cóż, może się tam kiedyś spotkamy.

– Z przyjemnością, Randy.

– Nie zapomnij o burgundzie.

– Hm... wcześniej mówiłeś o karmie, może po prostu weź go sobie.

\* \* \*

Maxine nie pędzi jak szalona, lecz również nie zwleka – przynajmniej do Stony Brook zerka niespokojnie w lusterko wsteczne. Naprzód, czterokołowy pojeździe, naprzód! Tyle bezsensownych rzeczy. Ostatnie znane miejsce pobytu Vipa Epperdew zmieniło się w spalone zgliszcza, luksusowa siedziba Gabriela Ice’a jest nudna, z wyjątkiem tajemniczego korytarza, choć Maxine nie chce wiedzieć, co się w nim znajduje, nawet gdyby mogła to zobaczyć. A więc... może Maxine zdoła zmniejszyć cenę, uśrednić dzienną stawkę, rabat na karcie kredytowej, pełny bak benzyny po dolarze i dwadzieścia pięć centów za galon, zobaczymy, czy zażądamy półtora dolara...

Zanim opuszcza zasięg lokalnej stacji radiowej, z głośnika dobiega klasyczna piosenka Droolina Floyda Womacka.

*Oh, my brain, it's  
Lately started throbbin, and  
Now and then, it's also  
uh, squirmin too...*

*and my*

*precious sleep at night, it's robbin,  
'Cause it's throb-  
bin, squirmin, just for you.*  
[kobięcy głos] *Why, does, it  
squirm? Why does it  
Throb, I wonder?  
[Floyd] Uh, tell me please, it's driving  
Me insane...  
Can it be, some  
evil spell I'm under? Oh be  
Still, you squirmin,*

*Uh, throbbin brain...*

*(Ach, mój mózg  
ostatnio pulsuje, a  
czasem także,  
hm, dziwnie się rusza...*

*kradnie mi*

*w nocy sen,  
bo rusza się i pulsuje  
dla ciebie.*

*[kobięcy głos] Dlaczego  
twój mózg się rusza? Dlaczego  
pulsuje? Ciekawe.*

*[Floyd] Ach, proszę, naprawdę  
już od tego wariuję...*

*A może to  
zły urok? Przestań  
się ruszać i pulsować,  
mój mózgu...)*

Tej nocy Maxine jak zwykle śni się zniekształcony Manhattan, jaki często widuje w snach. Jeśli idzie dostatecznie długo jedną z alei, znajoma siatka ulic zaczyna się rozpadać, staje się koślawa, spleciona z podmiejskimi arteriami. W końcu Maxine dociera do centrum handlowego, które specjalnie zaprojektowano, by wyglądało jak po straszliwej bitwie gdzieś w Trzecim Świecie. Jest spalone i zrujnowane, opuszczone domy i wypalone betonowe fundamenty tworzą coś w rodzaju naturalnego amfiteatru, a dwa poziomy sklepowy znajdują się na dość stromym zboczu. Wszystko ma barwę smutnej rdzy i sepii, jednak przed zniszczonymi kawiarniami siedzą yuppie i beztrąsko piją herbatę, zamawiają wykwintne kanapki z rukolą i kozim serem, zachowując się zupełnie tak, jakby byli

w Woodbury Common albo Paramus. Maxine ma tu spotkać Heidi, lecz idzie o zmroku ścieżką przez las. Nagle z przodu błyska światło. Maxine czuje dym z domieszką toksycznych substancji, plastiku, odpadów laboratorium produkującego narkotyki, kto wie? Wychodzi z zakrętu i widzi płonący dom z filmu Vipa Epperdew – jaskrawe pomarańczowe płomienie i wirujący czarny dym, który płynie w stronę bezgwiezdnego, zachmurzonego nieba. Wokół nie ma sąsiadów patrzących kiedyś na pożar. W dali nie słychać narastającego wycia syren. Nikt nie próbuje gasić ognia, choć w środku ktoś może być, nie Vip, ale tym razem Lester Traipse. Maxine stoi sparaliżowana, w migotliwym świetle, zastanawiając się, co może i powinna zrobić. Pożar jest gwałtowny, obejmuje cały dom, do którego nie można się zbliżyć z powodu żaru. Nawet z tej odległości Maxine czuje, że zaczyna brakować jej tlenu.

Dlaczego Lester? Budzi się w panice, wiedząc, że musi coś zrobić, ale nie wie co. Jak zwykle pochłaniają ją codzienne obowiązki. Wkrótce zaczyna się zajmować oszustwami podatkowymi, chciwymi drobnymi spryciarzami marzącymi o zarobieniu wielkich pieniędzy, arkuszami kalkulacyjnymi, których nie rozumie. W porze lunchu do gabinetu wsadza głowę Heidi.

– Właśnie chciałam zadać kilka pytań specjalistce od popkultury – mówi Maxine. Idą do delikatesów za rogiem i kupują sałatkę. – Heidi, opowiedz mi jeszcze raz o Projekcie Montauk.

– Powstał w latach osiemdziesiątych, teraz jest częścią amerykańskiej tradycji. W przyszłym roku otworzą dla

turystów starą bazę lotniczą. Niektóre firmy organizują już wycieczki autokarowe.

– Co takiego?

– Wszystko kończy się jako musical na Broadwayu. To mniej więcej to samo, choć forma jest inna.

– Chcesz powiedzieć, że nikt już nie bierze poważnie Projektu Montauk?

Dramatyczne westchnienie.

– Maxi, szczerza Maxi, zawsze skrupulatna jak kryminolog! Te miejskie legendy mają dużą siłę przyciągania, łączą różne dziwne elementy i w końcu nikt nie wierzy w całość, wszystko jest zanadto nieuporządkowane. Lecz mimo to ciągle szukamy intrygujących historii. Niech Bóg broni, byśmy się dali nabrać, oczywiście jesteśmy na to za nowocześni, a jednak nie ma ostatecznego dowodu, że część tego nie jest prawdą. Argumenty za i przeciw, cała sprawa sprowadza się do sporów w internecie, wyzwisk, trollingu, śladów prowadzących coraz dalej w głąb labiryntu.

Maxine zastanawia się i przychodzi jej do głowy, że turystyka nie oznacza wcale oczyszczenia. Zna ludzi, którzy jeżdżą w lecie do Polski na zbiorowe wycieczki do nazistowskich obozów śmierci. W autokarze dostają gratis próbki polskiej wódki. W Montauk może się roić od ludzi żądnych rozrywki, a tymczasem pod ich leniwie kroczącymi nogami w dalszym ciągu trwa to, z czym się łączy tunel Ice'a.

– Jeśli tego nie jesz...

– Częstuj się, Heidi, częstuj, proszę. Nie byłam taka głodna, jak myślałam...

# 18

Późnym popołudniem niebo staje się jaskrawożółte. Coś nadchodzi z drugiej strony rzeki. Maxine włącza stację WYUP, nadającą informacje o ruchu ulicznym i pogodzie w Nowym Jorku, po czym słucha zwykłej serii reklam, wypowiedzianych z prędkością karabinu maszynowego, stopniowo coraz bardziej wulgarnych, aż wreszcie rozlega się znajomy motyw muzyczny i męski głos, który mówi:

„Dajcie nam trzydzieści dwie minuty. Już ich nie odzyskacie!”.

Spikerka oznajmia trochę zbyt wesołym tonem jak na temat wiadomości:

„Martwy mężczyzna odnaleziony w dniu dzisiejszym w luksusowym apartamentowcu na Upper West Side został zidentyfikowany jako Lester Traipse, znany przedsiębiorca z Alei Krzemowej... Wszystko wskazuje na samobójstwo, choć policja nie wyklucza morderstwa... Tymczasem Ashley, tygodniowe niemowlę, wydobyte wczoraj z pojemnika na śmieci w Queens, czuje się coraz lepiej. Lekarze twierdzą...”.

– Nie! – W taki sposób mógłby krzyknąć do radia ktoś starszy, cierpiący na głębszą demencję. – Kurwa, nie, ty głupia

suko, nie Lester! – Maxine niedawno z nim rozmawiała. Lester powinien żyć.

Widziała typowe zachowania defraudantów, którzy manifestowali poczucie winy, udzielali płaczliwych wywiadów dziennikarzom, zerkali żałośnie w bok, nagle odczuwali przypływy nerwowego bólu, ale Lester jest – był – jednym z rzadkich przypadków, próbował spłacić to, co ukradł, zachować się honorowo, tacy ludzie rzadko popełniają samobójstwo, może nawet nigdy...

Co pozostaje? Maxine czuje nieprzyjemne mrowienie w okolicy szczęki. Żaden z wniosków, które przychodzą jej do głowy, nie wygląda dobrze. Deseret?! Pieprzony Deseret?! Czy jest coś złego w zabraniu Lestera do Fresh Kills i zostawieniu go na wysypisku śmieci?

Mimo woli spogląda przez okno. Patrzy ponad dachami, kominami, świetlikami, zbiornikami na wodę i gzymsami widocznymi na tle ciemniejącego nieba, na którym zbierają się burzowe chmury, na miejsce, gdzie nad Broadwayem wznosi się Deseret. Gdzieś palą się już światła, jakby zdenerwowane nadciągającą burzą. Z tej odległości kamienna budowla wydaje się niemożliwa do oczyszczenia, cienie są zbyt liczne, by dało się je rozproszyć.

Maxine zaczyna się szaleńczo obwiniać. Znalazła tunel Ice'a. Uciekła przed tym, co się zbliżało. Ice wyrównuje rachunki, teraz zabierze się za nią.

\* \* \*

Nie czuje się lepiej, gdy późnym wieczorem spaceruje w deszczu i widzi Lestera po drugiej stronie ulicy, schodzącego do stacji metra 79th Street w towarzystwie jasnowłosej seksbomby w pewnym wieku. Maxine jest przekonana, że ta blondynka kontroluje Lestera, że na jakiś czas wyszli na powierzchnię, by załatwić różne sprawy, a teraz zabiera go na dół. Maxine pędzi przez najbardziej niebezpieczne skrzyżowanie w Nowym Jorku, przedziera się przez ruchomy tor przeszkód złożony z morderczych samochodów, beztrąsko wyrzucających spod kół fontanny brudnej wody, po czym staje na peronie metra i rozgląda się na wszystkie strony. Lestera ani blondynki nigdzie nie ma. Oczywiście w Nowym Jorku zdarza się czasem widywać twarze ludzi, o których na pewno wiemy, że nie żyją; niekiedy druga osoba zauważa, że na nią patrzymy, i ona także zaczyna cię poznawać, lecz w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przypadków okazuje się, że to ktoś obcy.

Nazajutrz rano, po bezsennej, męczącej nocy przerywanej krótkimi snami, Maxine przychodzi na sesję u Shawna bardzo zdenerwowana.

– Miałam ochotę wrzasnąć na ulicy coś głupiego: „Lester, przecież ty podobno nie żyjesz!”.

– Przede wszystkim można podejrzewać, że masz problemy z pamięcią – mówi Shawn.

– Nie, to był na pewno Lester, nikt inny.

– Cóż... przypuszczam, że to się czasem zdarza. Normalni, nieoświeceni ludzie tacy jak ty, bez żadnych specjalnych talentów, nagle potrafią przejrzeć iluzję niczym mistrz po latach ćwiczeń. Widzą wtedy prawdziwą osobę, w zen



nazywamy to „twarzą przed twarzą”, i może nadają obrazowi bardziej znajomy wygląd?

– Shawn, jesteś bardzo pomocny, dziękuję, ale przypuśćmy, że to był naprawdę Lester?

– Hm, cóż... A czy przypadkiem nie szedł krokiem baletowym?

– To nie jest zabawne, Shawn. Ten facet po prostu...

– Co takiego? Umarł? Nie umarł? Mówili o nim w wiadomościach w WYUP? Wsiadł do metra z jakąś niezidentyfikowaną dziewczyną? Zdecyduj się.

W swoich ogłoszeniach, przyklejonych do każdego automatu z gazetami w Nowym Jorku, Shawn zapewnia, że „nigdy nie stosuje *kiosaku*”. Są to drewniane pałki używane przez nauczycieli zen soto, by skłonić uczniów do koncentracji. Shawn nikogo nie bije, lecz stosuje nieprzyjemne uwagi. Maxine wychodzi z sesji jak po pojedynku z Shaquille’em O’Nealem.

W poczekalni widzi innego klienta, w jasnoszarym garniturze, czerwonej koszuli w truskawkowym odcieniu, z ciemnozielonym krawatem i chusteczką. Przez chwilę myśli, że to Alex Trebek. Shawn wystawia głowę z gabinetu i woła dobrodusznie:

– Maxine, poznaj Conklinga Speedwella, pewnego dnia uznasz, że połączył was los, ale po prostu ja lubię wściubiać nos w cudze sprawy.

– Przepraszam, że musiał pan przeze mnie czekać na sesję.

– Maxine wymienia uścisk dłoni ze Speedwellem, zauważając,

że jego dotyk można by nazwać spokojnym, co rzadko się zdarza w Nowym Jorku.

– Może mi pani kiedyś postawić lunch.

Na razie koniec z Lesterem. On może poczekać. Ma teraz mnóstwo czasu. Maxine udaje, że spogląda na zegarek.

– Dziś?

– Dobry pomysł.

Okay.

– Zna pan restaurację Daphne i Wilma na tej ulicy?

– Jasne, miły, dynamiczny zapach. O pierwszej?

Zapach? Okazuje się, że Conkling jest zawodowym specjalistą od zapachów, pracującym jako wolny strzelec. Od urodzenia ma znacznie bardziej czuły zmysł węchu niż normalni ludzie. Zdarzało się, że podążył za interesującą wonią przez kilkanaście przecznic, po czym okazywało się, że źródłem jest żona dentysty z dzielnicy Floral Park. Uważa, że człowiek, który pojawia się na kolacji, a nawet wchodzi do windy, pachnąc w sposób niewłaściwy, powinien trafić do ostatniego kręgu piekła. Podbiegają do niego nieznajome psy i patrzą pytająco.

– Talent, który daje się wykorzystać, niekiedy przekleństwo.

– To proszę powiedzieć: jakich perfum dzisiaj użyłam?

Conkling się uśmiecha, potrząsa lekko głową, unika wzroku Maxine, która rozumie, że nie lubi się popisywać swoimi umiejętnościami.

– Może lepiej nie, rozmyśliłam się...

– Za późno. – Conkling porusza lekko nosem, jakby go udrażniał. – Okay. Przede wszystkim, te perfumy pochodzą

z Florencji...

Ach...

– Z Officina Profumo di Santa Maria Novella. Oryginalna receptura Medicich, numer tysiąc sześćset jedenaście.

Maxine zdaje sobie sprawę, że jej usta otworzyły się szerzej, niżby chciała.

– Proszę nie mówić, jak pan to robi. To trochę jak ze sztuczkami karcianymi, wolę nie wiedzieć.

– Rzadko spotykam ludzi używających perfum z Officyny.

– Jest ich więcej, niż pan przypuszcza. Wchodzi pan do pięknej, starej, wysokiej sali pełnej zapachów, ludzie, którzy byli sto razy we Florencji, nigdy nie słyszeli o tym miejscu, myśli pan, że to jakieś sekretne odkrycie, po czym nagle pojawia się koszmar klienta supermarketu: tych perfum zaczyna używać całe miasto.

– Ludzie, którzy nie potrafią odróżnić zapachów kwiatowych od szyprowych – mówi współczująco Conkling. – Można od tego oszaleć.

– Czy... rozpoznawanie zapachów... to ciekawa praca, dobrze płatna?

– Cóż, najczęściej pracujemy dla dużych korporacji, przechodzimy z firmy do firmy, po chwili okazuje się, że zmieniają się właściciele, robią restrukturyzację, poprzestają na klasycznych zapachach, i znowu jesteśmy na lodzie. Przez długie lata nigdy nie przychodziło mi do głowy, że jest to właśnie to, co nasz wspólny guru nazywa wiadomością z innego świata. „Kim jest ten skromny człowiek, który wchodzi i wychodzi przez bramy twarzy?”. Tak to formułuje.

– Mnie też to mówił.

– „Bramy twarzy” mają oznaczać oczy, ale natychmiast zrozumiałem, że chodzi o nozdrza, koan świetnie pasował, zacząłem się nad nim zastanawiać i teraz jestem wolnym strzelcem, nowi klienci czekają pół roku na konsultację, czyli dłużej, niż kiedykolwiek pracowałem w jakiejś korporacji.

– A Shawn?

– Od czasu do czasu przysyła mi klientów, pobiera za to niewielkie honoraria. Wystarczają na pokrycie rachunków za wodę kolońską Erolfa, w której lubi się kąpać. To normalne.

– W pana branży. Tworzy pan własne perfumy?

Conkling wydaje się zawstydzony.

– Prowadzę coś w rodzaju agencji detektywistycznej.

Aaach!

– Prywatny detektyw od zapachów?

– Jest jeszcze gorzej. Dziewięćdziesiąt procent moich spraw dotyczy małżeństw.

Czegóż innego?

– Wielkie nieba... Jak to właściwie działa?

– Och, klienci przychodzą i mówią: „Niech pan powącha mojego męża, moją żonę”. Chcą wiedzieć, co jedli na lunch, ile drinków wypili, czy zażywają narkotyki albo uprawiają seks oralny, co nawiasem mówiąc, jest najczęściej zadawanym pytaniem. I tak dalej. Rzecz w tym, że zapachy tworzą sekwencję czasową, stopniowo nakładają się na siebie. Można odtworzyć chronologię.

– To dziwne... – czy to naprawdę dobry pomysł? – ale miałam do czynienia z pewną sytuacją... Czy miałby pan coś

przeciwno temu, żeby... Czy jakiś specjalista od zapachów może pojechać na miejsce przestępstwa, niczym jasnowidz wykorzystywany przez policję, obwąchać wszystko i zrekonstruować przebieg wypadków?

– Jasne. Osmologia kryminalistyczna. Moskowitz, De Anzoli, kilku innych, specjalizują się w tym.

– A pan?

Conkling przekrzywia głowę (Maxine miałyby ochotę powiedzieć, że czarująco) i milczy przez chwilę.

– Ja i policja... Człowiek zaczyna wąchać, chłopcy dostają paranoi, myślą, że ich także obwąchujemy, by odgadnąć te wszystkie straszliwe policyjne sekrety. Dlatego nasza współpraca nigdy się nie układa.

– Moskowitz nie ma takich problemów?

– Moskowitz to weteran wydziału oszustw, ma odznaczenia policyjne. De Anzoli jest doktorem kryminologii, członkowie jego rodziny pracują w policji, gliniarze mu ufają. Ja czuję się lepiej jako wolny strzelec.

– Och, ja potrafię funkcjonować w zespole. – Maxine rozgląda się po sali, a potem zerka kątem oka na Conklinga. – Pewnie już pan to wyczuł?

– Jakiś uparty feromon, który zawsze się włącza... Chwileczkę, zaczniemy od początku, teraz pewnie pani pomyśli...

Maxine uśmiecha się promiennie i wypija łyk herbatki bambusowej, reklamowanej jako środek pozwalający doznać oświecenia.

– Pański talent na pewno komplikuje randki, prawda?

– Właśnie dlatego się nim nie przechwalam. Chyba że Shawn próbuje załatwić mi klienta.

Spoglądają na siebie. W ciągu ostatniego roku Maxine spotykała się z fetyszystami, spekulantami giełdowymi, zawodowymi oszustami w grze w bilard, specjalistami od inwestycji kapitałowych i rzadko miała ochotę zobaczyć się z nimi znowu. Teraz, trochę późno, patrzy na lewą rękę Conklinga, na której nie ma obrączki, podobnie jak na jej dłoni.

Zauważa jej wzrok.

– Ja też zapomniałem obejrzeć pani rękę. Okropne, prawda? – Dzieci Conklinga, syn i córka, są w szkole średniej i przyjeżdżają do domu w weekendy, a dzisiaj jest piątek. – Mają klucze, ale zwykle zastają mnie w domu.

– Tak, ja też muszę wracać na czas. To moje numery: dom, biuro, pager...

– A to moje. Jeśli mówiła pani poważnie na temat pracy na miejscu przestępstwa, mogę skontaktować panią z Moskowitzem albo...

– Wolałabym pana. – Maxine milczy przez chwilę. – Nie chcę koordynować swoich działań z nowojorską policją, chyba że okaże się to absolutnie konieczne. Zresztą oni nie przepadają za cywilami wtykającymi... przepraszam, wtrącającymi się do śledztw prowadzonych przez policję.

\* \* \*

W końcu postanowili się spotkać w południe na basenie w Deseret. Według Conklinga udowodniono naukowo, że ludzki

zmysł powonienia osiąga maksymalną czułość o jedenastej czterdzieści pięć. Maxine spryskała się średniej jakości perfumami Trish McEvoy, które i tak się zmyją, toteż nie powinna się dziwić, jeśli Conkling znowu odgadnie markę.

Wygląda na wysportowanego faceta, często uprawiającego pływanie. Nosi standardowe szorty, które wydają się kilka rozmiarów za duże. Maxine powstrzymuje się przed wymownym uniesieniem brwi. Może spodziewała się obcisłych spodenek Speedo? Dyskretnie zerka, by ocenić wielkość penisa, poza tym jest zaciekawiona, jak Conkling zareaguje na jej kostium kąpielowy, elegancką przeróbkę małej czarnej, który włożyła zamiast mniej lub bardziej jednorazowych kostiumów w kwiaty zamawianych pocztą, lepiej o nich nie myśleć... Och, jest, prawda?

- Coś, hm...
- Szukałem swoich... eee... gogli.
- Na głowie?
- Tak.

Basen w Deseret wygląda jak najstarszy obiekt tego typu w Nowym Jorku. W górze, w chlorowej mgiełce, widać kopułę z przejrzystego plastiku, złożoną z wielu segmentów. Każdy, wklęsły, mający kształt łzy, jest osadzony w oprawie o barwie brązu – w ciągu dnia, niezależnie od kąta padania słońca, światło ma kolor grynszpanu, o zmroku staje się rozmyte, niewyraźne, a w chwili zamknięcia basenu zmienia się w zimową szarość.

Geometria budowli jest skomplikowana wskutek postulatu dawnych amerykańskich moralistów, by mężczyźni i kobiety

nigdy nie mogli na siebie patrzeć, gdy są niekompletnie ubrani. Szatnie, prysznice i toalety starannie oddzielono – aby do nich dotrzeć, trzeba przejść przez zawiły system drzwi, schodów i półkolistych korytarzy. Członkowie klubu, którzy mają ochotę wykąpać się w basenie, często błądzą wśród sal gimnastycznych, barów, siłowni i sal telewizyjnych, zanim wreszcie mogą zapomnieć o przykrościach dnia, ogłupieni pływaniem tam i z powrotem.

Przy basenie dyżuruje Joaquin. Zwykle nie przestaje gadać, lecz dziś wydaje się Maxine dziwnie milkliwy.

– Słyszałeś coś o zwłokach, które tu znaleziono?

– Tyle co każdy, czyli nic. Nikt nic nie wie, nawet portierzy i Fergus, nocny stróż, który zawsze wie wszystko. Gliniarze przyjechali i odjechali, a teraz wszyscy są trochę przerażeni.

– Słyszałam, że nie był to jeden z lokatorów.

– Nie pytałem.

– Ktoś musi coś wiedzieć.

– Tu wszyscy są głuchoniemi. Polityka administracji budynku. Przykro mi, Maxine.

Po kilku symbolicznych nawrotach Maxine i Conkling wychodzą z wody i udają, że idą do szatni, lecz spotykają się znowu i wślizgują się do klatki schodowej, gdzie nie mają wstępu obcy. Wkrótce są już pod basenem, na dwunastym piętrze, i skradają się, niekompletnie ubrani, ciemnymi, tajemniczymi korytarzami. W każdej chwili może tu dojść do katastrofy budowlanej. Jest to strefa buforowa, zagrożona zalaniem, gdyby basen – betonowy, niegdyś ultranowoczesny, zbudowany wbrew wielu wprowadzonym później przepisom –



zaczął nagle, broń Boże, przeciekać. Obecnie jest to pomnik sekretnej historii łapówek wręczanych podwykonawcom, inspektorom budowlanym i urzędnikom wydającym zgody na eksploatację – nieuczciwi administratorzy spodziewali się, że potop nastąpi długo po ich odejściu i upływie gwarancji. Stare, skrzypiące kratownice i dźwigary z początku dwudziestego wieku. Zwierzęta, wśród których myszy są najmniejszym zmartwieniem. Jedyne źródło światła to wodoszczelne okienka obserwacyjne w basenie – znajdują się za nimi niewielkie kabiny kojarzące się z fotoplastykonem. Według dawnej broszury reklamowej „miłośnicy sztuki pływackiej, nie zanurzając się w wodzie, mogą stamtąd obserwować ludzkie ciało uwolnione od wpływu siły ciężenia, co ma wielkie walory edukacyjne”. Światło padające z góry i z okienek obserwacyjnych przenika przez wodę, wypełniając basen dziwną, zielonkawą, rozrzedzoną poświatą.

W jednej z tych kabin policja odnalazła zwłoki Lestera. Stał oparty o okienko, jakby obserwował basen. Wcześniej zauważył go jeden z pływaków, ale po kilku nawrotach zorientował się, że widzi trupa, i wpadł w panikę.

Gazety pisały, że w czaszkę Lestera wbito z wielką siłą ostrze noża. Najwyraźniej nie dokonano tego ręką – ostrze przebiło głowę na wylot, a czubek wystawał z czoła. Brak rękojęści sugerował, że jest to tak zwany nóż balistyczny, wystrzeliwany za pomocą sprężyny, nielegalny w Stanach Zjednoczonych od 1986 roku, należący do standardowego wyposażenia rosyjskich służb specjalnych. „The New York Post”, wciąż żyjący nostalgicznymi wspomnieniami zimnej wojny,

uwielbia takie historie, toteż zaczął pisać o sprawie pod krzyżującymi nagłówkami, sugerując, że w Nowym Jorku grasują ekipy zabójców KGB. Trwało to przez większą część tygodnia.

Kiedy Maxine zobaczyła nagłówek: BALISTYCZNA ZBRODNIA, zatelefonowała do Rocky'ego Słagiatta.

– Twój stary kumpel ze Specnazu, Igor Daszkow, powinien coś o tym wiedzieć.

– Już go pytałem. Mówi, że ten nóż to miejska legenda. Igor służył w Specnazie wiele lat i nigdy czegoś takiego nie widział.

– Nie o to chodzi, ale...

– Hej, nie wykluczałbym zabójstwa dokonanego przez Rosjan. Z drugiej strony...

Racja. Nie można również wykluczyć, że ktoś próbował upozorować zabójstwo dokonane przez Rosjan.

Na miejscu przestępstwa panuje bałagan. Na podłodze widać skrawki żółtej taśmy policyjnej, rysunki kredą, plastikowe woreczki na dowody rzeczowe, niedopałki papierosów i opakowania z fast foodów. Czuć zapach wody po goleniu używanej przez policjantów, dymu z papierosów, alkoholu wypitego w okolicznych barach, rozpuszczalników używanych w laboratorium kryminalistycznym, proszku do zdejmowania odcisków palców, luminolu...

– Zaczekaj, czujesz luminol? Przecież jest bezwonny, prawda?

– Nie. Ślady wiórków po temperowaniu ołówka, hibiskus, olej napędowy diesel numer dwa, majonez...

– Masz minę konesera win.

– Ups...

Analizując poszczególne zapachy, Conkling stopniowo koncentruje się na zmarłym, który niegdyś tu był, a w sensie zawodowym ciągle jest. Sprawa jest dość skomplikowana, osmolodzy nazywają to zjawisko maską pośmiertną, gdyż produkty rozkładu gnilnego zaczynają dominować nad wszystkimi innymi zapachami. Oczywiście istnieją specjalne techniki pozwalające rozwiązać takie problemy, można się ich nauczyć na dziwnie dyskretnych weekendowych seminariach organizowanych w New Jersey, czasem mają one wartość praktyczną, a czasem jest to tylko bełkot w stylu New Age z lat osiemdziesiątych. Specjaliści prowadzący seminaria nie potrafią iść naprzód, a uczestnicy marnują sto trzydzieści dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów plus podatek. Połowa może zostać odliczona od dochodu, lecz zwykle czują się zawiedzeni.

– Zaczekaj, muszę coś zrobić. – Conkling wsadza rękę do torby, po czym wyjmuje kilka grubych toreb z plastiku, niewielkie, przenośne urządzenie i plastikową rurkę.

– Co to takiego?

– Pompa do pobierania próbek powietrza, sprytne, prawda? Jest zasilana przez akumulator. Wezmę kilka litrów.

Maxine milczy, gdy zjeżdżają windą towarową i wychodzą na ulicę, hałaśliwą, brudną, niewinną ulicę.

– No więc... co tam wyczułeś? – pyta w końcu.

– Nic szczególnie niezwykłego, z wyjątkiem... Przed przybyciem policji, przed pojawieniem się zapachu broni palnej, był tam obecny aromat podobny do wody kolońskiej. Nie

potrafię go zidentyfikować od ręki, normalny produkt handlowy, może sprzed kilku lat...

– Jakiś mężczyzna?

– Chyba pora zajrzeć do biblioteki – odpowiada Conkling po chwili namysłu.

Okazuje się, że oznacza to ogromną kolekcję starych perfum, często sprzedawanych przez krótki okres, niekiedy w ogóle nieskierowanych do dystrybucji, przechowywaną w mieszkaniu Conklinga w Chelsea.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważa Maxine, jest lśniący czarny aparat podłączony do ładowarki wśród kilku gigantycznych paproci, które mogły ulec mutacji pod jego wpływem. Przyrząd cicho mruczy, mrugają na nim kolorowe diody, ma rękojeść podobną do kolby pistoletu Clinta Eastwooda i długą lufę w kształcie stożka. Przypomina zwierzę ukryte w dżungli i obserwujące Maxine.

– To naser, czyli laser zapachowy – mówi Conkling. Wyjaśnia, że aromaty można traktować jako rodzaj fal, podobnie jak światło lub dźwięk. Normalny ludzki nos odbiera wszystkie zapachy jednocześnie, w taki sam sposób jak oko rejestruje różne częstotliwości promieni świetlnych. – Naser dzieli zapachy na poszczególne sekwencje, izoluje je i nadaje im spójną postać, umożliwiając wzmocnienie konkretnych woni.

Brzmi to trochę jak przechwałki, chociaż instrument wygląda imponująco.

– Czy to broń? Czy naser może być niebezpieczny?

– Tak samo jak wążchanie czystej esencji różanej może uszkodzić mózg. Z nasarem trzeba uważać.

– Możesz go nastawić w taki sposób, by działał jak paralizator?

– Jeśli muszę go użyć, oznacza to, że popełniłem błąd. – Podchodzi do oszklonych szafek pełnych buteleczek i rozpylaczy, zawierających perfumy robione na zamówienie i te zwykłe, dostępne w sklepach. – Nie potrafiłem natychmiast zidentyfikować tego zapachu, to było nie mydło, lecz raczej środek dezynfekcyjny. Nie tytoń, ale stare niedopałki papierosów. Może trochę cywetu, nie kouros. Również nie mocz zwierzęcy. – Maxine uznaje to za gładzenie magika. Conkling otwiera drzwiczki jednej z szafek, wyjmuje duży pojemnik sprayu i lekko obwąchuje, nie naciskając guzika i trzymając rozpylacz w odległości kilkunastu cali od swojego nosa. – Świetnie, mam! To właśnie to! Zobacz.

– „9.30” – Maxine odczytuje etykietę. – „Woda kolońska dla mężczyzn”. Zaczekaj, czy chodzi o klub 9.30 w Waszyngtonie?

– Tak, choć nie mieści się już na starej F Street jak wtedy, gdy sprzedawano tę wodę, czyli gdzieś pod koniec lat osiemdziesiątych.

– Minęło sporo czasu. To chyba ostatni pojemnik w Nowym Jorku.

– Nigdy nie wiadomo. Nawet jeśli jakiegoś produktu nie ma w sprzedaży, ciągle mogą istnieć tysiące galonów tej wody w oryginalnych opakowaniach, które czekają, aż odnajdą je kolekcjonerzy zapachów, ludzie czujący nostalgię za dawnymi czasami, w tym przypadku dawne punki. Nie można również wykluczyć wariatów. Ktoś przejął firmę pierwotnego producenta i jeśli dobrze pamiętam, sprzedał licencję na 9.30.

Oznacza to, że w zasadzie pozostał nam wtórny rynek, sklepy dyskontowe, ogłoszenia w czasopiśmie, eBay.

– Czy to ważne?

– Niepokoi mnie tutaj chronologia: ten aromat jest zbyt bliski zapachowi prochu z broni palnej, by nie mieć związku z morderstwem. Jeśli policja zaangażowała do sprawy tego zwariowanego Jaya Moskowitza, na pewno już ustalił związek, co oznacza, że wiedzą o tym wszyscy pracownicy policji w Nowym Jorku, a nawet palacze w kotłowniach. Jay jest jednym z najlepszych osmologów sądowych, choć nie zawsze potrafi dochować tajemnicy.

– Czyli... facet używający tej wody kolońskiej?

– Nie można wykluczyć kobiety, która miała bliski kontakt z mężczyzną używającym tej wody. Pewnego dnia powstaną wyszukiwarki, do których będzie można wprowadzić trochę substancji zapachowej, a wtedy nikt już nigdzie nie ucieknie, nigdzie się nie ukryje, wszystko pojawi się na ekranie, nim człowiek zdąży podrapać się po głowie ze zdumienia. Tymczasem istnieje społeczność osmologów. Anegdota. Popytam.

Nadchodzi normalna chwila niezręcznego milczenia. Conkling ciągle ma erekcję, ale obawia się użyć swojego penisa, jakby zgubił instrukcję obsługi. Sama Maxine nie potrafi się zdecydować. Ma wrażenie, że dzieje się coś, o czym nikt jej nie mówi. Chwila mija i wkrótce jest z powrotem w swoim biurze. Ach, no cóż, jak zauważa na końcu filmu Scarlett O'Hara.

\* \* \*

Maxine śni, że jest sama na najwyższym piętrze Deseret, obok basenu. Pod nienaturalnie gładką taflą nieskazitelnie czystej wody, niczym refleksja na temat niespokojnej pustki przestrzeni, leży na dnie trup białego mężczyzny w garniturze, doskonale widoczny, zwrócony twarzą do góry, jakby odpoczywał po wydarzeniach rozgrywających się w przyszłym życiu, i w dziwnym półśnie kołysze się na prawo i na lewo. To Lester Traipse, a zarazem nie on. Kiedy Maxine pochyła się nad krawędzią basenu, by się lepiej przyjrzeć, trup otwiera oczy i poznaje ją. Nie musi wychodzić z wody, by coś powiedzieć, i Maxine słyszy jego głos.

– Azrael – mówi i kilka razy z naciskiem powtarza to słowo.

– Kot Gargamela? – pyta Maxine. – *W Smerfach?*

Nie, a rozczarowanie malujące się na twarzy Lestera/nie-Lestera świadczy, że oczekiwał od niej czegoś więcej. Maxine doskonale wie, że w pozabiblijnej tradycji żydowskiej Azrael to anioł śmierci. Zresztą w islamie również... Po chwili jest z powrotem w korytarzu. Strzeżony, tajemny tunel Gabriela Ice'a w Montauk. Dlaczego? Byłoby to ciekawe pytanie, ale dzięki burmistrzowi Giulianiemu, niestrudzenie ulepszającemu infrastrukturę Nowego Jorku, przed normalnymi godzinami pracy włącza się kilka młotów pneumatycznych, jakby ktoś uznał, że podatnicy nie będą mieć nic przeciwko wydatkom na godziny nadliczbowe, i sen ulega skażeniu, rozpada się i znika.

# 19

Tymczasem Heidi, która wróciła z targów Comic-Con International w San Diego, z głową ciągle pełną superbohaterów, potworów, czarowników i zombie, odwiedzili funkcjonariusze nowojorskiej policji. Znaleźli jej adres w notatniku Evana Strubela, jej dawnego narzeczonego, niedawno oskarżonego o wielokrotne przełamywanie barier elektronicznych i handel walorami giełdowymi na podstawie poufnych informacji. Pierwsza myśl Heidi: czy ciągle jestem w jego wizytowniku?

– Wasz związek miał charakter romantyczny?

– Nie romantyczny. Raczej barokowy. Wiele lat temu.

– Zanim się ożenił czy później?

– Myślałam, że jesteście z komisariatu, a nie z Lotnej Brygady do spraw Cudzołóstwa.

– Bardzo drażliwa – mruczy Zły Glina.

– Tak, i do tego wściekła! – odparowuje Heidi. – Po co to wam, eminencjo?

– Próbujemy po prostu ustalić chronologię – mówi uspokajająco Dobry Glina. – Jeśli chcesz się z nami podzielić tymi informacjami, Heidi.



– „Podzielić się”, ach, Geraldo! Myślałam, że to już wyszło z mody.

I tak dalej, rodzaj policyjnego zbijaka.

Kiedy szykują się do wyjścia, Heidi zauważa, że Zły Glina patrzy na nią dziwnie rozpromieniony.

– Ach, Heidi...

– Tak, inspektorze... – udaje, że usiłuje sobie przypomnieć jego nazwisko – ...inspektorze Nozzoli?

– Widziałaś kiedyś jakieś romantyczne filmy z lat pięćdziesiątych?

– Oglądam je od czasu do czasu na kanałach filmowych. – Heidi mimo woli trzepoce rzęsami. – Tak, ale czemu pytasz?

– W przyszłym tygodniu w Angelika Film Center jest przegląd filmów w reżyserii Douglasa Sirka i gdybyś była zainteresowana, moglibyśmy najpierw wypić kawę, a potem...

– Wybacz, zapraszasz mnie...

– Oczywiście jeśli nie jesteś mężatką.

– Och, w dzisiejszych czasach mężatkom wolno pić kawę, wpisuje się to nawet do kontraktów przedmażeńskich.

– Heidi... – Słyszac to, Maxine jak zawsze wzdycha. – Zdesperowana, niemądra Heidi, a ten detektyw Nozzoli nie jest przypadkiem żonaty?

– Jesteś najgorszym cynikiem na świecie! – woła Heidi. – To mógłby być sam George Clooney, a tobie i tak coś by się nie podobało!

– To tylko niewinne pytanie.

– Poszliśmy na *Pisane na wietrze* (1956) – ciągnie Heidi z rozmarzonym uśmiechem. – Za każdym razem, gdy na

ekranie pojawiała się Dorothy Malone, Carmine dostawał erekcji. Dużej.

– Nie mów... Penis w pojemniku na prażoną kukurydzą, jak za dawnych czasów... Coś w duchu lat pięćdziesiątych.

– Maxi, to beznadziejne. Ach, liberalna Maxi w stylu West Side, gdybyś tylko wiedziała, ile tracisz, nie zadając się z policjantami! Wierz mi, gdybyś kiedyś wypróbowała jakiegoś glinę, nigdy nie chciałabyś chodzić z nikim innym!

– Tak, ale powiedz mi, Heidi, co się stało z twoją obsesją na punkcie Arnolda Vosloo z *Mumii* i *Mumia powraca* i z wywiadami, które próbujesz zaaranżować w jego biurze...

– Zazdrość to często wszystko, co stoi między nami a smutnym, pustym życiem – odpowiada Heidi.

Maxine znajduje się w połowie teczki zawierającej jadłospisy restauracji z jedzeniem na telefon, gdy do gabinetu wsadza głowę Heidi i opowiada ostatni epizod trwającego dramatu torebek. Przeżyła kryzys tożsamości z powodu swojego dawnego modelu, Coach, który uważni obserwatorzy markowych torebek brali za wyrób azjatycki, i w tej chwili przeżywa głęboki arystokratyczny dylemat, czy na przykład kupić torebkę Longchamps i wyglądać ekskluzywnie, lecz nigdy nie móc w niej nic znaleźć, czy raczej wybrać jakąś standardową, z większą liczbą przegródek, i pogodzić się z tym, że będzie wyglądać nieco mniej modnie.

– Ale to już przeszłość. Na szczęście Carmine rozwiązał problem.

– Carmine jest... fetyszystą? Ma obsesję na punkcie torebek, Heidi?

– Nie. Ale jest bardzo troskliwy. Popatrz, co mi kupił. – Maxine ogląda niedrogą torebkę w jesiennych kolorach, z naszytym złotym sercem. – Jesień i zima, prawda? A teraz spójrz. – Heidi wsadza rękę do środka i wywraca torbę na lewą stronę, po czym okazuje się ona zupełnie inna: kolorowa, pokryta jasnym deseniem w kwiaty. – Wiosna i lato! Można ją zmieniać! Ma dwie dekoracje!

– Bardzo sprytnie pomyślane. Dwubiegunowa torba.

– I oczywiście jest to także kawałek żywej historii. – W jednym z rogów znajduje się naszywka z napisem: WYKONANE SPECJALNIE DLA CIEBIE PRZEZ MONIKĘ.

– Pierwszy raz o tym słyszę, chyba że... Och. Nie, Heidi, zaczekaj. „Monika”. Nie kupił tego w salonie Henriego Bendela?

– Tak, prosto z ciężarówki, to właśnie ona, Portly Pepperpot. Zdajesz sobie sprawę, za ile to pójdzie na eBayu za kilka lat?!

– Oryginalna torebka Moniki Lewinsky. Świetny interes, dobry gust, coś ponadczasowego. Mam nadzieję, że się nie mylę.

– Doskonale potrafisz to ocenić, Maxi, widziałaś tyle zmieniających się pór roku.

– Ale oczywiście, to rodzaj aluzji, prawda? Carmine sugeruje pewną szczególną czynność... Pozwól mi pomyśleć... O co może chodzić? Obawiam się, że mogłabyś nie być zbyt chętna, by to zrobić...

Torebka jest dość lekka, ale Heidi stara się uderzyć Maxine jak najmocniej. Przez chwilę biegają w kółko po mieszkaniu, krzycząc, po czym robią przerwę i postanawiają zamówić

kolację w restauracji Ning Xia Happy Life, której ulotki trafiają pod drzwi każdego mieszkania i domu w Nowym Jorku.

Heidi czyta jadłospis.

– Menu śniadaniowe? Co my tu mamy? Długi marsz w Syczuanie? Magiczny koktajl długowieczności goji? Przepraszam, o co tu, kurwa, chodzi?!

Dostawca okazuje się nie Chińczykiem, ale Latynosem, co sprawia, że Heidi ma jeszcze większy zamęt w głowie.

– *Seguro usted tiene el correcto apartamento?* Zamówiliśmy chińskie jedzenie. *Dostawo Chineso?*

Kiedy rozpakowują potrawy, nie mogą sobie przypomnieć zamawiania połowy z nich.

– Hej, spróbuj tego – mówi Maxine, podając Heidi podejrzenie wyglądającą zapiekankę.

– Dziwne... egzotyczny zapach... To mięso? Jakie, jak sądzisz?

Maxine udaje, że zagląda do menu.

– Nazywa się zapiekanka *benji*. Brzmi intrygująco, więc...

– Pies! – Heidi zrywa się z miejsca, podbiega do zlewu i zaczyna wypluwać to, co zjadła. – O Boże! Chińczycy jedzą psie mięso! Jak mogłaś to zamówić?! Nigdy nie widziałaś filmów?! Jesteś kompletnym dzieckiem! Aaaaach!

Maxine wzrusza ramionami.

– Chcesz, żebym ci pomogła wywołać wymioty, czy potrafisz to zrobić sama?

Pijany kalmar w dwunastu smakach jest trochę za bardzo przyprawiony. Upuszczają kawałki na swoje talerze z różnych wysokości, by się przekonać, jak wysoko podskoczą.

Energetyczna niespodzianka z zielonego jadeitu znajduje się w plastikowym pojemniku, który przypomina jadeitową szkatułkę z okresu panowania dynastii Qing.

– Ta niespodzianka to zasuszona głowa w środku – mówi nerwowo Heidi.

Okazuje się, że to głównie brokuły. Jednak wegetariańska sałatka Gangu Czworka jest pyszna, choć tajemnicza. Każdy, kto jadłby ją w restauracji Ning Xia i byłby tak impulsywny, żeby spytać o składniki, napotkałby tylko oburzone spojrzenie. Chińskie ciasteczka z wróżbami są jeszcze bardziej problematyczne.

– „Nie jest tym, czym się wydaje” – odczytuje Heidi.

– To na pewno Carmine. Ach, Heidi...

– Proszę, to wróżba, Maxi.

Maxine przełamuje swoje ciasteczko.

– „Nawet wół może się okazać brutalem”. O co tu chodzi?

– Oczywiście o Horsta.

– Nie, to mógłby być każdy.

– Horst... nigdy cię nie uderzył czy coś w tym stylu?

– Horst? To chodzący ideał. Cóż, tylko raz zaczął mnie dusić.

– Co takiego?!

– Ach, nigdy ci o tym nie opowiadałam?

– Horst naprawdę...

– Można to opisać w ten sposób, Heidi: trzymał ręce na mojej szyi i ścisnął. Jak to nazwać?

– Co się stało?

– Och, trwał mecz futbolu, trochę go to rozproszyło, Brett Favre wykonał jakąś akcję, sama nie wiem. Tak czy inaczej,

Horst rozluźnił uścisk, poszedł do lodówki i przyniósł sobie piwo. Zdaje się, że puszkę jasnego budweisera. Oczywiście dalej się kłóciliśmy.

– Rany, niewiele brakowało.

– Nie, przesada. Zawsze wierzę w dobroć dusicieli. – Maxine szybko bębni pałeczkami do ryżu w głowę Heidi.

\* \* \*

Detektyw Carmine Nozzoli, mający dostęp do federalnej bazy danych o przestępstwach, okazuje się, niechaj go Bóg błogosławi, niespodziewanie uczynny i między innymi pozwala Maxine szybko sprawdzić dossier sprzedawcy dostarczającego Tallis światłowodowy. Na pierwszy rzut oka Chazz Larday to przeciętny kanciarz z południowej części kraju, który przyjechał do Nowego Jorku, by się wzbogacić. Na początku zajmował się drobnymi oszustwami i kradzieżami w niemym tyglu stanów nad Zatoką Meksykańską, po czym wkrótce podjął działalność na szerszą skalę – jego przestępstwa kryminalne obejmowały oszustwa telemarketingowe dokonywane za pomocą faksu, sprzedaż regenerowanych tonerów do drukarek jako nowych, a ponadto przemyt automatów do gier do stanów, w których są one zakazane. Krążył bocznymi drogami na przedmieściach wielkich miast, handlując zakazanymi emiterami podczerwieni, pozwalającymi zmieniać światła uliczne z czerwonych na zielone i wykorzystywanymi przez kierowców oraz zdolnych do wszystkiego młodocianych przestępców – podejrzewano, że pracuje dla mafii z południa

Stanów, luźnej konfederacji byłych więźniów i groźnych bandytów, którzy rzadko się znają, a nawet lubią.

Carmine po prostu kręci głową.

– Rozumiem układy mafijne, wielki szacunek dla rodziny, ale ci młodzi chłopcy to szok.

– Czy Chazz siedział w więzieniu?

– Tylko kilka razy, krótko, w aresztach lokalnych, za drobne przestępstwa, żony szeryfów przynosiły mu posiłki i tak dalej. Udało mu się wykręcić od odpowiedzialności za poważniejsze sprawy. Wygląda na to, że ma odpowiednie poparcie. Wtedy i teraz.

Maxine znów musi prosić w duchu o pomoc panią Plibbler, która prowadziła zajęcia teatralne w szkole średniej, by wystąpiła w roli anioła stróża audytorów zajmujących się tropieniem oszustw, akredytowanych lub nie.

– Cześć, dzwonię z hashslingrz. Czy rozmawiam z panem Lardayem?

– Nie macie tego numeru.

– Aha... Mówi Heather z działu prawnego. Usiłuję wyjaśnić kilka szczegółów układu, jaki pan ma z naszą dyrektorką finansową, panią Ice.

– Panią Ice... – Pauza.

Po pewnym czasie tropienia oszustw człowiek uczy się odczytywać sens ciszy w telefonie. Może mieć ona różną długość i głębokość, zasięg oraz odporność na frontalne ataki. Maxine orientuje się, że Chazz zrozumiał, iż nie powinien wymieniać nazwiska Tallis Ice.

– Przepraszam, czy wszystko się zgadza? A może ma pan układ z panem Ice'em?

– Kochanie, albo zwariowałaś, albo jesteś jakąś pieprzoną blogerką prowadzącą plotkarską stronę, tak czy inaczej, powinnaś wiedzieć, że znamy numer twojego telefonu, wiemy, kim jesteś i gdzie mieszkasz. Nasi ludzie bez wahania się tobą zajmą. Miłego dnia, słyszysz? – Rozłącza się, a gdy Maxine ponownie wykręca numer, nikt nie odbiera.

Maxine nie przejmuje się groźbami Chazza, ważniejsza jest sprawa Tallis. Czy rzeczywiście nie ma nic na sumieniu? A jeśli w coś się wplątała, to jak głęboko? Czy jest niewinna, czy po prostu głupia?

Biorąc pod uwagę prawdopodobny poziom korupcji w tym środowisku, Gabriel Ice może doskonale wiedzieć o małym gniazdku kochanków w Harlemie Wschodnim, może nawet pokrywa czynsz. Co jeszcze? Czy także wykorzystuje Tallis do sekretnego transferowania funduszy na konto Darklinear Solutions? Dlaczego w takim sekrecie, na litość boską?! Zbyt wiele pytań, żadnych teorii. Maxine zauważa swoje odbicie w lustrze. Nie opadła jej szczęka ze zdziwienia, lecz niewiele brakuje. Henry Youngman mógłby to nazwać obejściem ESP.

\* \* \*

Tymczasem Vyrva wraca ze zlotu hakerów Defcon w Las Vegas. Nie jest tak opalona, jak można by się spodziewać, w istocie Maxine dostrzega w niej – jak to nazwać – rezerwę? zatroskanie? dziwność? Jakby w Las Vegas zdarzyło się coś



groźnego, co trwale oddziało na Vyrwę: może wszczepiono jej potajemnie geny istoty z innej planety, która pojawiła się na Ziemi, by w odpowiednim czasie zacząć plątać figle?

Fiona jest ciągle na obozie, pracując nad adaptacją filmu *Dźwięki muzyki* (1965). Fiona i jej grupa grają nazistów.

– Musisz za nią tęsknić.

– Jasne, że tęsknię. – Trochę za szybko.

Maxine nadaje swoim brwiom asymetryczny kształt, jakby chciała spytać, w czym rzecz.

– Zresztą dobrze, że jej nie ma, bo w tej chwili panuje kompletne szaleństwo. Wszyscy interesują się DeepArcherem, w Vegas bez przerwy się do nas zwracali, NSA, Mossad, pośrednicy pracujący dla terrorystów, Microsoft, Apple, nowe firmy, które za rok przestaną istnieć, stare pieniądze, nowe pieniądze, wszystko, co ci przyjdzie go głowy.

Maxine przychodzi do głowy pewna myśl, więc pyta:

– Przypuszczam, że również hashslingrz?

– Jasne. Justin i ja spacerowaliśmy sobie grzecznie po Caesar's Palace, jak para niewinnych turystów, aż nagle koło szwedzkiego stołu zobaczyliśmy Gabriela Ice'a z teczką pełną materiałów reklamowych.

– Ice brał udział w Defconie?

– Przyjechał na Black Hat Briefing, konferencję na temat bezpieczeństwa informatycznego, organizowaną co roku na tydzień przed Defconem. Cały hotel pełen hakerów, którzy potrafiliby się włamać nawet do żarówki, korporacyjnych specjalistów od zabezpieczeń, geniuszy od szyfrów, snifferów, spooferów, projektantów stron internetowych, programistów,

menedżerów sieci telewizyjnych, wszystkich chcących coś sprzedać.

Są w Tribeca, przypadkowe spotkanie na rogu ulicy.

– Chodź, napijemy się mrożonej kawy.

Vyrva chce spojrzeć na zegarek, ale się powstrzymuje.

– Jasne.

Znajdują lokal i dają nurka w błogosławiony chłód klimatyzacji. Dzieje się coś astrologicznego: Jowisz, planeta pieniędzy, znajduje się w znaku Ryb, symbolizującym wszystko, co śmierdzi.

– Widzisz... – Vyrva wzdycha, jakby zdarzyło się coś naprawdę okropnego. – Jest szansa, że zarobimy trochę forsy.

Ach...

– A wcześniej jej nie było?

– Czy to naprawdę ważne, kto dostanie ten cholerny stary kod źródłowy? DeepArcher nie ma sumienia, użytkownicy mogą być, kim chcą, żadnych kwestii moralnych, religijnych. Tak naprawdę chodzi tylko o pieniądze. Kto dostanie ile?

– Jednak w mojej branży – mówi łagodnie Maxine – widzę mnóstwo niewinnych ludzi robiących interesy z szatańskimi siłami. Za pieniądze posuwają się do rzeczy, do których nie są przyzwyczajeni, aż w którymś momencie wszystko spada im na głowy i toną, i czasem już nie wypływają.

Ale Vyrva jest teraz daleko, letnie ulice, cumulusy gromadzące się nad Jersey, zbliżająca się godzina szczytu, ten cały pejzaż znajdujący się wiele mil od miejsca, w którym teraz Vyrva przebywa, wędruje przez krainę DeepArchera, nie dzieląc się z nikim, historia jej kliknięć niknie jak ślady stóp

w powietrzu, jak darmowe rady, których nikt nie usłyszał, toteż Maxine przypuszcza, że to wszystko się utrzyma, czymkolwiek jest, cokolwiek znajdzie się w końcu w zestawieniu warunków.

## 20

Dzięki łaskawej (jak zawsze) pomocy detektywa Nozzoli Maxine uzyskała fotografię Erica Jeffreya Outfielda pochodzącą z jego prawa jazdy, a później, wraz z otrzymaną od Rega krótką listą miejsc, które Eric może odwiedzać, idzie w parny sierpniowy wieczór do klubu ze striptizem, o nazwie Joie de Beavre, położonego w Queens. Lokal znajduje się przy ulicy w pobliżu Long Island Expressway, a jego neonowy szyld przedstawia ucłowieczonego bobra w berecie, który uśmiecha się lubieżnie i mruga to prawym, to lewym okiem do sugestywnie wypiętej striptizerki.

– Cześć, podobno mogę tu znaleźć Stu Gotza?

– Na zapleczu.

Spodziewała się garderoby z musicalu filmowego? Zastaje niedbale zaadaptowaną damską toaletę ze ściankami działowymi między kabinami – na niektórych drzwiach, jasne, przyklejono błyszczące gwiazdy – mnóstwo dużych butelek po whisky, łażące karaluchy, zużyte chusteczki higieniczne. Nie jest to sceneria dla Vincente Minnellego.

Stu Gotz siedzi w swoim gabinecie, z papierosem w jednej ręce i papierowym kubkiem czegoś niewiadomego w drugiej.

Papieros wkrótce znajdzie się w kubku. Wypuszcza kilka kółek dymu. Wzdycha przeciągle.

– Przyszłaś na casting? Wróc we wtorek wieczorem, wtedy testujemy kandydatki.

– We wtorek urządzam przyjęcie i muszę coś ugotować.  
Lubieżne, zamyślane spojrzenie.

– Jeśli chciałabyś spróbować dzisiaj...

– Prowadzę coś w rodzaju śledztwa. Próbuję odszukać jednego z pana klientów.

– Chwileczkę, jesteś z policji?!

– Niezupełnie, zajmuję się raczej księgowością.

– Cóż, panuje u mnie rodzinna atmosfera, ale nie myśl, że znam nazwiska wszystkich gości. To znaczy znam, ale wszystkie brzmią tak samo: nieudacznik.

– No, no. Ma pan szczególną opinię o swoich klientach.

– Geeki zwolnione z pracy, które wolą (mam nadzieję, że się nie zgorszysz) trzepać konia przed monitorem, niż robić coś w realnym świecie? Przepraszam, ale nie potrafię im współczuć. Proszę, idź tam, przekonaj się na własne oczy, wybierz sobie kostium. Masz dwójkę, tak? Nie martw się, coś tam znajdziesz.

Maxine miała dwójkę w czasach, gdy dwójka była rzeczywiście dwójką – obecnie zmieniono jej definicję w celach handlowych i może oznaczać nawet dawną szesnastkę albo więcej. Trzeba Maxine zapisać na plus, że nie dziękuje za komplement, lecz wzrusza ramionami i zaczyna przeglądać zawartość odrapanej szafy stojącej pod ścianą, wypełnionej strojami będącymi czyimś wyobrażeniem o seksownych

damskich ubiorach. Część ma wybitnie subkulturowy charakter – kostiumy zakonnic, uczennic, wojowniczych księżniczek. Do tego buty na wysokich obcasach, kolejne pary coraz bardziej, powiedzmy, sugestywne, względnie tanie, mniej więcej na poziomie butów Payless. Na widok takich butów specjaliści od pedicure’u zaczynają marzyć o ferrari i prywatnych lekcjach golfa u Tigera Woodsa.

Maxine wybiera neonowoniebieskie buty na koturnach, a do tego obcisły trykot wyszywany cekinami i samonośne pończochy. Powinno się nadawać, chociaż...

– Hm, panie Gotz?

– Wyprane chemicznie i zdezynfekowane, kochana, masz moją osobistą gwarancję.

Maxine mimo wszystko nie jest przekonana i zostaje w rajstopach. Wkłada kuszący obcisły strój, głęboko oddycha kilka razy i przechodzi przez zasłonę z fałszywych kryształów Swarovskiego do pogrążonej w półmroku głównej sali Joie de Beavre, klimatyzowanej i ogłuszająco głośnej. Przy barze siedzi kilka dziewcząt, które masują sobie cipki i gapią się tępo w przestrzeń. Wygląda na to, że jedna rura jest wolna, i Maxine rusza w jej stronę, ponieważ, co dziwne, zna kilka figur. Od czasu do czasu ćwiczy na rurze w sali gimnastycznej w rejonie 14th Street, w nowoczesnej dzielnicy, gdzie taniec na rurze jest uważany za coś normalnego, gdy tymczasem na Upper West Side wielu ludzi – na przykład Heidi – ciągle sądzi, że to kompromitacja.

– Biedna, odrzucona Maxi, dlaczego nie kupisz sobie wibratora? Słyszałam, że na rynku jest kilka modeli, które

mogłyby zadowolić nawet ciebie.

– Subiektywna, konwencjonalna Heidi, dlaczego nie przyjdiesz któregoś wieczoru do sali gimnastycznej, by spróbować zatańczyć na rurze? Może uda ci się odkryć w sobie radosną dziewczynę?

Maxine zamierza udawać tancerkę i obserwować twarze gości z nadzieją, że zidentyfikuje Erica na podstawie fotografii z prawa jazdy. Reg twierdzi, że udział Erica w różnych tajemniczych spiskach – jakieś sprawy geeków – sprawił, iż zgolił on wąsy, lecz na razie ma ten sam kolor włosów.

Ostentacyjnie wyjmuje z torebki paczkę chusteczek Handi Wipes i powoli, z dokładnością dobrej gospodyni, dezynfekuje rurę, pieszcząc ją delikatnie i zerkając niby to skromnie w stronę baru. We fluorescencyjnym świetle o barwie indygo skóra dziewcząt wydaje się blada, jakby na stałe przebarwiona przez promienie katodowe.

Stu Gotz albo ktoś inny uprzejmie nastawił składankę przeznaczoną na wieczory z udziałem dojrzałych, seksownych kobiet, w większości klasyczne disco, a do tego pojedyncze utwory U2, Guns N' Roses, Journey. Wszystko zgodne z oczekiwaniami gości, za bardzo w stylu Moby'ego jak na gust Maxine, poza *That's When I Reach for My Revolver*.

Maxine nigdy nie miała Dużych Piersi, choć miejscowym koneserom najwyraźniej wcale to nie przeszkadza, dopóki są to Gołe Piersi. Gapią się na wszystkie części ciała tancerek z wyjątkiem oczu. Maxine po raz pierwszy usłyszała o takim Męskim Spojrzeniu w szkole średniej i wie, że nigdy nie spotyka się ono ze swoim żeńskim odpowiednikiem.

W trakcie rutynowego tańca, wykonując łatwe i trudne figury, okrążając rurę, kręcąc się wokół niej i wisząc na nogach, zauważa mężczyznę siedzącego na skraju baru. Pije on przez kolorową słomkę coś, co później okaże się koktajlem złożonym z likieru Jägermeister i wódki 151 – pochłania ogromne ilości tego trunku z wielkiego pojemnika, który ze sobą przyniósł, i nie widać po nim żadnych oznak zatrucia alkoholem, co może oznaczać bądź niezwykłą odporność, bądź kompletną rozpacz. Maxine zbliża się, by go lepiej zobaczyć, i rzeczywiście, to on, Eric Jeffrey Outfield, übergeek, wyglądający dokładnie tak samo jak na fotografii w dokumentach tożsamości, choć zgolił wąsy i ma nową kępkę włosów pod dolną wargą. Jest w bojówkach z wzorem maskującym, którego barwy dostosowano do jakiejś bardzo odległej strefy działań wojennych, może leżącej na innej planecie, oraz w T-shircie z napisem: <P> PRAWDZIWE GEEKI UŻYWAJĄ WIERSZA POLECENIA </P>, wykonanym czcionką Helvetica. Poza tym ma pas Batmana, przypominający bransoletkę z dziesiątkiem breloczków: wiszą na nim piloty od stereo i telewizora, pojemnik sprayu do włosów, wskaźnik laserowy, pager, otwieracz do butelek, kombinerki, woltomierz i szkło powiększające. Wszystkie akcesoria są tak maleńkie, że można się dziwić, jak spełniają swoje funkcje.

W tej samej chwili z głośników zaczyna płynąć *Canned Heat* Jamiroquai. Maxine nigdy nie była w stanie się oprzeć basom tego utworu i wpada w stan postdyskotekowego odurzenia – na pewien czas zapomina, po co tu przyszła, i pogrąża się w tańcu. Kiedy rozlega się *Cosmic Girl*, kuca na barze przed Erikiem, który wydaje się najbardziej zafascynowany jej



jasnoniebieskimi lśniącymi butami. Maxine siedzi na barze aż do końca piosenki, gdy dziewczyny przestają tańczyć, po czym siada na stolku barowym obok Erica.

– Skończyły mi się studolarówki – mówi Eric.

– Kochany, to NASDAQ blues, wszyscy dostaliśmy po głowie, nie jest przyjemnie, ale może mógłbyś wyświadczyć mi przysługę. Jestem tu nowa, a ty wyglądasz co najmniej na faceta, który dość często pojawia się w tym lokalu. Jest tu jakaś sala, gdzie goście kupują dziewczynom szampana?

– Skończyły mi się również dwudziestodolarówki.

– Bez zobowiązań.

– Zaraz powiesz: „Chwileczkę!”. – Eric przez chwilę spogląda ironicznie na swój koktajl, jakby szukał odpowiedzi na osobiste pytanie, które wynurzyło się na jednej ze ścianek dwunastościanu, po czym powoli, ostrożnie wstaje z miejsca. – Idę do toalety, chodź, to po drodze.

Prowadzi Maxine na tyły lokalu, potem schodami w dół. Światła stają się coraz bardziej czerwone. Z dołu słychać romantyczne utwory skrzypcowe. Maxine myślała, że kompletnie wyszły z mody w latach siedemdziesiątych; teraz wydają się równie mało zachęcające jak wtedy.

– Będę tutaj, jeśli zechcesz pogadać. Bez żadnej kasy, obiecuję.

Sala, gdzie klienci kupują dziewczynom szampana, jest niewielka, kojarzy się z filmem *Dziewczyna gangstera*. Na ścianach zamontowano wielkie ekrany, niektóre pokazują tylko biały szum; na innych filmy porno, stare klisze Kodachrome. Przy stolikach siedzą samotnie dziewczyny i palą papierosy.

Inne siedzą okrakiem na klientach w poplamionym welurowym półmroku „prywatnych kabin” z tyłu. Maxine zauważa miniaturowy bar z kilkoma półkami, na których stoją trunki o nieznanym jej nazwach.

– Jesteś nowa – zauważa barman o lalkowatej twarzy, mówiący wesołym tonem, który kontrastuje z ponurymi wargami. – Witaj w raju geeków. Dostaniesz jedno mojito na koszt firmy, a potem musisz radzić sobie sama.

– Będę absolutnie szczerą – mówi Maxine. – Jestem amatorką, myślałam, że dziś jest wieczór dla dojrzałych kobiet, chyba się pomyliłam.

– Przyprowadziłaś klienta?

– Po prostu siostrzeńca sąsiadki, poprosiła mnie, bym miała na niego oko. Miły dzieciak, może za dużo siedzi w internecie.

W tej samej chwili Eric wystawia głowę przez kotarę z koralików.

– O nie, nie ten gość, aha, już go stąd wyrzucono, hej, świrze, mam znowu zawołać Porfiria, żeby pokazał ci drzwi?

– W porządku. – Maxine uśmiecha się, wzrusza ramionami i wychodzi. – Nic się nie stało.

– Dupki... – mruczy Eric. – Lubię stopy, nic na to nie poradzę.

– Gdzie mieszkasz? Odwiozę cię.

– Na Manhattanie, w centrum.

– Chodź, złapię taksówkę. Pozwól mi się tylko przebrać.

– Zaczekam na zewnątrz.

– Miłośnik stóp? – pyta Stu Gotz, gdy Maxine przebiera się w strój dozwolony na ulicy. – Miłe towarzystwo.

– Och, to po prostu biznes.

– Aha, właśnie... Z prawdziwą przyjemnością proponujemy ci umowę na jeden miesiąc, pod warunkiem że weźmiesz udział w naszych wstępnych warsztatach psychologicznych, gdzie zapoznasz się z wieloma typami technoidiotów i osobników nieprzystosowanych społecznie, którzy są, niestety, główną częścią naszej klienteli.

Maxine bierze wizytówkę Stu Gotza, która może się kiedyś przydać, choć na razie jeszcze nie wiadomo, w jaki sposób.

\* \* \*

Eric mieszka na Lower East Side, w kawalerce na czwartym piętrze budynku bez windy. W jednym rogu znajduje się łazienka bez drzwi, a w drugim mikrofalówka, ekspres do kawy i miniaturowy zlew. Dokoła walają się kartony po alkoholu wypełnione dobytkiem osobistym, a na podłodze leżą brudne ubrania. Pojemniki po chińskim jedzeniu, pudełka po pizzy, puste butelki smirnoffa ice, stare egzemplarze „Heavy Metal”, „Maxima” i „Anal Teen Nymphos Quarterly”, katalogi damskich butów, dyski SDK, kontrolery gier i kartridże do Wolfensteina i DOOM-a. W kilku miejscach na suficie łuszczy się farba, a okna są zarośnięte brudem. W bucie sportowym, którego używa jako popielniczki, Eric znajduje niedopałek nieco dłuższy od innych, zapala go, podchodzi do ekspresu i nalewa wystygłą ciecz do kwadratowego kubka z napisem: CSS JEST SUPER.

– Och, chcesz trochę kawy?

Zapalają jointa. Eric siada wygodnie na podłodze.

– A co ze stopami? – pyta Maxine, mając nadzieję, że mówi zdecydowanym tonem.

– Po prostu zdejmij buty. Nie martw się, nie musisz stawać na podłodze, możesz oprzeć stopy na mnie.

– Też mi to przyszło do głowy.

Już od dawna, od wieków, nikt nie interesował się Maxine w taki sposób. Na chwilę ogarnia ją panika i zastanawia się, czy zwariowała, że na to pozwala. Eric uśmiecha się telepatycznie, spogląda na Maxine i kiwa głową.

– Tak, zwariowałaś.

Jej stopy leżą przez cały czas na jego kolanach i nie może nie zauważyć, że Eric ma, cóż, erekcję. Coś wynurza się z jego spodni i zaczyna się poruszać tam i z powrotem między jej nogami... Nie zdarza się jej to często, co wyjaśnia, dlaczego bardzo ostrożnie pieści stopami podniecony organ. Palce u nóg Maxine zawsze były chwytne, potrafiła podnosić nimi skarpetki, klucze, drobne monety. Podeszwy (czy to wpływ cannabis?) stają się nagle bardzo wrażliwe na dotyk, szczególnie wewnętrzne strony pięt, które według refleksologów mają bezpośrednie połączenie z macicą... Umieszcza polakierowane paznokcie jednej stopy pod jądrami, a drugą zaczyna masować penis, po chwili zmienia nogi, by zobaczyć, co się stanie, oczywiście tylko z ciekawości...

– Eric, co to takiego, miałeś wytrysk na moje stopy?

– Hm, niezupełnie „na stopy”, bo założyłem prezerwatywę.

– Boisz się grzybicy?

– Nie obrażaj się, po prostu lubię prezerwatywy, czasami zakładam je dla przyjemności, wiesz...

– Okay... – Maxine zerka szybko na fiuta Erica, po czym na moment robi jej się niedobrze. – Przepraszam, czy to jakaś ohydna choroba skórna?

– To? Nie, to po prostu designerska prezerwatywa, zdaje się Trojan w stylu abstrakcyjno-ekspresjonistycznym. Popatrz. – Zdejmuje ją i macha.

– Nie trzeba, nie trzeba.

– Podobało ci się? – Cóż, kochana. Co o tym sądzisz? Podobało ci się? Maxine przekrzywia głowę i uśmiecha się, ma nadzieję, że nie w stylu sitcomu. – Nie robisz tego często.

– Niezbyt często, jak zawsze mawia Oliver Warbucks... – Eric patrzy przymilnie jak nastolatek na randce. Maxine, nie bądź przez całe życie idiotką. – Posłuchaj, Eric. Bądźmy absolutnie szczerzy, okay? – Opowiada o swoim układzie z Regiem.

– Co takiego? Specjalnie przyszedł do tego klubu ze striptizem, by mnie szukać? Hej, Reg, dziękuję, kolego! Co on robi, sprawdza mnie?

– Spokojnie, wyobraź sobie, że jestem twoją normalną wersją, rozumiesz, co chcę powiedzieć? To ty jesteś wyrzutkiem, szukasz przygód w ukrytej sieci. Które z nas lepiej się bawi, jak sądzisz?

– Jasne. – Obrzuca ją szybkim spojrzeniem. Gdyby go nie obserwowała, w ogóle by tego nie zauważyła. – Myślisz, że to zabawa, może kiedyś cię tam zabiorę. Pokażę różne rzeczy.

– W porządku, jesteśmy umówieni.

– Naprawdę?

– To może być romantyczna przygoda.

– Najczęściej to po prostu banał, foldery, które trzeba znaleźć i samodzielnie przeszukać, bo nie może tego zrobić żaden robot, nie istnieją żadne linki. Od czasu do czasu robi się dziwnie, pojawiają się rzeczy, które próbują ukryć hashslingrz. Albo witryny z mnóstwem martwych linków, zdechłe, wszyscy mają je w dupie... Panuje przekonanie, że ukryta sieć to przede wszystkim stare witryny i martwe linki, ogromny śmietnik. Podobnie jak w filmie *Mumia* (1999) pewnego dnia pojawią się tu poszukiwacze przygód, by odnaleźć skarby dawnych, egzotycznych dynastii. Ale – ciągnie Eric – to tylko pozory. W głębi istnieje niewidzialny labirynt barier, starannie przygotowany, pozwalający dotrzeć do pewnych miejsc, blokujący dostęp do innych. Trzeba się nauczyć postępować zgodnie z ukrytymi zasadami. Śmietnik, ale mający konkretną strukturę.

– Eric... mówiłeś, że jest tam coś, do czego mogłabym chcieć się włamać...

– Aaaach. Myślałem, że mnie kochasz z powodu mojego profilu psychoseksualnego. Powinienem się domyślić. Historia mojego życia...

– Tss, nie, nie o to chodzi! Witryna, o której myślę, może nawet nie istnieć. Jedna ze starych stron z okresu zimnej wojny, może jakaś zwariowana fantastyka, podróże w czasie, kontrola umysłów...

– Jak na razie super.

– Może być głęboko zaszyfrowana. Gdybym chciała wejść, potrzebowałabym alfanumerycznego geniusza od szyfrów.

– Jasne, to mógłbym być ja, ale...

– Hej, wynajmę cię, prowadzę legalny biznes, Reg może zaświadczyć.

– Jasne, że zaświadczy, to on nas poznał. Powinien ode mnie zażądać znaleźnego. – Eric bierze jeden z butów Maxine i trzyma go w sposób, który wydaje się celowy.

– Nie masz zamiaru...

– Nie mam, ale jeśli musisz tu, jak rozumiem, wrócić, pozwól mi go włożyć.

– Te pantofle są trochę zbyt codzienne, nie sądzisz? Wyglądasz na kogoś, kto lubi buty od Manola Blahnika.

– Tak naprawdę wolę pięciocalowe szpilki Christiana Louboutina, znasz je?

– Chyba widziałam gdzieś na wyprzedazy.

– Mogą być z wyprzedazy, nie ma problemu.

– Następnym razem, może...

– Obiecujesz?

– Nie?

Kiedy Maxine wraca do domu, dzwoni telefon. Sprawdza sekretarkę. Kilka wcześniejszych wiadomości, wszystkie od Heidi.

Sprowadzają się do pytania, gdzie Maxine się podziewała.

– Surfowałam w sieci. Coś ważnego, Heidi?

– Och, po prostu jestem ciekawa... Co to za nowy facet?

– Facet...?

– Któregoś dnia widziano was w restauracji chińsko-dominikańskiej. Podobno patrzyliście tylko na siebie, bardzo intensywnie.

– To gość z FBI, Heidi. – Maxine chyba nie powinna mówić tak szybko. – Pracowałam... Księguję to jako wydatki reprezentacyjne.

– Wszystko księgujesz jako wydatki reprezentacyjne: odświeżacze oddechu, jednorazowe parasolki. Ani ja, ani Carmine nie rozumiemy, dlaczego bez przerwy prosisz nas o pomoc w dostaniu się do bazy danych National Crime Information Center, skoro się spotykasz z jakimś Eliotem Nessem.

– Ach, przypomniałaś mi, że...

– Co, znowu? Carmine nie żałuje, że ci pomaga, wręcz przeciwnie, ale zastanawia się, czy mogłabyś mu się zrewanżować za część przysług, które ci wyświadcza.

– W jaki sposób?

– Cóż, na przykład w związku ze sprawą trupa w Deseret i tego mafiosa, z którym jednocześnie umawiasz się na randki?

– Rocky’ego Słagiatta? Stał się nagle podejrzany? Co masz na myśli, mówiąc „randki”?

– Oczywiście przyjmujemy, że ty i pan Słagiatt jesteście... – W głosie Heidi słychać charakterystyczny krzywy uśmiezek.

Maxine przez chwilę wykonuje jedno z ćwiczeń wizualizacyjnych Shawna: jej beretta, znajdująca się w zasięgu ręki, zmienia się w kolorowego kalifornijskiego motyla, który, podobnie jak Mothra, ma nieść ludziom pokój.



– Rocky Słagiatt pomaga mi w śledztwie w sprawie defraudacji, najważniejsze jest wzajemne zaufanie i wątpię, czy donoszenie na niego do władz by je wzmocniło, jak sądzisz, Heidi?

– Carmine chce tylko wiedzieć – Heidi jest bezlitosna – czy pan Słagiatt kiedykolwiek wspomniał o swoim kliencie, nieżyjącym Lesterze Traipsie.

– Rozmawiać o klientach? Nie robimy tego, przykro mi.

– Doskonale rozumiem, że to psuje nastrój, ale skoro znajdujesz czas dla jakiegoś waszyngtońskiego biurokraty...

– Może jest bardziej interesujący, niż myślisz...

– Interesujący, ach... – „Ach” Heidi to irytujące staccato. – A Hitler świetnie tańczył, miał fantastyczne poczucie humoru, nie mogę w to uwierzyć, do cholery, oglądamy te same filmy na kanale Lifetime, tacy ludzie zawsze się okazują socjopatycznymi draniami, ciupciają recepcjonistkę, podkradają dzieciom pieniądze na lunch, powoli trują niewinną pannę młodą sprayem na karaluchy, którym spryskują zupę mleczną podawaną na śniadanie...

– Owsiankowy zabójca, tak? – Niewinny ton.

– Po prostu dlatego, że załatwiłam ci kiedyś reklamę o gliniarzach? Uwierzyłaś?

– To nie gliniarz. Nie jesteśmy nowożeńcami. Pamiętasz? Heidi, uspokój się, na litość boską!

# 21

Pewnego wieczoru, po dniu wędrówki po ogromnym zagłębieniu sklepów w SoHo, Chinatown i Tribeca, Maxine i Heidi docierają na East Village. Szukają baru, w którym powinna śpiewać Driscoll wraz z idiotyczną grupą nerdów o nazwie Pringle Chip Equation, ale gdy idą przez wilgotny zmierzch, docierają do nich fale zapachu. Z tej odległości jeszcze nie jest intensywny, lecz odznacza się niezwykle wyrazistą czystością. W tym samym momencie ulicą nadbiega grupa ludzi, którzy krzyczą z przerażenia, dramatycznie trzymając się za nosy, a czasem za głowy.

– Wszystko jak w filmie – mówi Heidi. – Co to za zapach?

Okazuje się, że to Conkling Speedwell, chowający swojego nasera, który wygląda, jakby został dziś wieczorem użyty. Kolorowe diody pokrywające dozownik mrugają wojowniczo. Conklingowi towarzyszy niewielki oddział prywatnych ochroniarzy w efektownych kombinezonach – mają naramienniki w kształcie butelki perfum Chanel N° 5. Na korku znajduje się napis: ARMIA AROMATU, a na etykiecie logo w kształcie dwóch liter C z glockami po bokach.

– Akcja pod przykrywką – wyjaśnia Conkling. – Ciężarówka podróbek z Łotwy, mieliśmy ją kupić, ale zrobił się smród. –

Kiwa głową w stronę trzech żalonych minimafiosów z Pārdaugavy. – Nic im nie będzie, po prostu szok aldehydowy. Trafiłem ich głównym płatem, zmaksymalizowałem przedwojenne piżmo azotanowe i esencję jaśminową, jasne?

– Każdy zrobiłby to samo. – Skoro już mowa o chemii, co, przepraszam, robią tu nagle Heidi i Conkling?

– Powiedzmy... Czy używasz perfum Poison? – Nos Conklinga zaczyna powoli pulsować i lśnić w mdłym świetle.

– Skąd wiesz? – Maxine trzepoce powiekami. To irytujące, zwłaszcza że kwestia perfum Poison już od dawna jest przyczyną sprzeczek z Heidi. Ma ona zwyczaj korzystać z wind, gdy jest uperfumowana Poison. W całym Nowym Jorku, niekiedy wiele lat później, w windach czuć zapach Heidi, nawet jeśli przebywała tam tylko przez chwilę; niektóre wymagają nawet przeprowadzenia specjalnej detoksykacji w firmach zajmujących się usuwaniem skażeń wind. – Powinieneś przestać się o to obwiniać, to ty byłeś ofiarą...

– Należało zamknąć jej drzwi przed nosem i uciec na dach...

Tymczasem nadjeżdża policja, ekipa pirotechników, kilka karet pogotowia i brygada antyterrorystyczna.

– Ależ jasne, to na pewno ten dzieciak...

– Co cię tu sprowadza, Moskowitz?

– Plotkowałem z kilkoma chłopakami, jedząc pączki w Krispy Kreme, i przypadkiem złapałem to skanerem... Ach, ta rura z błyskającymi światełkami... Czy to właśnie osławiony naser?

– Och... To?! Nie, nie, to tylko zabawka dla dzieci, posłuchaj.

– Naciska guzik maskujący, aktywując syntezy dźwięków,

który zaczyna wygrywać melodię z albumu *Baby Beluga*.

– Ślicznie, za jakiego idiotę mnie bierzesz, Conkling?

– Uczonego, jak się domyślam, ale tymczasem popatrz, Jay: tam stoi cała ciężarówka perfum Chanel N° 5, która może się zgubić po drodze do magazynu, jeśli nikt jej nie będzie pilnował.

– Ach, to ulubione perfumy mojej drogiej żony.

– Cóż, w takim razie...

– Conkling – Maxine chętnie zostałyby i pogawędziła – znasz przypadkiem bar o nazwie Vodkascript gdzieś w tej okolicy? Szukamy go.

– Minąłem go, to dwie przecznice w tamtą stronę.

– Byłoby fajnie, gdybyś się do nas przyłączył. – Heidi zмага się z nadmiarem entuzjazmu.

– Nie wiem, jak długo tu będziemy.

– Ach, daj spokój – mówi Heidi.

Ma na sobie dzinsy oraz bliźniak w dziwnym pastelowym, pomarańczowomandarynkowym kolorze. Mimo to, a może właśnie dlatego, Conkling jest oczarowany.

– Chłopcy, skończymy papierkową robotę na 57th Street, okay? – mówi.

W Vodkascript sala jest pełna trustafarian, cybergotów, bezrobotnych koderów, poszukujących wrażeń mieszkańców przedmieść. Wszyscy tłoczą się w maleńkim, lokalnym barze, bez klimatyzacji, ale za to z wieloma wzmacniaczami, słuchając gry zespołu Pringle Chip Equation. Członkowie zespołu noszą okulary w stylu nerdów i są spoceni, jak wszyscy goście obecni w sali. Gitarzysta gra na Epiphone Les Paul Custom,

a keyboardzista na Korgu DW-8000; jest również muzyk grający na kilku instrumentach dętych oraz perkusista z wieloma tropikalnymi bębnami różnych rodzajów. Od czasu do czasu Driscoll Padgett śpiewa partie wokalne. Maxine nigdy nie przypuszczała, że Driscoll może włożyć małą czarną, ale w tej chwili widzi najnowszą wersję. Włosy zrobione na pazia, których na pewno nie układali Morris i Murray, miła, kanciasta buzia młodziutkiej modelki, delikatny makijaż, zdecydowany podbródek, jakby Driscoll zaczynała traktować życie poważnie. Maxine nie może się powstrzymać od myśli, że oto twarz, która zyskała indywidualność...

*Remember the Alley  
each day was a party, and  
we were the new kids in town  
geeks on a joyride,  
all rowdy and red-eyed,  
and too high, to ever come down...*

*South of the DoubleClick  
welcome sign, hard to find  
much status quo in the house,  
techies just chillin there  
morphing to millionaires  
all at the wave of ta mouse...*

[Przejście]

*Was it real?  
was it  
anything more than a  
dream through a lunch break, a  
prayer on the fly,  
Could we feel...  
off the edge of the screen, somethin*

*meatspace and mean, that was passing us by...*

*When all of those high times  
and lowlives and good news  
And bad moves have drifted away,  
these streets are still thronging  
With hustling and longing  
just like they were  
back in the day...  
I'm in a new place now,  
the rent's high, the dates lie,  
The town's not as cozy as then,  
Call me, keep try'n me,  
Maybe you'll find me,  
Maybe you'll find me,  
Again...*

*(Pamiętasz Aleję  
każdy dzień był imprezą, a my,  
nowe dzieciaki w mieście,  
geeki pędzące skradzionym autem,  
hałaśliwe, z czerwonymi oczami,  
lecieliśmy za wysoko, by kiedykolwiek wylądować...*

*Na południe od powitalnego billboardu  
firmy DoubleClick, trudno w tym domu znaleźć  
dużo status quo, po prostu  
pracujący technicy przetwarzają  
na ekranach obrazy dla milionerów  
na jedno skinienie myszy...*

*[Przejsście]*

*Czy to się działo naprawdę?*

*Czy to był*

*tylko sen*

*podczas przerwy na lunch,*

*modlitwa w biegu,*

*Czy czuliśmy*

*poza granicą ekranu coś  
realnego, brutalnego,  
co nas omijało...*

*Kiedy wspaniałe czasy się skończyły,  
a razem z nimi brudne zaułki,  
dobre nowiny i złe posunięcia,  
na tych ulicach wciąż krążą  
tłumy ludzi pełnych tęsknoty,  
podobnie jak kiedyś,  
za dawnych dni...*

*Mieszkam teraz gdzie indziej,  
czynsz jest wysoki, a faceci kłamią,  
Miasto nie jest przytulne jak dawniej,  
Zadzwoń do mnie, wypróbuj mnie,  
Może mnie znajdziesz,  
Może mnie znajdziesz  
Znowu...)*

Po występie Driscoll macha ręką i podchodzi.

– Driscoll, to Heidi, a to Conkling.

– Och, jasne, facet z obsesją na punkcie Hitlera. – Szybkie zerknięcie na Maxine. – Jak postępy badań?

– Hitlera... – Heidi gwałtownie trzepoce powiekami, aż spadają z nich drobinki mascary, reaguje, jakby Hitler był gwiazdą muzyki pop, którą oboje uwielbiają.

Kurwa mać! – klnie w duchu Maxine, która dopiero niedawno dowiedziała się o wieloletniej obsesji Conklinga. Dotyczy ona nie samego Hitlera, ale problemu, jak naprawdę pachniał.

– Na pewno jak wegetarianin, jak osoba niepaląca, ale na przykład... Jakiej wody kolońskiej używał?

– Zawsze sądziłam, że 4711. – Heidi mówi nieco szybciej, niż zrobiłaby to normalna osoba.

Conkling natychmiast nieruchomieje. Takie obrazy widuje się w starszych kreskówkach Disneya.

– Ja także! W jaki sposób...

– Po prostu domysł na chybił trafił. Prezydent Kennedy też używał 4711. Uwzględniając wszelkie różnice, obaj byli ludźmi o podobnej charyzmie, prawda?

– Dokładnie tak, a młody John Kennedy mógł pożyczać wodę kolońską ojca: w literaturze przedmiotu często wspomina się o przechodzeniu zapachów z ojca na syna. Wiemy również, że ojciec Kennedy’ego podziwiał Hitlera, może nawet do tego stopnia, by chcieć pachnieć tak samo jak on. Poza tym U-Booty admirała Dönitza były nieustannie spryskiwane wodą kolońską 4711, na każdy rejs zabierano całe beczki, a Hitler osobiście wyznaczył Dönitza na swojego następcę...

– To nie znaczy, że Hitler był miłośnikiem U-Bootów, Conkling – mówi łagodnie Maxine, nie po raz pierwszy. – Pod koniec wojny Hitler nie ufał nikomu innemu. Czy rzeczywiście rozumiesz logicznie?

Na początku, przyjmując, że Conkling po prostu głośno myśli, Maxine była skłonna tolerować jego dywagacje. Ale wkrótce zaczęła odczuwać lekkie zaniepokojenie: pod maską normalnej ciekawości dostrzegła wąskie spojrzenie fanatyka. W którymś momencie Conkling pokazał Maxine „prasową fotografię z epoki”, na której Dönitz wręcza Hitlerowi gigantyczną butelkę 4711 z wyraźnie widoczną etykietą.



– No, no! – powiedziała, nie chcąc denerwować Conklinga. – To wygląda jak lokowanie produktu, prawda? Mogłabym zrobić kserokopię? – Było to tylko przeczucie, ale chciała pokazać fotografię Driscoll.

Driscoll natychmiast zaczęła przewracać oczami.

– Fotomontaż. Popatrz. – Uruchomiła komputer, weszła na kilka stron internetowych, wpisała do wyszukiwarki parę słów, aż w końcu na ekranie ukazała się fotografia z lipca 1942 roku przedstawiająca Dönitza i Hitlera, identyczna jak ta Conklinga, lecz tym razem dwaj mężczyźni tylko ściskali sobie ręce. – Dönitz ma wyprostowane ramię, wystarczy je przesunąć o kilka stopni, znaleźć zdjęcie butelki, zmniejszyć do odpowiedniej wielkości i umieścić w dłoni admirała. Hitlera nie trzeba zmieniać, wygląda, jakby sięgał po butelkę, widzisz? Wszystko zrobiono w Photoshopie.

– Myślisz, że jest sens mówić o tym Conklingowi?

– Zależy, skąd wziął to zdjęcie i ile za nie zapłacił.

Kiedy Maxine odważnie spytała, Conkling zrobił zawstydzoną minę.

– Na giełdzie kolekcjonerskiej... w New Jersey... jest tam zawsze dużo nazistowskich pamiątek... Nie pamiętam ceny. Prawdopodobnie przepłaciłem, onieśmielił mnie sprzedawca, nie dlatego, że był potężnie zbudowany albo niegrzeczny, chodzi o to, że tak bardzo przypominał...

– Hitlera, aha... A jakiej wody kolońskiej używał, Conkling?

– Posłuchaj, może istnieje wiarygodne wyjaśnienie, to mimo wszystko może być oryginalne nazistowskie zdjęcie

propagandowe, prawda? Mogli sami je sfałszować, by zrobić plakat, albo...

– Powinieneś iść z tym do eksperta... Och, Conkling, dzwoni drugi telefon, muszę go odebrać.

Od tego czasu Maxine stara się rozmawiać z Conklingiem tylko o sprawach zawodowych. Niekiedy Conkling potrafi mówić o Hitlerze w miarę normalnie, co sprawia, że Maxine jest jeszcze bardziej zdenerwowana. Od wielu lat krąży po kampusie nowojorskiego Uniwersytetu Oszustwa i wie, że tacy ludzie jak ten superosmolog, posiadający niezwykle talenty, mogą się okazać wariatami.

Heidi oczywiście uważa to za zabawne. Kiedy Conkling wymyka się do toalety, pochyla się w stronę Maxine, aż ich głowy prawie się dotykają, i mruczy:

– Myślisz, że coś z tego wynika, Maxine?

– Masz na myśli sytuację jak w *Bird Dog* Everly Brothers? – pyta Maxine, przyjmując rolę lojalnej podwładnej. – Cóż, jeśli dobrze wiem, Conkling jest w tej chwili wolny. Zdaje się, że ty kłusujesz tylko wśród żonatych mężczyzn, prawda, Heidi?

– Aach! Nawet nie wiesz...

– A Carmine, namiętny Włoch, na pewno jest zazdrosny? Walka nasera z glockiem w samo południe?

– Carmine i ja jesteśmy szalenie szczęśliwi, nie, myślę tylko o tobie, Maxine, swojej najlepszej przyjaciółce, nie chcę ci wchodzić w drogę...

W tym momencie wraca Conkling i odczyty wskaźnika sacharyny spadają do mniej alarmującego poziomu.

– Fascynująca toaleta. Nie tak skomplikowana jak ta w Welcome to the Johnsons, ale mnóstwo starych i nowych historii.

\* \* \*

Telefon od Axela w biurze podatkowym, najnowsze wiadomości na temat Vipa Epperdew, wygląda na to, że uciekł i stracił wpłaconą kaucję.

– Jego młodzi przyjaciele również zniknęli. Może podążyli w innym kierunku, a może wszyscy są ciągle razem.

– Chcesz, żebym go zaczęła szukać?

– Po co? To już nie nasz problem. Muffins and Unicorns jest w stanie likwidacji, wszystkie rachunki Vipa zamrożono, trwają negocjacje z urzędem podatkowym, żona wniosła pozew o rozwód i ma wkrótce otrzymać zezwolenie na sprzedaż nieruchomości, czyli ogólny happy end. Przepraszam, muszę znaleźć chusteczkę higieniczną.

Maxine, która traktuje sprawę Wujka Dizzy’ego niczym ćwiczenie w kontrolowaniu złości, spędza godzinę lub dwie nad kserokopiami pokwitowań i dzienników. Kiedy robi przerwę, okazuje się, że Conkling przegląda stare numery czasopisma „Fraud”.

– Wydawałaś się bardzo zajęta. Nie chciałem przeszkadzać. Mam trochę nowych wiadomości o zapachu 9:30. Konsultowałem się z jedną ze swoich koleżanek, znamy się jeszcze z czasów International Flavours and Fragrances. Jest prosmologiem; potrafi wyczuć rzeczy, które dopiero się

wydarzą. Czasami zapach może działać jak wyzwalacz. W tym przypadku bardziej jak detonator: powąchała jedną z próbek powietrza, którą jej przyniosłem, i zrobiła minę, jakby to był kwas azotowy. – Od wielu tygodni żyje w stanie paniki, budzi się bez powodu, wyczuwając delikatny, lecz natrętny zapach przyszłości na odwróconej osi czasu. – Mówi, że nie wachał tego zaden żywy człowiek, wyczuwa toksyczny akord, gorzki, pełen zgnilizny, żrący, „jak wdychanie igieł”. Tak właśnie się wyraziła. Opatentowane molekuły, syntetyki, stopy, wszystko poddane katastroficznemu utlenieniu.

– To oznacza pożar?

– Możliwe. Ma duże doświadczenie w badaniu pożarów, w tym kilku wielkich.

– No i?

– Wyjeżdża z Nowego Jorku. Mówi wszystkim znajomym, by zrobili to samo. Woda kolońska 9.30 jest związana z Waszyngtonem, więc zamierza się trzymać z dala również od Waszyngtonu.

– A ty zostaniesz w mieście?

Conkling źle ją rozumie.

– W ten weekend? Chciałem wyjechać, ale kogoś spotkałem i zmieniłem zdanie.

– Kogoś?

– Twoją przyjaciółkę z tamtego wieczoru, używającą perfum Poison.

Nieśmiałek z *Królewny Śnieżki i siedmiu krasnoludków*.

– Heidi. Cóż, gratuluję ci smaku w ocenie kobiet.

– Mam nadzieję, że z tego powodu nie dojdzie między wami do rozdźwięków.

Spóźniona reakcja, którą przez lata Maxine nauczyła się nieco przyspieszać, by zwłoka była mniej zauważalna.

– Co takiego? Myślisz, że mogłybyśmy zacząć się zachowywać jak Alexis i Krystle nad basenem, pokłócić się, kto ma iść z tobą na randkę, Conkling? Coś ci powiem: postąpię szlachetnie i wrócę do męża, jeśli mnie zechce.

– Wyglądasz na... zirytowaną. Przepraszam.

– Horst ma przyjechać lada dzień, jestem trochę zniecierpliwiona, ale nie z twojego powodu.

– Twój mąż zawsze był częścią obrazu, wiedziałem od początku... Cóż, tak naprawdę tylko wyczuwałem, więc starałem się, by nas łączyły wyłącznie interesy, na wypadek, gdybyś tego nie załapała.

– Ach, Conkling, mam nadzieję, że nie było to dla ciebie zbyt przykre.

– Było. Ale w gruncie rzeczy przyszedłem spytać, czy ją dziś widziałaś?

– Heidi? Heidi jest... – Ale Maxine musi przerwać w tym miejscu, prawda.

Postąpiłaby etycznie, gdyby... cóż... nie ostrzegła Conklinga, lecz przypadkiem wspomniała o kilku drobnych wadach charakteru Heidi. Ale Conkling, biedny żłób, tak rozpaczliwie chce o niej mówić, ach, chce się dowiedzieć, jaki jest znak zodiaku Heidi i jej ulubiony zespół muzyczny i... i...

Proszę.

– Czego ode mnie chcesz, błogosławieństwa? Myślisz, że jestem rabinem? Może powinnam przeprowadzić audyt? Dałabym sobie z tym radę.

– Myślę, że ty i ja doszliśmy do najdalszej granicy. – Z żalem, ale w sposób przewidziany.

– Tak, moglibyśmy być parą. – Maxine udaje, że to refleksja.

– Nie sądzisz, że z Heidi... To po prostu naser, prawda?

– Chciałbyś, żeby cię ceniono za to, kim jesteś.

– Wystarczy raz wyjąć naser, a ludzie wyciągają pochopne wnioski. Niektóre kobiety nie są w stanie się oprzeć rzeczom kojarzącym się z wojskiem, choćby w sposób bardzo odległy. Nigdy nie lubiłem akcji, w sercu zawsze siedzę za biurkiem. Nie jak...

– Kto?

– Nieważne.

Było szalenie nieprawdopodobne, że zamierzał wspomnieć o Winduście. Wariactwo, prawda? To kogo miał na myśli?

## 22

O trzeciej nad ranem dzwoni telefon, we śnie wydaje się, że to syrena wozu policyjnego, który ściga Maxine.

– Nie macie dowodów... – mamrocze.

Na oślep wyciąga rękę w stronę słuchawki i podnosi ją.

Efekty dźwiękowe po drugiej stronie sugerują, że rozmówca jest nieobeznany z telefonem.

– Rany, te urządzenia są naprawdę dziwne. Hej, co tu się dzieje... Co ty mi robisz?! – Wydaje się, że to Eric, który jest na nogach od trzeciej nad ranem poprzedniego dnia i za chwilę zamierza zjeść kolejną garść tabletek adderallu. – Maxine! Rozmawiałaś ostatnio z Regiem?

– Hm, a o co chodzi?

– Jego mail, telefon, dzwonek do drzwi to martwe linki. Nie ma go w pracy, nie można się z nim skontaktować przez komórkę. Wszędzie go szukam i wygląda na to, że zniknął.

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałaś?

– W zeszłym tygodniu. Czy powinienem zacząć się martwić?

– Mógł po prostu pojechać do Seattle.

Eric nuci kilka taktów *Marsza Imperialnego z Gwiezdnych wojen*.

– Nie myślisz, że to coś innego.

– Hashslingrz? Wylali go, wiedziałeś o tym.

– Tak, to znaczy, że mnie także wylano. Reg jako facet z klasą wysłał mi na pożegnanie sporą sumkę, ale ponieważ przyzwyczailem się chodzić swobodnie po hashslingrz, teraz, gdy nie jest to już moja sprawa, nie mogę się powstrzymać, by tam nie zaglądać. Tak naprawdę miałem zamiar znowu tam wejść, ale pomyślałem, że lepiej do ciebie zadzwonię...

– Gdy śpię, dziękuję.

– O kurwa, racja, wy śpicie, hej, przepro...

– W porządku. – Maxine wstaje z łóżka i człapie do komputera. – Masz coś przeciwko towarzystwu? Może pokażesz mi ukrytą sieć? Kiedyś mi to obiecałeś.

– Jasne, możesz wejść do mojej sieci, podam ci hasła, przeprowadzę...

– Tylko zaparzę kawę...

Wkrótce się łączą, opuszczają poranny Manhattan i schodzą w skotłowany mrok. W górze roboty przeszukujące powierzchnię internetu przeskakują z linków na linki, a oni zostawiają za sobą banery, pop-upy, grupy użytkowników i samopowielające się czaty... aż docierają do miejsca, gdzie mogą krążyć wśród zarezerwowanych grup adresów pilnowanych przez cybernetycznych bandytów, wśród centrów operacyjnych wykorzystywanych przez spamerów, wśród gier komputerowych, które uznano za zbyt brutalne, zbyt nieprzyzwoite lub zbyt straszliwie piękne dla aktualnie istniejącego rynku...



– Jest tu także kilka fajnych stron dla fetyszystów zainteresowanych stopami – zauważa mimochodem Eric.

Nie wspominając o zakazanych przejawach pożądania, które zaczynają się od pornografii dziecięcej, a później stają się jeszcze bardziej toksyczne.

Maxine jest zaskoczona, że w krainie wolnej od pajaków sieciowych jest tak dużo ludzi. Awanturnicy, pielgrzymi, naciągacze, uciekający kochankowie, dzicy lokatorzy, zboczeńcy, ludzie błakający się w stanie amnezji i wielu wścibskich specjalistów od reklamy w internecie, wśród nich Promoman, którego Eric przedstawia Maxine. Jego awatar to dobroduszny geek w okularach o prostokątnych oprawkach, noszący na piersi staroświecką tablicę reklamową z wypisanym imieniem. Podobną tablicę reklamową ma na sobie jego kształna towarzyszka, Sandwichgrrl, której włosy przypominają płomień – GIF w kształcie ogniska złożonego z wieloboków i twarz nastolatki w stylu mangi.

– Reklama w ukrytej sieci, pieśń przyszłości. – Promoman wita Maxine. – Najważniejsze to się przygotować, być na miejscu, normalnie funkcjonować, gdy pojawią się roboty indeksujące, co może nastąpić lada moment.

– Zaczekajcie, naprawdę chcecie zarabiać na reklamach umieszczanych na stronach, które tu działają?

– W tej chwili to broń, narkotyki, seks. Pornografia dziecięca...

– Tylko starannie wybrane gówna – wtrąca Sandwichgrrl.

– To ciągle dziewicza kraina. Każdy lubi myśleć, że na zawsze, ale nadchodzą koloniści. Ludzie w garniturach,

nowicjusze. Za horyzontem słyhać zbliżające się roboty. Istnieje już pół tuzina hojnie finansowanych projektów mających na celu opracowanie metod indeksacji ukrytej sieci...

– Coś w rodzaju surfowania na dzikiej fali... – mówi z namysłem Maxine.

– Lato szybko się skończy. Kiedy roboty tu dotrą, wszystko błyskawicznie się ucywilizuje. Upodobni się do normalnego internetu na górze. Opanują wszystko link po linku, sprawią, że ukryta sieć stanie się bezpieczna i szacowna. Kościoły na każdym rogu. Licencjonowane bary. Ludzie, którym zależy na wolności, będą musieli się stąd zwinąć i przenieść gdzie indziej.

– Jeśli szukasz okazji, by zarobić trochę pieniędzy, nadają się do tego strony związane z zimną wojną – radzi Sandwichgrll – ale ceny już niedługo podskoczą.

– Poruszę ten temat na następnym spotkaniu zarządu. A tymczasem może po prostu się rozejrzeć.

Okolica nie wygląda obiecująco. Gdyby ukryta sieć miała swojego Roberta Mosea, wołałby: „To przeklęte miejsce!”. Zrujnowane resztki starych instalacji wojskowych, dawno nieczynne stanowiska dowodzenia, anteny widmowych radiostacji, wciąż stojące w ciemności na krańcach martwych poligonów, zardzewiałe anteny porośnięte bluszczem o spłowiałych, trujących liściach, nadające na dawnych częstotliwościach taktycznych w ramach operacji, które pokryło milczenie... Rakiety przeznaczone do zestrzeliwania rosyjskich czterosilnikowych bombowców, niewykorzystane, zwykle leżące na ziemi w kawałkach, jakby rozbili je rozpaczliwie biedni ludzie pojawiający się tylko w środku nocy. Gigantyczne

lampowe komputery o rozmiarach połowy akra, zdewastowane, rozkradzione, z poszarpanymi kablami. Zaśmieczone sale kontrolne, pożółkły, popękany plastik z końca lat sześćdziesiątych, stanowiska obsługi radarów z kolistymi ekranami, biurka, przy których ciągle siedzą, wyprostowane i kołyszące się jak zahipnotyzowane węże, awatary starszych rangą oficerów, patrząc na migające mapy sektorów... zniekształcone, zastygłe obrazy, które obróciły się w proch.

Maxine zauważa, że jedna z owych map pokazuje wschodnią część Long Island. Sala wydaje się znajoma, ma surowy, bezlitosny wygląd. Nagle Maxine coś się przypomina.

– Eric, jak tam wejść?

Krótki taniec palców na klawiaturze i są w środku. Jeśli nie jest to jedno z podziemnych pomieszczeń, które Maxine widziała w Montauk, i tak będzie się nadawać. Duchy są bardziej widoczne. W pozbawionej okien sali unosi się nieruchomo dym z papierosów. Technicy siedzą przed ekranami radarów. Wirtualni podwładni wchodzą i wychodzą z tacami z kawą. Oficer dyżurny, ptasi pułkownik, patrzy na Maxine i Erica, jakby miał zamiar spytać o hasło. Na ekranie pojawia się komunikat: „Dostęp tylko do osób z certyfikatem bezpieczeństwa, odkomenderowanych do ADC z AFOSI Region 7”.

Awatar Erica wzrusza ramionami i uśmiecha się. Światło duszy jarzy się na zielono.

– Ich szyfry są dość prymitywne, daj mi minutę.

Twarz pułkownika wypełnia ekran. Chwilami jest poszatkowana na części, rozmazana, spikselizowana, niesiona

wiatrami hałasu i zapomnienia, martwych linków, odłączonych serwerów. Głos zsyntetyzowano kilka pokoleń wcześniej i nigdy nie został zaktualizowany, ruchy warg nie pasują do słów, jeśli kiedykolwiek pasowały. Oto co mówi:

– Istnieje straszliwe więzienie, większość źródeł uważa, że mieści się tutaj, w Stanach Zjednoczonych. Z posiadanych przez nas informacji wynika, że jest ono gorsze od najpotworniejszych łagrów Gułagu. I tak jak to utajniali Rosjanie, nie podaje się jego nazwy. Określenie „brutalny” jest w tym wypadku zbyt łagodne. Zabijają człowieka, ale utrzymują go przy życiu. Litości nie ma.

Podobno jest to rodzaj obozu karnego dla wojskowych podróżników w czasie. Jak się okazuje, podróże w czasie nie są przeznaczone dla cywilnych turystów, nie wchodzi się po prostu do maszyny czasu, ale trzeba to zrobić od wewnątrz, zaangażować ciało i umysł. Podróże w czasie to niezwykle trudna sztuka, wymagająca lat ćwiczeń, ciężkiej pracy i poświęceń. Nie istnieje odkupienie, człowiekowi nic nie jest oszczędzone.

Z powodu konieczności długotrwałego szkolenia jego uczestnicy są najczęściej porywani z domów w dzieciństwie. Głównie chłopcy. Uprawdza się ich bez zgody rodziców i systematycznie trenuje. Później uczestniczą w tajnych operacjach rządowych, podróżując tam i z powrotem w czasie. Mają rozkaz tworzyć alternatywne historie, które przyniosą korzyść wyższym dowódcom zlecającym misje.

Muszą być przygotowani do wyjątkowych cierpień związanych z pracą. Są głodzeni, bici, gwałceni, poddawani

operacjom chirurgicznym bez znieczulenia. Nigdy nie zobaczą swoich rodzin ani przyjaciół. Gdyby tak się przypadkiem stało, podczas misji bądź przy innej okazji, mają rozkaz natychmiast zabić każdego, kto ich rozpozna.

Są pewne standardowe strategie odwracania uwagi opinii publicznej. Skutecznymi technikami maskującymi okazały się porwania przez UFO, umieszczenie w więzieniu, programy typu MKUltra.

Wyobraźmy sobie, że dziesięcioletni chłopiec został porwany około 1960 roku. Czterdzieści kilka lat temu. Teraz ma mniej więcej pięćdziesiąt lat. Żyje wśród nas, lecz w każdej chwili może nagle zniknąć, wysłany na okrutne pustkowie Czasu, by zmieniać przeznaczenie, zmieniać to, co inni uważają za niezmiennie. Prawdopodobnie nie są to dzieci ze wschodniej części okręgu Suffolk, lepiej je porywać gdzieś dalej, tysiące mil od domu, będą zdezorientowane, łatwiejsze do złamania.

Kto spośród setek znajomych w notesie Maxine, których dotąd nie podejrzewała, może pasować do tego opisu? Maxine wychodzi wczesnym rankiem na powierzchnię, zostawia Erica, zajmuje się prozaicznymi codziennymi sprawami, po czym wyobraża sobie prawdziwą historię Windusta – niewinnego chłopca, porwanego przez kosmitów urodzonych na Ziemi. Kiedy wreszcie osiąga wiek, że potrafi zrozumieć, co mu zrobiono, jest już za późno, jego dusza należy do nich.

Maxine, proszę. Skąd się wziął ten idiotyczny pomysł, że nikt nie może liczyć na odkupienie, nawet zbrodnicza marionetka MFW? Nawet biorąc pod uwagę brak wiarygodności internetu, Windusta obciąża śmierć tak wielu

niewinnych istot, że może się łatwo znaleźć w towarzystwie bardziej znanych morderców z Księgi Guinnessa, choć wszystko działo się powoli, jedno zabójstwo następowało po drugim, w dalekich krajach, gdzie nie był narażony na przykrości ze strony wymiaru sprawiedliwości ani mediów. Potem w końcu spotykasz go osobiście, zachowuje się jak uczonec, przejawia dziwną skłonność do niegustownych ubiorów i nie możesz połączyć tych dwóch historii. Wbrew rozsądkowi, pewnie dlatego, że nie można z tym pójść do nikogo innego, Maxine wie, że musi porozmawiać na ten temat z Shawnem.

Shawn jest u swojego terapeuty, więc Maxine siedzi w poczekalni i przegląda czasopisma o surfing. Wreszcie wpada do gabinetu, spóźniony o dziesięć minut, unosząc się na fali szczęścia.

– Stanowię jedność z wszechświatem, dziękuję – wita ją. –  
A ty?

– Nie musisz być złośliwy, Shawn.

Maxine wie, że psychoterapeuta Shawna, Leopoldo, to lacanista, który kilka lat temu musiał zrezygnować z uczciwej praktyki w Buenos Aires – ważną przyczyną tej decyzji były neoliberalne eksperymenty z ekonomią jego kraju. Hiperinflacja w okresie rządów Alfonsína, masowe zwolnienia pracowników w epoce Menema i Cavalla oraz posłusznie zawarta przez reżim umowa z MFW wydawały się oszalałym Prawem Ojca. W końcu Leopoldo zrozumiał, że ukochane, nawiedzone miasto nie ma żadnej przyszłości, więc porzucił praktykę, opuścił luksusowy apartament Villa Freud, w osiedlu psychoanalityków, i uciekł do Stanów.

Pewnego dnia Shawn wszedł do budki telefonicznej na jednej z ulic Nowego Jorku, musiał pilnie zatelefonować, nic nie działało, wrzucał do automatu kolejne ćwierćdolarówki, nie było sygnału, bez przerwy słyszał idiotyczne komunikaty automatów, w końcu wpadł w normalną nowojorską wściekłość, trzasnął słuchawką w obudowę aparatu i wrzasnął: „Pieprzony Giuliani!”. W tym samym momencie usłyszał głos, ludzki, rzeczywisty, spokojny. „Ma pan jakieś kłopoty?”. Oczywiście Leopoldo przyznał później, że zdobywa w ten sposób pacjentów – kręcił się w miejscach, gdzie mogło dojść do kryzysów psychicznych, na przykład w okolicy budek telefonicznych, wcześniej usunąwszy tabliczki, że są nieczynne.

– Pod względem etycznym to trochę droga na skróty – twierdzi Shawn. – Z drugiej strony jest mniej sesji w tygodniu i nie zawsze trwają pięćdziesiąt minut. Po pewnym czasie zrozumiałem, że lacanizm jest podobny do zen.

– Słucham?

– Totalne zakłamanie ego, to najważniejsze. Nie jesteś tym, za kogo siebie uważasz. Jest cię mniej, a z drugiej strony...

– Znacznie więcej, tak, dzięki, że mi to wyjaśniłeś, Shawn.

Biorąc pod uwagę historię Leopolda, chyba nie wydaje się to dobrym momentem, by wspominać o Winduście?

– Czy twój psychoanalityk mówi czasem o argentyńskiej gospodarce?

– Rzadko, to bolesny temat. Nie jest w stanie wymyślić gorszej obelgi niż nazwanie czyjejś matki neoliberalą. Tamci politycy zniszczyli argentyńską klasę średnią, jeszcze nikt nigdy

nie załatwił tylu ludzi. Może nie jest to takie złe jak zaginięcie, ale i tak nie daje się tego wytrzymać. Czemu pytasz?

– Uczestniczył w tym jeden z moich znajomych, na początku lat dziewięćdziesiątych, teraz pracuje w Waszyngtonie, ciągle zajmuje się brzydkimi rzeczami i martwię się o niego, czuję się jak człowiek niosący w ręku rozżarzony węgielek. To niebezpieczne dla mojego zdrowia, nie ma w tym nic pięknego, ale nie mogę się od tego uwolnić.

– Czujesz teraz sentyment do republikańskich zbrodniarzy wojennych? Mam nadzieję, że stosują prezerwatywy?

– Dziękuję, Shawn.

– Daj spokój, tak naprawdę nie jesteś urażona.

– Nie? Zaczekaj chwilę. Ten posążek Buddy jest odlany z żeliwa, prawda? Popatrz. – Maxine wyciąga rękę w stronę głowy Buddy, która, gdy tylko jej dotyka, okazuje się doskonale leżeć w dłoni niczym rękojeść pistoletu. W jednej chwili wszystkie nieprzyjemne impulsy znikają. – Widziałam jego kartotekę. – Stara się nie mówić tonem Kaczora Daffy. – Torturuje ludzi elektrycznymi pałkami do poganiania bydła, likwiduje studnie artezyjskie, zmusza farmerów do opuszczania gospodarstw, niszczy całe kraje w imię zwariowanej teorii ekonomicznej, w którą sam nie wierzy. Nie mam złudzeń i rozumiem, kim naprawdę jest...

– Czyli kim? Niezrozumianym nastolatkiem, który po prostu powinien poznać odpowiednią dziewczynę wiedzącą jeszcze mniej od niego? Znowu szkoła średnia? Rywalizacja o chłopców, którzy zostaną lekarzami albo skończą na Wall Street, ale przez cały czas w sekrecie marzą o ucieczce



z handlarzami narkotyków, złodziejami samochodów, bandytami napadającymi na sklepy...

– Tak, Shawn. Nie zapominaj również o surferach. Przepraszam, co ci właściwie daje prawo ingerowania w ludzkie życie? Co się dzieje, jeśli w czasie swojej praktyki próbujesz kogoś uratować, ale nic ci z tego nie wychodzi?

– Moim celem jest to, co Lacan nazywa „łagodną depersonalizacją”. Gdybym chciał „ratować” klientów, ile dobrego bym zrobił?

– Mnóstwo?

– Pomyłka. Zgaduj dalej.

– Hm... trochę mniej?

– Maxine, myślę, że się boisz tego faceta. Jest mordercą, zajmuje się twoją sprawą, a ty próbujesz się wyplątać dzięki osobistemu urokowi.

Uf... Czy nie jest to chwila, gdy należałoby z godnością wyjść z gabinetu, rzucając zdecydowanie przez ramię: „Pierdol się”?

– Cóż, pozwól mi się nad tym zastanowić.

## 23

Brooke i Avi w końcu wracają do Stanów. Wyglądają, jakby spędzili rok w jakimś dziwnym antyklubu, unikając słońca i intensywnie się objadając. Elaine spogląda na Brooke, po czym szybko zabiera ją do Megareps, siłowni mieszczącej się w sąsiedztwie, i załatwia jej kartę wstępu na okres próbny. Tymczasem Brooke siedzi w bufecie na parterze, bardziej zainteresowana muffinkami, bajglami i koktajlami owocowymi.

Maxine nie ma ochoty spotykać się z siostrą, ale uważa, że wypada przynajmniej do niej wpaść. Przychodzi w chwili, gdy Elaine i Brooke są w World Trade Center, analizując nowe odkryte możliwości robienia zakupów w supermarkecie Century 21. Ernie powinien być w Lincoln Center, oglądając kirgiski film, dobrze przyjęty przez krytykę, ale przekradł się do multipleksu Sony na *Szybkich i wściekłych*, toteż Maxine spędza czarujące półtorej godziny w towarzystwie swojego szwagra, Avrama Deschlera, który pilnuje ozora à la Polonaise, powoli gotującego się w kuchni przez cały dzień. Mieszkanie wypełnia się intrygującym aromatem, który po chwili zapada głęboko w pamięć. W nieunikniony sposób pojawia się temat wizyty agentów federalnych.

– Chyba chodziło tylko o mój certyfikat.

– Twój...

– Słyszałaś o firmie o nazwie hashslinrz, zajmującej się bezpieczeństwem informatycznym?

Znaczące spojrzenie na czubek buta Maxine.

– Niewiele.

– Mają dużo zleceń od rządu, NSA i tak dalej. Zaproponowali mi pracę i zaczynam za dwa tygodnie. – Czeka przynajmniej na oznaki głębokiego podziwu.

Czy to dlatego agenci federalni chodzą po domach? Sorry, Maxine jakoś w to wątpi. Certyfikaty bezpieczeństwa to rutynowe, biurokratyczne sprawy załatwiane na niskim szczeblu, tu idzie gra o coś znacznie poważniejszego.

– A więc... poznałeś tego ważniaka, Gabriela Ice'a.

– Przyjechał osobiście do Hajfy, by mnie zaangażować. Zjedliśmy śniadanie w Wadi Nisnas, w restauracji serwującej falafele. Chyba znał właściciela. Powiedziałem, jaką chciałbym mieć pensję i dodatki, a on wyraził zgodę. W ogóle się nie targował. Pobrudził sobie koszulę olejem sezamowym.

– Po prostu normalny facet.

– Właśnie.

– Avi, wiesz coś o programie komputerowym o nazwie Promis? – pyta Maxine, udając, że przeskakuje z tematu na temat.

Pauza, nieco zbyt długa.

– To dość stara historia w branży. Spiski i kontrspiski w firmie Inslaw, procesy sądowe, kradzież programu przez FBI i tak dalej. Z drugiej strony to doskonałe źródło informacji dla Mossadu. Tak mi przynajmniej mówiono.

– Krążą plotki o tylnym wejściu...

– Na początku go nie było, ale niektórzy klienci nalegali, więc program zmodyfikowano. Właściwie jego ewolucja ciągle trwa. Aktualna wersja różni się nie do poznania od pierwotnej. Tak słyszałem.

– Skoro już mówimy o takich sprawach, podobno istnieje chip komputerowy wyprodukowany w Izraelu, może się z nim zetknąć, który rejestruje dane w komputerze klienta, a potem od czasu do czasu transmituje je do zainteresowanych stron?

Nie można powiedzieć, że Avram się wzdryga, ale odwraca oczy i rozgląda się po pokoju.

– Wiem, że Elbit produkuje coś takiego.

– Miałeś z nim kiedyś do czynienia?

W końcu kieruje wzrok na Maxine i siedzi, patrząc na nią, jakby stanowiła coś w rodzaju ekranu, a ona dochodzi do wniosku, że nadeszła pora spadku zysków z inwestycji.

Wkrótce Brooke i Elaine wracają z centrum miasta, niosąc kilka toreb z Century 21, a ponadto dziwną wegańską galaretę, której krystaliczne głębie budzą fascynację, a zarazem niepokój.

– Śliczna – mówi Elaine. – Jak trójwymiarowy Kandinsky. Poza tym pyszna.

Wszyscy od dzieciństwa uwielbiają ozór à la Polonaise. Niegdyś Maxine myślała, że to eksperymentalny utwór fortepianowy. Ozór wołowy dusił się w kuchni przez cały dzień w skomplikowanym sosie złożonym z kawałków moreli i ananasa, startego mango, wiśni bez pestek, marmolady grejpfrutowej, kilku różnych gatunków rodzynek, soku pomarańczowego, cukru, octu, musztardy i soku z cytryny,

a przede wszystkim, zgodnie z tradycją, herbatników imbirowych, z przyczyn, które giną w mrokach niepamięci. Normalnie są to herbatniki Nabisco, ponieważ kilka lat wcześniej Keebler przestał produkować dawną odmianę Sunshine.

– Znowu zapomniała o herbatnikach imbirowych! – Ernie lubi udawać, że warczy na Elaine. – Przeczytacie o tym w „The Daily News”.

Siostry ostrożnie się obejmują. W czasie rozmowy unikają kontrowersyjnych tematów, aż na ekranie telewizora w bawialni pojawia się talk-show prowadzony przez waszyngtońskiego intelektualistę Richarda Uckelmana, zatytułowany *Thinking with Dick* i nadawany w Channel 13. Wśród zaproszonych gości jest izraelski urzędnik ministerialny, którego Brooke i Avi spotykali na przyjęciach. Dyskusja dotyczy wiecznie żywej kwestii osiedli na Zachodnim Brzegu. Po półtorej minuty (choć subiektywnie może odnieść wrażenie, że trwa to dłużej) rządowej propagandy Maxine rzuca:

– Mam nadzieję, że ten gość nie próbuje nam sprzedawać nieruchomości.

Brooke tylko na to czekała.

– Jesteś bardzo mocna w gębie i zawsze się czepiasz – mówi nieco piskliwym tonem. – Spróbuj iść na nocny patrol, niech *arabushim* rzucą na ciebie kilka bomb, to się przekonasz, jak ci pomoże to pyskowanie.

– Dziewczęta, dziewczęta... – mruczy Ernie.

– Chyba chcesz powiedzieć „dziewczyno, dziewczyno” – mówi Maxine. – To ja zostałam nagle zaatakowana.

– Brooke ma na myśli tylko to, że ona była w kibucu, a ty nie – mówi uspokajająco Elaine.

– Jasne, cały dzień w centrum handlowym Grand Canyon w Hajfie, wydając pieniądze męża. Ładny mi kibuc!

– A ty, ty w ogóle nie masz męża!

– No proszę, pyskówka! Właśnie po to tu przyszedłam! – Maxine posyła całusa w stronę galarety, która wydaje się kołysać w odpowiedzi, po czym rozgląda się, szukając torebki. Brooke wychodzi do kuchni. Ernie podąża za nią, Elaine patrzy ze smutkiem na Maxine, Avi udaje, że pochłonęła go telewizja. – W porządku, w porządku, mam, będę grzeczna, po prostu... Miałam zamiar coś powiedzieć na temat Brooke, ale myślę, że odpowiedni moment minął trzydzieści lat temu.

Po chwili z kuchni wychodzi Ernie, jedząc herbatniki imbirowe, a Maxine idzie do kuchni i widzi, że siostra obiera kartofle na placki latkes. Znajduje nóż i przez chwilę obie pracują w milczeniu. Żadna nie ma ochoty go przerwać, żadnej nie przeszłoby przez usta słowo „przepraszam”.

– Hej, Brooke – odzywa się w końcu Maxine. – Mogłabym cię o coś spytać?

Wzruszenie ramion, jakby Brooke chciała powiedzieć: „A mam jakiś wybór?”.

– Miałam randkę z facetem, który mówił, że kiedyś pracował w Mossadzie. Nie wiem, czy wciskał mi kit albo coś w tym rodzaju.

– Zdjął prawy but i skarpetkę, a potem...

– Hej, skąd wiesz?

– W każdym barze dla singli w Hajfie co wieczór pojawia się jakiś dureń, który wziął igłę i wytatuował sobie na pięcie trzy kropki. Stara legenda o sekretnym tatuażu, kompletna bzdura.

– Dziewczyny ciągle się na to nabierają?

– A ty się nie nabrałaś?

– Daj spokój! Żydzi i tatuaże?! Mogę być w desperacji, ale nadal mam oczy!

Przez resztę wieczoru wszyscy zachowują się miło. Ozór à la Polonaise pojawia się na stole na półmisku Wedgewooda, który Maxine widuje tylko podczas sederu. Ernie ostentacyjnie ostrzy nóż i zaczyna kroić ozór z takim namaszczaniem, jakby był to indyk na Święto Dziękczynienia.

– No i jak? – pyta Elaine, gdy Ernie zjada kęs.

– Maszyna czasu w ustach, kochanie. Szast-prast, człowiek wraca natychmiast do czasów bar micwy. – Śpiewa kilka taktów *Tzena, Tzena, Tzena*, by to udowodnić.

– To przepis jego matki – wyjaśnia Elaine. – Cóż, z wyjątkiem mango, których wtedy jeszcze nie wynaleziono.

\* \* \*

Na korytarzu stoi Edith z Yenta Espresso, kręcąc się w pobliżu drzwi jak naganiacz klientów.

– Maxine, któregoś dnia szukał cię pewien facet. Daytony nie było, więc poprosił, żebym ci przekazała, że wróci.

– Aha. – Maxine ma jeden z przebłysków intuicji. – Ładne buty?

– Ponad pięćset dolarów, Edward Green, wężowa skórka, doskonała jakość. Ale powinnaś uważać, mogą z nim być problemy.

– Klient?

– Jest znany w środowisku. Nie zrozum mnie źle, samotność jest okay, znam to z doświadczenia, rozumiem samotność, rozumiem rozpacz. Ale ten facet...

– Nie patrz tak na mnie, Edith, proszę. To nie jest nic romantycznego.

– Mam z tym do czynienia od trzydziestu lat, zaufaj mi, jaki to romantyzm? Taki sam jak zawsze.

– Trochę się niepokoję. Mówisz, że wróci?

– Nie martw się. Dałam już ogłoszenie w „Timesie”, napiszą twoje nazwisko bez błędu.

\* \* \*

I oczywiście, jakby Edith potrafiła przewidywać przyszłość, telefonuje Nicholas Windust. Zaprasza Maxine na wczesny lunch do pseudoparyskiego bistro na East Side.

– Pod warunkiem że ty płacisz. – Maxine wzrusza ramionami, traktując to jako zwrot niewielkiej części podatku federalnego.

Windust najwyraźniej myśli, że to randka. Tylko w ten sposób można wytłumaczyć fakt, że przychodzi w stroju stylizowanym na hipsterski – dżinsy, archaiczna sportowa marynarka ze sztucznego jedwabiu, fioletowy T-shirt: złamał wystarczająco dużo zasad dotyczących ubioru, by go



wyrzucono z pociągu metra linii L. Maxine patrzy przez chwilę, po czym wzrusza ramionami.

– Nieźle wyglądasz.

Mimo to otacza go dziś jakaś specyficzna aura, równie naturalna jak smoking noszony przez Jamesa Bonda. Maxine nie bardzo wie, o co chodzi.

Windust chciałby wejść do środka, Maxine czuje się bezpieczniejsza na ulicy. Pogoda jest ładna, więc, hokus-pokus, siadają na zewnątrz. Windust zamawia jajko na miękko i Krwawą Mary, a Maxine pół grejpfruta i kawę.

– Zdumiewające, że znalazłeś dla mnie trochę czasu – mówi, uśmiechając się z bezwstydną nieszczerością. – Mój szwagier musiał wrócić do Stanów, inaczej trudno mi sobie wyobrazić przyczynę naszego spotkania.

– Zaintrygowało nas to, że znalazł pracę w hashslingrz.com. Ładnie jesteś ubrana, Armani, prawda?

– Po prostu jakaś szmata z H&M, ale miło, że zauważyłeś. – Nie bądź za sprytna, Maxine, spokojnie, spokojnie, kiedy wreszcie...

– Sugeruje to ciekawy konflikt interesów, jeśli Avram Deschler to naprawdę, jak podejrzewamy, uśpiony agent Mossadu.

Maxine spogląda pustym wzrokiem, którego nauczyła się od Shawna i który często okazywał się użyteczny.

– To dla mnie zbyt akademickie.

– Jeśli masz ochotę udawać idiotkę, proszę bardzo, ale znalazłem trochę informacji na twój temat. To właśnie ty jesteś tą sympatyczną osobką, która załatwiła Jeremy'ego Flinka

i rozbiła gang Manalapan Ponzoids w New Jersey. To ty poleciałaś na Wielki Kajman przebrana za piosenkarkę reggae, spaliłaś dziesięć i pół miliarda franków szwajcarskich w banknotach, po czym wróciłaś do Stanów w odrzutowcu Gulfstream należącym do sprawców oszustwa.

– To Mitzi Turner. Ciągłe nas mylą. Mitzi lubi brutalne metody, ja jestem po prostu pracującą mamą.

– Mimo wszystko, biorąc pod uwagę liczbę amerykańskich kontraktów rządowych realizowanych przez hashslingrz...

– Posłuchaj: albo Avi to twoja fantazja, haker i sabotażysta pracujący dla ciemnej strony mocy, zabójca z Mossadu, albo jest po prostu standardowym geekiem, który próbuje sobie radzić bez kontaktów z Waszyngtonem, podobnie jak my wszyscy. Tak czy inaczej, nie rozumiem, co mam z tym wspólnego.

Windust otwiera aluminiową dyplomatkę, która najwyraźniej stanowi jego bagaż podręczny – w środku znajdują się przybory do golenia i kilka zmian bielizny – i wyjmuje cienką teczkę.

– Mam tu coś, co mogłabyś obejrzeć przed jego następnym tête-à-tête z Gabrielem Ice'em.

Maxine nie może obserwować jego oczu, więc patrzy na usta, szukając – czego? – przypisu? Nie, Windust tylko się uśmiecha, nie uprzejmie, lecz jakby trzymał w ręku wygrywające karty, broń wycelowaną w jej serce.

Chociaż Maxine nie czuje entuzjazmu na myśl o dotykaniu czegokolwiek, co miało kontakt z bielizną Windusta, jest audytorką tropiącą oszustwa, której główna zasada to: „Nigdy

nie wiadomo”. Dlatego ostrożnie bierze teczkę i wkłada do swojej torebki Kate Spade.

– Powinniśmy pamiętać – dodaje szybko – że, jak mogłaby powiedzieć, a raczej zaśpiewać Deborah Kerr albo Marni Nixon, to nie mój...

– Zdenerwowałem cię?

Maxine ryzykuje szybki rzut oka na twarz Windusta i ze zdziwieniem zauważa, że ma on minę człowieka siedzącego w sobotni wieczór w barze dla podrywaczy, na południe od 14th Street, gdy wybór dziewczyn znacznie się zmniejszył, bo większość już wyszła z innymi facetami. O co chodzi? Maxine nie zamierza reagować na taki wyraz twarzy. Zapada cisza, przeciąga się, lecz nie chodzi tylko o ciszę, co potwierdza spojrzenie Maxine, która mimo woli patrzy na inny wskaźnik procesów wewnętrznych. Windust ma wyraźną erekcję i co gorsza, dostrzegł wzrok Maxine.

– W porządku, wracajmy do pracy – mamrocze jak kompletna idiotka, nie będąc w stanie wymyślić nic więcej.

Ale nie rusza się, nie sięga po torebkę.

– Proszę, może tak będzie łatwiej. – Windust pisze coś na serwetce. W zdrowszej, a może tylko wcześniejszej epoce mogłaby to być nazwa dobrej restauracji albo pomysł na początek. Dziś w najlepszym razie można to nazwać zaproszeniem do popełnienia głupstwa, pomyłki. Maxine odczytuje adres, daleko od metra. – Powiedzmy w godzinie szczytu, większe szanse, by pozostać niezauważonym. Pasuje ci to?

Wśród wielu rzeczy, których Maxine wcześniej nie spostrzegła, jest ton głosu, rozkazujący, a nie uwodzicielski. A jednak nie wyklucza porozumienia. Maxine zastanawia się, co to mogłoby być. Windust wstaje, kiwa głową i wychodzi, zostawiając ją z niezapłaconym rachunkiem. Chociaż obiecał zapłacić. Co Maxine o tym myśli?

\* \* \*

Conkling materializuje się w poczekalni, jak zwykle niezapowiedziany, niczym dobroduszny Anioł Stróż, który daje ostatnią szansę na podjęcie rozsądnych działań.

– Ach, strasznie mnie przestraszył! – Daytona teatralnie się wzdryga. – Czy naprawdę muszę przez cały czas patrzeć, jak tu przychodzą te dupki z getta?!

Tymczasem Conkling zaczyna się dziwnie zachowywać, z własnych powodów.

– Co się dzieje? Poczujesz jakiś zapach?

– Znowu ta sama męska woda kolońska 9.30. Coś miało z nią kontakt. – Conkling podąża tropem zapachu, wchodzi do biura Maxine i zbliża się do jej torebki. – Na pewno pochodzi sprzed kilku godzin, wysychanie jest dość powolne.

Oczywiście Windust. Maxine grzebie w torebce, wyjmuje otrzymaną od niego teczkę. Conkling przewraca kartki.

– To jest to.

– Dał mi ją facet, z którym jadłam śniadanie. Z Waszyngtonu.

– Jesteś pewna, że nie ma żadnego związku z Lesterem Traipse'em?

– Po prostu chodziliśmy razem do college'u. – Ach, co się dzieje? Maxine nagle poczuła niechęć do dzielenia się z Conklingiem informacjami o Winduście? Z jakiego powodu? Po prostu nie chce się teraz tym zajmować? – Pracuje jako średniej rangi urzędnik w Agencji Ochrony Środowiska, może ta woda kolońska jest na liście toksycznych środków chemicznych?

Myśli Maxine odpływają i nikt nie próbuje ich zatrzymać. Czy w dawnych czasach, jako sympatyczny młody człowiek, Windust przesiadywał w starym klubie 9.30, podobnie jak Maxine w Paradise Garage? Może wpadał tam, kiedy miał urlop, wracając do Stanów z zagranicznych operacji, podczas których czynił zło? Może słuchał występów Tiny Desk Unit i Bad Brains w okresie, gdy grał tam zespół muzyczny? Może zapach wody kolońskiej 9.30 to ostatnia rzecz, która go łączy z nieskorumpowanym młodym człowiekiem z dawnych lat? Może atak sentymentalnego idiotyzmu, któremu uległa Maxine, zaczyna się pogłębiać? Może jest kretynką? W porządku? Poszlaki szmurszlaki, Windust był na miejscu, gdy porwano Lestera, a może nawet sam go porwał.

Cholera...

Gdzie się podziały szanse na romantyczny epizod wywołujący zawrót głowy? Nagle Maxine zaczyna się czuć jak podczas badań geodezyjnych.

Tymczasem Conkling chce rozmawiać – jakżeby inaczej – o księżniczce Heidrofobii. Kiedy Maxine wreszcie pozbywa się

tego maniaka, zostaje jej zaledwie pół godziny, by się pozbierać i przygotować do – jak to nazwać? – roboczego spotkania z Windustem. W jakiś sposób dociera do domu i stoi nieruchomo przed drzwiami garderoby w sypialni, zastanawiając się, dlaczego ma taką pustkę w głowie. Nie posiada jaskrawoczerwonego stroju z lucry, który mógłby się nadawać na tę okazję. Dżinsy nie wchodzą w rachubę. W końcu, głęboko, na pograniczu niepamięci o zawartości garderoby, zauważa elegancki kostium koktajlowy w odcieniu stonowanego fioletu, zdobyty dawno temu na wyprzedaży przed likwidacją Galerii Lafayette i trzymany z powodów, wśród których prawdopodobnie nie ma nostalgii. Usiłuje sobie wyobrazić, jak zinterpretuje go Windust. Jeśli w ogóle zinterpretuje, a nie zacznie natychmiast zdzierać... Pęcherz (a może raczej Wir?) Kobiecości nieustannie wysyła komunikaty, lecz Maxine je ignoruje.

## 24

Adres znajduje się na dalekim zachodnim krańcu dzielnicy Hell's Kitchen, wśród bocznic kolejowych i tuneli. Kamienice, studia nagrań, sale bilardowe, agencje wynajmu wyposażenia filmowego, warsztaty, w których rozbiera się kradzione samochody, wegetują niezależnie od siebie, próbując przetrwać na własną rękę... Maxine zna kilku przemyślanych ekspertów od handlu nieruchomościami, którzy twierdzą, że w tym rejonie zacznie się wkrótce boom budowlany. W powietrzu czuje się atmosferę inwestycji. Któregoś dnia ma tu dotrzeć siódma linia metra i wtedy Javits Center będzie miało własną stację. Pojawią się parki, wysokie apartamentowce i luksusowe hotele dla turystów. W tej chwili jest to trudno dostępny, wietrzny rejon, a goście z innych planet, którzy w przyszłych stuleciach przybędą na Ziemię, gdy Nowy Jork będzie od dawna zapomniany, uznają go za obszar ceremonialny, wręcz religijny, miejsce publicznych przedstawień, masowych ofiar, przerw na lunch.

Dziś w rejonie Eleventh Avenue zgromadziło się mnóstwo policji, która wypełnia przecznice aż do Tenth Avenue. Maxine jest zadowolona, że nie idzie pieszo. Kierowca taksówki, który

ma problemy z dalszą jazdą, uważa, że to ćwiczenia policyjne oparte na scenariuszu, iż Javits Center opanowali terroryści.

– Po co ktoś chciałby zrobić coś takiego? – zastanawia się Maxine.

– Cóż, przypuśćmy, że zaatakowałyby w czasie pokazu samochodowego. Zdobyłyby furgonetki, ciężarówki. Mogłyby sprzedać część z nich i za uzyskane pieniądze kupić bomby, kałasznikowy i różne inne gówna. – Taksówkarz najwyraźniej przedstawia wymyślony przez siebie scenariusz. – Zatrzymaliby szpanerskie auta, ferrari i panozy, wykorzystali ciężarówki do celów wojskowych, ach, porwaliby także ciężarówki do transportu samochodów, Peterbilt 378, coś w tym rodzaju. Poza tym... zażądałyby okupu za naprawdę dobre stare wozy, hispano-suizy, astony martiny.

– Dajcie nam dziesięć milionów albo rozwalimy samochód?

– A przynajmniej pogniemy antenę, nic, co zmniejszyłoby wartość auta, kapuje pani.

Wokół tłoczą się policjanci, biegają tu i tam, stoją na straży, zajmują pozycje w różnych miejscach ulicy. W górze, na jasnym niebie, na którym widać pierwsze oznaki jesieni, krążą UFO, cierpliwie i w sekrecie obserwując życie ludzi. Od czasu do czasu pojawia się funkcjonariusz z tubą, obrzuca taksówkę wściekłym wzrokiem i wrzeszczy, by jechała dalej.

W końcu docierają pod właściwy adres i zatrzymują się przed pięciopiętrową kamienicą czynszową, przestarzałą, opuszczoną, która pewnego dnia zostanie zburzona i zastąpiona przez wysoki apartamentowiec. W nocy na każdym piętrze pali się może jedno światło. Przypomina to Maxine jej



dzielnice w latach osiemdziesiątych, gdy trwała przebudowa i usuwano najemców, którzy nie mogli lub nie chcieli się wyprowadzić. Deweloperzy, rwący się do tego, by burzyć stare budynki, zachowywali się bardzo nieprzyjemnie.

Kiedy Maxine naciska guzik dzwonka, ma wrażenie, że wokół nagle zbiera się połowa dzielnicy i obserwuje ją przez dziesięć minut, uśmiechając się złośliwie. Wreszcie z niewielkiego głośnika dobiega czyjś piskliwy głos.

– To ja, Maxine.

– Nnggahh?

Znów wykrzykuje swoje imię i zagląda przez brudną szybę. Drzwi pozostają zamknięte. Kiedy Maxine odwraca się, by odejść, pojawia się Windust i otwiera.

– Domofon nie działa, nigdy nie działał.

– Dzięki, że mi mówisz.

– Chciałem zobaczyć, jak długo będziesz czekać.

Puste korytarze, zakurzone i mroczne, ciągną się dalej, niż sugerowałyby to zewnętrzne wymiary budynku. Ściany lśnią niezdrowo w szkaradnych odcieniach żółci i brudnej zieleni, kolorów odpadów medycznych... Mogą tam wchodzić wszyscy, od czasu do czasu pojawiają się dzicy lokatorzy, którzy stają na linii wzroku, po czym natychmiast się chowają, niczym cele w strzelance komputerowej. Z podłóg usunięto wykładziny, nikt nie naprawia przecieków. Łuszcząca się farba. W górze brzęczą jasnioletowe świetlówki, które wkrótce się przepalą.

Według Windusta w piwnicach żyją dzikie psy, które wychodzą o zachodzie słońca i w nocy snują się po korytarzach. Pierwotnie sprowadzono je po to, by zmusić ostatnich

lokatorów do wyprowadzki, po czym zostawiono je na miejscu, by radziły sobie same, ponieważ rachunki za karmę Alpo nie zmieściły się w budżecie relokacyjnym.

Znalazłszy się w mieszkaniu, Windust nie traci czasu.

– Kładź się na podłozie. – Wygląda to na rodzaj propozycji erotycznej. Maxine spogląda na niego. – No już!

Czy nie powinna powiedzieć: „Wiesz co, wal się, będziesz miał lepszą zabawę”, a potem wyjść? Nie, natychmiast posłusznie klęka. Szybko, bez dyskusji, nawet nie myśląc o łóżku, z wysoko uniesionym tyłkiem dotyka twarzą dywanu, który nie był odkurzany od miesiący. Windust podciąga jej spódnice, metodycznie rozrywa ostrymi paznokciami cienkie rajstopy, które nie tak dawno wybierała przez dwadzieścia minut w Saks Fifth Avenue, po czym wsadza w nią swojego fiuta z taką łatwością, że musiała być wilgotna, nic o tym nie wiedząc. Jego ręce, ręce mordercy, chwytają ją mocno za biodra, właśnie tam, gdzie trzeba, właśnie tam, gdzie jakiś demoniczny zestaw receptorów nerwowych, z którego dotychczas prawie nie zdawała sobie sprawy, zmienia się w zestaw przycisków na kontrolerze gier... Maxine nie może się zorientować, czy to Windust się porusza, czy ona sama... Oczywiście nie ma się nad czymś zastanawiać, może dopiero później, choć w niektórych kręgach jest to uważane za bardzo istotne...

Stojąc na czworakach na podłozie, z nosem na poziomie kontaktu elektrycznego, Maxine wyobraża sobie przez sekundę, że widzi wielką jasność. Dostrzega kątem oka, jak coś przebiega przez pokój, ma rozmiar myszy, i jest to Lester Traipse, nieśmiała, skrzywdzona duszyczka poszukująca bezpiecznego

schronienia, porzucona, również przez nią. Maxine wyciąga rękę do kontaktu, otwiera w nim przejście, spogląda przeprasząco do tyłu i wślizguje się do niszczącej jasności. Znika.

I krzyczy, choć niezupełnie z powodu Lestera.

\* \* \*

W melancholijnym świetle Maxine patrzy na twarz Windusta, szukając oznak emocji. Jak na szybki numer wszystko było okay, choćby nawet – broń Boże – doszło do czegoś w rodzaju kontaktu wzrokowego. Z drugiej strony przynajmniej użył prezerwatywy – chwileczkę, chwileczkę, odruchy z balu studenckiego mogą nie wystarczyć, czy Maxine znów oblicza zyski i straty?

Za oknem, zamiast szerokiej panoramy światła, z których każde rzuca blask na inny nowojorski dramat, rozciąga się skromny widok – niskie budynki, zbiorniki na wodę na dachach, które po raz ostatni uszczelniali przed kilkoma pokoleniami imigranci, przypominają zabytkowe rakiety wcelowane w niebo, światło sączące się z okien jest przyćmione, blokują je przybite gwoździami narzuty, etażerki pełne porwanych broszurowych książek, tyły telewizorów, żaluzje opuszczone wiele lat wcześniej i nigdy niepodnoszone.

W mieszkaniu jest coś na kształt kuchni z szafkami, w których, zgodnie z tradycją takich miejsc noclegowych, rozgrywają się różne mniej lub bardziej złe rzeczy, znajdują się artykuły żywnościowe pozostawione przez niewidzialny, długi

ciąg komiwojażerów, ludzi na delegacjach i podróżników. Uważali je oni za niezbędne, gdy spędzali tu dłuższy czas, bo nie mieli ochoty wychodzić na ulicę albo nie uzyskali na to pozwolenia... Dziwne rodzaje makaronu, puszki z trudnymi do zidentyfikowania produktami żywnościowymi oraz egzotycznymi fotografiami na etykietach, zupy o nazwach niemożliwych do wymówienia. Tam, gdzie na opakowaniu zwykle są informacje o składnikach, wydrukowano oficjalnie brzmiące klauzule zwalniające producenta od odpowiedzialności za zatrucie. W lodówce Maxine znajduje jednego buraka leżącego na talerzu, można by powiedzieć, ostentacyjnie. Widać ślady błękitnozielonej pleśni, interesujące pod względem wizualnym, ale...

– Pora na kawę?

– W porządku, muszę wracać.

– Jasne, jutro trzeba rano wstać. Ja też powinienem zadzwonić do Dotty.

– Dotty? Kto to?

– Moja żona.

Ach... opóźniona reakcja wewnętrzna, i co z tego? Ile jest tych żon, dwie? Co cię to obchodzi, Maxine? A później bardziej istotne pytanie: czy Windust specjalnie wspomniał o żonie dopiero teraz?

Wyjmuje pojemnik pokryty japońskimi znakami, w którym jest coś w rodzaju wodorostów, i zaczyna jeść, z wyraźnym apetytem. Maxine patrzy, nie odczuwając mdłości, na razie.

– Masz ochotę na te... są... doskonale... Maxine... nie jestem zdenerwowany.

Czy tak wyglądają romantyczne rozmowy? Nie jest zdenerwowany, wyobraźcie sobie. Z drugiej strony, może „przygotowany”? Jakiś tajemniczy powiew wewnętrznego wiatru przynosi zapach 9.30, znów przypominając Maxine dach Deseret i Lestera Traipse’a.

– Mogę być dzisiaj trochę roztargniona. – Maxine nie widzi powodu, by o tym nie wspomnieć. – Stale myślę o pewnej sprawie, w zasadzie to nie moja dziedzina. Może słyszałeś o tym w wiadomościach. Zabójstwo Lestera Traipse’a.

Facet o stalowych nerwach.

– Kogo?

– To się zdarzyło niedaleko mojego domu, w Deseret. Nigdy tam nie byłeś? Bardzo się interesujesz Gabrielem Ice’em, a tak się składa, że należy do niego część budynku.

– Doprawdy?

Czy oczekiwała dramatycznego przyznania się do winy, jak na sali sądowej? Windust wie, że ja wiem, dochodzi do wniosku Maxine, więc na dzisiaj wystarczy.

Łapie taksówkę i jedzie w stronę przedmieść. Windust nie odprowadza jej na dół. Maxine pyta się w duchu: co ja sobie właściwie myślałam, kurwa? Najgorsze, a może najlepsze w tym wszystkim jest to, że nawet teraz wystarczyłoby bardzo niewiele – po prostu obrócić się w srebrzystym świetle, pochylić do przodu, przerwać wrzaskliwą paplaninę w radiu taksówkarza i drżącym głosem poprosić, by zawiózł ją z powrotem do ciemnej, ponurej garsoniery kanciarza i mordercy na kolejną porcję tego samego.

\* \* \*

Maxine zaczyna czytać teczkę, którą dał jej Windust, dopiero wieczorem. Najpierw musi wykonać wiele czynności domowych, które okazały się nagle fascynujące – układa gąbki pod zlewem według rozmiaru i koloru, czyści głowice odtwarzacza wideo specjalną taśmą, przegląda prospekty restauracji z jedzeniem na telefon, by usunąć duplikaty. W końcu bierze teczkę, którą otacza lekka aura punk rocka. Na okładce nie ma tytułu, autora, logo, żadnych identyfikatorów. W środku Maxine znajduje niewielkie dossier, z którego dowiadujemy się natychmiast – najwyraźniej autor uznał to za bardzo ważne – że Gabriel Ice jest z pochodzenia Żydem, a jednocześnie nielegalnie transferuje miliony dolarów amerykańskich na konto w Dubaju, kontrolowane przez Wahhabicki Fundusz Ekumeniczny (FPM), który według dossier zajmuje się finansowaniem działalności terrorystycznej.

„Dlaczego Ice, choć jest Żydem, przekazuje ogromne środki finansowe wrogom Izraela?” – zastanawia się płaczkliwie autor dossier i proponuje następujące wyjaśnienia: ze zwykłej chciwości, jako podwójny agent, jako Żyd nienawidzący swojego żydostwa.

Kilkanaście stron opisuje próby prześledzenia transferów pieniędzy za pomocą hawali odkrytej przez Erica. Pierwszym ogniwem jest firma eksportowo-importowa Bilhana Wa-ashifa w Bay Ridge, która wystawia faktury za towary sprowadzane do Stanów – chałwy, orzeszki pistacjowe, olejek z geranium, groch włoski, kilku rodzajów *ras el hanout*, a także za towary

wysyłane za granicę – telefony komórkowe, odtwarzacze MP3, inne drobne urządzenia elektroniczne, płyty DVD, zwłaszcza stare odcinki *Słonecznego patrolu*. Wszystkie te dane, zebrane przez grupę idiotów, którzy kompletnie nie znają zasad prawidłowej księgowości (GAAP), zgromadzono w jednym miejscu w tak chaotyczny sposób, że po półgodzinie gałki oczne Maxine zaczynają się obracać w przeciwnych kierunkach i nie ma pojęcia, czy dossier jest świadectwem samozadowolenia, czy starannie zamaskowanym przyznaniem się do porażki. Przede wszystkim wygląda na to, że wiedzą o hawali – hej, super. Co jeszcze? Na ostatniej stronie znajduje się nagłówek: „Zalecane działania”, po czym następuje zwykła lista sankcji skierowanych przeciwko hashslingrz: cofnięcie certyfikatu bezpieczeństwa, postawienie zarzutów prokuratorskich, zerwanie pozostałych umów, a także niepokojący przypis: „Opcja X – patrz Instrukcja”. Instrukcji oczywiście nie załączono.

Dlaczego Windust chciał jej to pokazać? Prawdopodobieństwo pułapki ciągle wzrasta. Przed świtem Maxine zasypia i śni jej się powtórka *Trzech kamelii* (1942), z senną wersją Paula Henreida w roli Jerry’ego i Bette Davis w roli Charlotte. Jak zwykle Jerry grzecznie wkłada dwa papierosy do ust i zapala je, ale tym razem, gdy Charlotte ochoczo próbuje wziąć swojego papierosa, Jerry jej go nie daje i pali oba, zadowolony, rozpromieniony, wypuszczając ogromne kłęby dymu, aż wreszcie w jego ustach zostają tylko dwa niedopałki, wiszące na dolnej wardze. Po chwili Charlotte staje się coraz bardziej niespokojna. „Och... och, cóż, oczywiście, jeśli

chcesz...”. Maxine budzi się z krzykiem, mając wrażenie, że coś jest w jej łóżku.

\* \* \*

Odkrywszy, że yuppie kolekcjonerzy są nieskończenie naiwni, gang fałszerzy cygar, prowadzący sklep z tytoniem na West 30th Street, zaczął sprzedawać „przemyczone” kubańskie cygara po dwadzieścia dolarów za sztukę, co było wówczas atrakcyjną ceną, a także „rzadkie, zabytkowe okazy”, w tym rzekome cygara z prywatnych zapasów J.P. Morgana, oryginalne, pogryzione rekwizyty z filmów Groucho Marxa i „prawdziwe unikaty”, na przykład pierwsze cygaro kubańskie Krzysztofa Kolumba, wspomniane przez de las Casasa w *Historia de las Indias*. Niewiarygodne, ale podróbki są kupowane po wysokich cenach, a specjalny fundusz hedgingowy, współpracujący z butikami, wypłaca oszustom olbrzymie sumy, odpisując je jako wydatki na podróże i rozrywkę, po czym osiąga gigantyczną stopę zwrotu, jak nazwałyby to media. Pewnego ranka, kilka dni później, gdy Maxine zajmuje się tą sprawą, toczącą się od wielu lat, pojawia się Daytona, która kiwa głową do przodu i do tyłu, zwracając oczy w dół i w prawo. Maxine przypomina sobie warsztaty neurolingwistyczne, w których uczestniczyła niegdyś w Atlantic City, i zauważa:

- Znowu mówisz do siebie.
- Nie wciskaj mi tego pseudonaukowego gówna. Na pierwszej linii czeka przy telefonie jakiś facet. Zobacz, czy



potrafisz go przegadać.

Obecnie, dzięki swojemu szwagrowi Aviemu, Maxine ma podłączony do telefonu cudowny izraelski analizator mowy, którego algorytmy są ponoć w stanie rozróżnić kłamstwa o charakterze „napastliwym” i „obronnym”, a ponadto zwykłe żarty. Trudno powiedzieć, jaki rodzaj procedury Windust zastosował wobec Daytony, ale cokolwiek go dziś gnębi, na pewno nie jest w żartobliwym nastroju.

– Czytałaś materiał, który ci zostawiłem?

Dlaczego nie mówi: było nam tak fajnie, nie mogę przestać o tobie myśleć i tak dalej? Natychmiast zakończ tę pieprzoną rozmowę, czemu nie? Zamiast tego Pani Milusińska.

– Wiedziałam o większości tych rzeczy, ale dzięki.

– Wiedziałaś, że Ice to Żyd?

– Tak, podobnie jak Superman. I co z tego, przepraszam, czy znowu mamy czterdziesty trzeci rok? Skąd u was ta obsesja na punkcie Żydów?

– Zatrudnił twojego szwagra.

– I co? Chcesz powiedzieć, że Żydzi trzymają się razem? O to chodzi?

– Mossad ma pewne szczególne cechy. Jest sojusznikiem Ameryki, ale tylko do pewnego punktu. Współpracuje, a jednocześnie nie współpracuje.

– Tak, żydowski zen, bardzo pospolity. Al Jolson z pocernioną twarzą, a po chwili śpiewa w świątyni, pamiętasz? Polecam ci lekturę pracy Gershoma Scholema *Major Trends in Jewish Mysticism*, która powinna odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania, a ja będę mogła wrócić do ważnych

zająć: takie telefony utrudniają mi pracę. Chyba że zamierzasz wreszcie powiedzieć, o co ci chodzi.

– Wiemy, ile pieniędzy przekazuje Ice, i jesteśmy prawie pewni, do kogo trafiają. Ale jak na razie mamy tylko osobne wątki. Czytałaś ten dokument, widzisz, jakie to wszystko rozproszone. Potrzebujemy eksperta od dochodzeń w sprawie oszustw, by nadał temu jakiś kształt, nim pójdziemy wyżej.

– Proszę, bardzo się męczę, to cholernie kulawe. Chcesz powiedzieć, że w twojej gigantycznej bazie danych nie ma adresu nawet jednego zawodowego łgarza? Właśnie tym się zajmujecie, to wasza tradycyjna branża. – Staraj się też pamiętać, upomniała siebie Maxine, że to człowiek, który był w Deseret, gdy Lestera Traipse’a wrzucono na dno basenu.

– Ach, jeszcze jedna sprawa... – Niedbałość ciężarówka wywożącej śmieci. – Słyszałaś o Państwowej Szkole Hakerów w Moskwie?

– Nie, hm.

– Według niektórych moich kolegów stworzyło ją KGB. Ciągłe jest częścią rosyjskich służb wywiadowczych i jeden z jej celów to zniszczenie Ameryki za pomocą cyberataków. Wygląda na to, że twoi nowi przyjaciele, Misza i Grisza, niedawno ją skończyli.

Inwigilacja, owszem, można się spodziewać delikatnej rusofobii, ale to wszystko hucpa.

– Nie podoba ci się, że mam kontakty z Ruskimi? Przepraszam, myślałam, że wszystkie te zimnowojenne dramaty już się skończyły. Sugerujesz związki z mafią, tak?

– W dzisiejszych czasach rosyjska mafia i rząd mają wiele wspólnych interesów. Doradzam ci po prostu, żebyś zwracała większą uwagę na to, z kim się zadajesz.

– To gorsze od szkoły średniej, słowo daję. Jedna randka i już myślą, że jesteś ich własnością.

Gwałtowne pstryknięcie i w słuchawce zapada cisza.

## 25

Deseret nagle się ożywia. Dziś wieczorem znów pojawia się ekipa filmowa. Tym razem ma to być jakaś ambasada albo pałac prezydencki w dalekim kraju, wszędzie roi się od statystów w strojach wieczorowych. Przez całą noc okolica jest jasno oświetlona. I cóż tu mówić o *nessuri dorma*?

W domu, w skrzynce pocztowej, czeka na Maxine mała kwadratowa koperta bąbelkowa ze stemplem pochodzącym gdzieś z głębi kontynentu, z jakiegoś stanu, którego nazwa zaczyna się chyba na literę M. Na początku Maxine myśli, że to list od chłopców albo od Horsta, ale w środku jest tylko płyta DVD w plastikowej obwolucie.

Wkłada płytę do odtwarzacza DVD i na ekranie nagle pojawia się ukośny widok dachu na West Side. W dali widać rzekę i Jersey. Ranek, godzina 7:02:00, mniej więcej przed tygodniem, jak wynika z daty na ekranie. Obraz jest przez chwilę nieruchomy, po czym cyferki datownika zaczynają biec do przodu. Słychać niewyraźne dźwięki, dalekie syreny karetek pogotowia, w dole, na ulicy, śmieciarze opróżniają pojemniki, w górze przelatuje helikopter, a może wisi nieruchomo w powietrzu? Film nagrano z wnętrza pomieszczenia, w którym znajduje się zbiornik na wodę, a może zza niego. Na

dachu kuca dwóch mężczyzn z przenośną rakieta ziemia-powietrze, podobną do stingera, i trzeci, który przez większość czasu wrzeszczy do telefonu komórkowego z długą anteną.

Chwilami nie dzieje się nic szczególnego i film się zatrzymuje, a potem pojawia się jakiś ruch i kamera zostaje znowu włączona. Rozmowy słyhać niezbyt wyraźnie, ale mężczyźni mówią po angielsku – akcent wskazuje, że pochodzą nie z Nowego Jorku, tylko ze środkowej części Stanów. Reg (to na pewno Reg) jak za dawnych czasów bawi się zoomem i filmuje każdy odrzutowiec pasażerski pojawiający się na niebie, a następnie kieruje obiektyw na mężczyzn.

Około ósmej trzydzieści kamerzysta zauważa ruch na dachu innego pobliskiego budynku i zaczyna filmować człowieka uzbrojonego w karabin szturmowy AR-15. Mężczyzna przykręca do niego nóżki, kładzie się na brzuchu w pozycji strzeleckiej, wstaje, odkręca nóżki, idzie do balustrady, wykorzystuje ją jako oparcie, krąży po dachu, szukając odpowiedniego stanowiska, aż wreszcie je znajduje. Jego jedynym celem wydają się mężczyźni ze stingerem. Co ciekawe, w ogóle nie próbuje się ukrywać, jakby obsługa wyrzutni zdawała sobie sprawę z jego obecności i w ogóle jej to nie obchodziło.

Chwilę później mężczyzna trzymający komórkę wskazuje ręką niebo i zaczyna się ruch – mężczyźni wcelowują stingera w boeinga 767 lecącego na południe. Namierzają samolot i zachowują się, jakby zamierzali odpalić rakieta, ale tego nie robią. Po chwili maszyna znika za budynkami. Mężczyzna z komórką krzyczy: „W porządku, zwijamy się!”, a pozostali

pakują wyrzutnię i opuszczają dach. Człowiek z karabinem maszynowym również znika. Słyszą tylko szum wiatru, po czym zapada cisza.

Maxine telefonuje do March Kelleher.

– March, możesz publikować filmy na swoim blogu?

– Jasne, pod warunkiem że pliki nie są za wielkie. Mówisz dziwnym tonem, masz coś ciekawego?

– Coś, co powinnaś zobaczyć.

– Przyjeżdżaj.

March mieszka kilka przecznic dalej, między Columbus Avenue a Amsterdam Avenue. Maxine nie pamięta, kiedy była na tej ulicy. Jeśli w ogóle była. Pralnia, hinduska restauracja, której nigdy nie widziała. Dawna kraina *boricua* ciągle istnieje, odrapana i brudna, zepchnięta do wnętrza domów, jej oryginalne teksty są bezlitośnie przepisywane na nowo – gangi lat pięćdziesiątych, handel narkotykami przed dwudziestu laty, wszystko pochłonięte przez publiczną obojętność yuppie, gdy strefa budowy wieżowców, wolna od wszelkich wątpliwości, posuwa się na północ. Któregoś dnia, już wkrótce, będzie to środek miasta, kiedy wszystkie te smutne, ciemne, ceglane budynki, domy zamieszkałe przez ubogich, stare miniaturowe apartamentowce o pretensjonalnych angielskich nazwach, z klasycznymi kolumnami po obu stronach niewielkich ganków, z łukowatymi oknami i wyszukanyymi schodami przeciwpożarowymi z kutego żelaza, szybko pokryją się rdzą, a później zostaną rozebrane. Gruz usuną spychacze i trafi na wysypisko śmieci, gdzie ulegnie zapomnieniu.

Budynek, w którym mieszka March, o nazwie St. Arnold, to średniej wielkości przedwojenny dom mieszkalny, stojący wśród kwartału ulic pełnych eleganckich domów z elewacjami z brązowego piaskowca. Ma on zaniedbany wygląd, sugerujący częste zmiany właścicieli. Dziś przed budynkiem stoi furgonetka ekipy remontowej, w holu pracują malarze i sztukatorzy. Na drzwiach jednej z wind znajduje się informacja, że dźwig jest zepsuty. Maxine zostaje obrzucona wieloma podejrzliwymi spojrzeniami, nim wchodzi do działającej windy. Ochroniarze są bardzo czujni – może to również świadczyć o tym, że lokatorzy zajmują się podejrzanymi interesami i opłacają personel.

March jest w kapciach w kształcie rekinów, mają one w obcasach syntezatory dźwięku i gdy chodzi, wygrywają melodię ze *Szczęk* (1975).

– Gdzie można coś takiego znaleźć? Cena nie gra roli, mogę to odpisać od podatku.

– Spytam swojego wnuka, kupił je z kieszonkowego. Pieniądze Ice’a, ale ponieważ dostało je dziecko, uznałam, że są dostatecznie wyprane.

Idą do kuchni ze starą prowansalską terakotą na podłodze, siadają przy stole z surowej sosny, na którym stoi komputer March i ekspres do kawy. Obok leży stos książek.

– To mój gabinet. Co zdobyłaś?

– Nie jestem pewna. Jeśli to, co widać, jest autentyczne, mamy prawdziwą bombę.

Puszczają dysk. March natychmiast rozumie sytuację, klnie pod nosem, wierci się na krześle i marszczy brwi. Kiedy na

sąsiednim dachu pojawia się mężczyzna z karabinem maszynowym, March pochyla się gwałtownie do przodu, wylewając trochę kawy na drogi egzemplarz „Guardiana” z tego ranka.

– Kurwa, nie wierzę własnym oczom! – mówi, gdy film dobiega końca, i dolewa sobie kawy. – Kto to nakręcił?

– Reg Despard, mój znajomy, dokumentalista przygotowujący film na temat hashslingrz...

– Och, pamiętam Rega, poznaliśmy się w World Trade Center podczas zamieci w dziewięćdziesiątym szóstym roku. Trwał strajk portierów, działy się bardzo dziwne rzeczy, tajemnice, łapówki. Mieliśmy stałą umowę, że jeśli Reg nakręci coś ciekawego, będę mogła pierwsza opublikować film na swoim blogu. Oczywiście jeśli rozmiar pliku nie będzie za duży. Później straciliśmy ze sobą kontakt, ale starzy znajomi zawsze się spotykają. Czy widzisz na tym filmie to samo co ja?

– Ktoś o mało nie zestrzelił samolotu, w ostatniej chwili się rozmyślił.

– Albo to tylko ćwiczenia. Ktoś planuje zestrzelenie samolotu. Powiedzmy, ktoś z sektora prywatnego, pracujący dla obecnych władz amerykańskich.

– Dlaczego mieliby...

Irlandczycy rzadko się modlą w milczeniu, ale wydaje się, że March przez chwilę to robi.

– W porządku, przede wszystkim to może być oszustwo albo pułapka. Udawajmy, że jestem „Washington Post”, okay?

– Jasne. – Maxine wyciąga rękę w stronę twarzy March i udaje, że przewraca kartki.



– Nie, nie, mam na myśli film o Watergate, pamiętasz? Odpowiedzialni dziennikarze i tak dalej. Przede wszystkim ten dysk to kopia, prawda? Czyli oryginalny film Rega mógł zostać przerobiony na wiele sposobów. Datownik w rogu może być fałszywy. Najpierw sfilmowano wszystko bez datownika i dokonano obróbki cyfrowej, dodając różne szczegóły.

– Kto mógłby to sfałszować, jak sądzisz?

March wzrusza ramionami.

– Ktoś, kto chciałby dać kopa w dupę Bushowi, oczywiście przyjmując, że jest jakaś różnica między Bushem a dupą. A może jeden z ludzi Busha chciałby zagrać kartą ataku na samolot, by załatwić kogoś, kto chce załatwić Busha...

– No dobrze, ale przypuśćmy, że to coś w rodzaju próby generalnej. Kim jest mężczyzna z karabinem maszynowym na drugim dachu?

– Pilnuje, żeby zestrzelili samolot?

– A z kim rozmawia facet wrzeszczący do komórki?

– Przepraszam, już ci powiedziałam, co o tym myślę. Faceci ze stingerem mówili po angielsku, sądzę, że to najemnicy. Tak właśnie wygląda ideologia Partii Republikańskiej: prywatyzować, co się da. Kiedy laboratorium federalne oczyści dźwięk i dokona transkrypcji rozmów, ci najemnicy będą mieli wielkie kłopoty, bo nie przeszukali dachu. Jak Reg ci to przekazał, jeśli wolno spytać?

– Znalazłam w swojej skrzynce pocztowej.

– Skąd wiesz, że nakręcił to Reg? Może to robota CIA?

– W porządku, March, to fałszerstwo. Przyszłam do ciebie, żeby ci marnować czas. Co radzisz, nic nie robić?

– Nie, na początek możemy ustalić, gdzie jest ten dach. –  
Znów oglądają film. – Okay, tam jest rzeka... To Jersey.

– Nie Hoboken. Nie ma mostu, więc to miejsce leży na  
południe od Fort Lee.

– Chwileczkę, zatrzymaj film. To port Imperial Marina. Sid  
czasami tam zawija.

– March, nie chcę nawet wymieniać tej nazwy, aż  
przechodzą mnie ciarki, nigdy tam na górze nie byłam, ale  
mam przeczucie, że to dach...

– Nie mów...

– ...dach tego pieprzonego...

– Maxi?

– Deseret.

March wpatruje się w ekran.

– Trudno powiedzieć, brakuje oczywistego punktu  
odniesienia. To może być jeden z tuzina budynków w tej części  
Broadwayu.

– Reg obserwował Deseret. Tam nakręcono ten film, wierz  
mi. Jestem tego pewna.

Ostrożnie, jak do wariatki.

– A może po prostu chcesz, żeby to był Deseret?

– Dlaczego?

– Tam znaleziono Lestera Traipse'a. Może chcesz wierzyć,  
że jest jakiś związek.

– Może jest, March. To miejsce od lat przyprawia mnie  
o koszmary i nauczyłam się im ufać.

– Można dość łatwo sprawdzić, czy to ten sam dach.

– Często korzystam tam z windy towarowej. Załatwię ci wejściówkę na basen, a potem spróbujemy się dostać na dach.

\* \* \*

March i Maxine pokonują labirynt pustych korytarzy, po czym wychodzą na otwartą przestrzeń w pobliżu pomostu między dwiema częściami budynku. W tym miejscu łatwo można sobie wyobrazić nastolatków szukających przygód, sekretne schadzki kochanków, złoczyńców uciekających z łupem. March i Maxine idą pomostem do metalowych stopni, czując zawroty głowy, i wreszcie docierają na dach. Owiewa je chłodny wiatr.

– Popatrz! – Maxine chowa się za kominem. – Mężczyźni z metalowymi przedmiotami.

March kuli się obok.

– Tak, widzę.

– Czy to znowu ci faceci od stingera? Co oni niosą?

– To nie wygląda jak rakietka. Nie prościej byłoby spytać?

– Czy jestem twoim mężem, a to stacja benzynowa? Idź, jeśli masz ochotę.

Wstają, gdy z windy wychodzi kolejna grupka.

– Zaczekaj. – March poprawia ciemne okulary. – Znam tę dziewczynę, to Beverly ze Stowarzyszenia Lokatorów.

– March! – Zbyt gwałtowne skinienie dłonią, świadczące o działaniu leków dostępnych tylko na receptę. – Cieszę się, że cię widzę!

– Co się dzieje, Bev?

– Znowu ci cholerni właściciele. Nic nikomu nie mówiąc, wynajęli część dachu firmie telekomunikacyjnej. Ci goście – wskazuje grupę robotników – zamierzają zainstalować antenę telefonii komórkowej, która napromieniuje mikrofalami całą okolicę. Po pewnym czasie nasze mózgi będą świecić w ciemności!

– Jestem z wami, Bev.

– March, eee...

– Daj spokój, Maxi, przecież ty też tu bywasz...

– Tak, ale krótko. Jesteś mi winna kolejną wycieczkę w dziwne miejsce.

Oczywiście okazuje się, że „krótko” to cały dzień spędzony na dachu. Za każdym razem, gdy Maxine zamierza odejść, dochodzi do kolejnego minikryzysu: instalatorzy, inspekcja budowlana, zarządcy budynku, z którymi trzeba się wyklócać. Później pojawia się ekipa telewizyjna, która kręci krótki film, a po niej następnymi są adwokaci, spóźnieni uczestnicy pikiet, przypadkowi obserwatorzy i poszukiwacze sensacji. Pojawiają się, znikają, każdy ma coś do powiedzenia.

Powoli mija popołudnie i Maxine nie ma nawet ochoty patrzeć na zegarek. March nagle sobie przypomina, że powinny szukać jakichś śladów, pochyla się i podnosi coś w rodzaju nakrętki, poszarzałej, o średnicy około dwóch, dwóch i pół cala. Gdzieś widać wgniecenia, spłowiałe napisy wykonane markerem. Maxine zaczyna się przyglądać.

– Co to takiego, arabski?

– Wygląda jak coś związanego z wojskiem, prawda?

– Posłuchaj... Czy miałybyś coś przeciwko temu, gdybym to pokazała Igorowi? To tylko przeczucie.

– Igor może być szefem organizacji przestępczej, zdajesz sobie z tego sprawę?

– Pamiętasz tego bydlaka Kriechmana?

– Jasne. Kiedy się po raz pierwszy spotkałyśmy, dałaś mu nieźle w kość.

– Kilka lat później, niewątpliwie z powodów biznesowych, Igorowi coś się nie spodobało, pojechał do Pound Ridge i wpuścił piranie do basenu doktora.

– I na zawsze zostali najlepszymi przyjaciółmi?

– Doktor zrozumiał, o co chodzi, uspokoił się i od tego czasu jest bardzo grzeczny. Dlatego zaczęłam uważać Igora za kogoś w stylu dobrodusznego mafiosa, dla którego nieruchomości to tylko zajęcie uboczne.

\* \* \*

Spotykają się w zile, który jedzie przez Manhattan, w przerwie między podejrzanymi interesami.

– Jasne, kawałek historii, część wyrzutni stingera. Osłona pojemnika chłodzącego akumulator.

– Kiedyś strzelano do was stingerami – zauważa w zamyśleniu Maxine.

– Do mnie i moich przyjaciół, ale nie biorę tego do siebie. Kiedy opuściliśmy Afganistan, stingery zostały u mudżahedinów, trafiły na czarny rynek, wiele odkupiło z powrotem CIA. Zaaranżowałam kilka transakcji, CIA nie

liczyło się z pieniędzmi, można było dostać nawet sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów za sztukę.

– To było dawno temu – mówi Maxine. – Są jeszcze jakieś?

– Mnóstwo. Na całym świecie nawet sześćdziesiąt, siedemdziesiąt tysięcy, a do tego chińskie podróbki. W USA raczej niewiele, więc ten egzemplarz jest dość ciekawy. Wolno spytać, gdzie go znalazłyście?

March i Maxine wymieniają spojrzenia.

– To nie zaboli? – pyta Maxine.

– Kiedy ostatni raz ktoś to mówił...

– Same wiecie, że chcecie mi powiedzieć. – Igor promienieje.

Mówią mu i pokrótce opisują DVD.

– Kto nakręcił ten film?

Okazuje się, że Reg i Igor robili razem interesy. Po raz pierwszy spotkali się w Moskwie w okresie apogeum panującej w Stanach mody na adopcję rosyjskich dzieci, kiedy Reg filmował niemowlęta, by amerykańscy pediatrzy mogli je ocenić i przedstawić opinię przyszłym rodzicom. W tej branży istnieją wielkie możliwości oszustw, toteż chodziło o to, by dzieci nie pozowały nieruchomości do zdjęć, tylko się ruszały – sięgały po zabawki, przekręcały się na bok, raczkowały, co wymagało ze strony Rega jakichś działań, a przynajmniej aktywności.

– Zainwestowałem w kilka jego projektów, bardzo sympatyczny młody człowiek. Uwielbiał kino rosyjskie. Poznałem go na bazarze Gorbuszka, kupował tony filmów na DVD, oczywiście piractwo, ale nie filmy amerykańskie, tylko

rosyjskie: Tarkowski, Dżiga Wiertow, *Dama z pieskiem*, nie wspominając o najlepszym filmie animowanym, jaki kiedykolwiek nakręcono, *Jezyk we mgle* (1975).

Maxine słyszy gwałtowne pociąganie nosem i spogląda na przednie siedzenie. Misza i Grisza mają łzy w oczach i drżą im dolne wargi.

– Ach, im też się podobał?

Igor niecierpliwie kręci głową.

– Jeże to Rosja, nie pytaj.

– Co znaczy napis na nakrętce pojemnika, potrafisz go przeczytać?

– Po pasztuńsku, „Bóg jest wielki”, może autentyk, a może fałszerstwo CIA, by wyglądało to na mudzahedinów i maskowało ich operację.

– Skoro już o tym mowa, chciałabym...

– Czytam w twoich myślach. Nóż Specnazu, tak?

– Z latającym ostrzem, które podobno zabiło Lestera Traipse’a...

– Biedny Lester... – Dziwna mieszanina współczucia i groźby na twarzy Igora.

– Ach. A więc robiłeś interesy również z Lesterem? Wszystko się zgadza. Ta historia z nożem to oszustwo, jak się domyślam.

– Specnaz nie strzela nożami, tylko je rzuca. Noże pneumatyczne to broń dla frajerów, nie potrafią rzucać, boją się podejść, chcą uniknąć huku wystrzału. Poza tym... – Igor udaje, że się waha. – Ostrze, które wyciągnęli z Lestera... W porządku, mój daleki kuzyn pracuje w laboratorium policyjnym, widział je

w magazynie dowodów rzeczowych. Domyślasz się? To jakaś zasrana podróbka, nawet nie wschodniemiecka, może chińska, może nawet tańsza. Miejmy nadzieję, że kiedyś ci powiem coś więcej, ale to jeszcze nie historia, jak mówią Flinstonowie. W tej chwili można się na tym nieźle sparzyć.

– Mów mi to, co uważasz za stosowne, jasne. Ale co mamy zrobić z rakieta? Z tym supernowoczesnym głównem na dachu? „Przypuśćmy, że w środku jest zegar”?

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym obejrzał DVD? Zwykła nostalgia, rozumiesz.



## 26

Dzwoni Cornelia i – tak jak poprzednio groziła – chce iść na zakupy. Maxine spodziewa się, że do Bergdorfa albo Saks Fifth Avenue, ale Cornelia wpycha ją do taksówki i już po chwili jadą do Bronxu.

– Zawsze chciałam iść na zakupy do Loehmanna – wyjaśnia Cornelia.

– Ale nigdy cię tam nie wpuszczą, bo ty przecież... Czy nie musi ci towarzyszyć jakiś Żyd?

– Obrażam cię.

– Nic osobistego. Trochę historii, to wszystko. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, że to nie jest ten legendarny Loehmann? Tamten się przeprowadził, dawno temu, chyba pod koniec lat osiemdziesiątych.

Kiedy Maxine i Heidi były dziewczynkami, sklep znajdował się ciągle na Fordham Road i mniej więcej co miesiąc zabierały je tam matki, by nauczyły się robić zakupy. W tamtych czasach u Loehmanna nie istniała możliwość zwrotu zakupionych towarów, więc nie wolno było popełniać pomyłek. Okazało się to dobrą szkołą, która wyrabiała dyscyplinę i refleks. Heidi miała do tego talent, jakby w poprzednim życiu była supergwiazdą handlu ciuchami.

– Dziwnie dobrze się tu czuję, taka naprawdę jestem, nie potrafię tego wytłumaczyć.

– Ja potrafię – powiedziała Maxine. – Masz obsesję kupowania.

Dla Maxine nigdy nie była to dobra zabawa. Wspólna przebieralnia nie zapewniała prywatności: roilo się w niej od mniej lub bardziej roznegliżowanych kobiet w różnych humorach, przymierzających stroje, z których połowa nie pasowała. Mimo to chętnie udzielały rad na temat mody każdemu, kto wydawał się ich potrzebować, czyli wszystkim. Przypominało to szatnię w szkole Julii Richman w dawnych czasach, tylko bez zawiści i paranoi. A teraz ta nosząca perły, elegancka kobieta chce znowu tam zaciągnąć Maxine.

Nowa siedziba sklepu Loehmanna znajduje się bardziej na północ, na terenie dawnego lodowiska, prawie w Riverdale. Wokół rozlega się nieubłagany ryk autostrady Deegan, a Maxine musi się powstrzymać, by nie krzyknąć ze zdumienia. Wszystko jest prawie takie samo: niekończące się pasażerki ze stosami pomiętych ubrań i przymierzalnia na tyłach, gdzie klientki popełniają te same błędy, kupując koszarne suknie balowe, i gdzie wszędzie walają się cekiny. Jednak Cornelia natychmiast wpada w zachwyt.

– Och, Maxi! Fantastyczne miejsce!

– Tak, cóż...

– Spotkajmy się przy kasie, powiedzmy koło pierwszej, pójdziemy na lunch, dobrze?

Cornelia znika wśród wyziewów substancji, którymi dystrybutorzy pochodnych formaldehydu nasączają ubrania, by

pachniały w ten sposób, a Maxine wychodzi z powrotem na dwór. Nie ma klaustrofobii, lecz nie może znieść poczucia *déjà vu*. Znalazłszy się na ulicy, rozgląda się dokoła i przypomina sobie, że nieco dalej przy Deegan, tuż za granicą Yonkers, jest strzelnica dla kobiet o nazwie Sensibility, za której korzystanie niedawno zapłaciła roczny abonament. A tak się składa, że wybierając się do sklepu Loehmanna, pamiętała, by wziąć ze sobą beretkę.

Hej, Cornelia będzie siedzieć w sklepie przez wiele godzin. Maxine łapie taksówkę, z której akurat wysiadają pasażerowie, i dwadzieścia minut później jest już na strzelnicy. Stoi na linii ognia, w okularach, z ochraniaczami na uszach, ładuje pistolet nabojami wyjmowanymi z kubka i strzela do tarczy. Gracze komputerowi walczą z zombie, Han Solo z myśliwcami TIE, Elmer Fudd z nieuchwytnym królikiem, ale dla Maxine najważniejszym przeciwnikiem zawsze była papierowa tarcza strzelecka, nazywana przez gliniarzy „bandziorem”, tym razem w kolorach fuksji i jasnej zieleni. Postać na tarczy wygląda jak starzejący się młodociany przestępca – ma błyszczące włosy, obcięte w stylu końca lat pięćdziesiątych, wykrzywioną twarz i zmrużone oczy krótkowidza. Dzisiaj, chociaż tarcza znajduje się w maksymalnej odległości, Maxine kilkakrotnie trafia w głowę, pierś, a także w rejon krocza – kiedyś miała pewne skrupuły, ale później doszła do wniosku, że duża liczba fałd w tym rejonie stanowi zaproszenie do strzelania również w to miejsce. Przez pewien czas ćwiczy podwójne strzały i udaje – to dość zabawne – że strzela do Windusta.

Wychodząc, zamawia w holu taksówkę z automatu telefonicznego i nagle zauważa swojego starego wspólnika w kradzieży wina, Randy'ego, którego ostatnio widziała, gdy odjeżdżał z parkingu obok latarni morskiej w Montauk. Wygląda dziś na nieco zamyślonego. Siadają na kanapie pod gigantycznym fotosem przedstawiającym pierwszą scenę z filmu *List* (1940), kiedy Bette Davis pakuje sześć kul w Davida Newella, którego nazwiska nie wymieniono w czołówce, ale być może został on doceniony.

– Wiesz, co zrobił ten sukinsyn Ice? Zakazał wpuszczać mnie do domu. Ktoś musiał sprawdzić stan zapasów wina. Znaleźli numery mojego samochodu na nagraniu z kamery przemysłowej.

– O kurwa! Mam nadzieję, że nie pójdą z tym na policję.

– Jak dotąd nie poszli. Prawdę mówiąc, i tak mam ochotę się stąd wynieść. Słyszałem ostatnio bardzo dziwne rzeczy. – Tajemnicze światła w środku nocy, goście z niesamowitymi oczami, czeki, które zostają odrzucone i wracają, całe pokryte nieczytelnym pismem. – W Montauk pojawiły się nagle ekipy telewizyjne z kanałów poświęconych zjawiskom paranormalnym. Gliniarze mają mnóstwo roboty, pracują nad kilkoma tajemniczymi wydarzeniami, w tym nad pożarem w domu Bruna i Shae. Słyszałaś już o starym Willym Westchesterze, co?

– Podobno ostatnio się ukrywał.

– Jest teraz w Utah.

– Co takiego?

– Cała trójka, dostałem wczoraj list, zamierzają wziąć ślub. Wszyscy razem.

– Romantyczna ucieczka kochanków?

– Masz, sama zobacz. – Zaproszenie z rysunkiem przedstawiającym kwiaty, dzwony weselne, amorki i z trudnym do odczytania napisem złożonym hipisowską czcionką.

Maxine zaczyna odczuwać mdłości i czyta tylko tyle, ile musi.

– To zaproszenie na ich ślub, Randy?! W stanie Utah troje ludzi może legalnie zawrzeć małżeństwo?

– Prawdopodobnie nie, ale wiesz, jak to jest, spotykasz kogoś w barze, bardzo szybko wzrasta poziom idiotyzmu, zwariowane, impulsywne dzieciaki wpadają na głupie pomysły i tak to się kończy.

– Zamierzasz uczestniczyć w tej, ach, uroczystości?

– Bardzo trudno wymyślić jakiś prezent. Zestaw kąpielowy dla dwóch mężczyzn i kobiety? Potrójna saszetka?

– Komplet kuchenny złożony z trzydziestu elementów.

– No właśnie. Na pewno wysłano za nimi federalny list gończy, mogłabyś szybko zarobić trochę kasy, poleciałabyś tam, a ja robiłbym za mięśniaka.

– Nie jestem łowczynią nagród, Randy, tylko audytorką, która trochę się dziwi, że ten związek przetrwał dziesięć minut po zamrożeniu pieniędzy. Tak naprawdę uważam to za zabawne. Chyba się upodabnam do swojej matki.

– Taaa... Shae i Bruno bardzo pomogli staremu Willy'emu. Jeśli ktoś gorzknieje z powodu przykrych przeżyć, później łatwo daje się nabrać.

– W mojej branży ludzie najpierw dają się nabrać, a potem gorzknieją. – Maxine ma większe doświadczenie niż Randy.

Wraca do sklepu Loehmanna w chwili, gdy Cornelia wyłania się z tłumu kobiet na zapleczu, które grzebią w stosach przecenionych ubrań, zerkając z powątpiewaniem na metki znanych projektantów i rozmawiając przez telefony komórkowe z nastoletnimi córkami o rozmiarze zero. Maxine dostrzega u Cornelii oznaki ZSW, czyli zespołu stuporu wyprzedażowego.

– Jesteś głodna, znajdziemy jakiś bar, zanim zemdlejesz – mówi i wychodzą, by zjeść lunch.

Maxine przypomina sobie, że w rejonie starej Fordham Road można było kiedyś dostać przyzwoite żydowskie pierogi, klasyczny krem jajeczny. W tym miejscu znajduje się Domino's Pizza i McDonald's, a także rzekome żydowskie delikatesy Bagels 'n' Blintzes. Cornelia oczywiście robi tam zakupy na lunch – niewątpliwie dowiedziała się o tym sklepie z jakiegoś newslettera Junior League. Wreszcie siadają przy stoliku, otoczone stosami toreb z zakupami Cornelii, których określenie słowem „impulsywne” wydaje się zbyt łaskawe.

Przynajmniej nie jest to jakaś herbaciarnia w środku miasta. Kelnerka, Lynda, klasyczna weteranka, słucha Cornelii przez dwie sekundy i zaczyna mrużyć: „Czy ona uważa mnie za swoją pokojówkę?”. Tymczasem Cornelia z naciskiem prosi o „żydowski” chleb żytni do pastrami z indyka i wołowiny. Pojawiają się kanapki.

– Jest pani zupełnie pewna, że to żydowski chleb żytni?

– Zapytam o to. – Lynda unosi kanapkę do swojej twarzy. – Halo, jesteś Żydem? Klientka chce to wiedzieć, nim cię zje. Co takiego? Nie, to goj, nie mają koszernych, więc chyba trzeba się tym zadowolić. – I tak dalej.

Maxine nalewa Cornelii szklanę Dr. Brown's Cel-Ray.

– Popatrz, to żydowski szampan.

– Interesujący, jakby półwytrawny... Przepraszam, Lyndo, czy ma pani bardziej wytrawny?...

– Tss! – wtrąca Maxine, ale Lynda rozumie, że to żart, i ignoruje pytanie Cornelii.

W czasie lunchu Maxine poznaje historię małżeństwa Słagiattów. Cornelia i Rocky natychmiast poczuli do siebie perwersyjny pociąg, choć okazało się to nie tyle miłością od pierwszego wejrzenia, ile raczej klasycznym nowojorskim obłędem udzielonym – Cornelia była oczarowana perspektywą wejścia do rodziny imigrantów, spodziewając się znaleźć Śródziemnomorską Duszę, znakomitą kuchnię, pozbawiony zahamowań kontakt z życiem, w tym niewyobrażalne życie seksualne w stylu włoskim, gdy tymczasem Rocky marzył o wtajemniczeniu w misteria elegancji, sekrety modnego ubioru i dobrych manier, o obracaniu się wśród śmietanki towarzyskiej, a ponadto o nieograniczonym dostępie do starych pieniędzy, by móc się zadłużać, nie martwiąc się zbyt o spłatę długów, przynajmniej nie w sposób, do jakiego był przyzwyczajony.

Można sobie wyobrazić ich przerażenie, gdy poznali prawdę. Rocky odkrył, że rodzina Cornelii nie ma nic wspólnego z dynastią bogaczy z filmów nadawanych w Channel

13. Zrozumiał, że Thrubwellowie to banda dłubiących w nosach prymitywów, których wyczucie mody i umiejętności konwersacyjne są tak nędzne, jakby wychowali się w lesie. Majątek okazał się fikcją, wszystkie ich aktywa zostały ledwo odnotowane przez firmę Dun & Bradstreet. Cornelia była równie wstrząśnięta, gdy spostrzegła, że Słagiattowie, w większości mieszkający na archipelagu przedmieść na wschód od Nassau, nie mają nic wspólnego z włoską kuchnią, chyba że zamawiają pizzę w Pizza Hut, a ponadto nie są wcale miłymi ludźmi, nawet między sobą. Na przykład karcili dzieci nie za pomocą dobroduszných okrzyków i klapsów, jak można by oczekiwać po ludziach, którzy spędzili dzieciństwo w klubie Thalia, oglądając neorealistyczne filmy – czynili to w milczeniu, w sposób chłodny, ponury, wręcz patologiczny.

Już podczas miesiąca miodowego na Hawajach Rocky i Cornelia spoglądali na siebie wzrokiem, który mówił: „Co myśmy właściwie zrobili?”. Ale Hawaje to niebiańska kraina, w której zamiast harf grają ukulele, a niebo ma swoje prawa. Pewnego wieczoru, gdy obserwowali postkoitalny zachód słońca, Rocky powiedział:

– Amerykańskie laski, cóż... – W jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju podziwu.

– Jesteśmy niebezpiecznymi kobietami. Mamy własny syndykat zbrodni, wiesz.

– Hę?

– Nazywa się mufia.

Pojawiło się między nimi coś w rodzaju współczucia. Cornelia dramatycznie podkreślała, że dla Thrubwellów



większość amerykańskiej śmietanki towarzyskiej to parweniusze i imigranci, a tymczasem Rocky śpiewał *Donna non vidi mai*, podglądając ją pod prysznicem i często jedząc przy tym sycylijską kanapkę. Zbliżyli się do siebie, a jednocześnie zrozumieli, że udają.

– Twój mąż na pewno jest bardzo wielki – domyśla się Maxine.

– W dzielnicy koreańskiej mówią, że jest formatu 4-D. A poza tym ma także zdolności telepatyczne. Uważa, że wpadłaś w tarapaty, ale nie chce się wtrącać. – Cornelia unosi brwi w sposób charakterystyczny dla białych Amerykanek, może jest to cecha genetyczna, współczucie z podtekstem zażenowania, że trzeba się zająć kolejnym nieudacznikiem...

Mimo to nadarza się okazja, by zbadać, czy nie da się wykorzystać znajomości z Cornelią.

– Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale sprawa dotyczy filmu wideo, który dostałam. Nawet się nie zastanawiam, czy mam się tym martwić, to kwestia polityczna w najgorszy możliwy sposób, może wręcz międzynarodowa, i sądzę, że w tej chwili przydałaby mi się dobra rada.

Cornelia nie waha się ani przez chwilę.

– W takim razie powinnaś się skontaktować z Chandlerem Platem, genialnie potrafi wszystko załatwić i jest bardzo miły.

Rada Cornelii sprawia, że Maxine słyszy dzwonki alarmowe, ponieważ, jeśli się nie myli, zetknęła się już z Platem, ważniakiem w świecie finansów, znanym jako lobbysta z dościami na wysokich szczeblach władzy, posiadającym znakomite wyczucie swoich interesów – równie

precyzyjne jak mapa sztabowa używana w artylerii. W ciągu ostatnich lat on i Maxine spotykali się na różnych uroczystościach w połowie drogi między hojnością East Side a poczuciem winy West Side. Maxine przypomina sobie teraz, że kiedyś Chandler chwycił ją za cycek, chyba odruchowo, gdzieś w szatni, nie mając nic złego na myśli. Maxine wątpi, czy on w ogóle to pamięta.

Cóż, są lobbyści i lobbyści.

– Czy jego geniusz jest tak wielki, że potrafi oszukiwać?

– Ach, można mieć taką nadzieję, jak mawiał Ojciec Chrzestny.

\* \* \*

Chandler Platt ma obszerne narożne biuro w centrum miasta, w siedzibie ekskluzywnej kancelarii adwokackiej Hanovera i Fiska, przeszklone pomieszczenie w jednym z wieżowców na Sixth Avenue, z widokiem, który wywołuje złudzenia majestatu. Osobna winda, ruch klientów kontrolowany w taki sposób, że nie można się zorientować, jakimi kwotami się tu obraca, o nie, wróć, jakie interesy się tu robi. Dominujące kolory to ciemny bursztyn i intensywna czerwień. Młodziutki azjatycki stażysta prowadzi Maxine przed oblicze Chandlera Platta, który siedzi za biurkiem wykonanym z agatisu nowozelandzkiego, drzewa liczącego czterdzieści tysięcy lat. Biurko przypomina bardziej nieruchomość niż mebel, a przypadkowy obserwator, nawet zupełnie normalny, zaczyna się zastanawiać, ilu sekretarzy mogłoby się zmieścić

pod spodem i w jakie udogodnienia je wyposażono – toaletę, dostęp do internetu, materace pozwalające pracować na zmianę? Tym niezdrowym fantazjom sprzyja uśmiech na twarzy Platta, lubieżny, a zarazem dobroduszny.

– Miło, że pani przyszła, pani Loeffler! Jak dawno się nie widzieliśmy?

– Och... może cały wiek?

– Czy nie w San Remo na imprezie z udziałem Eliota Spitzera?

– Możliwe. Nigdy nie zauważyłam pana na konwencji zwolenników Partii Demokratycznej.

– Och, Eliot i ja znamy się od bardzo dawna. Od czasów pracy w Skadden, Arps, może nawet dłużej.

– Teraz jest prokuratorem generalnym i próbuje dobrać się wam do skóry jak kiedyś mafii. – Jakby istniała jakaś różnica, myśli Maxine i dodaje: – Ironia, prawda?

– Koszty, zyski. W ogólnym rozrachunku nie traktuje nas źle, pomijając pewne sprawy, które mogą okazać się przykre.

– Cornelia sugerowała, że ma pan przyjaciół po obu stronach sceny politycznej.

– W dłuższej perspektywie etykiety mają mniejsze znaczenie niż to, czy wszyscy są zadowoleni. Niektórzy z tych ludzi stali się moimi dobrymi przyjaciółmi w przedinternetowym znaczeniu tego słowa. Na pewno Cornelia. Dawno temu przez krótki okres zalecałem się do jej matki, która miała dość rozsądku, by dać mi kosza.

Maxine przyniosła DVD Rega i niewielki odtwarzacz firmy Panasonic, a Platt, niezbyt zorientowany w położeniu gniazdek,

pozwała jej go włączyć. Patrzy na niewielki ekran w taki sposób, że Maxine czuje się jak wnuczka pokazująca dziadkowi muzyczne wideo. Ale kiedy pojawia się grupa ze stingerem, Platt mówi:

– Ach, proszę zaczekać! Czy ten guzik to pauza? Miałyby pani coś przeciwko temu...

Maxine zatrzymuje film.

– Jakież problemy?

– Ta broń... stinger lub coś w tym rodzaju. Trochę nie moja specjalność, mam nadzieję, że pani to rozumie...

Gdyby Maxine chciała krążyć wokół tematu, trwałoby to bardzo długo.

– Jasne, zapomniałam, że wy wolicie się posługiwać karabinem Mannlicher-Carcano.

– Jackie i ja byliśmy serdecznymi przyjaciółmi – odpowiada chłodno Platt. – Nie jestem pewien, czy nie mam się obrazić.

– Niech się pan obraża, proszę, wiem, że to była pomyłka.

Maxine wstaje, bierze swoją torebkę Kate Spade i zauważa jej nietypową lekkość. Naturalnie tego kurewskiego dnia powinna wziąć ze sobą berettę. Wyciąga rękę, by wyjąć z odtwarzacza płytę DVD. Tymczasem Platt nagle się uspokaja: odruch człowieka mającego nawyki dyplomaty albo samokontrola charakterystyczna dla członka amerykańskiej białej elity. „Ależ proszę...”, mruczy, po czym naciska ukryty guzik i do gabinetu natychmiast wchodzi stażysta z dzbankiem kawy i ciasteczkami. Maxine zastanawia się, czy Platt zatrudnia byłych harcerzy. Prawnik obserwuje w milczeniu resztę filmu przedstawiającego akcję na dachu.

– Cóż, prowokujące. Zechce pani zaczekać kilka minut?

Wychodzi do pomieszczenia obok i zostawia ją ze stażystą, który stoi w drzwiach i patrzy. Maxine miałaby ochotę powiedzieć, że jego wzrok jest nieprzenikniony w typowo azjatycki sposób, ale takie stwierdzenie byłoby rasistowskie. Nie zamierza jeść ciasteczek, nie znając pełnej listy składników.

– Jak się panu podoba praca? To pierwszy krok w karierze prawniczej, tak?

– Mam nadzieję, że nie. Tak naprawdę jestem raperem.

– Jak Jay Z?

– Cóż, bardziej w stylu Nasa. Pewnie pani wie, że w tej chwili trwa walka, stary spór między Queens a Brooklynem. Nie mam ochoty stawać po żadnej stronie, ale... *The World Is Yours*, to przecież fantastyczne!

– Występuje pan publicznie, na przykład w klubach?

– Tak. Niedługo będę miał występ, niech pani posłucha. – Wyjmuje podróbkę syntezatora TB-303 z wbudowanymi głośnikami, podłącza do kontaktu i zaczyna regulować natężenie basów. – To ja.

*Tryin to do Tupac and Biggie thanks  
With red velvet Chairman Mao piggy banks,  
like Screaming Jay in Hong Kong  
jumpin to wrong conclusions  
old-movie confusions, yo who be dat  
Scandinavian brand of Azian  
ya dig wid some Sigrid be  
the daughter of Kublai Khan,  
Warner Oland, Charlie Chan, General Yan  
bitter tea, for her stupidity pullin rank  
Bette Davis shanked by Gale Sondergaard*

*like they was on the yard  
or down in some forgotten cell  
far, far from the corner of  
Mott and Pell...*

*(Rapuję jak Tupac i Biggie czerwoną pluszową skarbonką  
W kształcie przewodniczącego Mao,  
jak Screaming Jay w Hongkongu  
wyciągnął błędne wnioski,  
stare filmy, pokręcone, co to za  
skandynawscy Azjaci,  
jakaś Sigrid, kapujesz,  
córka Kubilaja,  
Warner Oland, Charlie Chan, generał Yan,  
gorzka herbata, głupota nosa zadziera,  
Bette Davis zadżgana przez Gale Sondergaard,  
jak w mamrze,  
a może zapomnianej celi,  
daleko, daleko od skrzyżowania  
ulic Mott i Pell...)*

– Tak, och, Darren – mówi nieco obcesowo Chandler Platt, który wraca do gabinetu. – Czy przy okazji mógłbyś przynieść mi kopię akt sprawy Brauna i Fleckwitha? I wezwać Hugh Goldmana?

– Jasne, tak. – Stażysta wyłącza odtwarzacz cyfrowy i idzie w stronę drzwi.

– Dzięki, Darren. – Maxine się uśmiecha. – Ładna piosenka, sądząc na podstawie tej odrobiny, którą pan Platt pozwolił mi usłyszeć.

– Tak naprawdę jest niezwykle tolerancyjny. Nie wszyscy ludzie o jego profilu społecznym przepadają za tym, co nazywamy „gangsta rap”.

– Eee... zdaje się, że zauważyłam kilka... nie jestem pewna... podtekstów rasowych...

– To na wszelki wypadek. Usłyszę parę uwag o wstrętnych żółtkach, ale mam to w nosie. – Wręcza jej płytkę w ozdobnym opakowaniu. – Mój miks, niech się pani dobrze bawi.

– Rozdaje je za darmo. – Chandler Platt mruga w regularnych odstępach i bez żadnego powodu, niczym bohaterowie niskobudżetowych kreskówek. – Kiedyś popełniłem błąd i spytałem, jak zamierza zarabiać pieniądze. Odpowiedział, że nie o to chodzi, ale nie wyjaśnił, o co chodzi. Szczerze mówiąc, jestem przerażony, to uderzenie w samo serce giełdy. – Sięga po ciasteczko czekoladowe i przygląda mu się. – Kiedyś, gdy zaczynałem pracować w branży, „bycie republikaninem” oznaczało po prostu chciwość z zachowaniem pewnych zasad. Załatwiało się wszystko w taki sposób, że ty i twoi przyjaciele dobrze zarabialiście, postępowaliście profesjonalnie, a głównie pracowałeś ciężko i brałeś pieniądze, jeśli je uczciwie zarobiłeś. Cóż, w tej chwili nasza partia przeżywa ciężkie dni. To pokolenie... jest w tym coś prawie religijnego. Rok dwutysięczny, nadchodzący koniec świata, nikt nie czuje odpowiedzialności za przyszłość. Zdjęto im z barków ciężar. Dzieciątko Jezus zarządza portfelem ziemskich spraw i nikt nie żałuje mu odsetek... – Nagle Platt gwałtownie wsadza sobie do ust ciasteczko, rozrzucając wokół okruchy. Nie wygląda to grzecznie, szczególnie z punktu widzenia ciasteczka. – Nie skusi się pani? Są bardzo... Nie? W porządku, a czy nie ma pani nic przeciwko temu, że ja... – Chwyta następną ciasteczkę, dwa lub trzy. – Przed chwilą rozmawiałem z paroma ludźmi.

Bardzo dziwne, muszę przyznać. Ale zaraz zrozumieli, o co chodzi.

– Nie była to więc standardowa korporacyjna gadanina.

– Nie, coś innego, coś... szczególnego. Nie otwarcie, nie wprost, ale jakby...

– Proszę zaczekać. Jeśli nie chce mi pan powiedzieć...

– Jakby już wiedzieli, co się stanie. To... wydarzenie.

Wiedzą, ale nie zamierzają przeciwdziałać.

Czy to jeszcze jedno ćwiczenie w napędzaniu stracha prostym ludziom, żeby płaczkliwie prosili o opiekę? Jak bardzo ma się przestraszyć Maxine?

– Mam nadzieję, że nie wpakowałam pana w kłopoty.

– Kłopoty. – Maxine uważa, że widziała już większość min wyrażających rozpacz u ludzi o tym poziomie dochodów, ale to, co przemyka przez twarz Platta, jest dla niej czymś zupełnie nowym. – Kłopoty z tymi typami? Tak naprawdę trudno powiedzieć. Gdyby miało się zdarzyć coś nieprzyjemnego, całkowicie polegam na młodym Darrenie, który ma oficjalne certyfikaty w każdej dziedzinie, od nunczako aż do... cóż, stingerów, na pewno, a także mnóstwo dodatkowych umiejętności. Niech się pani nie obawia o moje bezpieczeństwo, młoda damo, i zajmie się własnym. Radzę unikać działalności związanej z terroryzmem. Ach, czy mogłaby pani opuścić budynek tylnym wyjściem? Nigdy tu pani nie było, rozumie pani.

Tylne wyjście znajduje się obok klitki Darrena. Maxine zagląda do środka i widzi, że młody człowiek stoi przy oknie, obrócony półprofilem, i z wysokości pięćdziesiątego piętra



podziwia widoki Nowego Jorku, spogląda w otchłań z intensywnością, która kojarzy się z początkowymi obrazami DeepArchera. Gdyby Maxine wpadła do środka, wyrwała go z zamyślenia i zaczęła zadawać pytania: „Czy znasz Cassidy? Czy jesteś pierwowzorem Łucznika?”, mogłaby go sprowokować do bardzo nieprzyjemnej reakcji... Czy jest tak zdesperowana, by szukać związku między tym dzieciakiem a obrazem na ekranie komputera? Tak naprawdę przez cały czas zdaje sobie sprawę, że taki związek nie istnieje, że postać Łucznika jest wieczna, to wszystko, że Cassidy dzięki interwencji sił, których nikt nie potrafi nazwać, odnalazła drogę do milczącej, napiętej postaci na skraju świata, po czym zaczęła imitować to, co Maxine ujrzała i natychmiast zapomniała w drodze powrotnej...

Maxine wychodzi na ulicę, zmagając się z niespokojnymi myślami, i przypomina sobie, że w pobliżu znajduje się Saks Fifth Avenue – to tylko krótki spacer. Półgodzinne skupienie się na modzie, nie należy nazywać tego zakupami, powinno ją uspokoić. Idzie przez 47th Street i dociera do Fifth Avenue. To dzielnica brylantów, prawda? Trzeba się rozejrzeć. Istnieje bardzo niewielka szansa, że zobaczy – choćby z daleka – któryś z tych kamieni; przez całe życie szukała takiej scenerii, wszędzie można wyczuć aurę intrygi, odnosi się wrażenie, że żaden człowiek nie znajduje się w tym rejonie przypadkowo, że wszędzie roi się od oszlifowanych klejnotów dramatu, niewidzialnych niczym fale elektromagnetyczne, dzięki którym docierają do domów opery mydlane – wypełniają one całą przestrzeń.

– Maxine Tarnow, prawda?

Co to za sympatyczna dziewczyna? Ach, to Emma Levin, instruktorka krav magi Ziggy’ego.

– Przepraszam, chyba się zamyśliłam. Te marzenia o brylantach...

– Umówiłam się tu na lunch ze swoim narzeczonym.

– Kupujecie brylanty? A może jeden brylant, ten jedyny? Och, co to takiego...? Słyszę dzwon... Czy to możliwe...? – Nie. Maxine nawet nie wypowiedziała tego na głos. A może jednak? Czy naprawdę zmienia się w Elaine, wbrew swojej woli, podobnie jak Larry Talbot zmienia się w wilkołaka, na przykład?

Naftali, były funkcjonariusz Mossadu i chłopak Emmy, pracuje na tej ulicy jako ochroniarz w firmie handlującej diamentami.

– Można by pomyśleć, że przed wielu laty powinniśmy się spotkać przy robocie, agent operacyjny podczas wizyty w biurze, plask! Magia! Ale nie, to tylko przypadek. Jednak błyskawica jest ta sama...

– Odkąd Ziggy zaczął chodzić na treningi krav magi, bez przerwy opowiada w domu historyjki o Naftalim. Zrobił na Ziggym duże wrażenie, co nie jest łatwe.

– Oto on, moje marzenie... – Naftali udaje, że opiera się o szybę wystawową, spacerowicz, który może się natychmiast, po cichu, zmienić w narzędzie gniewu Boga.

Ziggy twierdzi, że kiedy Naftali po raz pierwszy przyszedł do sali ćwiczeń, Nigel z miejsca spytał, ilu ludzi zabił. „Straciłem rachubę – odpowiedział Naftali, wzruszając ramionami, a gdy

Emma obrzuciła go wściekłym spojrzeniem, dodał: – To znaczy nie pamiętam...”.

Może to tylko żarty, ale Maxine nie chciałaby sprawdzać. Naftali jest szczupły, krótko ostrzyżony, w czarnym garniturze. Z daleka jego twarz wydaje się dobroduszną, ale z bliska widać na niej długą historię urazów, stłuczeń i profesjonalnego ukrywania uczuć. Jednak wobec Emmy Levin zachowuje się inaczej. Uśmiechają się, obejmują i przez chwilę wydają się najsympatyczniejszymi ludźmi na ulicy.

– Ach, to pani jest mamą Ziggy’ego. Twardy chłopak. Dokąd pojechał na wakacje?

Twardy? Mały Ziggy?

– Jest gdzieś w stanie Iowa czy Illinois. Na pewno codziennie ćwiczy.

– Dobrze, że nie siedzi w Nowym Jorku – mówi Naftali nieco za szybko, a Emma spogląda na niego kątem oka.

Maxine wyczuwa, że coś wypaplał, bo sama miała kiedyś skłonność do paplania, i zastanawia się, o co chodzi.

– Szkoda, że nie mogę się wyrwać z miasta na jakiś czas.

Obserwuje ją uważnie. Bez uśmiechu, lecz z wyrazem zadowolenia, jak ktoś, kto uczestniczył w wielu przesłuchaniach i potrafi docenić przestrzeganie etykiety.

– Słyszysz tu wiele historii. Problem polega na tym, że większość to śmieci.

– Co niewiele pomaga, jeśli ktoś ma skłonność do zamartwiania się.

– Jest pani taką osobą? Nigdy bym się nie domyślił.

– Przestań ją podrywać, Naftali Perlmanie, to mężatka! –  
warczy Emma.

– W separacji. – Maxine trzepoce powiekami.

– Ale jesteś zazdrosna... – Naftali się rozpromienia. –  
Wybieramy się na lunch. Pójdzie pani z nami?

– Dzięki, ale muszę wracać do pracy.

– Pani praca... Jest pani... modelką?

Emma Levin precyzyjnie staje w lekkim rozkroku, unosi  
łokieć i robi minę jak z filmu kung-fu.

– Kobieta taka jak ja?! – Prychnięcie, którego Emma nie  
może zignorować. – Bądźcie grzeczni. Szalom!

Pewnego wieczoru chłopcy telefonują z Prairie du Chien, Fond du Lac albo jakiejś innej miejscowości, by powiedzieć, że wrócą do domu za dwa dni.

Wszyscy, jak mówi, a nawet śpiewa, Ace Ventura, cali i zdrowi. Maxine krąży niepewnie po domu, przekonana, że zostawiła na wierzchu rzucające się w oczy dowody złego zachowania. Obawia się nie tyle wymówek Horsta, ile tego, że będzie musiała zważać na jego uczucia, które, wbrew pozorom, on naprawdę może mieć. Przypomina sobie ludzi, z którymi się spotykała – oprócz Windusta – po wyjeździe Horsta z Nowego Jorku. Conkling, Rocky, Eric, Reg. W każdym przypadku może podać wiarygodne powody związane z pracą, co powinno zadowolić nawet kontrolera skarbowego.

Heidi raczej nie okaże się pomocna.

– Możesz wpaść przypadkowo z Carmine'em? – pyta Maxine.

– Spodziewasz się kłopotów?

– Powiedzmy, emocji.

– Mm-hm...? Z tego wynika, że tak naprawdę chciałabyś, żeby Horst zobaczył mnie z facetem, bo paranoidalnie

podejrzewasz, że Horst i ja ciągle możemy być w związku? Maxi, niepewna Maxi, kiedy wreszcie dasz sobie z tym spokój?

Heidi wydaje się ostatnio napięta, nawet jak na nią, więc Maxine nie jest zbyt zaskoczona, gdy jej przyjaciółka z dzieciństwa w ogóle się nie pojawia, z Carmine'em lub bez niego, po powrocie do domu Horsta, Ziggy'ego i Otisa. Wpadają z tupotem do domu, biegną przez hol i otwierają drzwi.

– Cześć, mamó! Tęskniliśmy za tobą!

– Och, chłopcy... – Maxine klęka na podłodze i tuli ich, aż wszystkim robi się głupio.

Wszyscy mają czerwone czapki z logo Kum & Go, przywieźli jedną dla Maxine, a ona wkłada ją na głowę. Byli wszędzie. Floyd's Knobs w Indianie. Duck Creek Plaza w Bettendorf. Chuck E. Cheese i Loco Joe's. Śpiewają piosenkę z reklamy Hy-Vee. Kilka razy.

Po przybyciu do Chicago szybko wybrali się na wycieczkę na LaSalle Street, ulicę młodzieńczych wspomnień Horsta, na której zaczynał swoją karierę. Był niegdyś jednym z młodych awanturników, codziennie grających na giełdzie. Zaczął na giełdzie towarowej, handlując trzymiesięcznymi opcjami eurodolarowymi, zarówno na rachunek klientów, jak i dla siebie, ubrany w klasyczną marynarkę maklera o barwie stonowanej zieleni, w karmazynowe prążki, i z przypiętym identyfikatorem. Kiedy o trzeciej po południu handel się kończył, wkładał normalne ubranie i siedł na giełdę towarową, gdzie zajmował miejsce w Ceres Cafe. Na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy na giełdzie metali zakazano jednoczesnego handlu na zwyżkę i zniżkę, Horst wraz z dużą

grupą innych maklerów przeniósł się na giełdę futures i opcji, gdzie nie istniały takie ograniczenia, choć handel opcjami eurodolarowymi był znacznie mniej intensywny. Na pewien czas przerzucił się na obligacje skarbowe, ale wkrótce, jakby pod wpływem genów pochodzących z amerykańskiego Środkowego Zachodu, przeniósł się na giełdę zbożową i już po chwili znalazł się na prowincji – wąchał aromaty pszenicy, sprawdzał, czy na soi nie ma fioletowych plam, chodził wiosną po polach jęczmienia, oglądał nasiona, łuski kłosów i szypułki, rozmawiał z farmerami, specjalistami od prognozowania pogody i wyceny szkód ubezpieczeniowych. Odkrył swoje korzenie, jak sam to nazwał.

Pola uprawne przychodzą i odchodzą, ale tak naprawdę nostalgię budzi Chicago. Horst zabrał synów do kafejki maklerów, Brokers Inn, gdzie zjedli legendarne wielkie kanapki z rybą, a także do tradycyjnych restauracji ze stekami, w dzielnicy biznesu Chicago Loop, w których wołowina sezonuje się w oknach, a personel nazywa chłopców „panami”. Na stole obok talerza ze stekiem nie leży tam delikatny ząbkowany nożyk z plastikową rękojeścią, tylko jest porządny nóż, naostrzony na osełce i osadzony na specjalnie wystruganym dębowym trzonku. Solidny.

W czasie całej wizyty rodzice Horsta byli wniebowzięci. A na niebie świecił księżyc z Iowa, widoczny z ganku domu. Chłopcy jeszcze nigdy nie widzieli równie wielkiego księżyca. Wznosił się nad niewielkimi drzewami o sylwetkach podobnych do lizaków, aż wszyscy zapominali o telewizorze,

który grał w środku domu, pełniąc rolę dodatkowego źródła światła.

Jedli posiłki w centrach handlowych na terenie Iowa, w Villa Pizza i Bishop's Buffet, a Horst pokazał chłopcom restauracje sieci Maid-Rite oraz miejscowe odmiany kanapki Louisville Hot Brown. Kiedy nadeszła pełnia lata, pojechali dalej na zachód, gdzie patrzyli na łany pszenicy kołysane przez wiatr i obserwowali błyskawice widoczne na horyzoncie, gdy po południu nagle zapada cisza i zbierają się czarne chmury. Szukali automatów do gier wideo w zrujnowanych centrach handlowych, w budynkach basenów nad brzegami rzek, w kawiarniach uczęszczanych przez studentów, w lodziarniach na osiedlach miejskich. Horst nie mógł nie zauważyć, że od czasów jego ostatniego pobytu w tych stronach wszystko stało się zapuszczone – podłogi zamiatano rzadziej, klimatyzacja działała gorzej, a dym był gęstszy niż dawno temu, gdy Horst przyjeżdżał w lecie na Środkowy Zachód. Grali na zabytkowych maszynach z dalekiej Kalifornii, podobno specjalnie zaprogramowanych przez samego Nolana Bushnella. Grali w Arkanoida w Ames i w Zaxxon w Sioux City. Grali w RoadBlasters, Galagę, Galagę 88, Tempest, Rampage i Robotron 2084, uważaną przez Horsta za najlepszą grę arkadową wszech czasów. Przede wszystkim, gdzie tylko się dało, grali w Time Crisis 2.

Ziggy i Otis uwielbiają tę grę. Jej wielką zaletą było to, że mogli grać na tym samym automacie i mieć na siebie oko, gdy tymczasem Horst zajmował się różnymi sprawami związanymi z giełdą towarową.



– Muszę wpaść na chwilę do baru, chłopcy. Interesy.

Ziggy i Otis w dalszym ciągu strzelają, Ziggy z niebieskiego pistoletu, Otis z czerwonego, i naciskają pedały zależnie od tego, czy chcą się ukryć, czy wyjść na otwartą przestrzeń. W pewnej chwili, uzupełniając zapas żetonów, zauważają dwóch miejscowych chłopców, którzy przyglądali się ich grze, ale co dziwne, wcale im nie kibicowali. Dwaj nieznajomi nie odzywają się ani nie mają żadnej widocznej broni, ale emanuje z nich aura milczącej groźby, która tak często się pojawia na Środkowym Zachodzie i do której trudno się przyzwyczaić.

– O co chodzi? – pyta Ziggy, starając się mówić neutralnym tonem.

– Jesteście nerdami?

– Nerdami, jak to? – dziwi się Otis, który ma ciemnogrnatowy kapelusz z podwiniętym rondem i okulary z zielonymi szklami w stylu Scooby-Doo. – Przecież nie jesteśmy do nich podobni.

– My jesteśmy nerdami – oświadcza niższy z chłopców.

Ziggy i Otis przypatrują się uważnie i widzą dwóch normalsów z przedmieść.

– Skoro wy jesteście nerdami, to jak w tej okolicy wyglądają ludzie, którzy nie są nerdami? – pyta ostrożnie Ziggy.

– Czy ja wiem – odzywa się wyższy, Gridley. – Trudno ich dostrzec, nawet za dnia.

– Zwłaszcza za dnia – dodaje drugi, o imieniu Curtis.

– Nikt nie osiąga tak dobrych wyników w Time Crisis. Zwykle.

– Nigdy, Gridley. Z wyjątkiem tego chłopaka z Ottumwy.

– Jasne, ale to przecież kosmita. Przybysz z jakiejś odległej galaktyki. Jesteście kosmitami?

– Przede wszystkim trzeba gromadzić bonusy. – Ziggy zaczyna demonstrować technikę gry. – Ci faceci w pomarańczowych kostiumach, widzicie? Są nowi, kiepsko strzelają, za każdego można dostać pięć tysięcy punktów, ale pięć tysięcy punktów tu... – bang! – ...i pięć tysięcy punktów tam... – bang! – ...wszystko szybko zaczyna się kumulować.

– Nigdy tylu nie znajdujemy.

– Och, następnym razem, gdy zobaczycie oddalającego się Bossa... – mówi uprzejmie Ziggy, jakby każdy wiedział, o co chodzi.

– Patrzcie! – Otis wyciąga rękę.

– W porządku, cóż, odstrzelacie mu kapelusz... Widzicie? Naprawdę szybko, cztery razy, prowadźcie go i celujcie trochę nad jego głową... Teraz nie trzeba iść prosto do tego zbiornika, najpierw wejdźcie do zaułka pełnego tych kretynów, na których można zarobić trochę punktów. Strzelajcie w głowy, dostaniecie bonus.

– Mieszkacie w Nowym Jorku?

– Chyba zauważyliście – odpowiada Ziggy. – Właśnie dlatego lubimy strzelanki.

– A wyścigi motorówek?

– Brzmi sensownie.

– Znasz Hydro Thunder?

– Widziałem tę grę – przyznaje Otis.

– Chodźcie – mówi Grindley. – Pokażemy wam, jak można zdobyć bonusowe łodzie. Motorówkę policyjną z działkiem.

Powinno się wam spodobać.

- A ty usiądziesz na subwooferze.
- Mój brat jest trochę dziwny.
- Hej, zapomniałem o tobie, Gridley.
- Jesteście braćmi? My też.

Horst, po powrocie z baru, gdzie rozliczył transakcję giełdową dokonaną na kredyt, przygotował jednoczesny zakup opcji na soję między lipcem a październikiem, przeprowadził działania psychologiczne mające przygotować aktualizację ceny czerwonej, twardej, ozimej pszenicy w Kansas City, a poza tym wypił mnóstwo butelek piwa Berghoff, zastaje swoich synów krzyczących, trzeba to przyznać, w nietypowo szaleńczy sposób. Obaj chłopcy płyną potężnymi motorówkami w scenerii Nowego Jorku po straszliwej katastrofie – miasto jest w połowie zalane przez wodę, spowite duszącą mgłą, ciemne, ze zniszczonymi znanymi budowlami. Statua Wolności ma na głowie koronę z wodorostów. Wieże World Trade Center pochylają się pod niebezpiecznym kątem. Światła Times Square częściowo zgasły, tworząc wielkie nieregularne plamy, być może w wyniku niedawnej wojny gangów w sąsiedztwie. Nienaruszone budynki są pokryte czarnymi rusztowaniami opadającymi aż do linii wody. Ziggy kieruje policyjną motorówką wyposażoną w działko, a Otis stoi przy sterze *Tinytanica*, miniaturowej wersji sławnego transatlantyku, który poszedł na dno po kolizji z górą lodową. Gridley i Curtis zniknęli, jakby byli oszustami nie z tego świata, których zadanie polegało na skierowaniu Ziggy’ego i Otisa do zatopionej krainy, w jaką zmieni się kiedyś ich rodzinne miasto, gdyż przyszłe

katastrofy spadające na Nowy Jork, wywołane między innymi globalnym ociepleniem, będą wymagały umiejętności obsługi motorówki.

– No więc zastanawialiśmy się, mamó, że może moglibyśmy się przeprowadzić do miejsca mniej narażonego na zalanie? Murray Hill? Riverdale?

– Cóż... jesteśmy na piątym piętrze...

– Przynajmniej ponton, moglibyśmy go trzymać koło okna?

– Mamy za mało miejsca, uspokójcie się, wariaci.

Kiedy chłopcy leżą już w łóżkach, Maxine usiłuje oglądać kolejny film telewizyjny o opiekunce do dzieci, która okazuje się morderczynią. Nieśmiało podchodzi do niej Horst.

– Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebym tu został na pewien czas?

Maxine stara się nie zareagować z opóźnieniem.

– Masz na myśli dzisiejszą noc?

– Może trochę dłużej?

O co chodzi?

– Jak długo chcesz, Horst, ciągle razem płacimy czynsz za mieszkanie. – Maxine stara się być uprzejma, choć wolałaby oglądać dawną gwiazdę sitcomów udającą młodą matkę, która znalazła się w niebezpieczeństwie.

– Jeśli to kłopot, mogę zamieszkać gdzieś indziej.

– Myślę, że chłopcy będą zachwyceni.

Maxine patrzy, jak Horst powoli otwiera usta, po czym znów je zamyka. Kiwa głową i wycofuje się do kuchni, z której wkrótce dochodzą odgłosy plądrowania lodówki.

Dramat w telewizorze osiąga apogeum i złośliwa intryga opiekunki do dziecka zaczyna walić się w gruzy. Kobieta porywa dziecko i próbuje uciekać w zbyt wysokich szpilkach, aż dociera do miejsca, gdzie roi się od aligatorów. Ściga ją oddział policjantów, którzy wyglądają niczym modele z żurnala, niepotrafiący obsługiwać broni palnej – wszystko dzieje się w nocy – gdy z kuchni wychodzi Horst ze śladami czekolady na twarzy, trzymając pojemnik z lodami.

– Są na tym rosyjskie napisy. To od tego Igora, tak?

– Tak, sprowadza te lody do Stanów, zawsze więcej, niż potrafi zjeść. Pomagam mu się ich pozbyć.

– I w zamian za jego hojność...

– Horst, to po prostu interesy – mówi gładko Maxine. – Ma osiemdziesiąt lat i wygląda jak Breżniew, zjadłeś już pół kilograma, chcesz, żebym ci załatwiła płukanie żołądka?

Horst jakimś cudem panuje nad sobą.

– Skądże znowu, te lody są naprawdę znakomite. Kiedy następnym razem będziesz się widzieć z Igorem, spytaj go, czy mają lody z orzechami makadamia i czekoladą. A może z marakują?

\* \* \*

Maxine spędza następny ranek w sklepie odzieżowym Morris Brothers, szukając rzeczy potrzebnych chłopcom w nowym roku szkolnym, a w porze lunchu wraca do mieszkania. Zamierza otworzyć półlitrowy pojemnik jogurtu,

gdy w domofonie rozlega się głos Rigoberta. Nawet przez słaby głośnik słycać, że mówi lekko omdlewającym tonem.

– Pani Loeffler, ma pani gościa. – Pauza, jakby przygotowywał się do wypowiedzenia następnych słów. – Jestem... jestem prawie pewien, że przyszła się z panią zobaczyć Jennifer Aniston!

– Rigoberto, proszę, jesteś przecież doświadczonym nowojorczykiem.

Maxine podchodzi do wizjera i rzeczywiście, po chwili otwierają się drzwi windy i ukazuje się w nich powiększona wersja samej Rachel Green („kocham Rossa, nie kocham Rossa”). Maxine otwiera drzwi, nim nasuwają się jej negatywne myśli, na przykład: psychopatka w lateksowej masce celebrytki.

– Pani Aniston, przede wszystkim chciałabym powiedzieć, że jestem wielką fanką pani filmów...

Driscoll kręci głową.

– Co o tym sądzisz?

– Wyglądasz dokładnie jak ona. Nie mów mi, że to naprawdę Murray i Morris...

– Tak, i wielkie dzięki za tę informację, zmieniła całe moje życie. Kazali ci powtórzyć, że im ciebie brakuje. Mają nadzieję, że nie jesteś zdenerwowana z powodu drobnej awarii suszarki?

– Skądże, akcja ratunkowa z udziałem jednostek federalnych, na ulicy połowa pracowników firmy Consolidated Edison z młotami pneumatycznymi, czym się tu denerwować? Chodź do kuchni, skończyła mi się zima, ale jest piwo. Może.

Głęboko w lodówce stoją dwie butelki piwa Rolling Rock, w jakiś sposób przeoczone przez Horsta. Maxine i Driscoll

siadają przy stole w jadalni.

– Proszę, to dla ciebie. – Driscoll kładzie na blacie szaroczerwoną kopertę w kształcie i formacie starej pięciocalowej dyskietki.

W środku znajduje się karta z kosztownego papieru, z wykaligrafowanym odręcznie tekstem:

***Pani Maxine Tarnow-Loeffler***  
***Mamy przyjemność zaprosić Panią***  
***Na pierwszy doroczny***  
***Bal Grande Rentrée, czyli***  
***Kotylion Geeków.***  
***Sobota wieczór, ósmy września 2001 roku,***  
***Tworkeffx.com***  
***Bezpłatny bar***  
***Strój swobodny***  
***<cha, cha, poważnie/>***

– Co to takiego?

– Och, jestem w Komitecie organizacyjnym.

– To wygląda na dużą imprezę. Kogo jeszcze stać na takie przyjęcia?

Cóż, wydaje się, że Gabriela Ice'a, kogóż innego? Okazuje się, że niedawno zakupił firmę Tworkeffx, zajmującą się budową i utrzymaniem prywatnych sieci komputerowych, po czym odkrył wśród jej aktywów specjalny fundusz na organizację przyjęć, który od wielu lat pozostawał na rachunku

depozytowym, czekając na nadejście tego szczególnego Końca Świata, Jakim Go Znamy.

Maxine jest zirytowana.

– Tyle czasu, a nikt nie próbował się dobrać do tych pieniędzy?! Idealizm?! Oszuści, którymi się codziennie zajmuję, durnie, idioci, nieważne, jak ich nazwać, przeoczyli to konto, aż pojawił się pieprzony Gabriel Ice, oczywiście. Teraz będzie odgrywał rolę łaskawego gospodarza, nie wydając ani grosza z własnej kieszeni.

– Tak czy inaczej, możemy się zabawić, nawet jeśli jest to największa impreza dla bezrobotnych informatyków z Alei Krzemowej. Przynajmniej bar będzie za darmo.

\* \* \*

Kiedy zbliża się Święto Pracy, nagle zaczyna dzwonić mnóstwo ludzi, z którymi Maxine od lat nie miała kontaktu. Koleżanka z klasy z Hunter School długo wspomina, jak w czasie pewnego wieczornego przyjęcia kompletnie się upiła, a Maxine uratowała jej życie, wzywając taksówkę. Ludzie mieszkający poza miastem odbywają coroczne jesienne pielgrzymki do Nowego Jorku z równą chęcią, jak nowojorczyki podążają w przeciwną stronę, by oglądać pokazy dekadencji. Wyrafinowani podróżnicy, którzy spędzili całe lato w pięknych miejscowościach turystycznych, wracają do miasta i zanudzają wszystkich, których są w stanie dopaść, filmami wideo i opowieściami o okazyjnych zakupach, udanych podróżach, pobytach w wioskach dzikich plemion, safari na Antarktydzie,



indonezyjskich festiwalach muzycznych, luksusowych wycieczkach po kręgielniach Lichtensteinu.

Horst, chociaż nie siedzi przez cały dzień w domu, znajduje sporo czasu dla chłopców. Maxine coraz mniej wyraźnie pamięta okres, gdy byli małżeństwem, ale ma wrażenie, że teraz Horst poświęca im więcej czasu niż kiedykolwiek. Zabiera ich na mecz Jankesów, odkrywa ostatni lokal na Manhattanie, w którym można grać w skeeball, a nawet zgłasza się na ochotnika, by pójść z nimi do fryzjera przed rozpoczęciem roku szkolnego, czego zawsze unikał.

Zakład fryzjerski El Atildado mieści się pod poziomem ulicy. W środku walczy klimatyzacja, walają się stare numery „OYE” i „Novedades”, a dziewięćdziesiąt procent rozmów toczy się w hiszpańskim dialekcie z Karaibów. W lokalu stoi telewizor, który nadaje mecz baseballu z udziałem drużyny New York Mets, z hiszpańskich komentarzem. Horst zaczyna go oglądać, przeciwnikami są Philadelphia Phillies, gdy nagle na schodach prowadzących z ulicy pojawia się Johnny Pacheco, ubrany w T-shirt i dźwigający kompletny zestaw do grillowania wraz z butlą z propanem. Chciałby go sprzedać za atrakcyjną cenę. Miguel, właściciel, jak zawsze pełen zrozumienia, cierpliwie tłumaczy, że prawdopodobnie nikt nie będzie zainteresowany zestawem, że trudno będzie wrócić z nim do domu, a poza tym jest również kwestia policji, która ma na oku El Antilado i bez przerwy wysyła barczystych tajniaków po cywilnemu, choć nie nabrałaby się na nich nawet uliczna dziwka marząca o zdobyciu klienta. I rzeczywiście, nagle w drzwiach pojawia się głowa portiera, który przez cały czas

obserwuje policję na zewnątrz. Wydaje się, że zaczyna im grozić właśnie taki scenariusz. Słysząc nerwową rozmowę, głosy są przyciszone. Facet z zestawem do grillowania pracownice wynosi urządzenie za drzwi i wspina się po schodach, a po niespełna minucie wkracza przedstawiciel Dwudziestego Komisariatu w postaci gliniarza w hawajskiej koszuli, która nie zasłania jego glocka.

– W porządku, gdzie on jest?! – zaczyna wrzeszczeć. – Przed chwilą widzieliśmy go na Columbus Avenue! Jeśli się dowiem, że tu był, dobiorę się wam do tyłków, rozumiecie, sukinsyny? Wpadliście w cholerne kłopoty, *mierda honda, tu me comprendes!* – I tak dalej.

– Hej, popatrz! – mówi Otis, zauważając sygnały Ziggy’ego. – To Carmine! Hej, hej, Carmine!

– Cześć, chłopcy! – Detektyw Nozzoli zerka na ekran telewizora. – Jaki wynik?

– Pięć do zera – odpowiada Ziggy. – Przed chwilą Payton zdobył punkt.

– Szkoda, że nie mogę obejrzeć meczu. Muszę ścigać przestępcę. Pozdrówcie mamę.

– „Pozdrówcie mamę”? – pyta Horst w czasie przerwy na reklamy.

– Carmine chodzi z Heidi – mówi uspokajająco Ziggy. – Czasami go do nas przyprowadzała.

– A mama...

Okazuje się, że Maxine kontaktowała się z policjantami, jakimiś policjantami, ale chłopcy nie są pewni, z którego wydziału.

- Zajmuje się teraz sprawami kryminalnymi?
- Chyba chodzi o jednego z klientów.

We wzroku Horsta, wpatrzonym w ekran, pojawia się melancholia.

Później Maxine zastaje Horsta w jadalni, próbującego zmontować stół komputerowy dla Ziggy'ego. Z kilku palców cieknie mu krew, ze spoczonego nosa zsuwają się okulary, na podłodze walają się tajemnicze metalowe i plastikowe łączniki do mebli oraz podarte kartki instrukcji. Horst wrzeszczy. Najczęściej słycać zwrot: „Pieprzona IKEA!”.

Podobnie jak miliony mężczyzn na całym świecie, Horst nienawidzi szwedzkiego giganta specjalizującego się w produkcji mebli do samodzielnego montażu. Horst i Maxine zmarnowali kiedyś cały weekend, szukając filii IKEA w Elizabeth w New Jersey, położonej tuż koło lotniska, aby czwarty najbogatszy człowiek świata mógł zminimalizować koszty transportu, choć zwykli ludzie tracą cały dzień, gubiąc się na New Jersey Turnpike. A także poza nią. W końcu dojechali do gigantycznego parkingu, koło którego wznosiła się świątynia – albo muzeum – teorii życia domowego, która jest dla Horsta czymś tak obcym, że w ogóle jej nie rozumie. W pobliżu łagodnie lądowały samoloty towarowe. Cały osobny dział supermarketu zajmuje się reklamacjami w sprawie zepsutych lub brakujących elementów, gdyż w przypadku sieci IKEA nie jest to rzadkie zjawisko. W części właściwej sklepu klienci w nieskończoność krążą między burżuazyjnymi wizjami idealnego domu, podążając skomplikowanymi ścieżkami, które starają się maksymalnie wypełnić dostępną powierzchnię.

Wyjścia są wyraźnie oznaczone, lecz nie sposób do nich dotrzeć. Horst jest zdumiony, widząc, że może stać się skłonny do przemocy. „Popatrz tylko na to! Stołek barowy o nazwie Sven? Jakiś stary szwedzki zwyczaj, nadchodzi zima, robi się mroźno, po pewnym czasie zaczynasz mieć osobisty stosunek do mebli, czego się wcześniej zupełnie nie spodziewałeś?”.

Horst przyznał, że nie jest domatorem, dopiero po wielu latach małżeństwa, gdy dla nikogo nie było to już niespodzianką. „Moje idealne mieszkanie to niezbyt brudny pokój w motelu na dalekim Środkowym Zachodzie, gdzieś na pustkowiu, gdy pada pierwszy śnieg”. Tak naprawdę głowa Horsta to ogromna, zajmująca całą Amerykę zaspą śnieżną złożona z motelowych pokoi w odległych, wietrznych rejonach, a Maxine nigdy nie odnajdzie do nich drogi ani nie zatrzyma się tam na nocleg. Każdy krystalicznie czysty epizod stał się częścią jego życia – jednorazowy, niepowtarzalny. A ona nie jest w stanie odczytać zbioru zimowej pustki.

– Chodź, zrób sobie przerwę.

Maxine włącza telewizor, przez chwilę siedzą i oglądają prognozę pogody z wyciszonym dźwiękiem. Jeden z prezenterów coś mówi, a drugi patrzy na niego, odpowiada, po czym kieruje wzrok w obiektyw i kiwa głową. Później zmieniają się rolami: drugi mówi, pierwszy kiwa głową.

Może ich sztuczna przyjaźń jest zaraźliwa? Maxine zaczyna mówić o pracy, a Horst słucha (doprawdy, niewiarygodne). Oczywiście w ogóle go to nie dotyczy, ale czy nie warto wszystkiego streścić? Czy to coś złego?

– Reg Despard, autor filmów dokumentalnych, i jego przyjaciel, Eric, paranoidalny geniusz informatyczny, znaleźli coś dziwnego w księgowości hashslingrz.com. Okay, Reg przyszedł z tym do mnie, uważa, że ta sprawa może mieć wymiar globalny, niewykluczone, że jest związana ze Środkowym Zachodem, bardzo przypomina Archiwum X. – Pauza, zręcznie zamaskowana jako oddech. Maxine czeka, aż Horst się zirytuje. Ale on tylko mruga, na razie powoli, co może sugerować pewne zainteresowanie. – Wygląda na to, że Reg zniknął w tajemniczych okolicznościach, choć może po prostu wyjechał do Seattle.

– O co twoim zdaniem chodzi? Jak myślisz?

– Och, myślę? Czy mam czas na myślenie? FBI zaczęło się zajmować również mną, rzekomo z powodu Brooke, jej męża i jakichś rzekomych związków z Mossadem. To kompletne gówno, jak to mówią w twoich rodzinnych stronach.

Horst chwytając się rękami za głowę, jakby zamierzał ją sobie urwać.

– Jemima, Kesja, Keren-Happuch! Jak ci mogę pomóc?

– Tak naprawdę? – Skąd to się bierze i jak poważnie mówi Maxine? – W sobotę wieczorem w centrum organizują wielką imprezę dla informatyków i przydałby mi się ktoś, kto by ze mną poszedł. Co o tym sądzisz?

Gałki oczne Horsta nerwowo się poruszają.

– Jasne. – Lekko pytający wyraz twarzy. – Zaczekaj... Czy będę musiał tańczyć?

– Kto wie, Horst... Czasem, gdy muzyka jest odpowiednia, po prostu trzeba...

– Hm, nie, miałem na myśli... – Kiedy Horst się tak wierci, staje się prawie sympatyczny. – Nigdy mi nie wybaczyłaś, że nie nauczyłem się tańczyć, prawda?

– Horst, co mam właściwie robić, chodzić na palcach wokół twoich żalów? Jeśli chcesz, mogę cię w tej chwili nauczyć kilku całkiem prostych kroków. Czy to ci pomoże?

– Dopóki nie będę musiał poruszać biodrami, mężczyzna nie może przekraczać pewnej granicy.

Maxin grzebie w zbiorze płyt CD, wyciąga jedną.

– W porządku. To dominikańskie merengue, bardzo łatwe. Wystarczy stać jak słup, a jeśli od czasu do czasu masz ochotę poruszyć nogą, tym lepiej.

Po pewnym czasie dzieciaki zaglądną do pokoju i widzą, że oboje powoli tańczą w rytmie *Copacabany*, sztywno objęci.

– Wy dwoje, do gabinetu wicedyrektora!

– I to pędem...

## 28

Jest ciepły wieczór. Mniej więcej o tej porze nad Jersey pojawiają się barwy zachodu słońca, w okolicy krąży najwięcej rowerów wiozących jedzenie. Korony miejskich drzew są wypełnione świergotem ptaków, który osiąga apogeum, gdy zapalają się latarnie uliczne. Na niebie widać smugi kondensacyjne odlatujących samolotów. Horst i Maxine zostawili dzieci u Erniego i Elaine, a teraz jadą metrem w kierunku SoHo.

Niedawno nabyty Tworkeffx, płacący najwyższy czynsz na rynku, zajmuje od kilku wspaniałych lat coś w rodzaju włoskiego pałacu. Fasada, odlana z żeliwa, imituje wapiień i wygląda dziś widmowo w świetle latarni. Wydaje się, że zebrali się tam wszyscy ludzie związani z Aleją Krzemową, teraz i w przeszłości. Odgłosy wesołej zabawy słychać kilka przecznic dalej. Śmiechy tłumu gości, gdzieniegdzie kontrapunktowane sopranem, basy muzyki wewnątrz budynku, trzaski i piski krótkofalówek ochroniarzy.

Trudno nie zauważyć, że tego wieczoru panuje tu nostalgia. Ironia lat dziewięćdziesiątych, towar trochę przeterminowany, triumfalnie powraca na scenę. Maxine i Horst przechodzą koło bramkarzy przy drzwiach, w wirze fałszywych irokezów, fryzur

fade, emo, w stylu mop, crop i Hime. Podróbki czapek marki Von Dutch, sztuczne tatuaże, okulary Ray-Ban z epoki *Matrixa*, hawajskie koszule. Poza nimi wokół nie widać żadnych innych koszul z kołnierzykami, z wyjątkiem koszuli Horsta.

– Wielki Boże! – woła. – Wygląda jak w plemienu Keokuka!  
– Goście słyszący jego słowa są zbyt rozsądni, by mu powiedzieć, że właśnie o to chodzi.

Mimo pęknięcia bańki internetowej, niegdyś wspaniałej i przyciągającej wzrok, a w tej chwili przypominającej jasnoróżową ruinę pochyloną nad drżącym podbródkiem epoki, która być może już tylko ledwo dyszy, imprezę przygotowano z niesłychanym przepychem, nie szczędząc kosztów. Główny temat przyjęcia, „1999 rok”, niesie mroczną aluzję, której głównym sensem jest Zaprzeczenie. Wkrótce staje się jasne, że tego wieczoru wszyscy udają, iż ciągle żyją w świecie marzeń, jaki istniał przed krachem, tańczą w cieniu zeszłorocznego strachu przed rokiem dwutysięcznym, który budził powszechne przerażenie. Teraz to już na szczęście przeszłość, ale wszyscy się umówili, że dziś właśnie czekają na ten straszliwy moment, zastygli niczym Kopciuszek o północy, wierząc, że za chwilę nastąpi koniec milenium, po czym w jednej nanosekundzie wszystkie komputery na świecie przestaną prawidłowo obliczać czas i nadejdzie apokalipsa. Udają nostalgię w czasach, gdy wszyscy cierpią na zespół braku zainteresowania. Goście wyciągnęli z szaf przechowywane w plastikowych torbach koszulki zapowiadające nadejście roku dwutysięcznego: ZBLIŻA SIĘ ROK 2000, NADCHODZI KONIEC ŚWIATA, PRZEŻYŁEM ROK 2000 DZIĘKI MIŁOŚCI... Bawią się,



jakby ciągle był 1999 rok – nieustannie słycać głos Prince'a, który o tym przypomina.

Ze starego zestawu nagłaśniającego z epoki komunizmu, wyszabrowanego z jakiejś sali koncertowej na wschodzie Europy, dobiega muzyka Blink-182, Echo and the Bunnymen, Barenaked Ladies, Bone Thugs-n-Harmony oraz innych starych grup muzycznych. Na wielkim wyświetlaczu, zajmującym jedną ze ścian sali, pojawiają się dawne notowania giełdowe NASDAQ z epoki boomu internetowego, a powyżej wiszą gigantyczne ekrany ciekłokrystaliczne, o rozmiarach cztery na sześć metrów – można na nich zobaczyć stare filmy: Billa Clintona składającego zeznania przed wielką ławą przysięgłych („To zależy od tego, jakie jest znaczenie słowa «jest»”), innego Billa, Gatesa, gdy dostaje w Belgii tortem w twarz, trailer *Halo*, fragmenty animowanego serialu *Dilbert*, pierwsze odcinki *SpongeBoba*, reklamy *Boo.com* Romana Coppoli, Monikę Lewinsky prowadzącą program *Saturday Night Live*, Susan Lucci zdobywającą nagrodę Emmy za rolę Eriki Kane, zespół *Urge Overkill* śpiewający piosenkę zatytułowaną *Erica Kane*.

Zabytkowy bar, pokryty skomplikowanymi rzeźbami w stylu nowoegipskim, pochodzi z dawnej siedziby Tworkeffx w półmystycznym budynku w centrum miasta, który tymczasem przerobiono na apartamentowiec, podobnie jak wszystkie tej wielkości gmachy w Nowym Jorku. Jeśli w drewnie skrzydłorzechu kaukaskiego ciągle tkwi okultystyczna magia, czeka na odpowiedni moment, by się ujawnić. Tego wieczoru pozostaje tylko przyjemne wspomnienie barów z lat dziewięćdziesiątych, gdzie wszyscy

pili za darmo, noc w noc, tylko dlatego, że podawali się za współpracowników kolejnej debiutującej firmy. Barmanami są głównie bezrobotni hakerzy albo uliczni dilerzy narkotyków, którzy stracili źródło dochodów po kwietniu 2000 roku. Ludzie, którzy nie muszą korzystać z darmowych trunków, okazują się byłymi pracownikami firmy Razorfish, najinteligentniejszymi ludźmi na sali. Nie ma tu nędznych trunków, wszyscy piją gin Tanqueray No. 10, tequilę Patrón Gran Platinum, whisky Macallan, wódkę Elit. A także, oczywiście, piwo Pabst Blue Ribbon, chłodzone w wannie z lodem, dla osób, które nie potrafią sobie wyobrazić wieczoru pozbawionego ironii.

Jeśli ktoś rozmawia dziś o interesach, robi to w innym miejscu, gdzie czas jest zbyt cenny, by go marnować na imprezy. Zyski z trzeciego kwartału spuszczone do toalety, budżety korporacyjne przeznaczone na informatyzację są zamrożone jak maszynowe margarity w barze w Palo Alto, Microsoft XP niedawno przestał być wersją beta, ale nerdy i geeki już zaczynają się skarżyć na bezpieczeństwo i kompatybilność ze starszymi systemami operacyjnymi. W tłumie dyskretnie krążą werbownicy, ale dziś wieczorem nie noszą zwykłych kolorowych bransoletek, hakerzy szukający szybkiej pracy muszą się domyślać, kto chce ich zatrudnić.

Później uczestnicy imprezy będą pamiętać, że wszystko było pionowe. Klatki schodowe, windy, atria, cienie, które wydają się spadać z góry na zebranych ludzi... Lekko oszołomieni tancerze, oświetleni migotliwymi lampami, właściwie nie tańczą, tylko stoją w jednym miejscu i poruszają się w górę i w dół w rytmie muzyki.

– Nie wydaje mi się to zbyt skomplikowane – mówi Horst, na poły do siebie, wchodząc w jasną strefę chaosu i tymczasowego aliasingu.

– Cześć, Maxi. – To Vyrva, w prostej czarnej sukience i szpilkach, włosy ma upięte, oczy mocno podkreślone.

Z tyłu pojawia się głowa Justina, który uśmiecha się poważnie i porusza brwiami. Nawet w tym hałaśliwym, dekadentckim otoczeniu ciągle jest sobą: sympatycznym, godnym zaufania facetem z Zachodniego Wybrzeża, w T-shircie z napisem: JUSTIN/NOTHER PERL HACKER. Towarzyszy mu Lucas, ubrany w obszerne dżinsy w stylu gangów młodzieżowych oraz koszulkę ze zlotu hakerów Defon z napisem: ZAUWAŻYŁEM TAJNIAKA.

– Rany, Vyrva, wyglądasz jak Kim Basinger. Czuję się przy tobie jak stara ciotka nosząca niemodne łąchy.

– Co takiego, ta stara szmata? Śpi na niej moja suka, pozwoliła mi ją pożyczyć na dzisiejszy wieczór. – Vyrva nie patrzy Maxine w oczy, co jest zdecydowanie nie w jej stylu, i spogląda na gigantyczne ekrany na ścianie, jakby czekała, aż coś się na nich ukáže, jakiś epokowy klip wideo.

Maxine nie potrafi czytać w myślach, ale ma duże doświadczenie w kontaktach z ludźmi, którzy się denerwują.

– Niezła sala balowa, co? Bar micwa, gdziekolwiek się człowiek obróci. Ten Ice musiał wydać na to mnóstwo forsy, na pewno gdzieś się tu kręci.

– Nie wiem, nie zauważyłam.

– Mam nadzieję, że nie chciałby gadać o interesach – mówi Lucas.

– Zmieniacie zdanie? – pyta Maxine.

– Ice nie może zrozumieć, dlaczego nie potrafimy zwiększać ruchu jak wszyscy inni – odpowiada Justin. – Denerwuje go to.

– Moim zdaniem Ice próbuje rywalizować z Joshem Harrisem, obaj organizują zwariowane przyjęcia w stylu retro. Pamiętacie tamtą imprezę na temat roku dwutysięcznego? Trwało to całe miesiące, prawda?

– Ach, masz na myśli ludzi w plastikowych klitkach, którzy pieprzyli się na widoku? Gdzie?

– Cześć, Maxi! – Eric, z włosami ufarbowanymi na bladozielony neonowy kolor, spogląda zalotnie na Maxine, uśmiechając się w wyjątkowo lizusowski sposób.

Maxine wyczuwa, że Horst, niewidzialny, lecz znajdujący się w pobliżu, obserwuje ich i wkrótce zacznie głądzić jakieś bzdury, psując wszystkim zabawę. Aj waj!

– Widzieliście gdzieś mojego męża? – pyta na tyle głośno, by Horst usłyszał, jeśli rzeczywiście stoi niedaleko.

– Kogo?!

– Och... – Normalny ton. – Kogoś w rodzaju quasi-eksmęża. Nigdy o nim nie wspominałam?

– Wielka niespodzianka... – Radosne mamrotanie. – Jakie ciekawe buty dziś tu widzimy! Giuseppe Zanotti, prawda?

– A do tego Stuart Weitzman, ale zaczekaj, powinnaś kogoś poznać. Lubi buty Jimmy’ego Choo, jeśli się nie mylę. – To Driscoll, idealnie upodobniona do Jennifer Aniston. W mózgu Maxine, na ekranie Lobodexu Miłości, zaczynają mrugać światełka automatycznej swatki. – Chyba że już się znacie...

Znowu to robisz, Maxine. Dlaczego nie potrafisz się oprzeć pierwotnym babskim impulsom, które starają się przejąć nad tobą władzę? Proszę, przestań się wtrącać, na imprezach ludzie sami się poznają i nie potrzebują do tego swatek, ekonomia skali lub coś w tym rodzaju.

– Czy... to ty próbowałaś mnie wrzucić do rzeki na jednej z imprez grupy Cybersuds? Nie, zaczekaj, tamta dziewczyna była niższa.

– Może to było na imprezie w jakiejś firmie? – Tajemniczy ton głosu, Rachel mówiąca do Rossa. – Balanga z okazji instalacji Linuxa?

Numery telefonów zanotowane pisakami na ekranach palmtopów lub inny podobny rytuał i Driscoll odchodzi.

– Posłuchaj, Maxi. – Eric poważnieje. – Powinniśmy kogoś odszukać. Wspólnika Lestera Traipse'a, tego gościa z Kanady.

– Felixa? Ciągłe jest w Nowym Jorku? – Na swój sposób nie jest to dobra wiadomość. – Co się dzieje?

– Chce cię zobaczyć, chodzi o Lestera, ale zachowuje się jak paranoik, stale zmienia miejsce pobytu, bez przerwy imprezuje.

– Bezpieczeństwo dzięki niedojrzałości. – Lester, co z Lesterem?

Od czasu karaoke Felix w ogóle nie próbował się kontaktować z Maxine, a teraz nagle chce rozmawiać. Gdzie się podziewał, gdy zamordowano jego zaufanego wspólnika? Wrócił do Montrealu, bo tak było wygodnie? A może siedział w Montauk z Gabrielem Ice'em, planując wykończenie Lestera? Maxine zastanawia się, co Felix chce jej powiedzieć. Co może być takie pilne?

– Chodź, dokonamy pseudolosowego przeglądu toalet.

Maxine podąża za Erikiem wśród hałasu i chaosu, w siedzibie firmy przekształconej w salę balową. Obserwuje tłum i przez mgnienie oka zauważa na parkiecie Horsta, który wraz z innymi uczestnikami zabawy tańczy z-axis bounce i przynajmniej nie wydaje się niezadowolony.

Eric wyprowadza Maxine za drzwi, po czym idą korytarzem i docierają do toalety, która okazuje się koedukacyjna i nie zapewnia żadnej prywatności. Po ścianach wykonanych z nierdzewnej stali stale cieknie woda – mężczyźni, a także kobiety, jeśli mają na to ochotę, mogą sikać prosto na nią. Dla osób o bardziej konwencjonalnym podejściu przeznaczono kabiny z przezroczystego akrylu – w czasach, gdy Tworkeffx znakomicie prosperował, specjalnie wyznaczeni dyżurni zaglądali do środka i sprawdzali, czy ktoś nie uchyla się od pracy. Wnętrza kabin ozdobili modni artyści specjalizujący się w graffiti, popularny motyw to fiuty wkładane do ust, pojawiają się także napisy w rodzaju: PIEPRZĘ KRETYNÓW Z MICROSOFTU albo LARA CROFT MA PROBLEMY Z WIELOKĄTAMI.

Nie ma Felixa. Docierają do schodów i idą w górę, piętro po piętrze, wkraczają do jasnych sal złudzeń, zaglądają do biur i boksów, których umeblowanie kupiono za grosze na licytacjach po bankructwach dotcomów, gdy zostały rozgrabione przez ludzi podobnych do Gabriela Ice'a.

Wszędzie zabawa. Ludzie krążą tam i z powrotem... Twarze w ruchu. Basen dla pracowników, w którym pływają puste butelki po szampanie. Yuppie, którzy wyglądają, jakby dopiero

niedawno nauczyli się palić, wrzeszczą do siebie: „Palilem wczoraj świetne cygaro Arturo Fuente!”. „Super!”. Defilada niespokojnych nosów wciągających biały proszek przed okrągłymi lustrami w stylu art déco, pochodzącymi z dawno rozebranych luksusowych hoteli, z czasów, gdy w Nowym Jorku panowało równie intensywne szaleństwo giełdowe jak to, które się niedawno skończyło.

Wchodzą do toalet, w których znajdują się gigantyczne pisuary, antyczne wyposażenie sprzed stu lat, ozdobne spłuczki i łańcuchy. Inne, bardziej mroczne i mniej eleganckie, kojarzą się z klasycznymi toaletami klubów w centrum miasta – od połowy lat dziewięćdziesiątych nikt nie spryskuje ich lizolem i jest tam tylko jeden sedes, nadużywany i toksyczny, do którego tworzą się kolejki.

W żadnej z nich nie ma Felixa. Eric i Maxine docierają wreszcie na najwyższe piętro i wchodzą do czegoś, co wydaje się matką wszystkich postmodernistycznych toalet. Olbrzymi kompleks pomieszczeń o powierzchni placu miejskiego, wyłożony kolorową belgijską terakotą w kolorach ochry, bladego błękitu i spłowiałej czerwieni, odzyskaną z gmachu na dolnym Broadwayu, z trzema tuzinami kabin, z własnym barem, salą telewizyjną i systemem nagłaśniającym. Na zabytkowej posadzce trzydziestu sześciu tancerzy tańczy electric slide, tworząc kwadrat złożony z sześciu rzędów po sześć osób, a didżej puszcza dawny hymn muzyki disco w wykonaniu grupy Nazi Vegetable, niegdyś królujący na listach przebojów.

*In the Toilet* [Szybkie tempo]

*Such a weird 'n' wack-y feeling, wit' your  
Brains up on th' ceiling, in the  
Toi-let!  
[Chórek dziewcząt] In the toi-let!  
Coke and Ecstasy and weed,  
Never know when you might need  
Them in the toi-let  
(All in-that, toi-let!)  
Just come in to take a peek, end up  
Stayin' for a week, down in the  
Toi-let!...  
(Toilet! Toilet!)  
All those mirrors, lotsa chrome, stuff you'd  
Never try at home, here in thuhuh  
Toi-let...  
Whoa, oh, girl a-nd  
[Zmiana tempa]  
Boy, let  
The night have its way,  
Wave bye-bye to the day,  
Don't use nothin too much,  
Have a look but don't touch, or you'll  
Spoil it,  
Just be cool, it's the toi-hoi-let...  
That expectant, disinfectant heavy  
Rest-room rendez-vooo...  
Urinal smoothies, just like in the movies,  
'll charm ya right outta your, pants – come  
To the  
Toilet! flush all those  
Troubles and dance!*

*(W toalecie [szybkie tempo])*

*Dziwne czasem bywa życie,  
Kiedy mózg masz na suficie, w*



*Toalecie!*  
[chórek dziewcząt] *W toalecie!*  
*Koka, ecstasy i trawa!*  
*Zawsze fajna jest zabawa*  
*W toalecie!*  
*(Przede wszystkim w toalecie!)*  
*Wejź na chwilę, zerknij szybko,*  
*Tydzień swój poświęcisz grzybkom, w*  
*Toalecie!...*  
*(Toalecie! Toalecie!)*  
*Tyle luster, mnóstwo chromu,*  
*Nie masz takich cudów w domu, w*  
*Toalecie!*  
*Hola, chłopcy i dziewczęta*  
*[Zmiana tempa],*  
*Nocy nadciąga cień,*  
*Pożegnajcie już dzień,*  
*Z niczym nie przesadzajcie,*  
*Patrzcie, nie dotykajcie,*  
*Bo coś zepsujecie,*  
*Spokojnie, to toaleta...*  
*Wyczekiwane rendez-vous*  
*W ciężkich oparach lizolu...*  
*Wśród pisuarów, jak za sprawą czarów,*  
*Zgubicie majtki — chodźcie*  
*Do toalety! Spuśćcie kłopoty*  
*W klozecie i tańczcie!*

Nie każdy odnosi korzyści ze straconej młodości. Nastoletni rówieśnicy Maxine zagubili się w toaletach klubów lat osiemdziesiątych, weszli do środka, nigdy nie wyszli, niektórzy na swoje szczęście stali się zbyt modni lub niedostatecznie modni, by to wszystko docenić, a inni, jak Maxine, wchodzili tylko po to, by od czasu do czasu powracać – epileptogenne

światła, metakwalon sprzedawany na parkiecie, fantastyczne fryzury... Mgła sprayu do włosów Aqua Net! Dziewczęce godziny spędzone przed lustrami! Dziwna rozbieżność między muzyką taneczną a tekstami piosenek: *Copacabana*, *What a Fool Believes*, rozdzierające, niekiedy tragiczne historie i dziwnie skoczne melodie...

Electric slide to taniec liniowy, który Maxine pamięta z wielu bar miw, w jakich uczestniczyła od czasów Paradise Garage, gdy była nastolatką. Wtedy ważny był dla niej tylko jeden dzień tygodnia, sobota, gdy wymykała się z domu o pierwszej lub pierwszej trzydzieści w nocy, jechała metrem do Houston, a później długo, długo na King Street. Przechodziła koło bramkarzy, by dołączyć do innych maniaków Paradise Garage, i tańczyła przez całą noc w magicznym świecie, po czym czekała w jakimś barze aż do pory śniadania, zastanawiając się, jaką historyjkę tym razem opowiedzieć rodzicom... Kończy się to tak, że grzebiesz w torebce, szukając chusteczek higienicznych, bo, rzecz jasna, wszystko zniknęło, znów nadchodzi mroźna pora roku, nie wszystkim się udało, wykończyło ich AIDS, crack i oczywiście pieprzony schyłkowy kapitalizm, więc tylko nieliczni znaleźli prawdziwy azyl...

– Eeee, Maxine, czy...

– Tak. Nie. Nic mi nie jest... O co chodzi?

Eric kiwa głową w stronę tłumu tancerzy tworzących na parkiecie secesyjne wzory, a Maxine zauważa w środku sali Felixa Boingueaux, tajemniczego kandydata na współsprawcę morderstwa. Ma na sobie dwurzędową jaskrawoczerwoną marynarkę z epoki dyskotek, prawie na pewno kupioną na

wyprzedaży pod wpływem impulsu, którego szybko zaczyna się żałować, a pod spodem T-shirt z liściem klonu, emblematem Kanady, oraz napisem: THE EH? TEAM. Tańczący łączą się w pary, a spocony i rozdygotany Felix podchodzi do Maxine i Erica.

– Hej, Felix, *ça va*?

– Przykra sprawa z Lesterem, co? – Ciężkie od hucpy spojrzenie nieruchomych oczu.

– To dlatego chciałeś się ze mną spotkać, co?

– Nie było mnie w mieście, gdy to się stało.

– Czy coś powiedziałam? Chociaż Lester rzeczywiście wyglądał, cóż, jakbyś trzymał go za dupę.

Prawdopodobieństwo wyprowadzenia z równowagi tego gościa jest minimalne. Równie małe jak szansa na to, że Ally McBeal przytyje.

– Ciągłe się zajmujesz tą sprawą, prawda?

– Traktujemy ją jako otwartą. – Liczba mnoga sugerująca, że śledztwo prowadzi zespół. Niech myśli, że ktoś wynajął Maxine. – Możesz nam jakoś pomóc?

– Może. Pewnie natychmiast polecisz opowiedzieć wszystko glinom.

– Nie przepadam za policjantami, Felixie. Porównywanie mnie do Nancy Drew jest mało pochlebne, powinienesz wymyślić coś innego.

– Hej, to przecież ty chciałaś załatwić starego Vipstera. – Felix zaczyna zerkać podejrzliwie na Erica, który dobrodusznie wtapia się w tłum falujących tancerzy, pijaków i narkomanów.

Maxine udaje, że wzdycha.

– Chodzi o *poutine*, prawda? Nigdy mi nie wybaczysz. Felixie, przepraszam, że to powiedziałam: głupia uwaga, tani chwyt.

Felix imituje ton Maxine:

– W Montrealu oceniamy w ten sposób charakter moralny człowieka. Jeśli ktoś nie lubi *poutine*, nie lubi życia.

– Czy mogę się nad tym zastanowić później? – Maxine spogląda na bawiących się gości. – Może w poniedziałek? Obiecuję... Patrz, patrz, Gabriel Ice. – Kiwa głową w stronę baru, gdzie, rzeczywiście, stoi ich sympatyczny gospodarz, przemawiając do niewielkiej grupki admiratorów.

– Spotkałaś go kiedyś?

Maxine rozumie, że właśnie o to mogło chodzić.

– Rozmawialiśmy przez telefon. Miałam wrażenie, że uważa swój czas za bardzo cenny.

– Chodź, przedstawię cię, robiliśmy razem interesy.

Jasne, że tak, sukinsynu. Idą przez zatłoczoną salę, aż wreszcie słyszą głos potentata informatycznego, który nie rozmawia normalnie, lecz wygłasza coś w rodzaju wykładu na tematy techniczne.

Jego oczy, spoglądające zza szkieł w rogowych oprawkach marki Oliver Peoples, nie wyrażają prawie żadnych emocji – Maxine widywała wyrazistsze spojrzenia na targu rybnym. Zdarza się jednak, że osoba, która sprawia wrażenie odpornej na uczucia, jest w gruncie rzeczy nadwrażliwa, niekiedy w niebezpieczny sposób: nie mogąc sobie poradzić z sytuacją, szybko dochodzi do skrajności. Wąskie, ostrożne wargi. Wśród

biznesmenów spotyka się wiele takich twarzy, ludzi, którzy nie wiedzą, czego chcą, ile, ani co zrobić, gdy już to zdobędą.

– Coraz więcej serwerów zebranych w jednym miejscu generuje mnóstwo ciepła, które szybko staje się problemem, chłodzenie pochłania ogromne sumy – oznajmia Ice. – Rozwiązaniem jest przeniesienie się na północ, tworzenie farm serwerów w miejscach, gdzie generowane ciepło nie stanowi problemu. Zasilanie może pochodzić ze źródeł odnawialnych, jak woda czy słońce, a nadmiar ciepła można wykorzystać do ogrzewania osiedli powstających wokół centrów informatycznych. Społeczności żyjące pod kopułami w arktycznej tundrze. Bracia geekowie! Tropiki są świetne, gdy chodzi o tanią siłę roboczą i seks, ale przyszłością jest wieczna zmarzlina. Oto właśnie nowy cel geopolityczny: zdobyć kontrolę nad strefą polarną, gdyż chłód jest bogactwem naturalnym o niewiarygodnej wartości, zwłaszcza w epoce globalnego ocieplenia...

Argumenty przemawiające za kolonizacją Północy brzmią niepokojąco znajomo. Z prawa Godwina wynika, że w każdej dłuższej dyskusji prowadzonej na Upper West Side na pewno pojawi się wzmianka o Stalinie lub Hitlerze. Maxine przypomina sobie opowieści Erniego o tym, że w latach trzydziestych zbrodniczy Gruzin wpadł na pomysł kolonizacji obszarów arktycznych: miały tam powstać miasta przykryte kopułami, zamieszkane przez armie młodych techników, czyli, jak zawsze podkreślał Ernie, robotników przymusowych. Ojciec ilustrował swoje wywody, puszczając starą płytę gramofonową z nagraniem mało znanej opery z epoki Wielkiego Terroru,

zatytułowanej *Atrakcyjna uczennica z Zażopińska*, w której basowo-tenorowe duety śpiewały o stepach pokrytych lodem, o termodynamicznej nocy. I oto Gabriel Ice, w masce kapitalisty, powtarza te same stalinowskie idee.

Aach, Boże, jakie to ohydne, jak do tego doszło? Wynajęty pałac, odrzucenie idei upływu czasu, milioner stojący na pokrytych czarnymi diamentami zboczach góry przemysłu informatycznego uważa się za gwiazdę rocka. Nie chodzi o to, że Maxine nie można oszukać, ale tego nie lubi i gdy staje się przedmiotem takich zabiegów, przekraczających zwykłą miarę, sięga po rewolwer. Zirytowana, unosi rękę.

– Przepraszam pana, czy przypadkiem nie chodzi także o poszukiwania ropy naftowej? Czy to znaczy, że w rejonach arktycznych powstaną amerykańskie bazy wojskowe?

– Ach, ta ignorantka blogerka! Jakie to niezwykle! Proszę tu podejść, chcielibyśmy wszyscy usłyszeć, co ma pani do powiedzenia, razem ze swoim towarzyszem, proszę się nie wstydzić. Kątem oka Maxine zauważa wymianę spojrzeń między Felixem a Ice'em.

– To trochę lepsze niż wariatka z pistoletem, prawda? – Maxine się uśmiecha i przesyła nieco nieszczery pocałunek.

Kilku akolitów Ice'a chowa się za barem lub w pobliskich toaletach, a Maxine rusza w stronę schodów. Dotarłszy do drzwi, ogląda się za siebie i spostrzega, że Felix rozmawia z Gabrielem Ice'em. Wyglądają jak dwaj spiskujący dranie. Wielka niespodzianka.

Czy Nora Charles kiedykolwiek by się z czymś takim pogodziła? A nawet Nancy Drew? Przyjęcia, na które chodzą,

pełna obsługa, *hors d'oeuvres* i piękni nieznajomi. Niechaj Maxine wyjdzie i poczuje się lepiej, zapomnijmy o całej sprawie, zawsze się to tak kończy. Typowe zobowiązania, poczucie winy, widma.

Jednak z jakiegoś powodu udaje jej się dotrzeć do końca nocnej imprezy. Horst, prawdopodobnie pod wpływem jointa, którego od kogoś dostał, wpadł w doskonały humor i wszędzie go pełno. Maxine uczestniczy w dyskusjach na temat skomplikowanych problemów informatycznych, z których nie rozumie ani słowa. Kilka razy przysypia w toalecie, a jeśli coś jej się śni, trudno to oddzielić od niewidzialnego chaosu, jaki ją otacza, czarno-białej ciszy, aż wreszcie pora puścić ostatnie CD przed powrotem do domu. Jest nim *Closing Time* grupy Semisonic, czteroakordowe pożegnanie minionego wieku. Dawni i przyszli arystokraci świata nerdów powoli, z pozoru niechętnie, wychodzą na ulicę, gdzie trwa długi wrzesień, który towarzyszy im w wirtualny sposób od zeszłej wiosny i staje się coraz głębszy. Zmusza ich do nadania twarzom wyrazu przybieranego na ulicach. Twarzom, które są już ofiarami cichego ataku, jakby ze strony czegoś czającego się w przyszłości, pluskwa milenijna w tygodniu pracy, którego nikt nie jest w stanie sobie wyobrazić, tłumy powoli wypełniają legendarne uliczki, wieżowce zaczynają się rozmywać, zrzucają zasłony przed nadejściem jasności świtu, morze T-shirtów, których nikt nie czyta, wrzask komunikatów, których nikt nie odbiera, jakby była to prawdziwa historia Alei, krzyki wymagające uwagi, nie wolno się w nich zagubić, kurierzy kozmo.com dostarczający o trzeciej nad ranem materiały dla

koderów, na całonocne sesje niszczenia dokumentów, partnerzy seksualni, którzy przyszedli i odeszli, zespoły w klubach, piosenki wciąż czekające w zasadzce na leniwe godziny, codzienne zajęcia pełne zebrzań, których tematem są zebrania i bezmyślni szefowie, nierealne ciągi zer, modele ekonomiczne zmieniające się z minuty na minutę, noc w noc imprezy z okazji wejścia firm na giełdę, najczęściej w czwartki, trudno to wszystko zapamiętać, które z tych twarzy pochłonął czas, epoka, świętowali jej odejście przez całą noc – kto potrafi przewidzieć przyszłość, zrozumieć mikroklimaty układu dwójkowego, tropić na całym świecie światłowody, skrętki, a obecnie przez radio, w przestrzeni prywatnej i publicznej, wszędzie, gdzie poruszają się igły cyberwskaźników, które nigdy nie zastygają w bezruchu, w niespokojnym, ogromnym gobelinie, stale prutym i cerowanym, przez pewien czas wszyscy mu służyli, siedzieli, stawali się kalekami – do kształtu zbliżającego się dnia, procedura czekająca na wykonanie, która wkrótce zostanie ujawniona, wynik wyszukiwania bez wskazówek, jak szukać?

W taksówce, którą wracają do domu, z radia dochodzi chór głosów po arabsku. Z początku Maxine sądzi, że to jakaś audycja z udziałem słuchaczy, ale po chwili taksówkarz bierze mikrofon i dołącza. Maxine zerka na jego identyfikator na szybie. Twarz jest zbyt niewyraźna, by coś zauważyć, lecz imię jest islamskie. Mohammed jakiś tam.

Maxine ma wrażenie, że to gwar przyjęcia odbywającego się w sąsiednim pokoju, choć nie słyhać muzyki, śmiechów. Gwałtowne emocje, owszem, ale podobne do płaczu albo złości.



Ludzie przekrzykują się, wrzeszczą, przerywają sobie. Kilka głosów brzmi kobieco, ale później okazuje się, że to mężczyźni mówiący piskliwym tonem. Jedyne słowo, jakie Maxine rozpoznaje, powtarzane wielokrotnie, to „Inszallah”.

– To po arabsku „cokolwiek”. – Horst kiwa głową.

Czekają na światłach.

– Jeśli taka jest wola Boga – poprawia go kierowca, obracając się lekko, tak że Maxine przypadkiem widzi jego twarz.

To, co dostrzega, sprawi, że nie będzie w stanie szybko zasnąć. A przynajmniej tak to zapamięta.

## 29

Stawki zakładów na mecz futbolowy między Indianapolis Colts a New York Jets wynoszą dwa do jednego. Horst, jak zawsze lokalny patriota, zakłada się z Ziggym i Otisem o pizzę, że Colts wygrają – i rzeczywiście, osiągają przewagę dwudziestu jeden punktów. Peyton Manning gra bezbłędnie, Vinny Testaverde jest nieco mniej skuteczny – na przykład w ciągu ostatnich pięciu minut udaje mu się podać piłkę obrońcy Colts, który następnie przebiega z nią dziewięćdziesiąt osiem jardów i zdobywa sześć punktów przez przyłożenie. Testaverde goni go przez całe boisko, obserwowany przez resztę drużyny Jets, a tymczasem Ziggi i Otis zaczynają kłąć, aż ojciec ma ochotę zatkać sobie uszy.

Jest ciepły wieczór i postanawiają nie zamawiać pizzy, lecz iść pieszo do Columbus Avenue, do Tom's Pizza, lokalu, który wkrótce stanie się częścią zbiorowej pamięci Upper West Side. Później, gdy Maxine o tym myśli, zauważa, że po raz pierwszy od lat robią coś razem jako rodzina. Siedzą przy stoliku przed pizzerią. W pobliżu krąży nostalgia, gotowa wysączyć się z zasadzki. Maxine przypomina sobie czasy, gdy chłopcy byli mali i w okolicznych pizzeriach cięto dla dzieci pizzę na małe kawałki. Kiedy chłopiec potrafił zjeść całą pizzę, było to coś

w rodzaju osiągnięcia pełnoletności. Później, gdy zaczął nosić szelki, wracał do małych kawałków. Maxine zerka na Horsta, szukając jakichś zewnętrznych oznak wspomnień, ale nie, stara Flegmatyczna Geometria nieprzerwanie opycha się pizzą i stara się, by chłopcy stracili orientację, ile kawałków pożarł. Maxine uważa, że można by to nazwać czymś w rodzaju tradycji rodzinnej, niezbyt pięknej, ale, do licha, potrafi ją zaakceptować.

Później w domu Horst siada przed ekranem komputera.

– Chodźcie, chłopcy, popatrzcie. Niewiarygodne!

Ekran jest pełen liczb.

– To giełda w Chicago, pod koniec zeszłego tygodnia, widzicie? Nagle pojawiło się mnóstwo opcji na sprzedaż akcji United Airlines. Tysiące opcji na sprzedaż, ale ani jednej opcji na zakup. Teraz, dzisiaj, nastąpił zalew opcji na sprzedaż American Airlines.

– Opcja na sprzedaż to coś w rodzaju krótkiej sprzedaży? – pyta Ziggy.

– Tak, kiedy się spodziewasz, że kurs spadnie. A wolumen obrotów znacznie wzrósł: jest sześć razy większy niż zwykle.

– Tylko te dwie linie lotnicze?

– Tak. Dziwne, prawda?

– Ktoś wykorzystuje poufne informacje – orzeka Ziggy.

\* \* \*

W poniedziałek rano do Maxine dzwoni Vyrva. W jej głosie słychać panikę.

– Chłopaki szaleją. Zdaje się, że gdzieś się włamywali i spodziewali się ciągu liczb losowych, po czym nagle okazały się nielosowe.

– Mówisz mi to, ponieważ...

– Mogłabym z Fioną przyjechać na pewien czas?

– Jasne.

Horst jest w barze sportowym w centrum miasta i ogląda *Monday Night Football*. Mecz New York Giants i Denver Broncos w Denver. Zamierza spędzić noc u kolegi, wiecznego nastolatka Jake'a Pimenta, który mieszka w Battery Park City, skąd jeździ do pracy w World Trade Center.

Vyrva ujawnia wszystkie niewyjaśnione kwestie.

– Wrzeszczą na siebie. To zawsze niedobry znak.

– Jak obóz, Fiono?

– Super.

– Nie było beznadziejnie?

– Właśnie.

Otis, Ziggy i Fiona zaczynają oglądać Homera Simpsona, w serii *D'oh*, z gatunku *noir*, a może *jaune*.

W zachowaniu Vyrvy widać wczesne symptomy rodzicielskiej dezorientacji.

– Nagle zainteresowała się filmami opartymi na grze Quake. Niektóre z nich można obejrzeć w sieci, Fiona już zamówiła dostęp. Podpisujemy umowy z dystrybutorami. Więcej paragrafów niż w kontrakcie na wyprawę na biegun północny. Oczywiście nie mamy pojęcia, na co się zgadzamy.

Maxine przygotowuje popcorn.

– Możesz dziś przenocować. Horst nie wraca do domu, jest mnóstwo miejsca.

Siedzą do późna, spędzając czas na głupstwach. Nic specjalnego, chłopcy dość szybko kładą się spać, telewizja, którą lepiej oglądać bez dźwięku, żadnych głębokich wyznań, paplanie o interesach. Około północy Vyrva dzwoni do Justina.

– Znowu się awanturują. Jest gorzej, niż było. Chyba przenocuję.

\* \* \*

We wtorek rano wszyscy jadą razem do szkoły Kugelblitza, czekają przed budynkiem na dzwonek. Potem Vyrva jedzie autobusem do miasta, a Maxine rusza do pracy. Wchodzi do miejscowego kiosku, by kupić gazetę, i widzi, że ludzie są zdenerwowani, a jednocześnie przygnębieni. W centrum miasta dzieje się coś złego.

– W World Trade Center uderzył przed chwilą samolot – mówi Hindus stojący za ladą.

– Prywatny?

– Odrzutowiec pasażerski.

Ach... Maxine idzie do domu i włącza CNN. Wszystkiego się dowiaduje. Sytuacja wciąż się pogarsza. Przez cały dzień. W południe dzwonią ze szkoły i mówią, że przerywają lekcje, czy mogłaby odebrać chłopców?

Wszyscy są zdenerwowani. Kiwnięcia głową, uściski dłoni, prawie nikt nie rozmawia.

– Mamo, czy tata jest dziś w biurze?

– Nocował u Jake’a, ale chyba głównie pracował przy komputerze. Bardzo prawdopodobne, że w ogóle nie pojechał do World Trade Center.

– Ale nie miałaś od niego wiadomości?

– Wszyscy próbują się skontaktować ze wszystkimi, sieci komórkowe są przeciążone, tata zadzwoni. Ja się nie martwię, więc wy też się nie martwcie, okay?

Nie kupują tego, jasne. Ale obaj kiwają głowami i nie wracają już do tematu. Zachowują się fantastycznie. Maxine trzyma ich za ręce przez całą drogę do domu, a chociaż zwykle ich to irytuje jako coś kojarzącego się z dzieciństwem, tym razem nie protestują.

Po chwili zaczyna dzwonić telefon. Za każdym razem Maxine zrywa się z miejsca w nadziei, że to Horst, lecz okazuje się, że dzwoni Heidi, Ernie i Elaine i rodzice Horsta z Iowa, gdzie wszystko jest o godzinę bliższe niewinności snu. Jednak ani słowa od bryły wołowiny, która w dalszym ciągu stanowi część jej życia. Chłopcy siedzą w swoim pokoju i patrzą na zdjęcia dymiących zgliszcz w miejscu, gdzie stały wieże World Trade Center. Maxine zagląda do nich od czasu do czasu. Przynosi przekąski, zgodne z zasadami żywienia dzieci, a także niezgodne, ale nie jedzą.

– Jesteśmy w stanie wojny, mamo?

– Nie. Kto to powiedział?

– Wolf Blitzer.

– Zwykle kraje są w stanie wojny z innymi krajami. Moim zdaniem ludzie, którzy to zrobili, nie reprezentują żadnego kraju.

– W wiadomościach mówili, że ci ludzie byli z Arabii Saudyjskiej – stwierdza Otis. – Może jesteśmy w stanie wojny z Arabią Saudyjską?

– Wykluczone – zaprzecza Ziggy. – Potrzebujemy ich ropy.

Jak za sprawą telepatii rozlega się dzwonek telefonu. W słuchawce słyhać głos March Kelleher.

– To pożar Reichstagu – mówi na powitanie.

– Co takiego?

– Ci pieprzeni naziści w Waszyngtonie potrzebowali pretekstu, by dokonać zamachu stanu, i teraz go mają. Ameryka siedzi po uszy w gównie, to nie Arabami powinniśmy się martwić, tylko Bushem i jego gangiem.

Maxine wcale nie jest przekonana.

– Wygląda na to, że w ogóle nie wiedzą, co robić, kompletnie ich to zaskoczyło, bardziej niż Pearl Harbor.

– Chcą, żebyś w to wierzyła. A jesteś pewna, że Pearl Harbor nie było specjalnie zaaranżowane?

Naprawdę o tym dyskutują?

– Nawet jeśli ktoś chciałby zaatakować własny naród, po co miałby szkodzić swojej gospodarce?

– Nie znasz zasady: „Aby zarabiać, trzeba inwestować”? Ofiara złożona mrocznym bóstwom kapitalizmu.

Maxine nagle o czymś sobie przypomina.

– March, to DVD od Rega, ze stingerem...

– Wiem. Wpadliśmy w tarapaty.

\* \* \*

Dzwoni telefon.

– Nic ci nie jest?

Dupek. Co go to obchodzi? Maxine nie miała ochoty usłyszeć tego głosu. W tle słychać biurowe pandemonium, dzwonki telefonów, przekleństwa pod adresem podwładnych, warkot niszczarek dokumentów, pracujących na pełnych obrotach.

– Kto mówi?

– Jeśli chcesz porozmawiać, masz mój numer. – Windust odkłada słuchawkę.

Czy „rozmawiać” znaczy „pieprzyć się”? Ten rodzaj desperacji wcale by jej nie zdziwił, muszą istnieć nieudacznicy, którzy próbują wykorzystać tragedię rozgrywającą się w centrum miasta, by się z kimś przespać za darmo. Maxine zna Windusta na tyle dobrze, że nie może tego wykluczyć.

Ciągle żadnej wiadomości od Horsta. Próbuje się nie martwić, natchnąć chłopców optymizmem, ale się martwi. Późnym wieczorem, gdy obaj już śpią, siedzi przed telewizorem, zasypia, budzi się, myśląc, że ktoś wchodzi przez drzwi, znowu zasypia.

W nocy Maxine ma sen, że jest myszą biegającą po gigantycznym budynku mieszkalnym, który, jak się domyśla, symbolizuje Stany Zjednoczone. Zagląda do kuchni i spiżarni w poszukiwaniu jedzenia, przerażona, ale wolna, aż nad ranem zauważa coś w rodzaju humanitarnej pułapki. Nie potrafi się oprzeć chęci spróbowania przynęty – to nie tradycyjne masło orzechowe ani ser, tylko coś wyszukanego, może pasztet albo trufle – i w chwili, gdy wchodzi do kuszącego małego



pomieszczenia, ciężar jej ciała uruchamia sprężynowy mechanizm, który cicho zamyka drzwi za nią, po czym nie daje się ich już otworzyć. Maxine znajduje się w wielopoziomowej strukturze czasoprzestrzennej, na zebraniu, może przyjęciu, wśród nieznajomych twarzy, myszy, a jednak nie tylko myszy. Rozumie, że to miejsce jest etapem pośrednim między wolnością na pustkowiu a jakimś innym, trudnym do wyobrażenia środowiskiem, do którego po kolei wszyscy zostaną wypuszczeni. Musi to być analogia do śmierci i życia po śmierci.

Rozpaczliwie chce się obudzić. A kiedy się budzi, pragnie być gdzie indziej, nawet w wulgarnym rajku geeków, takim jak DeepArcher.

Wstaje z łóżka, spocona, zagląda do pokoju chłopców i widzi, że śpią. Przechodzi do kuchni i stoi, patrząc na lodówkę, jakby był to telewizor, który powie jej coś, co powinna wiedzieć. Słyszy dźwięki dochodzące z pokoju gościnnego. Starając się nie mieć zbyt wielkiej nadziei, nie oddychać zbyt szybko, idzie na palcach i – tak! – widzi Horsta, który chrapie przed telewizorem nastawionym na kanał BioPiX, jedyny, który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nie nadaje informacji o ataku na World Trade Center. Tak jakby to, że Horst żyje i jest w domu, było najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

\* \* \*

– Denver wygrało trzydzieści jeden do dwudziestu. Chyba przysnąłem na kanapie Jake’a. W środku nocy się obudziłem

i nie mogłem z powrotem zasnąć.

Battery Park wydawał się w nocy bardzo dziwny. Horstowi przypomniawszy sobie noc przed Bożym Narodzeniem, gdy był dzieckiem. Święty Mikołaj był niewidzialny, w drodze, gdzieś na niebie. Panowała absolutna cisza, tylko z sypialni dobiegało chrapanie Jake'a. W tej okolicy przez cały czas wyczuwa się obecność wież World Trade Center, nawet gdy ich nie widać – trochę jak człowieka rozpychającego się w windzie. A w świetle słońca, w rozedrganej mgiele, wyłaniają się gigantyczne aluminiowe konstrukcje...

Nazajutrz rano wokół rozpętało się piekło. Kiedy Jake przypomniawszy sobie, gdzie jest kawa, a Horst włączył telewizor, by obejrzeć wiadomości, wyły syreny, nad całą dzielnicą krążyły helikoptery, wkrótce potem zauważyli przez okno ludzi idących w stronę rzeki i doszli do wniosku, że warto do nich dołączyć. Holowniki, promy, prywatne jachty przybijają do nabrzeża i zabierają ludzi, wszyscy z własnej inicjatywy, zdumiewająca koordynacja.

– Moim zdaniem nikt tym nie kierował, po prostu przyplłynęli i wykonali zadanie. Wszystko skończyło się w Jersey. W jakimś motelu.

– To w twoim stylu.

– Telewizja nie działała zbyt dobrze. Nic tylko najnowsze wiadomości.

– A więc gdybyście nie postanowili się przespać...

– Kiedyś znalazłem na giełdzie maklera zajmującego się kawą, chrześcijańskiego maniaka religijnego, który mówił, że to coś w rodzaju łaski, coś niespodziewanego. To po prostu

przychodzi. Oczywiście w każdej chwili może odejść. Jak wtedy, gdy zawsze wiedziałem, że trzeba stawiać na eurodolary. Kiedy krótko sprzedawaliśmy Amazon, wyszliśmy z Lucent, gdy kosztował siedemdziesiąt dolarów za akcję, pamiętasz? To nie tak, że zawsze wszystko wiem. Ale coś wiedziało. Nagle zadziały dodatkowe linijki kodu w mózgu. Po prostu robiłem, co mi kazały.

– Ale wtedy... jeśli pomógł ci ten sam dziwny talent?

– Jak to możliwe? Przewidywanie zachowań rynków finansowych nie ma przecież nic wspólnego z przewidywaniem katastrof.

– A może to dwie formy tego samego?

– To dla mnie zbyt antykapitalistyczne, kochanie.

Później Horst mówi:

– Zawsze uważałaś mnie za kogoś w rodzaju idioty, a jednocześnie erudyty. Ty byłaś sprytna w sposób praktyczny, jak cwaniaczki z ulicy, a ja byłem tylko sztywniakiem, który posiada pewien talent, niezasługujący na to, by mieć szczęście.

Horst po raz pierwszy mówi to Maxine, chociaż wielokrotnie wygłaszał te słowa w wyobraźni do swojej ekszony, siedząc samotnie w pokojach hotelowych w Stanach i za granicą, gdy z telewizora dobiegał niezrozumiały język, który Horst znał tylko w zupełnie podstawowym stopniu. Obsługa hotelowa zawsze przynosiła mu jedzenie zamówione przez kogoś innego i nauczył się to akceptować. Kierowała nim ciekawość i chęć przeżycia czegoś nowego. Zawsze powtarzał sobie, że tylko dzięki temu miał okazję spróbować, powiedzmy, zapiekanki z aligatora ze smażonymi korniszonami albo pizzy

z baraniami oczami. Najczęściej jada rosół z kaczki (raz przyniesiono mu go także na śniadanie, w Urumczy), ale nie widzi jasnego związku z innymi rzeczami, jak odległe zaułki dnia, ponowne tłumaczenia dokonywane o trzeciej nad ranem ze strachu przed nieprzyjemnymi snami, nieczytelne widoki miejskich cieni za oknem. Nie chce widzieć trujących błękitnych mas, zaciąga zasłony, by zerkać przez nie tak długo, jak musi. Jakby na zewnątrz działo się coś, czego nie wolno mu przegapić.

\* \* \*

Nazajutrz rano Maxine i chłopcy szykują się do szkoły Kugelblitza.

– Mogę iść z wami? – pyta Horst.

Jasne. Maxine zauważa inne małżeństwa odprowadzające dzieci do szkoły. Niektóre nie odzywają się do siebie od lat, lecz teraz ciągle towarzyszą dzieciom, niezależnie od ich wieku. Na ganku stoi dyrektor Winterslow i wita wszystkich po kolei. Jest poważny, uprzejmy i przynajmniej raz nie wygłasza mądrych uwag. Dotyka ludzi, klepie ich po plecach, obejmuje, ściska dłonie. W holu znajduje się stół z księgą, do której mogą się wpisywać ochotnicy chcący pracować na miejscu ataków. Wszyscy wciąż są otępiali, spędzili cały poprzedni dzień przed ekranami telewizorów, w domu, w barach, siedząc, stojąc, wpatrując się w nie jak zombie, nie potrafiąc zrozumieć tego, co widzą. Telewidzowie, którzy wrócili do swojego naturalnego stanu, ogłupiali, bezbronni, śmiertelnie przerażeni.

\* \* \*

March Kelleher natychmiast zajęła się swoim blogiem, tworząc wpisy, które nazywa tyradami starej lewaczki.

*Wszyscy wiemy, że zrzucanie winy na złych muzułmanów jest żalosne. Widzimy na ekranach zbliżenia twarzy urzędników. Wyglądają jak krętacze, kłamcy, w oczach lśni podłość. Wystarczy jedno spojrzenie na te gęby i wiadomo, że są winni najgorszych zbrodni, jakie można sobie wyobrazić. Ale kto chce je sobie wyobrazać? Kto chce dostrzec straszliwy związek? Nikt, podobnie jak Niemcy w 1933 roku, gdy naziści podpalili Reichstag w miesiąc po powołaniu Hitlera na stanowisko kanclerza. Oczywiście nie oznacza to, że Bush i jego ludzie posunęli się do zaaranżowania ataków 11 września. Tylko beznadziejny paranoik, wariat nienawidzący Ameryki, mógłby wpaść na pomysł, że te straszliwe wydarzenia zostały wywołane celowo, by doprowadzić do niekończącej się orwellowskiej wojny i narzucić obywatelom ustawy stanu wyjątkowego, które wkrótce ograniczą naszą wolność.*

*Ale zawsze jest również coś innego. Nasza tęsknota. Nasza głęboka potrzeba, by okazało się to prawdą. Gdzieś w głębi, w mrocznym zakamarku naszej narodowej duszy, chcemy czuć się zdradzeni, nawet winni. Jakbyśmy to właśnie my stworzyli Busha i jego bandę, Cheney'a, Rove'a, Rumsfelda, Feitha i resztę – my, którzy skaziliśmy święty płomień „demokracji”, a potem faszystowska większość w Sądzie Najwyższym dała zielone światło Bushowi i wtedy rozpoczął swój obłądny taniec. I to my odpowiadamy za wszystko, co się później wydarzyło.*

Mniej więcej tydzień później March i Maxine jedzą śniadanie w barze Piraeus. W oknie wisi teraz wielka amerykańska flaga i plakat z napisem: JESTEŚMY JEDNYM NARODEM. Mike jest wyjątkowo uprzejmy wobec policjantów, którzy przychodzą na darmowe posiłki.

– Spójrz na to. – March podaje Maxine banknot jednodolarowy, na którego marginesie ktoś napisał długopisem: „World Trade Center zostało zniszczone przez CIA: ludzie starego Busha zrobili młodego Busha dożywotnim prezydentem i bohaterem”. – Dostałam to dziś rano w sklepie spożywczym na rogu, razem z resztą. Od ataków minął dopiero tydzień. Można mieć różne zdania na ten temat, ale, tak czy inaczej, to historyczny dokument.

Maxine przypomina sobie, że Heidi ma całą kolekcję banknotów jednodolarowych pokrytych napisami i rysunkami i mówi, iż amerykański system monetarny stał się w ten sposób czymś w rodzaju ściany w publicznej toalecie. Są tam żarty, wyzwiska, slogany, numery telefonów, wyznania miłości, a także Gwiazdy Dawida nabazgrane na amerykańskim orle z podpisem: „Masoneria”. Ludzie rysują różne rzeczy na portrecie Jerzego Waszyngtona: zamazują mu twarz na czarno, dodają zwariowany gotycki makijaż, dziwne nakrycia głowy, dredy, fryzury w stylu Marge Simpson, kosmitów wplątanych w perukę, zapalone jointy w ustach, a także dymki z uwagami, czasem śmiesznymi, a czasem głupimi. „Niezależnie od tego, jak wygląda oficjalna narracja – twierdzi Heidi – powinniśmy zwracać uwagę właśnie na tego rodzaju rzeczy, nie na komunikaty w gazetach albo w telewizji, tylko na marginesy, graffiti, niekontrolowane wypowiedzi, okrzyki ludzi, którzy zasnęli w miejscu publicznym i przyśniły im się koszmary”.

– Ten komunikat na banknocie wcale mnie nie dziwi – mówi March. – Ani to, jak szybko się pojawił. Analizę przeprowadzono błyskawicznie.

Maxine, mimo woli, przyjmuje wobec March postawę sceptyka. W tych dniach, podobnie jak wszyscy, czuje się wytrącona z równowagi, choć chciałaby pomóc.

– Odkąd to się stało, March, nie umiem wierzyć.

March bez przerwy myśli o atakach na World Trade Center i wraca do sprawy filmu Rega.

– Przypuśćmy, że grupa ze stingerem czekała na rozkaz zestrzelenia pierwszego boeinga 767, tego, który uderzył w północną wieżę. Może w Jersey była druga grupa, żeby zniszczyć następny samolot, który zatoczył krąg i nadleciał z południowego zachodu.

– Dlaczego?

– Zabezpieczenie na wypadek zmiany planów. Ktoś mógł nie wierzyć, że porywacze naprawdę uderzą w wieże. Ludzie Zachodu nie są w stanie zrozumieć idei samobójstwa z pobudek religijnych. Zagrozili więc, że zestrzelą porywaczy, gdyby ci w ostatnim momencie zdecydowali się wycofać.

– A gdyby porywacze się rozmyślili, a ludzie ze stingerem zrobili to samo i nie zestrzelili samolotu?

– To by tłumaczyło obecność snajpera na drugim dachu. Grupa ze stingerem wiedziała, że tam jest i że trzyma ich na muszce, dopóki nie wykonają zadania. Kiedy facet z telefonem dostał informację o przeprowadzonym ataku, wszyscy natychmiast się zwinęli. Wzeszło już słońce, ale szansa, że ktoś ich zauważy, była niewielka, bo ludzie patrzyli tylko w stronę centrum miasta.

– Litości, to zbyt skomplikowane, przestań!

– Próbuję, ale czy Bush odpowiada na moje telefony?

\* \* \*

Tymczasem Horsta stale dziwi coś innego.

– Pamiętasz tydzień przed atakami, te wszystkie opcje na sprzedaż United Airlines i American Airlines? Okazało się, że porwano samoloty właśnie tych linii, prawda? Cóż, wygląda na to, że w czwartek i piątek na rynku pojawiły się także opcje na akcje Morgana Stanleya, Merrill Lynch, kilku innych instytucji finansowych, które wynajmują biura w World Trade Center. Jesteś specjalistką od tropienia oszustw: co ci to sugeruje?

– Ktoś z góry wiedział, że kursy akcji spadną. Kto sprzedawał te instrumenty?

– Jak dotąd nikt się nie przyznał.

– Tajemniczy uczestnicy gry, którzy wiedzieli, co się stanie? Ktoś z zagranicy? Zjednoczone Emiraty Arabskie?

– Staram się zachować rozsądek, ale...

Maxine idzie na lunch do swoich rodziców. Zgodnie z oczekiwaniami są tam Avi i Brooke. Siostry obejmują się, choć nie ma między nimi ciepła. Nie mogą nie rozmawiać o World Trade Center.

– Tamtego ranka nikt nie miał nic do powiedzenia. – W którymś momencie Maxine zauważa emblemat New York Jets na jarmułce Aviego. – Czy to nie okropne? To kompletnie płaskie. Jeden obraz kamery, statyczne ujęcie dymiących ruin wież, wykonane przez teleobiektyw, ciągle te same wiadomości, powtarzane w kółko idiotyzmy...

– Byli w szoku, jak wszyscy tego dnia – mruczy Brooke. – A ty nie byłaś w szoku?



– Ale po co pokazywać ciągle to samo, jakbyśmy tylko czekali, by to się stało? Nie da się podciągnąć tak wysoko węży strażackich, okay, więc pożar albo wygaśnie samoistnie, albo rozprzestrzeni się na inne piętra, albo... Czy nie byliśmy przygotowani do tego, co się stanie? Jeden spadający człowiek, później drugi, ale czy to kogoś dziwi? Czy nie było to nieuniknione?

– Myślisz, że media z góry o tym wiedziały? – pyta obrażonym, gniewnym tonem Brooke. – Po czyjej stronie stoisz, jesteś Amerykanką czy nie? – Wpada we wściekłość. – To straszliwa, straszliwa tragedia, uraz psychiczny dla całego pokolenia, w każdej chwili może wybuchnąć wojna ze światem arabskim, a ty nawet teraz nie możesz się powstrzymać od swojej hipsterskiej ironii?! Co dalej, dowcipy o Auschwitz?!

– To samo się działo po zabójstwie Kennedy’ego. – Ernie z opóźnieniem usiłuje rozładować sytuację nostalgicznymi wspomnieniami. – Wtedy też nikt nie chciał wierzyć w oficjalną wersję. Nagle zauważono różne dziwne zbiegi okoliczności.

– Myślisz, że to był spisek, tato?

– Główny argument przeciwko teoriom spiskowym sprowadza się do tego, że byłoby zbyt wielu wtajemniczonych i prędzej czy później ktoś zacząłby sypać. Ale popatrzmy na amerykańskie służby bezpieczeństwa, ci ludzie to biali protestanci pochodzenia angielskiego, mormoni, stowarzyszenie Czaszka i Kości, z natury skryci. Szkoleni, czasem od urodzenia, by nigdy nie zdradzać tajemnic. Jeśli gdzieś istnieje dyscyplina, to właśnie między nimi.

– A ty, Avi? – Maxine obraca się w stronę szwagra. – Co ostatnio słyhać na częstotliwości cztery tysiące trzysta sześćdziesiąt kiloherców? – Jasno i prosto, ale Avi gwałtownie się wzdryga. – Ach, przepraszam, chodzi o megaherce?

– Co masz na myśli, kurwa?!

– Przestańcie kłąć! – mówi odruchowo Elaine, po czym podnosi oczy i spostrzega, że to Avi.

– Arabska propaganda! – woła Avi. – Antysemickie gówna! Kto ci podał częstotliwość?

– Nieszkodliwe pytanie. – Maxine wzrusza ramionami. – Słyszałam, że krótkofalowcy znają ją od zawsze, to tak zwane radiostacje E dziesięć, obsługiwane przez Mossad i znajdujące się w Izraelu, Grecji, Ameryce Południowej. Kobięce głosy, które pojawiają się w erotycznych fantazjach miłośników radia na całym świecie, odczytują sekwencje liczb, czyli, naturalnie, szyfry. Panuje powszechne przekonanie, że to wiadomości dla agentów w diasporze, płatnych lub nie. Podobno przed atakiem ruch znacznie wzrósł.

– Każdy antysemita w Nowym Jorku oskarża Mossad o ataki na World Trade Center. – Avi jest oburzony. – Krążą opowieści o Żydach, którzy tam pracowali, po czym poszli tego dnia na zwolnienie chorobowe, ostrzeżeni przez Mossad za pośrednictwem „tajnej siatki”. – Wykonuje w powietrzu gest imitujący cudzysłów.

– Żydzi tańczący na dachu furgonetki w Jersey! – Brooke jest wściekła. – Patrzą, jak wszystko się wali, nie zapominaj!

Później, gdy Maxine zbiera się do wyjścia, w holu dogania ją Ernie.

– Dzwoniłaś do tego gościa z FBI?

– Tak, i wiesz, co? On uważa, że Avram naprawdę pracuje dla Mossadu, jasne? Przytupuje w rytm klezmerskiej melodii, którą tylko on słyszy, i czeka, aż go aktywują.

– Wstrętny żydowski spisek...

– Ale zwróć uwagę, że Avi nigdy nie opowiada, co robił w Izraelu, nie mówi o tym, czym się zajmuje dla hashslingrz. Jedno mogę ci zagwarantować: wszystko będzie sownie wynagrodzone. Jeszcze się przekonasz, że da wam mercedesa na urodziny...

– Nazistowskie auto? Dobrze, więc je sprzedam...

## 30

Jeżeli ktoś czyta tylko „The New York Times”, mógłby uwierzyć, że Nowy Jork, podobnie jak cały naród amerykański, zjednoczony w smutku i szoku, dzielnie stawiał czoła wojownikom światowego dżihadu i przyłączył się do sprawiedliwej krucjaty, którą administracja Busha nazywa obecnie wojną z terroryzmem. Jeśli sięgnąć do innych źródeł – na przykład internetu – można odnieść inne wrażenie. W gigantycznej cyberprzestrzeni, anarchistycznej i nieokreślonej, wśród miliardów fantazji żywiących się samymi sobą, zaczynają się pojawiać mroczne możliwości.

Pióropusz dymu i pyłu, złożony z rozdrobnionych szczątków wież World Trade Center i ludzkich ciał, odpłynął na południowy zachód, w stronę Bayonne i Staten Island, ale jego woń unosi się w całym mieście. Gorzki, chemiczny zapach śmierci i spalenizny, którego nikt nigdy nie czuł w Nowym Jorku i który teraz utrzymuje się tygodniami. Choć cały teren na południe od 14th Street został w taki lub inny sposób bezpośrednio dotknięty, większość miasta dowiaduje się o wszystkim z drugiej ręki, głównie z telewizji. Im dalej od World Trade Center, tym odleglejsze stają się źródła informacji – relacje członków rodziny dojeżdżających do pracy,

przyjaciele, przyjaciele przyjaciół, rozmowy telefoniczne, plotki, folklor, a tymczasem zaczynają działać siły, w których żywotnym interesie leży jak najszybsze przechwycenie kontroli nad narracją, po czym cała wiarygodna historia kurczy się do koszmarnego obszaru z centrum w „strefie zero” – termin z okresu zimnej wojny, zapożyczony z opisów wojny nuklearnej, tak popularnych na początku lat sześćdziesiątych. Nie miało to nic wspólnego z sowieckim atakiem nuklearnym na centrum Manhattanu, ale ludzie, którzy bez przerwy powtarzają zwrot „strefa zero”, robią to bez odrobiny wstydu i świadomości jego etymologii. Chodzi o to, by w pewien sposób ogłupić ludzi. Ogłupić, przerazić, uczynić bezbronniymi.

Przez dwa dni na autostradzie West Side Highway panuje cisza. Ludzie między Riverside a West Endem nie słyszą nieustannego hałasu i nie zasypiają tak łatwo jak zwykle. Tymczasem na Broadwayu wszystko wygląda inaczej. Dzień i noc rozlega się łoskot ogromnych lawet wiozących do centrum dźwigi hydrauliczne, spychacze i inny ciężki sprzęt. W górze latają z rykiem myśliwce, helikoptery godzinami wiszą nad dachami, przez całą dobę słychać wycie syren. Jedenastego września każda jednostka straży pożarnej w Nowym Jorku straciła przynajmniej jednego z funkcjonariuszy i mieszkańcy codziennie zostawiają przed remizami kwiaty i przynoszą domowe posiłki. Korporacje, które wynajmowały pomieszczenia w World Trade Center, organizują uroczyste nabożeństwa żałobne za dusze pracowników, którzy nie zdążyli uciec, z udziałem dudziarzy i kompanii honorowych piechoty morskiej. Chóry dziecięce z kościołów i szkół w całym Nowym

Jorku dają koncerty w „strefie zero”, najczęściej wykonywane utwory to *America the Beautiful* oraz *Amazing Grace*. Terminy występów należy rezerwować wiele tygodni wcześniej. Można by się spodziewać, że miejsce, gdzie wydarzył się ten horror, stanie się czymś w rodzaju świętości i zacznie budzić chociaż trochę szacunku, lecz szybko staje się ono przedmiotem długotrwałych przetargów, czemu towarzyszą niemiłe awantury i spory dotyczące jego przyszłości jako terenu pod zabudowę, co starannie relacjonuje jako „newsy” „The New York Times”. Kilka osób zauważa dziwne podziemne wstrząsy dochodzące od strony cmentarza Woodlawn w Bronxie, po czym w końcu okazuje się, że jest to Robert Moses przewracający się w grobie.

Po upływie półtora dnia, gdy miasto trwało w szoku i zawieszeniu, znów dały o sobie znać zwykłe spory etniczne, gwałtowne jak zawsze. Hej, to Nowy Jork! Wszędzie wiszą flagi amerykańskie. W holach apartamentowców, w oknach mieszkań, na dachach, na wystawach sklepowych, w lokalnych sklepach spożywczych, w barach, na ciężarówkach dostawczych i stoiskach z hot dogami, na motocyklach i rowerach, na taksówkach prowadzonych przez mużmanów, którzy między zmianami uczestniczą w kursach hiszpańskiego, by udawać członków mniej nielubianej mniejszości etnicznej. Jednak jeśli Latynosi próbują wywieszać flagę Portoryko, wszyscy natychmiast ich przeklinają i nazywają wrogami Ameryki.

Tego straszliwego ranka, jak później mówiono, w promieniu wielu przecznic wokół World Trade Center

zniknęły wszystkie stragany na kólkach, jakby ich właściciele, w owym czasie w większości muzułmanie, zostali ostrzeżeni, że należy się trzymać z dala od tego miejsca. Dzięki sieci nieformalnych kontaktów. W Nowym Jorku od lat mogła istnieć tajna, złowroga organizacja arabska. Stragany zniknęły, więc pracownicy firm położonych w centrum musieli iść do pracy, nie pijąc po drodze kawy, nie kupując ciastek, pączków, butelek wody mineralnej. Istniało wiele ponurych zapowiedzi tego, co ma się wydarzyć.

Mieszkańcy miasta żyją takimi historiami. Okoliczni kioskarze są poddawani kontrolom, wywozi się podejrzanych, wyglądających na islamistów. W różnych punktach pojawiają się ruchome policyjne punkty dowodzenia, zwłaszcza w East Side, na przykład w miejscu, gdzie w tym samym kwartale ulic mieści się bogata synagoga i ambasada jednego z krajów arabskich. W końcu te instalacje stają się mniej ruchome, z czasem zmieniają się w stałą część krajobrazu Nowego Jorku, wciąż znajdując się na ulicach. Na rzece Hudson widać statki z mnóstwem anten, bez żadnych bander, udające frachtowce, rzucają kotwice i stają się czymś w rodzaju prywatnych wysp należących do tajemniczych agencji ochrony. Nie wolno się do nich zbliżać. Na drogach prowadzących do głównych mostów i tuneli pojawiają się blokady, po pewnym czasie znikają i znów się pojawiają. Młodzi żołnierze Gwardii Narodowej w czystych mundurach polowych patrolują z karabinami maszynowymi dworce Pennsylvania, Grand Central oraz Port of Authority. Święta państwowe i rocznice stają się okazją do niepokoju.

W głośniku automatycznej sekretarki rozlega się głos Igora. Maxine podnosi słuchawkę.

– Maxi! Masz kopię filmu Rega?

– Gdzieś tam jest.

Maxine odkłada słuchawkę, znajduje dysk i umieszcza go w napędzie. Słyszy w głośniku brzęk butelki uderzającej w kieliszek. Trochę wcześniej.

– *Za szczęście!* – Następują rytmiczne uderzenia w drewno, jakby ktoś walił głową w stół. – *Pizdiac!* Wódka z New Jersey, osiemdziesiąt procent, trzymać z dala od ognia!

– Hm, Igor, chciałeś...

– Och, ładny filmik ze stingerem, dziękuję, przypomniwały mi się dawne czasy. Wiesz, że jest coś jeszcze?

– Oprócz sceny na dachu?

– Ukryta ścieżka.

Nie, Maxine o tym nie wiedziała. March również.

To surowy materiał z filmu dokumentalnego Rega na temat hashslingrz. Nerdy, jak było do przewidzenia, gapią się w monitory, widać pomieszczenia biurowe, niewielkie boksy, laboratoria i miejsca wypoczynku, w tym asfaltowe boisko do koszykówki ogrodzone drucianą siatką, na którym grają biali i azjatyccy yuppie – rozpychają się łokciami i wrzeszczą na siebie po niecelnych rzutach.

Maxine trochę się tego spodziewała: na ekranie pojawia się scena, gdy Reg myli drzwi i widać młodych ludzi o arabskich rysach, intensywnie pracujących nad jakimś układem elektronicznym.

– Wiesz, co to takiego, Igor?



- Wirkator – odpowiada. – Wirtualny oscylator katodowy.
- Do czego służy? To broń? Może wywołać wybuch?
- Broń elektromagnetyczna, niewidzialna. Wytwarza potężny impuls energii, która niszczy urządzenia elektroniczne przeciwnika. Smaży komputery, odbiorniki radiowe i telewizyjne, wszystko, co znajduje się w jej zasięgu.
- Gotowanie jest zdrowsze. Posłuchaj, Igor – Maxine podejmuje ryzyko – używałeś kiedyś takich urządzeń w akcji?
- Po zakończeniu służby. Może kilka kupiłem, kilka sprzedałem.
- Jest na to zbyt?
- To obecnie bardzo chodliwy towar na rynku zamówień zbrojeniowych. Wiele armii na świecie ma już na wyposażeniu wirkatory krótkiego zasięgu, na badania idą ogromne pieniądze.
- Ci faceci na filmie... Reg uważał ich za Arabów.
- Nic dziwnego, większość literatury naukowej na temat broni elektromagnetycznej jest po arabsku. Oczywiście naprawdę niebezpieczne testy poligonowe odbywają się w Rosji.
- Rosyjskie wirkatory są uważane za dobre?
- Dlaczego pytasz? Chcesz kupić rosyjski wirkator? Porozmawiaj z nimi, te *padonki* pracują na ryczałt, ja biorę procent.
- Zastanawiam się po prostu, dlaczego ci ludzie muszą konstruować własny wirkator, skoro mają mnóstwo pieniędzy, jak zwykle Arabowie.

– Obejrzałem ten film klatka po klatce, nie budują wirkatora od początku, tylko przerabiają istniejące urządzenie, może estońską podróbkę, którą gdzieś kupili?

A zatem może ludzie w laboratorium nie konstruuja produktu finalnego, ale jest jeszcze jedna rzecz, którą należy się martwić. Czy ktoś mógłby zaatakować miasto impulsem elektromagnetycznym ze środka Nowego Jorku albo Waszyngtonu, czy też urządzenie widoczne na filmie ma być przewiezione do innej części świata? I jaką rolę w tej operacji odgrywa Ice?

Na dysku nie ma nic więcej. Pozostają tylko znaki zapytania i wszyscy będą musieli próbować poszukać odpowiedzi.

– W porządku, Igor, powiedz, czy myślisz, że może być jakiś związek z...

– Och, Boże, Maxi, mam nadzieję, że nie – odpowiada Igor i wypija kolejny kieliszek wódki z New Jersey.

– Co dalej?

– Zastanowię się nad tym i ty też się zastanów. To, co wymyślimy, może się nam nie spodobać.

\* \* \*

Pewnej nocy Maxine słyszy niepewne pukanie do drzwi, choć wcześniej nie było dzwonka domofonu. Spogląda przez szerokokątny wizjer i widzi drżącą młodą kobietę o niewielkiej głowie z krótko ostrzyżonymi włosami.

– Cześć, Maxi!

– Driscoll, twoje włosy... Co się stało z Jennifer Aniston?

Maxine spodziewa się kolejnej historii o frywolnej młodości i odzyskaniu powagi po atakach jedenastego września. Zamiast tego Driscoll mówi:

– Nie stać mnie było na jej utrzymanie. Okazało się, że peruka Rachel kosztuje tylko dwadzieścia dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów, a nie można jej odróżnić od oryginału. Zaczekaj, zaraz ci pokażę.

Stawia na podłodze plecak, który wygląda, jakby wybierała się na wyprawę w Himalaje, grzebie w nim, znajduje perukę, wkłada ją i zdejmuje. Kilka razy.

– Pozwól mi zgadnąć, dlaczego tutaj jesteś.

W całej dzielnicy dzieją się podobne rzeczy. Ludzie, którym zabroniono wchodzić do mieszkań na dolnym Manhattanie, zarówno eleganckich, jak i skromnych, pojawiają się pod drzwiami przyjaciół mieszkających w dalszej części centrum, w towarzystwie żon, dzieci, czasem niań, szoferów i kucharzy, gdyż po dokładnych badaniach i analizie kosztów doszli do wniosku, że jest to najlepsze schronienie dla nich samych oraz ich orszaków. „Nie wiadomo, co się wydarzy za kilka dni, prawda? Przeczekajmy pierwszy tydzień”. „Sytuacja będzie się stopniowo polepszać”. Yuppie z West Side okazują wielkoduszność i przyjmują do siebie uchodźców z rejonu dotkniętego atakami, nie mają wyboru, czasami przyjaźnie się umacniają, a czasami na zawsze się kończą...

– Nie ma problemu – mówi Maxine do Driscoll. – Możesz zająć wolny pokój.

Pokój jest wolny, ponieważ wkrótce po jedenastym września Horst przeniósł się do sypialni Maxine. Nie okazało się

to niewygodne, a gdyby Maxine komuś o tym powiedziała, nikt by się nie dziwił. Z drugiej strony, co to kogo obchodzi? Zrozumiała, że bardzo za nim tęskniła, i ciągle nie potrafi dojsć do siebie. A co z tak zwanymi „stosunkami małżeńskimi”, czy Maxine pieprzy się z Horstem? Co to kogo obchodzi? Podkład muzyczny? Frank Sinatra, jeśli naprawdę chcecie wiedzieć. Najbardziej pikantny bemol w muzyce rozrywkowej pojawia się w piosence Cagna i Styne'a *Time After Time*, na początku słów *in the evening when the day is through*. Nikt nie śpiewa tego lepiej od Franka Sinatry na winylowej płycie znajdującej się w domowym zbiorze. W takich chwilach Horst jest bezbronny, a Maxine dawno temu nauczyła się to wykorzystywać. Oczywiście pozwalając Horstowi myśleć, że to jego pomysł.

Dwie godziny po Driscoll pojawia się Eric, uginając się pod ciężarem jeszcze większego plecaka. Został bez uprzedzenia wyeksmitowany przez właściciela domu, dla którego ataki jedenastego września stały się wygodnym pretekstem, by pozbyć się lokatorów, a następnie podpisać umowę z towarzystwem budowlanym i zgarnąć trochę pieniędzy.

– Hm, tak, możesz się u nas zatrzymać, jeśli nie masz nic przeciwko temu, by mieszkać z inną osobą. Driscoll, Eric, poznaliście się na imprezie w Tworkeffx, pamiętajcie, nie kłóćcie się... – Maxine odchodzi, mrużąc coś do siebie.

– Cześć! – Driscoll zastanawia się, czy odrzucić włosy do tyłu, ale się rozmyśla.

– Cześć!

Wkrótce odkrywają, że mają wspólne zainteresowania, w tym muzyka grupy Sarcófago, której kompletna dyskografia znajduje się w plecaku Erica, a także norwescy wykonawcy muzyki black metal, jak Burzum i Mayhem. Ich utwory stają się akompaniamentem zabaw, które rozpoczynają się wieczorem, około dziesięciu minut po tym, jak Eric spostrzega, że Driscoll nosi T-shirt z logo ambien.

– Ambien?! Fantastyczne! Masz trochę?!

Driscoll ma niewielki zapas. Wygląda na to, że oboje lubią ten środek nasenny. Jeśli ktoś się zmusza, by nie zasnąć, pojawiają się halucynacje jak po narkotykach, nie wspominając o dramatycznym wzroście libido. Wkrótce oboje pieprzą się jak nastolatki, którymi z technicznego punktu widzenia jeszcze niedawno byli. Kolejnym skutkiem ubocznym jest amnezja, więc ani Driscoll, ani Eric nie pamiętają, co się działo, aż do następnego razu, gdy wszystko znów przypomina pierwszą miłość.

Kiedy Eric i Driscoll poznają Ziggy'ego i Otisa, wołają jednocześnie: „Wy naprawdę istniejecie?!”. Wiadomo, że w halucynacjach po zażyciu ambien często pojawiają się małe ludziki wykonujące różne prace domowe. Chłopcy są zafascynowani, ale ponieważ wychowali się w mieście, wiedzą, jak zachowywać dystans. Dla Horsta, nawet jeśli pamięta Erica z Kotylionu Geeków, nie ma to żadnego znaczenia: wszystko zniknęło, zmyte prądem ostatnich wydarzeń, a romans między Erikiem a Driscoll pacyfikuje normalne reakcje Horsta, który zwykle jest szaleńczo zazdrosny. To, że jego w miarę spokojne życie domowe zostało zaatakowane przez siły zainteresowane

narkotykami, seksem i rock and rollem, nie wydaje się wzbudzać w nim przerażenia. A więc wszyscy przez pewien czas będziemy się po prostu pieprzyć, inni mają gorzej.

Miłość czasami rozkwita, czasami gaśnie. Pewnego dnia pojawia się Heidi, wygląda jak chmura gradowa, na jej twarzy widać znajome oznaki niezadowolenia.

– Och, nie! – woła Maxine.

Heidi kręci głową, a potem kiwa potakująco.

– Przestałam się umawiać z gliniarzami. Wszystkie dziewczyny w mieście, niezależnie od ilorazu inteligencji, nagle zmieniły się w bezbronne idiotki, które marzą, by zaopiekował się nimi wielki, silny stróż prawa. Czy to trendy? Tlendy? Ech, kompletny kretynizm!

Maxine powstrzymuje chęć pytania, czy Carmine, nie będąc w stanie się oprzeć zalotom jakiejś panienki, zaczął zdradzać Heidi.

– Co się właściwie stało? Opowiedz mi szczegółowo. O nie, może nie szczegółowo...

– Carmine czytał gazety i uwierzył w to, co tam piszą. Uważa się za bohatera.

– A nie jest bohaterem?

– Jest zwykłym detektywem pracującym w komisariacie. Rzadko uczestniczy w akcjach. Spędza większość czasu za biurkiem. Ta sama praca co zawsze, drobne złodziejaski, dilerzy narkotyków, sprawcy przemocy w rodzinie. Ale w tej chwili zaczął myśleć, że walczy na pierwszej linii w Wojnie z Terroryzmem i że nie okazuję mu wystarczająco dużo szacunku.

– A czy go kiedyś szanowałaś? Przecież cię znał, prawda?

– Cenił w kobietach zdecydowanie. Tak mówił. Tak mi się zdawało. Ale po atakach...

– Tak, nie można nie zauważyć, że nowojorska policja stała się ostatnio bardziej zdecydowana. Miejscy gliniarze zawsze byli aroganccy, lecz ostatnio ciągle parkują na chodnikach, wrzeszczą bez powodu na normalnych ludzi, a kiedy jakiś dzieciak przeskakuje przez bramkę w metrze, wstrzymują ruch pociągów, po czym zjawiają się pojazdy policyjne wszystkich rodzajów, samochody, helikoptery. Fairway zaczął sprzedawać kawy o nazwach różnych komend policji. Piekarnie dostarczające ciastka do kawiarni zaczęły produkować gigantyczne pączki o nazwie „bohater”, w kształcie znanej kanapki o tej samej nazwie, kupowanej przez policjantów w samochodach patrolowych.

Heidi pracuje nad artykułem dla „Journal of Memespace Cartography”. Zatytułowała go: *Heteronormatywna wschodząca gwiazda, mroczny towarzysz homofobii*. Dowodzi w nim, że ironia, kluczowy element miejskiego humoru gejowskiego, popularna w latach dziewięćdziesiątych, stała się dodatkową ofiarą ataków jedenastego września, ponieważ nie zapobiegła tragedii.

– Jakby ironia, praktykowana przez rozchichotaną, afektowaną piątą kolumnę, w istocie wywołała wydarzenia jedenastego września przez to, że kraj nie był dostatecznie poważny, że osłabiła jego kontakt z rzeczywistością – podsumowuje Heidi. – Ucierpiały na tym wszystkie rodzaje

pozorów, zapomnijmy o złudzeniach, w których pogrąża się Ameryka. Wszystko musi być teraz dosłowne.

– Tak, chłopcy doświadczają tego nawet w szkole.

Pani Cheung, nauczycielka angielskiego w szkole Kugelblitza, znana z wyjątkowo gderliwego charakteru, oświadczyła uczniom, że przestaną czytać literaturę piękną i skupią się na literaturze faktu. Otis jest przerażony, Ziggy mniej. Maxine zastaje ich oglądających *Pełzaki* albo powtórki *Rocko i jego świata*, a oni odruchowo krzyczą: „Nie mów pani Cheung!”.

– Zauważyłaś – ciągnie Heidi – że w telewizji kablowej pojawiło się nagle mnóstwo filmów dokumentalnych? Są wszędzie, jak psie gówna! Oczywiście, może to kwestia ograniczania kosztów. Ale zaczekaj! Chodzi o coś jeszcze! Ktoś chce, by amerykańscy telewidzowie uwierzyli, że nareszcie zmądrzeli, że rozumieją, czym jest twarde, ludzkie życie, że są wolni od wpływu fikcyjnych historii, które wprowadzały ich w błąd, jakby zainteresowanie nimi było czymś na kształt uzależnienia od narkotyków, a po zawaleniu się wież wszyscy się z niego wyleczyli, ze strachu. Posłuchaj, Maxine: co się dzieje w pokoju za ścianą?

– Dwoje młodych ludzi, z którymi czasem robię interesy. Mieszkali w centrum i musieli się wyprowadzić.

– Myślałam, że to Horst ogląda porno w internecie.

Niegdyś Maxine odpowiedziałaby: „Musiał to robić tylko wtedy, gdy się z tobą spotykał”, ale obecnie niechętnie wspomina o Horście w czasie sprzeczek z Heidi, ponieważ... Cóż, czy to coś w rodzaju lojalności wobec Horsta?



- Jest dziś w Queens, gdzie ewakuowali giełdę towarową.
- Myślałam, że już dawno gdzieś wyjechał. – Heidi kiwa ręką, wskazując drugą stronę rzeki Hudson. – Poza tym wszystko w porządku?
- Co masz na myśli?
- Chodzi mi o Rocky’ego Słagiatta.
- Miewa się znakomicie. Dlaczego pytasz?
- Domyślam się, że stary Rocky musi być teraz w świetnym humorze, prawda?
- Skąd mam wiedzieć?
- Agenci FBI, zajmujący się mafią, mają się teraz zająć walką z terroryzmem.
- A zatem okazuje się, że jedenasty września to podarunek dla mafii, Heidi.
- Nie to miałam na myśli. Nie czujesz, że wszyscy stają się dziecinni? Jedenasty września zinfantylizował cały kraj. Ameryka mogła dorosnąć, lecz zamiast tego postanowiła powrócić do dzieciństwa. Wczoraj szłam ulicą i słyszałam, jak z tyłu dwie nastolatki prowadzą klasyczną rozmowę dziewcząt w ich wieku. Brzmiało to mniej więcej tak: „O Boże, jejku, nie wierzę, że ją widziałam” i tak dalej. Kiedy w końcu się obejrzałam, zobaczyłam, że to dwie kobiety w moim wieku. Starsze! W twoim wieku, doprawdy, kto powinien to lepiej wiedzieć... Jakby powróciły do okresu dzieciństwa.
- Co najdziwniejsze, Maxine niedawno przeżyła podobną przygodę na Amsterdam Avenue. Kiedy odwozi synów do szkoły, codziennie widzi tych samych trzech chłopców, którzy czekają na rogu na autobus, by pojechać do szkoły Horacego

Manna lub jakiejś innej. Pewnego dnia była mgła, może znajdowała się we wnętrzu Maxine, sen, który jeszcze się nie rozwiął, ale tym razem, dokładnie w tym samym miejscu, zobaczyła trzech mężczyzn w średnim wieku, z posiwiałymi włosami. Ich młodość dawno minęła, a jednak Maxine przebiegł dreszcz, bo wiedziała, że to ci sami chłopcy, te same twarze, tylko o czterdzieści, pięćdziesiąt lat starsze. Co gorsza, spoglądali na nią z dziwną, znaczącą intensywnością, skupieni właśnie na niej, złowrodzy w porannej mgiele. Rozejrzała się po ulicy. Samochody nie miały bardziej nowoczesnych sylwetek; widziała tylko normalne pojazdy policyjne i wojskowe; na niebie latały zwyczajne helikoptery. Niskich budynków nie zastąpiły wieżowce, więc ciągle musiała to być „teraźniejszość”, prawda? W takim razie coś musiało się stać z tymi młodymi ludźmi. Ale następnego ranka wszystko wróciło do „normy”. Uczniowie jak zwykle nie zwracali na nią uwagi.

Co się, kurwa, dzieje?!

# 31

Kiedy idzie z tym do Shawna, okazuje się, że jej guru również świruje, na swój sposób.

– Pamiętasz te dwa posągi Buddy, o których ci opowiadałem? Wyciosane w zboczu góry w Afganistanie, wysadzone dynamitem przez talibów zeszłej wiosny? Widzisz analogię?

– Dwa posągi Buddy, dwa wieżowce. Ciekawy zbieg okoliczności, ale co z tego?

– Wieżowce World Trade Center także miały charakter religijny. Symbolizowały to, co Ameryka czci najbardziej na świecie: rynek, święty, zasrany rynek.

– Religia, powiadasz?

– Czy to nie religia? Ci ludzie wierzą, że wszystkim rządzi Niewidzialna Ręka Rynku. Toczą święte wojny z konkurencyjnymi wyznaniami, jak marksizm. To oczywiste, że świat jest skończony, ale ślepo wierzą, że zasoby naturalne nigdy się nie wyczerpią, że zyski będą rosły w nieskończoność, podobnie jak liczba mieszkańców świata: coraz więcej taniej siły roboczej, coraz więcej uzależnionych konsumentów.

– Mówisz jak March Kelleher.

– Tak. – Charakterystyczny krzywy uśmiezek. – A może to ona mówi tak jak ja?

– Aha, posłuchaj, Shawn... – Maxine opowiada mu o dzieciakach na rogu i o swojej teorii zaburzenia struktury czasu.

– To coś podobnego do zombie, których widziałaś?

– Chodziło o jedną osobę, Shawn, znajomego, może umarł, może żyje, dajmy spokój zombie.

Hm, tak, lecz nagle w kalifornijskim słońcu zaczyna rozkwitać kolejne podejrzenie. Przypuśćmy, że te „dzieciaki” to w gruncie rzeczy agenci, janczarzy Projektu Montauk, dawno temu porwani i zmuszeni do niewolniczych usług, ponurzy i szarzy po latach walki, obecnie przydzieleni do Maxine z powodów, które nigdy nie zrozumie. Może mają również jakiś dziwny związek z prywatnym gangiem Gabriela Ice’a, złożonym z młodych hakerów zmuszanych szantażem do pracy... Ach! Kompletna paranoja!

– W porządku – mówi uspokajająco Maxine. – Ujawniamy wszystko, tak? Mnie też to się przytrafia? Widzę na ulicy ludzi, którzy nie żyją, a czasem ofiary ataku na World Trade Center. Wiem, że byli w wieżach, gdy się zawaliły, nie mogą chodzić po mieście, a jednak chodzą.

Spoglądają na siebie przez chwilę, na barowym parkiecie historii, zniecka znokautowani, nie mogąc wstać i dalej zmagać się z dniem, który okazuje się nagle pełen dziur – rodzina, przyjaciele, przyjaciele przyjaciół, numery telefonów w wizytowniku, które nagle zniknęły... Ponure uczucie, pojawiające się czasem o poranku, że cały kraj przestał istnieć,

że ktoś po cichu zastępuje go czymś innym, niespodziewanym, część po części, i że robią to ludzie, którzy zachowali jasność myślenia i gotowość do działania.

– Przepraszam, Shawn. Co to może być, jak sądzisz?

– Nie mam pojęcia, chociaż bardzo za nimi tęsknię. Może po prostu to pieprzone miasto, pełne ludzi, doprowadza nas do szaleństwa? Czy jesteśmy świadkami hurtowego zmartwychwstania?

– Wolałbyś detaliczne?

– Pamiętasz film nadawany w lokalnych wiadomościach? W chwili zawalenia się pierwszej wieży kobieta wbiega do sklepu i zatrzaskuje za sobą drzwi, po czym pojawia się chmura straszliwego czarnego pyłu, pędzi ulicami, przelatuje obok wystawy sklepowej... to właśnie ta chwila, Maxi. Nie „wszystko się zmieniło”, tylko wszystko wyszło na jaw. Nie wspaniałe objawienie zen, ale czarny wichur śmierci. Pokazuje nam, czym się staliśmy, czym przez cały czas jesteśmy.

– A czym zawsze byliśmy?

– Żyjemy na kredyt, tanio, stłoczeni w wielkich miastach. Nie obchodzi nas, kto za to płaci, kto głoduje gdzieś indziej, dopóki mamy tanie jedzenie, dom, ogródek na przedmieściach... Nasz dług wobec całej planety nieustannie rośnie. A tymczasem media tylko krzyczą, patrzcie, patrzcie: niewinne ofiary. Patrzcie, kurwa, patrzcie. Wiesz co? Wszystkie ofiary są niewinne. Nie ma ofiar winnych.

– Nie zamierzasz tego wyjaśnić? – pyta po chwili Maxine.

– Jasne, że nie, to koan.

\* \* \*

Tego wieczoru z sypialni dobiega nietypowy śmiech. Horst leży na łóżku przed telewizorem, bezradnie rozbawiony, jak na niego. Z jakiegoś powodu ogląda NBC zamiast kanału BioPiX. Nieśmiały długowłosy komik w ciemnych okularach występuje w programie nadawanym późnym wieczorem.

Minął miesiąc od największej tragedii w życiu każdego Amerykanina, a Horst zrywa boki ze śmiechu.

– Cóż to, Horst, opóźniona reakcja na to, że ciągle żyjesz?

– Cieszę się, że nie zginąłem, ale ten Mitch Hedberg jest bardzo zabawny.

Maxine rzadko widuje śmiejącego się Horsta. Ostatnio zdarzyło się to cztery lub pięć lat temu, gdy pokazywano *I dropped the screw in the tuna*, odcinek serialu *Keenan i Kel*. Czasami lekko się zaśmieje, ale najczęściej na jego twarzy maluje się pustka – tak to przynajmniej pamięta Maxine. Kiedy ktoś pyta, dlaczego Horst nie śmieje się razem ze wszystkimi, wyjaśnia, że śmiech to rzecz święta, chwilowy impuls siły ukrytej we wszechświecie, strywializowanej przez komediowe gagi. Źle znosi śmiech bez przyczyny, pozbawiony wesołości. „Dla wielu ludzi, zwłaszcza w Nowym Jorku, śmiech to po prostu sposób na to, by głośno się zachowywać, ale nic nie mówić”. A więc dlaczego ciągle mieszka w Nowym Jorku?

\* \* \*

Pewnego ranka, idąc do pracy, Maxine spotyka Justina. Wygląda to na przypadek, ale może już nie istnieją przypadki, zakazane przez Patriot Act, podobnie jak wszystko inne.

– Możemy pogadać?

– Chodź na górę.

Daytona natychmiast zauważa kalifornijski styl.

– Hej, chłoptasiu, uważaj, nie jesteś na plaży, to *Kroniki Seinfelda*.

W gabinecie Maxine Justin siada na fotelu.

– Chodzi o DeepArchera. Pamiętasz, jak przed atakiem na World Trade Center mieliśmy dziwne problemy z liczbami losowymi? Vyrva ci o tym wspominała?

– Coś mi się kojarzy, ale średnio. Wszystko wróciło do normy?

– Czy cokolwiek wróciło do normy?

– Horst mówi, że giełda także zwariowała. Tuż przed atakami.

– Słyszałaś o Global Consciousness Project?

– Goście z Kalifornii?

– Z Princeton. Uważają, że sieć trzydziestu, czterdziestu generatorów liczb losowych, rozmieszczonych w różnych miejscach świata, przesyłających przez całą dobę dane do witryny Princeton, pozwala uzyskać idealny ciąg liczb. Pierwszorzędne źródło, wyjątkowa czystość. Idea polega na tym, że jeśli nasze umysły są w jakiś sposób połączone, to każde ważne wydarzenie o zasięgu światowym, katastrofa, cokolwiek, znajdzie swoje odzwierciedlenie w liczbach.

– To znaczy staną się mniej losowe?

– Tak. Tymczasem tak się składa, że aby DeepArcher był niewykrywalny, potrzebujemy liczb losowych o wysokiej jakości. Nasza metoda to sieć wirtualnych węzłów; są nimi komputery ochotników rozrzuconych na całym świecie. Każdy węzeł istnieje tylko w chwili, gdy odbiera informację i przesyła ją dalej, a potem znika: liczby losowe są niezbędne, by generować algorytm przełączania się między węzłami. Kiedy tylko ja i Lucas dowiedzieliśmy się o projekcie realizowanym w Princeton, zaczęliśmy z niego korzystać. Wszystko szło dobrze aż do nocy dziesiątego września, gdy nagle liczby generowane przez Princeton przestały być losowe, raptownie, w sposób drastyczny, bez żadnego wyjaśnienia. Możesz to sprawdzić, wykresy są opublikowane na ich stronie internetowej, wszyscy mogą je obejrzeć... Wyglądało to przerażająco, nie mieliśmy pojęcia, o co chodzi. Trwało to jedenastego września i kilka następnych dni, po czym w tajemniczy sposób ciągi liczb znów stały się losowe.

– A zatem... – Dlaczego właściwie Justin jej to wszystko mówi? – Cokolwiek to było, skończyło się już?

– Przez te kilka dni DeepArcher był narażony na niebezpieczeństwo. Staraliśmy się wykorzystywać numery serii banknotów dolarowych, które mogą być stosowane jako prymitywne źródło liczb losowych, ale zabezpieczenia DeepArchera zaczęły się rozpadać, wszystko stawało się widzialne, łatwiejsze do penetracji. Niewykluczone, że niepożądani goście znaleźli wejście. Kiedy liczby generowane przez Princeton stały się znowu losowe, intruzi przestali



widzieć drogę wyjścia. Zostali uwięzieni wewnątrz programu. Może ciągle tam są.

– Nie mogą po prostu kliknąć w opcję „wyjście”?

– Nie, jeśli dekompilują kod źródłowy, by znaleźć drogę wyjścia. Jest to niemożliwe, ale i tak mogą zdobyć mnóstwo informacji.

– Kolejny powód, by upublicznić kod.

– Lucas mówi to samo. Szkoda, że nie mogę...

Wydaje się taki wytrącony z równowagi, że Maxine wbrew rozsądkowi zaczyna opowiadać przypowieść Shawna.

– Jeśli słyszałeś tę historię, przerwij mi. Człowiek idzie ulicą, trzymając w ręku żarzące się węgle...

\* \* \*

Tego wieczoru, przekroczywszy próg mieszkania, Maxine czuje przyjemny zapach. Horst gotuje kolację. Zdaje się duszone przegrzebki i *daube de boeuf provençal*. Znowu. Oczywiście z powodu poczucia winy. Dziwna stałość parametrów małżeństwa. Horst ostatnio zmienia się w domatora, co jest trudne do zniesienia. Kiedy któregoś dnia Maxine wróciła do domu późnym wieczorem, zastała zgaszone światła i nagle trąciło ją w kostkę urządzenie mechaniczne, które okazało się robotem do odkurzania.

– Chcesz mnie zabić?!

– Myślałem, że będziesz zadowolona – mówi Horst. – To model Roomba Pro Elite, nowiutki, prosto z fabryki.

– Z funkcją ataku na współmałżonka.

– Ten model znajdzie się w sklepach dopiero jesienią, kupiłem go na przedsprzedaży dla stałych klientów. Powiew przyszłości, kochanie.

Horst mówi bez ironii. Rok lub dwa lata wcześniej byłoby to nie do pomyślenia. Tymczasem teraz to Maxine ma chęć, hm, przebywać poza domem. Ludzie lubiący bilansować księgi rachunkowe mogliby to uznać za sprawiedliwe.

Poczucie winy? Co to takiego?

Eric i Driscoll wychodzą i przychodzą, razem i osobno, w coraz bardziej nieprzewidywalnych porach, chociaż w ciągu tygodnia przestrzegają nieformalnej godziny policyjnej obowiązującej od dwudziestej trzeciej. Kiedy chcą wrócić później, nocują gdzie indziej, co wszystkim pasuje, a poza tym oszczędza Maxine zmartwień. Tak czy inaczej, chłopcy, podobnie jak ojciec, śpią tak twardo, że nie obudziłyby ich nawet odgłosy pracującego tartaku.

– Szkoda, że ja sama nie mogę spać kilka godzin więcej.

– Macierzyństwo to poświęcenie – mówi Heidi. Kiedyś Maxine spytałaby grzecznie, co, kurwa, Heidi może o tym wiedzieć, a ona radośnie przyznałaby się do ignorancji. – Jestem trochę jak szabes-goj w Świątyni Macierzyństwa, wykonuję rutynowe prace, ale nie mam dostępu do głębszych tajemnic. Ale kiedy słyszę dobre rady udzielane przez doświadczoną matkę, jestem zdumiona, że ich ignorancja znacznie przekracza moją własną. To szokujące, naprawdę. Mam wrażenie, że mózg jest połączony z drogami rodzynymi.

Któregoś dnia Maxine zastaje Erica w pokoju gościnnym, z wielkim pojemnikiem odświeżacza Febreze w sprayu.

Spryskuje sztuka po sztuce swoją brudną bieliznę.

– W suterenie jest pralnia, Eric. Możemy ci pożyczyć proszek.

Upuszcza trzymany T-shirt na stos odświeżonej bielizny i kieruje pojemnik w stronę swojego ucha, jakby zamierzał je również spryskać.

– Czy nadaje tkaninom puszystą świeżość wiosny? – Jakość jego dowcipów się pogarsza, ale też wyraźnie jest zmartwiony.

– Coś jeszcze, Eric? – pyta Maxine, instynktownie wyczuwając, że coś się dzieje.

– Znowu siedziałem nad tym całą noc. Pieprzony hashslingrz. Nie daje mi to spokoju.

– Masz ochotę na kawę? Właśnie szłam zaparzyć.

Eric idzie za Maxine do kuchni.

– Pamiętasz sposób transferu pieniędzy przez hashslingrz do Zjednoczonych Emiratów Arabskich? Banki w Dubaju, kontakty z Arabami, bez przerwy do tego wracałem. A jeśli pomagali finansować atak na World Trade Center? W takim przypadku Ice nie byłby po prostu kolejnym kanciarzem prowadzącym dotcom, ale byłby zdrajcą swojego kraju.

– Ktoś w Waszyngtonie się z tobą zgadza. – Maxine szybko streszcza Ericowi dossier otrzymane od Windusta, pachnące punkową wodą kolońską.

– Tak, a co z Wahhabickim Funduszem Ekumenicznym? Wspomnieli o nim?

– Uważają, że to przykrywka służąca finansowaniu działalności terrorystycznej.

– Jeszcze sprytniej. To przykrywka, owszem, ale pracująca dla CIA i udająca terrorystów.

– Niewiarygodne...

– Może dzięki ambien, a może przez cały czas miałem wszystko przed oczami, lecz niczego nie dostrzegałem... Tak czy inaczej, tym razem zasłony zaczęły po kolei opadać i pojawiła się Mata Hari. Jest to sposób finansowania różnych ugrupowań antyislamskich w regionie. W zamian Ice otrzymuje prowizję od wszystkich przepływów finansowych, a także słone honoraria za konsultacje.

– Cóż, w takim razie to patriota...

– Chciwy mały gówniarz. – Eric zaczyna się wściekać. – Spędzenie wieczności w holu hotelu w Houston w Teksasie, ze słuchaniem w kółko składanki Andrew Lloyd Webbera, to za mała kara dla tego dupka. Musisz uwierzyć w jedno. Zamierzam go wykończyć.

– Brzmi groźnie.

– Może.

– Jeden pobyt na wyspie Rikers już ci nie wystarcza, planujesz ataki DOS?

– To za dobre na Ice'a. Gdyby każda firma zarządzana przez dupka zasługiwała na atak DOS, sektor technologiczny przestałby istnieć. Zaraz zademonstruję ci swój ostatni wynalazek, coś w rodzaju *hors d'oeuvre*.

Eric pokazuje jej swój laptop. Wygląda na to, że niedawno uruchomił program o nazwie Vomit Kurser, nazwany tak na cześć osławionego Comet Cursora z lat dziewięćdziesiątych, stworzony we współpracy z *bruja* z jednej spośród dzielnic,

w których kiedyś mieszkał. Kurser sekretnie rzuca klasyczne klątwy na wybrane cele, posługując się zwracającymi uwagę, lecz fałszywymi pop-upami, które obiecują zdrowie, bogactwo, szczęście i tak dalej – wystarczy kliknąć i ofiara jest załatwiona. Pewna latynoska wróżbitka wytłumaczyła Ericowi, że internet jest bardzo wrażliwy na klątwy, zwłaszcza napisane w starszych językach, stosowanych przed powstaniem HTML. Niepojęte zasady rządzące cyberprzestrzenią sprawiają, że użytkownicy, którzy nieostrożnie kliknęli na przeklęty link, zaczynają mieć kłopoty – prześladują ich awarie systemu, tracą dane, ktoś czyści im konta bankowe. Wszystko, jak można się spodziewać, jest związane z komputerami, ale, o dziwo, pojawiają się również problemy w świecie rzeczywistym: przyszcze, zdrady małżeńskie, przeciekające z niewyjaśnionych powodów toalety. Ludzie o skłonnościach do metafizyki widzą w tym kolejny dowód, że internet to jedynie niewielka część gigantycznego, zintegrowanego continuum.

– Spodziewasz się, że to zniszczy system Ice’a? Jest Żydem, nie wierzy w Santerię, to trochę naciągane, nawet jak na ciebie.

– Możesz nie wierzyć, to nie jest główna broń, to tylko zapowiedź, trailer, a tymczasem zacząłem modyfikować jego malloc(3). Postarałem się, by wszyscy mieli do niego dostęp, potrzeba lat terapii, by doprowadzić wszystko do porządku.

– Uważaj na siebie. Widziałam film, na ostatku pojawia się coś w rodzaju obietnicy zemsty. Napisy końcowe sugerują, że autor „został skazany na dożywocie i przebywa obecnie w więzieniu federalnym”.

Maxine jeszcze nie widziała takiego wyrazu twarzy Erica. Przerazenie, ale też pełna determinacja.

– Nie ma tu klawisza „Escape”. Nie można wrócić do hex cheatów, do GameSharka, sprytnych sztuczek z overflow. Radosne czasy się skończyły, teraz mogę tylko zejść głębiej.

Nieszczęśliwy dzieciak. Maxine chciałaby go dotknąć, ale nie jest pewna, gdzie.

– To chyba mogłoby być trochę niebezpieczne.

– Jasne. Zdajesz sobie sprawę, ilu klientów Ice’a to ważniaki, ciemne typy? Mogę przynajmniej pokazać innym hakerom i crackerom, jak się dostać w ciekawe miejsca. Pełnić rolę przewodnika, banity.

– A jeśli niektórzy z twoich kolegów okażą się kapusiami? I wystawią cię władzom federalnym?

Eric wzrusza ramionami.

– Muszę być trochę bardziej ostrożny niż w czasach, gdy byłem młodym hakerem.

– Kiedyś powstanie maszyna czasu, będziemy mogli rezerwować bilety przez internet. Wszyscy zaczniemy, może wiele razy, pisać na nowo to, co się wydarzyło, w taki sposób, by nie ranić ludzi, których zraniliśmy, podjąć inne decyzje niż te, które podjęliśmy. Zapomnijmy o długu, nie spóźnijmy się na lunch. Oczywiście na początku wszystko będzie straszliwie kosztowne, dopóki nakłady inwestycyjne się nie zwrócą...

– Może pojawi się program dla stałych klientów, którzy często podróżują i w związku z tym dostaną całe lata w postaci bonusów? Zasługiwałbym na mnóstwo.

– Proszę. Jesteś za młody, by mieć w sobie tyle goryczy.

- Hej, czuję gorycz nawet z naszego powodu.
  - Naszego?
  - Wieczór, gdy wróciliśmy z Joie de Beavre.
  - Przyjemne wspomnienie, Eric. Czy dotykание cudzej stopy to przestępstwo wymienione w kodeksie karnym? Nie.
  - Mówiłaś o tym Horstowi?
  - Nigdy nie nadarzyła się okazja. Właściwie dlaczego miałabym mu mówić? A ty opowiedziałeś Driscoll?
  - Nie, jestem prawie pewien, że tego nie zrobiłem...
  - „Prawie pewien”, to cały ty...
- Zdaje sobie sprawę, że zrzuciła buty i pociera stopą o stopę. Z czymś w rodzaju zadumy.
- Mogę cię prosić o coś jeszcze?
  - Chyba tak...
  - Wiesz, chodzi o te małe ludziki, które wychodzą spod kaloryfera... Z małymi miotłami, śmietniczkami...
  - Eric, nie! Nie chcę o tym słyszeć.

## 32

Nazajutrz rano zza zachodniego horyzontu dzwoni Reg Despard.

– Jestem w Seattle i patrzę na Space Needle.

– Co robisz?

– Tańczy macarenę. Z tobą wszystko okay? Zatelefonowałbym wcześniej, zaraz po ataku na World Trade Center, ale byłem w podróży, a kiedy tu w końcu dotarłem, zacząłem szukać mieszkania.

– Dobrze, że w porę wyjechałeś.

– Dowiedziałem się przez radio i przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zawrócić do Nowego Jorku. Ale tego nie zrobiłem, po prostu jechałem dalej. Poczucie winy człowieka, który ocalał.

– Hipnoza międzystanowa. Nie myśl o tym za dużo, Reg. Jesteś teraz w krainie feministek z ruchu Riot Grrrl, gdzie rosną zdrowe, wiecznie zielone drzewa, a bryłki węgla drzewnego udają kawę, jasne? Wyładuj energię.

– Wiem tylko tyle, ile podają w wiadomościach, ale wygląda to ponuro.

– Żałoba, wszyscy są ciągle zdenerwowani, policjanci zatrzymują, kogo chcą, zaglądną do plecaków, czego można się



było spodziewać. Ale ogólne nastawienie jest takie, że życie toczy się dalej, ulice się zbytnio nie zmieniły. Znalazłeś już pracę?

Wahanie.

– Jestem na stażu w Microsofcie.

– Uff...

– Rzeczywiście, trudno się przyzwyczaić do strojów obowiązujących w pracy, te wszystkie maski tlenowe i kombinezony szturmowców...

– Widziałeś już dzieci?

– Nie chcę być nachalny, ale...

– Jesteś z Nowego Jorku, spodziewają się nachalności.

– Wczoraj wieczorem zaprosili mnie na kolację. Mężuś przygotował posiłek. Bouillabaisse, miejscowe składniki. Chenin blanc z doliny Yakima. Gracie ciągle promienieje, jak kobieta, w której życiu pojawił się nowy mężczyzna, uwielbiam na to patrzeć. Ale dziewczynki... Nie potrafię powiedzieć... Są spokojniejsze niż dawniej. Żadnych grymasów, min, dąsów, raz czy dwa razy nawet się uśmiechnęły. Może nawet do mnie, nie jestem pewien.

– Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży, Reg.

– Posłuchaj, Maxine. – Ach... – Czy telefon, przez który rozmawiamy, jest...

– Jeśli nie jest, wszyscy jesteśmy skończeni. O co chodzi?

– To DVD...

– Ciekawy film. Mógłbyś nakręcić kilka ujęć z większym zaangażowaniem...

– Codziennie budzę się o trzeciej nad ranem.

- To mogło być wszystko, Reg.
- Ci faceci na dachu, Arabowie w zamkniętym pomieszczeniu w siedzibie hashslingrz. Sesje treningowe, na pewno.
- Jeśli Gabriel Ice bierze udział w jakiejś wielkiej operacji, to... sugerujesz...
- Ludzie ze stingerem wyglądali na najemników sektora prywatnego, ale musiało się to dziać za zgodą kogoś z amerykańskiego rządu, na wysokim szczeblu.
- Eric też tak uważa. I oczywiście March Kelleher. Nie masz nic przeciwko publikacji filmu?
- Zawsze o to mi chodziło, starałem się rozdać dziesięć, dwadzieścia DVD w nadziei, że ktoś umieści w sieci przynajmniej jedno. Kiedyś powstanie Napster dla filmów wideo, każdy będzie mógł wszystko publikować i udostępniać innym.
- Jak można by na tym zarobić? – Maxine nie potrafi sobie tego wyobrazić.
- Sprzedać można wszystko. To nie moja działka. Wystarcza mi sława.
- Zwiększać ruch, liczyć, że pojawi się efekt sieci, tak, to brzmi jak doskonale znany biznesplan, smutny, lecz prawdziwy.
- Dopóki ktoś publikuje materiały. Dopóki ktoś pisze HTML, które można powielać.
- Naprawdę uważasz, że stoją za tym ludzie Busha?
- A ty nie?
- Jestem tylko audytorką zajmującą się wykrywaniem oszustw. Bush, nie chcę spekulować na ten temat. Jako Żydówka

mam również szczególny stosunek do Arabów, więc nie powinnam popadać w paranoję.

– Rozumiem. W bractwie wszystko w porządku, nie chcę się nikomu narażać, pracuję nad kreowaniem swojego nowego wizerunku, Reg 2.0, grzeczny jak baranek, Zachodnie Wybrzeże, wolny od stresu.

– Po prostu bądź ostrożny. Wyślij mi od czasu do czasu jakiś film. Ach, jeszcze jedno, Reg...

– Wszystko, co tylko chcesz.

– Myślisz, że powinnam skontrolować Microsoft?

\* \* \*

Kiedy Maxine i Cornelia idą na następny lunch, spotykają się w siedzibie Streetlight People. Maxine przynosi Rocky'emu kserokopię dokumentów na temat hashslingrz, które otrzymała od Windusta.

– Najświeższe dane o tym, jak hashslingrz wydaje pieniądze.

Rocky ze zdziwioną miną przegląda kilka stron.

– Kto to przygotował?

– Anonimowa agencja w Waszyngtonie, niewątpliwie sama tym zainteresowana, ale nie mam pojęcia, o co chodzi. Przykrywką jest jakiś kretyński think tank.

– To się pojawia w szczęśliwym momencie, szukamy okazji, by się odczepić od hashslingrz, mogę to pokazać Spudowi i zarządowi?

– Jeśli potrafią to wykorzystać, jasne. Co w tej chwili zamierzacie? Chcecie przeprowadzić rekapitalizację?

– Prawdopodobnie. Nie planują emisji akcji ani fuzji, mają mnóstwo zleceń rządowych. Szczerze mówiąc, pora się wycofać. Oczywiście pieniądze się liczą, ale jest w tym coś jeszcze, jakieś zło... Czy mogę tak to nazwać?

– Masz na myśli coś w rodzaju *Mister Roger's Neighborhood*? Przyjmuję, że chodzi o zło w stylu IBM albo Microsoftu?

– Widziałaś kiedyś oczy tego faceta? Wydaje się, że on wie, że ty wiesz, jakie to może być zło, ale ma to w dupie.

– Myślałam, że tylko ja tak uważam.

– Nikt z nas nie wie, jakie skomplikowane to się może stać, dla kogo tak naprawdę pracują, ale jeśli zaczynają się martwić nawet ludzie z Waszyngtonu – stuka palcem w teczkę – pora wymienić papiery wartościowe na gotówkę.

– Rozumiem, że mam przestać się tym zajmować?

– Ale zawsze pozostaniesz w moim wizytowniku.

– Daj jej spokój – wtrąca Cornelia. – Zawsze mi mówi to samo, nie słuchaj go.

– Wynoście się stąd, głupie dziwki, mam robotę!

Cornelia sądzi, że Maxine je tylko koszerne potrawy, i trafiają do kolejnej „żydowskiej” restauracji, Mrs Pinkus's Chicken Soup Emporium, prowadzonej przez panią Pinkus. Należy jednak do jakiejś sieci. Wszyscy goście wydają się zamiejscowi. Na szczęście Maxine i Cornelia mają większą ochotę na plotki niż na faszzerowaną rybę o wątpliwej koszerności.

Cornelia, ze zręcznością wytrawnej szulerki, wyciąga talię tematów i przeskakuje między nimi z udawaną swobodą, aż wreszcie zaczyna mówić o życiu rodzinnym i ekscentrycznych zachowaniach, jakie mogą mu towarzyszyć.

– Mam zasadę, by nie dać się sprowokować – mówi Maxine.  
– Bardzo szybko wracamy do sztetla i czarnej magii.

– Och, ale powiedz... Moja rodzina, cóż... „Dysfunkcja” to najlepsze słowo. Jedna osoba nawet pracuje w CIA.

– Jedna? Myślałam, że wy wszyscy pracujecie dla CIA.

– Tylko kuzyn Lloyd. Z tego, co wiem.

– Wolno mu mówić o tym, co robi?

– Może nie. Nigdy nie jesteśmy pewni. To... to Lloyd, rozumiesz.

– T... Cóż, nie bardzo.

– Powinnaś zdawać sobie sprawę, że to jeden z Thrubwellów z Long Island, których nie należy mylić z gałęzią rodziny pochodzącą z Manhattanu. Chociaż nigdy nie wierzyliśmy w eugenikę ani podobne teorie, pewnych prawidłowości czasami trudno nie wyjaśniać genetycznie.

– Duży procent...

– Idiotów, krótko mówiąc, hm... Nie zrozum mnie źle, kuzyn Lloyd był zawsze sympatycznym dzieckiem, lubiliśmy się, jedzenie, którym rzucał podczas spotkań rodzinnych, nigdy mnie nie trafiło... Awantury w czasie posiłków to nie wszystko, miał prawdziwy talent do szpiegowania, wręcz obsesję na tym punkcie. Bez przerwy się skradał, obserwując niezbyt grzeczne zabawy swoich rówieśników, robił szczegółowe notatki, a gdy

nie były zbyt przekonujące, sam coś wymyślał, przyznaję to ze wstydem.

– Doskonały materiał na agenta CIA.

– Bardzo długo figurował na liście kandydatów, aż w zeszłym roku zwolniło się stanowisko w biurze inspektora generalnego.

– To coś w rodzaju inspektoratu spraw wewnętrznych, czyżby donosił na pracowników CIA? Nie jest to niebezpieczne?

– Główny problem to kradzież wyposażenia, bez przerwy podkradają amunicję, by nią strzelać z prywatnej broni. Zdaje się, że to jeden z koników kuzyna Lloyda.

– Czyli „jest teraz w D.C.”, jak zaśpiewałoby trio Martha and the Vandellas? Pracuje czasem na boku? Na przykład udziela konsultacji?

– Wcale by mnie to nie zdziwiło. Idioci mają duże wydatki, lekarstwa, trzeba się opłacać szantażystom i dawać łapówki policjantom, potrzebne są specjalne stroje, które oczywiście trzeba szyć na zamówienie... Ale chyba, Maxi, że nie masz żadnych kłopotów z agencją?

Dlaczego w tym momencie nagle odzywają się dzwonki alarmowe sygnalizujące nieszczerłość?

– Z jakąś agencją, owszem, ale nie z tą, a skoro już zeszło na ten temat, tak, rzeczywiście, kiedy się nad tym zastanawiam, mogłabym chcieć porozmawiać z twoim kuzynem...

– Poprosić go, żeby się z tobą skontaktował?

– Dzięki, Cornelio, jestem ci winna kolejkę... na razie pół kolejki, skoro jeszcze nie poznałam Lloyda.

– Nie, to ja ci dziękuję, Maxi, tu jest tak cudownie... – Wskazuje szerokim gestem lokal pani Pinkus, jakby brakowało jej słów.

Maxine zaciska wargi i mruży oczy, jedno bardziej niż drugie, po czym mówi z uśmiechem:

– Kuchnia etniczna.

\* \* \*

Kuzyn Lloyd telefonuje do Maxine nazajutrz rano. Na szczęście nie chodzi o randkę, bo w Nowym Jorku każda dziewczyna natychmiast odrzuciłaby zaproszenie, gdyby ktoś zadzwonił tak szybko. Lloyd mówi bardzo zdenerwowanym tonem, więc Maxine postanawia go uspokoić standardową opowieścią o oszustwach księgowych.

– Obecnie wszystkie ślady prowadzą do think tanku o nazwie TANGO. Słyszał pan o nim?

– Ach, w tej chwili jest na topie w Waszyngtonie. Współpracuje z nim Double-U i jego ludzie.

– Jeden z założycieli, nazwiskiem Windust, sprawia mi duże problemy. Nie mogę znaleźć o nim żadnych informacji, nawet oficjalnej biografii, wszystko jest chronione przez hasła, rozbudowane systemy zapór sieciowych, a ja nie mam możliwości obejść tych zabezpieczeń. – Jaka jestem biedna... – Jeśli się okaże, że Windust uczestniczył w... och, powiedzmy... defraudacji...

– Nie chcę niczego sugerować, ale czy wy dwoje... jesteście kumplami? – Lloyd wymawia to słowo w obleśny sposób.

– Hm. Ktokolwiek nas słucha, powinien rozumieć, że nie jestem fanką pana Windusta i prawie nic o nim nie wiem, z wyjątkiem tego, że jest jednym z cyngli Milтона Friedmana i pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę, by świat był przyjazny dla ludzi podobnych do pana, panie Thrubwell.

– Och, mam nadzieję, że pani nie obraziłem... Zobaczę, co się da zrobić. Nasze bazy danych są słynne na całym świecie, wie pani. Posiadam wszystkie możliwe upoważnienia aż do poziomu „ściśle tajne”, więc nie powinno być problemu.

– Czekam z niecierpliwością. Kiedy odłożymy słuchawki, ta rozmowa nigdy się nie odbyła.

– Może mi pani zaufać, to część Przysięgi.

– Co takiego?

– Ups. Kto powiedział „przysięgi”? Nie ja. Przepraszam, czy ktoś jest na linii? Kimkolwiek jesteś, przeszkadzasz w działaniu agencji i byłbym bardzo wdzięczny, gdybyś... Ach, dobrze. Chyba się rozłączył.

Dzięki miniaturowemu dyskowi dostarczonemu przez Marvinę Maxine ma już większość biografii Windusta, więc zaangażowanie Lloyda nie służy tylko celom informacyjnym, zwłaszcza że... Maxine, dlaczego tak naprawdę prześladujesz tego człowieka? Honorowa obsesja na punkcie schwytania prawdopodobnego mordercy Lestera Traipse'a, a może po prostu czujesz się zaniedbana, brakuje ci dziwnych idei na temat gry wstępnej, prezentowanych przez starego zdzieracza rajstop? Porozmawiajmy o ambiwalencji!

Jeśli Lloyd jest w połowie takim idiotą, za jakiego uważa go jego kuzynka Cornelia, przynajmniej Windust dość szybko



zauważy, że interesuje się nim CIA. Nie ma powodu, by nie zaczął się pilnować, jak wszyscy. W tej chwili Maxine może tylko lekko mu dokuczać, na niewielką skalę, bez czegoś, co można by nazwać celownikiem moralnym, bo nie wie, jak konkurować na elitarnym poziomie, jak walczyć z planem planetarnej piramidy, na który postawili wszystko pracodawcy Windusta, gładko dostarczając mity o nieskończoności. Maxine nie ma pojęcia, jak przekroczyć granicę bezpiecznych wyborów i przejść z różdżką przez niebezpieczną pustynię w nadziei odnalezienia... czego? Azylu, amerykańskiego DeepArchera...

## 33

Maxine dostała od Vyrvy mnóstwo haseł do DeepArchera. Nieustannie się zmieniają i każde z nich działa tylko przez piętnaście minut. Tym razem Maxine mimo woli zauważa, że wszystko wygląda zupełnie inaczej. W miejscu, gdzie kiedyś była stara lokomotywownia, wznosi się ultranowoczesny, zwariowany port kosmiczny z epoki Jetsonów, w dali widać poszarpane wieże, owalne konstrukcje na wspornikach, a na jarzącym się od neonów niebie krążą latające spodki. Eleganckie sklepy wolnocłowe, niektóre sprzedają zagraniczne towary o nazwach napisanych alfabetami, których Maxine w ogóle nie poznaje. Reklamy są wszędzie. Na ścianach, ubraniach, skórze statystów w tłumie, pojawiają się znikąd i uderzają człowieka po oczach. Zastanawia się, czy... Jasne, to oni, kręcący się w pobliżu wejścia do Starbucksa, para maniaków surfowania po sieci, którzy okazują się znajomymi Erica z branży reklamowej. Promoman i Sandwichgrrrl.

– Fajne miejsce – mówi Sandwichgrrrl.

– I świetne do robienia interesów – dodaje Promoman. – Doskonała zabawa. Wielu gości, którzy wyglądają jak wirtualne tło, to autentyczni użytkownicy.

– Doprawdy? Podobno wszystko miało być głęboko zaszyfrowane?

– Są jeszcze tylne drzwi, nie wiedziałaś?

– Od kiedy?

– Od tygodni...? Miesiące?

A zatem jedenastego września, gdy zabezpieczenia nie działały, czym Lucas i Justin tak się martwili, najwyraźniej nie bez powodu, do środka zakradli się nieproszeni goście, a ponadto ktoś – Gabriel Ice, FBI, sympatycy FBI, inne nieznane siły obserwujące witrynę – zainstalował tylne drzwi. Bardzo proste, oto właściwe miejsce. Maxine klika, aż wreszcie natrafia na dziwną, tajemniczą aureolę, która przypomina reflektor w klubie, gdzie człowiek wie, że zacznie rzygać przed końcem wieczoru. Przez chwilę ma wątpliwości, nie zważa na nie, klika w mdlącą plamę światła i nagle wszystko czernieje – Maxine jeszcze nigdy nie widziała tak czarnego ekranu komputera.

Kiedy obraz powraca, Maxine ma wrażenie, że podróżuje w pojeździe kosmicznym... Pojawia się menu pozwalające wybierać różne widoki. Maxine wybiera obraz pokazujący otoczenie pojazdu i widzi, że nie jest on sam, lecz stanowi część swego rodzaju konwoju. Statki kosmiczne z różnych epok i o różnych rozmiarach podążają przez bezmiar wieczności... Gdyby spytać o to Heidi, powiedziałyby, że dostrzega pewne wpływy ikonografii z serialu *Battlestar Galactica*.

Maxine odnajduje w środku korytarze z lśniącego kompozytu epoki kosmicznej, długie jak bulwary, olbrzymie konstrukcje, poplątane cienie, ruch wokół odbywający się w coraz gęstszym mroku, ludzi przechodzących przez mosty,

przelatujące połyskliwe pojazdy, pasażerskie i towarowe... To tylko kod, przypomina sobie. Ale kto z tych bezimiennych, nieznanymi ludźmi mógł go napisać i dlaczego?

Nagle w powietrzu otwiera się okno dialogowe, nakazuje Maxine iść na mostek i podaje, jak się tam dostać. Ktoś musiał zauważyć, że się zalogowała.

Na mostku znajduje puste butelki po alkoholu i zużyte strzykawki. Fotel kapitana to wielki, stary fotel La-Z-Boy w ohydny beżowym kolorze, z obiciem pełnym dziur wypalonych papierosami. Do grodzi przylepiono taśmą klejącą tanie plakaty z fotografiami Denise Richards i Tia Carrere. Z ukrytych głośników dobiega składanka utworów hip-hopowych, w tej chwili słychać *Regulate*, wielki przebój Nate'a Dogga i Warrena G, popularny w połowie lat dziewięćdziesiątych na Zachodnim Wybrzeżu. Wokół krąży personel zajęty różnymi sprawami, nikt się nie śpieszy.

– Witamy na mostku, pani Loeffler! – Niechlujny młody człowiek, nieogolony, w bojówkach i poplamionym T-shircie z napisem *More Cowbell*.

– Zajmuje się pan...

– Public relations.

– Teraz nosi pan strój służbowy? A może prywatny?

– Ubiór można ustawić w menu... – Wyciąga rękę w przestrzeń i rozwija menu przed Maxine.

– Hm... cóż, ten garnitur od Armaniego ładnie by na panu wyglądał... Och, proszę poczekać... Jeszcze wybór kapelusza...

Kiedy sprawa stroju zostaje załatwiona, zrekonfigurowany Speevely uśmiecha się przez chwilę, patrząc wyczekująco na

Maxine. Otoczenie się zmienia. Z głośników płynie motyw muzyczny z gry Deus Ex, światła przygasają, przestrzeń zostaje uporządkowana przez niewidzialne cyberkrasnale.

– Gdzie są wszyscy? Kapitan? Jego zastępca? Kierownik naukowy?

Młody człowiek unosi brew i dotyka czubków swoich uszu, jakby sprawdzał ich spiczastość.

– Sorry, nadrzędna dyrektywa, żadnych pieprzonych kierowników! – Macha ręką w stronę przednich okien obserwacyjnych. – Wspaniałość wszechświata, kapuje pani? Miliardy gwiazd, każda ma własny piksel.

– Niesamowite.

– Możliwe, ale to tylko kod.

Ruch czułka.

– Lucas, to ty?

– Cholera! – Ekran na chwilę wypełnia się psychodelicznymi wzorami ilustrującymi odtwarzanie muzyki w iTunes.

– Słyszałam, że zajmujesz się wyszukiwaniem tylnych drzwi w programie?

– Hm, niezupełnie.

– Podobno teraz wszystko jest szeroko otwarte.

– Jeśli coś zostaje opatentowane, zawsze prędzej czy później pojawią się tylne drzwi.

– Jesteś zadowolony? Co z Justinem?

– Jest dobrze. Stary model tak naprawdę nigdy nam się nie podobał.

Stary model... To na pewno oznacza...

– Domyślam się, że są jakieś ważne nowiny?

– Tak. W końcu postanowiliśmy upublicznić kod źródłowy. Będzie dostępny za darmo.

– To znaczy... każdy...?

– Każdy, kto ma dość cierpliwości, by się nim zająć, może go dostać, jeśli zechce. Pracujemy już nad wersją na Linuxa, co powinno przyciągnąć mnóstwo amatorów.

– Czyli wielkie pieniądze...

– Już nie wchodzi w grę. Może nigdy nie chodziło o pieniądze? Justin i ja przez pewien czas będziemy musieli harować.

Maxine obserwuje gwiazdny pejzaż, który płynie przed jej oczami. Kabalistyczne naczynia rozbite w chwili stworzenia świata, rozbryzg jasnych kropelek światła, pędzących z singularności, w której się narodziły, znanej także pod nazwą rozszerzającego się wszechświata...

– Co by się stało, gdybym zaczęła klikać na niektóre z tych pikseli?

– Mogłabyś mieć szczęście i trafić na linki do innych światów. Albo spędzić całe życie na krążeniu w pustce i nigdy nigdzie nie dotrzeć.

– A ten statek... Nie jest w drodze do DeepArchera, prawda?

– To coś w rodzaju ekspedycji. Zajmujemy się eksploracją. Kiedy pierwsi wikingowie wypłynęli na północne morza, istniała legenda, że na szczycie świata znajduje się wielka, pieprzona przepaść, ogromny wir, który wszystko wciąga, czarna dziura, bez drogi ucieczki. Teraz patrzysz na powierzchnię internetu, natrętne reklamy, handel, spamatorów,

kanciarzy, ludzi bezmyślnie tłukących w klawiaturę, wszystkich zajętych desperacką krzątaniną nazywaną biznesem. Tymczasem w głębi wcześniej czy później musi się pojawić granica między tym, co zakodowane, a tym, co niemożliwe do zakodowania. Otchłań.

– Właśnie tego szukacie?

– Niektórzy z nas tak. – Awatary nie są melancholijne, ale Maxine coś wyczuwa. – Inni starają się tego unikać. Zależy, czego się chce.

\* \* \*

Maxine przez pewien czas dalej snuje się korytarzami, nawiązując przypadkowe rozmowy, cokolwiek oznacza tu słowo „przypadkowe”. Zaczyna mieć mrozące krew w żyłach poczucie, że niektórzy nowsi pasażerowie mogą mieć związek z atakami na World Trade Center. Brakuje bezpośrednich dowodów, może dzieje się tak tylko dlatego, że ciągle myśli o jedenastym września, ale gdziekolwiek spojrzy, dostrzega pogrążonych w smutku ocalonych, zagranicznych i krajowych przestępców, ludzi finansujących działalność kryminalną, pośredników, funkcjonariuszy jednostek paramilitarnych, którzy mogli uczestniczyć w tych wydarzeniach albo twierdzą, że prowadzili tylko oszukańczą grę.

Bliscy przynieśli podobizny prawdziwych ofiar, twarze zeskanowane z albumów rodzinnych... Niektóre nie wyrażają emocji, na innych pojawiają się różnorodne uczucia, od imprezowej euforii, przez nieśmiałość, po melancholię. Czasami

są statyczne, kiedy indziej ruchome jak animowane GIF-y, cykliczne jak karma – robią piruety, machają rękami, jedzą lub piją jak podczas wesela lub bar micwy, gdy wykonano fotografię.

A jednak wydaje się, że chcą nawiązywać kontakt – patrzą, uśmiechają się, przykrzywiają pytająco głowy. „Tak, o co chodzi?”, „Jakieś problemy?”, „Coś nie w porządku, prawda?”. Jeśli nie są to prawdziwe głosy zmarłych, jeśli, jak uważają niektórzy, zmarli nie potrafią mówić, to autorami słów są ludzie, którzy wstawili do sieci awatary trupów, a one mówią to, czego chcą od nich żywi. Jedni zaczęli prowadzić blogi, inni uzupełniają kod plików programu.

Maxine zatrzymuje się w kawiarni na rogu i wkrótce zaczyna rozmawiać z kobietą – może kobietą – poszukującą granic znanego wszechświata.

– Przychodzi tu coraz więcej ignorantów i to miejsce staje się równie beznadziejne jak normalny internet. Zmuszają człowieka, by schodził głębiej, w absolutny mrok. Do miejsc, gdzie sami źle by się czuli. Właśnie tam jest źródło wszystkiego. Potężny teleskop sprawia, że wyzwalamy się z ograniczeń przestrzeni, zbliżamy do momentu wielkiego wybuchu, a tutaj, schodząc głębiej, docieramy do granic nieskończoności, do punktu, którego nie da się przekroczyć, krainy, gdzie nie istnieje informacja.

– Uczestniczysz w projekcie?

– Chcę tylko się rozejrzeć. Przekonać się, jak długo potrafię stać na krawędzi początku, przed pojawieniem się Słowa, sprawdzić, jak długo mogę patrzeć, nim dostanę zawrotów



głowy, napadu miłosnej melancholii czy mdłości i wpadnę do środka.

– Masz adres mailowy? – pyta Maxine.

– Coś w tym stylu, ale może nie wrócę. Może któregoś dnia zajrzysz do swojej skrzynki pocztowej i mnie tam nie będzie? Proszę, idź ze mną.

Docierają do czegoś w rodzaju pomostu obserwacyjnego, niebezpiecznie wysuniętego ze statku w krainę twardego promieniowania, pustki, martwoty.

– Popatrz. – Kimkolwiek ona jest, nie ma łuku, strzał ani długich włosów, ale Maxine widzi, że spogląda w dół pod tym samym ostrym kątem co postać stanowiąca logo DeepArchera, skupiając się na nieskończoności, pustce rojącej się od niewidzialnych linków. – Jest tam leciutka poświata, po chwili można ją zauważyć. Niektórzy mówią, że to ślad, jak promieniowanie po wielkim wybuchu, wspomnienie, pozostałość po tym, co kiedyś było w pustce...

– Jesteś...

– DeepArcherem? Nie. On milczy.

\* \* \*

Znalazłszy się znowu w rzeczywistym świecie, Maxine czuje potrzebę porozmawiania z kimś o nowym DeepArcherze, który wkrótce, jak przypuszcza, stanie się nierozpoznawalny, więc wystukuje numer telefonu komórkowego Vyrvy.

– W tej chwili schodzę do metra. Zadzwoń do ciebie, gdy odzyskam zasięg.

Maxine nie jest ekspertem od komórek, ale potrafi wyczuć zdenerwowanie w czyimś głosie. Po półgodzinie Vyrva pojawia się osobiście w jej biurze i mówi, że właśnie wraca z East Side. Niesie ciężką torbę wypełnioną lalkami Beanie Baby.

– Akcesoria na Halloween! – woła i zaczyna wyciągać niewielkie nietoperze, szczerzące zęby chochliki w kapeluszach czarnoksiężników, widmowe niedźwiadki, niedźwiadki w pelerynach, zrobione na Drakulę. – Ghoulianne, Dziewczynka Duch, z małą dynią, widzisz? Czy nie jest śliczna?

Hm, tak... Tego ranka Vyrva ma w sobie coś maniakalnego. East Side może oczywiście wyzwalać w ludziach przesadną aktywność, ale Maxine zaczyna myśleć jak dawna certyfikowana audytorka tropiąca oszustwa: lalki Beanie Baby mogły być przez cały czas tylko przykrywką, maskować działalność sprzeczną z interesem publicznym...

Pytania o funkcji fatycznej: jak się miewa Justin, co u Fiony, wszystko dobrze, dziękuję. Czyżby podejrzany błysk w oku?

– Chłopaki... Chodzi o to, że wszyscy żyjemy ostatnio w stresie...

– Trochę wcześniej jak na środek życia.

Vyrva wkłada okulary w drucianych oprawkach, z soczewkami o barwie lawendy, kosztujące na ulicy pięć dolarów. Powody, dla których robi to właśnie teraz, mogą być bardzo różne.

– Kiedy przyjechaliśmy do Nowego Jorku, byliśmy tacy niewinni... W Kalifornii wszystko było doskonałą zabawą, wystarczyło pisać programy, szukać najlepszego, najbardziej

eleganckiego rozwiązania, a potem bawić się na imprezach... Ale to coraz bardziej przypomina...

– Dorastanie? – pyta Maxine, może trochę zbyt refleksyjnie.

– W porządku, mężczyźni to dzieci, wszyscy o tym wiemy, ale to przypomina obserwowanie, jak oddają się jakiejś tajemnej perwersji i nie wiedzą, jak z tym skończyć. Chcieliby pozostać dawnymi niewinnymi dziećmi, wyraźnie to widać, ale istnieje straszliwy rozdźwięk między tą dziecinną nadzieją a zdeprawowaną rzeczywistością Nowego Jorku. To się staje niemożliwe do wytrzymania.

Droga Redakcjo, moja przyjaciółka ma poważny problem...

– Chodzi ci o to, że nie możesz tego wytrzymać... emocjonalnie.

– Nie. – Vyrva przez moment patrzy Maxine w oczy. – To jest nie do zniesienia dla wszystkich, jak jakiś cholerny wrzód na dupie.

Mówi spokojnie, lecz z wściekłością; w swojej pracy Maxine wielokrotnie słyszała taki ton. Może odzywa się w nim także błagalna prośba o pomoc, miejmy nadzieję, że udawana. Właśnie tak wyglądają oszuści, gdy drapieżni audytorzy zaczynają odkrywać dowody, które na zawsze miały pozostać ukryte, kiedy po drugiej stronie biurka siedzi urzędnik podatkowy z kamienną twarzą i czeka, pykając służbowe cygaro, a tymczasem ogrzewanie w pokoju jest nastawione na pełny regulator.

Maxine stara się, by w jej słowach nie było żadnych podtekstów.

– Może stresuje ich prowadzenie firmy?

– Nie. Na pewno nie chodzi o kod źródłowy, już nie, mają to z głowy. Nie mów nikomu, ale zamierzają go upublicznić.

Maxine udaje, że jeszcze o tym nie słyszała.

– Udostępnią go za darmo? Zastanawiali się nad kwestiami podatkowymi? W jaki sposób odpiszą nakłady inwestycyjne?

Vyrva twierdzi, że Justin i Lucas spędzili raz wieczór w jasno oświetlonym barze motelu dla turystów w rejonie West 50th Street. Wielkie ekrany telewizyjne pokazujące zawody sportowe, sztuczne drzewa, niektóre wysokie na dwadzieścia stóp, kelnerki o długich blond włosach, staroświecki mahoniowy bar. Wielu gości to uczestnicy jakiegoś kongresu. Wspólnicy piją koktajle King Kong, czyli whisky Crown Royal z dodatkiem likieru bananowego, i rozglądają się po sali, szukając znajomych twarzy, gdy nagle słyszą człowieka mówiącego niegrzecznym tonem:

– Fernet branca, proszę, najlepiej podwójną, i piwo imbirowe!

– To on! – szepce Lucas, krztusząc się King Kongiem. – Ten zwariowany skurwysyn od Voorheesa i Kruegera. Szuka nas, chce zwrotu pieniędzy!

– Masz paranoję? – pyta Justin z nadzieją w głosie.

Chowają się za plastikową bromelią i zerkają ukradkiem. Opakowanie jest teraz trochę inne, ale wydaje się, że to rzeczywiście Ian Longspoon, którego ostatni raz widzieli siedem lat temu, gdy wyleciał z trasy wyścigu na Sand Hill. Po chwili podchodzi do niego barczysty mężczyzna w okularach marki Oakley i garniturze koloru neonowej zieleni. Justin

i Lucas natychmiast rozpoznają Gabriela Ice'a w stroju, który uważa za świetne przebranie.

– Po co Ice miałyby się potajemnie spotykać z naszym dawnym kandydatem na dostawcy venture capital? – dziwi się Lucas. – O czym mieliby rozmawiać?

– Co mają ze sobą wspólnego?

– Nas! – mówią jednym głosem.

– Musimy obejrzeć serwetki koktajlowe, i to szybko! – Przypadkiem znają ochroniarza w tym motelu, idą do jego biura i patrzą na rząd monitorów telewizji przemysłowej. Przybliżając obraz stolika Ice'a/Longspoon, widzą dziwne, niezrozumiałe diagramy, pełne strzałek, prostokątów, wykrzykników. Poza tym zauważają wielką literę J, nie wspominając o L...

– Myślisz?

– To może znaczyć wszystko, prawda?

– Zaczekaj, zastanawiam się...

Po kolei manipulują obrazem, starają się go powiększyć, aż wreszcie ogarnia ich paranoidalna panika, a zaprzyjaźniony ochroniarz zaczyna się denerwować i wyprowadza ich tylnymi drzwiami.

– Chłopcy doszli do wniosku – podsumowuje Vyrva – że Ice próbował namówić Voorheesa i Kruegera do przejęcia firmy na podstawie klauzul umownych, a następnie sprzedaży aktywów, przede wszystkim kodu źródłowego DeepArchera, który trafiłby do Ice'a.

– Pieprzę to! – mówi później Justin z niespodziewaną goryczą. – Jak go chce, to niech bierze!

– To nie w twoim stylu, bracie. Co zrobimy następnym razem, gdy będziemy musieli zniknąć?

– Ja nie zamierzam zniknąć – odpowiada Justin z lekką melancholią.

– Ale ja tak, może – oznajmia Lucas.

– Wymyślmy coś nowego.

– Justin, co się dzieje z naszymi głowami w tym cholernym Nowym Jorku, nigdy tacy nie byliśmy...

– Nie wiem, czy w Kalifornii byłoby lepiej. Identyczne draństwo, a my pracujemy w tej samej branży, wiesz, do czego to prowadzi.

Vyrva, chociaż znacznie młodsza, pozwala im głądzić w ten sposób, wchodzi i wychodzi, z macierzyńską troską podaje kanapki i nie zdradza swojej irytacji.

– Rozmawiają o znikaniu – mówi do Maxine, a w jej głosie brzmi skarga, nie współczucie. – Czasami...

Zaraz nastąpi klasyczny lament oszusta. Maxine mogłaby prowadzić warsztaty na temat przerywania takich sytuacji za pomocą jednego spojrzenia.

– Co takiego?

– Jeśli znikną, będzie to moja wina. – Prawie niedosłyszalnie.

Wchodzi Daytona z torbą słodkich bułeczek i plastikowym pojemnikiem z kawą.

– Cześć, Vyrva, pupa do góry!

Vyrva jest na tyle dowcipna, że zrywa się z miejsca, staje za Daytoną i uderza ją tyłkiem w pupę, po czym nuci osiem taktów

rzadko słuchanej starej piosenki *Soul Gidget*. Daytona patrzy na nią i mówi:

– Powinnaś raczej śpiewać *A Whiter Shade of Pale*. Wyglądasz anorektycznie i przydałoby ci się zjeść parę smacznych kotletów wieprzowych! A do tego trochę kapusty!

– Zapiekane brzoskwinie w cieście – dodaje smutno Vyrva.

– Lepsze odżywianie! Właśnie to mam na myśli! – Daytona wychodzi.

– Vyrva...

– Nie, wszystko w porządku. To znaczy wcale nie w porządku, och, Maxi... Czuję, że to ja jestem wszystkiemu winna...

– Jeśli nie jesteś Żydówką, musisz postarać się o licencję, bo mamy na to patent, rozumiesz?

Vyrva kręci głową.

– Co mam robić? Jestem przerażona, zabrnęłam w to bardzo głęboko...

– A Lucas? Jak głęboko zabrnął?

– Lucas? Nie! Nie Lucas! – Wściekła, że Maxine nie rozumie.

– Aha. Mówimy o kimś innym? O kim?

– Proszę... Naprawdę myślałam, że mogę pomóc. Fionie, Justinowi, nam wszystkim. Mówił, że powinni po prostu podać cenę.

Z oczu Maxine wreszcie spadają łuski wielkie jak u dinozaura.

– Ktoś, kto chciał nabyć kod źródłowy DeepArchera, przyjął, że randki z żoną jednego ze współników mu to ułatwią... Dobrze zrozumiałam?

– Maxi, musisz uwierzyć...

– Nie, wierzyłam w zwycięstwo New York Mets w sześćdziesiątym dziewiątym roku, na pewno pytali cię o to na egzaminie przed uzyskaniem prawa pobytu w Nowym Jorku. A teraz zastanawiam się, który spośród tuzinów znajomych podrywaczy mógłby się okazać takim skurwysynem, żeby się do tego posunąć, zaczekaj, zaczekaj, już prawie się domyślam...

– Mogłabym ci powiedzieć, ale tak go nienawidziłaś...

– Wszyscy nienawidzą Gabriela Ice'a, więc przypuszczam, że nikomu nie powiedziałaś.

– Jest takim mściwym sukinsynem, że gdybym próbowała wszystko odwołać, powiedziałaby Justinowi, zniszczyłby moje małżeństwo, rodzinę... Straciłabym Fionę, wszystko...

– Spokojnie, spokojnie, nie myśl o tym, to najgorsze. Mógłby rozegrać tę sprawę na wiele sposobów. Od jak dawna to trwa?

– Od zeszłego lata w Las Vegas. Jedenastego września zrobiliśmy szybki numer, co znacznie pogarsza sytuację...

Maxine nie może nie zerknąć na Vyrwę.

– Mam nadzieję, że nie chcesz powiedzieć, że to sprowokowałaś? To byłoby kompletne szaleństwo, Vyrvo.

– Albo nieostrożność, prawda?

– Albo? Czy zamierzasz wygłosić kazanie? Zaniedbywanie przez Amerykanów wartości rodzinnych sprawia, że Al-Kaida nadlatuje samolotami i niszczy wieże World Trade Center?

– Wiedzą, czym jesteśmy, czym się staliśmy. Miękkosc, niedbalstwo, dogadzanie samym sobie. Doszli do wniosku, że jesteśmy łatwym celem, i mieli rację.



– Jakoś nie widzę związku przyczynowo-skutkowego, ale może tylko ja.

– Jestem cudzołożnicą! – lamentuje cicho Vyrva.

– Och, daj spokój! Raczej niedojrzałą pannicą.

Kto w takich sytuacjach nie chciałby się dowiedzieć kilku szczegółów? Przytulny kawalerski apartament Ice'a w Tribeca, na przykład, łazienka wielkości boiska do koszykówki, z ogromną kolekcją tamponów różnych firm, o różnych rozmiarach, różnym stopniu chłonności. Pojemniki z szamponami i odżywkami, których etykiet nie można odczytać, bo pochodzą z odległych krajów, wyposażenie fryzjerskie, od szpilek do gigantycznej suszarki w stylu retro, która wygląda, jakby należało do niej wejść, a do tego niewiarygodnie bogata kolekcja prezerwatyw: wybór kondomów koło kasy w aptece Duane Reade wydaje się przy niej skromnym zestawem oferowanym w męskiej toalecie na stacji benzynowej.

– Problem polega na tym, że seks jest zawsze taki fajny – kończy Vyrva, wsiąkawszy nos.

– Wrażliwy, czuły kochanek.

– Kurwa, nie! To sukinsyn. Próbowiałaś kiedyś seksu analnego?

Czy Maxine naprawdę chce o tym słuchać?

Czy sklepy Delman's sprzedają buty?

– Pasuje. – Ton zachęty. – Założę się, że to jego specjalność!

## 34

Nadchodzi Halloween. Poniżej 14th Street stało się ono z latami dużym miejskim świętem, z paradą uliczną transmitowaną przez telewizję, rywalizującą z paradą Macy's w Święto Dziękczynienia. W rejonie West Side, dzielnicy yuppie, odbywa się coś w rodzaju festynu ulicznego: 69th Street jest zamknięta dla samochodów, domy ozdobiono straszydłami, na ulicach trwają zabawy i stoją stragany z jedzeniem. Co roku gromadzą się w tym miejscu coraz większe tłumy i Maxine zabiera tam chłopców, by się bawili w „cukierek albo psikus”. Chodzą po holach apartamentowców i kończą na 79th Street, a czasami na 86th Street. Ale w tym roku krążą pogłoski, że w związku z nerwową atmosferą panującą po atakach jedenastego września niektóre z festynów ulicznych mogą zostać skrócone lub nawet odwołane, chociaż we wszystkich lokalnych programach telewizyjnych pojawia się twarz burmistrza, dziwnie podobna do gumowej maski sprzedawanej w sklepach na Halloween – przemawia on normalnym dziarskim tonem i przekonuje, że nowojorczyki powinni stawić czoło terrorowi i obchodzić Halloween tak jak zwykle.

– Jagdeepowie organizują przyjęcie – mówi Ziggy.

Maxine przypomina sobie, że Jagdeep to chłopiec z klasy Ziggy'ego, który w wieku czterech lat nauczył się pisać programy komputerowe. Mieszka w Deseret.

– Idealnie pasuje. To prawdziwy nawiedzony dom.

– Coś jest nie tak z Deseret, mamó? – Otis otwiera szeroko oczy, zaczyna rozumieć.

– Wszystko – odpowiada Maxine.

– Wybieramy się tam – mówi pogodnie Ziggy.

– Będziecie się bawić w „cukierek albo psikus” tylko w tym budynku?

– Nie ma potrzeby chodzić nigdzie indziej, ich Halloween jest legendarne. Każdy apartament jest dekorowany w specjalny sposób, z wykorzystaniem różnych motywów z horrorów.

– I... nie ma to nic wspólnego z siostrą Jagdeepa. Jest parę lat starsza... hm...

– Pudło – mówi Otis, uchylając się przed morderczym ciosem krav magi zadany przez brata. – I tak jej nie zobaczysz, Zig, idzie na imprezę. – Ucieka, Ziggy go goni. – W Greenwich Village, randkuje tylko ze studentami New York University.

– Dziś wieczorem zaczynają się rozgrywki, El Duque przeciwko Curtowi Schillingowi, możemy zostać w domu i obejrzeć mecz... – mówi poważnie Horst, tym razem bez uśmiechu samozadowolenia.

– Kupisz mi fistaszki i popcorn?

Otis postanowił się przebrać za Vegetę: włosy zmienione w szpikulce za pomocą żelu, srebrzystobłękitny strój kupiony

na jakiejś dziwnej azjatyckiej stronie internetowej, dostarczony prawie natychmiast po kliknięciu na „Dodaj do koszyka”. Ziggy występuje jako Empire State Building, z pluszową małą przyczepioną do pleców. Vyrva i Justin zgadzają się pełnić rolę przewodników i spotkają ich w Deseret.

Eric i Driscoll poszli na paradę w Village, on przebrany za bramkę NAND („Zgadzam się na wszystko”), a ona za Aki Ross z serii *Final Fantasy*, z fryzurą, która na pewno nie pochodzi z salonu Morrisa i Murraya.

– Prawdziwe marzenie, sześćdziesiąt tysięcy pasemek, każde robione osobno, wspaniała robota – pieje z zachwytu Driscoll, trzymając w dłoni krótkie demo. – To nie peruka, pewien Japończyk przyjeżdża do Nowego Jorku, wynajmuje apartament w hotelu Essex House, twierdzi, że włosy należy przycinać tylko raz do roku.

– Koniec z Rachel, co?

– Trzeba iść naprzód.

Nagle pojawia się Heidi, w tropikalnej beżowej spódnicy, krótkiej, dość ciemnej, rozczochranej peruce i okularach z przesadnie wielkimi drucianymi oprawkami. Na szyi ma dziwną, może plastikową, girlandę kwiatów świecących w ciemności.

– Wyglądasz trochę znajomo – wita ją Maxine. – Jesteś...

– Margaret Mead – odpowiada Heidi. – Wybieram się w antropologiczną podróż w głąb prymitywnej miejskiej dżungli, kochana. Otacza nas ze wszystkich stron i jestem w niej całkowicie zanurzona. Zgadnij, co znalazłam na Canal Street.

– Otwórz rękę, nie widzę. Co to takiego?

– Kamera cyfrowa, zwykle można je kupić tylko w Japonii. Bateria starcza na kilka godzin, przyniosłam kilka zapasowych, mogę filmować przez całą noc.

– Jednak wydajesz się niespokojna.

– Każdy byłby niespokojny, cała historia muzyki pop w czasie jednego wieczoru. A jeśli nie będę wiedziała, w którą stronę skierować obiektyw, i przepuszczę coś naprawdę ważnego?

– Posłuchaj mojego głosu. – Mówiły tak do siebie, kiedy były dziewczętami. – Nie wpadaj w histerię, uspokój się, bądź grzeczną księżniczką.

– Och, lady Maxipad, bardzo dziękuję, jesteś taka praktyczna...

– Tak, a poza tym poszłam do bankomatu, więc mam pieniądze na kaucję, gdyby okazało się to potrzebne.

Wieczorem Maxine i Horst biorą największy kosz na śmieci, jaki jest w domu, napełniają go różnego gatunku słodyczami, w tym Swedish Fish, PayDays i KitKats, po czym stawiają w przedpokoju. Wieszają na klamce tabliczkę z napisem: NIE PRZESZKADZAĆ i zamykają się w sypialni, pozwalając, by Halloween toczyło się swoją koleją – ulice Upper West Side, przypominające przez resztę roku mało wyrazistą imitację Dubuque, zmieniają się w coś na kształt egzotycznej Greenwich Village.

W sypialni atmosfera staje się dość świąteczna – Maxine przez prawie godzinę uprawia seks z Horstem, choć nie powinno to nikogo obchodzić. Ma kilka orgazmów, ostatni jednocześnie z Horstem, po czym, dzięki telepatycznemu

wyczuciu tego, co pokazuje telewizor, działający z wyłączonym dźwiękiem, otrząsają się z postorgiastycznego otumanienia i oglądają Dereka Jesterą, który chwyta meczową piłkę, oraz kolejne klasyczne zwycięstwo drużyny Yankees.

– Tak! – krzyczy Horst z zachwyconym niedowierzaniem. – Keanu Reeves w filmie biograficznym!

– Aha. Przecież nienawidzisz wszystkiego związanego z Nowym Jorkiem – przypomina mu Maxine.

– Hm, cóż, przejeżdżałem przez Arizonę, nie mam nic przeciwko Arizonie, ale postawiłem trochę pieniędzy na Jankesów, sam na to wpadłem, doprawdy...

Zaraz zaczniesz głądzić o wszystkim i o niczym...

– Doprawdy?

Może nie, Horst.

– Posłuchaj, jest normalny dzień tygodnia, chyba wyjdę na ulicę i zobaczę, jak się ludzie bawią.

– Cóż, kochanie, nie twierdzę, że nie było fajnie, krótkie, ale słodkie, jak mówią w okolicach chlewu, w takim razie może odtworzę najważniejsze momenty meczu.

Maxine zdaje sobie sprawę, że w przypadku Horsta takie słowa to coś w rodzaju wyznania miłości. Ale czuje, że musi wyjść z domu, iść do Deseret i zobaczyć, jak ludzie świętują Halloween w tym upiornym budynku.

Księżyc w pełni jest ciągle nieco koślawy i nie znajduje się jeszcze w zenicie, a przy bramie pełni dyżur Patrick McTiernan, dziewczęce nemesis Maxine, ubrany w granatowy mundur ze złotym napisem DESERET, z mnóstwem złotych galonów na rękawach i złotymi epoletami, i obszytą złotem czapkę zsuniętą

na prawe ucho. Nad lewą kieszenią na piersi widnieje jego nazwisko. Złote. Może to przebranie na Halloween? A może z biegiem lat Patrick awansował i przyszywał sobie kolejne galony, upodabiając się do Dystyngowanego Starszego Pana z pięknymi sztucznymi zębami? Naturalnie nie poznaje Maxine, nie pamięta jej ani z dawnych czasów, ani jako anonimowej użytkownicy basenu – spostrzega, że nie towarzyszy jej grupa pijanych nastolatków, i skinieniem zaprasza ją do wejścia.

Singhowie mieszkają na dziewiątym piętrze, windy są zajęte albo zepsute wskutek przeciążenia, toteż Maxine idzie na górę schodami – nie ma z tym kłopotów, bo jest w dobrej kondycji. W ponurym ogromnym gmachu trwa tego dnia świetna zabawa. Na klatkach schodowych i korytarzach roi się od mikroskopijnych kopii Statui Wolności, strażaków, policjantów i żołnierzy w mundurach polowych, nie wspominając o Shrekach, Bobach Budowniczych, SpongeBobach, Patrykach Rozgwiadach i Sandych Pysiach, królowych Amidalach czy postaciach z Harry’ego Pottera w goglach do quidditcha, strojach Gryffindoru, Tiarach Przydziału. Drzwi wszystkich apartamentów są szeroko otwarte, a z wnętrza dobiegają najróżniejsze utwory muzyczne, w tym *Ain’t Never Gonna Do It Without the Fez On* grupy Steely Dan. Wszyscy lokatorzy jak zwykle poszli na całość, wydali tysiące dolarów na emitery głosów duchów, generatory czarnego światła i mgły, nagłośnienie, roboty naśladujące zombie oraz prawdziwych aktorów, którzy pracują za obraźliwie niskie stawki, a także na słodycze z delikatesów Dean & DeLuca i Zabar’s i torby z prezentami, zawierające

skomplikowane elektroniczne gadżety, apaszki Hermès i darmowe bilety lotnicze do takich miejsc jak Tahiti lub Gstaad.

Kiedy Maxine wchodzi do apartamentu Singhów, okazuje się, że Prabhnoor i Amrita są przebrani za Billa Clintona i Monikę Lewinsky. Gumowe maski, wszystko. Prabhnoor rozdaje cygara, a Amrita, naturalnie w niebieskiej sukience, trzyma w ręku wyłączony mikrofon do karaoke i słodko śpiewa *I Did It My Way*. Wydają się bardzo miłymi ludźmi. Wszyscy są pijani, to głównie wódka, sądząc po pustych butelkach, których stosy walają się wokół baru i za nim, chociaż kelnerzy, przebrani za Droidy Niszczyciele, krążą wśród gości z tacami, oferując szampana, a także kanapki z homarem i *filet mignon*. Vyrva, jako Beanie Baby w wersji Pikachu, podchodzi do Maxine i woła z zachwytem:

– Co za wspaniały kostium! Wyglądasz jak poważna, dorosła kobieta! Dama!

– Jak się bawią chłopcy?

– Nieźle, może trzeba będzie wynająć ciężarówkę U-Haul, by wszystko zabrać. Jest z nimi Justin, chodzą od drzwi do drzwi. Świetne Halloween, prawda?

– Tak, tylko nie rozumiem, dlaczego odczuwam tyle nienawiści klasowej.

– Tutaj? To nic w porównaniu z Aleją Krzemową kilka lat temu! Normalna impreza z okazji założenia firmy. To tylko przypis, kochana, komentarz.

– Mieszkasz w Nowym Jorku tak długo, Vyrvo, że zaczynasz mówić jak mój ojciec.

– Justin ma komórkę, mogę zatelefonować i...



– Jesteśmy w Deseret, gdzieś poza Ziemią, stawki za roaming mogą być fantastycznie wysokie. Po prostu się przejdę, dzięki.

Maxine krąży po budynku, który od dawna powinien zostać poddany egzorcyzmom i którego zawsze nie znosiła. Korytarze szerokie jak ulice, gdzie przed stu laty wozy dostawcze ciągnięte przez kuczki, wjeżdżające na górę gigantycznymi windami hydraulicznymi, przywoziły do apartamentów bańki mleka, kosze kwiatów, skrzynki szampana. W tej chwili znajdują się tam wyszukane kopie obozu nad jeziorem Crystal z horroru *Piątek, trzynastego*, sarkofagów mumii, białoczarnych laboratoriów Frankensteina w stylu art déco. Gościnność lokatorów wydaje się wręcz przesadna. Wkrótce, nawet nie mrugnawszy okiem, Maxine dźwiga pełne halloweenowych prezentów worki, których nie uniosłoby żadne dziecko.

Z upływem wieczoru wzrasta również średni wiek uczestników przyjęć – a wraz z nim nacisk na makijaż oczu, na obcisłe, złote stroje, kabaretki, siekiery wbite w czaszki, sztuczną krew. Za chwilę pojawi się ktoś przebrany za Osamę bin Ladeną – wydaje się to nieuniknione. I rzeczywiście, Maxine spostrzega dwóch Osamów i natychmiast rozpoznaje Miszę i Griszę.

– Zamierzaliśmy się przebrać za wieże World Trade Center, ale doszliśmy do wniosku, że Osama bin Laden będzie jeszcze bardziej prowokujący – wyjaśnia Misza.

– Dlaczego nie jesteście w Greenwich Village, gdzie na pewno jest telewizja?

Wymieniają spojrzenia, w których widać pytanie: „Czy możemy jej zaufać?”.

– Macie swoje powody – mówi domyślnie Maxine. – Prywatne, nie publiczne.

– Jest pieprzone Halloween, nie? – rzuca Grisza.

– Składamy wizyty grzecznościowe – tłumaczy Misza.

Komu? Tu, w Deseret, komuż innemu jak nie Lesterowi Traispe'owi, prawdziwemu duchowi pojawiającemu się z okazji Halloween, kretyńskiej ofierze Specnazu, która nie załatwiła wszystkich swoich spraw, zmuszonej do wędrowania tymi stuletnimi korytarzami aż do chwili wyrównania rachunków albo przez całą wieczność, cokolwiek będzie trwało krócej. Lester był człowiekiem Alei Krzemowej do szpiku kości, a w Alei nic nie jest szybkie i przyjemne, to nie tylko medialna dzielnica niedawno spłowiłych marzeń, lecz również najnowsza część historii Nowojorskich Alei, Których Lepiej Unikać, cieni wypełnionych niezrównoważonymi psychicznie głosami, ech odbitych od ceglanych ścian, krzyków miejskiej samotności, celowych metalicznych dźwięków, mniej niewinnych niż stare kubły na śmieci targane wiatrem.

– Przyjaźniliście się z Lesterem? Robiliście interesy?

Można by to sformułować inaczej: co was łączyło na tym świecie... chyba że chodzi o coś innego i związek miał charakter nadprzyrodzony. Jest przecież pieprzone Halloween.

– Lester to kumpel, *padonok*. – Misza lekko się rumieni, jakby się wstydził, że jego słowa brzmią nieprzekonująco. – Przyjaźnił się z hakerami z całego świata.

– Również z dawnego Związku Sowieckiego – zauważa Maxine. – Może miał nawet powiązania z tajną policją?

Misza i Grisza zaczynają chichotać. Patrzą na siebie, czekając, który z nich pierwszy klepnie drugiego po plecach, by przywrócić powagę i szacunek dla zmarłych. Zwyczaj więzienny.

– Naprawdę chodziliście do Państwowej Szkoły Hakerów w Moskwie? – pyta ostrożnie Maxine.

– Tam chodzą same *umniki*! – woła Grisza. – Ach, nie, skądże! Ci goście są dla nas za mądrzy!

– Nie, my proste *czajniki*!

– Z Bobrujska! – Misza kiwa energicznie głową.

– Nie wiemy nawet, gdzie jest przód i tył klawiatury!

– Nie chcę być wścibska, ale Lester mógł wejść w drogę Gabrielowi Ice’owi, który, jak na pewno wiecie, jest praktycznie tożsamy z amerykańską służbą bezpieczeństwa. To oczywiste, że rosyjski wywiad byłby zainteresowany jego działaniami.

– Jest właścicielem tego budynku! – prycha Grisza, a Misza zerka na niego. – Jeśli pojawi się tu dziś wieczorem, możemy go spotkać. Jego albo jednego z jego ludzi. Może nie spodoba im się para bliźniaczych Osamów? Może jakiś mały Mortal Kombat?

Maxine notuje coś w pamięci. Powinna wypytać Igora, który musi wiedzieć, o co tak naprawdę chodzi. Notatka, nagryzmołona na wirtualnej karteczce i przyklejona w rzadko odwiedzanej części mózgu, natychmiast odpada, ale jest szansa, że nie zostanie zupełnie zapomniana.

Na schodach pojawia się gromada francuskich pokojówek, ulicznych prostytutek i młodocianych specjalistek od dominacji

seksualnej. Żadna nie chodzi jeszcze do szkoły średniej.

– Patrzcie! A nie mówiłam?!

– O mój Boże!

– Niesamowite, kurwa!

Misza i Grisza promienieją, przykładają dłonie do serca i kłaniają się lekko.

– *Tha tso kalan yee?*

– *Tha jumat ta zey?*

Młode damy odwracają się na pięcie i w popłochu zbiegają po schodach. Misza i Grisza wołają za nimi dobrodusznie:

– *Wa alaikum u ssalam!*

– To po hebrajsku? – pyta Maxine.

– Język pasztuński. Życzyliśmy im pokoju, spytaliśmy, ile mają lat i czy chodzą regularnie do meczetu.

– Idą moi synowie.

Na kostiumie Ziggy’ego, przebranego za Empire State Building, widać namalowane sprayem graffiti, a na głowie King Konga ktoś umieścił miniaturową czapkę bejsbolową z logo Boston Red Sox. Włosy Otisa ciągle sterczą pionowo w wyzywający sposób, jako dżentelmen niesie torbę Fiony.

– Ładna fryzura, Fiono! Pomóż mi zgadnąć, za kogo się przebrałaś?

– Misty?

– Dziewczyna z Pokemonów. A to...

Przyjaciółka Fiony, Imba, przebrana za Psyduck, chronicznie przygnębioną towarzyszkę Misty.

– Strasznie nam się spodobał ten pomysł – mówi Fiona.

– Misty jest świetna w gimnastyce – tłumaczy Imba – ale czasem brakuje jej cierpliwości. Z kolei Psyduck jest genialna i bardzo nieszczęśliwa. – Jednocześnie chwytają się za głowy jak S.Z. Sakall i wydają z siebie charakterystyczny dźwięk: „Psy, psy, psy!”.

Maxine ma wrażenie, że Psyduck, chociaż pochodzi z Japonii, mogłaby być Żydówką. Imba, co to za imię?

– Z World of Warcraft. Mój tata to uwielbia.

– Dobry wieczór, pomoc techniczna, mogę was pomolestować?

Justin przebrał się dziś wieczorem za Piesberta, zwariowanego psa Dilberta. Ma okulary w kolorze indygo zamiast normalnych szkieł. Maxine dokonuje prezentacji.

– To ty jesteś ten sławny Justin McElmo?!

Maxine po raz pierwszy słyszy taki podziw w głosie Rosjan.

– Nie wiem, pewnie jest wielu podobnych.

– DeepArcher – wyjaśnia Grisza.

– Po prostu dwaj fani Game Boya... – mruczy Maxine.

– Wchodzicie tam? Od jak dawna? – Justin nie jest zaniepokojony, po prostu go to ciekawi.

– Może od jedenastego września? Wcześniej trudno było się tam włamać. Później, w dniu ataku, wszystko stało się łatwiejsze. A potem znowu mur.

– Ale dalej tam bywacie?

– Nie możemy bez tego wytrzymać!

– *Pizdaczje!* – cieszy się Grisza. – Zawsze coś nowego, nowa grafika, za każdym razem inna.

– Wszystko ewoluuje – dodaje Misza. – Powiedz, Justin: właśnie tak to zaprojektowałeś?

– Żeby się zmieniało? – Justin ma zdziwioną minę. – Nie, to miało istnieć poza czasem. Coś w rodzaju azylu. Lucas i ja mieliśmy nadzieję, że będzie to wolne od historii. A co w tej chwili widzicie?

– Normalne *gawno* – mówi Misza. – Polityka, rynki, ekspedycje, lizanie po dupach.

– To nie scenariusz gry, zrozumcie. Tam, na dole, jesteśmy nie graczami, tylko podróżnikami.

Dobry pretekst do wymiany wizytówek. Zanim dwaj Rosjanie znów zaczynają psocić, odciągają Maxine na bok.

– Ty też znasz DeepArchera. Byłaś tam.

– Hm... – Maxine nie ma nic do stracenia. – To tylko kod, prawda?

– Nie, Maxine, nie! – Albo naiwna wiara, albo kompletne szaleństwo. – To rzeczywiste miejsce!

– DeepArcher to azyl, nieważne, możesz być najbiedniejszym człowiekiem na świecie, bezdomnym, najędzniejszym typkiem z pierdła, *obiżenka*, skazanym na śmierć...

– Martwym...

– DeepArcher zawsze cię przyjmie, będziesz tam bezpieczny.

– Lester – szepce Grisza, spoglądając na basen. – Dusza Lestera. Rozumiesz? Stingery na dachu. To wszystko!

Wyciąga rękę w stronę miasta pogrążonego w mroku nocy Wszystkich Świętych, ku centrum, gdzie stały wieże World

Trade Center, nad niewidzialnymi setkami tysięcy przebranych uczestników Halloween na ulicach oświetlonych przez latarnie lub tonących w ciemności, do miejsca, gdzie znajduje się martwa przestrzeń, w okresie zimnej wojny nazywana punktem zero.

Maxine kiwa głową, udając, że rozumie, na czym polega związek.

– Dziękuję. Nie wariujcie, chłopcy!

Zabiera Ziggy’ego i Otisa, którzy pożerają trufle firmy Teuscher, jakby były czekoladkami Hershey’s Kisses, po czym wychodzą przez odstręczającą bramę Deseret i podążają do domu.

– Najlepsza część wieczoru przed nami! – woła Patrick McTiernan.

Tak, i brakuje tylko tańca krasnoludków. Maxine nie miałaby nic przeciwko temu, by jej pomogły w sprzątaniu.

Horst ciągle nie śpi, ogląda Anthony’ego Hopkinsa w filmie *The Mikhail Baryshnikov Story*. Wpatruje się intensywnie w ekran, trzymając w odległości kilkunastu cali od twarzy łyżeczkę lodów Urban Jumble, które kapią mu na but.

– Tato, tato, uważaj, lody ci się roztapiają!

– Popatrzcie tylko! – Horst mruga. – Stary Hannibal tańczy jak wariat!

\* \* \*

Heidi spędziła Halloween w świecie komiksów i wróciła odmieniona.

– Dzieci w różnym wieku, uczestniczące w wielkim popkulturowym święcie. Wszystko wpadło w czas terażniejszy, toczyło się równolegle. Naśladowanie i gra.

Po chwili staje się trochę niekonsekwentna. Nigdzie nie spostrzegła idealnej kopii czegokolwiek. Nawet ludzie, którzy mówili: „Och, przebiorę się za samego siebie”, nie byli autentycznymi replikami samych siebie.

– To przygnębiające. Myślałam, że konwencja Comic-Con to coś szczególnego, ale to była Prawda. Wszystko znajdowało się w odległości kliknięcia myszą. Imitacja nie jest już możliwa. Halloween się skończyło. Nigdy nie sądziłam, że ludzie mogą tyle wiedzieć. Co się z nami wszystkimi stanie?

– A ponieważ lubisz obwiniać innych...

– Obwiniam ten cały zaszran internet. Bez dwóch zdań.

\* \* \*

Telefon do Igora nie jest czymś, o czym Maxine marzy. Niezależnie od tego, że między nim a Gabrielem Ice'em brak równowagi karmicznej, celowo nie chciała dzwonić, aż Misza i Grisza, geeki spoza codzienności, którą wolałaby zataić, sprawili, że nie może dłużej zwlekać. Poza tym wydaje się, że para zadowolonych z siebie osiłek tropi hashslingrz z ukrytych powodów. Wypada, by Maxine je odkryła, choć nie spodziewa się, że dostarczy jej to wielu informacji.

Igor jest radosny. Zbyt radosny. Zachowuje się tak, jakby czekał na telefon Maxine.



– Posłuchaj, Igor, nikt mi nie płaci, żebym się dowiedziała, kto załatwił Lestera...

– Wiesz, kto go załatwił. Tak samo jak ja. Policja nie kiwnie palcem. W tej chwili to kwestia...

Czy Igor chce, żeby ona to powiedziała?

– Sprawiedliwości.

– Odzyskania.

– Lester nie żyje. Co można odzyskać?

– Bardzo byś się zdziwiła.

– Z pewnością. Zwłaszcza jeśli interesuje się tym KGB, a ty i twoi kumple pracujecie dla KGB.

Cisza, którą Maxine musi uznać za wyraz rozbawienia.

– Teraz już się nie mówi KGB, tylko FSB albo SWU. Kiedy prezydentem został Putin, KGB oznacza starych agentów w rządzie.

– Nieważne. Ice bardzo się zaangażował w finansowanie antydzihadystów. Rosja ma własne problemy z muzułmanami. Czy tak trudno sobie wyobrazić, że oba kraje współpracują? Mogły się zdenerwować, gdy Lester zaczął zbierać pieniądze bez zezwolenia?

– Nie, Maxine. Nie chodziło o pieniądze.

– Słucham? A więc o co?

Igor zwleka z odpowiedzią o ułamek sekundy za długo.

– Lester za dużo widział.

Maxine usiłuje sobie przypomnieć swoją ostatnią rozmowę z Lesterem, w Wiecznym Wrześniu. Musiała przeoczyć jakąś informację, coś jej umknęło.

– Gdyby zrozumiał, co widzi, czy komuś by o tym powiedział?

– Próbował. Dzwonił do mnie na komórkę. Wieczorem, nim go dopadli. Nie mogłem odebrać. Zostawił długą wiadomość w poczcie głosowej.

– Miał twój numer.

– Tak jak wszyscy. Cena robienia interesów.

– Jaką wiadomość zostawił?

– Kompletne wariactwo. Czarne cadillaki escalade próbują go zepchnąć z Long Island Expressway. Telefony do żony, groźby wobec dzieci. Myślał, że ja i moi ludzie mamy odpowiednie kontakty, że pomożemy mu się porozumieć z prześladowcami.

– Jak w...

– Zapomni to, co widział, a oni go nie zabiją. Powodzenia.

– A co widział...?

– Był już kompletnie szalony. Odebrali mu rozum, nie musieli go zabijać. Trzeba pamiętać o jeszcze jednej rzeczy. Chciałabyś mieć do czynienia z normalnymi przyczynami i skutkami, ale tutaj, przykro mi, wszystko jest niestandardowe. Lester powiedział: „Został mi tylko DeepArcher”. O DeepArcherze mówili mi *padonki*, więc trochę się orientuję, co to takiego, ale nie mam pojęcia, o co chodziło Lesterowi.

Ażyl. A tymczasem Maxine jest pieprzona od tyłu przez jednego z morderców Lestera.

\* \* \*

Dzień maratonu nowojorskiego, siedem tygodni po atakach na World Trade Center wszyscy ciągle pamiętają straszliwy dzień, atmosferę można nazwać patriotyczną, tysiące biegaczy staje na starcie, by uczcić ofiary jedenastego września i zmanifestować przekonanie, że to się nigdy więcej nie powtórzy, wyjątkowo zaostrzone środki bezpieczeństwa, pilnie strzeżony most Verrazano, wstrzymany ruch statków na zatoce, na niebie widać tylko helikoptery, które pracownicy wszystko obserwują...

Okolo południa, gdy Maxine idzie na cotygodniowy pchli targ w pobliskiej szkole średniej, zaczyna zauważać yuppie w pelerynach z mylaru, którzy wychodzą z parku, najpierw pojedynczo, a potem całymi grupami – stroje superbohaterów stały się nagle niezwykle popularne. Na rogu 77th Street i Columbus Avenue jest już duży tłum. Krzyczą, pohukują, padają sobie w objęcia, wszędzie powiewają flagi.

Wśród wyczerpanych zawodników, którzy siedzą na chodniku pod ścianą, okręceni połyskliwymi pelerynami, i odpoczywają po biegu, znajduje się Windust, chyba że kupił od kogoś na ulicy pamiątkową pelerynę z logo maratonu, a Maxine przyszła tu w innym celu.

Pierwszy raz, twarzą w twarz, od tamtego romantycznego wieczoru na dalekim West Side.

– Nie mów nikomu, że mnie widziałaś. – Jest ciągle nieco zdyszany. – To grzech, zwłaszcza tak niedługo po jedenastym września, wokół zbyt wiele śmiertelności, po co specjalnie jej szukać? – Kiwa ze znużeniem ręką. – A jednak wszyscy tu jesteśmy.

– To dla mnie za głębokie.

Figlarny uśmieszek.

– Tak, pamiętam.

– Czasem nawet centymetr to za dużo. W porządku, ciągle jesteś wykończony po biegu. Możesz już wstać? Postawię ci filiżankę kawy.

Naturalnie, Maxine, czemu nie? Może również słodką bułeczkę z serem? Czy zwariowała? To ostatnia rzecz, jaką powinna robić. Ale Żydowska Matka, siedząca cicho w ciemnościach, nagle postanowiła zerwać się z miejsca, włączyć gustowną lampę ze sklepu Scully & Scully i skłonić Maxine do kolejnego haniebnego popisu troskliwości typu *eppes-essen*. Przez chwilę liczy na to, że Windust jest zbyt zmęczony. Jednak ma dobrą kondycję fizyczną, wstaje i zanim Maxine zdoła wymyślić jakąś wymówkę, już siedzą w zabytkowym autobusie barowym na Columbus Avenue, pochodzącym z lat osiemdziesiątych, gdy aleja była ostatnim krzykiem mody. Obecnie stary pojazd jest odwiedzany przede wszystkim przez turystów zainteresowanych historią nowojorskich subkultur, a w tej chwili kłębią się w nim uczestnicy maratonu, którzy uzupełniają poziom kofeiny w organizmie. Nikt nie mówi tu zbyt głośno i jest przynajmniej szansa na normalną rozmowę.

Maxine zastanawia się, jak w przyszłości zaklasyfikuje Windusta. Jako byłego partnera seksualnego, szybki numer, pomyłkę? A może niewiadomą? Teraz powinna udawać, że nic się nigdy nie wydarzyło, zamiast siedzieć naprzeciwko faceta,

który wygląda jak krzykliwy obrazek z folderu reklamowego i gapi się na nią, mrugając. Rachunki nie zostały zamknięte.

Za oknami przepychają się tłumy ludzi, którzy wrzaskliwie sobie gratulują, śmieją się hałaśliwie, robią dumne miny, obnoszą się ze swoimi pelerynami. Windust jest samotnym pikselem niezadowolenia na ekranie triumfu.

– Chyba pokazali tych Arabów. Popatrz na nich. Armia idiotów, która myśli, że jedenasty września to ich własność.

– Hej, dlaczego mieliby tak nie myśleć, kupili ten dzień od was, podobnie jak my wszyscy, wzięliście nasz bezcenny smutek, przetworzyliście go i sprzedaliście jak każdy inny towar. Mogę cię o coś spytać? Gdzie byłeś, kiedy to się stało? Co robiłeś w dniu, gdy wszystko się zmieniło?

– W swojej klitce. Czytałem Tacyty. – Normalne zajęcie wojowników i uczonych. – Twierdzi, że Neron nie mógł podpalić Rzymu, by oskarżyć o to chrześcijan.

– Brzmi dziwnie znajomo.

– Macie ochotę wierzyć, że to wszystko jest jakąś zwariowaną operacją przeprowadzoną pod fałszywą flagą, że dokonała jej niewidzialna supergrupa uderzeniowa, że sfałszowano dane wywiadowcze i rozmowy po arabsku, kontrolowano ruch powietrzny, łączność wojskową, cywilne media, że wszystko zostało idealnie skoordynowane i upozorowane na atak terrorystyczny. Proszę, zastanów się nad tym, moja droga. W branży nie ma nikogo, kto potrafiłby zrobić coś takiego.

– Twierdzisz, że nie powinnam się tym za bardzo podniecać? Cóż... czy to nie ulga? A tymczasem wy macie to,

czego chcecie, swoją wojnę z terroryzmem, która nigdy się nie skończy, i możecie być pewni, że nigdy nie straciecie pracy.

– Dla kogoś może to być ważne, ale nie dla mnie.

– Nie ma już zapotrzebowania na bandziorów? Ach...

Windust spogląda w dół, na swój brzuch, penis, buty, stary model Mizuno Wave w krzykliwym kolorze, dla których upływ czasu nie był zbyt łaskawy.

– W gruncie rzeczy zbliżam się do emerytury.

– Możecie się wycofać? Przestań się zgrywać.

– Cóż... zdajemy sobie sprawę, jak wyglądają perspektywy, i przygotowujemy się prywatnie.

– Oszczędzacie na starość, Florida Keys, niewielki jacht z lodówką pełną piwa Dos Equis...

– Szkoda, że nie mogę mówić bardziej konkretnie.

Według dossier zapisanego na flashdrivie, który w lecie dostarczył jej Marvin, portfel inwestycyjny Windusta zawiera wiele sprywatyzowanych aktywów państwowych w Trzecim Świecie. Maxine wyobraża sobie kilka pięknych hektarów w bezkresnym kraju postkolonialnym, gdzieś „w bezpiecznym miejscu”, cokolwiek to znaczy, z dala od systemowej inwigilacji, zmian reżimów z inspiracji USA, dzieci z kałasznikowami, wycinki lasów, tornad, głodu i innych plag spadających na planetę w epoce późnego kapitalizmu... z kimś, komu mógłby ufać, jakimś idealnym Tonto, który przez lata będzie miał oko na cały teren... Czy w świecie Windusta jest możliwa taka lojalność?

Maxine powinna zwrócić uwagę na szczególny brak blasku w jego oczach, to coś więcej niż zwykła oznaka zmęczenia.

„Emerytura” to eufemizm i Maxine wątpi, czy Windust uczestniczy w maratonie w ramach programu profilaktyki chorób krążenia u mężczyzn w średnim wieku. Ma coraz silniejsze wrażenie, że Windust odfajkowuje kolejne punkty z nudnej listy, którą musi zrealizować przed zajęciem się innymi sprawami.

Maxine czuje podmuchy chłodnego powietrza przenikające przez rozprute szwy dnia i ma dość włóczenia się po mieście, gdy inni ludzie umawiają się na randki. Dalsze inwestycje nie przyniosą już żadnego zysku.

– Zastanówmy się, ile już zjadłeś, trzy? Gigaccinos, a potem bajgle...

– Trzy bajgle plus omlet Denver deluxe, ty zamówiłaś zwykły...

Kiedy wychodzą, żadne z nich nie potrafi znaleźć słów, które pozwolą im się rozstać w elegancki sposób. Po kolejnych trzydziestu sekundach milczenia kiwają do siebie głowami i idą w przeciwnych kierunkach.

W drodze do domu Maxine mija miejscową remizę straży pożarnej. Strażacy pracują przy jednym z wozów. Maxine poznaje mężczyznę, którego często widuje w markecie Fairway, kupującego ogromne ilości jedzenia. Uśmiechają się do siebie i machają rękami. Zabawny facet. W innych okolicznościach...

Jak zwykle są one niesprzyjające. Maxine idzie między bukietami kwiatów leżącymi na chodniku – za jakiś czas pojawią się następne. Lista strażaków poległych na służbie jedenastego września nie została podana do publicznej

wiadomości, każdy mógłby ją dostać, gdyby o to poprosił, ale niekiedy zachowanie dyskrecji oznacza większy szacunek.

Skoro nie chodzi o pensję ani o sławę, a ludzie czasem nie wracają ze służby, co nimi kieruje? Co sprawia, że ci faceci tak się w to angażują, pracują przez okrągłe dwadzieścia cztery godziny i jeszcze dłużej, rzucają się w te niebezpieczne ruiny, przecinają palnikami stalowe płyty, ratują ludzi, zbierają ich szczątki, po czym kończą chorzy, dręczeni przez koszmary, pozbawieni szacunku, martwi?

Cokolwiek to jest, czy Windust w ogóle by to rozpoznał? Jak daleko odszedł od rzeczywistości ludzkiej pracy? Jakiego azylu szuka i jaki znalazł, jeśli mu się udało?

\* \* \*

Zbliża się Święto Dziękczynienia, cała dzielnica zapomina o krwawych atakach terrorystycznych i znów staje się sobą, miejscem trudnym do zniesienia. Apogeum następuje wieczorem w przeddzień święta, gdy jezdnie i chodniki są wypełnione tłumami ludzi, którzy wyszli z domów, by obserwować wypuszczanie balonów przed paradą Macy's. Wszędzie roi się od policjantów, zastosowano surowe środki bezpieczeństwa. Przed każdym barem i restauracją stoją kolejki. W lokalach, gdzie zwykle można wejść, zamówić pizzę, poczekać na jej przygotowanie i zjeść ją spokojnie, w tej chwili jest godzinne opóźnienie. Ludzie na chodnikach zachowują się jak rozwścieczeni kierowcy mercedesów w korku ulicznym – zderzają się ze sobą, wrzeszczą, przepychają się do przodu, nie



posługując się nawet pozbawionym znaczenia, lokalnym eufemizmem: „Przepraszam”.

Tego wieczoru Maxine jest świadkiem pokazu klasycznych nowojorskich zachowań, ponieważ popełniła błąd i zaproponowała, że kupi indyka, jeśli Elaine go upiecze. Sytuację pogorszyło to, że Maxine złożyła zamówienie w delikatesach Crumirazzi, sklepie dla smakoszy w rejonie 72nd Street. Dociera tam po kolacji, a sklep okazuje się zatłoczony gorzej niż linia metra w godzinie szczytu. Zdenerwowani mieszkańcy Nowego Jorku zaopatrują się na uroczysty obiad z okazji Święta Dziękczynienia, kolejka po indyki zakręca osiem czy dziesięć razy i posuwa się bardzo, bardzo wolno. Ludzie wrzeszczą na siebie, grzeczność staje się towarem równie rzadkim jak poszukiwane artykuły żywnościowe.

W kolejce po indyki pojawił się wysoki biały samiec alfa, który przepycha się do przodu. Jego maniery ciągle należą do kategorii beta i usiłuje zmuszać kolejne osoby do odsunięcia się na bok.

– Przepraszam! – Wpycha się przed starszą panią stojącą tuż za Maxine.

– Proszę stać w kolejce! – wrzeszczy kobieta, zdejmując z ramienia torebkę i zamierzając jej użyć.

– Na pewno nie pochodzi pan z Nowego Jorku – mówi Maxine do mężczyzny. – W tym mieście to, co pan zrobił, jest ciężkim przestępstwem.

– Śpieszę się, suko, więc się odsuń, a może wolisz, żebyśmy załatwili tę sprawę na zewnątrz?

– Ach, po tym, jak tyle się napracowałeś, by tu dotrzeć? Posłuchaj: wyjdź na dwór i zaczekaj na mnie, okay? To nie potrwa długo, obiecuję.

Mężczyzna robi oburzoną minę.

– Mam mnóstwo dzieci do wykarmienia...

Nagle przerywa mu głośny krzyk z miejsca wyładunku: „Hej, dupku!”, po czym nad głowami tłumu leci zamrożony indyk i trafia nieokrzesanego mężczyznę prosto w głowę. Facet pada na ziemię, a indyk, odbity od jego głowy, ląduje w rękach Maxine, która stoi i spogląda na ptaka, mrugając, niczym Betty Davis patrząca na dziecko, które nagle pojawiło się na planie filmu. Podaje indyka kobiecie stojącej za nią.

– Chyba należy do pani.

– Po tym, jak uderzył tego typa?! Bardzo dziękuję!

– Ja go wezmę – mówi następny facet w kolejce.

Oczekujący posuwają się do przodu i każdy stara się nadepnąć na wciąż leżącego mężczyznę.

– Fajnie obserwować, jak Nowy Jork wreszcie normalnieje, prawda? – Znajomy głos.

– Rocky, co robisz w tej dziczy?

– Wszystko przez Cornelie, nie potrafi przeżyć tego święta bez ulubionego nadzienia, na którym się wychowała. W sklepach Dean & DeLuca nie ma już indyków i w całym Nowym Jorku można je dostać tylko w delikatesach Crumirazzi.

Maxine zerka na gigantyczną plastikową torbę w ręku Rocky’ego.

– Nadzienie Squanto, autentyczny stary przepis imigrantów z Anglii.

- Używają starego białego chleba.
- Starego...
- Cudowny chleb z dawnych czasów, gdy jeszcze nie sprzedawali krojonego...
- Zaczęli to robić siedemdziesiąt lat temu, Rocky. Nie byłby spleśniały?
- Robi się twardy jak cement. Trzeba go kruszyć młotami pneumatycznymi. Dzięki temu jest w nim coś ekstra. Dlaczego stoisz w tej kolejce? Sądziłem, że lubisz indyki Butterball firmy Swift.
- Pomyślałam, że spróbuję pomóc swojej matce. Jak zwykle się pomyliłam. Popatrz na to pieprzone zoo. Karmiczne miejsce przestępstwa. Myślisz, że to się nie dostanie do jedzenia?
- W tym roku spotka się cała rodzina, co?
- Przeczytasz o tym w „Washington Post”. „Wśród osób poddanych obserwacji...”
- Hej, a twój przyjaciel z Montrealu? Felix z antyzapperem? Dajemy mu kredyt pomostowy. Spud Loiterman ma szósty zmysł, mówi, żeby w to wchodzić.
- Chcesz mnie od razu zaangażować czy zaczekać, aż Felix „dopłynie za morze”, jak to nazywa Bobby Darin?
- Tak, w porządku, pracuje jak szalony, i co z tego, kiedyś też taki byłem, potrafię kojarzyć, a zresztą kim ja właściwie jestem, żeby krytykować Deana Martina Dysonansu?

## 35

Święto Dziękczynienia nie okazało się jednak takie straszne. Może ma to coś wspólnego z jedenastym września. Przy stole zostawiono wolne miejsce, jak w czasie sederu, ale nie dla proroka Eliasza, tylko dla jednej z nieznanych dusz, które tego dnia zawiodło przeznaczenie. Otaczające dźwięki są przytłumione, pozbawione ostrości. Ernie i chłopcy oglądają coroczny maraton *Gwiezdných wojen*, Horst i Avi rozmawiają o sporcie, pokoje wypełnia zapach potraw, Ernie krząta się między jadalnią, spiżarnią a kuchnią niczym jednoosobowa armia elfów żyjących w zakamarkach drewnianego domu. Pod koniec popołudnia Maxine i Brooke osiągnęły remis w jedzeniu zingerów i nie dochodzi do śmiertelnej kłótni. Potrawy, jak zwykle, gdy szykuje je Elaine, są rodzajem podróży w czasie – indyk z delikatesów Crumirazzi, litościwie pozbawiony złej karmy, wypieki w stylu Brooke, lecz bez nadmiernej wymyślności, jest wśród nich nawet coś, co Otis w przypływie inspiracji nazywa normalnym ciastem z dyni. Ernie pije zdrowie wszystkich obecnych i unosi kieliszek z cydrem w stronę pustego krzesła.

– Za wszystkich, którzy powinni dziś świętować, ale odeszli.  
Kiedy wychodzą, Avi odciąga Maxine na bok.

- Czy twoje biuro ma jakieś tylne wejście?
- Chcesz wpaść, żeby nikt cię nie widział? Może zjedzmy gdzieś razem śniadanie?
- Hm...
- Za bardzo na widoku. Okay, zrób tak: idź za róg, jest tam brama dla samochodów dostawczych, która zwykle bywa otwarta, wejdź na dziedziniec, skręć w prawo, zobaczysz drzwi pomalowane minią, za nimi jest winda towarowa. Moje biuro znajduje się na drugim piętrze. Najpierw zadzwoń.

\* \* \*

Avi przychodzi do biura w przebraniu, ma zbyt obcisłe dżinsy, T-shirt z napisem: ALL YOUR BASE ARE BELONG TO US oraz brudnobiałą czapkę Kangol 504. Daytona patrzy ze zdumieniem i udaje, że poprawia okulary.

– Myślałam, że odwiedził nas Steve McQueen. Pani klienci stają się dla mnie za modni, pani Maxine!

– Nigdy nie spotkałaś mojego szwagra?

Avi zdejmuje czapkę, pod którą ma jarmułkę. Ostrożnie wymienia z Daytoną uścisk dłoni.

– W takim razie zaparzę mnóstwo kawy.

– Doskonale wyczucie chwili, Avi, właśnie była dostawa słodkich bułeczek.

– A tak nawiasem, dlaczego masz jeszcze biuro w tej dzielnicy? Miasto się rozrasta, znikła nawet restauracja Royale na 72nd Street.

– Sama nie wiem, jak to się dzieje. Musimy zamawiać bułeczki na 23rd Street. Proszę, usiądź i napij się kawy, dziękuję, Daytono.

– Mam tylko minutę, muszę lecieć do pracy. Mam ci przekazać wiadomość.

– Założę się, że od samego wielkiego Ice'a. Żaden z was nie mógł skorzystać z telefonu?

– Cóż, to nie wszystko. Poza tym muszę cię spytać o coś dziwnego.

– Jeśli twój szef chce mnie prosić, żebym się odczepiła od finansów hashslingrz, możesz to uznać za załatwione. Nie zajmowałam się tym od jedenastego września.

– Chyba ma dla ciebie pracę.

– Z całym szacunkiem odmawiam.

– Tak po prostu?

– Ludzie są różni, Avi, może już kiedyś pracowałam dla podejrzanych typów, ale ten twój Ice, mam nadzieję, że nie zostaliście serdecznymi przyjaciółmi, to... Jak powinnam go nazwać...?

– On też wyraża się o tobie w samych superlatywach.

– Jaką pracę mógłby mi zaproponować? Chce, żebym się rzuciła pod ciężarówkę?

– Uważa, że ktoś go okrada, ktoś w firmie.

– Och, daj spokój! I potrzebuje audytora bez certyfikatu, by wszystko wyglądało legalnie? Zdradzę ci wielką tajemnicę. Tak się składa, że ten nieuczciwy pracownik firmy to sam Ice, prawdopodobnie współpracujący z żoną, która, jak pamiętasz, jest dyrektorem finansowym. Przykro mi, że przekazuję takie

nieprzyjemne wiadomości, ale Ice okrada własną firmę od miesięcy, może lat.

– Gabriel Ice... defrauduje pieniądze?

– Tak, to wstrętne, a teraz zaczyna się skarżyć na nieuczciwych pracowników? Najstarsza sztuczka na świecie, chce zwalić wszystko na jakiegoś biednego głupka, którego nie stać na dobrego adwokata. Moja diagnoza? Klasyczne oszustwo, twój pracodawca to oszust. Ustalenie tego zajęło mi dziesięć sekund, wyślę fakturę.

– Toczy się śledztwo w jego sprawie? Zostanie oskarżony? – Avi mówi tak płaczliwym tonem, że Maxine wyciąga rękę i klepie szwagra po ramieniu.

– Nikt nie chce z tego robić sprawy kryminalnej, budzi to pewne zdziwienie na szczeblu federalnym, ale Ice ma tam przyjaciół. W którymś momencie wszystko zostanie elegancko zatuszowane, sprawa nie dotrze do sądów, nigdy nie wydobędzie się poza środowisko firm konsultingowych Waszyngtonu. Ty i ja, jako podatnicy, oczywiście coś na tym stracimy, ale kogo to w ogóle obchodzi? Twoja praca jest bezpieczna, nie martw się.

– Moja praca... Cóż, to właśnie druga sprawa.

– Och, nie jesteś zadowolony? – pyta Maxine tonem, jakim zwraca się na ulicy do nieznanomych wrzeszczących dzieci.

– Nie, nie jestem Gapciem ani Mędrkiem z *Królewny Śnieżki i siedmiu krasnoludków*. Gdyby założyć, że Nowy Jork to dom wariatów, hashslingrz jest oddziałem dla paranoików. Pomocy! Pomocy! Wrogowie! Patrzcie, są wszędzie, otaczają nas! Jak w Izraelu w zły dzień.

– Pracujesz w firmie informatycznej i ta analogia do osaczenia przez hordy oszalałych, krwiożerczych Arabów wydaje się...

Nieskoordynowane, nieco desperackie wzruszenie ramionami.

– Na pewno nie jest to złudzenie. Ktoś jest w to zaangażowany, tajemniczy tropiciele, włamania do naszych sieci komputerowych, dziwne spotkania w barach.

– W porządku. Zostawmy na razie hipotezę, że utrzymywanie wszystkich pracowników w stanie paranoi to celowa polityka firmy... A co z Brooke? Masz jakieś informacje o śledzeniu, molestowaniu, niesmacznych zachowaniach znacznie przekraczających nowojorskie standardy?

– Jest tych dwóch facetów.

– Aha... – Maxine ma nadzieję, że tym razem naprawdę zawiodła ją intuicja. – Rosyjscy hip-hopowcy?

– Zabawne, że o tym wspominasz.

*Pizdiec.*

– Posłuchaj, jeśli oni są naprawdę tymi, za kogo ich uważam, prawdopodobnie nie zamierzają zrobić nic złego.

– Prawdopodobnie.

– Nie podam ci kwoty, ale mogę zatelefonować. Zobaczą, co się dzieje, a tymczasem ty powiedz Brooke, żeby się nie martwiła.

– Tak naprawdę w ogóle jej o niczym nie mówię.

– Jesteś wspaniałą, Avi, nie chcesz jej denerwować, ma szczęście.



– Cóż, niezupełnie... Zobowiązanie do zachowania tajemnicy wyraźnie przewiduje, że nie wolno opowiadać żonom o pracy.

Kiedy Avi wychodzi, Daytona błyska paznokciami.

– Uwielbiałam cię w *Pulp Fiction*, kochany. To cytat z Biblii?  
Mm-hmmm!

\* \* \*

Okolo piątej nad ranem Maxine budzi się z irytującego, powtarzającego się subkoszmaru. Tym razem pojawia się w nim Igor i ogromna butelka wódki, na której figuruje nazwisko litewskiego koszykarza – Igor usiłuje przedstawić jej butelkę, jakby była człowiekiem. Maxine wyskakuje z łóżka i idzie do kuchni, gdzie zastaje Driscoll i Erica, jedzących swoje zwykłe śniadanie. Na stole stoi butelka napoju Mountain Dew z dwiema słomkami.

– Właśnie zamierzałam o tym wspomnieć... – zaczyna Driscoll, po czym spoglądają na siebie niczym para muzyków country na benefisie i zaczynają śpiewać starą piosenkę *Moving on out* z sitcomu *Jeffersonowie*.

– Zaczekaj, nie „na East Side”.

– Tak naprawdę do Williamsburga – mówi Eric.

– Wszystko zaczęło się w Brooklynie. Czujemy się jak ostatni weterani Alei Krzemowej.

– Miejmy nadzieję, że nie zrobiliśmy nic złego.

– To nie wy, to Manhattan – wyjaśnia Driscoll. – Nie jest już taki jak dawniej, może zauważyliście.

– Chciwość – dodaje Eric. – Można by pomyśleć, że upadek wież stanie się resetem dla Nowego Jorku, rynku nieruchomości, Wall Street, szansą, by zacząć wszystko od początku. A tymczasem jest gorzej niż przedtem.

Wokół nich Miasto, Które Nigdy Nie Śpi, znów zaczyna nie spać. W oknach po przeciwnej stronie ulicy zapalają się światła. Słychać niezadowolone wrzaski pijaków, którzy wyszli na dwór długo po zamknięciu sklepów. Trochę dalej rozlega się alarm samochodu, wypełniając przestrzeń piskliwymi dźwiękami. W bocznych zaułkach krążą z rykiem ciężkie maszyny budowlane, by zaparkować pod oknami ludzi na tyle nieostrożnych, że ciągle leżą w łóżkach. Ptaki, które okazały się tak głupie lub uparte, że nie opuściły Nowego Jorku przed nadciągającą zimą, zaczynają dyskutować, dlaczego nie rozpoczęły jeszcze ptasiej psychoterapii.

Maxine parzy kawę i spogląda z żalem na własną parę przelotnych ptaków.

– Będziecie mieszkać w Brooklynie razem czy osobno?

– Tak – odpowiadają jednocześnie Eric i Driscoll.

Maxine zerka na sufit.

– Przykro mi, ale nie rozumiem. Tak razem czy tak osobno?

– Geeki lubią dwuznaczności – wyjaśnia Driscoll.

\* \* \*

Przed przyjściem Maxine do pracy kilkakrotnie dzwonił Windust, spanikowany, mówiący wulgarnym językiem. Daytona jest dziwnie rozbawiona.

– Przepraszam, że musiałaś z nim rozmawiać. Mam nadzieję, że nie robił rasistowskich uwag?

– Może nie on, ale...

– Och, Daytono... – Maxine odbiera następny telefon. Windust naprawdę wydaje się wytrącony z równowagi. – Uspokój się, głośnik mi wysiada od twoich krzyków.

– Ta kurewska, destrukcyjna, nieodpowiedzialna suka, co ona sobie właściwie myśli?! Czy wie, ilu ludzi naraziła na niebezpieczeństwo?!

– Ona...

– Wiesz, o kim mówię, do cholery! Czy miałaś z tym coś wspólnego, Maxine?

– Wspólnego...

Maxine nie może nic na to poradzić, wściekłość Windusta sprawia jej przyjemność. W końcu udaje jej się nakłonić go, by powiedział, o co chodzi. Wygląda na to, że March Kelleher w końcu opublikowała w internecie film Rega z dachu Deseret. Cóż, dzięki za pomoc, March, najwyższy czas.

– Zaczekaj, popatrzę na to.

March (Maxine potrafi sobie wyobrazić złośliwy błysk w jej oczach) usiłuje się zachowywać z klasą. „Wielu z nas potrzebuje uspokajającej historyjki o złych islamistach i ich wspólnikach, rozpowszechnianej przez «The New York Times». Biedna, biedna Ameryka, dlaczego ci źli cudzoziemcy tak nas nienawidzą, czy obrona naszej wolności musi prowadzić do ograniczenia wolności? Pomyślcie o wszystkich działkach nadających się do zabudowania, gdzie wszystko już wyburzono. Jeśli jednak jesteście zainteresowani narracjami

alternatywnymi, kliknijcie na ten link, by obejrzeć film wideo przedstawiający grupę ludzi ze stingerem, na dachu jednego z budynków Manhattanu. Rozważcie wszelkie teorie, niekiedy sprzeczne ze sobą. Stwórzcie własne”.

Tak naprawdę zaproszenia nie są potrzebne. W internecie trwa karnawał z udziałem tysięcy paranoików i trolli, zalew komentarzy, których nikt nie byłby w stanie przeczytać aż do końca wszechświata, choć część zostaje skasowana z powodu wykroczeń przeciwko etykietce. Do tego dochodzą domowe filmy i ścieżki audio, w tym sepleniące oświadczenie rzecznika prasowego Deseret, Seamusa O’Vowteya: „Nasz budynek ma najlepsze zabezpieczenia w Nowym Jorku. Musiał w tym uczestniczyć ktoś, kto współpracował z którymś z lokatorów”.

– Och, co za idiota! – mówi nieco nieszczercze Maxine.

– To nie znaczy, że...

– Nie, chodzi o to, że dotarcie do głównej bramy zajęło mi kilka lat, aż tu nagle na dach dostała się cała grupa ze stingerem.

– Domyślam się, że nie ma sensu prosić March, by zdjęła ten film?

– W internecie jest już milion kopii.

– Posrało się. Mam kłopoty, muszę się ukrywać, zakradam się jak złodziej do własnego domu, ostatnio kontaktowałam się z Dotty w środku nocy, mówiła, że na ulicy stoją nieoznakowane furgonetki, teraz zupełnie nie mogę się do niej dodzwonić i nie mam pojęcia, kiedy ją zobaczę.

– Skąd dzwonicz? Słyszę w tle ludzi rozmawiających po chińsku?

- Jestem w Chinatown.
- Ach.
- To problem. Chyba nie możesz się tu ze mną spotkać.
- Nie? – O co chodzi, kurwa?! – Właściwie po co mam się z tobą spotkać?
- Przestały działać wszystkie moje karty do bankomatów.
- Przepraszam, czy to znaczy, że chcesz pożyczyć pieniądze? Ode mnie?
- Nie użyłbym słowa „pożyczyć”, bo to zakłada istnienie przyszłości, kiedy będę mógł oddać dług.
- Zaczynasz mnie trochę przerażać.
- Dobrze. Czy mogłabyś przywieźć trochę forsy, żeby mi starczyło na powrót do Waszyngtonu?
- Tak, widziałam ten film. Grała cię Elizabeth Taylor?
- Wiedziałem, że to powiesz.

Teraz, kiedy Maxine jedzie w stronę centrum miasta, w jej mózgu dźwięczą dzwonki alarmowe: „Nie pomagaj bydlakom!”. Ten gość nie zasługuje na litość, Maxine, najlepiej go zostaw, niech się pieprzy. Nie ma forsy, ho-ho – biorąc pod uwagę zestaw jego umiejętności, napad na sklep spożywczy nie powinien kosztować go wiele trudu, najlepiej w New Jersey, w połowie drogi do Waszyngtonu. No więc oczywiście Maxine pędzi do niego z walizką pełną dolarów. Jednak związek przyczynowo-skutkowy jest godny przeanalizowania. March publikuje film, Windust musi uciekać, a jego pieniądze zostają zamrożone. Wnioski nasuwają się same – jeśli Windust nie dowodził całą operacją na dachu Deseret, musiał być przynajmniej szefem ochrony i spieprzył sprawę. Każdy

człowiek z dostępem do internetu, każdy płaczliwy cywil może teraz zobaczyć to, co Windust powinien utrzymać w tajemnicy. Czy zatem jest coś dziwnego w tym, że spotkała go poważna, może nawet śmiertelnie poważna kara?

Maxine obserwuje na wyświetlaczu GPS, jak w ślimaczym tempie jedzie przez Manhattan, i snuje bezproduktywne myśli. Indianie amerykańscy uważają, że jeśli ktoś ocali komuś życie, staje się za niego na zawsze odpowiedzialny – jest to rodzaj przekleństwa. Odrzucając zwariowane teorie, że Indianie to zagubione plemiona Izraela i tak dalej, czy przed wielu laty Maxine, nieświadomie, uratowała życie Windustowi, a teraz niewidzialna biurokracja przeznaczenia przekazuje jej komunikat – potrzebuje cię, więc idź!

Dostrzega Windusta pod markizą, z kilkoma Chińczykami. Czekają na autobus, a w pobliżu wznosi się Most Brookliński. Maxine obserwuje ich przez minutę z przeciwnej strony ulicy, po czym zdaje sobie sprawę, że ludzie stojący po obu stronach Windusta rozmawiają ze sobą za jego pośrednictwem. Ten wieczny spryciarz wydaje się tłumaczyć ich rozmowę z jednego dialektu chińskiego na inny. Zauważa, że Maxine na niego patrzy, kiwa głową i unosi dłoń. Zostań na miejscu. Przechodzi przez jezdnię i zbliża się do Maxine. Nie wygląda dobrze. Wydaje się zdenerwowany.

– W samą porę. Wydałem ostatnie pieniądze na autobus do Waszyngtonu.

– Jest tu gdzieś dworzec autobusowy?

– Okazja złapana na ulicy, oszczędności przekazane kierowcy, najlepszy interes stulecia, jesteś Żydówką, dziwię się,

że nigdy o tym nie słyszałaś.

– Twoja koperta.

Zamiast liczyć banknoty jak normalny człowiek, Windust szybkim, wyćwiczonym ruchem waży kopertę w dłoni: z czasem każdy zawodowy poborca haraczów zaczyna to robić automatycznie.

– Dziękuję, aniołku. Nie wiem, kiedy...

– Zwrócisz, jak będziesz mógł, najlepiej daj mi coś, czego nie będę musiała deklarować jako dochód. Może jakaś drobnostka z parteru u Tiffany’ego... nie, zaraz, jak ona ma na imię, Dotty? Nie, na pewno nie chcesz, żeby się dowiedziała.

Windust przypatruje się Maxine.

– Kolczyki. Proste, z brylantami. Jeśli upniesz włosy...

– Tak naprawdę lubię kolczyki w stylu Eurowire. – Maxine zastanawia się, czy nie dodać: „Czy to nie ohydne?”, gdy nagle nadlatuje pocisk, niewidzialny, cichy, po czym trafia z trzaskiem w ścianę, odbija się rykoszetem i podąża w głąb Chinatown. Windust chwytą Maxine i wciąga ją za duży kontener z gruzem budowlanym. – O kurwa! Czy ktoś...

– Zaczekajmy chwilę – mówi Windust. – Nie jestem pewien kąta, pocisk mógł nadlecieć z dowolnego miejsca. Strzelec może być w każdym z tych okien. – Wskazuje górne kondygnacje okolicznych budynków. Zauważają, że w chodniku pojawia się nagle kilka dziur. Ludzie po drugiej stronie ulicy niczego nie dostrzegają. W dali rozlega się powolny terkot, niesiony wiatrem. – Spodziewałem się serii po trzy strzały. To wygląda bardziej jak kałasznikow. Nie wychylaj się.

– Nie wiedziałam, że powinnam nosić kamizelkę kuloodporną.

– Wśród twoich przyjaciół z rosyjskiej mafii dystans oznacza szacunek, więc powinniśmy traktować próbę zamachu za pomocą AK-47 jako zaszczyt.

– Daj spokój, to jakieś brednie.

– Za piętnaście sekund zamierzam zniknąć i zająć się swoimi sprawami. – Windust zerka na zegarek. – Posiedź tu przez jakiś czas, a potem odejdz.

– Świetnie, myślałam, że chwycisz mnie za rękę i gdzieś pobiegniemy, jak w filmie. Chińczycy będą odskakiwać w obie strony. A może powinnam być blondynką? – Maxine spogląda na okna na górnych piętrach, sięga do torebki, wyjmuje berettę i odbezpiecza pistolet.

– Dobrze. – Windust kiwa głową, jakby była już pora na użycie broni. – Możesz mnie osłaniać.

– Tamto otwarte okno, jak sądzisz? – Żadnej odpowiedzi. Windust zniknął. Maxine wychodzi na czworakach zza kontenera, po czym strzela kilkakrotnie do okna, krzycząc: – Skurwysyny!

Wielkie nieba, Maxine, skąd właściwie padły strzały?! Nikt nie odpowiada na ogień. Ludzie stojący na przystanku autobusowym zaczynają wskazywać Maxine i wymieniać uwagi. Maxine obserwuje ruch uliczny, czekając na pojawienie się dostatecznie wysokiego pojazdu, by się za nim ukryć. Po chwili nadjeżdża ciężarówka ze stylizowanym na alfabet hebrajski napisem: PRZEPROWADZKI MICWA oraz



komiksowym obrazkiem przedstawiającym zwariowanego rabina z fortepianem na plecach. Maxine odchodzi.

Cóż, jak mawiał Winston Churchill, nie ma nic bardziej porywającego niż chwila, gdy ktoś do ciebie strzela, lecz pudłuje. Jednak po kilku godzinach Maxine przeżywa kryzys – po przyjeździe do szkoły Kugelblitza spotyka na ganku kilka mam z Upper West Side, które specjalizują się w wyłapywaniu oznak nerwowości u innych. Nie mdleje, zalana łzami, ale trzęsą się jej kolana i czuje dziwną lekkość w głowie...

– Wszystko w porządku, Maxine? Wyglądasz tak... niezwykle.

– Po prostu trudny moment, Robyn, a ty?

– Mam urwanie głowy z bar micwą Scotta, nie masz nawet pojęcia, mnóstwo pracy, przygotowanie potraw, didżej, zaproszenia, a Scott, ciągle uczy się na pamięć *alija*, hebrajski zupełnie mu nie idzie, zaczęliśmy się martwić, czy nie jest dyslektyczny?

– Cóż – odpowiada Maxine najbardziej racjonalnym tonem, na jaki potrafi się w tej chwili zdobyć. – Dlaczego nie zrezygnować z Tory i nie wybrać fragmentu, czy ja wiem, powieści Toma Clancy'ego? Niezbyt zgodne z tradycją, to prawda, pewnie nawet nie żydowskie, ale jest w tym coś z Dinga Chaveza? – Maxine zauważa, że Robyn patrzy na nią dziwnym wzrokiem, a inne mamy zaczynają się odsuwać. Na szczęście w tym momencie z budynku wybiegają dzieci i Maxine w odruchu codziennej rutyny idzie z Ziggyem i Otisem na ulicę. Nagle zauważa Nigela Shapiro, który stuka niewielkim pisakiem w mikroskopijną klawiaturę fioletowo-zielonego

kieszonkowego urządzenia o falistych kształtach. Nie wygląda ono na Game Boya. – Co to jest, Nigel?

– To komputer Cybiko – odpowiada po chwili Nigel, unosząc oczy. – Dała mi go siostra. Mają je wszyscy w szkole La Guardia, największa zaleta to bezgłośnie działanie. Jest bezprzewodowy, można wysyłać w klasie SMS-y i nikt niczego nie słyszy.

– A więc gdybym miała Cybiko, a Ziggy drugi egzemplarz, moglibyśmy do siebie bez przerwy esemesować?

– Pod warunkiem że bylibyście w zasięgu, czyli nie dalej niż jakieś półtorej przecznicy od siebie. Ale niech mi pani wierzy, Cybiko to przyszłość.

– Domyślam się, że chciałbyś mieć takie urządzenie, Ziggy?

– Już je mam, mam.

Ma je Ziggy i Bóg jeden wie, kto jeszcze. Maxine przez chwilę porusza brwiami. Czy tak wyglądają teraz prywatne sieci?

\* \* \*

Telefon w biurze wygrywa miłą mechaniczną melodyjkę i Maxine podnosi słuchawkę. To Lloyd Thrubwell, wyraźnie roztrzęsiony.

– Sprawa, o którą pani pytała? Bardzo mi przykro. Nie mogę nic więcej zrobić.

Chwileczkę, muszę zajrzeć do słownika waszyngtońsko-angielskiego...

– Kazano panu się wycofać, tak?

– Ta osoba była tematem wewnętrznego memorandum, nawet kilku. Nie mogę nic więcej powiedzieć.

– Prawdopodobnie pan słyszał, że wczoraj strzelano do mnie i do Windusta.

– Jego żona czy pani mąż? – Rozbawienie w głosie.

– Traktuję to jako metaforyczny sposób wyrażenia myśli: „Dzięki Bogu, że nic się wam nie stało”.

Przytłumiona wymiana zdań.

– Chwileczkę, przepraszam, oczywiście to poważna sprawa. Już ją badamy. – Chwila ciszy; analizator stresu Aviego wyraźnie wskazuje przekroczenie poziomu bezczelnego kłamstwa. – Czy macie jakieś teorie na temat tożsamości strzelca?

– Windust narobił sobie mnóstwo wrogów w czasie swojej długiej kariery, gdy odwałął brudną robotę dla swojego kraju, to bez sensu, o rany, Lloyd, szczerze mówiąc, uważam, że zastanawianie się nad tym byłoby mordęgą.

Fala cichego chichotu.

– Żaden problem. Jeśli ma pani jakiś kontakt z figurantem, nawet niebezpośredni, stanowczo odradzamy jego podtrzymywanie. – Wyświetlacz urządzenia Aviego przybrał odcień intensywnej kadmowej czerwieni i zaczął mrugać.

– Nie chcecie, żebym się wtrącała w interesy agencji czy chodzi o coś innego?

– O coś innego – szepce Lloyd.

Dźwięk tła się zmienia. Ktoś podnosi słuchawkę drugiego telefonu i rozlega się inny głos, którego Maxine nigdy przedtem nie słyszała, przynajmniej na jawie.

– Lloydowi chodzi o pani osobiste bezpieczeństwo, pani Loeffler. Naszym zdaniem brat Windust to człowiek bardzo wykształcony, ale nie wie wszystkiego. W porządku, Lloyd, możesz się już rozłączyć.

W słuchawce zapada cisza.

## 36

Któregoś dnia w czasie świąt Maxine chciałaby obejrzeć w telewizji rewizjonistyczną wersję *Opowieści wigilijnej* Dickensa, gdzie dla odmiany Scrooge jest bohaterem pozytywnym. Wiktoriański kapitalizm przez wiele lat niszczył mu duszę, zmieniając niewinnego, naiwnego chłopca w podłego starucha, traktującego wszystkich jak śmieci, zwłaszcza swojego rzekomo uczciwego księgowego Boba Cratchita, który w rzeczywistości systematycznie okrada biednego, prześladowanego, bezbronnego Scrooge'a. Cratchit fałszuje księgi i od czasu do czasu jeździ do Paryża, by trwonić zdefraudowane pieniądze na szampana, karty i kankanistki, gdy tymczasem mały Tim i rodzina głodują w Londynie. W końcu to nie Bob jest instrumentem odkupienia Scrooge'a, lecz okazuje się, że dzięki Scrooge'owi Bob staje się znowu uczciwym człowiekiem.

Co roku, gdy zbliża się Boże Narodzenie i święto Chanuka, ta historia zaczyna nabierać kształtu. Maxine łapie się na tym, że odwraca bieguny, nie zwracając uwagi na oczywistych Scrooge'ów i koncentrując się na Cratchitach, sekretnych grzesznikach. Niewinni są winni, a dla winnych nie ma nadziei,

wszystko stoi na głowie, istne święto Trzech Króli późnokapitalistycznych sprzeczności, co nie przynosi ulgi.

Maxine, Horst i chłopcy wysłuchali już tysiąc razy, jak ktoś z ogromnym uczuciem wygrywa za oknem na trąbce *Rudolfa czerwono-nosego renifera*. Każde wykonanie jest absolutnie identyczne, zgadza się każda nuta. W końcu dochodzą do wniosku, że słuchanie tej muzyki jest – cóż za wyrażenie! – kurewsko męczące, postanawiają zrobić sobie przerwę i jadą na dworzec autobusowy Port Authority, gdzie znajduje się ostatnia wolna od yuppie kręgielnia w Nowym Jorku.

Na dworcu, gdy idą na piętro, wśród tłumu podróżnych, prostytutek, złodziejasków, ludzi podglądających, jak inni wpisują hasła do komputerów, i policyjnych wywiadowców po cywilnemu, Maxine zauważa sprężystego mężczyznę dźwigającego gigantyczny plecak, być może zmierzającego do jakiegoś kraju, który nie ma umowy ekstradycyjnej ze Stanami Zjednoczonymi.

– Zaraz do was przyjdę. – Przepycha się przez tłum i uśmiecha się miło. – Felix Boïngueaux, *ça va*, wracasz do Montrealu, prawda?

– O tej porze roku, zwariowałaś?! Jadę tam, gdzie jest słońce, tropikalny wiatr, dziewczyny w bikini.

– Na pewno jakiś zaprzyjaźniony kraj karaibski.

– Nie, tylko Floryda, dziękuję, i wiem, co myślisz, ale to już przeszłość. Jestem teraz szanowanym biznesmenem, opłacam pracownikom ubezpieczenie zdrowotne i tak dalej.

– Słyszałam, że Rocky zebrał dla ciebie kapitał, gratulacje. Nie widziałam cię od Kotylionu Geeków, pamiętam, że długo

dyskutowałeś z Gabrielem Ice'em. Udało ci się coś załatwić?

– Niewielką robótkę w charakterze konsultanta.

Nic wstydliwego. Felix został zatrudniony przez człowieka, który mógł zabić jego dawnego współnika. Może zawsze był zatrudniony.

– Coś ci powiem, mam tabliczkę ouija do porozumiewania się z duchami i zapytam Lestera Traipse'a, co o tym sądzi. Kiedyś zasugerowałeś w rozmowie ze mną, że wiesz, kto załatwił Lestera.

– Żadnych nazwisk. – Nerwowe spojrzenie. – Chciałabyś, żeby to było nieskomplikowane, ale tak naprawdę nie jest.

– Tylko jedno: absolutna szczerłość, okay? – Maxine patrzy, czy Felix nie odwraca nerwowo wzroku, ale z tym gościem nie można na to liczyć. – Czy po zamordowaniu Lestera podejrzewałeś kiedyś, że ktoś próbuje cię załatwić?

Podstępne pytanie. Jeżeli Felix zaprzeczy, przyzna w ten sposób, że ktoś go chroni, po czym Maxine zapyta: „Kto?”. Jeśli potwierdzi, istnieje możliwość, że przedstawi dowody – mogą one być bardzo kompromitujące, gdyby cena okazała się odpowiednia. Felix stoi i zastanawia się nad tym wszystkim, niczym przenośny pojemnik na poutine, wśród tłumów turystów, fałszywych Świętych Mikołajów, dzieci w szelkach, pijanych ofiar imprez biurowych w porze lunchu, ludzi dojeżdżających do pracy, którzy spóźnili się wiele godzin lub przybyli wiele dni za wcześnie.

– Kiedyś zostaniemy przyjaciółmi. – Felix chwyta plecak. – Przyrzekam.

– Czekam na tę chwilę. *Bon voyage*. Wypij mrożony koktajl Mai Tai na pamiątkę Lestera.

– Kto to był, mamusiu?

– Ten? Ach, jeden z elfów Świętego Mikołaja, przyjechał w interesach z Montrealu, który jest regionalnym centrum działalności w rejonie bieguna północnego, ten sam klimat i tak dalej.

– Elfy Świętego Mikołaja nie istnieją – mówi Ziggy. – Tak naprawdę...

– Zamknij się! – mruczy Maxine

– Dość tego! – dodaje jednocześnie Horst.

Wygląda na to, że przemądrzałe nowojorskie dzieci, z którymi przyjaźnią się Otis i Ziggy, twierdzą, że Święty Mikołaj nie istnieje.

– Nie wiedzą, o czym mówią – odzywa się Horst.

Chłopcy spoglądają z powątpiewaniem na ojca.

– Masz czterdzieści, pięćdziesiąt lat i ciągle wierzysz w Świętego Mikołaja?!

– Tak, wierzę, a jeśli to żalosne miasto jest zbyt głupie, by sobie z tym poradzić, może sobie wszystko wsadzić w... – rozgląda się teatralnie – ...dupę, która ostatnio znajdowała się gdzieś na Upper East Side, jeśli dobrze pamiętam.

Kiedy docierają do kręgielni Leisure Time Lanes, wkładają buty sportowe, oglądają menu ze spisem smażonych potraw i tak dalej, Horst wyjaśnia, że rodzice, tak jak klony Świętego Mikołaja na rogach ulic, są również reprezentantami Świętego Mikołaja, działającymi w jego zastępstwie.



– Im bliżej Bożego Narodzenia, tym więcej zastępców. W tej chwili na biegunie północnym nie prowadzi się już produkcji, elfy stopniowo przestały pracować w warsztatach i zajęły się marketingiem oraz dystrybucją, zbierają zamówienia na zabawki i przekazują je do filii terenowych. Prawie wszystkie transakcje załatwia się teraz w Santanecie.

– W czym? – pytają Ziggy i Otis.

– Hej, wszyscy bez problemu wierzą w internet, który tak naprawdę jest magią, prawda? Dlaczego nie wierzyć w prywatną wirtualną sieć, w której prowadzi się interesy Świętego Mikołaja? Na końcu i tak są prawdziwe zabawki, prawdziwe prezenty dostarczane rankiem w Boże Narodzenie, więc co to za różnica?

– A sanie i renifery? – pyta Otis.

– Opłacają się tylko w rejonach pokrytych śniegiem. Tymczasem planeta się ociepla i coraz ważniejsze stają się rynki Trzeciego Świata. Kwatera główna na biegunie północnym zaczyna zlecać dostawy lokalnym firmom.

– Można się zalogować do tego Santanetu? – drąży nieustępliwie Ziggy.

– Dzieci nie mają tam wstępu. – Horst nie chce zmieniać tematu. – Przecież w tej chwili nie wolno wam oglądać także filmów o piratach, prawda?

– Co takiego?

– Filmów o piratach? Czemu?

– Bo są dozwolone od osiemnastu lat. Posłuchajcie, czy któryś z was mógłby mi pomóc zaprogramować tablicę z punktacją? Wszystko mi się poplątało...

Chętnie pomagają Horstowi, ale Maxine rozumie, że spokojna atmosfera świąt jest tylko tymczasowa.

\* \* \*

Skontaktowanie się z March Kelleher staje się coraz trudniejsze. Żaden z portierów St. Arnold w ogóle o niej nie słyszał, jej numery telefonów nie uruchamiają już automatycznej sekretarki, po prostu dzwonią w nieskończoność. Według bloga zainteresowanie policji oraz prywatnych agentów osiągnęło alarmujące rozmiary, toteż co rano March musi szybko pakować swoje rzeczy, wskakiwać na rower i przenosić się gdzie indziej – stara się nie spać w tym samym miejscu przez kilka nocy z rzędu. Ma sieć przyjaciół, którzy z przenośnymi komputerami jeżdżą po Nowym Jorku na rowerach i dostarczają jej adresy darmowych hotspotów Wi-Fi, a March stara się nie używać zbyt często tych samych. Nosi małego iBooka o barwie limonki i loguje się do internetu, gdy znajduje darmowy punkt dostępu.

„Czuję się bardzo dziwnie – przyznaje w jednym z postów na blogu. – Ciągłe ich wyprzedzam o kilka kroków, ale nigdy nie wiadomo, czym dysponują, jakie nowinki techniczne mają do dyspozycji, kto dla nich pracuje, a kto nie pracuje. Nie zrozumcie mnie źle, uwielbiam nerdów, w innym życiu byłabym ich fanką, ale nawet nerdów można kupić i sprzedać: czasy wielkiego idealizmu niosą ze sobą równie wielkie prawdopodobieństwo korupcji”.

„Po atakach jedenastego września – pisze pewnego ranka March – pośród chaosu i zamętu, w historii Ameryki otworzyła się dziura, pustka odpowiedzialności, w której zaczęli znikać ludzie i pieniądze. W czasach hipisowskiej prostoty ludzie obwiniali CIA albo «tajne, nielegalne operacje». Ale ten wróg jest nowy, bezimienny, niemożliwy do powiązania z żadną organizacją ani źródłem finansowania, kto wie, może nawet budzi przerażenie CIA. Może jest niepokonany, może istnieją sposoby obrony.

Potrzebujemy kadry oddanych wojowników, gotowych poświęcić czas, pieniądze, osobiste bezpieczeństwo. Muszą stworzyć stowarzyszenie, organizację złożoną z mężczyzn i kobiet, którzy zaangażują się w niepewną walkę, mogącą trwać przez kilka pokoleń i mimo wszystko zakończyć się całkowitą klęską”.

March zwariowała, myśli Maxine, to manifest w stylu zakonu Jedi. A może przemówienie wygłoszone zeszłego lata na zakończenie roku w szkole Kugelblitza było tak naprawdę prorocstwem, które właśnie się sprawdza? Maxine wie, że March śpi teraz w parku, a jej rzeczy znajdują się w reklamówkach delikatesów Zabar. March ma długie, zmierzwione, siwe włosy, nie kąpie się w ciepłej wodzie, myje twarz w strugach zimowego deszczu. Jak bardzo Maxine ma się czuć winna z powodu przekazania jej wideo Rega?

\* \* \*

Pewnego ranka pojawia się Vyrva, po odprowadzeniu dzieci do szkoły. Nie chodzi o to, że między nią a Maxine pojawił się chłód. Jedną z głównych reguł świata śledztw w sprawie oszustw głosi, że w każdą sobotę każdy może grać w kanastę z każdym, lecz tak naprawdę najważniejsza jest punktacja zapisana na kartce.

Vyrva wsadza nos do filizanki z kawą i oznajmia:

– To się w końcu stało. Rzucił mnie.

– Cóż, nędzny szczur...

– Hm, trochę go sprowokowałam.

– A on nie...

– Czy zemścił się za to, że kod źródłowy DeepArchera stał się publicznie dostępny? Do licha, nie, szaleje z radości, dostał go za darmo, co oszczędziło mu wydatku na zakup praw, po którym Fiona, Justin i ja moglibyśmy zamieszkać w dwunastopokojowym apartamencie w Nowym Jorku.

– Naprawdę? – Nieruchomości, czyli powrót do zdrowia psychicznego. – Rozglądaliście się za czymś takim?

– Sama się tym zajmowałam. Oczywiście musiałam przekonać Justina, tęskni za Kalifornią.

– A ty nie.

– Pamiętasz film *Lawrence z Arabii* (1962), Anglik wyjeżdża na pustynię, nagle zdaje sobie sprawę, że to jego ojczyzna?

– A ty pamiętasz film pod tytułem *Czarnoksiężnik z Krainy Oz* (1939), w którym...

– W porządku, w porządku. Ale w tej wersji Dorotka bardzo się angażuje w budownictwo mieszkaniowe Szmaragdowego Grodu...

– Po niestosownym związku z Czarnoksiężnikiem.

– Który i tak ze mną skończył, dał mi kopa. Jestem kobietą upadłą, żyję ze swoją winą, tak, jestem wolna, wolna, mówię ci!

– Więc skąd ta mina? – Raz do roku Maxine pozwala sobie udawać Howarda Cosella i dziś przyszedł na to czas. – Toniesz we łzach, Vyrvo.

– Och, Maxi, czuję się taka absolutnie, jak to powiedzieć, wykorzystana?

– Dlaczego, jesteś naprawdę ładną dziewczyną, przynajmniej gdy się nie mażesz. A jeśli nie była to tylko intryga biznesowa, jeśli rzeczywiście cię pożądał? – Czy Maxine naprawdę to mówi? – Po prostu pożądał, szczerze i autentycznie, przez cały czas.

Po tych słowach Vyrva zaczyna krzyczeć:

– Słodki kochaś! Powiedziałam mu, żeby się odpieprzył! Zraniłam go, jestem cholerną suką...

– Coś ci doradzę. – Maxine wyciąga rolkę papierowych ręczników. – Mam w tym doświadczenie. Pochłaniają łyzy lepiej od chusteczek higienicznych, nie trzeba zużywać tak wielu, łatwiej później posprzątać.

\* \* \*

Daytona sprawia wrażenie, jakby podjęła jakieś noworoczne zobowiązanie. Przez chwilę przestaje się zachowywać jak Murzynka z komedii.

– Pani Loeffler?

– Ach... – Maxine się rozgląda, w pobliżu mogą się czać ludzie marzący o zemście, komornicy, gliniarze.

– Nie, chodzi tylko o sprawę Ehblera-Cohana. Dziwny plan emerytalny. Ukrywali to w arkuszu kalkulacyjnym. Sama popatrz.

Maxine patrzy.

– W jaki sposób...

– Po prostu miałam szczęście. Przypadkiem zdjęłam okulary, wszystko się rozmazało, aż nagle zauważyłam schemat. Za dużo tych cholernych pustych komórek.

– Wytłumacz mi to jak idiotce. Nie mam pojęcia o arkuszach kalkulacyjnych. Excel to dla mnie rozmiar T-shirtu.

– Spójrz. Trzeba rozwinąć „Narzędzia”, kliknąć na „Tryb inspekcji formuł”, co pozwala odczytać formułę komórki, a potem... Kapujesz?

– Ach! Rany! – Maxine śledzi operacje Daytony. – Świetnie! – Kiwa aprobująco głową, jakby uczestniczyła w pokazie gotowania. – Dobra robota, nigdy bym na to nie wpadła!

– Cóż, zajmowałaś się różnymi rzeczami, więc pozwoliłam sobie...

– Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś? Nie gniewaj się, że pytam.

– W szkole wieczorowej. Przypuszczałaś, że chodzę na odwyk? Cha, cha! Zapisalam się na kurs księgowości. W przyszłym miesiącu mam egzamin na licencję.

– Cudownie, Daytono! Dlaczego trzymałaś to w takiej tajemnicy?

– Nie chciałam, żebyś myślała: *Wszystko o Ewie* i różne takie gówna.

\* \* \*

Nadchodzi i mija Boże Narodzenie. Nie jest to może święto Maxine, ale Horst i chłopcy przywiązują do niego dużą wagę, i w tym roku Maxine z mniejszym wysiłkiem zachowuje się jak wzorowa żona i matka, choć zgodnie z przewidywaniami, na dzień przed świętami wpada w rozpacz, kupując prezenty w domu towarowym Macy's. Jest północ, ma kompletny mętlik w głowie, spaceruje po półpiętrze i nie jest w stanie niczego wybrać, gdy wtem ktoś przyjacielsko klepie ją w ramię. Aaaach, doktor Itzling! Jej dentysta! Oto, do czego doszło!

W świątecznym oszołomieniu pojawiają się aromaty mające swoje źródło w weekendowych ćwiczeniach kulinarnych, przepis Horsta na tradycyjny ajerkoniak, prawdopodobnie toksyczny, oraz parada przyjaciół i krewnych, w tym odległego kuzyna Horsta, który zawsze zaczyna opowiadać dowcipy o obrzezaniu. Jest także *Boże Narodzenie Transformersów* w Radio City Music Hall, z Optimusem Primalem, Rhinoxem, Cheetorem oraz gangiem, który pomaga szkole średniej w organizacji świąt, śpiewając kuplety jako zwierzęta w stajence. Wczesnym rankiem chłopcy, których ogarnął przesyt, siedzą wśród stosów papieru do pakowania i kartonów, z których wyjęto platformówki, figurki postaci z gier, płyty DVD, wyposażenie sportowe, ubrania mogące się przydać albo nie.

W tym samym czasie zdarzają się dziwne chwile rozluźnienia, zastrzeżone dla bardziej widmowych odwiedzin osób, które nie mogą się pojawić ani nigdy się nie pojawią – wśród nich Nicka Windusta, w typowy sposób niespokojnego i dalekiego od wesołości. Nie wypowiada ani słowa, ale dlaczego miałby to robić? Gdzieś daleko, w nomadnim polu obojętności, ktoś spienięża walory, które sprawiły, że jego dawni koledzy się wściekli, mogli mu nawet pożyczyć jako niepotrzebny artefakt trochę życia na kredyt, i jedzie w chińskim autobusie w przyszłość nieprecyzyjnych harmonogramów i ograniczonych możliwości. Jak dawno to trwa?

– Nick.

Milczy, gdziekolwiek jest. W tej chwili to kolejna amerykańska owca, której ślad zgubili pasterze, gdzieś w górach, nad zrujnowaną godziną, uwięziona na szczycie podczas burzy.

\* \* \*

W poniedziałek po świętach znów rozpoczyna się nauka w szkole Kugelblitza. Horst i Jake Pimento jadą do New Jersey, szukając biura do wynajęcia. Maxine powinna się przespać z godzinę albo iść do pracy, ale wie, gdzie powinna być, i gdy wszyscy wychodzą z domu, zaparza dwanaście filiżanek kawy, siada przed monitorem, loguje się i uruchamia DeepArchera.

Upublicznienie kodu źródłowego wywołało pewne zmiany. Roi się tam w tej chwili od spryciarzy, yuppie, turystów i idiotów, którzy piszą programy zawierające to, co chcieliby



przeżyć, a następnie je instalują, po czym inni wariaci natykają się na nie i je deinstalują. Maxine nie ma pojęcia, co napotka.

Na ekranie pojawia się pustynia, szczególnie pustynia. Pusta tak, jak w bardziej niewinnej epoce roiły się od ludzi dworce kolejowe i porty kosmiczne. Nie ma tu żadnych udogodnień dla członków klasy średniej, oprócz strzałek nakazujących obserwację widnokregu. Kraina adeptów sztuki przetrwania. Ruchy są wyraźne, każdy piksel wykonuje swoją pracę, promienie padające z góry generują kolory zbyt niebezpieczne dla kodu heksadecymalnego, słychać szum pustynnego wiatru. To właśnie tutaj Maxine musi odnaleźć drogę, przeszukując pustynię, która nie jest tylko pustynią, by odnaleźć niewidzialne, nieokreślone linki.

Nie jest jeszcze zdesperowana i rusza naprzód, przybliżając obrazy, rozglądając się, przez wydmy i koryta wyschniętych potoków, głęboką czystość pokrytą delikatnymi osadami substancji mineralnych, wśród kamieni i skalistych grzbietów, po pustych płaszczyznach, gdzie nigdy nie pojawia się Omar Sharif wyjeżdżający konno z fatamorgany. Powinna to być tylko kolejna gra komputerowa stworzona dla socjopatycznych nastolatków, lecz nie jest to strzelanka, przynajmniej na razie, nie ma akcji, nie ma żadnych informacji o celu wędrówki, żadnej instrukcji, którą można by przeczytać, żadnych podpowiedzi. Czy bohater tej gry ma wieleżyć? Czy ma choćby jedno?

Maxine zatrzymuje się, słysząc niepewny śpiew pustynnego wiatru. Przypuśćmy, że chodzi o stratę, a nie o odnalezienie? Co straciła? Maxine? Halo? Innymi słowy, co próbuje stracić?

Windust, z powrotem do Windusta. Czy krążąc po swoim codziennym życiu, kiedyś, przed atakami jedenastego września, kliknęła na niewidzialny piksel, który ją do niego zaprowadził? Czy on zrobił to samo i wszedł w jej życie? Jak jedno z nich odwróciło ten proces?

Maxine zmienia tryb wyświetlania obrazu: to włącza widok normalny, to z lotu ptaka. Po pewnym czasie odkrywa sposób sterowania kamerą i niczym archeolog o świcie obserwuje pustynny krajobraz pod bardzo ostrym kątem, co pozwala widzieć wypukłe szczegóły, normalnie niemożliwe do zauważenia. Okazują się one bogatym źródłem linków, na które powinna klikać. Wkrótce zostaje przeniesiona do stacji przekąźnikowych, oaz, bardzo rzadko spotyka człowieka wędrującego w przeciwną stronę, wracającego z krainy, która leży przed nią. Napotkani ludzie mają niewiele do powiedzenia – niejasno napomykają o skutej lodem, dzikiej rzece, a na jej dalekim brzegu wznosi się miasto zbudowane z rzadkiego, niezwykle twardego metalu, szare i lśniące, spowite aurą tajemnicy, do którego można wejść tylko po długiej wymianie sekretnych znaków...

Z przodu zaczynają się pojawiać budowle, na niebie latają ptaki żywiące się padliną. Od czasu do czasu gdzieś daleko widać sylwetki wysokich ludzi w kapturach i długich szatach targanych wiatrem – stoją bez ruchu i obserwują Maxine. Nie próbują się zbliżyć, nie wypowiadają słów powitania. Wokół niej rozciąga się teraz połać wyschniętego błota, a w dali można wyczuć czyjąś obecność. Niebo zmienia barwę, jego kolor staje się coraz bardziej nasycony, jasnoniebieski, pejzaż nabiera

dziwnej świetlistości, zmierza w kierunku Maxine, przyśpiesza, aż wreszcie ją pochłania.

Gdzie dokładnie znajduje się punkt graniczny halucynacji? Obok przelatuje miasto, kasba, jakkolwiek to nazwać, i Maxine jest teraz w mroku Trzeciego Świata, rozjaśnianym tylko przez pojedyncze punkciki ognia. Po chwili, poruszając się po omacku w ciemności, dociera do pola naftowego. Nagle w niebo tryska olbrzymi słupek ropy, intensywnie czarnej, rozlega się straszliwy huk, wokół pojawiają się poszukiwacze z generatorami i reflektorami, w których świetle nie można dostrzec szczytu słupa tryskającej ropy. Marzenie każdego nafciarza, dla wielu z nich główny cel wędrówki. Maxine wzdycha z podziwem, zapamiętuje ten obraz, lecz rusza w dalszą drogę. Wkrótce potem słupek ropy zapala się i widać go w promieniu wielu mil.

Noc, której długości nie można wybrać w menu preferencji. Czuwanie w środku nocy, którego celem jest zmienić każdego wędrowca w ślepego różdżkarza błądzącego po nieznannej krainie, wszyscy gubią się w pustce. Nigdy nie skupiają się na niczym widzialnym.

Kiedy wstaje wirtualny świt, Maxine spotyka Vipa Epperdew, który stoi na grzbiecie łańcucha wzgórz i spogląda na pustynię. Nie jest pewna, czy ją poznał.

– Jak się miewają Shae i Bruno?

– Chyba są w Los Angeles. Ja nie, ciągle siedzę w Vegas. Chyba nie trzymamy się już razem.

– Co się stało?

– Mieszkaliśmy w hotelu MGM Grand. Grałem na jednorękim bandycie, wyszły trzy te same znaki, odwróciłem

się, by się pochwalić, że wygrałem, ale nie zauważyłem Shae i Bruna. Odebrałem wygraną i poszedłem ich szukać, zniknęli. Zawsze sobie wyobrażałem, że jeśli uciekną, spotka mnie publiczna kompromitacja, na przykład przykują mnie kajdankami do latarni. Lecz oto byłem wolny jak każdy normalny obywatel, z opłaconym pokojem w hotelu i wystarczającym kredytem w kasynie, by grać co najmniej przez dwa dni.

– Musiało to być niepokojące.

– Byłem ciągle zbyt zaabsorbowany automatami. Kiedy zrozumiałem, że dzieciaki nie wrócą, wygrałem już dostatecznie dużo forsy, by wynająć jednoosobowy apartament w północnym Las Vegas. Reszta to kwestia rozpędu.

W tej chwili Vip gra zawodowo na jednorękiach bandytach, jak dotąd udaje mu się zarabiać. Stały bywalec, znany w mieście, w kasynach i sklepach spożywczych. Nauczył się wykorzystywać swój pociąg do hazardu. Odnalazł powołanie.

– Podoba ci się mój wóz? – Wskazuje w dół. U stóp wzgórza stoi citroen sahara, wyprodukowany w latach sześćdziesiątych, dwa silniki, napęd na cztery koła, specjalnie przystosowany do warunków pustynnych. Samochód odtworzono ze wszystkimi szczegółami, wygląda jak normalny citroen 2CV, z wyjątkiem zapasowego koła na masce. – Wyprodukowano ich tylko sześćset, wygrałem swój na dwa walety, bo nikt nie wierzył, że je mam. Wysokie karty, jeśli chcesz wiedzieć. Jeżeli cię to ciekawi, powiem ci, że piękno tej witryny – rozgląda się po pustynnym krajobrazie – polega na tym, że to nie jest Vegas.

Żadnych kasyn, uczciwe szanse. Liczby losowe są tu absolutnie czyste.

– Kiedyś mi o tym mówiono. Teraz nie jestem już taka pewna. Może powinieneś być ostrożny. Pamiętasz mnie, Vip?

– Kochana, nie pamiętam nawet ostatniego rozdania.

Maxine znajduje link, który przenosi ją do oazy, piękny ogród prosto z muzułmańskiego raju, więcej wody niż w zrujnowanym kraju, z którego pochodzi Maxine, baseny z barkami, wino, dym fajek, melony i daktyle, arabska muzyka. Tym razem Maxine naprawdę zauważa w namiocie Omara Sharifa, który gra w brydża i uśmiecha się do niej zabójczo. A potem, bez żadnego wstępu...

– Cześć, Maxine! – Awatar Windusta jest jego młodszą wersją, początkującym spryciarzem, który jeszcze się nie zdegenerował, inteligentniejszym, niż na to zasługuje.

– Nigdy się nie spodziewałam, że cię tu spotkam, Nick.

Och, doprawdy? Czy nie miała nadziei, że to się stanie? Że ktoś, jakaś wszechwiedząca cyberjędza, która zawsze studiowała historię jej pobytów w internecie, będzie rejestrować każde kliknięcie, każdy ruch myszy. Że będzie z góry wiedziała, na czym Maxine zależy?

– Wróciłeś w końcu do Waszyngtonu? – Brzmi to trochę tak, jakby Maxine pytała, gdzie są jej pieniądze, ale nie ma na to rady.

– Niezupełnie. Obecnie są tam strefy zamknięte. Wokół mojego domu, mojej rodziny. Bardzo mało śpię. Wygląda na to, że wreszcie odpuścili i że jestem wolny. Wszystko zniknęło, cała

moja książka adresowa, nawet ludzie oznaczeni tylko numerami.

– Gdzie teraz jesteś, fizycznie?

– Koło hotspotu Wi-Fi. Chyba w Starbucksie.

Windust się zastanawia. Maxine niespodziewanie musi zaczerpnąć tchu. Po raz pierwszy wierzy w to, co powiedział. Windust nie ma już pojęcia, gdzie się znajduje. Przenika ją przejrzysty snop uczuć, które zrozumie dopiero później. Minęło tak dużo czasu, odkąd po raz ostatni doznawała współczucia.

Nagle znajdują się z powrotem na pustyni, Maxine nie wie, kto zrobił pierwszy krok. Poruszają się z wielką prędkością, ale nie lecą w powietrzu, bo to znaczyłoby, że Maxine śni. Pędzą pod sierpem księżyca, który rzuca więcej światła niż powinien, mijają wygładzone przez wiatr skupiska skał, aż nagle Windust gwałtownie skręca i zmusza Maxine do ukrycia się.

– Ktoś do nas strzela?

– Jeszcze nie, ale musimy przyjąć, że jesteśmy śledzeni. Obserwują wszystko, co robimy, więc powinniśmy ich wyprowadzić w pole. Będą myśleli, że stale się kryjemy, a potem ich zaskoczymy, pozostając na otwartej przestrzeni.

– „My”? Chyba lubię się kryć za skałami. Czy to ci sami ludzie, którzy wtedy strzelali do nas z kałasznikowa?

– Nie próbuj mnie brać na sentymentalizm.

– Dlaczego nie? Możemy być parą kochanków, która ucieka przed prześladowcami.

– Och, świetny pomysł. Twoje dzieci, dom, rodzina, biznes, reputacja, a w zamian tylko podła śmierć wszystkich, których nie możesz ocalić. To mi pasuje.

Awatar spogląda na Maxine nieruchomym wzrokiem, bez wyrzutów sumienia. To tylko maska, owszem, ale Maxine musi wierzyć, że ci „oni” są czymś znacznie gorszym niż to, czym później stał się Windust, gdy dla nich pracował. Dostrzegli w nim beztroski, chłopięcy talent do okrucieństwa, a następnie go rozwinęli, wykorzystali, użyli, zwiększając jego natężenie mikroskopijnymi krokami, aż wreszcie Windust stał się zawodowym sadystą, zatrudnionym na etacie o służbowym rankingu GS-1800 i pozbawionym wszelkich wyrzutów sumienia. Nic go nie ruszało, myślał, że może po prostu robić to co zawsze, aż przejdzie na emeryturę. Kretyn. Dupek.

Maxine jest wściekła, bezradna.

– Co mogę...

– Nic.

– Wiem, ale...

– Nie szukałem cię. Kliknęłaś na mnie.

– No tak...

Długie milczenie, jakby toczył spór z samym sobą i wreszcie go rozstrzygnął.

– Będę w mieszkaniu. Nie mogę zagwarantować erekcji.

– Och... Potrafisz otworzyć przed kimś serce...

– Myślałem o czymś innym... Przyniesiesz pieniądze?

– Zobaczę, ile mogę ukraść swoim dzieciom.

Wskutek jakiegoś uprzedzenia, prawdopodobnie mającego związek z Jamesem Bondem, Maxine zawsze stara się unikać noszenia w torebce walthera PPK z laserem w kolbie i korzysta ze swojego drugiego pistoletu, beretty. Gdyby broń można było opisywać w kategoriach kariery, należałoby to nazwać awansem. Ale teraz bierze drabinę, przeszukuje górną półkę szafy i wyciąga PPK. Przynajmniej nie jest to damski model z kolbą inkrustowaną masą perłową. Sprawdza baterie, włącza i wyłącza laser. Nigdy nie wiadomo, kiedy dziewczyna może potrzebować lasera.

Jest przygnębiające mroźne popołudnie, niebo nad New Jersey przypomina spłowiały sztandar wojenny starożytnego zimowego narodu, podzielony na poziome części: na górze jasna zieleń ostu, na dole żółtawy kolor maślanki. Idzie na Broadway, szukając taksówki, lecz o tej porze większość kierowców zjeżdża na Long Island i niechętnie bierze pasażerów. Żaden nie chce się zatrzymać. Kiedy Maxine łapie w końcu taksówkę, zapalają się latarnie uliczne i zapada zmrok.

Znalazłszy się w „bezpiecznym domu”, naciska dzwonek, czeka, czeka, nikt nie odpowiada, drzwi są zamknięte, ale widzi światło sączące się przez szpary. Zagląda do środka, by



zobaczyć, czy drzwi są zaryglowane. Okazuje się, że są zamknięte tylko na zasuwkę. Po latach eksperymentowania z różnymi kartami rabatowymi i kredytowymi Maxine odkryła, że idealnym połączeniem siły i elastyczności odznaczają się plastikowe karty z bohaterami gier ESPN, przynoszone przez chłopców do domu. Wyjmuje jedną z nich, przyklęka na moment, po czym wchodzi do środka, nie zdążywszy się zastanowić, czy to rzeczywiście dobry pomysł.

Życie gryzoni, cienie przebiegające błyskawicznie pod nogami. Echa na klatkach schodowych, krzyki na innych piętrach, nieludzkie odgłosy, których Maxine nie potrafi zidentyfikować. W kątach mrok, gęsty jak lój, nie rozproszyłoby go światło nawet najjaśniejszej żarówki. Korytarze z częściowo wygaszonymi lampami, ciepło emitowane tylko przez niektóre kaloryfery, toteż pojawiają się chłodne miejsca, które znajomi Maxine, dawni zwolennicy New Age, uważają za oznakę obecności złośliwych duchów. W jednym z korytarzy rozlega się piskliwy, żałobny dźwięk alarmu przeciwpożarowego z wyczerpaną baterią. Maxine przypomina sobie słowa Windusta, który powiedział, że zachód słońca to pora, gdy z ukrycia wychodzą psy.

Drzwi mieszkania są otwarte. Maxine wyjmuje walthera, włącza laser, odbezpiecza broń i wślizguje się do środka. Są tam psy, trzy, cztery, otaczają coś leżącego przed drzwiami do kuchni. Nie trzeba być psem, by czuć zapach unoszący się w powietrzu. Maxine odsuwa się od drzwi na wypadek, gdyby któreś ze zwierząt chciało uciec. Na razie mówi zdecydowanym głosem:

– W porządku, Toto... ręce do góry!

Psy podnoszą łby, ich pyski są ciemniejsze, niż powinny być. Maxine przesuwając się wzdłuż ściany. Przedmiot leżący na podłodze się nie porusza. Rzuciła się w oczy, znajduje się w centrum uwagi; nawet jeśli jest martwy, w dalszym ciągu próbuje kontrolować narrację.

Jeden z psów biegnie do drzwi, dwa zbliżają się do Maxine i szczerzą zęby, kolejny stoi przy zwłokach Windusta i czeka, aż pozostałe rozprawią się z intruzem. Obserwuje Maxine i zupełnie nie wygląda jak pies. Gdyby był tu Shawn, na pewno by to potwierdził: psi pysk przypomina ludzką twarz. „Czy nie widziałam cię w zeszłym roku na pokazie psów w Westminster, gdy zająłeś pierwsze miejsce w swojej kategorii?”.

Najbliższy pies to mieszaniec rottweilera z kilkoma innymi rasami. Mała czerwona kropka przesuwając się na środek jego czoła i na szczęście nie drży, tkwi w jednym miejscu. Pies stojący z boku nieruchomieje, jakby czekał na to, co się stanie.

– Chodź – szepce Maxine. – Wiesz, jak to jest, stary, kula trafi cię prosto w trzecie oko... możemy tego uniknąć...

Warczenie cichnie, psy ostrożnie idą w stronę wyjścia, przywódca w końcu oddala się od zwłok (czy kiwa łbem do Maxine?) i dołącza do współbraci. Czekają na zewnątrz, w przedpokoju.

Maxine stara się nie patrzeć na rany wygrzyzione przez psy. Czuje smród i powtarza w myślach dziecięcą rymowankę:

*Nie żyje – stwierdził doktor,  
Nie żyje – rzekły córki,  
Nie żyje – dodała pani*

*Z torebką z węzowej skórki...*

Wchodzi do toalety, włącza wentylator i klęka na zimnych kafelkach pod wirującym wiatrakiem. Muszla klozetowa delikatnie się unosi, jakby chciała jej coś zakomunikować. Maxine wymiotuje i przed jej oczami pojawia się obraz gigantycznej plątaniny rur kanalizacyjnych, które biegną z każdego koszmarnego biura i zapomnianego skrawka miasta, aż wreszcie docierają do głównego kolektora ściekowego. Płynie nim olbrzymia fala nieczystości, odpadków i gnijących tkanek, po czym, jak można się spodziewać, wylewa się gdzieś w New Jersey... A tymczasem na kratkach w milionie odpływów zbiera się tłuszcz, unoszący się i opadający kurz wypełnia otwory i zakamarki, gromadzi się przez lata jako warstwa poczerniałego, brązowego, tajemnego futra... Bezlitosne błękitne światło, czarno-białe kwiaty na tapecie, chybotliwe odbicie Maxine w lustrze... Rękaw płaszcza jest zaplamiony wymiocinami, usiłuje je zmyć zimną wodą, bez skutku.

Wraca do milczących zwłok w pokoju. Z rogu patrzy na nią Pani z Torebką z Węzowej Skórki, milczy, jej oczy są matowe, w mroku widać tylko lekki uśmiech, torebka wisi na ramieniu, jej zawartość musi pozostać tajemnicą, bo człowiek zawsze się budzi, nim ją zobaczy.

– Strata czasu – szepce Pani, jednak bez złości.

Mimo to Maxine przez minutę przygląda się martwemu Nickowi Windustowi. Był katem, wielokrotnym mordercą, wsadził w nią swojego chuja i w tej chwili Maxine nie wie, co czuje. Widzi tylko robione na miarę półbuty Windusta, w tym świetle jasnobrązowe i brudnawe. Co ona tu właściwie robi?

O kurwa, czy przybiegła tutaj, myśląc, że może temu zapobiec...? Biedne, głupie buty...

Przetrząsa szybko kieszenie trupa. Nie znajduje portfela, pieniędzy, banknotów, monet, kluczy, organizera, komórki, papierosów, zapalek, zapalniczki, lekarstw, okularów, tylko puste kieszenie. Można powiedzieć, że jest czysty. Przynajmniej okazał się konsekwentny. Nigdy nie robił tego dla pieniędzy. Neoliberalne bzdury musiały jakoś do niego przemawiać, choć nigdy nie będzie wiadomo dlaczego. Na końcu, na progu zaświatów, miał tylko listę swoich zbrodni, mordercy zostawili go na jej łasce i niełasce. Wszystko, lata, brzemię.

A więc z kim rozmawiała w sanktuarium DeepArchera? Jeśli, sądząc po zapachu, Windust był wtedy od dawna martwy, istnieje kilka możliwości: przemawiał do niej z zaświatów, miała do czynienia z oszustem albo link został wstawiony przez kogokolwiek, niekoniecznie przyjaciela – szpiegów, Gabriela Ice'a. Przypadkowego dwunastolatka z Kalifornii. Dlaczego ma w cokolwiek wierzyć?

Dzwoni telefon. Maxine się wzdryga. Po pięciu dzwonekach uruchamia się automatyczna sekretarka na stole w kuchni. Głośność jest nastawiona na maksimum, więc nie może nie słyszeć. Rozlega się ochrypły szept nieznanego mężczyzny: „Wiemy, że tam jesteś. Nie musisz podnosić słuchawki. Przypominamy, że twoi chłopcy są dziś wieczorem w szkole. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą cię potrzebować”.

O kurwa! O kurwa!

Wychodząc, Maxine mija lustro, spogląda machinalnie i widzi rozmazaną poruszającą się sylwetkę, może siebie,

prawdopodobnie kogoś innego, Panią, ukrytą w mroku z wyjątkiem obrączki ślubnej. Maxine przez chwilę wyobraża sobie, że gdyby błysk światła na obrączce mógł mieć smak, na pewno byłby lekko gorzki.

\* \* \*

Na ulicach nie ma nigdzie gliniarzy ani taksówek, wczesny zmrok w środku zimy. Zimno, wiatr przybiera na sile. Łuna zamieszkanych ulic jest za daleko. Maxine wyszła w inną noc, w zupełnie inne miasto – przypomina ono lokację strzelanki komputerowej, w której można się poruszać w nieskończoność, lecz nie da się z niej wyjść. Jedyne widocznymi ludźmi są wirtualni statyści w dali, żaden z nich nie udziela Maxine pomocy. Grzebie w torebce, znajduje telefon komórkowy i oczywiście tak daleko od cywilizacji nie ma zasięgu, a nawet gdyby był, bateria jest prawie wyczerpana.

Może telefon był tylko ostrzeżeniem, może to już koniec, może chłopcy są bezpieczni. Może nie powinna przyjmować tego głupiego założenia. Vyrva ma odebrać Otisa ze szkoły, Ziggy powinien pójść z Nigelem na trening krav magi, ale co z tego? Miejsca, które dotychczas były znajome, nie są już bezpieczne, bo wszystko sprowadza się do pytania: gdzie nic nie grozi Ziggy’emu i Otisowi? Komu ze znajomych można naprawdę zaufać?

Maxine przypomina sobie, że nie należy wpadać w panikę. Wyobraża sobie, że zmienia się w posąg – ale nie w słup soli, tylko w posępną, wyniosłą rzeźbę upamiętniającą niezliczone

resze mieszkanki Nowego Jorku, które stoją na chodnikach, usiłując „złapać taksówkę”, choć w promieniu dziesięciu mil nie ma żadnych taksówek. Mimo to wyciągają ręce w przestrzeń, nie błagalnie, lecz raczej dziwnie rozkazująco, jakby ten tajemny gest miał wywołać alarm wśród taksówkarzy. „Uwaga! Uwaga! Na rogu stoi suka z uniesioną ręką! Prędko!”. Wolf Blitzer mówi o tym w CNN, hej, rany, słuchajcie, ona chce złapać taksówkę, trzeba nakręcić z tego film!

Nagle Maxine zmienia się w jakąś wersję samej siebie, której nie poznaje – bezrefleksyjnie spogląda na własną rękę, unosząc się w powietrze, owiewaną wiatrem znad rzeki. Nie ma żadnej nadziei, opuściły ją marzenia, lecz próbuje wezwać magiczny ratunek. Może to, co widziała w tych kobietach, było nie oznaką władczości, tylko tak naprawdę aktem wiary. Z technicznego punktu widzenia w Nowym Jorku nawet wyjście na ulicę stanowi akt wiary.

Znalazłszy się z powrotem na Manhattanie, idzie ciemnymi ulicami, z których zniknęli policjanci, dociera do Tenth Avenue i widzi radosne potoki taksówek jadące ulicą w stronę przedmieść. Żółte koguty na dachach jarzą się w mroku, jezdnie przypomina ciemną rzekę płynącą na przedmieścia, niosącą taksówki, ciężarówki i prywatne samochody...

\* \* \*

Horst jeszcze nie wrócił do domu. Otis i Fiona są w pokoju chłopców, jak zwykle sprzecząc się w kreatywny sposób. Ziggy siedzi przed telewizorem, jakby nic wielkiego się nie stało,

i ogląda *Scooby Doo w Kolumbii!* (1990). Maxine szybko odwiedza toaletę, by doprowadzić się do porządku, po czym rozsądnie rezygnuje z zadawania pytań i tuż przed przerwą na reklamy siada obok syna.

– Cześć, mammo!

Maxine chciała by go objąć i tulić przez całą wieczność. Zamiast tego pozwala mu opowiedzieć fabułę filmu. Kudłaty, któremu pozwolono prowadzić furgonetkę, zabłądził i popełnił kilka błędów nawigacyjnych, tak że piątka poszukiwaczy przygód wylądowała w Medellín w Kolumbii, gdzie w owym czasie działał osławiony kartel narkotykowy. Okazuje się, że zdemoralizowany funkcjonariusz amerykańskiej Agencji do spraw Narkotyków zamierza przejąć kontrolę nad kartelem, udając ducha (jakże inaczej?) zamordowanego barona narkotykowego. Jednak Scooby i jego przyjaciele udaremniają plan, korzystając z pomocy grupy miejscowych uliczników.

Na ekranie znów pojawia się kreskówka, łotra spotka sprawiedliwa kara.

– Gdyby nie te dzieciaki z Medellín, mnie też by się upiekło!  
– skarży się Ziggy.

– Jak było dziś na treningu krav magi? – pyta niewinnie Maxine.

– Wiesz, zabawne, że pytasz. Zacząłem rozumieć, o co chodzi.

Po zajęciach Nigel wyszedł, by poszukać siostry, a Emma Levin krążyła dokoła, sprawdzając zabezpieczenia szkoły, gdy nagle Ziggy usłyszał piski dochodzące z plecaka.

– Och, to Nige. – Ziggy wyjął Cybiko, popatrzył na ekran i zaczął naciskać guziki niewielkim pisakiem. – Jest w aptece Duane Reade za rogiem. Na ulicy stoi furgonetka z zapuszczonym silnikiem i siedzą w niej jakieś podejrzane typy.

– Hej, super, kieszonkowa klawiatura, możesz tym wysyłać maile?

– Raczej SMS-y. Myślisz, że nie warto się przejmować tą furgonetką?

Nagle pojawia się oślepiający błysk i słychać głośny wybuch.

– Hm! – mruczy Emma. – Ktoś uruchomił pułapkę!

Wybiegają tylnym wyjściem i widzą barczystego człowieka w paramilitarnym stroju. Mężczyzna mruga, zatacza się i klnie. Wokół czuć zapach sztucznych ogni.

– Możemy coś dla pana zrobić? – Emma szybko robi krok w prawo i kiwa ręką, nakazując Ziggy’emu zająć miejsce po lewej. Gość obraca się w stronę miejsca, gdzie przed chwilą stała, i wykonuje gest, jakby po coś sięgał. Emma błyskawicznie atakuje. Drań nie poleciał daleko, ale gdy upadł na ziemię, był tak oszołomiony, że wystarczyło kilka oszczędnych ruchów, by go unieszkodliwić. Ziggy pełnił rolę wsparcia. – Nie tylko amator, ale też idiota. Nie wie, z kim ma do czynienia?

– Jest pani super, pani Levin.

– Oczywiście, ale to ciebie miałam na myśli. Należysz do mojego zespołu, Zig. Nikt nie będzie nam bruździł, ten typ nie miał żadnych szans, prawda?



Przeszukuje intruza i znajduje glocka z wielkim magazynkiem. Ziggy ma nieobecne spojrzenie, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Hm... może nie cywil, ale również nie zawodowiec. Ciekawe, co pozostaje?

– Wynajęty wolny strzelec.

– Tak właśnie myślałam.

– A więc jednak jest pani uśpioną agentką.

Wzruszenie ramionami.

– Cały czas czekam na wezwanie. Wchodzę do akcji, gdy jestem potrzebna. Wygląda na to, że w tej chwili jestem potrzebna. Zaczekaj, zainstaluję następną petardę, a potem zejdziemy do podziemi, znajdziemy wózek i przetransportujemy tego idiotę do miejsca, gdzie jego kumple z furgonetki będą mogli go znaleźć.

Przewieźli nieprzytomnego bandytę przecznicę dalej i rzucili na ziemię przy krawężniku, koło starej komody z masy drewnopodobnej, napęczniałej od wody i zwichrowanej. Zaczęli się zastanawiać, czy zadzwonić pod numer 911, lecz doszli do wniosku, że to niebezpieczne.

– I to mniej więcej wszystko. Nigel, jak zawsze, wściekał się, że nie brał w tym udziału.

– Widziałeś to wszystko w *Power Rangers* lub podobnym filmie? – pyta z nadzieją Maxine.

– Zmyślanie czegoś takiego przynosi pecha... Mamo, dobrze się czujesz?

– Och, Zigguratku... Po prostu się cieszę, że jesteście bezpieczni. Jestem z ciebie bardzo dumna... Pani Levin na

pewno też jest dumna. Mogę zadzwonić do niej później?

– Wszystko potwierdzi, mówię ci.

– Muszę jej po prostu podziękować, Ziggy.

Z sypialni wpadają Otis i Fiona.

– Posłuchaj, Fi, przestań gadać tym przemądrzałym językiem, bo pożałujesz!

– To tylko frazesy. Satjeevan mówi, że mogę chodzić, kiedy chcę.

– Wierzysz mu? To podrywacz.

– Zachowujesz się jak zazdrosny narzeczony.

– Czyli prawdziwy dorosły.

Do mieszkania wchodzi, mrugając, Horst i spogląda na Maxine.

– Muszę zamienić kilka słów z mamą, chłopcy. – Chwyta Maxine za nadgarstek i łagodnie prowadzi ją do sypialni.

– Nic mi nie jest. – Maxine nie patrzy mu w oczy.

– Cała się trzęsiesz i jesteś bielsza od Greenwich w stanie Connecticut w czwartek. Nie ma się czym przejmować, kochanie. Rozmawiałem z instruktorką Ziggy’ego, to po prostu normalny nowojorski bandzior, którego można zneutralizować za pomocą krav magi.

Maxine wie, w co może się zmienić ta szczerą, głupawą twarz, wie, że powinna unikać wzroku Horsta, chyba że chce się załamać pod ciężarem winy. W końcu z przygnębieniem kiwa głową. Niech Horst wierzy w historyjkę o normalnym bandziorze. W tym mieście jest tysiąc rzeczy, których można się bać, może nawet dwa tysiące, a Horst nigdy się nie dowie o wielu sprawach. Wszystkie celowe przemilczenia, wszystkie

lata, zdrady audytorki, bez pieprzenia się, a potem nagle prawdziwe pieprzenie się i partner nie żyje. Nie da się obejść tego, co się dziś wydarzyło, najpierw Horst spyta: czy widywałaś się z tym facetem? Potem Maxine zacznie się wściekać, nie wiesz, o czym mówisz, potem on zacznie ją oskarżać o narażanie chłopców na niebezpieczeństwo, a potem Maxine krzyknie: gdzie byłeś, kiedy cię potrzebowali? I tak dalej, i tak dalej, jak za dawnych czasów. A więc najlepiej milczeć, Maxine, znowu po prostu milczeć.

\* \* \*

Następnego dnia dzwoni Emma Levin z wiadomością, że ktoś przesłał do jej atelier wielki bukiet róż z karteczką po hebrajsku, że wszystko będzie dobrze.

– Może narzeczony?

– Naftali wie, że kwiaty istnieją, widuje je w markecie na rogu, ale ciągle myśli, że to coś do jedzenia.

– Więc może...?

– Może.

– Ale nikt nam nie płaci, żebyśmy się zachowywali jak Shirley Temple. Poczekamy, zobaczymy.

A jednak, może, nie jest to taki zły znak? Tymczasem Avi i Brooke przeprowadzili się do nowego apartamentowca w pobliżu Riverside, płacąc astronomiczną cenę, równą pensji Aviego w hashslingrz. Maxine ma teraz dość wiarygodną wymówkę, by na pewien czas umieścić chłopców u dziadków, którzy mieszkają w budynku o systemie zabezpieczeń

rywalizującym z gmachami publicznymi w Waszyngtonie. Horst chętnie się zgadza, także dlatego, że odkrywa, iż jego quasi-ekszona może być przedmiotem pożądania.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć.
- Dobrze, nie tłumacz.
- To jak cudzołóstwo, tylko na odwrót.

Pan Elegancki. Maxine się domyśla, że ma to związek z tym, iż w tej chwili – czy chce, czy nie – zachowuje się nieco prowokacyjnie, a do tego każdy mężczyzna, który zbliży się do niej na tyle blisko, by móc ją chwycić za tyłek, budzi w Horście maniakalne podejrzania. Maxine nie musi zmieniać stopnia własnej perwersyjności, by odbierać to jako pochlebstwo, więc z niczego się nie tłumaczy i nie ma to negatywnego wpływu na siłę erekcji.

Na dodatek pewnego dnia Horst, ni stąd, ni zowąd, wręcza Maxine kluczyki do chevroleta impali.

- Po co mi to?
- Tak na wszelki wypadek.
- Na przykład?
- Nic konkretnego, po prostu przeczucie.
- Co takiego?! – Maxine wybałusza oczy. Ale Horst wygląda normalnie. – Jakoś to zniesiesz? Z twoją nietolerancją na poobijaną karoserię?
- Ach, trzeba po prostu wyklepać blachę i nałożyć lakier, będziesz musiała pokryć rachunek.

Nie oznacza to, że Horst przez cały czas siedzi w domu. Pewnego wieczoru wychodzi na całonocne przyjęcie z Jakiem Pimentem, z którym uprawia bieganie i który przeprowadził się

z Battery Park do Murray Hill – idą na spotkanie z grupą przedstawicieli firm venture capital spoza Ameryki, od niedawna zainteresowanych metalami ziem rzadkich. Horst stwierdził, dzięki swoim zdolnościom telepatycznym, że wkrótce staną się one hitem rynkowym. Tymczasem Maxine postanawia przenocować razem z chłopcami u swoich rodziców.

Szybko zasypia, ale stale się budzi. Ułamki snów, kręgi, z których nie może się wydostać. Spogląda w lustro, za jej plecami pojawia się czyjaś twarz, jej własna, ale pełna złości. Przez całą noc dręczą ją podobne obrazy, budzi się z bijącym sercem, pusta. W którymś momencie ma dość. Odrzuca przepoconą pościel i wstaje. Po górnym Broadwayu jeździ tam i z powrotem samochód, którego klakson wygrywa pierwsze osiem taktów *The Godfather Walz* Nina Roty z *Ojca chrzestnego*. W kółko. Zdarza się to raz w roku i najwidoczniej właśnie dziś jest ta noc.

Maxine zaczyna krążyć w ciemności po mieszkaniu. Chłopcy śpią na piętrowym łóżku, drzwi są lekko uchylone, Maxine cieszy się z tego, bo wie, że któregoś dnia ich drzwi będą zamknięte i będzie musiała pukać. Gabinet Erniego, w którym jest pralka i suszarka, zabytkowy monitor Apple CRT na biurku, a po lewej stronie, w jadalni, muzealny zestaw żarówek o długim czasie działania, zebranych przez Elaine w ciągu wielu lat – każda na niewielkiej poduszeczce z pianki, z datami wkręcenia i przepalenia. Wydaje się, że najdłużej działały żarówki firmy Sylvania z pewnego okresu.

Z pokoju telewizyjnego dobiega muzyka klasyczna. Mozart. Maxine widzi, że Ernie siedzi przed telewizorem, z twarzą oświetloną przez zabytkowy monitor Trinitron, i ogląda nieznaną wersję *Don Giovanniego* braci Marx z Groucho w roli głównej, nigdy nie wyświetlaną w kinach. Podchodzi bosą na palcach i siada na kanapie koło ojca. Obok stoi duży plastikowy pojemnik popcornu, za wielki nawet dla dwóch osób, który Ernie po chwili przesuwa w stronę Maxine. Podczas recytatywu udziela jej wyjaśnień.

– Wycięli Komandora, więc nie ma donny Anny, don Ottavia. W ten sposób, bez morderstwa, wszystko staje się komedią.

Leporella grają jednocześnie Chico i Harpo, pierwszy mówi, a drugi się wygłupia. Na przykład Chico błyskawicznie wypowiada *Arię katalogową*, gdy tymczasem Harpo pędzi dokoła donny Elviry (Margaret Dumont, stworzonej do tej roli), szczypiąc, wyciągając ręce i dzwoniąc dzwonkiem roweru, a później akompaniując na harfie przy *Deh, vieni alla finestra*. Masetto to baryton, który nie jest Nelsonem Eddym, Zerlinę gra bardzo młoda, świetnie się prezentująca Beatrice Pearson, z podłożonym cudzym głosem, która później, w *Sile zła* (1948), grała wraz z Johnem Garfieldem inną pierwszą naiwną, mającą fatalną obsesję na punkcie łajdaków.

Po zakończeniu opery Ernie wyłącza dźwięk, rozkłada ręce i lekko wzrusza ramionami, niczym kłaniający się bas.

– Chyba po raz pierwszy widzę, że obejrzałaś operę.

– Nie wiem, tato, to pewnie wpływ twojego towarzystwa.

– Nagrałem ją dla chłopców, sądzę, że może im się spodobać.

– Wymiana kulturalna. Zauważyłam, że grasz w tej chwili w Metal Gear Solid.

– To lepsze od tych śmieci, które oglądałyście w telewizji ty i Brooke.

– Tak, naprawdę nie znosiłeś thrillerów policyjnych. Jeśli nas nakryłeś na ich oglądaniu, wyłączyłeś telewizor i miałyśmy zakaz wychodzenia z domu.

– Czy się polepszyły? Gdzie się podziali prywatni detektywi, sympatyczni przestępcy? Wszystko zniszczyła propaganda lat siedemdziesiątych, orwellowski kopniak w twarz, niekończące się śledztwa, gliniarze, gliniarze, gliniarze. Dlaczego nie mielibyśmy oszczędzić tego swoim córkom, chronić wasze wrażliwe umysły? Widzisz, jakie są skutki? Twoja siostra popiera Likud, a ty tropisz biednych durni, którzy po prostu usiłują zarobić na czynsz.

– Może w tamtych czasach telewizja zajmowała się praniem ludziom mózgow, ale teraz to niemożliwe. Nikt nie kontroluje internetu.

– Mówisz poważnie? Możesz w to wierzyć, jeśli potrafisz, słoneczko. Wiesz, skąd się wziął ten twój internetowy raj? Wszystko zaczęło się w czasach zimnej wojny, gdy z wojskiem współpracowali geniusze planujący scenariusze wojny nuklearnej. Skórzane teczki, okulary w rogowych oprawkach, na pozór normalni naukowcy, chodzili codziennie do pracy i wyobrażali sobie wszystkie możliwe wersje końca świata. Twój internet, w tamtych czasach Departament Obrony

nazywał go DARPA-netem, miał na celu utrzymanie systemu dowodzenia i kontroli po wymianie uderzeń nuklearnych z Sowietami.

– Co takiego?

– Właśnie tak. Idea polegała na tym, by stworzyć dostatecznie dużo węzłów. Niezależnie od tego, ile byłoby zniszczonych, można by zrekonstruować sieć, łącząc to, co pozostało.

W Nowym Jorku, stolicy bezsenności, do świtu jest jeszcze kilka godzin. Oto w co może się zmienić niewinna rozmowa między ojcem a córką. Pod oknami słychać bezsensowne dźwięki nocnej ulicy, krzyki, warkot motorów, nowojorski śmiech, zbyt głośny, zbyt ordynarny, pisk hamulców naciśniętych zbyt późno i poprzedzających przeraźliwy trzask. Kiedy Maxine była dzieckiem, uważała, że te nocne hałasy są zbyt odległe, by się nimi przejmować, jak syreny. Teraz są zawsze za blisko, stały się częścią umowy.

– Zajmowałeś się kiedyś sprawami związanymi z zimną wojną, tato?

– To dla mnie zbyt techniczne. Ale chłopaki ze szkoły Bronx Science, z którymi się przyjaźniłem... Zwariowany Yale Jacobian, miły chłopak, robiliśmy wycieczki poza miasto, zarabialiśmy, grając w ping-ponga. Poszedł na studia do MIT, znalazł pracę w RAND Corporation, przeniósł się do Kalifornii. Straciliśmy kontakt.

– Może nie pracował w dziale zajmującym się końcem świata.



– Wiem, jestem subiektywny, nic na to nie poradzę. Gdybyś żyła w tamtych czasach, zrozumiałabyś, o co mi chodzi. W tej chwili ludzie uważają, że prezydentura Eisenhowera była staroświecka, sympatyczna i nudna, ale wszystko ma swoją cenę, tuż pod powierzchnią czaił się czysty terror. Wieczna noc. Jeśli człowiek zatrzymał się na chwilę, by pomyśleć, widział to wszystko i łatwo spadał w otchłań. Niektórzy w nią wpadli, zwariowali, nawet popełnili samobójstwo.

– Tato...

– Tak, twój internet to ich wynalazek, magiczna technologia wsączająca się jak zapach w najdrobniejsze szczegóły naszego życia, zakupy, sprzątanie domu, odrabianie lekcji, podatki, pochłaniająca naszą energię, odbierająca nam cenny czas. Nie ma niewinności, nigdy nie było. Internet został poczęty w grzechu, najgorszym z możliwych. Kiedy się rozrastał, zawsze miał w głębi serca bryłę lodu: pragnienie zniszczenia całej planety. I myślę, że nic się nie zmieniło, dziecko.

Maxine wyszukuje ziarnka popcornu, które nie wybuchły.

– Ale historia idzie naprzód, jak zawsze lubiłeś nam przypominać. Zimna wojna się skończyła, prawda? Internet ewoluował, przestał mieć znaczenie militarne, stał się instytucją cywilną. Teraz to czaty, strony WWW, sklepy internetowe, najgorsza w tym wszystkim jest zbyt wielka komercjalizacja. Ale popatrz na możliwości, jakie internet stwarza miliardom ludzi: nadzieja, wolność.

Ernie zaczyna szybko zmieniać kanały, jakby się zirytował.

– Możesz to nazywać wolnością, ale wszystko jest oparte na kontroli. Wszyscy są połączeni, nikt nigdy nie może się zgubić.

Następny etap to podłączenie internetu do telefonów komórkowych, po czym otrzymamy totalną inwigilację, od której nikt nie zdoła się uwolnić. Pamiętasz komiksy w „The Daily News”? Radio na nadgarstku Dicka Tracy’ego? To będzie wszędzie, idioci będą marzyć, żeby je mieć, kajdanki przyszłości. Cudowne. Marzenie Pentagonu, stan wojenny na całym świecie.

– Stąd się bierze moja paranoja.

– Spytaj swoich synów. Popatrz na Metal Gear Solid: kogo porywają terroryści? Kogo próbuje uratować Snake? Szefa DARPA. Zastanawiałaś się nad tym?

– Tato...

– Skoro nam nie wierzysz, spytaj swoich przyjaciół z FBI, no wiesz, policjantów z dostępem do krajowej bazy danych o przestępstwach kryminalnych. Pięćdziesiąt milionów teczek, sto milionów? Potwierdzą, jestem pewien.

Maxine rozumie to jako zaproszenie i przyjmuje je.

– Posłuchaj, tato, muszę ci powiedzieć...

Wyrzuca z siebie wszystko. Nieubłagana pustka po odejściu Windusta. Zredagowane to w taki sposób, by nie niepokoić staruszka, na przykład żadnej wzmianki o krav madze i Ziggym.

Ernie uważnie słucha.

– Widziałem coś w gazecie. Tajemnicza śmierć, opisali go jako wybitnego konsultanta do spraw bezpieczeństwa.

– Nic dziwnego. Czy wspomnieli coś o zawodowym zabójcy? Zamachowcu?

– Nie. Ale domyślam się, że skoro chodzi o FBI albo CIA, nie można wykluczyć zawodowego zabójcy.

– Tato, w środowisku drobnych oszustów, którymi się zajmuję, mamy własny kodeks przegranych, lojalność, szacunek, nie wolno donosić, dopóki nie jest to konieczne. Ale tamci bandyci sprzedają się każdego dnia przed śniadaniem. Windust żył na kredyt.

– Myślisz, że załatwili go jego kumple? Moim zdaniem to raczej zemsta, poważnie wkurzeni ludzie z jakiegoś kraju Trzeciego Świata, którym się po drodze naraził.

– Znałeś go przede mną, dałeś mi jego wizytówkę, mogłeś coś powiedzieć.

– Więcej, niż już powiedziałem? Kiedy byłaś mała, starałem się nie dopuścić, żebyś zaczęła bezmyślnie podziwiać policjantów, ale wreszcie zaczęłaś popełniać błędy na własny rachunek. – Potem niepewnie, Maxine nigdy go jeszcze takim nie widziała. – Maxeleh, czy...

– Nigdy nie traktowałam ulgowo tych wszystkich drobnych kanciarzy, ale gdy spotkałam pierwszego poważnego zbrodniarza wojennego w swoim życiu, zrobił na mnie wielkie wrażenie. Torturował i zabijał, czy czułam odrazę, byłam wstrząśnięta? Nie, myślałam, że może się zmienić. Ciągłe może się zmienić, nikt nie jest taki zły, musi mieć sumienie, jest jeszcze czas, może wszystko naprawić, choć w tej chwili już nie może...

– Tss, tss, już dobrze, dziecko. – Nieśmiało wyciąga rękę w stronę twarzy Maxine.

Nie, to jej nie uwolni, Maxine wie, że nie jest zupełnie szczerą, ma nadzieję, że Ernie, albo chcąc się zabezpieczyć, albo

z powodu prawdziwej niewinności, której Maxine nie potrafi zniszczyć, weźmie jej słowa dosłownie. Tak się też staje.

– Zawsze taka byłaś. Czekałem, aż z tym skończysz, zrezygnujesz, staniesz się zimna jak my wszyscy, ale przez cały czas się modliłem, by do tego nie doszło. Wracałaś ze szkoły, z lekcji historii, jakiś nowy koszmar, Indianie, Holocaust, zbrodnie, na które znieczuliłem się wiele lat temu, uczyłem o nich, ale ich nie odczuwałem, a ty byłaś zła, wściekła, i cierpiałaś, zaciskałaś pięści, jak ktoś mógł robić takie rzeczy, jak mogli potem żyć ze sobą? Co miałem powiedzieć? Dawaliśmy ci chusteczki higieniczne i mówiliśmy, że to dorośli, że niektórzy postępują w ten sposób, nie musisz być taka jak oni, możesz być lepsza. Nie potrafiliśmy wymyślić niczego innego, żalosne, ale wiesz co? Nigdy nie wpadłem na pomysł, co tak naprawdę powinniśmy powiedzieć. Myślisz, że jestem z tego zadowolony?

– Chłopcy pytają mnie teraz o to samo, nie chcę patrzeć, jak się upodobniają do kolegów z klasy, cynicznych, wyszczekanych małych sukinsynów, ale co się stanie, jeśli Ziggy i Otis zaczną się za bardzo przejmować? Ten świat tak łatwo może ich zniszczyć, tato.

– Nie ma alternatywy, ufaj im, ufaj sobie, to samo odnosi się do Horsta, który chyba znowu staje się częścią obrazu...

– Tak, już od pewnego czasu. Może nigdy z niego nie zniknie.

– Cóż, jeśli chodzi o tego drugiego faceta, lepiej niech ktoś inny zatroszczy się o kwiaty i eulogie. Jak mówi Joe Hill, nie trwaj w żałobie, organizuj. I rada na temat ubioru od

eleganckiego starego człowieka: noś trochę koloru, unikaj nadmiaru czerni.

## 38

A zatem następnego ranka u Shawna Maxine oczywiście pozwala sobie rozbić wszystko na elementy, nie z rodzicami, mężem lub drogą przyjaciółką Heidi – nie, w obecności jakiegoś idioty surfera, który nie wyobraża sobie nic gorszego niż wysokie na jedną stopę fale.

– Czyli... coś czułaś do tego faceta.

– Coś czułam... – Kalifornijski bełkot, przetłumacz, proszę, nie, zaczekaj, nic nie mów. – Shawn? Okay, miałaś rację, pomyliłam się, wiesz, o co chodzi, pieprz się, ile ci jestem jeszcze winna, musimy się rozliczyć, bo nigdy więcej tu nie przyjdę.

– Nasza pierwsza kłótnia.

– Ostatnia. – Z jakiegoś powodu Maxine nie wstaje.

– Maxi, już czas. Dochodzę do tego punktu z każdym pacjentem. Teraz musisz sobie poradzić z Mądrością.

– Świetnie, czuję się jak przed wyrwaniem zęba u dentysty.

Shawn zaciemnia gabinet, puszcza taśmę z marokańską muzyką transową, zapala kadzidełko.

– Jesteś gotowa?

– Nie. Shawn...

– Oto ona: Mądrość. Przygotuj się do kopiowania. – Maxine wbrew sobie staje na macie do medytacji. Shawn oddycha głęboko i oznajmia: – Jest tym, czym jest jest... Czy jest jest tym, czym jest. – Pozwala, by zapadła cisza, długa, ale nie tak głęboka jak jego oddechy. – Zrozumiałaś?

– Shawn...

– Oto Mądrość, powtórz.

Maxine ostentacyjnie wzdycha i spełnia polecenie, po czym dodaje:

– Oczywiście wszystko zależy od tego, jaka jest twoja definicja słowa „jest”.

\* \* \*

W porządku, coś trochę innego. Jakie są opcje? Powrót do drobnych, codziennych spraw, udawanie, że Wszystko Wróciło Do Normy? Maxine, drżąca z zimna, w krytycznej sytuacji, mogłaby się otulić wytartym kocem wydatków na pierwszy semestr, zebranych szkolnych, błędów w rachunkach za kablówkę. Jej dzień pracy stałby się zmaganiem z prymitywnymi fantazjami, które nie zasługują na określenie „oszustwo”, bo jest ono zbyt eleganckie, z sąsiadami z góry, niezdolnymi do uszczelnienia wanny, z objawami występującymi w górnych drogach oddechowych i jelicie grubym, wszystko w dziwnej nadziei, że zmiana zawsze okaże się na tyle stopniowa, by dać sobie z nią radę, z pomocą polisy ubezpieczeniowej, urządzeń przeciwpożarowych, zdrowej diety i regularnych ćwiczeń

fizycznych, i że zło nigdy nie spada z rykiem z nieba, nigdy nie niszczy niczyich złudzeń, iż jest się bezpiecznym...

Każdy dzień, gdy Ziggy'ego i Otisa nie spotyka nic złego, powiększa o jedną tysięczną procent poziom pewności siebie Maxine. Może nikt nie chce ich skrzywdzić, może nikt nie wini Maxine za to, co zrobił Windust, może prawdopodobny morderca Lestera Traipse'a, Gabriel Ice, nie wsącza złej energii do serca rodziny Maxine za pośrednictwem Aviego Deschlera, który zaczyna coraz bardziej przypominać opętane dziecko z horroru dla nastolatków.

– Nie – mówi wesoło Brooke. – Prawdopodobnie eksperymentuje. Może z czymś gotyckim?

Co najdziwniejsze, obecnie Maxine szuka towarzystwa siostry, ponieważ rozumie, że Brooke zawsze była jej najlepszym wskaźnikiem oznak i objawów miejskiej patologii, ultraczułym detektorem wszystkiego, co toksyczne. Zaintrygowana, spostrzega, że Brooke staje się stopniowo mniej gderliwa, pozbywa się dawnych obsesji na punkcie ludzi i kupowania. Bije od niej wewnętrzny blask...? Aach! Nie, to niemożliwe! A może jednak?

– W porządku, postawmy sprawę jasno, gdzie się wybierasz?

– Hm? „Gdzie się wybieram?”. Masz na myśli dzisiaj czy... Och, och, Maxi Taxi, już na to wpadłaś? Powiedziałam Aviemu dopiero wczoraj wieczorem.

– Siostry rozumieją się telepatycznie, oglądaj więcej horrorów, to się dowiesz. Co na to Avi?

– Wniebowzięty?



Avi nie nazwałby tego w ten sposób. Raz w tygodniu zakrada się wejściem dostawczym za rogiem, mija kiwającą głową Daytonę i opowiada Maxine smutne historie o hashslingrz, jakby mogła wezwać na pomoc siły nadprzyrodzone.

Miejsce pracy Aviego przypomina kłębowisko żmij: budowa imperium, obrona własnych interesów, karierowiczostwo, podstawianie nóg kolegom, zdrada i donosicielstwo. To, co Avi uważał kiedyś za paranoiczny lęk przed konkurencją, jest teraz zjawiskiem systemowym, najwięcej wrogów znajduje się wewnątrz firmy. Avi używa słowa „plemienny”.

– Czy mógłbym skorzystać z toalety? – pyta.

Avi zadaje to pytanie bardzo często, to jego FAQ. Do tego dochodzą przekrwione oczy z opadającymi powiekami, śluz ciekący z nosa, niezborna w trakcie rozmowy. Maxine słyszy dzwonki alarmowe. Pewnego dnia pozwala mu wyjść do toalety, po czym idzie za nim i zastaje szwagra ze sterowanym komputerowo dozownikiem w nosie, nadużywającego trującej substancji.

– Avi, doprawdy...

– W pojemniku jest powietrze, zupełnie nieszkodliwe.

– Przeczytaj etykietę. Fluoroetan może być normalnym powietrzem na jakiejś planecie, ale pamiętaj, że tu, na Ziemi, wyżre ci mózg, nim się zorientujesz.

– Dziękuję. Powinienem odczuwać euforię, prawda? A jednak nie czuję, jak się domyślasz. Wiem, że należałoby znaleźć inną pracę, ale Ice trzyma mnie za jaja, jak bez jego

pieniędzy mam spłacać kredyt hipoteczny, utrzymywać rodzinę?

– Ice’a interesują tylko – mówi Maxine, ostrzegawczo jak zwykle – żeby wszyscy w firmie trzymali się nawzajem w szachu i nie zdradzali tajemnic. Jeśli potrafisz go przekonać, że nie stanowisz zagrożenia w żadnym z tych obszarów, specjalnie się postara, by znaleźć ci idealną robotę.

\* \* \*

Maxine nie potrafi się uwolnić od DeepArchera. Kiedy opublikowano kod źródłowy, z programu zaczęła korzystać połowa mieszkańców planety. Wszyscy podają się za kogoś innego, mają do dyspozycji menu opcji o rozmiarach ustawy podatkowej. Na stronie można spotkać najróżniejszych ludzi – hordy znudzonych turystów, zainteresowanych poznaniem świata na granicy nieskończoności, poza zasięgiem robotów sieciowych, rzesze romhakerów, homebrewerów, heretyków RPG, wszyscy nieustannie przepisują i nadpisują, kasują, niszczą, na nowo definiują stale rosnący wykaz nowych grafik, instrukcji, szyfrów, dróg ucieczki... Wszyscy już wiedzą, co się dzieje, i wydaje się, że czekali na to od lat, można to nazwać popytem ukrytym. Maxine umie się wtopić w tłum, niewidzialna i spokojna. Nie jest jeszcze uzależniona, chociaż pewnego dnia wraca na chwilę do rzeczywistości, patrzy na zegar na ścianie, liczy w pamięci i okazuje się, że nie wie, co robiła przez trzy i pół godziny. Na szczęście nie ma nikogo

oprócz niej samej, kto spytałby, czego szuka tam na dole, bo odpowiedź jest tak żałośnie oczywista.

Tak, zdaje sobie sprawę, że DeepArcher nie może nikogo wskrzesić, dzięki za zwrócenie uwagi. Ale coś dziwnego dzieje się z dossier Windusta, które skopiowała na swój komputer zaraz po dostarczeniu przez Marvina flashdrive'a z zapisem. Od czasu do czasu zerkała na nie, choć ostatnio odczuwa przy tym lęk objawiający się sensacjami żołądkowymi, ponieważ kiedy tam zagląda, pojawiają się nowe materiały. Jakby – przypomina sobie, że jej zapory są bardzo stare – ktoś włamywał się do jej komputera, gdy tylko ma na to ochotę.

Na przykład: „Rozważmy niedawno wysuniętą teorię, że figurant, niebędący podwójnym agentem w klasycznym znaczeniu tego słowa, zaczął prowadzić własne interesy. Według niedawno odtajnionych akt mogło to nastąpić w 1983 roku, gdy dopomógł w ucieczce obywatelce Gwatemali, która była wówczas jego żoną i pozostawała w sferze zainteresowań miejscowej policji jako element wywrotowy”. I podobne uzupełniające notatki, zawsze w neutralnym tonie, a niekiedy wręcz pochwalne. Dla kogo mogłyby być przeznaczone? Tylko dla Maxine? Komu potrzebna jest informacja, że przed dwudziestu laty Windust był jeszcze zdolny do zrobienia czegoś dobrego, że ocalił swoją ówczesną żonę, Xiomarę, z rąk faszystowskich morderców, dla których formalnie pracował?

Pierwsze nasuwa się podejrzenie, że autorem jest sam Windust, próbujący się przedstawić w korzystnym świetle, choć to szaleństwo, ponieważ Windust nie żyje. Albo są to manewry oszustów z Waszyngtonu, albo internet stał się środkiem

komunikacji z zaświatami. Maxine zaczyna dostrzegać na ekranie dziwne cienie, które powinna umieć nazwać, niewyraźne, efemeryczne, zmniejszające się do rozmiarów pojedynczego piksela. Może nie. Znacznie bardziej prawdopodobne, że Windust przebywa w mroku, w innej, straszliwej rzeczywistości.

Chociaż twórcy DeepArchera odzeggują się od metafizyki, nie można wykluczyć takiej opcji. Istnieją również bardziej przyziemne wyjaśnienia, toteż kiedy Maxine niespodziewanie spotyka Lestera Traipse'a, nie traktuje go jako ucharakteryzowanego sobowtóra czy bota zaprogramowanego do prowadzenia rozmów na dowolne tematy, lecz nie widzi nic złego w przyjęciu, że to dusza zmarłego człowieka.

– Cześć, Lester! Kto cię zabił? – pyta, od razu przechodząc do meritum sprawy.

– Ciekawe. Większość ludzi przede wszystkim chce wiedzieć, jak to jest, gdy człowiek jest martwy.

– Okay, więc jak to jest, gdy człowiek...

– Cha, cha, podchwytliwe pytanie. Nie jestem martwy, opuściłem krainę żywych. Skąd mam wiedzieć, kto jest sprawcą? Umówiłem się przez telefon, że o północy zostawię dla Ice'a koło basenu w Deseret pierwszą ratę gotówki, zapakowaną w plastikową folię, po czym nagle ocknąłem się tutaj, chodząc bez celu, z widmowym palcem w metafizycznym tyłku.

– Igor Daszkow mówił, że chciałeś odnaleźć w DeepArcherze coś w rodzaju azylu. Do którego z was w tej chwili mówię? Czy to ty, Igor? Misza? Grisza?

- Nie sądzę, za dobrze mówię po angielsku.
- W porządku, w porządku. Przyjmijmy, że gdzieś istnieje granica, a za nią znajduje się pustka. Jeśli tam byłeś...
- Sorry. Po prostu scrambler w sortowni poczty, pamiętasz? Chcesz usłyszeć prorocstwo, jasne, mogę je wygłosić, ale to będzie bzdura.
- A może się zgodzisz, żebym cię zabrała z powrotem? Kimkolwiek jesteś.
- Co takiego?! Na powierzchnię?
- Trochę bliżej.
- Dlaczego?
- Nie wiem. – Maxine rzeczywiście nie wie. – Jeśli to naprawdę ty, Lester, trudno mi się pogodzić z myślą, że się tu zagubiłeś.
- Właśnie na tym to polega: żeby się zagubić. Przyjrzyj się kiedyś normalnemu internetowi i powiedz mi, czy nie wydaje ci się żałosny. Pająki, boty, spamerzy, hakerzy, gracze, maniacy, wszyscy rozpaczliwie usiłują zarobić iluzoryczne pieniądze, nazywają to „ekonomią”. Wyświadczyłabyś mi wielką przysługę, Maxine.

\* \* \*

Weekend powrotu do domu. Nagle pojawiają się synowie Maxine, Ziggy i Otis. Chłopcy przeszukali cały rozszerzający się wszechświat, wszystkie dostępne strony internetowe, i udało im się odnaleźć pliki graficzne ukazujące Nowy Jork przed atakami jedenastego września 2001 roku, przed ponurym

oświadczeniem pani Cheung na temat rzeczywistości i pozorów. Przekształcili je w prywatne miasto o nazwie Zigotisopolis, przedstawione w łagodnie jasnych barwach wziętych ze staroświeckich fotografii o specyficznym kolorycie. Gdzieś na świecie jakiś człowiek, zafascynowany tajemniczą możliwością istnienia poza czasem, oferowaną przez internet, pracowicie kodował pojazdy i ulice, miasto, które przestało istnieć. Dawne Planetarium Haydena, hotel Commodore z epoki poprzedzającej Donalda Trumpa, kafejki na górnym Broadwayu, które zniknęły wiele lat temu, bary i restauracje, proponujące darmowe lunchy, gdzie stali klienci czekali przy drzwiach kuchni, by jak najszybciej złapać wnoszone dania, letnie miejskie kina z niebieskimi neonami, pod którymi znajdują się imitacje szronu i sopli lodu, obiecujące, że w środku jest COOL. Madison Square Garden jest ciągle na Eight Avenue koło 50th Street, a restauracja Jack Dempsey's po przeciwnej stronie ulicy. Na starym Times Square, przed pojawieniem się prostytutek i narkotyków, znajdują się salony gier, jak na przykład Fascination, z maszynami do pinballu, które stały się obecnie tak klasyczne, że na ich zakup stać tylko wyjątkowo nadzianych yuppie, a także małe studia nagrań, gdzie mogło się wepchnąć kilka osób i śpiewać ostatniego singla Eddiego Fishera. Po ulicach jeździ mnóstwo zabytkowych samochodów, choć nie określono ich marek ani lat produkcji. Ernie i Elaine, doskonale pamiętający tamte czasy, z pewnością natychmiast by je rozpoznali.

Maxine dostrzega chłopców, ale oni jej nie zauważyli. Nie ma żadnych zabezpieczeń hasłem, więc Maxine się waha, czy

zalogować się bez zaproszenia – to w końcu ich miasto. Ich priorytety są inne, miasto jakie ona widzi w DeepArcherze, jest dziwnie zrujnowane, obojętne, brudne, pokryte psim łajnem, którego nie posprzątało. Maxine nie chce skazić tymi obrazami bardziej miłosiernego miasta chłopców, pełnego dawnych kolorów, jadowicie zielonych krzewów, chodników o barwie indygo i starannie zaprojektowanych samochodów. Ziggy obejmuje brata ramieniem, a Otis spogląda na niego z nieskrywanym podziwem. Spacerują w tym ciągle nieskażonym krajobrazie, czując się w nim jak w domu, nie troszcząc się o swoje bezpieczeństwo, zbawienie, przeznaczenie...

Nie zwracajcie na mnie uwagi, chłopcy, posiedzę sobie na stronie dla gości. Maxine postanawia poruszyć ten temat, ostrożnie, łagodnie, gdy wszyscy znajdą się z powrotem w realnej rzeczywistości, w krainie wypełnionej soją, czymkolwiek ona teraz jest. Ponieważ zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Maxine z coraz większym trudem odróżnia „prawdziwy” Nowy Jork od fikcji w rodzaju Zigotisopolis... Ma wrażenie, że wpadła w wir wciągający ją w głąb wirtualnego świata. Z pewnością nie przewidziano tego w pierwotnym biznesplanie, lecz oto pojawia się możliwość, że DeepArcher wyleje się z ekranu na niebezpieczną przestrzeń między monitorem a twarzą.

Z popiołów i rdzy postmagicznej zimy wyrastają nieprawdopodobne zjawiska, niczym małe Goomby. Pewnego wietrznego poranka Maxine idzie Broadwayem i widzi pokrywkę dużego aluminiowego pojemnika na jedzenie, która

toczy się ulicą, popychana wiatrem, na krawędzi, cienkiej niczym sny przed świtem. Pokrywka próbuje upaść, ale wiatr lub coś innego – może jakiś nerd przy klawiaturze? – utrzymuje ją w pozycji pionowej przez niewiarygodnie długi czas. Pokrywka pokonuje drogę do przecznicy, zatrzymuje się na światłach, po czym znów toczy się dalej, prawie do następnej przecznicy, aż wreszcie spada z krawężnika pod koła ruszającej ciężarówki i zostaje spłaszczona. Czy to rzeczywistość, czy animacja komputerowa?

Pewnego dnia, po lunchu w barze serwującym libański humus, gdzie w tabbouleh zawsze można się spodziewać obecności substancji psychodelicznych, Maxine mija rejon, w którym mieszka stary Wujek Dizy, i oto właśnie on – wychodzi zza rogu, obok sapiącej ciężarówki dostawczej, i wrzeszczy: „Szybko! Szybko!”. Maxine przystaje, patrzy sekundę za długo i Dizy ją zauważa.

– Maxi! Właśnie o tobie myślałem!

– Nie, Diz, to nie ja, naprawdę.

– Proszę, to dla ciebie. Nagroda. – Podaje jej niewielkie pudełeczko, w którym znajduje się pierścionek.

– Co to takiego? Chcesz się ze mną zaręczyć?

– Prosto z hurtowni, nowiutki. Import z Chin. Nawet nie wiem, ile powinienem zażądać.

– Ponieważ...

– To pierścień niewidzialności.

– Hm, Diz...

– Mówię poważnie, chcę, żebyś go wzięła, proszę, przymierz.



– Stanę się niewidzialna?

– Osobiście ci to gwarantuję. Słowo starego Dizzy’ego.

Maxine wsuwa pierścionek na palec, nie wiedząc, dlaczego to robi. Dizzy wykonuje kilka piruetów i zaczyna machać rękami.

– Gdzie jesteś, Maxi?! Tutaj?! – I tak dalej.

Maxine musi odskoczyć, by na nią nie wpadł.

Co za bzdury... Zdejmuje pierścionek, oddaje go.

– Proszę. Teraz ty go włóż.

– Jesteś pewna? – Maxine jest pewna. – W porządku, to twój pomysł.

Wkłada pierścionek i natychmiast znika. Maxine szuka go przez dłuższy czas, choć nie ma go zbyt wiele, przechodnie zaczynają dziwnie na nią patrzeć. Wraca do biura, nieco wytrącona z równowagi niemożnością ustalenia, co jest naprawdę rzeczywiste, po czym kończy pracę około czwartej i jedzie na 72nd Street, w rejon, który wkrótce stanie się znany jako środek miasta. Nagle spotyka Erica, wychodzącego z baru Grey’s Papaya, razem z nastoletnim współnikiem, który wygląda, jakby się zajmował czymś nielegalnym.

– Maxi, to mój kumpel Ketone, poznajcie się, specjalizuje się w fałszywych fotografiach do dokumentów. Chodź, pomożesz nam szukać.

– Czego?

Białej furgonetki, wyjaśnia Eric, najlepiej zaparkowanej, bez zadrapań, brudu, oznaczeń firmowych albo napisów. Krążą po okolicznych ulicach, do Central Park West i z powrotem, aż wreszcie znajdują furgonetkę, którą Ketone uznaje za możliwą

do zaakceptowania. Każe Ericowi stanąć na jej tle, wyjmując aparat fotograficzny z fleszem i prosi o uśmiech. Robi pół tuzina zdjęć, po czym idą na Broadway do podrzędnego sklepu z walizkami, co sprawia, że Maxine natychmiast zaczyna się niepokoić: włączają się dzwonki alarmowe. Wewnątrz eksponowanych w sklepie atrakcyjnych toreb podróżnych i walizek na kółkach z pewnością znajdują się wszystkie szmuglowane towary, jakie potrafiliby sobie wyobrazić policjanci z miejscowego komisariatu. Ketone wychodzi na chwilę, potem wraca z fotografiami Erica, które będzie można wkleić do dokumentów.

– Które ci się podoba, Maxi?

– To jest ładne.

– Pięć, dziesięć minut – mówi Ketone i idzie do pomieszczenia na tyłach, gdzie mieści się pracownia drukarska z maszyną do laminowania zdjęć.

– To jakaś podejrzana sprawa – rzuca Maxine. – Nie powinnam nic o tym wiedzieć?

Eric zaczyna się zachowywać trochę podejrzanie.

– Na wypadek, gdybym musiał szybko wyjechać z miasta. – Chwila milczenia, jakby się zastanawiał. – Wszystko staje się dziwne...

– Wyłumacz mi to. – Maxine opowiada Ericowi o toczącej się pokrywce pojemnika i zniknięciu Wujka Dizzy'ego. – Ostatnio ciągle mi się przytrafiają takie rzeczy, nie mam pojęcia, o co chodzi, jakbym żyła w wirtualnym świecie.

Eric też to zauważył.

– Może to znowu ci goście od Projektu Montauk? Podróże w czasie do przodu i do tyłu, manipulowanie związkami przyczynowo-skutkowymi, niekiedy rzeczywistość zaczyna się rozpadać, pikselizować i migotać. Dzieją się dziwne rzeczy, których nikt się nie spodziewał, nawet pogoda staje się kapryśna, wszystko przez agentów służb specjalnych, naruszających strukturę czasu.

– Brzmi nieźle. Nie gorzej od tego, co nam serwuje telewizja. Ale nigdy nie możemy niczego sprawdzić. Jeśli ktoś za bardzo się zbliża do prawdy, znika.

– Może to, co dotychczas przeżywał, było jedynie krótkotrwałym przywilejem, a teraz wszystko wraca do normy.

– Widzisz, ach, same kłopoty, prawda?

– Tylko to dziwne uczucie związane z internetem: że się skończył, i chodzi nie o pęknięcie bańki, nie o jedenastego września, lecz o jakieś fatalne wydarzenie w historii internetu.

– Mówisz jak mój ojciec.

– Popatrz, codziennie coraz więcej kretynów niż użytkowników, klawiatury i monitory zmieniają się w portale pozwalające wchodzić na strony, od których Zarząd chce wszystkich uzależnić: zakupy, gry, seks, nieskończone potoki śmiecia...

– Daj spokój, Eric, to zbyt subiektywne. Może przydałoby się trochę współczucia, jak to określa Budda?

– Tymczasem ci z hashslingrz i im podobni coraz głośniejsz wrzeszczą o „wolności internetu”, a jednocześnie oddają go pod kontrolę czarnych charakterów... Łapią nas na haczyk, bez pudła, wszyscy jesteśmy samotni, biedni, poniżeni, rozpaczliwie

chcemy wierzyć w każdą żalostną imitację wspólnoty, jaką chcą nam wcisnąć... Jesteśmy pionkami w grze, Maxi, gra jest ustawiona i skończy się dopiero w chwili zniszczenia internetu.

– To gdzie jest komenda „cofnij”?

Lekkie, prawie niewidzialne drżenie. Może śmieje się do siebie.

– Potrzeba dużo dobrych hakerów zainteresowanych walką. Banitów pracujących za darmo, bezlitosnych dla każdego, kto próbuje wykorzystywać internet do złych celów.

– Wojna domowa.

– Tak. A niewolnicy nawet nie wiedzą, że są niewolnikami.

Dopiero później, w ponurych pustkowiach stycznia, Maxine zaczyna rozumieć, że Eric chciał się w ten sposób pożegnać. Coś w tym rodzaju zawsze czaiło się na horyzoncie, chociaż Maxine bardziej się spodziewała powolnego tonięcia w świecie wirtualnym, zejścia pod powierzchnię tandetnych sklepów internetowych i plotkarskich blogów – podróży w mętym świetle w głąb ukrytej sieci. Nie, zamiast tego po prostu krótkie pożegnanie – znikają pociągi metra linii L, znika Joie de Beavre, nagle zapada ciemność i cisza, kolejna klasyczna ucieczka, i pozostaje tylko niepewna wiara, że Eric ciągle istnieje i walczy po uczciwej stronie.

Okazuje się, że Driscoll nadal jest w Williamsburgu i odpowiada na maile.

„Czy mam złamane serce? Dzięki, że o to pytasz, i tak nigdy nie wiedziałam, co się właściwie dzieje. Eric zawsze miał w sobie coś takiego, jak to nazwać, alternatywne przeznaczenie? Może nie, ale pewnie zauważyłaś. W tej chwili

muszę się zajmować bieżącymi gównami, jak zbyt wielu współlokatorów, ciepła woda, kradzieże szamponu i odżywki, powinnam się skupić na zarabianiu pieniędzy, żeby się przenieść do własnego mieszkania. Jeśli ma to oznaczać zmianę pracy, siedzenie przez cały dzień w boksie firmy po drugiej stronie rzeki, niechaj tak będzie. Proszę, nie przeprowadzaj się jeszcze na przedmieścia ani nic w tym rodzaju, okay? Mogę zechcieć wpaść, jeśli będę miała wolną chwilę”.

W porządku, Driscoll, byłoby fajnie, gdyby ci się udało w świecie 3D i tak zwanej „obiektywnej rzeczywistości”. Strona rzeki jest nieważna – ważniejsza jest strona monitora. Maxine nie czuje się szczęśliwsza, niż była wtedy, gdy dręczył ją epistemologiczny robak, i unika Horsta, który, po swojemu odporny, wkrótce staje się użyteczny jako wzorzec, ostatnia deska ratunku.

– A więc, tato, rzeczywisty czy nierzeczywisty?

– Nierzeczywisty. – Horst zerka szybko na Otisa, trochę jak, powiedzmy, Ben Stiller w *The Fred MacMurray Story*.

– Wyjątkowo dziwne uczucie – impulsywnie zwierza się Maxine Heidi.

– Jasne. – Heidi wzrusza ramionami. – To po prostu pytanie z piosenki Franka Sinatry: „Czy widzę Granadę, czy tylko Asbury Park?”. Stara zasada niepewności, wieczna.

– W zamkniętym, skupionym na sobie świecie akademickim czy...

– Może ci się spodobać pewna strona internetowa – mówi z irytacją Heidi. – Dla ofiar, które mają wyjątkowe trudności

z odróżnieniem świata rzeczywistego od wirtualnego, właśnie takich jak ty, Maxi...

– Dziękuję, Heidi – odpowiada Maxine z lekkim napięciem.  
– Frank Sinatra, jak mi się zdaje, śpiewał o miłości.

Są na lotnisku Kennedy’ego, w poczekalni Lufthansy dla odlatujących pasażerów klasy biznes, popijając coś w rodzaju herbatki ziołowej z mimozy, gdy tymczasem wszyscy pozostali pasażerowie próbują jak najszybciej się upić.

– Cóż, zawsze chodzi o miłość, prawda? – Heidi rozgląda się po poczekalni, szukając wzrokiem Conklinga, który wybrał się na spacer, by obwąchać pomieszczenie.

– Ty nie masz kłopotów z odróżnieniem świata wirtualnego od rzeczywistego, Heidi.

– Chyba jestem dziewczyną w typie Yahoo! Kliknięcie, by wejść, kliknięcie, by wyjść, nic zbyt odległego, nic za bardzo... – charakterystyczna pauza Heidi – ...głębokiego.

W City University of New York trwa przerwa semestralna i w czasie urlopu Heidi zamierza polecieć z Conklingiem do Monachium. Kiedy Maxine się o tym dowiedziała, w korytarzach jej pamięci krótkoterminowej rozległy się głośne dźwięki wagnerowskich instrumentów dętych.

– On... – Maxine zauważa, że Heidi nie mówi już „Conkling” – ...kupił niedawno używaną butelkę wody kolońskiej 4711, wyzwoloną przez żołnierzy amerykańskich pod koniec wojny z prywatnej łazienki Hitlera w Berchtesgaden... Dlatego... – Stary wyraz twarzy w stylu Heidi, mówiący: „Owszem, ale co z tego?”.

– I jedyne laboratorium kryminalistyczne na świecie, które jest w stanie zidentyfikować naskórek Hitlera, znajduje się w Monachium. Cóż, każdy chciałby mieć pewność, to trochę jak z ciążą, prawda?

– Nigdy go nie rozumiałaś. – Heidi zręcznie unika uderzenia nadgryzioną kanapką, którą Maxine z namysłem podniosła i cisnęła w jej kierunku.

To prawda, Maxine ciągle nie pojmuje Conklinga, który wraca w podskokach do poczekalni Lufthansy.

– Jestem gotowy! A ty, Dziewczyno Używająca Perfum Poison, czy jesteś gotowa na tę przygodę?

– Nie mogę się doczekać. – Maxine ma wrażenie, że Heidi mówi z pewnym roztargnieniem.

– To może być właśnie zagubione ogniwo, pierwszy krok do tyłu na drodze przez czas i chaos, śladem mrocznego zapachu, przed spotkaniem z żywym Führerem...

– Nigdy wcześniej go tak nie nazywałaś – zauważa Heidi.

Odpowiedź Conklinga byłaby prawdopodobnie idiotyczna, lecz przerywa mu głos młodej kobiety zapowiadający przez głośniki lot do Monachium.

Obecnie na lotnisku pojawił się dodatkowy punkt kontrolny, dziedzictwo jedenastego września, i strażnicy odkrywają w jednej z wewnętrznych kieszeni Conklinga butelkę wody kolońskiej 4711, która może mieć historyczne znaczenie. Podniecone rozmowy po niemiecku przez krótkofalówki. Podejrzanych otaczają uzbrojeni strażnicy z dwóch krajów. Ach, Maxine przypomina sobie, że na pokład samolotu nie wolno wносить płynów... Stoi za kuloodporną

plastikową szybą i gestami usiłuje przekazać to Heidi, która unosi brwi, jakby chciała powiedzieć: „Nie stój tak, zadzwoń do adwokata!”.

Później, wiele godzin później, w taksówce jadącej w stronę Manhattanu, Maxine mówi:

– Może to i lepiej, Heidi.

– Tak, w Monachium ciągle może się utrzymywać dziwna zła karma. – Heidi kiwa głową, prawie z ulgą.

– Nie wszystko stracone! – woła Conkling. – Mogę wysłać butelkę przez specjalnego kuriera i w ten sposób stracimy tylko jeden dzień, mój różany pączuszek!

– Wymyślimy nową strategię – obiecuje Heidi.

\* \* \*

– Marvin, nie nosisz kombinezonu. Gdzie się podział twój strój kuriera kozmo.com?

– Sprzedałem go na eBayu, kochana, trzeba iść z duchem czasu.

– Za dolara dziewięćdziesiąt osiem centów, daj spokój.

– Za więcej, niż możesz sobie wyobrazić. W tej chwili nic nie umiera, zaświatami stał się rynek kolekcjonerski, aniołami są yuppie.

– Okay. A to, co mi dzisiaj przyniosłeś...

Oczywiście, kolejny dysk. Chociaż nie minęła jeszcze pora kolacji, Horst zasiadł przed telewizorem i ogląda Aleca Baldwina w *The Ray Milland Story*. Maxine niezbyt chętnie wkłada płytkę do napędu. Znowu film kręcony z okna



samochodu, tym razem dużego auta, w którego przednią szybę uderza deszcz ze śniegiem. Przy tej pogodzie niezbyt wiele widać, ale teren wydaje się górzysty: szare niebo, tu i tam plamy śniegu, brak jakichkolwiek punktów odniesienia, aż pojawia się wiadukt, po czym Maxine zauważa, że obraz jest niepotrzebnie zwężony. Czy mógłby to nakręcić ktoś oprócz Rega Desparda?

W filmie nie występuje tylko Reg – po chwili obiektyw obraca się w lewo i oto za kierownicą siedzi ich dawny wspólnik, Eric Outfield, w czapeczce z siatkową tylną częścią, z krótkim cygarem firmy Outlaw w zębach, z tygodniowym zarostem. Wygląda, jakby powstał z martwych.

– Witam, witam, kumpelko, i tak dalej! – Eric się rozpromienia. – Szczęśliwego Nowego Roku, Maxi, dla ciebie i całej twojej rodziny!

– Przyjmij życzenia również ode mnie! – dodaje niewidzialny Reg.

– Karma, rozumiesz, ja i Reg po prostu bez przerwy wpadamy na siebie.

– Tym razem ten stary czarny kapelusz kręcił się koło siedziby Microsoftu w Redmond, przełamał zabezpieczenia...

– Wspólne zainteresowanie błędami w systemach zabezpieczeń.

Cha, cha.

– Oczywiście różne motywy. Tymczasem pojawia się inna robota.

– Nasz zjazd.

Opuszczają autostradę międzystanową i po kilku zakrętach zatrzymują się na parkingu dla ciężarówek. Kamera najjeżdża na tylną część przyczepy, pojawia się zbliżenie poważnej twarzy Erica.

– W tej chwili to tajemnica. Dysk, z którego odtwarzasz film, musi zostać zniszczony natychmiast po jego odtworzeniu: rozbij go młotkiem, zmiel, usmaż w mikrofalówce. Pewnego dnia będzie to pełnometrażowy film dokumentalny, ale nie teraz.

– Dwaj faceci w ciężarówce? – pyta Maxine, zwracając się w stronę ekranu.

Eric otwiera drzwi i wysiada.

– Nigdy tego nie widziałaś, jasne? – Maxine dostrzega w środku stosy urządzeń elektronicznych, w mroku świecą diody. Słyszy warkot wiatraczków chłodzących układy elektroniczne. – Specjalne zabezpieczenia przed wstrząsami, wszystko wojskowe, te układy to tak zwane serwery kasetowe, w tej chwili całe ciężarówki po minimalnych cenach trafiają... ciekawe, czy zgadniesz, do kogo? – Eric zaciąga się cygarem i otacza go wesoła chmura dymu. – Na pewno zastanawiasz się teraz, czy szykujemy się do ataku na farmę serwerów. Czy jest nas więcej i czy działamy z ukrycia, niewykrywalni przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? Jakie informacje mogą się znajdować na twardej dyskach tych urządzeń i tak dalej?

– Nie pytaj! – Reg się śmieje. – Na razie to tylko eksperyment. Może się okazać stratą czasu i pieniędzy wyłożonych przez anonimowego inwestora.

Cichy oddech nad ramieniem Maxine. Z jakiegoś powodu nie zrywa się z miejsca ani nie krzyczy, tylko zatrzymuje film.

– To chyba gdzieś koło przełęczy Bozemana – odzywa się Horst.

– Jak twój film, kochany?

– Akurat jest przerwa na reklamy, doszli do chwili nakręcenia *Straconego weekendu* (1945), niezły gościnny występ Wallace'a Shawna w roli Billy'ego Wildera, ale posłuchaj, nie przejmuj się tym filmem, który oglądasz, dobrze? To bardzo ładna okolica, podobałaby ci się... Może któregoś lata moglibyśmy...

– Chcą, żebym zniszczyła płytkę, Horst, więc gdybyś nie miał nic przeciwko temu...

– Nigdy tego nie widziałem, jestem głuchy i niemy. Hej, to ten Eric, prawda?

W jego głosie może brzmieć lekka zazdrość, lecz tym razem nie męzowskie skomlenie. Maxine zerka ukradkiem na jego twarz i widzi, że Horst patrzy na pokryte śniegiem góry niczym wygnaniec, że marzy o tym, by wędrować samotnie wśród zamieci i nieubłaganego wiatru w górach na Dalekiej Północy. Czy Maxine może się kiedyś przyzwyczaić do takiej zimowej nostalgii?

– Zdaje się, że znowu leci twój film, supermenie. Szukasz wzorca, Ray Milland nie jest wcale taki zły, może powinienesz robić notatki?

– Tak, zawsze uwielbiałem *The Thing with Two Heads* (1972).

Maxine włącza płytke. Ciężarówka znów jedzie. Pokonuje kolejne mile, roztopione w szarości. Po chwili Eric mówi:

– Nawiasem mówiąc, to nie jest wojna domowa, jeśli przychodzi ci do głowy taka myśl. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Nawet nie Fort Sumter. Na razie jesteśmy w fazie eksperymentów. Możemy jechać wszędzie: Alberta, Terytoria Północne, Alaska, zobaczymy, gdzie dotrzemy. Przepraszam, że przestanę wysyłać maile, ale jesteśmy w miejscu, gdzie lepiej nie brać ze sobą domowego komputera. Nieodpowiednie treści, a poza tym maszyna może paść w sposób, który ci się nie spodoba. Od tej pory nasze kontakty będą dość sporadyczne. Może któregoś dnia...

Ekran ciemnieje. Maxine szybko przewija nagranie do przodu w nadziei, że znajdzie coś jeszcze, ale to chyba wszystko.

## 39

Czasami, w metrze, pociąg Maxine jest wyprzedzany przez pociąg lokalny albo ekspres, który jedzie po drugim torze, i w ciemnym tunelu powoli przesuwiają się oświetlone okna innego wagonu, przypominając serię rozkładanych kart wróżbiarskich. Uczony, Bezdomny, Wojownik Złodziej, Nawiedzona Kobieta... Po pewnym czasie Maxine zrozumiała, że powinna zwracać wielką uwagę na ludzi widocznych w tych oknach, zwłaszcza gdy patrzą jej w oczy – wśród milionów mieszkańców miasta to oni są zwiastunami tego, co Świat Niewidzialny szykuje dla Trzeciego Świata, gdzie dni łączą się kolejno w sposób niezunifikowany. Każdy posłaniec ma rekwizyty pasujące do jego roli – torby na zakupy, książki, instrumenty muzyczne – przybywa z ciemności i odchodzi w ciemność, mając tylko chwilę na przekazanie informacji, których Maxine potrzebuje. W jakimś momencie naturalnie zaczyna się zastanawiać, czy sama nie pełni takiej roli dla kogoś patrzącego na nią z innego okna.

Pewnego dnia, gdy jedzie ekspresem do centrum z 72nd Street, jednocześnie rusza ze stacji pociąg lokalny, a kiedy tory na końcu peronu spotykają się, biegnąc tuż obok siebie, powoli następuje zbliżenie okna w innym pociągu, twarzy, która

w oczywisty sposób powinna zwrócić uwagę Maxine. Wysoka, śniada kobieta o egzotycznym wyglądzie i ładnej figurze, z torbą na ramieniu, na chwilę odrywa wzrok od Maxine, sięga do torby i wyjmuje kopertę. Unosi ją do okna, po czym kiwa głową w stronę następnej stacji, na 42nd Street. Tymczasem pociąg Maxine przyśpiesza i się oddala.

Jeśli to karta tarota, chodzi o Posłańca Złych Wieści.

Maxine wysiada przy Times Square i czeka pod schodami prowadzącymi do wyjścia. Na stację wjeżdża z sykiem pociąg lokalny, nadchodzi kobieta. W milczeniu kiwa dłonią w stronę Maxine, każąc jej podążać długim tunelem dla pasażerów, biegnącym do Port of Authority. Na jego pokrytych kafelkami ścianach znajdują się reklamy najnowszych filmów, albumów muzycznych, zabawek dla yuppie, odzieży, wszystkiego, czego potrzeba, by czuć się nowoczesnym mieszkańcem miasta. Maxine przemyka przez głowę myśl, że gdyby piekło było dworcem autobusowym w Nowym Jorku, właśnie tak wyglądałby napis: TY, KTÓRY WCHODZISZ, ŻEGNAJ SIĘ Z NADZIEJĄ.

Kiedy koperta zbliża się do twarzy Maxine na odległość kilkunastu cali, ona natychmiast wyczuwa jedyny w swoim rodzaju zapach żalu, złego smaku, bezsensownej żałoby – wodę kolońską 9.30. Przeszywa ją zimny dreszcz. Nick Windust wstał z grobu, głodny, niezaspokojony, i Maxine wątpi, czy chciałaby zobaczyć to, co jest w kopercie.

Coś na niej napisano.

To pieniądze, które jestem ci winny. Przepraszam, że nie kolczyki.

*Adiós.*

Maxine spogląda na kopertę, spodziewając się, że będzie w niej tylko widmowy zarys paczki banknotów, która się tam nigdy znajdowała. Ale ze zdziwieniem widzi w środku całą kwotę w banknotach dwudziestodolarowych. Oraz skromne honorarium, co nie jest w stylu Windusta. Nie było w jego stylu. Ponieważ wszystko dzieje się w Nowym Jorku, może istnieć wiele wyjaśnień, dlaczego pieniędzy nie ukradziono. Może ma to coś wspólnego z posłańcem...

Och. Maxine zauważa zmrużone oczy kobiety i zaczyna się domyślać.

– Xiomara?

W jasnym, hałaśliwym strumieniu obojętności miasta kobiety uśmiech przypomina piwo otrzymane na koszt firmy w barze, gdzie nikt cię nie zna.

– Nie musisz mi mówić, jak zdołałaś się ze mną skontaktować.

– Och, oni wiedzą, jak odnajdywać ludzi.

Xiomara spędziła cały ranek w Columbia University, przewodnicząc jakiemuś seminarium o problemach Ameryki Środkowej. To może wyjaśniać, dlaczego jest w Nowym Jorku, ale niewiele więcej. Zawsze istnieją jakieś rezerwowe wytłumaczenia, w torebce Xiomary może się znajdować urządzenie komunikacyjne dostępne tylko agencjom rządowym zajmującym się inwigilacją... Z drugiej strony nie trzeba się wstydzić szukania magicznych powodów, więc Maxine mówi:

– A w tej chwili wybierasz się do...

– Cóż, na most Brookliński. Wiesz, jak możemy tam dojechać?

– Trzeba złapać autobus do hotelu Lexington i dotrzeć do autostrady numer sześć. Chcesz mnie tam zabrać? – pyta Maxine.

– Kiedy przyjeżdżam do Nowego Jorku, lubię przechodzić przez most Brookliński. Jeśli masz czas, mogłabyś mi towarzyszyć.

Włączają się stereotypy odziedziczone po matce Żydówce.

– Jadłaś śniadanie?

– W węgierskim barze przekąskowym.

– W Brooklynie możemy znowu coś zjeść.

Maxine nie potrafi powiedzieć, czego oczekiwała – koronek, srebrnej biżuterii, długich sukienek, bosych stóp? Cóż, spotkała ją niespodzianka, zamiast wyrefinowanej międzynarodowej piękności w beznadziejnym kostiumie jak ze sklepu z używaną odzieżą ma przed sobą dobrze ubraną kobietę, ramiona są odpowiednio wąskie, marynarka długa, buty poważne. Doskonały makijaż. Maxine musi wyglądać jak dziewczyna, która myślała samochód Xiomary.

Zaczynają rozmawiać, ostrożnie i uprzejmie, po czym wszystko przypomina poranny talk-show w telewizji. Jadłam lunch z byłą narzeczoną byłego męża.

– To pieniądze, które dostałaś od Dotty, wdowy w Waszyngtonie, zgadza się?

– Jeden z tysięcy nudnych obowiązków, którymi nagle musi się zająć.



Biorąc pod uwagę głębokie zaangażowanie waszyngtońskich instytucji rządowych, działających poza widzialnym wszechświatem i równoległe do niego, jest również możliwe, że Xiomara pojawiła się dziś tutaj nie na prośbę Dotty, lecz na życzenie ludzi chcących się dowiedzieć, jak uporczywie Maxine zamierza dążyć do prawdy o śmierci Windusta.

– Utrzymujesz kontakt z Dotty.

– Spotkałyśmy się dwa lata temu. Pojechałam do Waszyngtonu z delegacją.

– Twój... Był tam jej mąż?

– Raczej nie. Kazała mi przysiąc, że zachowam to spotkanie w tajemnicy, zjadłyśmy lunch w Old Ebbitt Grill, hałas, wszędzie tłumy ludzi Clintona, obie wybierałyśmy sałatki, próbując ignorować Larry'ego Summersa siedzącego przy stoliku po drugiej stronie sali, dla niej nie był to problem, ale ja czułam się, jakbym prowadziła przesłuchanie.

– A temat rozmowy, oczywiście...

– Dwóch różnych mężów. W dawnych czasach, gdy go znałam, był zupełnie inny, wydałby się jej kimś zupełnie obcym. Zachowywał się jak naiwny dzieciak, który nie zdaje sobie sprawy, że jego dusza ma kłopoty.

– A kiedy wyszła za niego...

– Może nie potrzebował już tak bardzo pomocy.

Klasyczna nowojorska rozmowa, jesz lunch, rozmawiasz o innym lunchu.

– Czyli ucięłyście sobie miłą pogawędkę.

– Nie jestem taka pewna. Pod koniec Dotty powiedziała coś dziwnego. Słyszałaś o dawnych Majach i grze, którą uprawiali,

wczesnej formie koszykówki?

– Mniej więcej. – Maxine coś sobie przypomina. – Owalna obręcz, mnóstwo fauli, niekiedy brutalnych, zwykle śmiertelnych?

– Wyszliśmy na ulicę, szukając taksówki, gdy, ni stąd, ni zowąd, Dotty powiedziała: „Wróg, którego należy się najbardziej obawiać, jest równie cichy jak u Majów mecz koszykówki w telewizji”. Kiedy grzecznie zauważyłam, że w czasach Majów nie istniała telewizja, Dotty się uśmiechnęła, niczym nauczycielka, która słyszy, jak uczeń wypowiada zdanie dające okazję do pożądanej riposty. „No to możesz sobie wyobrazić, jaki jest cichy”. Potem szybko wsiadła do taksówki, której wcześniej nie spostrzegłam, i zniknęła.

– Myślisz, że mówiła w ten sposób... – Och, powiedz to! – O jego duszy?

Xiomara patrzy Maxine w oczy i kiwa głową.

– Przedwczoraj, gdy poprosiła mnie o przekazanie ci pieniędzy, opowiedziała mi o tym, jak wyglądało ich ostatnie spotkanie, o inwigilacji, helikopterach, wyłączonych telefonach i zamrożonych kartach kredytowych, po czym stwierdziła, że zaczęła znów myśleć o sobie i Winduście jako o towarzyszach broni. Może zachowywała się po prostu jak dobra wdowa po szpiegu. Ale i tak ją pocałowałam.

Kolej, by Maxine skinęła głową.

– Kiedy jako dziewczynka mieszkałam w Huehuetenango, gdzie poznałam Windusta, w odległości niespełna dnia drogi znajdowały się rozgałęzione jaskinie i wszyscy wierzyli, że jest w nich wejście do Xibalby. Pierwsi misjonarze chrześcijańscy

uważali, że przerażą nas opowieści o piekle, ale my mieliśmy już Xibalbę, co znaczy dosłownie „miejsce strachu”. Było tam wyjątkowo okropne boisko do gry w piłkę. W piłce... tkwiły ostrza, więc gry były śmiertelnie niebezpieczne. Xibalba to miasto-państwo położone pod ziemią, rządzone przez dwunastu Panów Śmierci. Każdy z nich ma armię niespokojnych umarłych, którzy wędrują po świecie, zadając żywym ludziom straszliwe cierpienia. Ríos Montt i plaga zabójstw na tle etnicznym... To dość podobne. Windust usłyszał opowieści o Xibalbie, gdy jego jednostka przybyła do kraju. Na początku myślał, że to kolejny żart z gringo, ale po pewnym czasie... Chyba zaczął wierzyć, bardziej niż ja, że gdzieś w głębi ziemi istnieje równoległy świat, gdzie inny Windust robi rzeczy, których on sam się wypiera.

– Wiedziałaś...

– Podejrzewałam. Usiłowałam za wiele nie widzieć. Byłam bardzo młoda. Wiedziałam o elektrycznej pałce do poganiania bydła, tłumaczył, że robił to „w obronie własnej”. Ludzie nazywali go Xooq', to w języku kekczii oznacza „skorpion”. Kochałam go. Chyba myślałam, że mogę go ocalić. A w końcu to on mnie ocalił.

Maxine czuje dziwne mrowienie na skraju mózgu, jak w zdrętwiałej stopie. Nowożeńcy są ciągle w siódmym niebie, Windust wymyka się z łóżka, robi to, po co przyjechał do Gwatemali, po czym wraca nad ranem, przyciska kutasa do jej tyłka, jak mogła nie wiedzieć? W jaką niewinność może ciągle wierzyć?

Co noc strzały z broni maszynowej, nieregularny puls światła o barwie płomieni nad wierzchołkami drzew. Okoliczni mieszkańcy zaczęli uciekać. Pewnego ranka Windust zastał swoje biuro opuszczone, usunięto z niego wszystkie poufne materiały. Żadnych śladów neoliberalnych szumowin, z którymi wślizgnął się do miasta. Może miało to związek z pojawieniem się w nocy niezadowolonych wieśniaków z maczetami w rękach. Ktoś napisał szminką na ścianie boksu: SALSIPUEDES SKURWYSYNY. Z tyłu, na pokrytym popiołami podwórku, znajdował się pusty pojemnik po benzynie o pojemności pięćdziesięciu pięciu galonów, zwęglone papiery ciągle dymiły. Nigdzie ani jednego jankesa, nie wspominając o najemnikach z Izraela i Tajwanu, z którymi koordynował swoje akcje – wszyscy nagle zniknęli.

– Dał mi minutę na spakowanie torby. Bluzka, którą miałam na naszym ślubie, trochę fotografii rodzinnych, skarpetka z plikiem quetzali, mały SIG-Sauer kaliber dwadzieścia dwa, którego nigdy nie lubił i w końcu mi podarował.

Na mapie granica meksykańska nie wydawała się odległa, ale chociaż najpierw podążyli w stronę wybrzeża, z dala od gór, teren okazał się trudny i pojawiły się przeszkody – patrole wojskowe, krwiożerczy komandosi z jednostki Kaibil, *guerrilleros*, którzy z miejsca zastrzeliliby każdego gringo. Od czasu do czasu Windust mrucał: „Mamy kłopoty” i musieli się kryć. Trwało to wiele dni, lecz w końcu bezpiecznie przekroczyli granicę Meksyku. W Tapachula dotarli do autostrady i pojechali autobusami na północ. Pewnego ranka na dworcu autobusowym w Oaxaca, kiedy siedzieli pod daszkiem

z liści palmowych, ułożonym na palach, Windust nagle przyklęknął i wręczył Xiomarze pierścionek z największym diamentem, jaki w życiu widziała.

– Co to takiego?

– Zapomniałem ci dać pierścionek zaręczynowy.

Próbowała go włożyć, ale nie pasował.

– Nic nie szkodzi – rzekł. – Chcę, żebyś go sprzedała, kiedy już będziesz w stolicy.

Dopiero wtedy, gdy użył liczby pojedynczej, a nie mnogiej, zrozumiała, że odchodzi. Pocałował ją na pożegnanie, odwrócił się plecami do może ostatniego dobrego uczynku w swoim życiu i wyszedł z dworca. Kiedy uświadomiła sobie, że powinna wstać i za nim pobiec, odjechał już twardymi drogami na mroźną północ, ku przeznaczeniu, przed którym chciała go uratować.

– Głupia dziewczynka. Jego agencja zajęła się unieważnieniem małżeństwa, znalazła mi pracę na Insurgentes Sur, po jakimś czasie stałam się wolna, nie było sensu mnie tropić, coraz częściej pracowałam z grupami uchodźców, w komitetach pomocy, Huehuetenango nadal istniało, wojna musiała trwać ciągle, trochę jak w starym meksykańskim dowcipie, *de Guatemala a Guatapeor*.

Doszły do Fulton Landing. Manhattan jest tak blisko, tak wyraźnie widoczny, jednak jedenastego września rzeka była czymś w rodzaju metafizycznej bariery. Ludzie, którzy obserwowali ataki z tego miejsca, z pozoru bezpiecznego, choć już nie uważali go za bezpieczne, widzieli okropne sceny, tysiące przerażonych istot przechodzących przez most,

pokrytych pyłem, śmierdzących wybuchem, dymem i śmiercią, z pustymi oczami, uciekających w szoku. Tymczasem na niebie rozpływał się straszliwy pióropusz dymu.

– Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebyśmy przeszły przez most do punktu zero?

Jasne. Po prostu kolejna turystka w Nowym Jorku, kolejne miejsce, które trzeba obowiązkowo odwiedzić. A może właśnie o to chodzi, może ktoś rozgrywa Maxine, puszcza ją jak starą winylową płytę?

– Znowu mówisz „my”, Xiomaro.

– Nigdy tam nie byłaś?

– Nie po atakach. Prawdę powiedziawszy, specjalnie unikałam tego miejsca. Zamierzasz na mnie donieść, że nie jestem wystarczająco patriotyczna?

– Chodzi o mnie. Mam obsesję.

Znów idą mostem, tak bliskie wolności jak to możliwe w Nowym Jorku, między warunkami, zimny wiatr wiejący od strony zatoki oznajmia, że nad Jersey unosi się coś ciemnego, nie noc, jeszcze nie, coś innego, coraz bliższego, jakby wsysanego w dzieje zabudowy pustego miejsca, gdzie niegdyś stały wieże World Trade Center, tworzącego złudzenia optyczne, smutne światło.

Suną naprzód niczym sanitariusze w stronę pokoju człowieka, który obudził się z obywatelskiego koszmaru i który nie może liczyć na pocieszenie. Obok krążą otwarte pojazdy z ludźmi ubranymi w identyczne plastikowe peleryny z logo agencji turystycznej. W Church i Fulton znajduje się platforma widokowa, skąd ludzie mogą patrzeć przez ogrodzenia

z drucianej siatki i zapory na wywrotki, dźwigi i spychacze usuwające stosy gruzu, które ciągle mają wysokość jedenastu lub dwunastu pięter, spoglądać na to, co powinno być aurą tego świętego miejsca, lecz nie jest. Policjanci z tubami kierują ruchem przechodniów. Pobliskie budynki, uszkodzone, lecz ciągle stojące, niektóre spowite czarną siatką, niczym żałobnicy, jeden z ogromną flagą amerykańską na górnych piętrach, są niemymi świadkami – ciemne, pozbawione szyb okna wyglądają jak oczodoły. Handlarze uliczni sprzedają T-shirty, przyciski do papieru, breloki do kluczy, podkładki do myszy komputerowych, kubki do kawy.

Maxine i Xiomara stoją przez chwilę, patrząc na to wszystko.

– Chodziło nie o Statuę Wolności – mówi Maxine. – Nie o Ukochany Monument, tylko o czystą geometrię. Wysadzili ją w powietrze i zmienili w piksele.

Maxine jest na tyle ostrożna, że nie dodaje, iż zna miejsce, gdzie człowiek krąży po pustym ekranie, klika na mikroskopijne niewidzialne linki, a tam coś na niego czeka, utajone, może geometryczne, może pragnące, by geometria została zaprzeczona w jakiś straszliwy sposób, może święte miasto złożone z samych pikseli, które czekają na to, by je z powrotem ułożono, jakby katastrofy mogły przebiegać wspaniale, wieże powstać z czarnych ruin, kawałki i strzępy ludzkiego życia, nawet zmienione w najdrobniejszy pył, mogły się znowu połączyć...

– Piekło nie musi być pod ziemią. – Xiomara spogląda na nieistniejące wspomnienie tego, co znajdowało się kiedyś w tym

miejscu. – Piekło może być w niebie.

– A Windust...

– Dotty mówiła, że przychodził tu wiele razy po jedenastym wrześniu, jakby nawiedzał to miejsce. Twierdził, że sprawa nie jest zakończona. Ale nie sądzę, że znajduje się tu jego duch. Myślę, że jest w Xibalbie, zjednoczony ze złym bratem bliźniakiem.

Wydaje się, że skazane na zagładę, widmowe budowle otaczające Maxine i Xiomarę pochylają się ku sobie, jakby się naradzały. Jakiś policjant z karmicznej policji mówi, idźcie dalej, ludzie, wszystko skończone, nie ma tu niczego do oglądania. Xiomara bierze Maxine pod rękę i odchodzą w ostrzegawczy prysznic deszczu, metropolia spowita zmierzchem.

Później, po powrocie do domu, w chwili wdowiego zamyślenia Maxine siada w samotności, gasi światło, wyjmuje kopertę z gotówką i wdycha ostatnie ślady zapachu jego podłej wody kolońskiej, próbując przywołać z powrotem coś równie niewidzialnego, nieważkiego i niemożliwego do opisanja jak jego dusza...

Która jest teraz w podziemnym świecie Majów, wędruje w krainie śmierci zaludnionej przez głodnych, zakażonych, zmieniających kształty, morderczo szalonych fanów majskiej koszykówki. Jak hala sportowa Boston Garden, tylko inaczej.

A później, obok chrapiącego Horsta, pod bladym sufitem, przez żaluzje przenikają rozproszone światła miasta, tuż przed zapadnięciem w fazę snu REM, dobranoc. Dobranoc, Nick.



## 40

W weekendowe wieczory w nowojorskich klubach fitness i siłowniach panuje wyjątkowo dziwna atmosfera, zwłaszcza w okresach gorszej koniunktury gospodarczej. Maxine nie może się zdecydować na korzystanie z basenu w Deseret, który uważa za przeklęty, więc poszła ze swoją siostrą Brooke do ultranowoczesnej siłowni o nazwie Megareps, mieszczącej się tuż za rogiem, ale nie jest przyzwyczajona do widoku yuppie na bieżniach, podążających donikąd i oglądających CNN albo kanały sportowe, zwolnionych pracowników dotcomów, którzy nie siedzą w lokalach ze striptizem ani nie grają w gry sieciowe z udziałem ogromnej liczby uczestników. Wszyscy biegają, wiosłują, podnoszą ciężary, rozmawiają z innymi maniakami fitness. Część gości dochodzi do siebie po katastrofalnych randkach, inni są tego wieczoru w takiej desperacji, że szukają towarzystwa na siłowni zamiast w barach. Na dworze pada dziwna zimowa mżawka; krople uderzają w parasole lub w płaszcze przeciwdeszczowe, ale tak naprawdę nic nie jest wilgotne. Maxine idzie do bufetu i ku swojemu przerażeniu zastaje tam March Kelleher, zawzięcie stukającą w klawiaturę laptopa, otoczoną okruchami ciastek i kilkoma papierowymi

kubeczkami, które wykorzystuje jako popielniczki, wywołując irytację pozostałych gości.

– Nie wiedziałam, że należysz do tego klubu, March.

– Czasem tu wpadam, używam darmowych hotspotów w całym mieście, ale już dawno się tutaj nie pokazywałam.

– Śledzę twój blog.

– Zdobyłam ciekawe informacje na temat twojego przyjaciela Windusta. Na przykład, że nie żyje. Czy powinnam to opublikować? Złożyć kondolencje?

– Nie mnie.

March usypia monitor i spogląda uważnie na Maxine.

– Wiesz, że nigdy nie pytałam.

– Dziękuję. Nie uznałabyś tego za zabawne.

– A ty uznałaś?

– Nie jestem pewna.

– W swojej długiej, smutnej karierze w roli teściowej nauczyłam się tylko, że nie należy doradzać. To ja potrzebuję dziś rady.

– Hej, z radością ci jej udzielę. Co się dzieje?

Kwaśna mina.

– Strasznie się martwię o Tallis.

– Czy to coś nowego?

– Sytuacja się pogarsza, nie mogę już wytrzymać, muszę coś zrobić, spróbować z nią porozmawiać. Mam w dupie konsekwencje! Powiedz mi, że to zły pomysł.

– To zły pomysł.

– Jeśli masz na myśli to, że życie jest krótkie, okay, ale z Gabrielem Ice'em, jak na pewno wiesz, może się stać jeszcze

krótsze.

– Co? Zaczął jej grozić?

– Rozstali się. Wyrzucił ją na zbity pysk.

Cóż.

– To niech spada.

– On na tym nie poprzestanie. Czuję to. Tallis jest moim dzieckiem.

W porządku. Kodeks matki przewiduje, że nie wolno dyskutować z takimi stwierdzeniami. Maxine kiwa głową.

– Jak mogę pomóc?

– Pożycz mi pistolet. – Chwila milczenia. – Żartowałam.

– Gdyby mi jeszcze cofnęli pozwolenie na broń, byłabym...

– To tylko przerośnia.

W porządku, ale skoro March, która sama w tej chwili ucieka, żyjąc w ciągłym zagrożeniu, uważa, że Tallis wpadła w takie tarapaty...

– Mogłabym najpierw przeprowadzić niewielki rekonesans, March?

– Jest niewinna, Maxine. Ach, kurwa, zupełnie niewinna...

Ucieczka z gangsterami działającymi na wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej, współudział w praniu pieniędzy na międzynarodową skalę, mnóstwo przestępstw kryminalnych, niewinna, cóż...

– Jak to?

– Wszyscy myślą, że wiedzą więcej niż ona. Stare, smutne złudzenie każdego odwszonego mądrali w tym żalonym mieście. Wszyscy są przekonani, że żyją w „realnym świecie”, a ona nie.

– A zatem?

– Na tym właśnie polega niewinność. – Ton głosu, którego używasz, gdy sądzisz, że trzeba komuś coś wyjaśnić.

\* \* \*

Tallis, wyrzucona z eleganckiego apartamentu na East Side, który dzieliła z Ice'em, znalazła dużą pralnię, przerobioną na mieszkanie w jednym z nowych wieżowców w dalszej części Upper East Side. Budynek wygląda bardziej jak maszyna. Jasny, metaliczny, odbijający światło, wysoki na kilkadziesiąt pięter, otoczony balkonami przypominającymi radiatory, bez nazwy, tylko numer ukryty tak dyskretnie, że ani jeden z setki mieszkańców nie potrafi go podać, jeśli ktoś zapyta. Tallis spędza wieczór wśród mnóstwa butelek – wystarczyłoby ich na zaopatrzenie baru w chińskiej restauracji – i prosto z jednej pije likier Hypnotiq. Nie częstuje Maxine.

W tym miejscu, na skraju wyspy, była niegdyś bocznica kolejowa. W dole nadal jeżdżą tunelami pociągi docierające do Pennsylvania Station; słychać przeciągłe syreny w tonacji B-dur, głębokie niczym sen, a tymczasem w półmroku, koło okien pociągów, szepcząc o przemijaniu, krążą duchy artystów, malujących graffiti na ścianach tuneli, i bezdomnych, z którymi władze miejskie nie potrafią sobie poradzić: zastanawiają się, czy ich usunąć, zignorować, czy też jednak usunąć? W górze znajduje się wybudowany tanim kosztem kompleks budynków mieszkalnych, gdzie nieustannie zmieniają się najemcy,

bezlitośnie efemeryczni jak podróżni w dziewiętnastowiecznym hoteliku przy stacji kolejowej.

– Najpierw zauważyłam, że ktoś systematycznie odcina mi dostęp do stron internetowych, które zwykle odwiedzam. – Tallis skarży się nie tyle Maxine, ile raczej każdemu, kto chciałby słuchać. – Nie mogłam robić zakupów w sieci, czatować, a po pewnym czasie prowadzić normalnych interesów firmy. W końcu, gdziekolwiek poszłam, natrafiałam na coś w rodzaju muru. Okna dialogowe, wyskakujące komunikaty, najczęściej z pogrózkami, niekiedy przepraszające. Każde kliknięcie skazywało mnie na banicję.

– Rozmawiałaś o tym z mężusiem prezesem?

– Jasne, wrzeszczał na mnie, wyrzucał moje rzeczy przez okno, przypominał, że źle skończę. Miła dyskusja między dorosłymi.

Małżeństwa. Cóż można powiedzieć? „Nie zapomnij o prześięgowaniu straty, jasne?”. Maxine patrzy na Tallis, szukając oznak wilgotnienia oczu i spodziewając się, że była żona Ice’a za chwilę się rozklei, ale z ulgą widzi pełen irytacji gest Tallis, która unosi paznokieć do warg, jak w cięciu skokowym, a potem go odsuwa.

– Starłaś się odkryć sekrety mojego męża... zechcesz mi o nich opowiedzieć?

– Na razie nie ma żadnych dowodów.

Skinienie głową, bez zdziwienia.

– Ale czy jest, sama nie wiem, o coś podejrzewany? – Tallis spogląda w kąt pokoju, jej głos łagodnieje, znika ostrość. – *Geek*,

który nie mógł zasnąć. Fikcyjny horror, udawaliśmy, że w nim uczestniczymy. Dawno temu Gabe był takim miłym chłopcem.

Tallis wyrusza w podróż w czasie, a Maxine ogląda zapasy trunków. W tej chwili Tallis wspomina kilka nabożeństw po jedenastym września, gdy reprezentowała hashslingrz, stojąc wśród delegacji mądrali o suchych oczach, którzy wyglądali, jakby czym prędzej chcieli się z powrotem zająć krótką sprzedażą akcji. Nagle zauważyła jednego z dudziarzy improwizujących *Candle in the Wind*, który wydał jej się znajomy. Okazało się, że to dawny współlokator Gabriela, Dieter, obecnie zawodowy dudziarz. Później uczestników uroczystości zaproszono na poczęstunek i Tallis zaczęła rozmawiać z Dieterem, starając się unikać żartów na temat spódniczek, chociaż nie miała do czynienia z Seanem Connerym.

Zapotrzebowanie na dudziarzy było olbrzymie. Dieter, obecnie zarejestrowany jako prywatny przedsiębiorca korzystający z ulg podatkowych, stworzył zespół z dwoma kolegami ze studiów w Carnegie Mellon University i po jedenastym września mieli tak dużo zleceń, że nie wiedzieli, jak sobie z nimi radzić: wesela, bar micwy, otwarcia sklepów meblowych...

- Wesela? – pyta Maxine.
- Zdziwiłabyś się, jak często. Kiedy grają na weselu lament pogrzebowy, wszyscy pękają ze śmiechu.
- Wyobrażam sobie.
- Rzadko uczestniczą w pogrzebach policjantów, policja ma własne orkiestry. Najczęściej to prywatne uroczystości, takie jak

ta, na której byliśmy. Dieter wpadł w filozoficzny nastrój, mówił, że czasami to stresująca praca, że czuje się jak służba ratownicza, zawsze gotowa do wyjazdu, czekająca na wezwanie.

– Czekająca na następny...

– Tak.

– Myślisz, że może być swego rodzaju wskaźnikiem?

– Dieter? Dudziarze mieliby dostawać cynk przed następnym atakiem? To byłoby bardzo dziwne.

– Cóż, czy ty i twój mąż utrzymywaliście stosunki towarzyskie z Dieterem?

– Słucham? On i Gabe mogli nawet robić jakieś interesy.

– Jasne. Dawni współlokatorzy czasem się przydają, prawda?

– Wyglądało na to, że planują jakieś wspólne przedsięwzięcie, ale nigdy mi nic nie powiedzieli. Cokolwiek to było, nie pojawiło się w dokumentach.

Wspólny projekt Gabriela Ice'a i człowieka, którego kariera zależy od masowej żałoby. Hm.

– Zaprosiłaś go kiedyś do Montauk?

– Tak naprawdę...

Graj na thereminie, a ty, Maxine, myśl.

– Ta sprawa, z pozoru niemiła, może się okazać dla ciebie błogosławieństwem, Tallis, a tymczasem... Czy zadzwoniłaś do matki?

– Myślisz, że powinnam?

– Chyba już dawno. – Plus pokrewna myśl. – Posłuchaj, nie chcę być wścibska, ale...

– Czy jest facet. Naturalnie. Czy może pomóc? Dobre pytanie. – Tallis sięga po butelkę likieru Hypnotiq.

– Tallis... – Maxine stara się, by w jej głosie nie brzmiało znużenie. – Wiem, że masz przyjaciela, ale nie jest on niczym „facetem”, chyba że twojego męża. Szczerze mówiąc, to nie jest takie przyjemne, jak ci się wydaje... – Relacjonuje skróconą wersję przestępstw Chazza Lardaya, w tym jego umowę z Ice'em na temat kontaktów z żoną. – To pułapka. Jak dotychczas robisz dokładnie to, czego chce twój mąż.

– Nie. Chazz... – czy za chwilę Tallis powie...? – ...mnie kocha. – Maxine mimo woli zaczyna myśleć o pistolecie, który ma w torebce, lecz Tallis ją zaskakuje. – Chazz to kutas, gość ze wschodniej części Teksasu, jedno to cena drugiego, można powiedzieć.

– Zaczekaj chwilę. – Od pewnego czasu na skraju pola widzenia Maxine mruga jakieś światełko. Okazuje się, że to lampka na niewielkiej kamerze przemysłowej w jednym z ciemnych kątów sufitu. – To motel, Tallis? Kto to tam umieścił?

– Wcześniej tego nie było.

– Myślisz...

– Wszystko się zgadza.

– Masz drabinę? – Nie. – Szczotkę? – Znajdują mopa z gąbką. Na zmianę walą kijem w kamerę, złowrogi symbol technologii, wiszący w rogu sufitu, aż urządzenie spada z trzaskiem na podłogę. – Wiesz, powinnaś być w jakimś bezpieczniejszym miejscu...

– Gdzie? U mamy? Prawie nie ma dokąd iść, nie chodzi o mnie, ona sobie nie radzi.



– Coś znajdziemy. Stracili ją z oczu, przyjdą tutaj, musimy się stąd zmyć.

Tallis wrzuca trochę rzeczy do dużej torby na ramię, po czym idą do windy i zjeżdżają dwadzieścia pięter w dół. Docierają do złoconego holu o rozmiarach dworca kolejowego Grand Central, z kwiatami za kilka tysięcy dolarów, zmienianymi każdego dnia...

– Pani Ice? – Portier spogląda na Tallis z lękiem i szacunkiem.

– Niedługo przestanę być panią Ice, Dragoslavie. O co chodzi?

– Było tu dwóch panów, powiedzieli, że wkrótce przyjdą się z panią zobaczyć.

– To wszystko? – Zdziwione zmarszczenie brwi.

Maxine ma nagły przypływ intuicji.

– Przypadkiem nie rapowali po rosyjsku?

– Tak, to oni. Czy mogłaby im pani powtórzyć, że przekazałem wiadomość, jak obiecałem?

– To mili chłopcy – mówi Maxine. – Doprawdy, nie ma się czym martwić.

– Przepraszam, ale „martwić się” to za mało powiedziane.

– Tallis, nie byłaś...

– Nie znam tych ludzi, a ty najwyraźniej tak. Zamierzasz mi coś wyjaśnić?

Wychodzą na ulicę. Nad Jersey ciemnieje niebo, żadnych taksówek i kilka mil do metra. Nagle z za rogu wyjeżdża, tak, ził-41047 Igora, najwyraźniej z nową hydrauliką, dziś wieczorem wygląda jak elegancka szmarawozka: złote,

wykonane na specjalne zamówienie dekle z mrugającymi czerwonymi diodami, ultranowoczesne anteny, ornamenty namalowane na karoserii. Zbliża się i z piskiem opon staje obok Tallis i Maxine. Na chodnik wyskakują Misza i Grisza, w ciemnych okularach marki Oakley OvertheTop, w rękach trzymają pistolety maszynowe PP-19 Bizon. Kiwiają nimi, każąc Tallis i Maxine zająć miejsca na tylnym siedzeniu limuzyny. Maxine zostaje profesjonalnie, choć niezbyt grzecznie zrewidowana i beretta z torebki staje się nieosiągalna.

– Misza! Grisza! A uważałam was za dżentelmenów!

– Twoja *puszka* wróci do ciebie. – Misza uśmiecha się przyjaźnie stalowymi zębami, po czym siada za kierownicą i rusza.

– To pozwala uniknąć komplikacji – dodaje Grisza. – Pamiętasz serial *Dobry, zły i brzydki*, trójstronny pat? Pamiętasz, jakie kłopoty wynikły z samego patrzenia?

– Nie gniewajcie się, że pytam, ale co się właściwie dzieje?

– Jeszcze pięć minut temu plan był bardzo prosty – mówi Grisza. – Mieliśmy porwać tę śliczną Pamelę Anderson.

– Co takiego, mnie?! – pyta Tallis.

– Tallis, proszę... a teraz plan nie jest już taki prosty?

– Nie spodziewaliśmy się, że ty także przyjedziesz – mówi Grisza.

– Ach, zamierzaliście ją porwać i zażądać okupu od Gabriela Ice'a? Pozwólcie mi się trochę pośmiać, chłopcy. Ty im powiesz, Tallis, czy ja mam to zrobić?

– Och! – Obaj goryle wzdychają jednocześnie.

– Chyba nie dosłyszeliście. Ja i Gabe zamierzamy się rozwieść, czeka nas koszmarna sprawa sądowa. W tej chwili mój przyszły były mąż usiłuje skasować wszystkie informacje na mój temat dostępne w internecie. Chyba nie zapłaciliby ani grosza, przykro mi, chłopcy.

– *Gawno*. – Pełna harmonia.

– Chyba że to on was wynajął, by się mnie pozbyć.

– Pieprzony Gabriel Ice! – Grisza jest oburzony. – Oligarcha, bydlak, złodziej, morderca!

– To wszystko *niczewo* – mówi beztrosko Misza. – Ale pracuje również dla amerykańskiej tajnej policji i dlatego pozostaniemy na zawsze śmiertelnymi wrogami. Przysięgliśmy, że nigdy nie będziemy współpracować z policją. To starsze niż *wory*, starsze niż Gułag.

– Kara za złamanie tej zasady to śmierć – dodaje Grisza. – Nie po prostu śmierć fizyczna, tylko duchowa.

– Tallis jest zdenerwowana – wtrąca szybko Maxine. – Nie chciała was obrazić.

– Ile zamierzał zapłacić, jak myślicie? – pyta Tallis.

Rozbawiona wymianą zdań po rosyjsku Maxine wyobraża sobie, że brzmi to mniej więcej tak: „Czy te pieprzone Amerykanki interesują się tylko swoją ceną? Naród kurw”.

– Coś w stylu Austina Powersa – wyjaśnia Misza. – Powiemy Ice’owi: „Bądź grzecznym chłopcem!”.

– Bomba! – woła Grisza.

Przybijają sobie piątkę.

– Mamy dzisiaj coś do załatwienia – ciągnie Misza – i porwanie pani Ice miało być tylko zabezpieczeniem na

wypadek, gdyby ktoś się zrobił za sprytny.

– Wygląda na to, że nic z tego – mówi Maxine.

– Przepraszam, możemy już wysiąść? – pyta Tallis.

W tym momencie opuszczają Cross Country i wjeżdżają na autostradę Thruway, mijając makietę stodoły i silosu zbożowego koło restauracji Stew Leonard's, legendy w dziejach oszustw dokonywanych w punktach sprzedaży, po czym jadą w kierunku Mostu Szympanów, jak go kiedyś nazywał Otis.

– Po co się śpieszyć? Wieczór w miłym towarzystwie. Trochę rozmów. Niech się panie czują jak u siebie.

W lodówce jest szampan. Grisza otwiera paczkę cygar El Productos, pełną marihuany, i zapala jointa; po chwili wszyscy zaczynają odczuwać skutki uboczne. Z głośników dobiega nostalgiczny rosyjski hip-hop z lat osiemdziesiątych, składanka przygotowana przez chłopców, w tym hymn kierowców *Ty nie odin* w wykonaniu grupy DDT i nastrojowa ballada *Wietier*.

– To gdzie jedziemy? – pyta zalotnie Tallis, jakby miała nadzieję, że dojdzie do orgii.

– Poza Nowy Jork. Hashslingrz ma w górach tajną farmę serwerów, jasne?

– Góry Adirondack, jezioro Heatsink... I chcecie nas wieźć tak daleko?

– Tak, to kawał drogi, prawda? – odzywa się Maxine.

– Może nie będziecie musiały tak długo jechać... – Grisza z groźną miną gładzi lufę bizona.

– To kretyn – wyjaśnia Misza. – Tyle lat w Centralnym Więzieniu we Włodzimierzu, a niczego się nie nauczył. Mamy

spotkanie z Jurijem w Poughkeepsie, możemy was wysadzić koło stacji kolejowej.

– Skoro chcecie znaleźć farmę serwerów, mogę wam narysować mapę. – Tallis wyjmuje organizer i znajduje pustą stronę.

Grisza mruży oczy.

– Nie musimy was rozwalać?

– Och, naprawdę chciałbyś do mnie strzelać z tego brzydkiego, wielkiego pistoletu maszynowego? – Tallis unika wzroku Griszy do chwili, gdy wymawia słowo „wielki”.

– Mapa by się przydała. – Misza stara się mówić przyjaznym tonem.

– Gabe raz mnie tam zabrał. Jaskinie głęboko pod ziemią w pobliżu jeziora. W większości pionowe, mnóstwo poziomów, numery pięter w windzie były zawsze oznaczone minusem. Na terenie posiadłości mieścił się kiedyś letni obóz. Obóz... jakaś indiańska nazwa, Ten Watts, Irokezi, coś w tym rodzaju...

– Obóz Tewattsirokwas. – Maxine przypomina sobie i powstrzymuje okrzyk zaskoczenia.

– Zgadza się.

– „Błędny Ognik” w języku plemienia Mohawk. Tak nam przynajmniej mówiono.

– Byłaś tam na obozie? O mój Boże...

– Co „o mój Boże”, Tallis, ktoś musiał tam jeździć.

Obóz Tewattsirokwas powstał z inicjatywy małżeństwa trockistów, Gimelmanów z Cedarhurst, w czasach awantur związanych z Schachtmanem. Zażarte, wrzaskliwe kłótnie ciągnęły się przez całe noce, a gdy pojawiła się tam Maxine, nie

było wcale ciszej. W górach stanu Nowy Jork, porośniętych trującym sumakiem, znajdowało się wówczas wiele podobnych obozów. Jedzenie z bufetu, barwne stroje, kajaki na jeziorze, śpiewanie *Marching to Astoria, Zum Gali Gali*, wieczorki taneczne – aaach! Wesley Epstein!

Opiekunowie zatrudnieni w obozie Tewattsirokwas uwielbiali straszyć dzieci miejscowymi legendami o jeziorze Heatsink – w dawnych czasach Indianie mieli unikać tego miejsca, czując trwogę przed istotami żyjącymi w głębi. W jeziorze mieszkały fosforyzujące płaszczki o ogromnych skrzydłach, wielkie albinotyczne węgorze potrafiące wychodzić na ląd, z demonicznymi twarzami, mówiące w języku Irokezów o horrorach, które czekają każdego, kto zanurzy w wodzie choćby palec u nogi...

– Każ jej przestać! – Grisza drży. – Zaczynam się bać!

– Nic dziwnego, że Gabe’owi się tam podobało – zauważa Tallis.

Wydaje się, że Ice wybrał jezioro Heatsink, ponieważ jest głębsze i chłodniejsze od innych zbiorników wodnych w górach Adirondack. Maxine przypomina sobie jego mowę podczas Kotylionu Geeków, gdy opowiadał o migracji na północ, w stronę fiordów i jezior w rejonie subarktycznym, gdzie sztuczne ciepło generowane przez serwery może w końcu skazić ostatnie czyste miejsca na planecie.

W głośnikach rozlega się *Ride Wit Me* śpiewane przez rapera Nelly’ego. Kiedy pędzący ził dociera do Thruway, wokół widać smutny zimowy krajobraz: niewielkie farmy, zamarzniete pola, drzewa, które wyglądają, jakby miały nigdy

więcej nie wypuścić liści. Misza i Grisza zaczynają podskakiwać na siedzeniach i nucić: *Hey! Must be the money!*

– Nie chcę być wścibska – oczywiście nie jest to cecha Maxine – ale domyślam się, że nie zamierzacie tu po prostu wpaść i skorzystać z automatu z kanapkami?

Kolejna wymiana zdań w rosyjskiej grypserze. Podejrzliwe spojrzenia. W jakimś zaniedbanym obszarze mózgu Maxine tli się świadomość, że plotkarstwo może się okazać bardzo niebezpieczne, lecz mimo to wypuszcza niewielki balon próbny.

– Czy to prawda, że farmy serwerów, nawet bardzo starannie ukryte, są bezbronne i narażone na atak, ponieważ emitują promieniowanie, które mogą wykrywać rakiety naprowadzane na podczerwień? – pyta, imitując morderczy tupet Elaine.

– Rakiety? Sorry.

– Dziś wieczorem żadnych rakiet. Tylko mały eksperyment.

Zatrzymują się, by zatankować, Misza i Grisza prowadzą Maxine do bagażnika zila i otwierają go. Coś długiego, cylindrycznego, kryzy ze śrubami, jakieś urządzenia elektryczne...

– Fajne! Którym końcem wydycha się powietrze...? O kurwa, zaczekajcie, wiem, co to jest! Widziałam tę rurę na filmie Rega! To wirkator, prawda? Zaczekajcie, niech pomyślę... Zamierzacie zaatakować farmę serwerów impulsem elektromagnetycznym?

– Tss! – ostrzega ją Misza.

– Tylko dziesięć procent mocy – zapewnia Grisza.

– Może dwadzieścia.

– Eksperyment.

– Nie powinniście mi tego pokazywać. – Maxine dochodzi do wniosku, że broń konwencjonalna oznacza drugą ligę, lecz z drugiej strony nie można wykluczyć, że to wariaci.

– Igor mówi, że mamy ci ufać.

– Jeśli ktoś spyta, niczego nie widziałam, to dobre, chłopcy, *niczewo*, moim zdaniem ci z hashslingrz od dawna zasługują na odrobinę przykrości.

– *Po chuj!* – Grisza się rozpromienia. – Server Ice’a się upiecze!

Naturalnie Maxine często widzi taką postawę, ślepią wiarę w klęskę przeciwnika, ale to się nigdy nie sprawdza. Och, ta podróż niezbyt dobrze się zapowiada. Dzisiaj żadnych orgii, żadnego brania zakładników, Boże, dopomóż im wszystkim, to zabawa nerdów, wycieczka w niebezpieczną krainę, w środek coraz mroźniejszej nocy, by stanąć oko w oko z wrogiem.

Kiedy samochód wjeżdża z powrotem na Thruway, Grisza zastępuje Miszę za kierownicą.

– Wszystko jest na pewno bardzo dobrze strzeżone – mówi Maxine, jakby nagle jej to przyszło do głowy. – Jak zamierzacie ominąć strażników?

– Właśnie! – Tallis mówi beztroskim tonem, udając twardziela. – Chcecie staranować bramę?

Misza podciąga rękaw, pokazując jeden z więziennych tatuaży. Niepokalana Matka Boska trzyma swoje dziecko, Jezusa, a na jego czole, w miejscu, gdzie zwykle umieszcza się trzecie oko, Maxine zauważa niewielkie wybrzuszenie wielkości pryszczka, którego dzieci nie mają.



– Transponder wszczepiony pod skórę – wyjaśnia Misza. – Powiedziała nam to jedna sprytna *niaszeczka* specjalizująca się w sztuczkach psychologicznych, którą poznaliśmy w barze.

– U Tiffany’ego – przypomina sobie Grisza.

– Coś takiego mają wszyscy pracujący dla hashslingrz, więc ochrona zawsze może określić ich położenie.

Zaczekaj chwilę.

– Mąż mojej siostry chodzi z implantem, który pozwala go namierzać? Od...

Wzruszenie ramionami.

– Dwóch miesięcy. Nawet Ice ma coś takiego. Nie wiedziałaś?

– A ty, Tallis?

– Dopóki mój dermatolog nie wrócił z wyspy Sint Maarten na Karaibach i go nie usunął.

– Kiedy przestałaś nadawać, mężulek nic nie powiedział?

Elegancki paznokiec.

– Chyba myślałam tylko o Chazzie i o sobie oraz o tym, jak to ukryć przed Gabe’em.

– Jeszcze raz, Tallis. – Maxine nie chce być brutalna, ale z tych informacji niewiele wynika. – Gabe wiedział, on to wszystko zaplanował, więc oczywiście nie robił problemów.

Uparta dziewczyna. Maxine zastanawia się, jak March sobie z nią radziła.

Wnętrze limuzyny stało się szare i po gaussowsku rozmazane od dymu tanich cygar i drogiej marihuany. Chłopcy stają się weseli i mniej ostrożni. Przed wszystkim przyznają, że w Rosji trafili do więzienia za drobne przestępstwa hakerskie,

z paragrafu dwieście siedemdziesiąt dwa, nielegalny dostęp, przełamywanie zabezpieczeń. Nie siedzieli dostatecznie długo, by zasłużyć na prawdziwe tatuaże więzienne, więc później po pijanemu zrobili je sobie w Brooklynie w salonie tatuażu, którego klientami są ludzie chcący się wydawać groźniejsi, niż są w rzeczywistości. Misza i Grisha lekkim tonem wymieniają uwagi, dyskutują, który z nich jest zuchwalszym przestępcą, wymachują pistoletami maszynowymi. Maxine ma nadzieję, że to tylko chwyt retoryczny.

– Kiedy ostatni raz rozmawiałam z Igorem – brnie dalej – mówił, że konflikt między wami a Ice'em nie ma nic wspólnego z KGB.

– Igor nic nie wie o naszej dzisiejszej wycieczce.

– Jasne, że nie, Misza. Powiedzmy, że może wszystkiemu zaprzeczyć, a wy działacie wyłącznie na własną rękę. Ciągle się zastanawiam, dlaczego nie robicie tego z nieco większej odległości, na przykład w internecie. Overflow, ataki DOS.

– Zbyt instytucjonalne. Metody szkoły hakerów. Grisha i ja lubimy działać z bliska. Nie zauważyłaś? W ten sposób jest to bardziej osobiste.

– Cóż, jeśli to sprawa osobista... – Maxine nie wspomina o Lesterze Traipsie, ale przymrużone oczy Miszy patrzą niemal życzliwie, spojrzenie jak na propagandowych fotografiach Stalina.

– Nie chodzi tylko o Lestera. Proszę, Ice coś szykuje, wiesz o tym, wszyscy o tym wiemy. Ale lepiej, żebyś nie wiedziała wszystkiego.

Dejmos i Fobos, brutalni gracze, uczciwe anioły zemsty, czy tak? Może dziś wieczorem chodzi o coś więcej niż tylko o Lestera, ale czy Lester nie wystarczyłby? Zobaczył coś, czego nie powinien był widzieć, lecz inspekcja, która zakończyła się jego śmiercią, wznosząc obłoki niepewności nad arkuszami kalkulacyjnymi dokumentującymi tajne przepływy gotówki, jest czymś niedozwolonym między cywilami...

– Okay, a trochę?

Dwaj Rosjanie wymieniają psotne spojrzenia. *Anasza* potrafi robić zabawne rzeczy z mężczyzną. Nawet z dwoma mężczyznami.

– Słyszałaś o skoku spadochronowym HALO – mówi Misza.

– Igor wszystkim opowiada tę historię.

– Zwłaszcza ładnym babkom – zauważa Grisza.

– Nie HALO, tylko HAHO. Skok spadochronowy HAHO.

– Czyli... śmiech w czasie całego lotu, nie, zaczekaj, po angielsku brzmi to *High Altitude*...

– *High Opening*. Spadochrony otwierają się na wysokości jakichś dwudziestu siedmiu tysięcy stóp, a ty i twój oddział możecie przelecieć trzydzieści, czterdzieści mil, rozrzućeni na niebie. Gość znajdujący się najniżej jest wyposażony w odbiornik GLONASS...

– Coś w rodzaju rosyjskiego GPS. Pewnej nocy Igor dowodzi zrzutem na teren opanowany przez nieprzyjaciela, wszystko się pieprzy, *praporszczyk* dostaje świra z niedotlenienia, wiatr rozprasza wszystkich nad połową Kaukazu, GLONASS przestaje działać. Igor ląduje szczęśliwie, ale jest zupełnie sam. Nie wiadomo, gdzie jest baza ani czy w ogóle jest. Próbuje znaleźć

resztę oddziału za pomocą mapy i kompasu. Po kilku dniach czuje smród. Mała wioska, wszyscy zabici. Młodzi, starzy, psy, nie ma nikogo żywego.

– Spalona. Wtedy Igor przeżywa kryzys duchowy.

– Nie tylko odchodzi ze Specnazu: kiedy ma już dość pieniędzy, tworzy własny fundusz reparacyjny.

– Wysłała pieniądze Czeczenom? – pyta Maxine. – Nie uznaje się tego za zdradę?

– Forsy jest mnóstwo, a w tym czasie Igor już dobrze się zabezpieczył. Zastanawia się nawet nad przejściem na islam, ale to zbyt skomplikowane. Kończy się wojna, wybucha następna, część ludzi, którym pomagał, to w tej chwili partyzanci. Sytuacja się komplikuje. Są Czeczeni i Czeczeni.

– Niektórzy dobrzy, niektórzy źli.

Maxine nie jest w stanie zapamiętać nazw organizacji tworzących ruch oporu. I nagle – to nie olśnienie, tylko rodzaj słabego światła – coś sobie przypomina.

– A więc pieniądze, które Lester podkradał Ice’owi...

– Trafiały do terrorystów za pośrednictwem kretyńskiej organizacji wahhabitów wykorzystywanej jako parawan. Igor wiedział, jak się dostać do tych pieniędzy, nim się rozpląną na rachunkach w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Ułatwiał pracę Lesterowi, pobierał niewielką marżę. Wszystko *dżef*, aż ktoś się zorientował.

– Ice?

– Albo ktoś, kto prowadzi Ice’a? Ty nam powiedz.

– A Lester... – Maxine uświadamia sobie, że powiedziała to zbyt impulsywnie.

– Lester był jak mały jeź we mgle. Próbował po prostu odnaleźć przyjaciół.

– Biedny Lester.

Czy zaraz wszyscy się rozplaczą?

– Zjazd numer osiemnaście – oznajmia Misza z błyszczącymi oczami, wydmuchując dym. – Poughkeepsie. – W samą porę.

Dworzec kolejowy jest tuż nad mostem. Na parkingu czeka Jurij, beztroski atletyczny młody człowiek, oparty o hummera noszącego ślady długiej historii jazdy po wertepach. Z tyłu znajduje się duża przyczepa z generatorem do broni elektromagnetycznej. Maxine widziała kilka generatorów i ocenia jego moc na dziesięć do piętnastu tysięcy watów. „Dziesięć procent mocy” może być metaforą.

Maxine i Tallis łapią pociąg odjeżdżający do Nowego Jorku o dziesiątej pięćdziesiąt dziewięć.

– Na razie, chłopcy. – Maxine macha ręką. – Dbajcie o siebie. Nie mogę powiedzieć, że naprawdę to aprobuję, nie wiem, czy moi synowie zdobędą kiedyś wirkator...

– Nie zapomnij o tej zabawce! – Dyskretnie zwracają Maxine beretę.

– Dzięki wam ja i Tallis jesteśmy współwinne przestępstwa, może nawet uczestniczymy w zamachu terrorystycznym, zdajecie sobie z tego sprawę?

*Padonki* wymieniają pełne nadziei spojrzenia.

– Tak myślisz?

– Przede wszystkim, to przestępstwo federalne, hashslingrz to część amerykańskich służb specjalnych...

– Ich to w tej chwili nie interesuje! – Tallis ciągnie Maxine po peronie. – Pieprzeni durnie!

Chłopcy machają rękami w stronę odjeżdżającego pociągu.

– *Do swidanija, Maksi! Poka, bielaja kurwa!*

# 41

W drodze powrotnej, w pociągu, Maxine zasnęła. Śni jej się, że ciągle jest w ziele. Pejzaż za oknami to mroźna rosyjska zima, śnieżne pola zalane światłem księżyca, jak za dawnych czasów, gdy podróżowano saniami. Wioska przysypana śniegiem, wieża kościelna, stacja benzynowa zamknięta na noc. Płynne przejście do *Braci Karamazow*, *Doktora Żywago* i bohaterów innych książek, którzy pędzili przez te zimowe krajobrazy w taki sam sposób, gładko, błyskawicznie – nagle w czasie jednej podróży można załatwić kilka spraw, przełom w technice romantycznej. Gdzieś między jeziorem Heatsink a Albany, na mrocznym pustkowiu, krąży wataha czarnych SUV-ów z zapalonymi światłami przeciwmgielnymi, uczestników polowania. Maxine znajduje się w pętli, z której nie ma wyjścia. Kiedy odzyskuje świadomość, sen zmienia się w niezrozumiały arkusz kalkulacyjny. Budzi się w okolicy Spuyten Duyvil, widząc twarz śpiącej Tallis bliżej, niż można się spodziewać, jakby we śnie ich twarze były jeszcze bliższe.

Okolo pierwszej w nocy docierają do dworca Grand Central, głodne.

– Domyślam się, że Oyster Bar jest zamknięty.

– Może mieszkanie jest już bezpieczne – odzywa się Tallis, sama w to nie wierząc. – Wracajmy, coś znajdziemy.

To, co zastają, wydaje się dobrym powodem, by znowu wyjść. Kiedy opuszczają windę, słyszą muzykę z filmu z Elvisem Presleyem.

– Ach... – Tallis szuka kluczy.

Zanim je znajduje, drzwi gwałtownie się otwierają i staje w nich niezbyt wysoki mężczyzna, wywołując przypływ emocji. Za jego plecami, na ekranie, tańczy Shelley Fabares, trzymając transparent z napisem: I'M EVIL.

– Co to takiego? – Maxine wie, co to takiego, nie tak dawno ścigała tego gościa przez pół Manhattanu.

– To Chazz, który nie powinien nawet wiedzieć o istnieniu tego mieszkania.

– Miłość zawsze odnajdzie drogę – odpowiada Chazz, uśmiechając się podstępnie.

– Jesteś tutaj, bo zepsułyśmy kamerę szpiegowską.

– Żartujesz, nienawidzę takich rzeczy, kochana! Gdybym wiedział, sam bym ją zepsuł!

– Wracaj, skąd przyszedłeś, Chazz, powiedz swojemu alfonsowi, że transakcja nie dojdzie do skutku.

– Proszę, daj mi tylko minutkę, cukiereczku, przyznaję, że na początku był to tylko biznes, ale...

– Nie nazywaj mnie cukiereczkiem.

– Błagam cię, słodziutka!

Ach, gwałtowne, może średnio mocne szarpnięcie. Tallis kręci głową i idzie do kuchni.



– Cześć, Chazz! – Maxine macha ręką, jakby stała gdzieś daleko. – Miło cię w końcu poznać, czytałam wyciąg z twojego rejestru przestępstw, fascynująca lektura. Jak to się stało, że rekordzista w zakresie liczby przestępstw kryminalnych zajął się światłowodami?

– Niech pani spróbuje zapomnieć o moich starych grzeszkach i spojrzeć na wszystko ogólnie. Może zobaczy pani jakiś schemat?

– Zastanówmy się... Duże doświadczenie w sprzedaży?

Chazz dobrodusznie kiwa głową.

– Trzeba próbować ich dopaść, gdy są zbyt zdezorientowani, żeby myśleć. W zeszłym roku, gdy pękła bańka internetowa, Darklinear zaczął zatrudniać mnóstwo pracowników. Człowiek czuł się jak w agencji rekrutacyjnej.

– W tym samym czasie, Chazz, mój przyszły były mąż nie płacił twojemu pracodawcy tak dużo, żebym musiała się tym zająć. – Tallis, która wyszła na chwilę do kuchni, przynosi piwo, przekąski, kanapki w torbach.

– On po prostu kupuje światłowody, zajmuje się wyłącznie sprzętem, dobrze płaci, usiłuje zdobyć jak najwięcej kabli, całą infrastrukturę, na początku tylko na północnym wschodzie, a w tej chwili w całych Stanach...

– Słone honoraria za konsultacje – wtrąca Maxine.

– Właśnie o to chodzi. I jest to legalne, może nawet bardziej od... – Milknie i zmienia bieg.

– Och, mów dalej, Chazz, nigdy nie ukrywałeś swojej pogardy dla mnie, dla Gabe'a, dla interesów, które prowadzimy.

– Zawsze miałem na myśli tylko rzeczywistość i udawanie, mój sztuczny słodzik. Jestem po prostu gościem zajmującym się logistyką i infrastrukturą. Światłowody są rzeczywiste, trzeba je ciągnąć po ścianach, wieszać, zakopywać, łączyć. Mają masę. Twój mąż jest bogaty, może nawet inteligentny, ale taki sam jak wy wszyscy, żyje we śnie, w chmurach, w bańce mydlanej. Zastanów się, czy to jest naprawdę rzeczywiste. Sprzęt istnieje tylko wtedy, gdy jest prąd. Co będzie, gdy sieć zostanie wyłączona? Skończy się paliwo dla generatorów, ktoś zestrzeli satelitę, zbombarduje centra operacyjne i wszyscy znowu znajdziecie się na łasce i niełasce Matki Ziemi. Całe to gładzenie o niczym, główniana muzyka, linki, wszystko zniknie.

Maxine wyobraża sobie przez chwilę Miszę i Griszę jako surferów na dziwnym brzegu Atlantyku, czekających w zimnie, w ciemności, z deskami, na nadejście fali, którą przewidział tylko Chazz i kilku innych ludzi.

Chazz znowu sięga po meksykańskie chipsy o smaku *jalapeño*, a Tallis zabiera mu torbę sprzed nosa.

– Więcej nie dostaniesz. Dobranoc, idź powiedzieć Gabe’owi to, co masz mu powiedzieć.

– Nie mogę, bo przestałem dla niego pracować. Nie zamierzam być więcej klaunem w tym jego rodeo.

– Brzmi nieźle, Chazz. A zatem działasz na własny rachunek, wszystko przeze mnie. Czy to przyjemne?

– Przez ciebie, a także z powodu tego, co czułem. Miałem wrażenie, że Ice wysysa ze mnie duszę.

– Zabawne, moja matka zawsze mówiła o nim to samo.

– Wiem, że ty i twoja mama się kłóciłyście, ale naprawdę powinnaś znaleźć sposób, by się z nią pogodzić, Tallis.

– Przepraszam, jest druga w nocy, telewizja śniadaniowa zacznie się dopiero za parę godzin.

– Twoja mama to najważniejsza osoba w twoim życiu. Tylko ona potrafiła ci przyrządzić smaczne purée z ziemniaków. I tylko ona cię rozumiała, gdy zaczęłaś się zadawać z ludźmi, których nie znosiła. Kłamała w kinie, że jesteś starsza, byście mogły oglądać razem horrory dla nastolatków. Niedługo odejdzie, docień ją, dopóki to możliwe.

Chazz wychodzi. Maxine i Tallis stoją i patrzą na siebie. Słyszą śpiew Elvisa.

– Zamierzałam ci doradzić, żebyś go rzuciła – mówi w zamyśleniu Maxine. – Chciałam tobą potrząsnąć... A teraz myślę, że warto wypić jakiś koktajl.

\* \* \*

Horst zasnął na kanapie przed telewizorem w czasie filmu *The Anton Chekhov Story*, z Edwardem Nortonom i Peterem Sarsgaardem w roli Stanisławskiego. Maxine usiłuje przejść na palcach do kuchni, ale Horst, nieprzyzwyczajony do odgłosów domu, nawet we śnie dostrojony do rytmów moteli, natychmiast się budzi.

– Co się, do licha, dzieje, Maxi?

– Przepraszam, nie chciałam...

– Gdzie byłaś przez całą noc?

Maxine jeszcze nie uległa złudzeniom do tego stopnia, by odpowiedzieć dosłownie.

– Siedziałam z Tallis, ona i ten kutas się rozstali, przeniosła się do nowego mieszkania i była szczęśliwa, że ma towarzystwo.

– Jasne. I jeszcze nie ma telefonu. A twoja komórka? Ach, załóżę się, że wyczerpała się bateria.

– O co ci chodzi, Horst?

– Kto to, Maxi? Wolałbym się dowiedzieć teraz niż później.

Aaaach! Może zeszłej nocy w bagażniku ziła włączył się przypadkowo wirkator, a impuls trafił rykoszetem Maxine i jeszcze się nie otrząsnęła? Ponieważ nagle oznajmia, przekonana, że to prawda:

– Nie ma nikogo oprócz ciebie, Horst. Ty pieprzony wole z zanikiem życia emocjonalnego. Nigdy nie będzie.

Jeden mikroskopijny odblokowany receptor Horsta jest w stanie odebrać ten komunikat, toteż nie zaczyna odgrywać roli Ricky’ego Ricardo ze Środkowego Zachodu, tylko chwytą się za głowę w znajomy, idiotyczny sposób i zaczyna się skarżyć:

– Cóż, dzwoniłem do szpitali, dzwoniłem na policję, do redakcji wiadomości telewizyjnych, firm zajmujących się kredytowaniem kaucji sądowych, a potem zacząłem telefonować do ludzi z twojego wizytownika. Skąd masz numer Wujka Dizzy’ego?

– Czasem się kontaktujemy, myśli, że jestem jego kuratorką.

– A ten Włoch, z których chodzisz do barów karaoke?

– Tylko raz, Horst, w większej grupie, i nieprędko znów zrobię coś podobnego.

– Ha! Nie „wkrótce”, tylko nieprędko, tak? Będę siedział w domu, objadając się ze zdenerwowania, a ty pójdziesz do tego baru, szczęśliwa, w czerwonej sukience, *Can't Smile Without You*, efektowne duety, instruktorzy fitness z drugiej strony jakiegoś mostu albo tunelu...

Maxine zdejmuje płaszcz i szalik, postanawiając zostać kilka minut.

– Horst, kochany, któregoś wieczoru pojedziemy razem na karaoke do dzielnicy koreańskiej, okay? Postaram się o czerwoną sukienkę. Potrafisz śpiewać w miarę czysto?

– Słucham? – Jest zaskoczony, jakby wszyscy powinni o tym wiedzieć. – Jasne. Od dzieciństwa. Nie chcieli mnie wpuścić do kościoła, dopóki się nie nauczyłem.

Podpowiedź dla Maxine: dodaj jeszcze jedną pozycję do listy rzeczy, których nie wiesz o tym facecie...

Może zdrzemnęli się chwilę na kanapie. Nagle jest świt. Koło tylnych drzwi ląduje na podłodze „The New York Times”. Szczeniak nowofundland z jedenastego piętra zaczyna wyrażać lęk z powodu rozstania z właścicielami. Chłopcy podejmują swoje poranne spacerunki do lodówki. Widząc rodziców leżących na kanapie, śpiewają hip-hopową wersję starego przeboju duetu Peaches & Herb, *Reunited and It Feels So Good*. Ziggy śpiewa sentymentalny tekst najbardziej wściekłym głosem murzyńskiego rapera, na jaki jest w stanie się zdobyć o tej godzinie, a Otis wybija rytm.

\* \* \*

Nekrologi Lestera Traipse'a, jak zaczyna to nazywać Maxine, trafiają co najwyżej do stanowych serwisów informacyjnych. Nie ma mowy o zainteresowaniu mediów kanadyjskich ani ogólnokrajowych, po czym wszystko ulega zapomnieniu. Nie zachowają się żadne taśmy, żadne rejestry. Misza i Grisza również znikają, przestają uczestniczyć w bieżących wydarzeniach. Igor sugeruje, że mogli zostać odkomenderowani do kraju, że znów trafili do zony, jakiegoś obozu na Dalekim Wschodzie, oznaczonego tylko numerem. Wydarzenia tej nocy stają się kwestią wiary, podobnie jak przypadki zaobserwowania UFO. Stali bywalcy barów w górach Adirondack mogą zaświadczyć, że wieczorem na ekranach telewizorów pojawiła się apokaliptyczna ciemność – znikło absolutnie wszystko: trzeciorzędne filmy fabularne, ledwie znane gwiazdki w skąpych strojach i szpilkach, pomagające w realizacji czyjegoś najnowszego pomysłu na ciekawy projekt showbiznesowy, wiadomości sportowe, reklamy cudownych gadżetów i ziół przywracających młodość, powtórki sitcomów z lepszych czasów, wszystkie formy rzeczywistości, których podstawową jednostką jest piksel. Nagle, w środku nocy, obrazy na ekranach jednocześnie zamarły. Może doszło tylko do awarii jednego z przekaźników na szczytach gór, lecz nie można wykluczyć, że świat uległ resetowi, na krótki czas, przy akompaniamencie powolnego warkotu bębnow z prehistorii Irokezów.

\* \* \*

Avi Deschler wraca z pracy w weselszym nastroju.

– Serwer w górach? Nie ma się czym przejmować, przełączyliśmy się na serwer w Laponii. Ale mam lepsze wiadomości. – W jego głosie brzmi nadzieja. – Chyba zamierzają mnie wyłąć.

Brooke patrzy na swój brzuch jak geograf studiujący globus.

– Ale...

– Nie, zaczekaj, aż usłyszysz o pakiecie kompensacyjnym.

– Uważaj na zwrot „specjalna odprawa” – doradza Maxine.

– To znaczy, że nie możesz ich pozwać do sądu.

Gabriel Ice, zgodnie z przewidywaniami, milczy. Maxine ma nadzieję, że przynajmniej jest wytrącony z równowagi.

– Tallis powinna być trochę bezpieczniejsza – próbuje pocieszyć March. – Twoja córka to dobre dziecko, nie idiotka, jak się wydaje na pierwszy rzut oka.

– Lepsza, niż kiedykolwiek przypuszczałam. – Maxine jest zdziwiona, bo nie sądziła, że March potrafi odczuwać coś w rodzaju wyrzutów sumienia. – Zbyt dobra jak na to, jaką byłam beznadziejną matką. Pamiętasz, jak dzieci były małe i ciągle trzymały nas za rękę na ulicy? Zmuszałam je, żeby szły równie szybko jak ja, więc musiały biec, by mi dotrzymać kroku. Gdzie się tak śpieszyłam, że nie mogłam nawet iść z własnymi dziećmi? – Wydaje się, że wkrótce nastąpi akt skruchy.

– Któregoś dnia bycie beznadziejną matką stanie się dyscypliną olimpijską, znaną jako miszpokatlon. Zobaczmy,

czy się zakwalifikujesz do finału, a na razie nie udawaj świętoszki, wiesz, że robiłaś gorsze rzeczy.

– Znacznie gorsze. A potem przez całe lata nie chciałam o tym myśleć. Teraz to wszystko... Jak mogę nawet...

– Najbardziej ze wszystkiego chcesz się z nią spotykać. Posłuchaj, March, jesteś po prostu zdenerwowana, dlaczego nie miałybyście wpaść do mnie, to neutralne miejsce, napijemy się kawy, zamówimy lunch.

W końcu zamawiają jedzenie w Zippy's Appetizing na 72nd Street, gdzie w dalszym ciągu można znaleźć znakomite kanapki, na przykład gigantyczne bułki cebulowe z pieczoną wołowiną i wątróbkami z kurcząt oraz rosyjskim sosem. W Nowym Jorku jest to rzadkość, relikw z głębi dwudziestego wieku, i Tallis natychmiast koncentruje się na ich opisie w folderze reklamującym jedzenie na telefon.

– Naprawdę chciałabyś zjeść coś takiego? – pyta March pomimo ostrzegawczego spojrzenia Maxine.

– Hm, nie, mam, miałam zamiar po prostu siedzieć i gapić się przez pewien czas na tę kanapkę, co ty na to?

March szybko się zastanawia.

– Ale skoro już ją zamówisz... Może mogłabym spróbować niewielki kawałek? Gdybyś nie miała nic przeciwko temu?

– Od jak dawna jesteś Żydówką? – pyta Maxine kątem ust.

– A skąd się wzięły moje nawyki żywieniowe? – Tallis mówi pasywno-agresywnym tonem, unosząc paznokiec. – Kiedy zamawiałaś posiłki, szłam do drzwi i zastawałam cały oddział dostawców z workami...

– Może dwóch. I tylko jeden raz.



– Otyłość, problemy z sercem, tralala, kogo to obchodzi, dopóki ilość się zgadza, prawda, mammo?

To może wymagać delikatnej interwencji.

– Podzielimy się rachunkiem, okay? – odzywa się Maxine. – Może zanim dostarczą jedzenie, spróbujemy... March, zamówiłaś Sunrise Special z podwójną porcją tłustej wołowiny i kiełbasy, a do tego placek ziemniaczany i sos z jabłek, plus dodatkowy placek ziemniaczany...

– To ja – przerywa jej Tallis.

– Okay, jeszcze rolada z wołowiny... sałatka z ziemniaków do kanapki to kolejne pięćdziesiąt centów...

– Ale ty zamówiłaś dodatkowego ogórka, więc wszystko się równoważy...

Zgodnie z oczekiwaniami Maxine rozmowa zmienia się w ćwiczenia obliczeniowe z zakresu domowej księgowości. Dobrze, że na stole nie leżą prawdziwe pieniądze, pochłaniając energię, która mogłaby się przydać gdzie indziej, lecz i tak warto było poruszyć ten temat, bo dzięki temu uczestnicy rozmowy odzyskali kontakt z rzeczywistością. Maxine musi przyznać, że March i Tallis z pewnością są w stanie rozegrać ten lunch w sposób strategiczny, próbując wywołać niepokój, który pozbawi kogoś apetytu albo przynajmniej go osłabi. Maxine ma nadzieję, że sama nie padnie ofiarą tych zabiegów, ponieważ czeka na dostarczenie Turkey Pastrami Health Combo, które według menu zawiera kiełki kukurydzy, grzyby portobello, awokado, majonez o niskiej zawartości tłuszczu i jeszcze różne inne składniki. Wywołało to wyraz niesmaku na twarzach

March i Tallis, bardzo dobrze, bardzo dobrze, przynajmniej w czymś się zgadzają, to jakiś początek.

Konkurencyjne obliczenia, prawdziwe i taktyczne błędy, ustalenie napiwku i podział podatku trwają do chwili, gdy do drzwi dzwoni Rigoberto. Okazuje się, że jedzenie dostarcza tylko on, ale wiezie je korytarzem na czymś w rodzaju wózka.

Po chwili cały blat stołu w jadalni jest pełny pojemników, butelek z wodą sodową, papierów i plastikowych opakowań, a wszystkie trzy zaczynają jeść kanapki i inne potrawy. Maxine przerywa na moment i patrzy na March.

– Co się stało z tym „uszkodzonym artefaktem” czy cokolwiek to było?

– Yaycchhh gwaahhihucchihnggg. – March kiwa głową i zdejmuje pokrywkę z następnego pojemnika sałatki coleslaw.

Kiedy tempo jedzenia trochę słabnie, Maxine zastanawia się, jak poruszyć temat młodego Kennedy’ego Ice’a, lecz matka i babka ją uprzedzają. Tallis twierdzi, że jej mąż stara się o prawo opieki nad dzieckiem.

– Och, nie! – wybuchają Maxine. – Wykluczone! Kto jest twoim adwokatem?

– Glick Mountainson.

– Jego kancelaria pomogła mi wygrać sprawę o zniesławienie. Dobrzy fachowcy od mordobicia. Jak wygląda sytuacja?

– Według nich pozytywny aspekt polega na tym, że się nie spieram o pieniądze.

– Nie interesują cię pieniądze? – Maxine jest bardziej zdziwiona niż zaszokowana.

– Nie tak bardzo jak ich: mieliby ochotę coś uszczknąć. Przepraszam, ale jestem w stanie myśleć tylko o Kennedym.

– Nie przepraszaj mnie – mówi March.

– W gruncie rzeczy powinnam, mam... Długo nie pozwalaliśmy się wam widywać...

– Cóż, pełne przyznanie się do winy, ale tak naprawdę od czasu do czasu spotykaliśmy się w tajemnicy na parę minut.

– Och, wspominał mi o tym. Bał się, że będę zła.

– Nie byłaś?

– To problem Gabe'a, nie mój. Więc milczeliśmy.

– Jasne. Prowokowanie ojcowskiego gniewu nie miałyby sensu. – Maxine widzi, że w powietrzu wisi zwrot „pieprzony gówniarz”, nie zawsze użyteczny, więc zapobiegawczo chwytając kiszony ogórek, w jakiś sposób przeoczony, i wsadza go March do ust.

Mija lunch, popołudnie, zaczyna się wieczór, zbyt jasny jak na zimę – większość nowojorczyków ciągle myśli, że jest zima. Maxine, Tallis i March przenoszą się do kuchni, a potem wychodzą na ulicę i idą w świetle coraz jaśniejszych lamp ulicznych do domu March.

W którymś momencie Maxine przypomina sobie, że powinna zadzwonić do Horsta.

– Dziś wieczorem mamy babskie spotkanie.

– Pytałem o to?

– Okay, robisz postępy. Mogę także potrzebować impali.

– Zamierzasz wyjechać poza granicę stanu?

– Hm, jakieś problemy z władzami federalnymi?

– Po prostu szybka ocena ryzyka, to wszystko.

– Raczej nie, po prostu pytam.

\* \* \*

Tallis przypadkiem patrzy przez okno na ulicę.

– O kurwa! To Gabe.

Maxine widzi długą białą limuzynę zatrzymującą się przed domem.

– Wygląda znajomo, ale skąd właściwie... – Po chwili zauważa na dachu charakterystyczne ukośne linie tworzące logo hashslingrz.

– Jego prywatna antena satelitarna – wyjaśnia Tallis.

– Cały personel domu jest ze sobą powiązany, coś w rodzaju emerytowanych członków gangu Mara Salvatrucha – mówi March. – Nie powinno być żadnych problemów.

– Jeśli potrafią rozpoznać pliki studolarówek, Gabe zaraz tu będzie – mruczy Tallis.

Maxine chwytą torebkę i z zadowoleniem wyczuwa jej ciężar.

– Jest inne wyjście, March?

Wsiadają do windy dla personelu, jadą do podziemi i wychodzą przez drzwi przeciwpożarowe na dziedziniec z tyłu.

– Zaczekajcie tutaj, a ja postaram się jak najszybciej sprowadzić samochód – mówi Maxine.

Tuż za rogiem jest Warpspeed Parking, gdzie czeka auto. Kiedy sprowadzają impalę, Maxine udziela Hectorowi, pilnującemu bramy, krótkiej konsultacji na temat indywidualnego programu emerytalnego Roth IRA. Ktoś

przekazał mu błędne informacje na temat cnót odchodzenia od tradycji.

– Bez kary? Nie od razu, trzeba czekać pięć lat, Hector, sorry.

Wraca do domu March. Przed wejściem zebrał się tłumek ludzi i trwa głośna awantura. Za kierownicą beczynnej limuzyny czeka Gunther, szofer Ice'a. Nie jest olbrzymią nazistowską małpą, jak Maxine się spodziewała, lecz okazuje się przesadnie schludnym mężczyzną o wyglądzie byłego więźnia z wyspy Rikers, z ciemnymi okularami zasłaniającymi bardzo długie rzęsy.

Burcząc pod nosem, Maxine parkuje i podchodzi do kłócących się ludzi.

– Chodź, March.

– Najpierw zabiję tego sukinsyna!

– Nie wtrącaj się – doradza Maxine. – Tallis sama odpowiada za swoje życie.

March niechętnie wsiada do samochodu, gdy tymczasem Tallis, zdumiewająco spokojna, kontynuuje małżeńską dyskusję z Ice'em.

– Potrzebujesz nie adwokata, Gabe, tylko lekarza.

Mówi z przekonaniem. Gabe rzeczywiście nie wygląda na zdrowego: twarz ma zaczerwienioną i opuchniętą, nie może opanować drżenia rąk.

– Posłuchaj, suko! Kupię tylu sędziów, ilu będzie trzeba, ale już nigdy nie zobaczysz mojego syna! Nigdy, kurwa!

Okay, myśli Maxine, Ice unosi rękę, czas na berettę.

Ice unosi rękę, Tallis z łatwością się uchyla, lecz jednym z elementów równania staje się pistolet.

– Takie rzeczy się nie zdarzają. – Ice bacznie obserwuje lufę.

– Dlaczego, Gabe?

– Nie umrę. Nie ma scenariusza, w którym umieram.

– Cholerne, pieprzone wariactwo! – rzuca March z okna samochodu.

– Lepiej wsiądź i dołącz do mamy, Tallis. Miło mi to słyszeć, Gabe. – Maxine jest spokojna i zdecydowana. – Nie umrzesz dlatego, że odzyskasz rozsądek. Spróbuj to przeanalizować w szerszej perspektywie i co najważniejsze, odejź.

– To...

– To właśnie ten scenariusz.

Ulica, na której mieszka March, ma jedną dziwną cechę: każdy scenograf szukający miejsca do kręcenia filmu, niezależnie od gatunku, odrzuciłby ją jako zbyt wymuskaną. W tym punkcie czasoprzestrzeni kobiety podobne do Maxine nie celują do ludzi z broni palnej. Musi trzymać w ręku coś innego. Oferuje mu coś, coś wartościowego, czego Ice nie chce przyjąć, może ona chce spłacić dług, a on udaje, że jej go darował, lecz w końcu się zgodzi.

– Zapomniała swoją rolę! – March nie może się powstrzymać przed wrzaśnięciem z okna. – Nie jesteś panem wszechświata, durniu, pojawia się konkurencja i musisz się starać utrzymać swój udział w rynku! Twoje życie przestaje należeć do ciebie i staje się własnością władców, których zawsze czciłeś!

Biedny Gabe, musi stać, patrzeć w wycelowany w siebie pistolet i słuchać pouczeń kobiety, która wkrótce ma zostać jego byłą teściową, wiecznej, niereformowalnej lewaczki.

– Wszystko w porządku?! – woła Gunther. – Kupiłem bilety na musical *Mamma Mia!*, przedstawienie za chwilę się zacznie, nie mogę nawet wytargować rabatu.

– Spróbuj to nazwać odpisem na podróżę i rozrywkę, Gunther. A ty bądź dla niego miły – ostrzega Maxine Ice’a, który ostrożnie się cofa i wsiada do limuzyny.

Maxine czeka, aż długi samochód dotrze do rogu i skręci, po czym siada za kierownicą impali, włącza radio nadające piosenkę Tammy Wynette gdzieś z drugiej strony rzeki i rusza ostrożnie przez miasto.

– Lepiej przyjmijmy, że zauważył twoje numery rejestracyjne – mówi March.

– To znaczy, że wyślą za nami list gończy.

– Raczej drony mające nas zabić.

– Właśnie z tego powodu będziemy się trzymać z dala od mostów i tuneli, pozostaniemy na terenie miasta, ukryjemy się na widoku. – Maxine zmaga się z ogromną kierownicą, jadąc przez kilka słabo oświetlonych ulic.

Skręcają na tle malowniczej panoramy świateł wzdłuż autostrady West Side, a następnie zatrzymują się na Warpspeed Parking. Maxine zerka w lusterko wsteczne i widzi tylko pustą ulicę.

– Mogę sama się tym zająć, Hector? Nie widziałeś nas, prawda?

– W porządku, *mami*.

Zapuszczają się w głąb dzielnicy pełnej starych ceglanych budynków zniszczonych przez spaliny samochodów w ciągu wielu dziesiątków lat. Rura wydechowa impali dołącza do chóru niczym nastoletni śpiewak w pokoju gimnazjalistów.

March zapala jointa, a po chwili parafrazuje Cheecha i Chonga, mówiąc rozwlekłe:

– Zastrzełiłabym go, człowieku.

– Słyszałaś, co powiedział. Moim zdaniem ma to w umowie z Panami Śmierci, którym służy. Jest chroniony. Był trzymany na muszce, ale się wywinął, to wszystko. Wróci. Nic się nie skończyło.

– Myślisz, że mówił poważnie, że zabierze mi Kennedy'ego?

– Tallis drży.

– Może się to okazać dość trudne. Będzie próbował robić sztuczki z księgowaniem kosztów i zysków, ale zaczną mu się dobierać do skóry różne instytucje: Komisja Papierów Wartościowych i Giełdy, urząd podatkowy, Departament Sprawiedliwości, nie może ich wszystkich kupić. Do tego dojdą mili i niemili konkurenci, hakerzy, prędzej czy później jego miliardy zaczną zniknąć. Jeśli ma dość rozumu, spakuje swoje rzeczy i ucieknie na Antarktydę.

– Mam nadzieję, że nie – mówi March. – Globalne ocieplenie i tak już się posunęło, prawda? Pingwiny...

Może przyczyną jest luksusowe wnętrze wozu: czterdzieści lat jazdy i ciągle słychać niewygasłe echa nastoletnich fantazji ze Środkowego Zachodu, które utkwiły w strukturze metalicznego turkusowego winylu, okrągłych mat na podłodze, popielniczek wypełnionych starymi niedopałkami, szminek



o odcieniach, których nie sprzedaje się już od lat, każda z nich to historia romantycznego czuwania, błyskawicznego pościgu. Nie wiadomo, co Horst widział w tym ruchomym muzeum pożądania, gdy odpowiedział na ogłoszenie w „Pennysaver” – cokolwiek to było, ustalone i ustalane, jak zawsze lubił mówić doktor Tim, teraz, w tej chwili, zaczyna je otaczać, wyprowadzać z nieopłacalnych pól naftowych przyszłości, mogą wreszcie odpocząć, odprężyć się, otworzyć na własne marzenia.

W końcu, nagle, nadchodzi ranek. Maxine póleży na przednim siedzeniu, March i Tallis budzą się z tyłu, wszystkie zdrętwiały.

Wysiadają na ulicę, gdzie znowu, w ciągu nocy, zakwitły grusze. Nawet w tej porze roku mógłby pojawić się śnieg, to Nowy Jork, ale teraz wokół jaśnieje od kwiatów, których cienie padają na chodniki. To ich chwila, najważniejszy dzień roku, po czym wszystkie lądują w rynsztokach.

W restauracji Piraeus roi się od naćpanych hipsterów, poszukiwaczy przygód, którzy nie przygadali sobie dziewczyny, nocnych marków, którzy nie zdążyli na ostatni pociąg na przedmieścia. Uciekinierów przed bezsłoneczną połową cyklu. Potrzebowali różnych rzeczy – kawy, cheeseburgera, dobrego słowa, światła dnia. Nie zasnęli, wreszcie ujrzeli to, na czym im zależało, po czym zapadli w drzemkę i wszystko znów im umknęło.

Maxine szybko wypija filiżankę kawy, a następnie zostawia March i Tallis przy stole zastawionym śniadaniem, zajęte jedzeniem. Wracając do domu, by odwiedzić chłopców do szkoły,

zauważa w oknach na najwyższym piętrze odbicie szarego porannego nieba. Płyną po nim niewyraźne chmury, nienaturalnie jasne, może to efekt słońca, może czegoś innego. Maxine spogląda na wschód, by sprawdzić, co to może być, ale źródło światła znajduje się ciągle za budynkami, niewidoczne z tego miejsca, tworzące długie cienie. Skręca w przecznicę i zostawia pytanie za sobą. Dopiero w windzie zaczyna się zastanawiać, kto właściwie powinien odwieźć dziś chłopców do szkoły. Zagubiła się.

Półprzytomny Horst gapi się na Leonarda DiCaprio w *The Fatty Arbuckle Story* i nie wydaje się szykować do wyjścia. Chłopcy czekają na Maxine i oczywiście przypomina jej się niedawna podróż DeepArcherem do wirtualnego Zigotisopolis, obaj stoją oświetleni niepewnym światłem, gotowi wkroczyć w swoje spokojne miasto, ciągle wolne od pajaków i botów, które pewnego dnia, już wkrótce, mogą się pojawić i zażądać, by stało się ono częścią zindeksowanego świata.

– Chyba się trochę spóźniłam, chłopcy.

– Idź do swojego pokoju. – Otis wkłada plecak i wychodzi z mieszkania. – Jesteś uziemiona.

Ziggy zaskakuje Maxine, posyłając jej całusa.

– Zobaczymy się, jak po nas przyjedziesz, okay?

– Zaczekajcie chwilę. Już was odprowadzam.

– W porządku, mamó. Damy sobie radę.

– Wiem, Zig, na tym polega problem.

Maxine stoi w progu, patrząc, jak idą korytarzem. Żaden się nie ogląda. W końcu widzi, jak wsiadają do windy.

# Spis treści

[O książce](#)

[Strona tytułowa](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Motto](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)